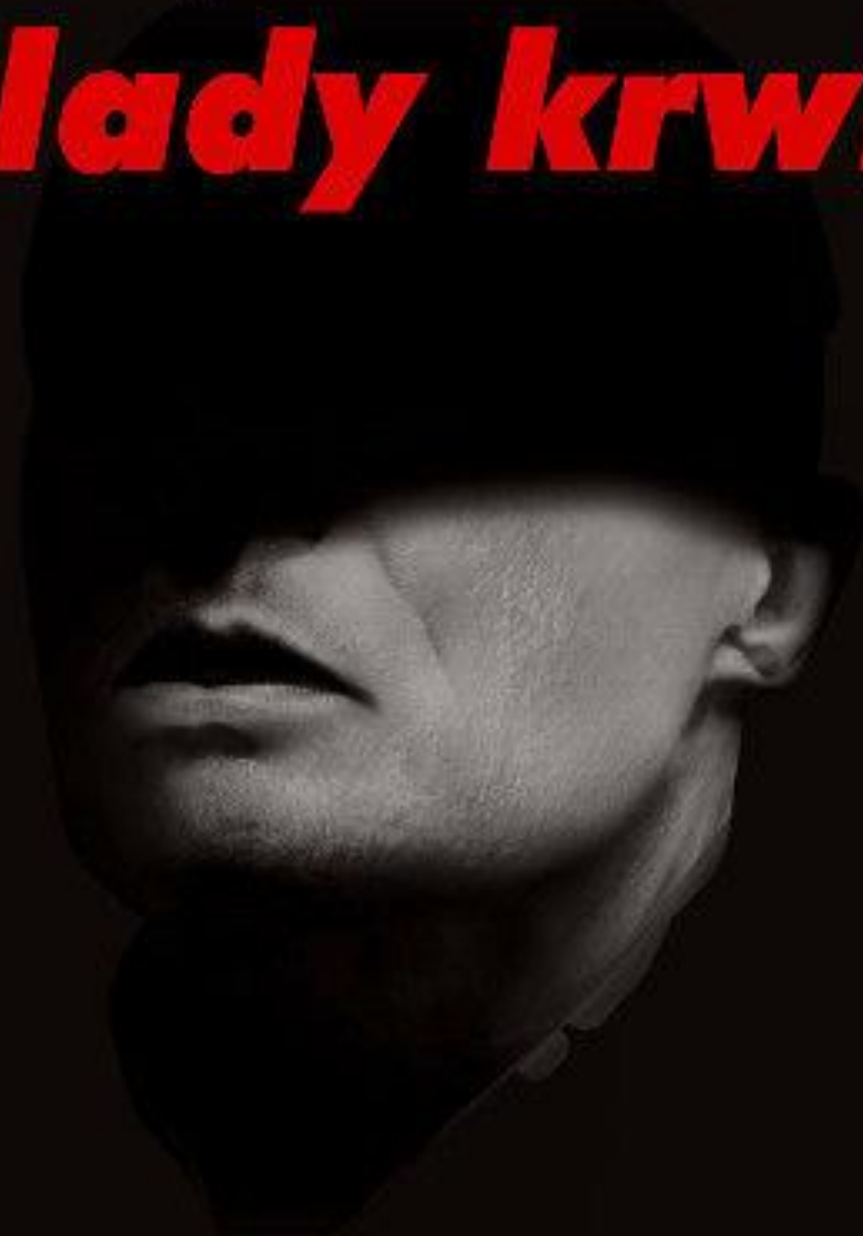


**jan polkowski**  
**ślady krwi**



**Jan Polkowski**

# **Ślady krwi**



Motto

*Dokąd wiodła nas droga - Ku Narodzinom czy Śmierci?*

Thomas S. Eliot

## Kanada

Kanada początek XXI wieku

W blaknącym blasku miejskiego zmierzchu siwiejący mężczyzna tkwił nieruchomo w sfatygowanym fotelu. Drzemał, marzył lub nie żył. Kurz kłębił się nad jego głową w plamie fioletowego światła, które docierało do pokoju z pulsującego nerwowo neonu pralni chemicznej, mieszczącej się na parterze, po drugiej stronie ulicy.

Był początek XXI wieku. Henryk Harsynowicz mieszkał w Kanadzie, w jednej z mniej zamożnych dzielnic Toronto. Żył samotnie i skrycie, choć już nie uciekał przed nikim i przed nikim się nie ukrywał. Można by powiedzieć, że jedynym powodem jego ukrywania się, zresztą trudnego do zauważenia przez kogoś postronnego, było to, iż wciąż istniał. Jego egzystencja, prosta, przeźroczysta i nieprzenikniona dla jawnych czy tajnych obserwatorów, trwała obok miasta, które również wydawało się go nie zauważać. Tym jałowiej, bez wysiłku i walki nikł i bezwiednie się rozpląwał w niejasnym porządku lub chwiejnym chaosie, nie zostawiając po sobie żadnych szczególnych znaków, ulotnych śladów czy sumiennego testamentu. Jeśli istniał gdzieś poza własnym ciałem i jednym lub dwoma miejscami w Warszawie, mógł to być uważny wzrok i wyćwiczona pamięć sklepikarza, Węgra pochodzącego z Timiszoary, który na dwa lata przed upadkiem Ceaușescu zbiegł z ambasady rumuńskiej w Londynie. Wybrał wolność w zbyt chłodnym pokoju bez okien, obserwując z napięciem dwa miniaturowe męskie portrety, odbite w ciemnych okularach przesłuchującego go funkcjonariusza Centralnej Agencji Wywiadowczej. Mężczyzna ów nigdy nie nosił ciemnych okularów i lubił obserwować poruszającego się po sklepie Henryka, który za każdym razem przemierzał identyczną, szesnastominutową marszrutę. Na wstępie pakował do koszyka żurek i chrzan, na końcu zaś kaszę gryczaną i kielbasę wiejską.

Z mieszkańcami Toronto Harsynowicz nie nawiązał kontaktów, które nawet nieostrożnie uogólniając, można by określić jako serdeczne lub bliskie. Mimo że był dzikusem ze Wschodu, patrzył na Toronto jak na tymczasowy obóz Indian lub niepiśmiennych włóczędów, w każdym razie barbarzyńców, choć doceniał fakt, że rozbite ciasno namioty były dość wysokie i z materiału w niezłym gatunku. Z coraz mniejszym zaangażowaniem grał rolę biednego krewnego dopuszczonego z łaski do posiłków na końcu stołu, a jednocześnie wielmożnego szlachcica wplatającego łacińskie sentencje w rozmowy z miejscowymi, dość prymitywnymi dorobkiewiczami. Był przecież wychowankiem starych miast, zasobnych w daty koronacji królów, ingresów arcybiskupów, głodujących oblężień, rzezi ludności, bombardowań szpitali i dziecięcych ochronek, pożarów bibliotek i gotyckich

kościół, w których pokotem spali półzywi z przerażenia uchodźcy. Miał więc prawo czuć lekką pogardę wobec wczoraj wzniesionych osad, których obywatele nigdy nie musieli w ich obronie podpalać własnych domów, gmachów publicznych i mostów dojazdowych. Nie znali również uczucia towarzyszącego odnalezieniu martwego dowódcy obrony, który zanim palnął sobie w łeb, zdążył wywiesić przez okno skrwawioną białą szmatę.

W warszawskim mieszkaniu na ulicy Chmielnej, w solidnym sejfie ukrytym za miernym akwarelowym widoczkim, spoczywało zdjęcie o wymiarach pocztówki. Przedstawiało mężczyznę, który wyglądał, jakby od dawna miał pięćdziesiąt parę lat i nieustannie, mozolnie, jednak bez wyraźnego sukcesu, zbliżał się do sześćdziesiątki. Wzrostu był prawdopodobnie średniego, nawet wysokiego, a jego pociągłą, trochę nieforemną twarz trzymały w jednym kawałku wydatne szczęki ocienione smugą gęstego zarostu i duże oczy o jasnoniebieskim odcieniu. Czoło, wysokie z racji utraty włosów, dodawało jego twarzy rysu intelektualnego roztargnienia. Ważył pewnie około dziewięćdziesięciu kilogramów, co sugerował ciężki kształt sylwetki, a zwłaszcza zaokrąglona linia brzucha.

Henryk Harsynowicz z całą pewnością żył. Poruszył się, chociaż jeszcze nie otworzył oczu. Po chwili wstał, podszedł do okna i lekko je uchylił, nie poświęcając jednak specjalnej uwagi nieruchomej ulicy, upstrzonej wałającymi się śmieciami. Szybko i bez oporu wdarł się do pokoju niski, monotony brum miasta. Harsynowicz włączył elektryczny czajnik, wrzucił do kubka saszetkę zielonej herbaty i z westchnieniem wrócił na fotel. Prawą szczupłą dłoń, pokrytą bladymi, brązowymi plamkami, położył na książce pozostawionej na postrzępionym oparciu.

Od wielu lat żył bezpiecznie wewnątrz powtarzanego codziennie rytuału. Pozostawał mu wierny, ale traktował go niedbale, jak porzucony, bezużyteczny plan lub wygasłą, na w pół zapomnianą miłość, wypraną ze smaku pożądania i zaborczej melancholii. Był owładnięty przekonaniem, że zmiana przyzwyczajęń równałaby się ryzykownemu skokowi w niezgłębioną ciemność, poza ramy rzeczywistości i przeznaczenia. Każda zmiana kojarzyła mu się z tchórzliwą, nieodpowiedzialną ucieczką z irracjonalnie realnego świata. Taki rewolucyjny radykalizm mógł grozić nieobliczalnymi skutkami, których na wszelki wypadek nie próbował nawet sobie wyobrazić.

Broń Boże nie wyglądał na człowieka nieszczęśliwego. Wyglądał raczej na człowieka, który żyje w dobrowolnej separacji z samym sobą i skrupulatnie przestrzega sądowego zakazu zbliżania się do własnych pospolitych, odpychających problemów.

Henryk postawił herbatę na podłodze. Cierpki, wytrawny zapach otarł się o skórę jego twarzy i spierzchnięte usta. Otworzył książkę i przez chwilę szukał miejsca, gdzie skończył

czytać. W tle milczał pokój umeblowany tandetą z lat siedemdziesiątych. On sam wzbogacił wystrój tylko o trzy pudełka po bananach wypełnione książkami.

Patrząc z boku, miało się wrażenie, że jego życie, mimo pewnych cech tymczasowości, toczyło się spokojnie, bez gwałtownych zwrotów, przyśpieszeń i zapaści. Dni opadały i rozsypywały się bez oporu i emocji. Starannie unikał sporów i ostrych dyskusji, więc nie było okazji, żeby się na kogoś obrazić lub z kimś pokłócić, co dawniej przytrafiało mu się nieustannie. Dawniej, to znaczy wtedy, kiedy wierzył w siebie, niesprawiedliwość, przypadek i w to, że ludzie nie są, bo nie potrafią być wolni, a już z pewnością nie są i nie powinni być równi.

Z ulicy dobiegł ostry dźwięk klaksonu i wymieszał się z krzykiem przerażenia lub ostrzeżenia, kobiety lub dziecka. Niemal równocześnie ocknął się wiatr. Otworzył szerzej uchylone okno i do pokoju wpadł stukot toczącej się po chodniku puszek po piwie. Henryk poprawił okulary, odwrócił stronę i czytał.

Mimo zanurzenia w powodzi bezpiecznej rutyny i lichej stabilizacji dochodziło w jego życiu do niewielkich incydentów. Jeden z nich spowodowała Jenny Hastings, kobieta mieszkająca na parterze, wyglądająca na wyzwoloną ze złudzeń młodości, ale niewolną od namiętności do błędów, które cechują wiek dojrzały. Była właścicielką, a być może opiekunką kamienicy. W pewnym momencie zaczęła zdradzać żywe zainteresowanie sąsiadem. Lubiła różowy lakier do paznokci, zamszowe buty i czarne, długie spódnice, pod którymi ukrywała, jak domniemywał Henryk, zbyt grube lub krzywe nogi. Henryk używał w stosunku do niej polskiego określenia - dozorczyńi, chcąc w ten prymitywny sposób obniżyć jej atrakcyjność. Zdawał sobie sprawę, że jako samotny lokator, którego w dodatku nikt nie odwiedzał, nadaje się idealnie na ofiarę skromnego polowania, bez hałasu nagonki, skowytu psów gończych i mordowania post factum zbędnych świadków.

Zrzędzeniem losu, wychodząc z domu lub wracając z pracy, wpadał na zawsze ciepło uśmiechniętą sąsiadkę, która w słodki i zarazem energiczny sposób przekazywała mu jakieś nieważne wiadomości albo usiłowała zatrzymać ostentacyjnie idiotycznymi pytaniami. Gdy ten prosty komunikat został zignorowany, zastosowała strategię prośb o męską pomoc, zdaniem Henryka, niczym nieróżniących się od szantażu lub fizycznej przemocy. Wreszcie zaciągnęła go do siebie. Przy podawaniu herbaty wytrwale i obficie prezentowała dekolt i co tam jeszcze mogła. Wystąpiła wyjątkowo w krótszej spódnicy i jej nogi okazały się zaskakująco zgrabne. Robiła wrażenie całkowicie przekonanej, że argumenty o charakterze podstawowym powinny szybko przeważyć szalę zwycięstwa na jej stronę.

- Posłuchaj - podjęła Jenny, zaskoczona i urażona wytrwałą obojętnością Henryka. -

Może mógłbyś u mnie jadać? Jeden posiłek dziennie. Ja i tak gotuję dla siebie. Gotować dla jednej czy dwóch osób, różnica żadna. Zwrócisz mi za produkty, rzecz pozostanie bez zobowiązań. Samotne posiłki spożywane w milczeniu wyraźnie mi szkodzą. Myślę, że szkodzą każdemu. Tobie nie?

Propozycja była tragicznie atrakcyjna. Ale im bardziej biwakujący od lat Henryk miał ochotę na dwudaniowy obiad i im wyraźniej widział oczyma duszy jej biust wyzwolony ze stanika, delikatny, ale niepozbawiony słodkiego ciężaru, tym bardziej miał wrażenie, że jest przykuwany kajdankami do kaloryfera i chłostany bezlitośnie pejczeniem pytań o rodziców, dzieciństwo, szkołę średnią i pierwszą miłość.

- Wspaniała propozycja. - Patrzył nieuważnie na mgiełkę włosów wokół jej różowego ucha, kolczyka i refleksu światła muskającego niebieski kamień, z pewnością sztuczny. Po chwili przeniósł wzrok z rozświetlonej jak plaża małżowiny na okno przysłonięte gęstą firaną.

- Naprawdę wspaniała propozycja - powiedział i zamknął oczy. - Przyjąłbym ją oczywiście - kontynuował po chwili pełnej rosnącego napięcia, podczas której ona resztką sił powstrzymała chęć położenia mu dłoni na ramieniu. - Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł ją przyjąć. Wiele bym dał za domowy obiad. Same słowa są swojskie i smaczne, a przy tym takie spokojne i słodko oswojone. - Otworzył oczy i zaangażował się uczuciowo w oglądanie czubków swoich butów.

- To co? Zgoda? Kiedy zaczynamy, od jutra? Powiedz mi, co lubisz. Albo zrób listę. - Jenny wpadła we wdzięczną euforię i nieprawdopodobnie wolno założyła nogę na nogę. Nie udało jej się jednak skupić uwagi gościa na swoich udach opiętych czerwonym koronkowym zakończeniem czarnych, samonośnych pończoch firmy Transparenze. A kosztowały, bądź co bądź, kilkadziesiąt dolarów.

- Tak, to byłoby naprawdę wspaniałe. - Henryk przeniósł wzrok na swoją prawą dłoń, jakby zauważył ją po raz pierwszy i był dotąd przekonany, że ma tylko lewą. Odmowę, wyrażoną miękko, w chórze z żałami i westchnieniami, uzasadnił zmiennymi porami dyżurów w radio, których reżimowi musi się poddać, czy tego chce, czy nie.

- Wiesz, kapitalizm daje wolność kapitalistom. Ja, jako robotnik najemny, jestem rzeczą, własnością wyzyskiwaczy. Używają mnie z konieczności i ze wstrętem, ale bezwzględnie. Wysysają wszystko, nawet myśli, na które dopiero czekam. Jestem więc niewolnikiem całą gębą. Tak pieści mnie życie, moja duszko.

Kompletna klęska i słowo „duszka” doprowadziły Jenny do nerwowego śmiechu. Gdy mężczyzna wyszedł, jej śmiech przeszedł w nieartykułowaną, żalną pretensję do losu i Boga, który z niezrozumiałych powodów toleruje istnienie długich pokoleń idiotów w

spodniach.

Po incydencie, mimo że Henryk przebiegle unikał rozkwitłej po brzegi Irlandki, jej żeńskie walory i barokowe spojrzenia zielonkawych oczu doganiały go niekiedy. Zwłaszcza gdy dopadał go głód i wikłał się w wymaginowane zapachy ugotowanych przez sąsiadkę potraw: zrazów wołowych zwijanych ze słoniną i kiszonym ogórkiem, podanych z kaszą i buraczkami na ciepło, żurku, ostrokwaśnego kapuśniaku, pieczeni cielęcej z dużą ilością cebuli, uduszonej na delikatny jasnobrazowy kolor. Cóż, musiałyby przecież gotować według przepisów polskiej kuchni.

Pociągnął łyk cierpkiej herbaty. Była jeszcze gorąca. Lubił jej szorstkie, przyjazne ocieranie się o przelyk i mocne, pełne utajonej energii lądowanie w żołądku. Irytację, z jaką śledził skomplikowane stosunki Myszkina z siostrami Jepanczyn, mógł tonować tylko dobrze zaparzoną, gorzką herbatą. Wypił drugi, dłuższy łyk i zagłębił się w opis niejasnych uczuć Agłai i księcia. Zaskoczyło go stwierdzenie najmłodszej z siostr, że kierowanie się samą tylko prawdą jest niesłuszne. Zgodził się entuzjastycznie z tym poglądem, by za chwilę odrzucić go jako obłudny i ukrywający swój cynizm pod pozorami realizmu lub współczucia. Nie od dzisiaj z niezrozumiałych powodów męczyło go inne zdanie: Bóg wie, co żyje we mnie zamiast mnie. Za każdym razem gdy je spotykał, powodowało w nim zamieszanie, niepokój i chybotanie lustra, jakby ktoś stał z drugiej strony jego twarzy i śmiał się histerycznie bez powodu.

Zaskakujące było to, że życie Henryka Harsynowicza, które ktoś bez zbędnej dyplomacji mógłby określić jako bezbarwne i monotonne, jemu samemu wydawało się całkiem znośne. Aromat i sens, którym próbował się delektować, trudno było jednak dostrzec z zewnątrz. Bo jak dostrzec sens w bezkonfliktowym, ale przecież bezsensownie niepokojącym i bezwzględnie upokarzającym przepływie czasu przez starzejące się ciało. W oczywistej przemianie obejmujących je opiekuńczo pór roku, nocy i dni. Albo w nocnych przelotach dzikich gęsi w tę i z powrotem, na północ lub południe, z szumem skrzydeł zagłuszonym przez ludzki sen i nieludzką śmierć.

Henryk Harsynowicz żył, gęsi wędrowały za wietrznym wahadłem śniegu, ludzie śnili, że umieją latać, drzewa rzucały coraz szerszy i dłuższy cień, chmura esemesów opuszczała błyszczące w słońcu samoloty linii American Airlines i United Airlines, gdy zbliżały się do wieżowców World Trade Center. Hutu zarzynali maczetami Tutsi. Dzieci jednych paliły wioski drugich. Krowy pracowicie przeżuwały i wydzielaly niezliczone ilości niszczącego metanu. Prawdopodobnie zdechł Ozon, cockerspaniel, mieszkający obok Henryka w sąsiedniej kamienicy. Hindusi palili chrześcijańskie kościoły, a wraz z nimi pewną



liczbę wiernych. Niestrudzony Darwin stwarzał nowe, nieznane dotąd owady, bakterie i wirusy. Chińczycy cierpliwie, bez pośpiechu niszczyli Tybet i zwiększali swój udział w globalnych instytucjach finansowych. Chodorkowski strzelał szybko i miliardy przepływały na jego konta w rajach podatkowych. Przystawał ćwiczyć, rozleniwił się, wspominał mimochodem w niezbyt ważnej angielskiej gazecie, że Rosja potrzebuje nowoczesnej sieci dróg, a może i demokracji. Nazajutrz federalna opryszczka zabierała mu księstwo i bawiła się jego głową jak młody terier piłką do tenisa.

Żadne z wymienionych ani jakiegokolwiek inne wydarzenie nie wdarło się, mimo zaciekłych prób, w wewnętrzne i zewnętrzne życie Henryka. Jego własne, jak mu się wydawało, prywatne sekundy, minuty, godziny, dni, miesiące i lata nasycone były słodkim przemijaniem, może zbyt słodkim, czasem aż mdlącym, ale te chwile nie potrzebowały libretta, publiczności i braw. Mimo że zbliżał się do sześćdziesiątki, nie uciekał przed śmiercią. Nie bełkotał przerażony w jej niewidocznym cieniu, a najdrobniejsze ułamki życia oddawały mu siebie bez pretensji, nie żądając niczego w zamian. Cieszyło go, że nie posiada własnego planu, a czy jest jakiś inny plan i co zawiera, nie chciał odgadywać. Nie chciał wdawać się w dyskusję z Bogiem. Sporadyczne myśli o klęsce w stosunkach ze światem wprawdzie go nie omijały, ale były spokojne jak lipcowy wieczór wypełniony ciepłem oddawanym przez rozgrzaną ziemię, murmuraniem zamkniętych księzek lub cierpliwą lekturą jednej z nich, gryzieniem orzeszków ziemnych, kołowaniem upartego skrzydła ciemności wokół lampy lub analizą tajemniczych informacji na opakowaniu płatków śniadaniowych. Zresztą czy mógł zwyciężyć? I co to miałyby oznaczać? Dla niego? Dla innych ludzi? Dla świata? O co miałyby się kłócić?

Starzał się. Krew wybierała okrężne, coraz bardziej skomplikowane drogi do celu. Zasypiał z prawą ręką pod głową, lewą położywszy równo wzdłuż ciała na grubym wełnianym kocu. Do łóżka kładł się z nadzieją, że tej nocy, we śnie, jak za dawnych lat, będzie mógł znowu zwycięsko latać w ciemnym powietrzu nad Warszawą, lekko poruszając szeroko rozpostartymi rękami. Latanie śniło mu się od czasów chłopięcych. Przestało, kiedy dobijał do czterdziestki. Mniej więcej w tym czasie kiedy został sam.

\*

Czy można wierzyć, że w życiu Henryka Harsynowicza nie było nic poza mizantropią i w końcu dość pospolitą umiejętnością zadowalania się czymś tak nikłym jak istnienie?

Regularnie, jedenaście razy w tygodniu opuszczał mieszkanie. Codziennie szedł do pracy w miejscowym polonijnym radio. Zwykł mówić o nim „radio polonijno-asymilacyjne”, żeby podkreślić ironiczny dystans i kontrolę nad własnymi wyborami. Trzy razy w tygodniu

udawał się na zakupy do nieodległego sklepu, dwie przecznice dalej. Prowadził go mężczyzna z budzącą dreszcz blizną na twarzy, biegnącą ciemną linią od szczęki do kąta oka, choć wyglądała, jakby przecinała sinym cięciem życie, przed którym uciekał. Henryk, na powitanie, uśmiechał się z pełnym pobłażania przekonaniem, że właściciel jest zbyt ponury, by mógł być dobrym sprzedawcą. Wysoki, zwalisty mężczyzna o ciemnej karnacji patrzył na niego z niezmiennym zdziwieniem. Czasem odwzajemniał uśmiech krótkim, bezradnym skrzywieniem warg. Henryk lubił jego eksterytorialny sklep, a dodatkowo sprawiało mu przyjemność przypuszczenie, że właściciel ceni go jako stałego klienta. W radio spotykał się z dwoma facetami, do których dawno stracił zaufanie i serdecznie ich nie cierpiał. W kościele rzadki tłum nie był żadnym punktem odniesienia dla jego samotności, nikt go tam nie witał ani nie oczekiwał. Podczas zakupów czuł, że jest u siebie, gra ważną rolę i ktoś go docenia.

W niedzielę wychodził do kościoła. Od pewnego czasu nie mógł się zdecydować, którą mszę wybrać, a gdy się wreszcie zdecydował i wykaraskał, nie zawsze docierał na czas. Przyczyną spóźnień mogło być zamiłowanie do obserwacji robaczkowego ruchu przechodniów i odgadywania tajemnic ich ukrytego życia. Był pedantem, nie było więc mowy, żeby wszedł do kościoła podczas trwającego nabożeństwa. Przez chwilę słuchał dochodzących zza niedomkniętych drzwi dźwięków organów, szemrzących słów kapłana, stłumionego chóru wiernych, dzwonek przed podniesieniem i odchodził. Z powodu związanych z mszą perturbacji miewał do siebie pretensje i od czasu do czasu wymyślał sobie od bezbożników. Robił to jednak coraz rzadziej i z coraz mniejszym zaangażowaniem.

W stosunku do miejsc, w których mieszkał, używał określenia „dom”, ale, prawdę mówiąc, robił to tylko po to, żeby nie komplikować sytuacji. Użycie słowa „dom” działało jak słaby środek nasenny. Zasnąć nie było można, ale krążące rozdrażnienie rozmywało się, odpływało na bezpieczną odległość.

Większość wolnego czasu poświęcał na czytanie. Korzystał wyłącznie ze swojego niewielkiego zbioru książek, raptem około czterdziestu tytułów. Wśród nich były Lalka Prusa, Przedwiośnie i Popioły Żeromskiego, Ikar i Wyspa Szczepańskiego, Szkice piórkiem Bobkowskiego, parę tomów Józefa Mackiewicza. Miał też opowiadania Iwaszkiewicza, Nowakowskiego i Herlinga-Grudzińskiego. Sporą część biblioteczki tworzyła literatura rosyjska, francuska, niemiecka i czeska, między innymi Obsługiwałem angielskiego króla, Mistrz i Małgorzata, Pani Bovary i Moskwa-Pietuszki.

Nowej książki Harsynowicz nie kupił od dwudziestu lat, nie tylko ze względu na szczupłość funduszy, ale przede wszystkim z powodu braku zaufania do współczesnych autorów, którzy jego zdaniem wyróżniali się czymś więcej niż tylko brakiem osobowości i

niechlujstwem językowym. Wyraźnie drażniły go dość solidne dowody, że ci niekiedy zdolni ludzie nie czytali niczego poza własnymi utworami. On sam czytał więc wciąż te same stare teksty, zmieniając jedynie ich kolejność, i z czasem zrósł się z nimi jak zwielokrotniony syjamski brat.

Najtrudniej było mu wyzwalać się z hipnotycznych rozdziałów i zagadkowych zdań *Idioty* Dostojewskiego, gasić lustro Buddenbrooków i zachowywać dystans do niemal boskiego stylu Flauberta. Przyjacielskorodzinne zaangażowanie Henryka w perypetie arystokraty epileptyka wzmacniała domieszka namiętności, której nie rozumiał, i podziwu, który go wytrącał z równowagi. Ten emocjonalny związek powodował niejednokrotnie złudzenie, że księżę siedzi w następnym wagonie metra i czeka, by do niego podszedł. Mimo tłoku miejsce obok księcia było zawsze wolne. Jednak Henryk nigdy nie zdecydował się podejść - z lęku, przez szacunek czy z powodu braku pomysłu na dialog godny Dostojewskiego. Był pewien, że Myszkini mógłby mu opowiedzieć wiele nieznanym innym czytelnikom historii, na przykład o swoim zagadkowym dzieciństwie, spodziewał się, że księżę mógłby bez trudu zrozumieć jego błogą samotność i rozsądnie oddalony od rozpaczy, sierocy spokój. Mogliby zbliżyć się do siebie w prawdziwie braterski sposób i być sobie wierni. Rosyjski boży pomyleniec i on, rosyjski zdrajca i polski wygnaniec.

Wydawało mu się, że widzi, jak stoją razem na leśnej polanie. Na dłoni Lwa Nikolajewicza, osłoniętej grubą rękawicą, siedzi sokół wędrowny, z kapturem na łebku. Mają obaj z Myszkinem nie więcej niż po czternaście lat. Henryk zdejmuje drapieżnikowi skórzany kaptur, a Lwa podrzuca sokoła do góry. Ptak najpierw zatacza kręgi, tuż nad nimi, nisko, prawie dotykając głów. Słychać szum piór i świst rozcinanego kryształowego powietrza. Potem nabiera wysokości i jak pocisk mknie na wschód.

Niemal zawsze, gdy po lekturze odkładał książkę, zastanawiał się, dlaczego dotąd nie docenił wątku czy postaci, które tym razem poruszyły go tak mocno. Wyrzucał sobie bezmyślną lekturę, byle jakie skupienie i oszustwa wzmacniane dziurawym wykształceniem. W chwilach lepszego humoru aranżował przypadkowe spotkania ulubionych bohaterów. Nie przejmował się zbytnio, że żyli w różnych epokach, mówili różnymi językami i stali po różnych stronach skomplikowanych ludzkich frontów. Ze szczególną pasją badał i rozwijał przypadki postaci zepchniętych w odmęty mętnego tła, stłamszonych przez autora w epizodach bez znaczenia lub zgoła zatajonych przed czytelnikiem. Używał konspiracyjnego pseudonimu „wierny czytelnik”, więc ciążył na nim moralny obowiązek wspomaganie niepełnych bohaterów, uzupełniania ich linii życia, doceniania zasług lub opowiadania o bolesnych kształtach klęsk. Ci biedacy często istnieli zaledwie przez wieczność pojedynczego

zdania, wspomagali ludzkość w jednym akapicie, co najwyżej w krótkim rozdziale, a przecież byli wypełnieni fascynującymi doświadczeniami i tajemnicami. Zresztą pozostali mieszkańcy powieści nie byli gorsi, nawet ci, którzy właściwie istnieli na własną rękę, bez solidnego wsparcia fabuły.

W początkowej fazie projektowanie dodatkowych epizodów, a nawet sporych fragmentów życiorysów, wyglądało atrakcyjnie, wzbogacało rysunek postaci i przyśpieszało obroty młyńskiego koła intryg. Jednak gdy Henryk kończył pracowite układanie sekretnych zdań, z niezmiennym zaskoczeniem odkrywał, że jego szczodry akt twórczy sprowadzał się do namiętnego poszukiwania rzewnego spokoju i łzawoemerytalnego zakończenia w staropanieńskim stylu.

W złe dni kłócił się zajadle z bohaterami budzącymi jego niespokojne wątpliwości. Jak szlachetka-warchoł spierał się uporczywie o miedzę i jeden snopek, jak czupurny hreczkosiej handryczył się, namawiał do zmiany nieodwołalnych decyzji, usiłował manipulować nie tylko czasem przyszłym, ale i przeszłym dokonanym. Zaklinał Miasojedowa, żeby przeszedł na emeryturę, rzucił kochankę i wyjechał z żoną na prowincję, najlepiej gdzieś na południe, na Krym lub do Odessy. Błagał, by zaczął żyć dyskretnie, niezauważalnie, nie dając najmniejszych powodów do zagoszczenia choćby w zdaniu wtrąconym mdłej powieści dla dziewcząt. Namawiał, by nie zdradzał się ze swym istnieniem przed nikim. Za żadne skarby nie godził się na ryzyko zagrania drugoplanowej roli nobliwego profesora matematyki lub sklepowego subiekta w obyczajowej humoresce z końca XIX wieku. Henryk obawiał się, że bez względu na fabułę, styl, poziom korekty i jakość papieru jakiejś lichej księżczyzny ludożerczy Trzeci Rzym wywlecze go z jej stron, by obmyć swą imperialną pychę w jego krwi i poniżeniu. Gdyby Miasojedow zachował się ostrożniej, mógłby spokojnie smakować życie jak oliwkę w zimnym martini, napawać się nieśmiertelną łagodnością czarnomorskich fal, z melancholią oplakiwać śmierć kwiatów, celebrować cud narodzin owoców i przechadzać się po rajach utkany ze słów na tyle błahych, że nikt nie musi ich wypowiadać.

W takich sytuacjach Henryk, owszem, odczuwał obawę, że staje się jałowym ambasadorem tchórzostwa, sojusznikiem małostkowego przetrwania, sabotażystą i kułakiem literatury, ale przecież nie mógł wyrwać sobie wnętrzości i nafaszerować się innym „ja”.

Kiedy doszło do zerwania stosunków z jednym z bohaterów, postanowił interweniować u autora. Tak się składało, że wszyscy pisarze, których regularnie czytywał, już nie żyli, niektórzy nawet od dość dawna. Pisanie listów do Dostojewskiego, Czechowa, Iwaszkiewicza czy Hrabala traktował jako projekt, który musi w przyszłości doprecyzować.

Nie chciał, rzecz jasna, uchodzić za wariata, więc nikomu nie wspomniał o swoich interwencyjno-literackich spekulacjach. Tak czy inaczej, Henryk Harsynowicz, dotąd unikający pisania, miał zgromadzony w pudełku po półbutach niewielki stosik listów. Pozostawały niewysłane. Znał wprawdzie adresy na przykład Flauberta, Bobkowskiego, Lwa Tołstoja czy Iwaszkiewicza, ale nie orientował się, jakiej wartości znaczki powinien nalepić na listy do Gwatemali, Rosji czy Francji.

Książki, z których bohaterami zerwał stosunki, czytał oczywiście nadal, ignorując najzwyczajniej w świecie te postaci, które nie poddawały się jego zabiegom modernizacyjnym.

Nieco inaczej było z Biblią. Posiadał wydanie pallotynów z lat siedemdziesiątych XX wieku oprawne w granatowe płótno. Tekst poznał późno, dopiero po przekroczeniu trzydziestki. Wcześniej miał z Pismem Świętym jedynie pobieżny kontakt na pierwszym roku studiów. Nowy sens lekturze nadał przełomowy dla niego rok 1980. Jednak mimo że od tego czasu sięgał po Biblię dość często, nie potrafił nawiązać z jej bohaterami tak intensywnych kontaktów jak z księciem Myszkinem, którego kochał, podpułkownikiem Miasojedowem, któremu usiłował pomóc, czy Wokulskim, który niezmiennie wyprowadzał go z równowagi. Przeszkoda nie tkwiła w języku czy egzotycznych realiach. Uroczysta liturgia biblijnych fraz koła jego niecierpliwość, niszczyła czas i usuwała granice ludzkiej przestrzeni. Jednak pozostawał trudny do nazwania dystans i w rezultacie coś nieokreślonego powstrzymywało go przed wejściem do budynku, gdzie apostołowie jedli ostatnią wieczerzę. Nie znajdował mocnego uzasadnienia, by tam wtargnąć z jakąkolwiek korektą sytuacji czy propozycją zmiany biografii któregoś z uczniów. W części przeżytej czy przyszłej. Wahał się także w innych wypadkach. Na przykład nie mógł się zdecydować, by towarzyszyć świętemu Piotrowi w sporze z tłumem, gdy Jezus, zdradzony przez Iskariotę, został pojmany. Później, owszem, zastygł na chwilę wciśnięty w tłum Żydów krzyczących: Chcemy Barabasa, ukrzyżuj go! I: Krew jego na nas i na dzieci nasze! Jednak sam milczał z niejasnych powodów. Milczał, bo był przyzwyczajony do kanonicznego brzmienia tekstu, czy obawiał się kompromitacji? W grę wchodził szacunek dla autorów obdarzonych tytułami świętych? Płytki, bezrefleksyjny, obrzędowy katolicyzm, zupełny brak wiedzy teologicznej? Może bał się bezmyślnie, jak stara dewotka, zakładając, że Boga, jego działania i zaniechania należy akceptować, wielbić, ale w żadnym wypadku nie należy ich rozważać, a tym bardziej zgłaszać wątpliwości czy poprawiać.

Skoro nie miał odwagi, by się spotkać z Chrystusem w trakcie jego działalności, w czasie trwania opowieści, pomyślał, że mógłby spróbować napisać list z jądra swojego czasu.

Po wahaniach doszedł jednak do wniosku, że jeśli zdobyłby się na odwagę, by do kogoś napisać, to raczej do któregoś ze świętych, na przykład świętego Pawła, jak on nawróconego poganina. Łatwiej jest w końcu pisać do człowieka, który dotknął dna i ust Boga, niż do samego Chrystusa, jednostronnie dobrego, którego słabość także była nadludzka. Mógłby napisać Pawłowi coś w rodzaju odpowiedzi, komentarza albo uzupełnień i przypisów do jego listów. Był w końcu jednym z adresatów jego listów, jeśli nie jednym z Koryntian lub Tesaloniczan, to z pewnością ich bliższym czy dalszym krewnym. Mógłby doradzać świętemu, który trwającą dwa tysiące lat pielgrzymkę stada ludzkiego znał w większości pośrednio lub obserwował z pewnego oddalenia. A przecież nadal ją komentował. Apostoł mógł coś słyszeć o Lutrze, ale cóż wie o teologii wyzwolenia, wyświęcaniu kobiet, pułapce bizantynizmu, małżeństwach homoseksualnych, o stojącym w wielu kościołach złotym cielcu próżności czy tchórzostwa małostkowego samozadowolenia?

Stosik listów rósł, ale nie było wśród nich nawet kartki pocztowej zaadresowanej do świętego Pawła. Kiedy Henryk wracał do lektury Pisma, świat Betlejem, Galilei i Samarii zamykał się w monumentalnych, hieratycznych scenach i zastygał w bezruchu jak nieziemskie, niedostępne piękno obrazów Botticellego.

Na przełomie wieków Henryk doszedł do wniosku, że jeśli świat ma dalej istnieć, to warto właściwie zrozumieć jego doświadczenia, skorygować używane w fundamentalnych dyskusjach argumenty, a także przeanalizować plan dalszej wędrówki. Być może uda się podsunąć nowe ślady, po których splątany świat mógłby kluczyć, poszukując sensu. Ludzkość z pewnością zasługiwała na coś więcej niż stare wersje fabuł i zamknięte, cokolwiek zużyte losy bohaterów. Większość znanych mu postaci, po tylu latach szamotaniny, ciągle nie potrafiła się wyzwolić z anachronicznych pomysłów starych pisarzy. Alternatywą była banalna nicość.

Zaczął jednak ostrożniej, od drobnych wprawek na poziomie faktograficznym i stylistycznym. Zaplanował korekty mniej ważnych pozycji ze swojego kanonu lektur. Lalkę z oderwanego od realiów melodramatu przekształcał w powieść pełną drobiazgowego realizmu. Uwzględnił atmosferę i prawa prymitywnej rusyfikacji, bicia dzieci i podrostków za używanie języka polskiego, opisywał przeszywający mózg zgrzyt podków kozackich patroli o brudny bruk warszawskich ulic i trotuarów, samobójcze poniżenie w stosunkach z przekupnymi zachłannymi czynownikami, hołotą pośledniego sortu, zesłaną do Polski, by się szybko spasała i obłowiła, duchotę rodzinnych narad, podczas których rozważano wydanie obywatelskiej córki za moskwicina, żeby reszta rodziny mogła się przy tym pożywić, a przynajmniej przetrwać. Musiał ze wstrętem wnikać w źródła aprobaty dla zaprzaństwa i

donosicielstwa, zwłaszcza tych, którym nie przetrącono karku knutem, ale łaską pańskiego stołu. Docierał do fundamentu duchowego upadku Królestwa - peryferii skośnookiego, barbarzyńskiego imperium, gdzie jada się surową koninę i w ramach dyskusji wylupia przyjaciółom oczy. Kończył, słysząc dyskretny terkot dwukonnych kibitek, głodnych wron lecących nocą na syberyjski, czarny żer. Zastanawiał się, jak uniknąć zarzutu o prymitywne, publicystyczne ujęcie tematu, gdy odrzucał kłamstwa carskiej cenzury, które bezczelnie chroniły odrażającą propagandę robiącą z Polaków masochistycznych samobójców, zarażających Europę gangreną marzycielstwa i syfilisem wolności.

Po poprawkach to miała być zupełnie inna książka, a najwspanialsze w polszczyźnie wcielenie pisarskiego samookaleczenia i samoograniczenia zbliżyłoby się do twardej rzeczywistości i przestało odgrywać swoją kastracyjną rolę. Korekta Lalki była jednak zadaniem trzeciorzędnym, wręcz technicznym, bez znaczenia dla losów ludzkości. Przeszedł więc energicznym krokiem do właściwego zadania - obmyślania zmian w Nowym Testamencie.

Na początek zastanawiał się nad wariantem, w którym Chrystus mógłby uniknąć krzyża. Myślał boleśnie nad sensem i celem takiej operacji. Nad skutkami zranienia lub, rzecz ujmując inaczej, uzdrowienia Pisma. Jak mógłby się zachować ocalony Chrystus? Prosiłby Ojca o inny plan historii świata i własnego posłannictwa? Błagał o inny scenariusz snu ludzkości, ofiary i zbawienia, czy w zapomnieniu chylił się ku starości? Wraz ze Słowem niedołęźniał i obumierał, wyrabiając coraz bardziej koślawe zydle i stoły? Henryk był oszołomiony, myśląc, że wszystko zależy od niego, od autora, kawałka papieru, pióra i czarnego atramentu. Los Boga również? A jeśli sam autor jest stwórcą? Jeśli to święty język daje i zabiera absolutną wszechmoc? Albo jeśli to Bóg prowadzi rękę piszącego? Zapisuje jedyną prawdę, która jest początkiem życia, szczegółowym planem historii? Więc jeśli Jezus zostałby ocalony tu, na ziemi, co jeszcze potoczyłoby się inaczej?

Doprawdy nie wiedział, skąd przywlokły się do niego te pytania. Brakowało mu sił, by na nie odpowiedzieć, by je odpędzić, a nawet zapamiętać. Słowo było blisko, ale on je opuścił. Nie potrafił powstrzymać inwazji bezsennego chaosu. Dusił go dym myśli i jego czaszka zamieniała się w zgliszcza. Wybrał milczenie. Zmusił do milczenia innych? Czuł, że wszyscy: Chrystus, świat i on sam, tracą szansę. W każdym razie w tym czasie, w tym obrocie życia. Razem, z osobna czy przeciw sobie. Chcąc nie chcąc, pozostał przy swoim wypróbowanym losie. Inni, w tej sytuacji, również nie mieli wyjścia.

W życiu Henryka Harsynowicza było jednak coś, co wykraczało poza samowystarczalny obieg myśli, snów i spekulacji. Nasz bohater, od ćwierćwiecza, wybierał

się w powrotną podróż do rodzinnego kraju. Ktoś słabo zorientowany, cudzoziemiec czy ktoś urodzony niedawno, przez pomyłkę mógłby zapytać, dlaczego z Polski wyjechał, skoro od dłuższego czasu usiłuje do niej wrócić. Może zresztą, chcąc sprawić przyjemność Harsynowiczowi, wypadałoby powiedzieć, że nie tyle zamierza wrócić, ile jest w trakcie powrotu. Dlaczego jednak jego powrót rozkładał się na taki szmat czasu i dotąd nie znalazł szczęśliwego finału w Europie Środkowej? Dlaczego nie wrócił do miejsca, gdzie tak trudno ugrzęznąć w pokoleniowej rutynie i obrastać w tłuszcz dóbr ruchomych i nieruchomych, w gnuśną nudę przebywania w tych samych co przodkowie miejscowościach, zapładniania kobiet, całowania się w tych samych domach wypełnionych zbieranymi przez pokolenia książkami, portretami i zdjęciami zjazdów rodzinnych?

Rozterki dotyczące powrotu do ojczyzny przygniotły go podwójnym ciężarem na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, gdy Peerel dokonał żywota. Jako emigrant polityczny nie mógł udawać, że te wydarzenia go nie dotyczą. Próbował w nowej sytuacji, z niezłym skutkiem, nienawidzić starego, komunistycznego reżimu jeszcze intensywniej. Jeszcze bardziej bezwzględnie i bezwarunkowo. Sądził, że wszystkie możliwe argumenty zobowiązują go do ostatecznej nienawiści, bez prawa do apelacji, ułaskawienia i choćby przyszłej możliwości wybaczenia. Przy różnych okazjach słuchał opowieści osób, które po załamaniu się komunizmu odwiedziły Polskę, prowadziły tam interesy lub w inny sposób zaczerpnęły wiadomości z kraju. Słuchał i starał się zrozumieć.

Jeden mówił, że cały naród, władza razem z opozycją wywalczyły demokrację i serce mu rośnie, gdy widzi powstające na łózkach polowych zręby przyszłych potęg handlowych. Inny, że wyprowadzeni w pole prostaczkowie usiłują sprzedać z gazet rozłożonych na chodnikach badziewie i szajs, żeby zapłacić zaległe rachunki za prąd, ale zanim doniosą forszę na pocztę, ona traci połowę wartości. Jeden, że pieniądź ma wreszcie realną wartość, inny, że posiada go wyłącznie komunistyczna nomenklatura. Jeden, że świat otwiera się przed Polską, więc Polska też musi otwierać serce, rynek, system bankowy, podatkowy i energetyczny przed światowym kapitałem. Inny, że trzeba popierać polski kapitał, ów, że kapitał nie zna narodowości. Jeden, że peerelowski kosmonauta zszedł z kosmosu komitetu centralnego i szuka grobów swojej rodziny wymordowanej na Kresach. Inny, że cieszy się wprawdzie z upadku dyktatury proletariatu, ale jeszcze bardziej z załamania nieformalnej dyktatury Kościoła, a jeszcze inny, że trwają rządy ajatollahów z nadania sklerotycznego staruszka z Rzymu. Jeden, że ksenofobia, antysemityzm i ciemnota biją w Polsce światowe rekordy, inny, że otwarci Polacy nie boją się klechów i biskupów, są teraz obywatelami świata, pracują w Londynie, odpoczywają w Egipcie, a inwestują w Tokio. Henryk deliberował nad tym w



roztargnieniu i bez jasnej konkluzji.

Jego życie w Kanadzie przed 1989 rokiem i później aż tak bardzo się od siebie nie różniło i może właśnie dlatego tak łatwo myliła mu się Polska dawna i nowa. Ta komunistyczna, którą znał, i ta demokratyczna i niepodległa, o której nie wiedział prawie nic, a jeśli już, to z drugiej, a nawet trzeciej ręki.

Poza tym w mocy pozostawała teza jego autorstwa, że w 1983 roku absolutnie z Polski nie chciał wyjeżdżać i choć został wypchnięty, wyrzucony jak trup za burtę, to jego serce nie przeskoczyło białoczerwonego szlabanu. Jednym słowem stosunki z Polską Henryka Harsynowicza, a zwłaszcza sprawa powrotu do ojczyzny, były nielogicznie skomplikowane i jawnie niejasne.

## Ucieczka

Ucieczka początek lat osiemdziesiątych XX wieku

Na początku lat osiemdziesiątych wypadki potoczyły się tak: na wiosnę 1982 roku, podczas widzenia w więzieniu, w Białoleńce (łąki w snach rzeczywiście były tam zaskakująco białe, pełne niedotykalnego, miłosnego śniegu), jego żona Halina z córeczką Karoliną na rękę zadała mu pytanie.

- Henryk, pomyśl, co nas czeka, jak wyjdiesz? Co będziesz robił? Jak w ogóle będziemy żyć?

Wyglądała jak Troskliwa Madonna, ale w tym, co mówiła, nie było ani krzty dobrej nowiny. W sali widzeń falował ukrop gwaru. Tak gęsty, jak rozwodniony był czas oczekiwania na widzenie. Gwar podrywał się, kipiał, ale spadał poobijany na paździerzowe stoły i popielatą podłogę z PCV. Niezmiennie po wewnętrznej stronie krat. Klawisz dyżurujący w rogu sali szklanym wzrokiem obserwował rodziną, smutnopiknikową celebrację kolejnej historycznej klęski. Skromne toasty wznoszono domowym winem porzeczkowym, przemyconym pod postacią kompotu truskawkowego. Z oczu apolitycznego strażnika nie można było odczytać żadnych emocji, najmniejszych śladów potępienia lub aprobaty. W jego tęczęwkach majaczyło jedynie słabe odbicie tabeli II ligi piłki nożnej i wzniesionego z pustaków jednorodzinnego domu, który ze względu na geopolityczne okoliczności pozostawał w stanie surowym zamkniętym.

Jarzeniowe światło rozrzedzało powietrze o smaku mokrego popiołu i dodawało scenom odwiedzin nieco szpitalnej, ostatecznej atmosfery. Rodziny beznadziejnie wpatrywały się w uwięzionych, szukając w ich oczach i rwanych opowieściach zastrzyku znieczulającej morfiny. Za jej pomocą chciały uciec choćby na godzinę od gorzkiego ciężaru

upokarzającego absurdu, do którego musiały wrócić z przewidywalnej, zasobnej w sens, oazy więzienia. Odwiedzający kłamali heroicznie, żeby wesprzeć więźniów, i sami pochyłali pokornie głowy, łapczywie czekając na zasłużone pocieszenie. Obie strony, obolałymi opuszkami palców, wymacywały na sobie blizny heroicznych kłamstw i pakowały je troskliwie do plastikowych reklamówek razem ze śmieciami i grypsami. Nikogo nie urządzały małe kłamstewka. Więzienie było fabryką snów potężnych, szerokoekranowych, ogarniających spory kawał globu. Ciemnooki Namiestnik, zrośnięty z Głównym Szpionom Czesławem K. jak Marks z Engelsem, rewolucja październikowa z listopadem lub demokracja z socjalizmem, odpływał do odległego, realnego świata. Internowani, rodziny i koniec końców autystyczni klawisze splatali się w sennym, pełnym zapomnienia tańcu, upodabniając się bezbłędnie do Błędnego koła Jacka Malczewskiego. Nawet jeśli nie wszyscy uczestnicy orientowali się szczegółowo w nurcie symbolizmu malarstwa Młodej Polski.

Czasem zapłakało dziecko, któremu piłeczka do pingponga wpadła za kratę przełączki. Musiało rozpaczliwie długo czekać, aż zasapany strażnik, z pedofilskoanielskim uśmiechem na spuchniętych wargach, zwróci jej chińską wolność. Przebudzeni, oderwani od siebie bohaterowie Malczewskiego paplali o błahych sprawach, a nabytą na czarnym rynku kiełbasę, wyprodukowaną przez teściową smalec ze skwarkami, szarlotkę, sernik, papierosy, kawę, zrobione w Hucie Warszawa grzałki, siłę wytrwania, alkohol i miód wymieniali na znaczki i koperty poczty internowanych, listy nazwisk nowych pensjonariuszy i instrukcje lub informacje, o których z góry było wiadomo, że są spóźnione, niezrozumiałe lub bezużyteczne. Żony przekazywały niewielkie sumy, żeby mężczyźni mogli na wypiskę kupić herbatę Madras, wąsami z drutu podpiąć do prądu żyletki, ugotować czaju i przed snem oglądać wiszący tuż nad głowami nieuchwytny łuk bliskiego nieba i poczuć w sobie rozpalony lód gadatliwych gwiazd.

Internowani potrzebni byli Ciemnookiemu Namiestnikowi (znanemu także pod pseudonimami Generał, Wolski lub Hodowca Wron) usiłującemu wyżebrać od Leonida Iljicza Breżniewa jeden z jego czterech tytułów Bohatera Związku Sowieckiego. Potrzebni byli Reaganowi walczącemu z diabłem i Lechowi Wałęsie negocjującemu w Arłamowie z oficerami SB przy dość lichym koniaczku. Byli także niezbędni szumowinom awansującym w powiatach o dwa szczeble za jednym zamachem, szumowinom wojewódzkim przeskakującym ekspresowo po trzy szczeble w aparacie wojewódzkim i szumowinom centralnym robiącym oszałamiające kariery w stolicy, która tamtej zimy ogrzewana była systemem koksowników zorganizowanym perfekcyjnie przez genialne szumowiny, które Moskwa awansowała wysoko i błyskawicznie, aczkolwiek nie do samej Moskwy. Wreszcie,

na koniec, potrzebni byli domniemanym kochankom niektórych z ich własnych żon. Ale potrzebni byli wyłącznie w więziennym zaciszu.

Henryk znajdował się już na wolności, kiedy wspomniany Leonid Iljicz Breżniew, czuły ojciec wszechsłowiańskiej rodziny, porzucił z żalem swoją doktrynę i przeprowadził się do skromnego mauzoleum. Niestety zabrał ze sobą wszystkie tytuły Bohatera ZSRR. Warszawski Ciemnooki Namiestnik był tym antyproletariackim egoizmem niezmiernie zdołowany, więc wieczorami cichutko popłakiwał w poduszkę. Owszem, miał dwa całkiem fajne Ordery Lenina, które przyznawano za wzmacnianie obronności ZSRR. Jeden otrzymał za wizytę przyjaźni w Czechosłowacji w sierpniu 1968 roku, drugi za uratowanie pokoju w Polsce i na świecie 13 grudnia roku pamiętnego. Jednak Ciemnooki (znany gdzieś pod ksywką Premier, Politrak, Ślepowron, Rusek lub Minister Obrony) nie mógł znieść świadomości, że tytuł Bohatera ZSRR miał aktualnie w Polsce Ludowej tylko ten żalony pajac Hermaszewski, objeżdżający z pogadankami za marne honoraria szkoły podstawowe, nawet w największych zadupiach. Zrozpaczony Ciemnooki mazał się w przerwach obrad Sztabu pewnej Agencji Towarzyskiej. Od jego łez rozmakały sztabowe mapy i w rezultacie coraz gorzej widoczny był teatr działań przyszłej, zwycięskiej dla socjalizmu trzeciej wojny światowej. Wojna ta dzięki osobistym staraniom Ciemnookiego miała się odbyć na terenie Polski. On sam panicznie bał się, że szans na najwyższe wyróżnienie pozbawi go trucicielski zamach dokonany przez wroga klasowego. W rezultacie pełny pluton wojska musiał testować jego poranną owsiankę, zanim roztrzęsiony strateg odważył się wyskrobać z garnka bezpieczne resztki. Żołnierski honor nie pozwalał jednak Ciemnookiemu zrezygnować z walki o zaszczytny tytuł. Prawdopodobnie w tym celu do Andropowa, troskliwego ojca wszystkich proletariuszy, wysyłał regularnie, jako swoje, ręcznie przepisane wiersze polskich poetek i poetów. Korzystał, rzecz jasna, z obfitego zasobu wierszy nieco starszych, bardziej postępowych, wyzwolonych z martwej, reakcyjnokatolickiej tradycji, pisanych na ogół przez wspaniałą plejadę naszych wieszczów stylem Majakowskiego. Jednak i ten przebiegły ruch nie przyniósł upragnionego rezultatu. Poczciwe biedaczysko, Jurij Władimirowicz, sam nie miał tytułu Bohatera ZSRR, a ponadto, czego Główny Szpion Czesław K. nie uwzględnił w swoim niechlujnym raporcie, sowiecki gensek miał całkiem odmienny gust estetyczny. Od dawna wszyscy miłośnicy literatury wiedzieli, z wyjątkiem nierozgarniętych oficerów wywiadu PRL, że awansowany na szczyt szczytów szef KGB jest poetą dyskretnym, stonowanym, hołdującym stylowi klasycznemu. W samotne podmoskownyje wieczera pisał na Kremlu równą cyrylicą nieskazitelnie powściągliwe sonety, głównie na tematy przyrodnicze i moralne. W takiej sytuacji nie można się było dziwić, że spontanicznie gardził

poetami, by tak rzec, nowoczesnymi typu Ciemnookiego (znanego również pod pseudonimami Generał, Order Lenina lub, w niektórych bardziej świadomych zagrożeniach elitarnych środowiskach, Tolerancja Stalina).

Z niezrozumiałych powodów widzenie w zakładzie karnym trwało w nieskończoność. Nad białolecką łąką, jak wieniec weselny, wisiał domowy zapach zup wydobywający się smakowitymi falami z otwartych słoików. Sufit i jarzeniowe lampy oblepiały obficie obżarte, tłuste muchy: mucha domowa (*Musca domestica*), zgniółwka pokojowa (*Fannia canicularis*) i bolimuszka kleparka (*Stomoxys calcitrans*). Rosnący budżet Ministerstwa Spraw Wewnętrznych miał niewątpliwie dobroczynny wpływ na dobrobyt i życie wewnętrzne tych ciekawych owadów. Dzięki otwartym i liberalnym poglądom kierownictwa (unikano wtedy określenia „lewicowe”) muchy korzystały w więzieniach z niemal nieograniczonej wolności i prawie oficjalnie podjadały kapuśniak, pomidorową, grzybową z łazankami, flaki, żurek z jajkiem, barszcz ukraiński z fasolką jaś i, dzięki wsparciu Solidarności Wiejskiej, drobiowey lub wołowy rosół z domowym makaronem.

Halina przywiozła czysty czerwony barszcz ugotowany na wywarze z grzybów. Znając gust męża, starała się dodać swoim pytaniom odrobinę umiarkowanego dramatyzmu. Henryk tymczasem wprowadzał się w stan radosnopłaczliwego wzruszenia, bawiąc się z córeczką w warzyła srocza kaszkę, warzyła, ogonek sobie sparzyła. Głos miał jeszcze ochrypli. Zdarł go podczas obchodów kolejnej miesięcznicy wprowadzenia stanu wojennego. Siedzący obok Adam Gil wyręczył Henryka i opowiedział ostatnie wydarzenia.

- Mówię wam, o północy więzień aż się, kurde, trząsał od śpiewu. Ja przepraszam. Prawie dwustu chłopca. Zaczeli my od Pieśni konfederatów barskich.

Nigdy z królami nie będziem w aliansach, Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi, Bo u Chrystusa my na ordynansach, Słudzy Maryi!

Więc choć się spęka świat i zadrzy słońce, Chociaż się chmury i morza nasrożą;

Choćby na smokach wojska latające, Nas nie zatrwożą.

Więc nie wpadniemy w żadną wilczą jamę, Nie uklękniemy przed mocarzy władzą,  
Wiedząc, że nawet grobowce nas same

Bogu oddadzą.

Ze skowronkami wstaliśmy do pracy

I spać pójdziemy o wieczornej zorzy, Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy

I hufiec Boży.

Bo kto zaufał Chrystusowi Panu

I szedł na święte kraju werbowanie;

Ten de profundis z ciemnego kurhanu

Na trąbę wstanie.

Bóg jest ucieczką i obroną naszą!

Póki On z nami, całe piekła pękają!

Ani ogniste smoki nas ustraszą, Ani ulęką.

Nie złamie nas głód i żaden frasunek, Ani zhołdują żadne światła hołdy:

Bo na Chrystusa my poszli werbunek:

Na Jego żołydy.

Potem Pierwsza Brygada, Mury Kaczmareckiego i Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród. Najpotężniej my ryczeli aż się rozpadnie w proch i pył sowiecka zawierucha. W Erefenie mogliby się ucieszyć, że my zmienili niemiecka na sowiecka, ale coś czuję, że w Enerde raczej by się, kurde, zmartwili. No ale nie słyszeli, ich strata. Zaraz na początku klawisze zrobili alarm. Przez głośniki gnoje straszili, że jak nie będzie ciszy i spokoju, to odbiorą nam korespondencję, wypiski, spacer, wyjścia do świetlicy, widzenia, przeniesą do innych cel, wsadzą do karceru i wywieżą do innych więzień. Na koniec do puli dołożyli prokuraturę, że niby oskarżać nas będą w sądzie. Nie mogli wymyślić na poczekaniu czegoś lepszego niż wyrok trzech lat odsiadki za to, że my niby zrobili bunt w Ośrodku Odosobnienia. Ale zapomnieli, francowate pacholki, że my już są w więzieniu, bez wyroku i bez terminu, to jak my się mieli bać, że nas wsadzą? No i w dodatku to nie był bunt, tylko akademka. A jeszcze Witek z Bodkiem, co wykombinowali te obchody, napisali w grypsie, że jeśli ludzie, co są w jednym miejscu, nie umią zaśpiewać razem paru piosenek, to się oznacza, że ich naród wykitował. To my wskrzesili naród i nikt nie pękał. Nawet jak klawisze sprowadzili do więzienia atandę do tłumienia buntów. Pałkarze szli korytarzem, tupali buciorami i walili w drzwi cel długimi pałami. Pyski mieli zamknięte. Bo nie mieli, złamasy kutane, nic do powiedzenia, no i nie znali słów naszych piosenek. Co, mieli śpiewać Międzynarodówkę? Wyklęty powstań, ludu ziemi, powstańcie, których dręczy głód? Albo Przed ciosem niechaj tyran drży? Trochę słabo im to pasowało. Najwyżej mogło się im spodobać: I z własnej woli sam się zbaw! Że niby Boga nie ma. Ale dalej? Znowu by leciało od dupy strony. No to tylko tłukli się, tupali, ale my ich zagłuszali. Krzyczeli my „gestapo, gestapo”, walili michami, że uszy pękały. I potem koniec już był, bo słów tych piosenek za mało się zna, co nie, Heniek?

Henryk zgodził się, a przestraszona Halina położyła mężowi dłoń na głowie, przeczesała palcami włosy i przyciągnęła jego twarz do swojej. Bliżej niż na odległość krótkiego oddechu.

- Niedługo wyjdiesz, wszyscy wyjdziecie. I co wtedy? My razem damy sobie radę,

ale dlaczego naszą biedną małą mamy skazywać na psi los?

Mówiła szeptem. Zwilżyła wargi, powoli przeciągając po nich językiem. Patrzyła mu w oczy.

- O co ci...? Nawet o tym nie myśl, kobieto!

Henryk cofnął się i odsunął słoik z resztką barszczu, mimo że był niewiarygodnie, wolnościowo pyszny, a Halina usiłowała przytrzymać jego głowę i pocałować go w usta.

Widzenie dobiegało końca. Gwar puchł. Zaduch tężał. Spasione do mdłości muchy zasypiały na posterunkach. Zachodzące słońce niebezpiecznie zapalało czerwony kurz na kratkach i brudnych szybach. Zdania były coraz krótsze, gubiły orzeczenia i podmioty, a w ich miejsce wciskały się przekleństwa. Obie strony pragnęły, żeby kurtyna już opadła. Po szarej olejnej lamperii ściekała skroplona wilgoć. Krople zatrzymywały się, zbierały siły i po chwili brnęły dalej aż do popielatej spągi z linoleum. Słońce zmieniało kolor na ciemniejszy, podobny do niedopitego barszczu. Napelniało się słodszy, bardziej gęstym smakiem ognia, seksu i snu. Puste korytarze więzienia lśniły w ciszy. Czekały wiernie na swoją intymną, nocną kolej.

- Chcesz, żebym siedział w pierdlu z opinią tchórza? Daj spokój, żonko. Wystarczy, że bezpieka uprzykrza mi życie.

Halina odsunęła się. Nastrój, który usiłowała zbudować, nie przekroczył jej skóry. Ona liczyła na amnestię dla swoich nielegalnych marzeń, zagłuszanych intensywnie przez lęk jak Wolna Europa przez liberałów z Biura Politycznego. Twardogłowy mąż krótkowzrocznie odmówił dialogu społecznego i tym samym nierozsądnie zepchnął ją do radykalnego podziemia.

Dobrze wiedziała, o czym mówi jej mąż. Teść, Józef Harsynowicz, opowiedział jej, jak zakończyła się próba wyciągnięcia syna z internowania i sprowadzenia do domu, nie, broń Boże, wypchnięcia na emigrację. W trakcie rozmowy Henryka z wysokim oficerem, który specjalnie przyjechał do Białołęki, doszło do awantury. Internowany, upokorzony wstawiennictwem ojca i treścią propozycji, skoczył na niego z pięściami, a odepchnięty przez zaskoczonego, dystyngowanego mężczyznę, usiłował rzucić weń krzesłem. Krzesło na szczęście było mocno przyśrubowane do podłogi. Krzyczał przy tym rzeczy, które, jak zaznaczył ów oficer, mogły wystarczyć do posadzenia Henryka na co najmniej trzy lata. Z zawieszeniem lub bez. To by zależało od potrzeb scenariusza operacyjnego.

- Co za głupek z twojego męża. Nie będę ci opowiadał, Halinko, ile mnie kosztowało, nie licząc butelki najdroższego koniaku, żeby pułkownika udobruchać.

W tym, co powiedział teść, więcej było próżnej chęci imponowania synowej niż

utyskiwania na kłopotliwego syna. Henryk w ogóle go nie zaskoczył amatorską organizacją więzienną awantury. Halina z satysfakcją zauważyła starania teścia, ale Józef Harsynowicz nie posunął się dalej. Nie próbował flirtować ze słomianą wdową. Halina była trochę rozczarowana, bo teść zawsze robił na niej dwuznaczne wrażenie. Po paru miesiącach samotności nawet odrobina męskodamskiej atmosfery poprawiłaby jej nastrój. Pożegnała się szybko, muskając ustami policzek teścia.

Ponownie próbowała rozmawiać z mężem na temat emigracji jesienią 1982 roku, wkrótce po zwolnieniu Henryka z Białołęki. Henryk okopał się w domu. Milczał, dzierżąc w ręku atrapę granatu, która służyła mu za przycisk do papieru. Jako etatowy pracownik Solidarności, obecnie nielegalnego związku zawodowego, dostawał legalnym przekazem pocztowym legalną pensję, w ramach nielegalnych działań władz. Za pensję uwolniony Henryk kupował u Haliny krótkoterminową, półlegalną wolność i korzystał z niej, zamykając się w swoim pokoju, łudząco podobnym do więzienia, rozdrażniony, bez powodu skłonny do gwałtownej agresji i całkowitej utraty wolności. W sklepach zresztą i tak nic nie można było kupić, a Henryk nienawidził kolejek, kartek na mięso, buty i cukier i ekspedientek, które świetnie prosperowały w byle jak skleconym nieszczelnym piekle, w którym tylko upokorzenie drugiej świeżości oferowane było poza systemem kartkowym. Żył zamknięty w karczerze, w którym nie było ani zegara, ani jutra. Kręcił się wokół własnej osi, coraz szybciej i szybciej. Zawroty głowy powodowały, że nie był w stanie znaleźć właściwego miejsca, w którym mógłby się zatrzymać i zastanowić, co ma dalej począć. Likwidator zdelegalizowanego, a zdaniem najwyższych władz partyjnych i państwowych całkowicie nieistniejącego, NSZZ „Solidarność” zwolnił go z pracy w wyżej wymienionym związku z powodu niestawiania się w pracy. Władze nie były w stanie wskazać mu miejsca wykonywania pracy, ponieważ je wcześniej zlikwidowały, więc Henryk faktycznie nie pojawiał się w miejscu pracy, które zdaniem władz generalnie nie istniało z mocy prawa stanu wojennego, które to prawo było niekonstytucyjne, a więc nie istniało. Mimo to istniejąca nielegalnie podziemna Solidarność nie zamierzała Henryka zwalniać. Nie mogła jednak wprowadzić swojego braku chęci w życie, bo była poszukiwana przez organy i gdyby się ujawniła, by legalnie przedłużyć z Henrykiem umowę o pracę, zostałaby natychmiast aresztowana, sprawiedliwie osądzona i osadzona w Białołęce z wysokim wyrokiem na karku lub wywieziona za granicę bez prawa powrotu. Sprawa była przegrana. Z piedestału internowanego Henryk spadł w szambo zabiegania o przetrwanie.

Z racji nudów i nieudolnie ukrywanego pragnienia prześlizgnięcia się do podręczników historii dla klas czwartych szkół średnich ogólnokształcących i techników,

próbował nawiązać kontakt ze znajomymi z Regionu Mazowsze. Jedni, szczęśliwcy, jeszcze siedzieli w obozach i więzieniach, drudzy udawali, że nie istnieją, więc tak czy inaczej nie mógł nikogo odnaleźć. Byli i tacy, których wyłuskał z tłumu, ale ci na ogół wymawiali się od spotkania pod byle pretekstem. Wyglądało to tak, jakby Henryk brzydko pachniał. Lęk o prawdziwą przyczynę zachowania działacza męczył go bardziej niż nieróbstwo i sflaczały czas. Zmarnowane godziny gniły mu w żyłach.

Halina wyczuwała, że coś złego dzieje się w pęczniejącej głowie Henryka. Była zmęczona. Nie miała siły kusić, uwodzić, grać, by zdobyć poparcie męża. Zaczęła się więc nieustannie skarżyć, naciskać, żalić, nudzić, nękać, jocyzyć, psioczyć, kwękać, utyskiwać, popłakiwać, labidzić, gderać, sarkać, pojękiwać, szemrać, wyrzekać, stękać, biadolić, chlipać i zawodzić. Nieustająco mówiła o wyjeździe. Nigdy nie użyła słowa „emigracja”. Gdy wracała do domu, zmiażdżona nieuchwytnym, drwiącym oporem miasta, rozdrażniona własną bezbronną bezsiłą, siadała tak, żeby ją widział, i cicho płakała. Henryk trwał w biernym oporze za pomocą wpiętego w sweter opornika. Najpierw trwał heroicznie, straceńczo i z patosem, mając za plecami Okopy Świętej Trójcy i telewizor.

- Tu w sklepach jest tylko ocet i zielony groszek marki Pudliszki. A tam, w pełnym sklepie, kim będziesz, Halinko? Bo kim ja będę, dobrze wiem. Nikim. Pogardzanym lub, w najlepszym wypadku, od niechcienia wyśmiewanym nikim. Rozpuszczonym w ciepłej wodce bohaterem chwilowej litości. Obsikiwanym przez psy pomnikiem szlachetnego współczucia, udzielanego mi przez posiwiiałych lewaków i niezbyt zamożne stare panny, których nikt nigdy nie chciał przelecieć. Ja też nie chcę. Mogę tam być tylko odpadkiem nienadającym się do recydingu. Gnijącą gwiazdą wysypisk.

Potem działał jak w czeskim ruchu oporu. Chrząkał ironicznie, uśmiechał się prześmiewczo, nieoficjalnie, z ukrycia.

Jednak brakowało mu twardego punktu zaczepienia, tajemnicy, spisku, sprzysiężenia lub wzoru bomby wodorowej, który mógłby mu pomóc w społecznym wywyższeniu, a przede wszystkim w utrzymaniu strategicznej przewagi nad Haliną. Wieczorami kusząca wydawała się perspektywa męczeństwa. Nocą oplątywały go zapalniki marzeń o partyzantce miejskiej. W głębi zapętlonej jaźni oczekiwał jednak, by sprawy ułożyły się same, bez negocjacji, udziału we władzy czy opozycji, zgnięgo czy bezkompromisowego kompromisu. Marzył, żeby wyjazd okazał się niemożliwy. Sama, nawet z ducha konstruktywna i uwzględniająca realia geopolityczne, dyskusja na temat emigracji powinna być niemożliwa. Chciał być dla Haliny niedostępnym Bogiem, do którego przychodziłaby się modlić, błagać i składać hojne dary, by zapomniał, że kiedyś wspominała, przez pomyłkę, o wyjeździe z Polski. Na koniec



musiałaby zrobić absolutnie elegancki striptiz.

Na codzienny, praktyczny opór nie znajdował jednak wystarczającej siły. Zaczął ćwiczyć pompki i jednocześnie poszukiwał zajęcia, którego by się nie wstydził, albo, jak lubił deklarować, jakiegokolwiek przyzwoitej pracy. Nic nie znalazł i ten fakt na krótko poprawił mu samopoczucie. Prześladowają mnie, pieprzone komuchy, myślał. Pracy jednak nie szukał. W paru przypadkowych rozmowach zagadnął znajomych, czy nie słyszeli o czymś ciekawym, jakimś wolnym miejscu. Jak pytał, tak mu odpowiadano.

W rezultacie rodzinę utrzymywał jego ojciec, a on chudł, bo demonstracyjnie na obiad jadał tylko zupy, chyba że było tylko jedno danie. Henryk na własne potrzeby nie wydawał pieniędzy, więc nie odczuwał ich braku. Nie palił, nie pił, kupował miesięczny bilet na komunikację miejską, wychodził z domu i jeździł tramwajami. Skonany jestem, jęczał wieczorem. Czynniki, prąd, gaz, żywność i tak dalej, na wszystko znajdowały się pieniądze. Nie pytał, ile Halina dostaje od starego. Ubranka i odżywki dla Karoliny Halina przynosiła z Prymasowskiego Komitetu Pomocy. Henryk nie zaszedł tam ani razu. Zdechnę, a nie pójdę, obiecywał sobie.

Halina tymczasem osaczała go, wzmacniała nacisk.

- Skoro tutaj jesteśmy żebrakami, to wyjedźmy. Czy gdzieś może być gorzej?

Henryk oficjalnie nie skapitulował, ale wypuścił z dłoni miecz i pastorał. Brzydził się myślą, że żona, jeśli tak zdecyduje, wywiezie go za granicę, ale przyzwyczajał się do niej, w głąboko strzeżonej przed samym sobą tajemnicy. Ćwiczył się w pogardzie dla siebie wywożonego za granicę jak toból z brudnymi gaciami. Wprawdzie będzie pogrążony w smutku, cierpiący ponad miarę, ale, na Boga, porzuci odzyskaną ojczyznę. To fakt, był ofiarą cynicznej geopolityki, nadgorliwych zdrajców, sowieckiej imperialnej buty, nihilistów ze Służby Bezpieczeństwa, ojca, barbarzyństwa, ludzkiej małości.

Halina sprawdziła stan jego duchowego konta którymś ze swoich kobiecych zmysłów, dotąd niezbadanych przez medycynę. Dała mu papiery do podpisania, spakowała walizkę i wsadziła do taksówki jadącej na Okęcie.

Rzecz miała miejsce kilka dni po nawiązaniu przez Henryka kontaktów z podziemiem. Nagle stał się częścią małej, radykalnej inicjatywy. Struna się napięła i zadźwięczała czysto. Pojawiły się pieniądze, częściowo z działalności wydawniczej, częściowo z pomocy płynącej od amerykańskich związków zawodowych AFLCIO i trockistów francuskich. Wczepił się w rewolucję z dziecięcym entuzjazmem, zachłysnął się konspiracją i ostrą, bezkompromisową atmosferą grupki dużo młodszych od niego wariatów, których główną cechą było patologiczne zaburzenie oceny ryzyka. A jednak metaliczna, obezwładniająca cisza połknęła

gładko jego serce i sprawy poszły trybem ustalonym przez Halinę.

Henryk patrzył przez okno samolotu na odpływające poszatkiwane ulicami kwartały osiedli i pasy szarych drzew mętniejące za rzadkimi obłokami. Wisła stała na mrozie nieporuszona, miejscami zamrożona, białoniebieska. Gdzieś żywa, bura woda, o odcieniu zaatakowanego przez rdzę żelaza, przeciskała się przez rozdętą aortę Mazowsza. Henryk wpijał się wzrokiem w krajobraz tracący szybko kolory i szczegóły. Chciał je rozdrapać? Do krwi? Pożegnać - przepełniony uniesieniem przeprosin i domniemanego przebaczenia?

Wpatrywał się w krzątanicę niewidocznych ludzi. Wydawało mu się, że został wśród nich, że razem śpią, jedzą, piją kawę, kochają się, szukają okularów, kłócą. Chciał się ukryć między ich zwykłymi sprawami. Wyteżał wzrok, aż rozboleły go oczy. Zamknął je dopiero, gdy rzekę i miasto przykryła zimna piana białych chmur.

## **Emigracja**

Emigracja lata osiemdziesiąte XX wieku i później

W Kanadzie nie zmienił swojej strategii wobec Haliny i wobec siebie. Halina, szczęśliwa, ale przygnieciona decyzją, którą sama musiała dźwigać, marzyła o wytchnieniu i pragnęła za wszelką cenę ten obcy kraj zwalić na głowę męża, upchnąć mu go w kieszeniach lub za pazuchą. On jednak stał sztywno z opuszczonymi rękami, dziurawymi kieszeniami i nadal oczekiwał współczucia. Domagał się go w ilościach eksportowych, większych niż w warunkach krajowych. Nie zamierzał zrezygnować z roli zepchniętej w przepaść ofiary, którą zmusza do życia fanatyczna organizacja jego żony i córki. Od pierwszego dnia pobytu w Kanadzie pragnął być wyłącznie prześladowanym uchodźcą, któremu nie udało się uciec zbyt daleko, który cierpi i zginie lada dzień w niewyjaśnionych okolicznościach. Opuszczony i torturowany jak Rambo w Wietnamie. Ale mimo wszystko wolny, do końca, aż po sprawiedliwy sąd i wieczną nagrodę czekającą w zaświatach na sprawiedliwych.

Wtedy musiał na to wpaść. Znalazł wyjście. Uciekł w stan nieustającego powrotu. Czy powrót, który stał się stałym stanem jego ducha, miał imitować spokój przebywania we właściwym miejscu na ziemi, w domowych pieleszach, lub wprawiać w podniecenie obecnością na patriotycznym froncie? Nie można przecież wykluczyć, że po jakimś czasie zakłócała jego czysty stan i pchała do rozmyślań o powrocie tłąca się podskórną, obrzydliwie pospolita nostalgia. Czy tylko z jej powodu żył w Kanadzie z dnia na dzień, jakby przyjechał na parodniową wycieczkę, żeby wymienić krem Nivea na dzinsy, bursztyny na wideo, a kryształ na dolary?

Na podstawie obserwacji jego nieskomplikowanego życia nie sposób precyzyjnie odpowiedzieć, co pchało go tak natrętnie, a przy tym w taki rozlazły, mdły sposób do powrotu. Chociaż uczciwiej będzie powiedzieć: do żalosnych, oszukańczych, skleconych byle jak planów powrotu. Do jawnie kłamliwych przyrzeczeń, że jutro od rana zacznie konsekwentnie realizować żelazny plan wyjazdu.

Zresztą może wydać się komuś zabawny, choć równocześnie żenujący, fakt, że Henryk myślał o powrocie do Polski od absurdalnej, nierzeczywistej chwili, gdy w Warszawie, na początku 1983 roku, wsiadał do samolotu z żoną i córką, mając w kieszeni paszport w jedną stronę. Nie myślał wtedy: wrócę natychmiast, gdy szczerze komunizm. Po prostu wyobrażał sobie, że już wraca, że to podróż w odwrotnym kierunku. Unieważniał z góry wszystko, co się miało wydarzyć w jego życiu i w życiu innych ludzi przez nie wiedzieć jaki czas. Przez tę niebyłą część życia, której nie chciał przeżyć.

Chociaż trzeba przyznać, że to groteskowe oszustwo zaczęło swój żywot jeszcze wcześniej. Pierwsze myśli o powrocie do Polski przyszły Henrykowi do głowy już wtedy, gdy dziobaty i przedwcześnie wyłysiały funkcjonariusz peerelowskiej Służby Bezpieczeństwa wręczył mu dokumenty i w imieniu najwyższych władz partyjnych i państwowych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, nieszczędzących wysiłków, by zabezpieczyć leninowską rację stanu i rekordową produkcję kwasu siarkowego, wyrecytował uroczystą formułę: a teraz wypierdalać!

Komunikat wypowiedziany był wprawdzie tonem egzystencjalnie obojętnym, lecz jednocześnie solidnie, z technicznym chłodem, bez niejasnych ozdobników w brzmieniu i dwuznacznych kontekstów w treści. Bez ujawniania zbędnych emocji, typowych dla pobożnych maturzystek z mniejszych ośrodków pozbawionych przemysłu ciężkiego. Bez ornamentu sentymentalnych półnutek i zajeżdżającego szowinistycznym smrodkiem patriotycznego patosu. Za to z racjonalnym profesjonalizmem państwowca, wyrozumiałą cierpliwością urzędnika wierzącego w niewzruszony fundament prawa i misję państwowych instytucji. Z sumiennością obywatela, przedkładającego lojalność wobec światowej rodziny socjalistycznych państw nad lekkomyślny egoizm i pozbawiony perspektyw nacjonalistyczny partykularyzm. Henryk niespodziewanie, w tym właśnie kulminacyjnym, newralgicznym momencie stosunków władzaobywatel, poczuł wstyd. Chyba bez związku z urzędowym wystąpieniem oficera Wydziału I Departamentu IX Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL. Poczul czczy, słony wstyd przed samym sobą i łomot nieskończonej samotności w suchym sercu.

Wydawało mu się zresztą, że jakieś pulsujące, bezbronne serce leży na biurku między

nim a funkcjonariuszem, tak zmęczonym obroną polskiej drogi do socjalizmu, jakby to była niepodległość NRD. W leżącym na biurku organie rozpoznawał swoje serce wyrwane mu przez żonę, polski los i ojca. Gdy przyjrzał się uważniej, dostrzegł, że było to również serce wielu innych patriotów, syberyjskich rutyniarzy i bywalców ciężkich więzień. Zastanawiał się przez chwilę, jak to jest możliwe, że dzieli serce z umarłymi. Przebywając w jednym z niezliczonych pokoi Pałacu Mostowskich, był przekonany, że paradoksalnie urzeczywistnia swoją samotność, dzięki wspólnemu sercu, z wszystkimi bezbronnymi męczennikami. Gdy wychodził z Biura Paszportowego Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej, wydało mu się, że długa, wielogłowa gąsienica oczekująca w kolejce po paszport powiewa dziesiątkami bielszych niż śnieg chustek do nosa.

Podczas spotkania Henryka z oficerem ich oczy nie spotkały się nawet na skrawek sekundy, wyrzucony do kosza razem z torebką po kanapce i podartym doniesieniem kapusiaidioty.

Henryk z innych powodów nie patrzył w oczy Kazimierza W. Patrzył nieco wyżej, na nierówną łysinę ubranego w nieświeży garnitur mężczyzny, ale nie widział nic. Zmysły miał wyłączone. Myślał intensywnie o swoim przyszłym życiu. Zaczął planować powrót.

## **Powrót do ojczyzny**

Powrót do ojczyzny

25-26 września

Surowe, pocięte jeszcze nocnymi przymrozkami przedwiośnie, pociągnięte cierpkim lukrem młodego słońca, przesuwano się nad północną częścią Ameryki, gdy Henryk Harsynowicz, urodzony, jak sądził, w 1949 roku w Warszawie, syn, jak sądził, Józefa Harsynowicza i Tamary z domu Nosenko, wszedł do Konsulatu RP w Toronto. Solidna willa i rozłożone za jej plecami jezioro emanowały atmosferą rzeczowej fachowości i stojącego za nimi sprawnego państwa. Nie zaszedł tam pierwszy raz. Żeby sobie udowodnić szczerą intencję powrotu do Polski, a i zapewne poprawić sobie niezmiennie melancholijny nastrój, odwiedzał był konsulat już wiele razy.

Zastępca konsula, który zazwyczaj przyjmował interesantów, połowę życia był dziennikarzyną w koncernie prasowym należącym do Komitetu Centralnego partii komunistycznej. Przynależność do klanu czwartej władzy, która w tym wypadku była niewielką częścią pierwszej, spowodowała, że głowę nosił bardzo wysoko i musiał chodzić na wycucie. Jego ryzykowne życie zmieniły odkryte niespodziewanie zdolności dyplomatyczne.

Henryk stanął w drzwiach i poruszył bezgłośnie ustami, mówiąc „dzień dobry” wyłącznie do siebie i swojej miłości własnej. Trochę spode łba, starając się nie rozglądać zbyt ostentacyjnie, szacował właśnie okiem stan ludnościowy poczekalni, gdy niespodziewanie na horyzoncie pojawiła się mucha.

Zjawiała się bez zapowiedzi, znienacka, znikąd. Była agresywna, udekorowana przez ekologów licznymi medalami, pewna siebie i napchana bezczelnością jak psim gównem. Jej operacja przeprowadzona błyskawicznie i profesjonalnie, niczym wprowadzenie stanu wojennego gdzieś we wschodniej Europie, prawdopodobnie z powodu zamieszek etnicznych, antysemityzmu czy dla ratowania zagrożonej gospodarki, wprowadziła Henryka w stan paniki. W mgnieniu oka rozdmuchała tłący się w nim od dzieciństwa ogień nienawiści do wszystkich owadów: much, komarów, kołatków, korników, kleszczy, karaczanów, karaluchów, pcheł, pluskiew, spuszczeli, ślepców, meszek, os, szerszeni i całego latającego plugastwa. Podstępna agresorka nie wypowiedziała wojny. Była ogromna, czarno-złoto-zielonkawa, gnojowa, jak mówią fachowcy. Warkocąc niczym helikopter, zbliżyła się w ułamku sekundy i zawadziła o niego, a właściwie walnęła z rozmachem oślizgłym, ciężkim skrzydłem. Poruszała się szybko. Oddalając się, w ciągu sekundy zmalała do mikroskopijnych rozmiarów i zniknęła z pola widzenia. Nastąpił wyczekiwany przez społeczeństwa pokój i rozbrownienie, w myśl idei better red than dead. Pokój trwał kilka sekund, bowiem za rogiem mucha musiała zawrócić. Słyszał narastający ryk jej silników, łopot skrzydeł, szept sterów i jęk rozcinanego bezlitośnie powietrza. Szarżowała prosto na niego. Już po pierwszym ataku był sparaliżowany z wściekłości. Teraz pycha białego człowieka spowodowała, że błyskawicznie, acz dyskretnie, machnął ręką, usiłując ją złapać. Ojciec nauczył go w dzieciństwie łapać muchy w lekko zwiniętą dłoń i zabijać energicznym rzutem o podłogę. Chwycić w garść helikopter, a potem cisnąć nim z całej siły o podłogę, słyszeć trzask pękającego żelastwa, wybuch zbiorników z paliwem, poczuć w rozchyłonych nozdrzach swąd płonącej benzyny, gumy i plastiku. Zatrzymać w pamięci wrzask przerażonych widzów przysłoniętych kłębami czarnego dymu. Zakręciło mu się w głowie. Zaatakował o ułamek sekundy za wcześnie i usłyszał znowu ohydne, przypominające nagłe wybicie ze snu, rżenie jej skrzydeł. A potem kosmate, obrzydliwe, brutalne uderzenie w twarz. Jakże nienawidził insektów chodzących po padlinie, pijących szczynę, oblepionych milionami bakterii i wirusów. Skulił się ze wstrętu, szybko wybiegł z konsulatu i biegł jeszcze kilkaset metrów. Na więcej nie miał siły.

\*

I tak chodząc do konsulatu i biur podróży, rozmyślając na temat różnych wariantów

powrotu, ich ukrytych zalet i rzucających się w oczy wad, Henryk rozgaszcział się i zadomawiał w podróży. Uważał ją za rozpoczętą, w trudny, ale interesujący sposób. Raz czy dwa posiedział z książką na lotnisku i tam udzielała mu się atmosfera ekscytującego pośpiechu, mającego coś z hazardu i wczesnej fazy trzęsienia ziemi. Budząc się w nocy, wyęczał słuch, by w huczącej ciszy usłyszeć zapowiedź odwołania lotu. Idąc do łazienki, szukał właściwej, a ukrytej przed nim złośliwie bramy nr 90, prowadzącej do odprawy paszportowej. Ten nowy styl życia ani trochę go nie uspokajał, raczej wysysał siły, eksportował wewnątrz, spekulował deficytową przyszłością, nadawał się więc jako tako do podtrzymania egzystencji pod przykrywką emigranta. Zadomowienie przeczyło jednak istocie podróży. Umykał sens i cel zbliżania się do domu. Na tym etapie życia powinien już co najmniej unosić się nad Polską i szukać zeszłorocznego gniazda, a nie mieszkać na lotnisku, nadawać bagaż, flirtować ze stewardesą lub pić kawę z ohydneho papierowego kubka. Podróż powinna być bardziej intymna, podobna do wyznania długo skrywanego uczucia lub wstydlivej winy. Mimo tych wątpliwości kołysał się, dość wygodnie, zawieszony nad swoim światem w przestrzeni i czasie. Nie widząc w tym sprzeczności, uznawał tolerancyjnie podróż za rodzaj bezdomności, a tym samym za dobry sposób, by zacząć się rozklejać, tęsknić na nowo za czymś, co mógłby nazwać domem.

Tak książka po książce, niedziela po niedzieli Henryk dotarł do dnia, w którym zmieniło się niewiele, pociągając za sobą zmianę wszystkiego. Do samowystarczalnego świata naszego bohatera, przez zasieki rutyny jak przez wizg zagłuszonek, przedostała się wiadomość, że jest zaproszony do Polski i może, a nawet powinien, wyjechać z Kanady jak najprędzej. Chodziło o sprawy, do których nie miał jednoznacznego stosunku. Szalę przechylił fakt, że na przyjazd należał jeden ze znanych warszawskich adwokatów. Konstrukcja kanadyjskiej egzystencji była poważnie zagrożona. Henryk nie mógł nadal poświęcać energii i czasu na planowanie wyjazdu, walczyć z przeciwnościami losu i ulegać boleśnie ich przemożnej sile. Przystawał więc tym samym panować nad skromnymi składnikami swojego życia. Niespodziewany, zorganizowany i, co ważniejsze, opłacony wyjazd wytrącił go z równowagi.

Zaproszenie do Polski i całe zamieszanie zorganizowała warszawska kancelaria Ksawerego de Vernona. Uprzejmie i elegancko uzgodniła, a właściwie narzuciła, termin podróży, wykupiła bilet business class i zarezerwowała w Warszawie hotel. Porozumiała się również w tej sprawie z polską ambasadą i konsulatem w Toronto. W ten sposób pozbawiła Henryka uprawnień reżysera i możliwości gry na zwłokę. Wykonywała ostatnią wolę ojca Henryka, Józefa Harsynowicza, który zmarł był parę tygodni wcześniej i, jak wynikało z

ogólnej informacji, zapisał majątek jednemu synowi. Henryk przed wyjazdem z Polski, a tym bardziej po nim, nie utrzymywał z ojcem żadnych kontaktów. Na pogrzebie ojca nie był. Wydarzenia związane ze spadkiem odbywały się więc bez inicjatywy Henryka, a nawet z przyjemnym uczuciem oporu z jego strony. Musiał jedynie, wspomagany przez kancelarię, załatwić drobne formalności, właściwie złożyć parę podpisów, siadać na koń i, niczym chan tatarski lub generał Tuchaczewski, ruszać zwycięsko do Europy.

\*

W konsulacie na Lake Shore Blvd panowała cisza. Henryk był umówiony z konsulem poza godzinami urzędowania przez nadzwyczaj skuteczną warszawską kancelarię. Konsul, czy też jego zastępca, był niskim mężczyzną, rocznik mniej więcej 1950. Może trochę starszy, tylko dobrze się trzymał? Był zawodowym dyplomata, jak zwykle się mówi o ludziach, którzy pracowali w Ministerstwie Spraw Zagranicznych PRL od początku lat osiemdziesiątych. Twarz konsula była nieco nalana, okolona szpakowatą szczecinią zarostu i otulona wodą kolońską Kenzo. Lekkie opuchnięcie mogło być spowodowane niedostatkami snu albo spożyciem wczorajszego wieczoru paru kieliszków ponad limit, wyznaczony przez protokół i wątrobę. Jego oczy, o małych tęczęwkach nieokreślonego koloru, osadzone były głęboko, jakby ktoś siłą wepchnął je w głąb czaszki. Usta dyplomata miał wąskie, zaciśnięte w odruchu zniecierpliwienia, znudzenia albo poczucia wyższości. Mówił, ledwie poruszając bladymi kreskami warg. Zęby twardo ocierały się o siebie. Stłamszony język nie mógł się przez nie przedostać. Mężczyzna wpatrywał się w zawartość celuloidowej teczki.

- Taa... pan Harssykowicz? Kiedy pan wyjechałeś z Polsski?

- Harsynowicz - poprawił Henryk.

- No właśnie, panie Henryku. I po co było wyjeżdżać? Polska karmiła i kształciła. Ojczyzna, za przeproszeniem, inwestowała w pańską bessę. Ponieważ potrzebowała pana na froncie walki o lepszą przyszłość. A pan jak ta sójka. Za morzem. Teraz, ot, kłopot. Tara bum. Paszportu polskiego pan nie masz?

- Brak polskiego paszportu jest powodem naszego spotkania, panie konsulu.

- Z takiej porządnej rodziny, pomyśleć tylko, patriotycznej, że tak powiem. Jak pan mógł tatusiowi... tak to tak. Zasłużony, szanowany, poczet szstandarowy, prezentuj, ssalwa... Dowodu pan też nie masz?

- Przecież musiałem oddać w osiemdziesiątym trzecim, kiedy odbierałem paszport.

- Nic nie mamy i do Polsski się wybieramy, tak to tak. Choroszo. Chciałem powiedzieć, OK. Czyli wiza, wniosek jak każdy obcokrajowiec i kłopot z głowy. Kłopot z główki. Tara bum. Pan jesteś teraz Kanadyjczyk pełną gębą i nie ma przeszkód, byś pan

odwiedził nasz kraj. Jak to ktoś powiedział, kraj zapomnianych przodków. Ha, ha! Tak to tak. Trzeba wypełnić formularz i szasst prasst! Rzucić kotwicę, zwinąć żagle i wioo. Polska pana zaprasza jak ssyna marnotrawnego, pod swoją strzechę, czy coś. Staropolsską gościnnością grzeszymy nie od dzisiaj. Chociaż, przyzna pan, ta szlachta i liberum veto... Przepraszam pana bardzo. Los chłop. Krytykować można zawsze, ale dopiero Polska Ludowa...

Henryk wyrzucił wszystkie swoje rzeczy. Książki zostawił na przechowanie w radio, u Bronka Wielgusa. Między tomami pozostawił również plik listów do pisarzy. Do niewielkiego plecaka wrzucił Szkice piórkiem Bobkowskiego, paczkę chusteczek do nosa, szczoteczkę, pastę do zębów i zszedł do czekającej taksówki.

\*

Połączenie lotnicze TorontoFrankfurtWarszawa było dobrze zaplanowane. We Frankfurcie na przesiadkę do Warszawy Henryk czekał mniej niż dwie godziny. Zdrzemnął się, mimo że twarde fotele były nastawione opozycyjnie i walczył wytrwale z jego ciałem obolałym po locie nad oceanem. Czuł się gorzej niż worek ziemniaków wytrzesiony na chłopskim obręczaku. Lotniskowy tłum pracownicy produkował natrętny, jednostajny harmider. Spikerki udeptywały hałaśliwy chaos, ale on odradzał się i rozlewał z siłą nie mniejszą niż moc pigułek na wzdęcia reklamowana przez urzekającą piękność o płaskim brzuchu i wyraźnie wzdętych piersiach. Ocknął się z kłującym bólem szyi. Komunikaty dla pasażerów brzmiały jak ostrzeżenia przed nalotami. Było późno. Musiał biec. Spocił się. Ohyda. Lufthansa. Miłe stewardesy. Obok dwaj Niemcy, trzydzieści parę lat, sportowe ubrania. Mówili, jak przystało na Niemców, trochę zbyt głośno. O Polsce. Ale co konkretnie? Nie rozumiał. Przez chwilę starał się. Wspominali poprzednią wizytę? Udaną czy nie? Polskie gazety. Wziął dwie przy wejściu. Wylot punktualnie. Posiłek. Alkohol.

- Nie, dzięki... chociaż wina się napiję, czerwonego, tak, tak, to może być. Chociaż nie. Proszę brandy.

Gazety odłożył, nie przeczytał nawet tytułów na pierwszej stronie. Nad Warszawą niebo było czyste, przybite do ziemi długimi gwoździemi gasnącego słońca. W tle nabierał siły rozcieńczony błękit paryski atakowany przez purpurowe zacieki. Płynęły powoli po widnokręgu i starały się ukryć przed widzami prawdziwe kolory. Parę kilometrów powietrza zamieniło się w cienkie szkło oddzielające brzuch samolotu od wierzchołków drzew, żółknących w tym roku trochę zbyt wcześnie.

- Schodzimy do lądowania - powiedział pilot. I po chwili dodał: - W Warszawie nie ma już obrony przeciwlotniczej. Proszę zapiąć pasy. Będziemy zrzucać bomby zapalające. Proszę zwrócić uwagę na dość kompletną mapę płomieni we wszystkich dzielnicach.



Dokładna robota. Szwajcarska.

W głośnikach słychać było śmiech pilotów z udanego szwajcarskiego żartu.

Zmierzchało. Warszawa płonęła. Migotała jak niebo w górach w lipcową noc, bezchmurną, gorącą, drgającą od śpiewu podnieconych świerszczy. Wisła przewrócona na bok leżała bez ruchu. Nie oddychała?

- Żartowałem - powiedział pilot - jakie tam bomby. Będziemy zrzucać pomoc charytatywną. Paczki Bieda Polaczki. Uwaga, wódki nie zrzucać! Chyba że luzem.

Znowu z kabiny pilotów dobiegł przez głośniki rozluźniony śmiech. Henryk popatrzył na Niemców. Byli skupieni, przylepieni do swoich karabinów maszynowych. Patrzyli w dół. Ich lotnicze pilotki, uszyte z wysokiej jakości skóry, były nowiutkie. Skóra importowana z Turcji? A może to nie byli Niemcy, tylko Turcy? Albo Serbowie?

- Pierwszy lot? - zagadnął ich Henryk.

- Drugi - chórem, jak na komendę, odpowiedzieli Niemcy.

W jakim mówili języku? Chyba nie po turecku? Nie znam tureckiego. Po serbsku? Po polsku?

- Piękny kraj, choć gówniany naród. Bez polskich kartofli ta część Europy sehr gut - dodał jeden z Niemców z przyjaznym uśmiechem.

Jednak nie Turcy, zbyt jasna cera. Jednemu wystawał spod pilotki niesforny pszeniczny kosmyk włosów. Dziecinna, niewinna twarz. Rano mama, zanim pocałowała go przed wyjściem do szkoły, odgarniała mu ten kosmyk ciepłą dłonią. Włosy po chwili spadały na stare miejsce, a ją przenikała gorąca smuga czułości. Zza uchylonej firanki patrzyła, przepełniona miłością i lękiem, na chłopca biegnącego po chodniku i kolebiącego ciężkim tornistrem. Patrzyła tak długo, aż syn zniknął jej z oczu. Szkoła była blisko, tuż za rogiem, mimo to lęk przygniatał jej miękkie piersi. Mały Johann prosił, żeby go nie odprowadzać, nie chciał wyglądać na maminsynka, obawiał się złośliwych kolegów.

Wyższy Niemiec miał palce prawej dłoni ubrudzone atramentem. Henryk poprawił się w fotelu. Mundur oberlejtanta Wehrmachtu pił go pod pachami. Spodnie wrzynały się w krocze. Skąd wytrzasnąłem tego krawca? Z Będzina, Gliwic? Dopadnę gada. Mamusia go przyprowadziła? Jakiś krewniak? Chyba nie Polak.

Koła samolotu uderzyły o beton pasa startowego. Rozległy się nieliczne oklaski. Dźwięki włączanych telefonów, przychodzących esemesów i połączeń dawały efekt strojącej się orkiestry symfonicznej, która już za moment, za maleńką chwilę, idealnie zestrojona, z niezwykłą siłą, wykona brawurowo Ode do radości.

Po wylądowaniu stewardesa musiała go obudzić, spał tak mocno, że niezauważony, zostałby w pustym samolocie. Z lotniskowego autobusu wysiadł z niezrozumiałym pośpiechem i wyraźnie jeszcze oszołomiony, wpadł do budynku lotniska przesyconego nienaturalnym, ostrym światłem. Wyglądało to tak, jakby Harsynowicz przed czymś uciekał albo chciał wbiec do Polski przed innymi pasażerami.

Dlaczego tak się śpieszył? Próbował dogonić siebie, młodszego o ćwierć wieku, opuszczającego Polskę? Okęcie, owszem, zmieniło się, ale on nadal był tym samym człowiekiem. Albo mógł nim być. Jeśli był kimś innym, to kto miałby ten fakt zauważyć? Zresztą dla rozwoju telekomunikacji, oprogramowania komputerowego i terroryzmu czas miał znaczenie. Tak jak dla upadku sztuki. Ale czy znaczył cokolwiek dla samotnego mężczyzny?

Szedł, jak wiele lat temu, przez zatłoczony hol Okęcia, trzydziestoparoletni, z zaciętą twarzą, zeszywniałą, jakby wokół trzymał styczniowy mróz. Czuł na sobie wyrok wrogu ojca, z którym, po wewnętrznej walce, ledwie pożegnał się niechętnym podniesieniem ręki, nie podchodząc do niego i nie zatrzymując się nawet na chwilę. Ojciec z rękami w kieszeniach prochowca koloru khaki stał z boku jak dziesięciu sprawiedliwych w Sodomie lub pluton egzekucyjny. Jego wzrok zawierał w sobie mieszaninę ulgi, obojętności i rezygnacji, ale jednocześnie trudnego do ukrycia napięcia. Wiedział, że nie potrafi przeciąć bolesnej więzi z synem? Zniszczyć w sobie resztek przywiązania? Odruchu opiekuńczości? A może odczuwał tylko zakłopotanie i odrobinę wstydu z powodu obojętnej pobłażliwości demonstrowanej wobec jedynaka? Z powodu męki niemożliwej lub niepokonanej miłości? Z powodu gwałtownej niechęci do jego kretyńskiego ryzykanctwa i oślego uporu?

Przemęczenie, zmiana ciśnienia i przesunięcie czasu dały znać o sobie. Henryka zemdliło i pośpiesznie usiadł na twardej aluminiowej ławce. Odpoczywał z zamkniętymi oczami i próbował uniknąć ostatecznego widoku miejsca, w którym się znalazł. Nie chciał zobaczyć siebie na jego tle, wszystko jedno, młodego czy starego. Może usiłował naprędce wyobrazić sobie jakieś inne, najlepiej anonimowe, miasto w nieokreślonym kraju. Otworzył oczy. Tłum przewalał się jak piach w betoniarce, bezwiednie poniżając siebie.

Henryk rozumiał. Wiedział na pewno - bał się. Bał się Polski. Lub czegoś, co ukrywało się pod tą nazwą.

## **Mecenas Ksawery de Vernon**

Mecenas Ksawery de Vernon

27 września

Z plecakiem w ręce brnął powoli, podnosząc głowę w poszukiwaniu znaku postoju taksówek. W hotelowym pokoju, zarezerwowanym przez kancelarię, zdjął buty, spodnie i położył się na szerokim, miękkim łóżku. Gdy z westchnieniem przewracał się na bok i wtulał głowę w sprężystą, obco pachnącą poduszkę, zadzwonił telefon.

- Ódobry. Mówi Ksawery de Vernon. Jest pan?

- Ta... taaa... przyleciałem... właśnie.

- Będzie pan jutro wieczorkiem? Wcześniej, niestety, mam ważną rozprawę.

- Tak, panie... mecenasie. Millennium Plaza, które piętro? Mam zapisane, tak, tak, siódme. Będę.

- Albo wie pan co - zreflektował się adwokat - przyjadę po pana. Przejedziemy się razem. Warszawę widział pan jeszcze za starego reżimu, prawda?

Adwokat, jak szampon dwa w jednym, był krwisty i jednocześnie mocno wysmażony na złotobrązowy kolor. Raczej w solarium niż w Afryce. Okazji do opalania mogła mu również dostarczyć wizyta na wysepce o łagodnym klimacie, gdzie przy okazji odwiedził niewielki bank chroniący troskliwie klientów przed europejskimi, żarłocznymi urzędami skarbowymi. Dyskretnym bankierom o smągłych obliczach nie przeszło nawet przez myśl, że gdzieś, w sercu Europy, istnieją formularze PIT-5 lub VAT-7 oraz całkiem sporo ich nienasyconych odmian. Żony bankierów, oplecione wieńcami kwiatów, w towarzystwie rosyjskich miliarderów, tańczyły na cytrynowej plaży, w krótkim cieniu palm, potrząsając sprężystymi brzuchami i drobnymi piersiami. Między tańcami miliarderzy leniwie strzelali do siebie z różnych modeli kałaszy, wykrzykując jednocześnie nazwy gigantycznych korporacji wydobywających ropę, gaz lub metale kolorowe. Jeden z nich wykrzykiwał ogromne kwoty w dolarach, gdyż jako bierny inwestor finansowy, nie zarządzał żadną firmą wydobywczą. Na zatłoczonym lotnisku ich prywatne odrzutowce grzały silniki, na wypadek gdyby w Madrycie lub Londynie zaczął się jakiś ciekawy mecz piłki nożnej albo sekretarce prezydenta Rosyjskiej Federacji skończyła się kawa lub poszło oczko w rajtkach. Bankierzy od czasu do czasu, przez dźwiękoszczelne okna, rzucali okiem w stronę plaży. Uśmiechali się do siebie, widząc nieme, barwne korowody, bezdźwięczne fajerwerki i ciche, białobłękitne fale w tle. Nie przestawali uprzejmie obsługiwać klientów. Było im wszystko jedno, czy Rosjanie strzelają do siebie z powodu wyborów do Dumy, dekadencji, konkurencji, rozpadu lub odbudowy imperium, dyskusji o obsadzie baletu Jezioro łabędzie w Teatrze Bolszoi, czy trwającego od kilkuset lat pijaństwa. Zresztą jeden z nich był Czeczenem, drugi Ukraińcem, trzeci Żydem, czwarty Baszkirem, piąty Ormianinem i tak dalej. Tylko odległa Rosja była czystej krwi Rosjaninem i właśnie wstąpiła do cerkwi, by zapalić świeczkę przed obrazem

Aleksandra Newskiego i przy okazji z niepokornej, bojarskiej piersi zrzucić tatarski safianowy but.

Kolor skóry adwokata atrakcyjnie kontrastował z jego włosami, siwymi jak lutowa szadz. Skóra i włosy należały do twardego ciała, które nie grzeszyło nawet odrobiną nadwagi lub zbędnych urządzeń. Sportowa sylwetka oprószona była szczyptą pikantnego zblazowania i przesiąknięta zapachem dyskretnego dystansu do tych miałych problemów, których nie da się precyzyjnie opisać za pomocą któregoś z kodeksów. Mecenas ubrany był w ciemnoniebieski garnitur od Zegny i wspierany przez dyskretne suflowanie platynowej omegi, zawieszanej na szczeciniastym przegubie. Ksawery de Vernon znany był tylko niewielu osobom jako jeden z akuszerów nowej rzeczywistości po 1989 roku. Ekspert, doradca, depozytariusz dokumentów i gotówki w zachodnich i wschodnich walutach, świadek ustnych uzgodnień, których przestrzegały szwajcarskie banki oraz wysocy oficerowie. Mecenas był również autorem i sygnatariuszem sporego pakietu umów obowiązujących na zawsze i w każdych warunkach, nawet dzieci i wnuki podpisujących. Bywał czasami kurierem przekraczającym nieciekawe granice, nigdy wszelako nie budził najmniejszego zainteresowania celników, a tym bardziej pograniczników. Bywał przyjmowany przez wysokich funkcjonariuszy niektórych państw, raczej w prywatnych niż służbowych apartamentach.

De Vernon uważał, że od lekarzy i prawników nikt nie oczekuje wrażliwości, wskazówek, jak odróżnić dobro od zła, psychoterapeutycznych seansów czy matczynego pocieszania. Jego samego zaufaniem obdarzano już tyle lat, że mógłby nabrać zadufanej skłonności do traktowania klientów z rutynową nieuwagą, lekceważeniem, a nawet pogardą gracza o stawki wyższe od najwyższych. Stało się odwrotnie. Mecenas był coraz bardziej czuły na najbłahsze szczegóły, chłonał informacje drugorzędne, przekazywane przypadkiem, przez roztargnienie czy pomyłkę, z uwagą wysłuchiwał zbyt długich zwierzeń ludzi zupełnie pozbawionych znaczenia. Twierdził, że w sprawach, które prowadzi, nie może być żadnych przypadków, niespodziewanego deszczu, śmierci, końca dnia czy historyjek opowiedzianych li tylko dla rozśmieszenia pań przy kieliszku bladezielonego martini lub bursztynowej whisky. Był saperem o wyjątkowo rozwiniętej intuicji i języku czułym jak u żmii. Zdarzało się, że ku zaskoczeniu wszystkich odmawiał kategorycznie prowadzenia łatwej i dobrze rokującej sprawy. Nikt, włącznie ze współnikami, nie rozumiał decyzji adwokata. Do chwili, w której ta lekka, lukratywna i przyjemna sprawa wybuchała jak półtonowa bomba, rozrywając na strzępy nowicjuszy, może i niewinnych, ale chciwych, gruboskórnych i niecierpliwych. Wybuch następował zazwyczaj wtedy, gdy de Vernon oddalił się już na

bezpieczną odległość i oświetlony łuną pożaru i kurzem krwi bratniej, patrzył z pełnym półwspółczucia półuśmiechem na dramat głupszych od dwuzłotówki narwańców. Nad głową adwokata przelatywała czyjaś ręka ciągle próbująca mu wygrażać pięścią, ze zrozumiałych przyczyn zaciśniętą dość słabo. Inna, urwana w okolicy łokcia, z zachowanym w dobrym stanie fragmentem rękawa i wystającym mankietem koszuli spiętym drogą spinką, usiłowała wręczyć adwokatowi gruby plik banknotów. Pozbawiona tułowia męska głowa obiecywała solennie zemstę, choć z sytuacji można było wnosić, że chodzi raczej o zemstę zagrobową. Znikoma część głowy dojrzałej damy posyłała uśmiech, z konieczności krótki, ale bez wątplenia zalotny. Starannie pomalowane usta, pozostające wytrwale we fragmencie czaszki, szeptały uwodzicielsko:

- Panie mecenasie, niech pan to zrobi. Tylko dla mnie, proszę. Potrafię się odwdzięczyć.

Mecenas wątpił, ale cierpliwie przyjmował zażalenia, zaloty, pretensje i żale, jednym słowem wszystko, z wyjątkiem nieuzasadnionych korzyści majątkowych. Następnie przeproszał i udawał się na rozprawę w Najwyższym Sądzie Administracyjnym. Sprawa, którą się tam zajmował, była nudna i wyglądała na niewartą wstania z krzesła. Strony sporu, zdaniem mecenasa, były jednak smakowite. Stary sądowy wyga wciągał w nozdrza, niewyczuwalną dla zwykłych dobiegaczy sądowych, mieszanekę zapachu krwi, armaniaku, wirtuozerskich interpretacji konstytucji, potrawki z serca rekina, zaduchu korytarzy kancelarii premiera, gier operacyjnych kontrwywiadu i ogromnych pieniędzy majaczących w sejfach nieistniejącego jeszcze banku.

De Vernon niezawodnie przewidywał przyszłość i być może dlatego troskliwie starał się pamiętać o przeszłości. W biurze wydał zakaz niszczenia jakichkolwiek dokumentów, a te tworzone z adnotacją natychmiastowego zniszczenia przechowywał poza kancelarią, w wynajętej skrytce. Mówił:

- Pamięć to najlepsza inwestycja, zwłaszcza w czasach przemian. Zawsze powtarzam: w czasach rewolucji strzeżcie się sklerozy! Dzięki temu, że pamiętam tak wiele, tylu ludzi mogę uszczęśliwić, mówiąc: nie ma sprawy, zapomnijmy o tym. Tak, szanowni państwo, wszyscy mamy długą listę spraw, o których chcielibyśmy zapomnieć! A ja... zawsze jestem gotów, by o czymś zapominać, wspólnie, po partnersku.

Ksawery de Vernon mocno uścisnął Henrykowi dłoń.

- Zabieram pana do siebie - powiedział tonem przełożonego, ojca i jednocześnie przyjaciela. Henryk zauważył z niesmakiem, że odczuł wyraźną przyjemność, gdy kierowca, a zdarzyło mu się to pierwszy raz w życiu, otworzył przed nim drzwi samochodu.

Patrzył na miasto bez zaciekania. Raczej odruchowo, w uprzejmej odpowiedzi na zadowolenie bijące z twarzy adwokata.

- Widzi pan, ile zmian, dobrych zmian. Polska rośnie.

- Tak, to widać - szybko potwierdził Henryk. Jechali przez Warszawę, na którą wolno opadał gęsty, połyskujący wieczór. Światło konkurowało ze strzępami ciemności krążącymi jak kawałki spalonych papierów podrzucanych do góry przez gorący dym. Pochłapane neonami ulice łowiły ciemność reflektorami i umieszczoną w chodnikach iluminacją budynków. Samotne latarnie pracowały, drżąc. Światła odbijały się od okien i błyszczących karoserii samochodów, mieszały ze sobą, wkładały maski, przedrzeźniały przechodniów.

Wieżowce stały w jakimś porządku czy były bezładnie rozrzucone? Henryk nie mógł się zdecydować. Już w czasach gdy wyjechał do Krakowa na studia, patrzył na rodzinne miasto raczej bez zrozumienia niż z oczekiwaniem. Raczej z żalem niż zaciekanieniem. Wcześniej go nie zauważał. Potem beztraskie lekceważenie, tak charakterystyczne dla dorastających chłopców, przerodziło się w nerwową podejrzliwość. Zapewne pewien wpływ na stosunek do Warszawy miały dwuznaczne relacje z ojcem. Także kilkuletni pobyt w Krakowie i rzadkie, ale pełne napięcia wizyty u rodziców spowodowały, że chłodna od przeciągów stolica przedzierzgnęła się w jego oczach w miasto odpychające i obce, przepełnione nieszczerą, nowobogacką atmosferą. Teraz również nie czuł najbliższego śladu sentymentalnych wzruszeń, choć patrzył przez przyciemnione szyby na ulice, po których biegał kiedyś jako mały brzdąc, wywijając workiem z kapturami i niemiłosiernie hałasując.

- To miasto samo siebie nie rozumie. Nie wie, czym jest, czym było, a już najmniejszego pojęcia nie ma, czym będzie. Przed wojną mieszkał w nim podobno duch niepokorny, buntowniczy. Miatieżnik[1] z rogatą duszą. Ci, co pamiętają przedwojenną Warszawę, zapewniają, że wtedy było inaczej. Wszystko się splotało, sklepiki Nalewek, tańce na Bielanych, flirty w Adrii, ostatni żyjący powstańcy styczniowi, piosenki Hemara, pepeesowcy w kolejarskich mundurach, kresowi ziemianie, dowcipy Tuwima, oficerski szarm i wyplute w wynajętym pokoju płuca Uniłowskiego. Po czterdziestym piątym pochodzić z Warszawy to jak urodzić się na przeciekającym Dworcu Centralnym. Albo na skrzyżowaniu. Ale broń Boże Azji i Europy. Skrzyżowaniu smrodu od wschodu z dobrze płatną zdradą. Ubeckiego kołtuństwa z subtelnymi kominternowskimi janczarami, których ciała zajmowały apartamenty na alei Róż, lecz dusze pozostały na zawsze w moskiewskim hotelu Lux. W tle wyją syreny przypominające 1 sierpnia 44 i młodzi, zadowoleni i bezdzietni, niechętnie wyjmują minutę ze swoich agend, zmartwieni, że jej zabraknie w podsumowaniu dnia, sprawozdaniu rocznym i bilansie życia. Gdyby się lepiej przypatrzeć, można by pod

ozdobioną tatuażami skórą dostrzec ich rodziców, chłopów z kieleckich czy rzeszowskich wiosek, wyprężonych na baczość, pękających z dumy, że to z ich krwi i kości czerpie siłę fantom miasta. Nie rozumieją, jak głęboko się myślą? W najnowszym wydaniu narodu dzieci będą pochodzić z biurowców bklasy, ich kulturowym matecznikiem będą sterylne osiedla, gdzie trudno trafić do domu, a każdy mieszkaniec bloku ma inny akcent, intonację, obyczaj, a właściwie ich nie ma. Gdzie ludzie milczą, bo gardzą sobą nawzajem. Łączy ich jedynie zawiść i nie są w stanie zaśpiewać wspólnie żadnej piosenki - mówił.

- Ale ma pan humor - rzucił zdziwiony adwokat.

- Czy to wina Niemców? - kontynuował Henryk złym, zawziętym głosem. - Może z takich zniszczeń da się miasto odbudować, w sensie materialnym oczywiście, ale skąd wziąć resztę? Skąd ukraść wywiezioną pamięć, pokolenia losów, gdy została tylko pusta, kręcąca się dla nikogo karuzela? Można czekać z pustym czerepem w ręku przez całe jałowe pokolenia, chlać, bogacić się i rozpuszczać w nicości.

A zaczęło się od podrabiania słów, bo prawdziwe odrodzenie Warszawy było dla komunistów niebezpieczne. A Warszawa miała być sowieckoświecką stolicąświetlicą, muzeum ateizmu i donosu, a nie sercem Polski. Jedna kamienica odbudowana, jedna osoba zamordowana, dziesięć biografii oplutych i losów zakopanych w piwnicy. Pod tym względem Warszawa na pewno jest nowym miastem. Próbuje się podpierać starymi protezami, ale stać przecież można tylko na własnych nogach. A nogi, które wyrosły w czasie Peerelu, to rabstwo, kłamstwo i żłób.

Jechali Marszałkowską, wpadli na plac Konstytucji. Henryk kontynuował:

- To urocze miejsce jest świetnym odbiciem komunistycznej świadomości, pełnej pogardy do potępionej białopolackiej kultury i do wszystkiego, co poddaje się dekretem i ideologii. Ale jednocześnie ci równi spośród równych, wybrani słudzy ludu, tęsknili za mitrą, tronem i polskim chłopem z Matką Boską na piersi, który z religijną czcią pada na twarz przed ich Jaśnie Oświeconym Marksistowsko-Stalinowskim Błagorodijem[2]. Służba w złotych rękawiczkach nalewała im siwuchę do wanny i szampana do manierek. Robotnicze córki glansowały kible i pucowały czapki z czerwonym otokiem. Profesorowie zamiatali schody i sumienia. Widzi pan, jak się to skopiuwane z Moskwy czapajewowskie chamstwo rozpycha i wyleguje w tych ciężkich kolumnadach, sklepieniach i podcieniach i wisi na pokracznych latarniach, plując z góry na mierzwę historii tłoczącą się po karpie i schab?

Henryk zamilkł. Czuł, że się wygłupił. Nie wiedział, czemu wyskoczył z tak namiętnie górnolotną filipiką. Wywyższał się i puszył. I ta stylistyka! Strony spotkały się w innym celu. Powinien używać języka zdrowego żołądka i spokojnego snu. Czy to Polska tak na mnie

działa? Kręciło mu się w głowie. Zmywało go z powierzchni zmęczenie podróżą, rozstrajała zmiana czasu, dławiał kac.

W kancelarii panowała cisza, jakby pomieszczenia były świeżo zdezynfekowane po epidemii cholery. Gdy wrócił z łazienki, białoskóra brunetka zaprowadziła go do gabinetu de Vernona. Drobna, niewysoka, pachniała dusznymi perfumami, a idąc, potrząsała rozpuszczonymi włosami i trudnymi do policzenia częściami ciała. Gdyby się rozebrała, wyglądałaby skromniej.

## Spadek

Spadek

27 września

Sytuację mamy, hm, taką... tak... Pan coś wie o majątku ojca?

Czyli Józefa Harsynowicza, syna Mieczysława i Salomei z domu Szeryng? - zapytał de Vernon.

Henryk myślał o recepcjonistce. Nie mogła mieć więcej niż trzydzieści lat. Pytanie adwokata wywlekło go za włosy z rejonów erogennych.

- Noo, nic. Z wyjątkiem tego, że ma... miał mieszkanie na Chmielnej. Znam przecież to mieszkanie, to znaczy mieszkałem tam z... rodzicami... no wie pan, to było dawno.

- To jasne, gdzieś mieszkał.

Adwokat przyglądał się Henrykowi. Chciał się upewnić, że wie dokładnie, z kim ma do czynienia, że nie popełni błędu i nic go nie zaskoczy.

- Mieszkanie jest do pańskiej dyspozycji. Zaraz przekażę panu klucze. Zaproponowałem, żeby zatrzymał się pan w hotelu, sądziłem, że na początek tak będzie lepiej. Nie uraziłem pana, mam nadzieję? Czasami takie powroty są trudne, śmierć ojca... ale trzeba z żywymi naprzód iść - dodał szybko. - Może pan pozwolić paszport na minutkę? Skopiujemy, jeśli można.

De Vernon usiadł głębiej w fotelu.

- Niech pan posłucha. Ojciec pański ciężko pracował.

Adwokat monotonicznie wymieniał kwoty, nazwy banków, funduszy powierniczych, towarzystw ubezpieczeniowych, nazwy spółek, ilości akcji i udziałów. Głos brzmiał mechanicznie, jakby jego właściciel wyszedł z biura i zostawił nagranie do odsłuchania. Przytłoczony Henryk w połowie przestał rozumieć. Roztargnienie zmieszało się z podnieceniem. Podniecenie uruchomiło gonitwę myśli, chaotyczny łomot w skołatanej czaszce i hałaśliwe echo na zewnątrz. Spokojne, ciche życie w Kanadzie diabli wzięli. Nie



będzie za nim tęsknił. Będzie tęsknił, ale ma je gdzieś. Będzie milionerem tęskniącym w godzinie samotnego kaca za ubogim, prostym, lecz autentycznym życiem. W ten sposób będzie próbował zmniejszyć strach przed śmiercią w katastrofie lotniczej, karambolu na autostradzie, urwanej windzie, czyli przed straszliwą wizją braku możliwości przeżulania pieniędzy starego. Mimo to będzie targał nim strach przed porywaczami, którzy niezwłocznie zażądają okupu w wysokości majątku ojca i po zapłaceniu będzie znowu biedował. Henryk towarzyszył chłodnej strużce potu, która płynęła mu po piersi i zmierzała w stronę brzucha.

Po chwili wydało mu się, że idzie za recepcjonistką, która kręcąc pupą umieszczoną ryzykownie na wysokich szpilkach, zdejmując powoli bluzkę i rzuca ją na marmurową posadzkę. Biały jedwab ślizga się przez chwilę, tańcząc jak spieniona fala na czarnym, szlifowanym marmurze. Ciemnowłosa diablica palcami zakończonymi karminowymi paznokciami zaczyna rozpinać stanik. Owal piersi świeci jak purpurowy kwiat w chłodnym wnętrzu. Myślał o zastępach kobiet pchających mu się do łóżka, ponieważ zwęszyły jego portfel wypchany złotymi kartami najlepszych banków. Przedzierał się przez stopy koronkowych bluzeczek, motyli staników, ażurowych majtek w nieznanym kolorach, które w niczym nie przypominały majtek. Płynął w splecionej sieci intryg i pożądliwych spojrzeń. Razem z podnieceniem rosła kipiąca radość. Śpiewała i kołysała nim bezwstydną radość. Dłoń grzało berło pychy, nad głową powiewał królewski sztandar litościwej pogardy dla wszystkich, co mają mniej szczęścia lub sporo pecha, jak on do tej pory.

Przecież nie ma zbiorowej odpowiedzialności. Dostanę, chociaż nie prosiłem, nie zabiegałem. Ach, wy! Otjebities' od towarzysza Stalina! Mogę rozdać na ulicy, ale najpierw muszę podpisać papiery, zostać właścicielem. Muszę wziąć, by móc wyrzucić.

A może powinien wyjść. Grzecznie oczywiście. Nie miał biletu powrotnego do Kanady. Kancelaria kupiła bilet w jedną stronę. Albo zająć stanowisko. Ustosunkować się. Skomentować. Wobec tego papugi?

Już podczas studiów w Krakowie należał do zamożniejszych studentów na roku. Zamożniejszych na miarę małej stabilizacji przejściowych trudności końcowego Gomułki i kredytowo-licencyjno-importowej prosperity początkowego Gierka, którego długi wdzięczny lud spłacał nadal w XXI wieku. Adwokacina mówił jednak o milionach, a stary, chociaż nie biedaczek, w wolnej Polsce przestał pracować, przeszedł na emeryturę.

- Otrzyma pan ode mnie pełną listę dóbr, które panu zapisał ojciec. Tylko panu. Jest pan przecież jedynakiem. Żona Tamara została zaspokojona wcześniej. W trakcie rozwodu. Posiadam w tej kwestii odpowiednie dokumenty. Gdyby w czasie pańskich kontaktów z matką, panią Tamarą Nosenko, pojawiły się jakieś, nazwijmy to, wątpliwości, proszę mnie o

tym zawiadomić, dobrze? - De Vernon, mówiąc o Tamarze, znowu przyglądał się Henrykowi uważnie. - I jeszcze jedna istotna informacja. Pańskie dzieci zostały również zabezpieczone za pomocą dedykowanych polis, które wykupił pański ojciec. Ze spadkiem zrobi pan, co się panu żywnie spodoba, chcę jedynie zapewnić pana, że wszystko od strony prawnej zostało załatwione i nie musi się pan martwić o cokolwiek. W związku z dziedziczeniem przez pana majątku ojca żadnych komplikacji być nie może.

Adwokat zamilkł. Przez dłuższą chwilę szukał czegoś w papierach. Henryk rozglądał się bezmyślnie po ogromnym, luksusowo urządzonym gabinecie. Nie był zdecydowany, czy już wyjść, czy zostać i zapytać mecenasa o ojca. O interesy ojca. De Vernon sam wrócił do rozmowy. Mówił swobodnie, ale z zauważalnym wysiłkiem, jakby ten mistrz gier słownych z niewiadomego powodu musiał nagle zastanawiać się nad sformułowaniem myśli.

- Mam jeszcze jedną delikatną prośbę. Będę mówił otwarcie. Chodzi o akcje jednej, no może dwóch spółek, w których udział Józefa bezpośrednio lub pośrednio jest znaczący, choć procentowo niewielki, ale nie chcę wchodzić w szczegóły. Wspólnicy, którzy zgodnie ze statutem mają prawo pierwokupu, chcieliby panu złożyć korzystną ofertę. W zaufaniu powiem panu, że ojciec sam zamierzał im odstąpić swoją część, ale... no, nie zdążył. Jestem do tego oświadczenia odpowiednio umocowany. Wspólnicy chcą uniknąć zamieszania w firmach. Pan, jak sądzę, nigdy takimi sprawami się nie zajmował i chyba niewiele się pomylę, zakładając, że pańskie zainteresowania się nie zmieniają. To będzie naprawdę korzystna propozycja, inne opcje będą bez porównania gorsze.

- Jakie opcje? - bez szczególnych intencji zapytał Henryk.

- Przepraszam. To takie rutynowe wyrażenie. Będzie pan z pewnością zadowolony. Przygotuję wszystko. Może pan mi zaufać, jest pan w dobrych rękach. Jestem nadal prawnikiem pańskiego ojca i prawdę mówiąc, przepraszam, że tak to ujmę, on mi za to nadal płaci, dobrze płaci. W praktyce oznacza to, że jestem także pańskim doradcą prawnym. Nawet jutro, tak, zdążę na jutro. Możemy jutro kontynuować nasze spotkanie? A teraz może odrobina koniaczku na wspomnienie krążenia? Jest pan z pewnością jeszcze zmęczony podróżą, zmianą klimatu i czasu. No i w końcu wrócił pan do ojczyzny, po tylu latach. Trzeba to uczcić.

## **Obywatelstwo Rzeczypospolitej Polskiej**

Obywatelstwo Rzeczypospolitej Polskiej

28 września

Telefon dzwonił długo, uparcie. Woda z hałasem lała się do wanny. Henryk z trudem

oddawał mocz, gasnącym strumyczkiem. Odezwał się koniak wypity z de Vernonem, no i kawa. Kawa. Miłym zajęciem jest picie dobrej kawy. I miłym zajęciem jest picie markowego koniaku. O czym tak długo rozmawiali? Anegdoty. Masa anegdot, które opowiadał adwokat. Żadnej nie pamiętał. Henryk zakręcił wodę i usłyszał dzwonek telefonu. Z mecenasem był już umówiony. Kto to może...

- Cześć, mówi Mariusz. Mariusz Ziemilski. Henryk, pamiętasz mnie?

Henryk, po wczorajszych przeżyciach, umył tylko zęby i natychmiast poszedł spać. Rano czuł się ohydnie nadgniły i zmiętoszony. Krew sączyła się z dziąseł. Resztki włosów zlepily się w tłuste kosmyki. Wykąpać się, użyć tego nowego szamponu z apteki, ogolić i... zatopił się w myśli o uldze długiej kąpieli i oddychającej, wolnej od przeszłości skórze.

- Tak - powiedział nieprzyjemnym, obrażonym głosem. - Oczywiście, pamiętam, jesteś tą dziewczyną w żółtym sweterku, biust trójka, lekki zez, iksowate nogi. Jesteśmy przecież zaręczeni.

- Heniek... - wymamrotał głos po drugiej stronie. - Henryk, to ty? Pan Henryk Harsynowicz? Przecie biutelyn... razem... za rewolucji, naprawdę mnie nie pamiętasz?

Henryk nie mógł oczekiwać, że ktoś, kto dotarł do niego dwa dni po przyjeździe do kraju, po prawie trzydziestu latach nieobecności, zrezygnuje bez walki.

- Słuchaj, mam pełną wannę wody, daj mi chwilę, zadzwoń z łaski swojej za godzinę, OK?

Pamiętał Mariusza Ziemilskiego z czasów pierwszej Solidarności. Ziemilski był początkującym dziennikarzem „Życia Warszawy” i plątał się w Mazowszu przy wydawnictwach, gazetkach, Komisji Informacji. Był miły, uczynny, chętnie się podejmował pisanie tekstów, od których inni się wymigiwali.

Henryk zachodził w głowę, dlaczego pozostał w niej akurat ten samoprzylepny, wszawy gość.

Spotkał się z Ziemilskim wieczorem w wybranej przez niego knajpie. Przed spotkaniem zadzwonił do de Vernona, by zasięgnąć języka. Wytrawny adwokat odpowiedział po chwili namysłu:

- Załatwiacz. Przydatny. Dobrze ustawiony, solidny. Raczej nie naciąga. Może trochę koloryzuje, ale nic ponadto. Jednym słowem, bezpieczny.

Nikt nie wiedział, czym konkretnie zajmował się Ziemilski w latach osiemdziesiątych. Widywano go w kurii. Może bywał na spotkaniach komitetu charytatywnego lub kręcił się tam ot tak, bez wyraźnego zaproszenia i jasnych zadań. Przez jakiś czas obracał się wokół radykalnej Grupy Wola, a w osiemdziesiątym ósmym wziął udział w strajku Huty Warszawa.

Kiedy powstał Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie, znalazł się w jego biurze prasowym. Podczas wyborów 4 czerwca 1989, kiedy społeczeństwo wskazało mniejszość sejmową, pracował w sztabie wyborczym Komitetu. W czasie premierowania Mazowieckiego był doradcą jednego czy dwóch ministrów w tej części rządu, której nie obsadzili komuniści. Robił to raczej prywatnie, dla idei. Formalnie wylądował w drugorzędnym przedsiębiorstwie państwowym na stanowisku wicedyrektora. Wreszcie, pod koniec lat dziewięćdziesiątych, związał się z Akcją Wyborczą Solidarność. Henrykowi przedstawił się jako niezależny konsultant.

- W jakiej dziedzinie? - zapytał Henryk.

- O tym decyduje zleceniodawca - odparł krótko Ziemilski.

Posiwał, włosy znacznie mu się przerzedziły. Równoważył ten brak wąską bródką, zostawiając odsłonięte policzki i ruchliwe szczęki. Wzrok też mu posiwał, przygaśł, ale pozostał aktywny, penetrujący cały czas otoczenie, analizujący błyskawicznie ludzi pojawiających się w jego zasięgu. Ręce, w przeciwieństwie do oczu, były spokojne, wykonywały tylko niezbędne, praktyczne ruchy. Ziemilski miał rację, polecając Dyspensę na Mokotowskiej, Henryk od dawna nie czuł się tak dobrze. Leniwy spokój, poczucie komfortu wraz z czerwonym winem posuwały się wolno naprzód, docierały do każdej komórki wyposzczonego ciała. Żeby zachować pozory, wykonał delikatny atak: jestem pieprzoną burżuazją, ilu ludzi stać w Polsce na taką kolację? Musieliby pracować na nią miesiąc, a może dłużej? Atak chybił celu.

Ziemilski mówił, nie przerywając jedzenia. Czasami pytał o coś Henryka, ale natychmiast, nie czekając na odpowiedź, tokował dalej. Opowiadał skróconą historię Polski ostatniego ćwierćwiecza językiem człowieka odrzuconego przez establishment. Mówił z ogniem bezkompromisowego niepodległościowca, z prometejskim samozaparciem bojownika walczącego do końca o czyste ideały. Zaczął od spisku Okrągłego Stołu, który zamieszał w głowach i środowiskach. Doradca strony komunistycznej, Balcerowicz, został czołowym politykiem liberalnej odnowy. Agent Skubiszewski wziął sprawy zagraniczne i realizował wiernie sowiecką linię. Henryk starał się słuchać, ale myśli rozłaziły się po kątach. Podniecenie Mariusza, pośpiech, z jakim wygłaszał oskarżenia, zepchnęły Henryka w głąb żołądka, w jelita istnienia. Sen, cukier i wino gotowały się w jego głowie na wolnym ogniu. Mariusz zapewne recytował jedną z ról, może ostatnio rzadziej granych, wzbijał się w stylistyczne przestworza mimo wyraźnego braku skrzydeł. To są jego tymczasowe, wymienne poglądy, pomyślał, podawane w różnych zestawach. Stałych pewnie nie posiada. Ziemilski przeszedł do Wałęsy prowadzonego na konopnym sznurku przez Wojskowe Służby

Informacyjne, czyli Rosję, wówczas chore państwo, które blefowało, że jest mocarstwem, PKB miało niższy niż Holandia, rakiety ukradziono na złom, silosy stały niepilnowane, pełne gnijących śmieci lub chemicznych odpadów. Litwini za przejście kontroli nad granicą płacili krasnoarmiejcom ciężarówkami z wódką. Niektórzy twierdzili nawet, że wystarczyły skrzynki. W Polsce Armia Czerwona nadal była gwarantem niepodległości i Mazowiecki popiskiwał, że Niemcy nie powinny się jednoczyć. Gdyby mówił tak wyłącznie z głupoty! Jeździł szukać racji stanu do Moskwy, i to nie pod pomnikiem Puszkina na Arbacie. W Polsce kwitła działalność konwentu oligarchów wywodzących się jak jeden mąż ze służb specjalnych PRL, trzymających swoje prywatne, sejmowe stajnie. Wejście do Unii odbyło się na kolanach, jakby przyjmowano zużytą dziwkę do luksusowego burdelu, a nie spore państwo do wspólnoty równych. Elity lansowały zachowania zgodne z postkolonialną mentalnością i z rozkoszą godziły się na mianowanie Polaków w miejsce Niemców na czołowych antysemitów i barbarzyńców Europy.

- Jak to zajęliśmy miejsce Niemców? - wtrącił Henryk. - Że napiszą od czasu do czasu „polskie obozy koncentracyjne” czy coś tam podobnego? Tak?

- Heniu.

Henryk nie znosił, jak się do niego mówiło Heniu.

- Posłuchaj, Heniu. Po pierwsze nie od czasu do czasu, tylko to jest norma. Recydywa, premedytacja i strategia. Niemcy wyparowali z drugiej wojny światowej. Tak jak i narodowi socjaliści. Gdyby ci lokaje, co rządzą Polską, wytoczyli choć jeden proces takiemu wałowi od „polskich obozów”. Zwłaszcza w Ameryce, gdzie prawo jest precedensowe. Wystarczy raz wygrać. Nie, ta banda pisze sprostowania, a najczęściej listy, mętne wywody na temat nazistów, żeby nie urazić Niemców. Nikt ich zresztą nie czyta. Redakcje odmawiają zamieszczania sprostowań. I nic. Państwo polskie poza rolę listonosza nie wychodzi. Rozumiem za PRL. Moskiewskim i warszawskim Sowietom też było na rękę robienie z Polaków barbarzyńców. Ale teraz? Dalej to samo, dzieci aktywistów Komunistycznej Partii Polski pod zmienionymi przez partyjną komisję nazwiskami cieszą się, że mogą dowalić Polakom.

A Niemcy chcą nas zrobić w swoje zbrodnie. Profesorowie niemieccy ogłaszają: bez Polaków Holocaust byłby niemożliwy. I dodają: wypędzenia to ludobójstwo zrealizowane samodzielnie przez Polaków, bez udziału wielkich mocarstw. To nie są błędy, pomyłki młodych czy niedouczonej działaczy Hitlerjugend! Mamy do czynienia z fundamentalnym celem polityki państwa niemieckiego - z planem odwrócenia ról. Z katów w prześladowanych, z ludobójców w wypędzonych, z podpalaczy, złodziei i szabrowników w

odartych z majątku. Kto im zabrał faterland, ich ukochane Prusy i Wrocław? Polacy, którzy wzbogacili się na wojnie. Poza milionami zamordowanych, poza zrównanymi z ziemią miastami, powiedz mi, kochany, ile, kurwa, samych filiżanek, waz, kompotier, srebrnych widelców i łyżeczek wywieźli z Polski, ile obrusów, kamei, naszyjników, pierścionków, figurek z alabastru, stolików do kart, dywanów, książek, dokumentów, listów, naczyń liturgicznych, kredensów, sekretarzyków, łóżek, biurków i makatek ukradli Polakom szlachetni wielbiciel Wagnera!

A teraz symbolem ludobójstwa będzie polskie bestialstwo w Jedwabnem, bez udziału Niemców, z „polskim obozem” w Oświęcimiu w tle. A naród polski, pędzony ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód, wynędzniały i skazany na wyniszczenie przez subtelnych profesorów niemieckich i erotomanów z Kremla, został mianowany autorem największych wysiedleń w historii Europy! To my kierowaliśmy uśmodranym paluchem Stalina, wycalowanym przez Roosevelta i obślinionym przez Churchilla, którym ojciec pokoju smarował nowe granice. Niemiaszki solidarnie i systematycznie pracują nad przenicowaniem historii od końca drugiej wojny. Bez wytchnienia. Wiedzą, że wyjdą z tej zapaści, gdy wskażą zastępcę. I wskazują bardzo umiejętnie na Polaków. Muszą nas zgnoić, żeby osiągnąć dowód najwyższego oczyszczenia - wejść do Rady Bezpieczeństwa ONZ. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że wybitnego badacza źródeł Grossa po cichu wspierają dobrzy niemieccy chadecy. Tak jak jawnie wspierają hitlerowca Grassa salonowi stratedzy wykończenia narodu polskiego. Gross i Grass w jednym stali domu. Dlatego, Heniu, ja mówię na dzisiejszych Niemców: hitlerowcy. Skoro wygląda na to, że hitlerowcy zrobili Niemcom w czasie drugiej wojny skuteczny Endlösung i Niemców wtedy, jak się okazuje, zabrakło, to dzisiaj konsekwentnie dalej nie powinno być Niemców, tylko hitlerowcy i ich hitlerowscy potomkowie. Logiczne, prawda?

Ziemilski podniecił się. Widać było, że może rozwijać temat, który, w tej wersji, ma dobrze przećwiczony.

Spodziewa się, geniusz Karpat, że to, co mówi, przypadnie do gustu sfrustrowanemu emigrantowi. Wita mnie tą zgrzebną bramą tryumfalną. Gość w dom, żona w ciąży. Przerwał mu.

- Powiedz, Mariusz, co ty robisz, tak w ogóle, rodzina i tak dalej...

- Nooo... - wyhamował Ziemilski. - Ja... znaczy, no, mam żonę. - Zbierał myśli przez chwilę. Wracał z objęć Zofii Gomułkowej, Mazowieckiego i kanclerza Niemiec w skromne ramiona własnego CV. - Alina jest nauczycielką, czyli pracuje za darmo. Uczy w liceum biologii. I córka. Córkę mam. Późno się urodziła. - Lekki rumieniec przesunął się po jego

twarży, od czoła w dół, i spłynął dyskretnie pod koszulę rozpiętą luźno pod szyją. Krawat zdjął już w połowie kolacji. - Właśnie maturę zdaje. Marysia. I tak to. A ty co, masz dzieci? Jak stoisz w tych sprawach?

- Nie mam dzieci - usłyszał własny głos Henryk i czarna krew napłynęła mu do twarzy.

- Jak nie masz, słyszałem, że...?

Ziemilski zorientował się i umilkł. Henryk patrzył tępo w talerz.

- No dobra, powiedz, Heniu, jakie masz plany. Wiesz, ja się trochę kręcę po Warszawie. Może mógłbym w czymś pomóc?

Henryk chciał podziękować za troskę, odmówić i natychmiast uciec. Kaczka ciążyła mu w żołądku. Nieplanowane kłamstwo ogłuszyło go i wgryzało się w mózg zepsutymi zębami.

Pomyślał, że może nie wystarczy mu sił, żeby wyjść. Poprawił się na krześle, odchylił do tyłu.

- Tak. Mam problem.

Twarz Ziemilskiego zmieniała się natychmiast. Rozlała się po niej gotowość, by zginąć bezinteresownie, jeszcze tej nocy, w obronie Henryka. Harsynowicz był w potrzebie, a więc ich status społeczny i moralny został wyrównany. Nawet jeśli Ziemilski nie wierzył, że zrównał się całkowicie z bogaczem i synem wpływowego oficera, to dobrze pamiętał zasadę, że pan może sprać po pysku służącą czy niższego stanem chama, ale musi to robić ostrożnie i lekko, bo pożyczka od niego pieniądze, a dziewczynę posuwa w niedzielne popołudnia, gdy maman drzemie, bo dręczy ją chandra, migrena lub weltschmerz. W następstwie przewyciężenia walki klas z restauracyjnej salki zniknęła nerwowość i wypełniła ją koncyliacyjna aura obrad rzymskiego senatu z czasów republiki. Ziemilski natychmiast uciekł z ciasnej klatki gadania o niczym, o polityce, sondowania i wypuszczania balonów próbnych. Teraz miał być partnerem, stroną transakcji. Jego głos stał się niższy i złagodniał, styl nabrał wytworności, jakby studiował z Kochanowskim w Padwie, gest zaokrąglił się, a na palcu pojawił rodowy pierścień z grawerowanym krwawnikiem. Przymilna skóra petenta złąziła z niego jak pierwsza opalenizna. Słowo „problem” było dla Ziemilskiego najśłodsza muzyką, niebiańskim chórem nagich i chętnych dziewic, których wdzięki przysłonięte były jedynie pojedynczymi banknotami o wysokich nominałach.

Henryk, spętany sennością, oddychał głębiej, z wysiłkiem rozplątywał gordyjski węzeł języka, wyciągał spomiędzy resztek żarcia i brudnych kieliszków zmięte słowa i wygładzał je zeszytniałą dłonią na poplamionym obrusie. Problemem był brak polskiego paszportu.

- Peerelowski dokument gdzie zakitrałem. Nie wiem, co się z nim stało. W ambasadzie nie zgłosiłem w odpowiednim terminie, nie wyrabiałem duplikatu, więc nie miałem jak przedłużyć ważności. Wiesz, jak to jest, człowiek nie jest w stanie przewidzieć, co mu się przyda, a co wyrzucić na śmietnik. Skończyło się tak, że jestem teraz wyłącznie obywatelem Kanady. Powiedz sam, co ze mnie za Kanadyjczyk?

Śmiali się obaj długo. Byli przy trzeciej butelce. Mariusz nawet klepnął Henryka po ramieniu, krzycząc Kanadyjczyk, dusząc się jednocześnie ze śmiechu. Nie spuszczał wzroku z Henryka. Starał się przedostać przez jego obojętne, przeźrocyste oczy. Henryk śmiał się ciszej. Rozglądał się wokoło, jakby czegoś szukał lub na coś czekał.

Ziemilski, związawszy się z Henrykiem zleceniem pomocy w załatwieniu obywatelstwa, ruszył na wszystkich frontach. Bełtał w kieliszku wino, by je lepiej dotlenić, i przekraczając kolejną granicę, rzucił od niechcienia:

- Twój staruszek miał piękny pogrzeb.

Henryk nie zareagował, nawet cofnął się trochę na niemożliwe do przewidzenia pozycje.

- Nie zdążyłem... nie mogłem...

Ziemilski na szczęście nie chciał słuchać, dlaczego jednak nie był na pogrzebie ojca.

- Mszę odprawiało czterech księży i prałat, obecna była siostra przełożona z Jazłowca, no i masa ludzi, rzędy limuzyn z kierowcami, tłum poważnych ludzi. Sam chciałbym mieć taki pogrzeb. No, oczywiście za jakiś czas - zaśmiał się krótko, ostrożnie. - Heniu, twój stary był szanowanym człowiekiem, to fakt.

- Miał katolicki pogrzeb? - ożywił się Henryk. - Przecież on do kościoła nigdy nie chodził. Nie przypominam sobie. Katolik, co nasrał pod stolik. Był przecież kompletnym ateistą, komuchem. Z diabłem miał kontakty na pewno. Czy to dzisiaj wystarczy, by być akceptowanym przez Kościół? A może do Boga przyszedł od diabła? Może szatan pchnął go z jakąś misją? Jakąś drobną prowokacją wobec Matki Boskiej? Mnie mój tatulek trzymał od Kościoła daleko. Ale mniejsza ze mną. Nawrócił się czy jak? Na łożu śmierci?

- Heniu, daj spokój. Ja jego sumienia nie oglądałem pod światło. W konfesjonale nie przesiaduję. Wiesz, jak było w Peerelu, może miał złudzenia, a może chciał tylko utrzymać rodzinę, kombinował jak koń pod górę, jak wszyscy w tej kleistej komunistycznej galarecie. Co ja mówię! O ciebie, kurna, się troszczył! Żeby było co do garnka włożyć i na grzbiet naciągnąć!

- Bóg nie był potrzebny w tej zaszrannej magmie? I nie mów mi, że musiał walczyć o przetrwanie. On był brygadzystą w fabryce produkującej czerwony dym. I miał się dobrze. A



przed śmiercią, w pośpiechu, na wszelki wypadek? Późno, ale za to większa dawka opium dla przedstawiciela awangardy klasy robotniczej i biedoty wiejskiej? Żeby uśmierzyć strach, obstawić wszystkie opcje, zmniejszyć ryzyko? Kto zdecydował o katolickim pogrzebie? On? Załatwił sobie przepustkę? Na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że święty Piotr nie jest z Wydziału Zagranicznego KC KPZR, twardo stoi na bramce i zadaje głupie pytania o dziesięcioro przykazań? Listy do papieża pisał, zamiast zająć się pokutą i zadośćuczynieniem Panu Bogu i ludziom?

Podniecenie Henryka przechodziło we wściekłość. Wściekły był na siebie. Na swoje żalosne pojękiwanie, które nie zrobiło na Ziemilskim żadnego wrażenia.

- Nie chrzań jak czarny na lekcji religii! Nie musiał, wyobraź sobie, nie musiał niczego załatwiać w ostatniej chwili. Widzę, że niewiele wiesz o swoim ojcu. Był zaprzyjaźniony z biskupami, zaraz, nie tylko z biskupami, z kardynałami. Klasztor siostry pięknie wyremontowały także dzięki niemu. Człowiekiem dobrej woli był, no, wielkiego współczucia i... wrażliwego serca. Przeznaczał pieniądze na wakacje w Polsce dla dzieci z Ukrainy, Białorusi, Kazachstanu. Robił tak, bo był prawdziwym patriotą. Wspierał żywioł polski na Wschodzie, polskie ślady, pamiątki, dziedzictwo, kurna, polskie. Pomagał w powrocie katolicyzmu wytępionego przez cara i Sowiety. Za jego pieniądze paulini i kapucyni mogli nawracać tę azjatycką dzicz, chciałem powiedzieć, zagubione zrusyfikowane owieczki. I, Heniu, on się tym nie chwalił. Niech nie wie lewica, co czyni prawica. Wiele dobrego zrobił. Nie handrycz się, nie masz powodu, możesz być dumny z ojca.

Henryk do końca opadł z sił.

- Lewica z pewnością dobrze wiedziała, co robiła jego prawica - mruknął, bardziej do siebie niż do Ziemilskiego, który czujnie przysunął bliżej krzesło, nie chcąc niczego uronić. Upokorzyła go dyskusja o ojcu. Uprzedzająco uprzejmy Ziemilski, gdy mówił o Józefie Harsynowiczu, stawał się twardszy, nieustępliwy. Nie polemizował, raczej pouczał, informował, jakie są fakty. Jego oczy zdawały się mówić: Nawet jeśli podejrzewasz, Heniu, że przesadzam, zrezygnuj z wątpliwości. Powinieneś chętnie wierzyć w moją opowieść o tatusiu. Zwłaszcza że jest prawdziwa. Nie sroż się tak. Wyjmij pieluszkę, wyrzuć grzechotkę moralności i dorośnij. On kipnął. Może nie był całkiem zły? A jeśli naprawdę był dobry, tylko dobry, dupku? Wszyscy się zmieniamy, ty też. A oprócz tego jesteś synem, krew z jego krwi i kość z jego kości. Nikim więcej. Tego powinieneś się trzymać. Jakaś lojalność cię obowiązuje, na serio i ponad wszystko!

Henryk zerwał z ojcem dziesiątki lat temu. Nie miał siły rozważać, co się w tym czasie zmieniło. Kto, kiedy i dlaczego wymienił sobie historię i osobowość. Tak jak nie miał

zamiaru tłumaczyć się obcemu przybłędzie. Czego chce ten wyświechtany wycirus? Mam zacząć nienawidzić swojej nienawiści do ojca albo się jej wstydzić? Dlatego, że teraz ojciec już nic złego nie jest w stanie zrobić, nikomu, nawet mnie... Myśl skręciła nagle, jakby ją zawiódł układ kierowniczy, i wylądowała w zaśmieconym rowie. Co pomyśli o mnie mój syn, Konrad, gdy umrę? Jeśli się w ogóle dowie, że umarłem. Jeśli wcześniej nie zapomni, że istniałem.

Henryk nienawidził nie tylko ojca, ale także wszystkiego, co z nim przeżył. Obawiał się, że sprawa, której już raz omal nie przyplacił życiem, żyje, nie ma dna i konspiruje za podwójną zasłoną.

Ziemilski nacierał.

- Nie, Heniu, nie chrzań, nie doszukuj się Bóg wie czego. Był szybki i nie przepuszczał okazji. A był dobrze poinformowany, lepiej niż inni. Ale żeby zaraz krzywdzić i złodziej... Powiem ci szczerze, znałem twojego starego. Nie żebyśmy konie razem kradli, ale znałem. Był aktywny w sektorze prywatnym jeszcze przed osiemdziesiątym dziewiątym. Grał ostro. Ja go poznałem dopiero w dziewięćdziesiątym piątym. Był mocny. Bardzo mocny. Z tego, co ma, nic nie kupił od państwa, od ministra skarbu. To najlepiej o nim świadczy.

- A ten bank, w którym ma akcje, nie był państwowy?

- Miał, Heniu, już nie ma. Umarł. Teraz to ty jesteś właścicielem tych akcji, co? A bank, chociaż sprawy nie znam, utworzony był przez państwowe firmy, to się zgadza. Z czego niby miał powstać? Z miłości do ojczyzny? Ale był firmą prywatną w sensie prawnym. Prawo, kodeksy, ustawy to kluczowa część demokracji. Ojciec był tylko przez chwilę przewodniczącym rady nadzorczej banku. Był niezbędny i, jak słyszałem, bez niego by nie skleili tego projektu.

Henryk pomyślał o pieniądzach, które ojciec wysyłał Halinie, bo on, chwiejna głowa rodziny, nie był w stanie jej utrzymać. Gdy się rozstał z Haliną, nie było go stać na jakiegokolwiek alimenty, nawet symboliczne. Ona brała pieniądze od byłego teścia i nie ściagała Henryka. Powiedziała mu nawet o tym, żeby go uspokoić. Może upokorzyć. Może jedno i drugie. Ojciec ją o to prosił? Chciał, żeby syn wiedział? Tak czy inaczej, chciał czy nie chciał, korzystał z pieniędzy starego od lat.

Ziemilski zauważył, że kłamstwo w sprawie dzieci, wypowiedziane automatycznie, bez zastanowienia, kosztowało Henryka sporo. Nie pytał dalej, także dlatego, że znał prawdę, a ucieczka w prymitywne kłamstwo była tak oczywistym dowodem słabości Henryka, że dodała Ziemilskiemu nadzwyczajnej otuchy, szybko więc zamknął temat. Zadawanie bólu

zawsze jest ryzykowne, a w tym wypadku, póki co, nie było potrzebne.

Henryk zapłacił rachunek, dorzucając gotówką grubą napiwek. Kelnerka o imieniu Justyna uśmiechnęła się i przez ułamek sekundy objął go intensywny wzrok płci przyszłości. Jeśli w ogóle jakaś płęć ocaleje w globalnie bezbłędnych wylęgarniach firmy Future and Humanity.

Wyszli z knajpy na wąski chodnik. Świat istniał i czekał wyrozumiale. Chropowate powietrze objęło ich silnym ramieniem, ale nie zdołało odepchnąć mdłego zmęczenia. Mętne ciała natarczywie domagały się spokoju białych sypialni, a mózgi leniwych zakoli dziecinnej rzeki. Mimo to szukali natarczywie pretekstu, by wytrwale podążać ku celom zawieruszonym w koszmarnym bałaganie. Pragnęli udowodnić, że wytrwają, i gorączkowo szukali sposobu, by oszukać wadliwą przemianę materii, zgrzyt wątroby, jęk nerek, zduszony bełkot komór i panikę zastawek mitralnych. Szukali w pamięci ważnego miejsca, w którym ktoś na nich czeka, ale przypominali sobie tylko stolik w knajpie, w której wypili za dużo wina. Bali się, że gdy zwałą się bezwolnie w sen, ich wolne życie, bez żadnej kontroli, będzie niezauważenie przeciskać się do nicości, przepychać zwężonymi przez arteriosklerozę tętnicami przez stopy niewyraźnych wspomnień, przesiąkać przez bandaże nieważnych marzeń. Bali się, że ich anielscy i diabelscy stróżowie dogadają się ponad belami ich bezwładnych ciał, lekceważąc cynicznie ich żywotne interesy i niezbywalne prawa. Chcieli więc koniecznie, nawet nielegalnie i używając przemocy, zatrzymać przy sobie jawę. Byli pewni, że w ten sposób przeżyją coś, czego nie mogli nazwać, co w kluczowym momencie alkoholowego uniesienia zawsze oddalało się po angielsku i znikало bez śladu. Wierzyli, że właśnie dzisiaj mogą nadać życiu sens odporny na upływ czasu. A przynajmniej zyskać nad nim niewielką przewagę. Nie mogli już więcej jeść, ale picie było kwestią do rzeczowej dyskusji. Para wybuchała z obrzmiałych ust i znikala strawiona przez płytkie światło latarni. Ziemilski szukał wytrwale papierosów. Była północ. Miasto drgało w paroksyzmach sprzecznych planów. Przyśpieszało, jakby nie chciało zachować wspomnień i pragnęło wyrwać się z terażniejszości na zawsze. Jakby w ostatecznym rozrachunku liczył się tylko czas przyszły i tryb przypuszczający. Jakby chciało ubiec inne miasta i przeżyć wydarzenia, których jeszcze nie zdążył przeżyć ospały Kraków lub porządny Poznań. Ani Henryk, ani Ziemilski nie mieli ochoty ruszyć się i podejść parę metrów do pasów dla pieszych. Ruch był jednak tak duży, że musieli dłuższą chwilę czekać, aż krótka przerwa pozwoli im przejść na drugą stronę jezdni i wsiąść do czekającej taksówki.

\*

Następnego dnia Ziemilski wyciągnął Henryka na Powązki. Właściwie nie musiał go

wyciągać. Henryk niespodziewanie zgodził się bez oporu.

Białosrebrne chłodne słońce zatrzymało się nad miastem i przylepiało wszystkim słabe, blade cienie. Drzewa ukrywające w swoim gospodarstwie cmentarz podpełzały troskliwie korzeniami pod ciała pogrzebanych. Jawory, klony, jesiony wyniosłe, kasztanowce i czerwone dęby siały obficie nasiona w próchniczną, sytą ziemię, od lat próżno oczekując na potomstwo. Grobowiec był wykonany z czarnego marmuru. Gładka, lekko skośnie położona płyta z wygrawerowanym krzyżem i napisem.

- Brakuje daty śmierci - zauważył zdenerwowany Henryk. - Dlaczego nie ma daty? - prawie krzyczał.

Ziemilski położył mu dłoń na ramieniu.

- To nic, to nic. Spokojnie. Nie przejmuj się. Jakiś bydlak zapił i nie dorobił na czas daty śmierci i potem, po pogrzebie jakoś tak... Jutro wszystko będzie zrobione. Przepraszam cię, będzie w porządku. Jak człowiek czegoś sam nie dopilnuje, wszystko spieprzą.

Ziemilski dyskretnie wycofał się i zaczął taktownie przechadzać po sąsiedniej alejce.

Henryk stał przed grobem i patrzył na napis. Nie mógł opanować wewnętrznego drżenia. Wyciągnął dłonie. Nie trzęsły się. Nie próbował się modlić, nawet się nie przeżegnał. Spuścił głowę i zacisnął szczęki. Buty zagłębiły się w miękką szarą glinę przetykaną rzadkimi nitkami młodej trawy.

Myślał o ojcu jak o żywym człowieku. A jeśli jest żywy, to nie można uzupełnić daty śmierci. Nikt nie może tego zrobić. Brak daty to ostatni wykwintny numer ojca z dedykacją dla syna. Ostatnia operacja pod kryptonimem pokonać syna, mieć rację, być lepszym i przeżyć go. Udowodnić po raz setny, że jest żałośnie słaby, jest nikim, i przedłużyć mu bezterminowo pobyt w podrobionym piekle niżyżycia. Wyciągnąć jakąś korzyść z własnej wątpliwej i nieplanowanej śmierci i żyć dalej komfortowo w synowskiej głowie, panoszyć się w niej, jak zboczony sierżant w koszarach, władać snami i wpychać podstępnie w jawę. Albo go przynajmniej śmiertelnie wystraszyć.

Stężały olów lęku przygniótł Henryka do cichej ziemi. Nad nim, na starej czarnej sośnie śpiewał żółtonogi kos. Nie potrzebował wiosny ani jakiegokolwiek innego powodu. Nie czekał na odpowiedni moment. Być może zresztą moment był właściwy, by w chłodne wrześnie przedpołudnie, ot tak, dla uczczenia wysokiego powietrza i zdychającej sztuki cucić z odrętwienia czyste piękno.

## **Zapach Chmielnej**

Zapach Chmielnej

30 września

D o mieszkania rodziców, na Chmielną, wybrał się czwartego dnia po przyjeździe do Warszawy. Wczesnym przedpołudniem ulica wiodła spokojny żywot i umiarkowanie hałasując, podsumowywała wczorajszy dzień. Obowiązywał lekki pastelowy makijaż, kawa z mlekiem w dużych kubkach i pobieżnie przejrzana, luźna lista mniej ważnych porannych spraw. Na wysokości głowy wisiał w powietrzu szum umawianych półgłosem wieczornych spotkań. Karminowe szminki spoczywały na dnie torebek. Rozmowy przechodniów przez komórki były krótkie, dyskretne, restauracje przyjmowały dostawy, żebracy zaczynali dniówkę od przeszukiwania śmietników i jeszcze nie osaczali przechodniów. Białawe, obłe powietrze opadało na dachy, anteny satelitarne, samochody i sterczące kiście drzew. Ocierało się o mury i pokładało na chodnikach, jakby łamało je w kościach. Wyszukał w pęku kluczy odpowiednie trzy i otworzył zamki. Do czego są pozostałe klucze? Piwnica, jakiś garaż? Postanowił zagadnąć adwokata. Przy okazji, od niechcenia. Drzwi otworzyły się z przeraźliwym skrzypieniem jak w przyzwoitym horrorze. Uderzyło go w twarz suche, stare powietrze, trzymane długo pod kluczem bez pożywienia, nawet bez zimnej wody z solą.

Henryk mieszkał na Chmielnej sześć lat, pod koniec szkoły podstawowej i całe liceum. Potem był już tylko rzadkim gościem, kiedy przyjeżdżał z Krakowa na krótkie wizyty. Wtedy dom pachniał inaczej. Zapach domu poznałby zawsze, jak pies. Już nigdy nie będzie miał domu? Nie zanurzy się w domowym zapachu? Zatrzymał się w przedpokoju, klucze odłożył do glinianej misy stojącej na komodzie. Czas się nie cofnął, trzymał się kurczowo co do minuty dzisiejszego dnia. Popatrzył w lustro, przejechał palcem po zakurzonej powierzchni, przekreślając swoje odbicie dwukrotnie, na skos. Odwrócił się i wyszedł, starannie zamykając drzwi.

Wrócił po paru dniach, kiedy nie mógł już znieść hotelu i kiedy upewnił się, że ojciec zmarł w szpitalu. Wrzucił wszystkie rzeczy ze swojego dawnego pokoju do niebieskich dwustulitrowych worków, nie przyglądał się niczemu. Prawdopodobnie rodzice od czasu jego rozmytej wyprowadzki niczego nie dotykali. Traktowali ten pokój jak skansen lub alibi na wypadek procesu. Nie wyrzucili ani jednego śmiecia. Tu mieszkał Lenin, popatrzcie, dzieci, jaki burdel, mruknął Henryk, stojąc w drzwiach.

Wprawdzie niczego nie przeglądał, ale musiał dotykać. Odpadki z jego życia wywoływały w nim wstręt. Używał jednego pokoju. Resztę mieszkania obrastał radosny kurz, zadowolony z nowego towarzystwa. Jadł na mieście, rozkoszując się wolnością od przygotowywania posiłków, sprzątania, zmywania naczyń. Na początku zmieniał restauracje, potem wybrał status stałego bywalca. Obsługa rozpoznawała go i witała wylewnie. Kelnerki

szybko zorientowały się, że naturalna opiekuńczość, dawkowana z dyskrecją i umiarem, owocuje najwyższymi napiwkami.

## Konrad, pożegnanie

Konrad, pożegnanie lata dziewięćdziesiąte XX wieku

Swojego syna, Konrada, Henryk Harsynowicz widział ostatni raz w dniu jego piętnastych urodzin, w Toronto. Wiatr tego dnia był wyjątkowo bezwzględny, a Henryk zlekceważył jego możliwości. Ubrany w przejściową, nieocieploną kurtkę i sprane dzinsy przemarzył do szpiku kości. W trakcie jazdy taksówką z przerażeniem obserwował licznik i w końcu zażenowany poprosił kierowcę, żeby się zatrzymał. Zasoby gotówki uległy spodziewanemu wyczerpaniu. Wyraz ciemnej twarzy taksówkarza sugerował, że ten milczący mężczyzna być może nie zna angielskiego, ale niewątpliwie w jakimś innym języku, na przykład francuskim, pragnie wykrzyknąć z głębi serca hasło Liberté, Égalité, Fraternité i ze spontaniczną solidarnością uściskać ubogiego klienta.

Henryk kłął wolno i szedł szybko jeszcze dobre trzy kilometry. Podbiegał co jakiś czas, żeby się rozgrzać, ale w efekcie jedynie chudł jego zapal i z każdym przekleństwem kurczył się słaby zapas sił. Pierwszy raz po przeprowadzce Haliny wybrał się w odwiedzinach do syna i nie znał tej okolicy. Pusta i czysta ulica leżała na plecach bez śmiercionośnych śladów życia. Drzwi otworzył syn. Nie spojrzął na ojca, któremu optymistyczne „cześć, synu” ugrzęzło między zębami jak twarde włókno wołowiny.

- Muszę ci coś powiedzieć - wyrecytował Konrad do podłogi. Mówił trochę za głośno, rozciągając sylaby, jakby skandował slogany. Był imponującym młodzieńcem. Nad wiek wyrośniętym, lekko smukłym, ale z utajoną w kościach siłą. Trenował koszykówkę i miał spore szanse na stypendium sportowe w przyszłym roku. Jego ciemnoblonde włosy były ostrzyżone niemal przy skórze. Szaroniebieskie oczy oraz konstelacja ostatnich wakacyjnych piegów na nosie i policzkach przypominała, że ciągle jest dzieckiem.

- To Henryk? - Z głębi domu dobiegł głos jego byłej żony. - Zaproś do środka, przecież nie rozmawia się w drzwiach.

Odruchowo pomyślał, iż Halina obawia się, że im dłużej będzie stał przed drzwiami, tym większa szansa, że sąsiedzi zobaczą byle jakiego faceta, który w dodatku przyszedł piechotą. Mieszkała od niedawna w tej drogiej dzielnicy i dobra opinia sąsiadów była istotnym celem jej stosunków międzynarodowych.

- Zamykaj szybko, bo kompromituję matkę. - Wchodząc, podał synowi książkę.

- Wiesz, że nie czytam po polsku, prawda? Po co mi to przyniosłeś? - Konrad

wyciągnął książkę w kierunku ojca, ledwie rzuciwszy na nią wzrokiem.

- Co ci szkodzi być dwujęzycznym? - Henryk starał się mówić swobodnie. - To cię może tylko wzbogacić, a na pewno w niczym nie przeszkodzi.

Zanim skończył zdanie, zrozumiał, że używa niezrozumiałych argumentów. Konrad usłyszał, co ojciec mamrocze.

- Jest mi wszystko jedno, kim jestem - odparował. - Narodowość w dzisiejszych czasach nie ma znaczenia. A jeśli już mam koniecznie odpowiedzieć na takie pytanie, to proszę bardzo - czuję się Kanadyjczykiem. Tu się urodziłem... żadna Polska nie jest... a zresztą posłuchaj. Skończyłem piętnaście lat i mam prawo zdecydować...

- Jeszcze nie skończyłeś, urodziłeś się o dwudziestej pierwszej trzy...

- Ojciec!

To nie zbędny prezent zdenerwował Konrada. W odmowie przyjęcia książki brak było charakterystycznego tonu pobłażliwego lekceważenia. Twarz miał wyraźnie spiętą, sztywną jak tektura.

- Moja decyzja jest taka - Konrad przyjął ton skacowanego przewodniczącego parlamentu. - Nie będziemy się od dzisiaj widywać. Tak zdecydowałem, mam prawo. Nikt mnie nie zmuszał, nie namawiał. I nie chcę o tym dyskutować. Fakty są takie, że jesteśmy sobie obcy. Nie ma co udawać. Obludy nienawidzę.

Głos nagle pękł na dwoje i dwa ostatnie słowa wypowiedział dziecinnym dyszkantem, załamującym się i piszczącym, jak styropian pocierany o szkło.

Wciągnął głębiej powietrze i zadowolony, że sobie przypomniał, dodał:

- Tak będzie lepiej dla nas obu.

Sprawdził jeszcze raz, czy powiedział wszystko zgodnie z planem. Rzucił krótkie spojrzenie na matkę i zaraz opuścił wzrok. Starał się mówić poważnie, z namaszczeniem, ale mimo woli śpieszył się i potykał. Musiał długo przygotowywać się do tej rozmowy, jak do ważnego meczu.

Do salonu weszła Halina. Wyglądała młodo, kwitnąco, może zbyt kwitnąco i zbyt młodo. Pomyślał o jej szyi, gładziej niż cztery tygodnie temu, gdy ją widział w kawiarni. Wokół oczu skóra była napięta do granic wytrzymałości. Gdzie te kurze łapki dobiegające do połowy policzków, zwłaszcza gdy była zmęczona? Wstrzyknięty botoks czy operacja?

- Jak to obcy? Przecież... - Henryk bezsilnie miał słowa w ustach.

- Jesteśmy po prostu dobrymi znajomymi. Nie jestem twoim synem, nie musimy, ja nie muszę i nie chcę się w to... - Konrad urwał, miał coraz mniej sił.

- Nie jesteś? To kim jesteś, do jasnej Anielki? Kto ci naopowiadał takich...

Przeniósł wzrok na Halinę. Poczuł, że ktoś wypycha go na ring, do walki z dwa razy cięższym zawodnikiem. Opierał się, szarpał, ale milcząca publiczność patrzyła na niego z taką pogardą, z takim bezbrzeżnym potępieniem, że nie mógł stchórzyć. Pozostało mu czekać na gong, masakrę, karetkę, kroplówkę, a potem kalectwo i życie z wyciągniętą ręką pod kościołem. Jako dziecko miał opinię lalusia i maminsynka, bo za wszelką cenę unikał awantur i bijatyk. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych były to jeszcze pojedynki według jasnych reguł. Na boksy lub, jak się wtedy mówiło, na wywracanki. Potem, pod wpływem telewizji, zasady zanikły. Pamiętał, jak krąg obserwujących pojedynk chłopców nie zareagował, gdy przyduszony do ziemi, słabszy z walczących zaczął gryźć przeciwnika w brzuch. Ciemna plama krwi rosła na koszuli. Było po walce. Halina patrzyła na niego, jakby ją ugryzł w brzuch. Albo raczej jakby ona miała go za chwilę ugryźć. Ten wzrok ją wyzwalał. Umożliwiał unicestwienie przeszłości i panowanie nad byłym mężem. Gdy go spostrzegł, nie myślał już o walce. Wcześniej, zanim się ożenił, nie dostrzegł nawet zapowiedzi tego spojrzenia.

- Jak mogłaś... - Chciał zaprotestować stanowczo, ale wyszedł z tego szept. Schrypnięty wstęp do szeptu.

- Uspokój się. - Wydawało się, że Halina mówiła ostro, ale to było tylko politowanie. Na jej policzki i szyję spod warstwy fluidu wypełził lekki rumieniec. - Prawda jest, jaka jest. A prawda przecież jest najważniejsza!

Boże, jęknął w duchu Henryk, oszczędź... Bóg nie interweniował, Halina kontynuowała.

- Konrad jest synem Eryka. Nie twoim. Mam wrażenie, że wiedziałeś o tym. Albo przynajmniej się domyślałeś. To oznacza, że chłopak ma w domu oboje rodziców i nie dziwię się, że nie chce się z tobą spotykać. To zresztą byłoby chore, mieszkać z prawdziwym ojcem, traktując go jak obcego, i spotykać się od czasu do czasu z obcym facetem, traktując go jak prawdziwego ojca. Zaręczam, że to, co mówi, jest świętą prawdą. Decyzję podjął sam. Rozmawiałam z nim o tym wszystkim, dopiero gdy zakomunikował nam swoją decyzję. Mnie i Erykowi. Może wiesz, a jak nie wiesz, to cię informuję, że jest to zgodne z kanadyjskim prawem. Nic nie poradzisz. Nie próbuj. Nie wysilaj się. Szkoda czasu i atłasu.

Wiem, że kłamie, pomyślał Henryk. Musiała najpierw powiedzieć Konradowi, że jego ojcem jest Eryk, facet, z którym spotykała się, zanim go rzuciła. Podpuściła chłopaka do zerwania z „dotychczasowym ojcem”, wyjaśniając przepisy obowiązujące w Kanadzie, ograniczające władzę rodzicielską na rzecz jeszcze niepełnoletnich dzieci. To musiało silnie podziałać na ambicję dążącego do niezależności piętnastolatka. Dała mu szansę stania się



dorośli natychmiast, z dnia na dzień, za śmieszłą cenę upokorzenia i odcięcia się od faceta, którego Konrad nie potrzebował tak czy inaczej i trochę się wstydział. Byłego ojca, biedaka bez pozycji, dziwaka z polskiego getta, pochłoniętego żalonymi, niezrozumiałymi problemami. Outsidera, za którego alimenty płacił dziadek z Polski, w końcu kraju dość biednego. Halina uważała, że polskie pochodzenie i wszystko, co się z nim łączy, jest dla syna zbędnym balastem. A Henryk niezbyt energicznie, ale w zastanawiająco uporczywy sposób pozostawał Polakiem. Może dlatego, że nie umiał być kimś innym. Co czuł naprawdę, nikt tego nie wiedział. Eryk dawał Konradowi kanadyjskie nazwisko i automatycznie inną jakość obywatelstwa. Skończą się pytania: pochodzisz z Europy Wschodniej czy z Rosji? Bo to nazwisko... Halina sprawnie przeprowadziła całą operację. Może to i dobrze dla Konrada?

Jednak Henryk z masochistycznym zacięciem parł do samouniżenia.

- Zaraz, zaraz. Jak to nie jest moim synem? Czego się miałem niby domyślać? Tyle lat był mój, a od dzisiaj nie jest? To paranoja! Co za pranie mózgu mu zrobiłaś! Nie mogę w to... przecież jest do mnie podobny, wszyscy to mówili.

- Chcieli być mili, to mówili. Prawdę mówiąc, tylko ty, nie wiedząc czemu, uważasz, że jesteście podobni. Teraz posłuchaj. Konradowi zależy, a nie ukrywam, że nam również, Erykowi i mnie, na wyprostowaniu tych spraw. Raz na zawsze. Będziemy się musieli spotkać jeszcze raz czy dwa i podpisać trochę papierów. To ma związek z jego szansami na koszykarskie stypendium. Chyba nie chcesz niszczyć kariery własnemu... chciałam powiedzieć, że Konradowi na tym bardzo zależy. Mam nadzieję, że nie będziesz przeszkadzał w ważnym dla chłopaka momencie. Schowaj swój egoizm na inną okazję.

Usiłowała pogłaskać Konrada po głowie, ale ten zrobił szybki unik. Kogo chłopak uważał za ojca, było jego marną tajemnicą, którą wepchnął w tylną kieszeń luźnych dżinsów. Chciał uwolnić się od matki. Od babskowścibskiej ambicji kierowania jego życiem, którą myliła z troską, a może nawet z miłością. Wykorzystał jej plan. Walczył o luźny kawałek parkietu, by rzucić za trzy punkty, o wolność.

- Ja? Oczywiście, że nie chcę mu niszczyć kariery - zaprzeczył gwałtownie Henryk, myśląc, że stracił ostatnią szansę, bo następnej okazji do okazania egoizmu już nie będzie. - Tak, tak, nie chcę. Ale co to ma wspólnego z tym, kto jest jego ojcem i dlaczego mam być obcy?

- Mówię ci jak komu normalnemu. - Halina traciła swój największy atut, spokój. - Konrad nie jest twoim synem. Jako matka mam na ten temat jakieś pojęcie i chyba najwięcej do powiedzenia. Chcesz wojny? Chcesz sprawdzać ojcostwo? Konrad nie chce, byś był jego ojcem, rozumiesz? Dotarło to do ciebie?! Czy do tego trzeba jeszcze coś dodawać?

Henryk mógł zażądać sprawdzenia ojcostwa, ale w imię jakiego planu? Jakiej oferty dla syna? Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Konrad jest jego synem, ale uznał wyższość pomysłu Haliny. Wycofał się z poczuciem idiotycznego, zatrutego poświęcenia.

Cała trójka rozmawiała, stojąc w salonie. Stali, nie patrząc na siebie, dysząc jak psy, które wyczerpane przerwały zabawę lub walkę. Henrykowi wyszło w ustach. Pod ścianą stał stolik pełny kolorowych butelek. Chromowane nóżki, grube matowe szkło. Ohyda, szpital, pomyślał. Ruszył, potknął się, ale utrzymał równowagę. Z pierwszej lepszej butelki nalał połowę szklanki.

- Spokojnie, nic się nie dzieje. Pijesz czystą wódkę? Przecież nie lubisz. Już ci nie szkodzi?

Halina wystraszyła się, obejrzała odruchowo w stronę drzwi. Potem popatrzyła na telefon. Eryk powinien już być w domu, ale się spóźnił.

Henryk poczuł pieczenie w gardle, później w żołądku.

Co za syf. Po co piję? I natychmiast opuściła go myśl zostania kloszardemalkoholikiem, tak kusząca jeszcze przed momentem. Dopił, odstawił szklankę i z butelką w prawej dłoni skierował się do wyjścia. Zdecydowanym ruchem otworzył drzwi i pozostawiając je otwarte, ruszył na ukos, przez trawnik. Noski zniszczonych półbutów nasiąkały kroplami wilgoci i oblepiały je poszatkowane źdźbła niedawno skoszonej trawy. Szara wiewiórka przeskoczyła z sosny na tulipanowiec. Z tulipanowca spadł ciemnożółty liść, za nim poszybował drugi, rdzawy, o odcieniu palonej sieni.

Dokumenty podpisał. Od ostatniego spotkania w gabinecie sędziego rodzinnego nie widział już Haliny i Konrada. Pracował nad wykreśleniem ich z pamięci. Dążył do pełnej samotności. Zmiany w swoim życiu traktował jak oczyszczającą kurację. Chciał osiągnąć stan organizmu jak po wielomiesięcznym poście i wyrzuceniu z siebie ton zgromadzonych przez lata toksyn. Zaprzyjaźniał się ze śmiercią. Starał się sumiennie umierać, w każdej chwili, bez bumelek, ucieczek i lewych zwolnień.

## **Sztuka negocjacji**

Sztuka negocjacji

1 października

Zaaranżowane przez de Vernona spotkanie z przyjaciółmi ojca, a właściwie z ich przedstawicielem, odbyło się na pierwszym piętrze międzywojennej willi, przekształconej na początku lat dziewięćdziesiątych w wykwintną restaurację. Politurowane, solidne, ciężkie stoły, krzesła, serwantki, kredensy i komody. Dąb, orzech i palisander.

Siedzieli we trzech: Henryk, Ksawery de Vernon oraz młodszy od adwokata, wysoki mężczyzna. Do szpakowatych wąsów przyczepioną miał niewyraźną twarz, która mogła służyć jako futerał na coś ciekawszego lub do zacierania śladów po niewielkich szwindlach. Adwokat zwracał się do wąsów „generale”. Gdy Henryk wszedł, ich właściciel odruchowo poprawił włosy gładko zaczesane do góry (odrobina żelu?) i wyprostował się sprężysto. Czeliński, Czekiński, Czempliński? Nazwisko wymówił niewyraźnie, jak przystało na tajniaka. Henryk widział go w jakimś programie informacyjnym. Uniżenie wypytywany przez dziennikarza, występował jako ekspert od terroryzmu. Uśmiechał się tajemniczo i dawał do zrozumienia, że zna tony fascynujących tajemnic, ale absolutnie nie może ich ujawnić ot tak, w studio, bez powodu i w dodatku bez ustalenia honorarium. Ten wie, jak działa terroryzm, pewnie za komuny pił z Carlosem w Warszawie. Jeśli oczywiście Stasi pozwoliła mu skoczyć po wódkę. Jednak burzliwy rozkwit sklerozy nie pozwolił Henrykowi zapamiętać, jak się popularny szpieg nazywał.

Mężczyźni, nie śpiesząc się, jedli przystawki i popijali piemonckie Barolo Serralunga Rivetto. Rozmowa była próbą generalną harcówników na moment przed skierowaniem do boju zasadniczych sił. Wino rozrzedzało krew, krew nabierała prędkości. W ramach niezobowiązującej, zdystansowanej wymiany zdań liczyło się jednak każde zwycięstwo. Nawet nieduże, niewiele znaczące skrytobójstwo, podpalenie zabitej dechami wiochy lub zajęcie radiostacji smakowało jak dobry aperitif. Obsługa zniknęła, przyjąwszy wcześniej zamówienie. Goście wzięli na siebie trudny obowiązek nalewania wina. Generał, podczas żartobliwej rozmowy, zdradził co najmniej dwie tajemnice państwowe, których zresztą, pozostając poza służbą, nie miał prawa znać, a może faktycznie nie znał. Adwokat w rewanżu opowiedział anegdotę o młodych warszawskich sędziach. Śmiali się obaj serdecznie. Generał kiwał głową, wyrażając aprobatę dla sztuki narracyjnej adwokata.

Henryk milczał. Był napięty jak membrana werbla. Uśmiechał się tajemniczo, sądząc, że demonstruje w ten sposób pewność siebie i zachowuje nieograniczone pole manewru. Wycierał pieczołowicie chlebem sos z talerza. Dokładnie, centymetr po centymetrze, do czysta. Długo, z udawanym znawstwem oglądał pod światło wino w kolorze głębokiego granatu i ceglanych kwiatów pigwowca. W każdej chwili spodziewał się ciosu. Im bardziej konfidencko i przyjacielsko rozmawiali, tym bardziej nieznośne stawało się oczekiwanie na atak. Wrażenie było tak silne, że chwilami pochylał głowę, zaciskał powieki i przez sekundę, dwie czekał. Zadzwonił telefon adwokata.

- Panowie - de Vernon wygłosił komunikat, jakby ni stąd, ni zowąd został swoim własnym rzecznikiem. - Ojczyzna wzywa. Nie mam najmniejszego pola manewru. Muszę

was opuścić. Dacie sobie świetnie radę beze mnie, prawda? Rachunek biorę na siebie. W ramach przeprosin.

Łgał jak przysłowiowy rzecznik kata, obiecujący ofiarom podwyżki emerytur. Jego rejterada była tak zaskakująca, że generał odsłonił się na moment. O co chodzi? Na którą bramkę strzelasz, zdawało się z niedowierzaniem mówić jego spojrzenie. Nie był zbyt wzburzony, ale nie lubił, by ktoś go zaskakiwał. Zostali sami i Henryk poczuł się jeszcze mniej pewnie. Poleje się krew. Moja niewinna krew, pomyślał.

Generał delektował się winem.

- Miałem nadzieję, że nie dojdzie do tego spotkania - zaczął wolno, rozwlekając słowa i muskając delikatnie wąsy. - To znaczy, proszę mnie dobrze zrozumieć - dodał szybko z ujmującym uśmiechem. - Miło mi poznać pana i chwilę pogawędzić. Miałem na myśli moje uzasadnione oczekiwanie, że bez zbędnej zwłoki podpiszemy umowy przedstawione panu przez mecenasa i pozostaniemy przyjaciółmi gotowymi nieść sobie pomoc. Po rycersku. Tak, jak to było z pana ojcem.

Można było wychwycić niewielkie wahanie przed słowem „ojciec” i niemal usłyszeć formułkę „świętej pamięci”.

- Dlaczego miałbym się przyjaźnić z generałami bezpieczeństwa?

Henryk odparował, jak sam ocenił, zbyt agresywnie, wychodząc poza etykietę, zdradzając amatersko emocje. W dodatku wypowiedział to zdanie, w kontrze do treści, głosem cichym jak echo spowiedzi. Czemu tak szepczę, do jasnej cholery? Głos mu drżał. Generał musiał to zauważyć. Henryk wpadł w przygnębienie, widząc, że jego pozycja negocjacyjna słabnie szybko jak umykająca przed wilkami sarna.

- Mówi pan: Służba Bezpieczeństwa. - Generał zaprezentował kolejny uśmiech słabo przyklejony do warg. - To było przed wiekami. W czasach, których nikt już nie chce pamiętać. Poza panem, jak się okazuje. Ale było coś takiego. Nawiasem mówiąc, czy istniał kiedykolwiek kraj pozbawiony służb specjalnych? Słyszał pan o takim przypadku? A przy okazji, przed osiemdziesiątym dziewiątym dosłużyłem się tylko stopnia majora. To niepodległa Rzeczpospolita obdarzyła mnie zaufaniem i to pracując dla niej, dosłużyłem się generalskiego wężyka. Baretek nie noszę po cywilnemu, ale proszę mi wierzyć, trochę się uzbierało. Także amerykańskich. I natowskich. Tuszę więc, że służyłem z pożytkiem dla kraju i naszych sojuszników. To gwoli ścisłości moich danych biograficznych - generał westchnął na dowód niemal rodzicielskiej wyrozumiałości. - I od razu, pozostając przy kwestiach biografii, przejdźmy do naszych spraw. A szczegółowiej rzecz ujmując, do pańskiej rodziny. - Przez twarz generała znowu przemknął uśmiech. Na poły ironiczny, na

poły wyrażający rozczarowanie z powodu odrzucenia bezinteresownej oferty przyjaźni.

- Ja, jak pan widzi, nie mam nic do ukrycia. Otwarcie mogę spojrzeć każdemu w oczy. On natomiast, mam na myśli pańskiego tatę, coś niecoś ze swojej aktywności musiał schować w szafie. W szafie Lesiaka, he, he. Żartowałem, przepraszam. Chcę powiedzieć, że pański ojciec musiał w opisie swoich działań dyskretnie zmienić proporcje, nieznacznie podkolorować kontekst, pozamieniać głowy bohaterom. Ot, chcąc być nowoczesnym, powiem, że dokonał dekonstrukcji swojego życia i dziejów instytucji, w której pracował. Jednych przyjaciół ukrył w cieniu, innymi wymachiwał wszystkim przed oczami. To zresztą nie miało wpływu na jakość naszej honorowej, dżentelmeńskiej współpracy, na poczucie oficerskiej lojalności no i, rzecz jasna, na końcowy sukces. Pan się orientuje, mimo dość długiej nieobecności w kraju, że ojciec odniósł sukces, prawda? Ja pragnę oświadczyć, że w moim przekonaniu był wybitnym oficerem, człowiekiem wielkiego ducha. Sam wiele mu zawdzięczam. Ale wie pan, żyjemy w parszywych czasach, w których, mówiąc oględnie, takich ludzi się mistyfikuje i niedocenia. Pewnie chce pan zapytać, dlaczego w takim razie nie było go w raporcie tego nawiedzonego pravicowego psychopaty? Chociaż nazwisko pada raz czy dwa razy. Pierwszy raz w przypisach, drugi w tabelce ewidencyjnej. Nie pyta pan? Oczywiście, że mógłby się w nim znaleźć obficie, że się tak wyrażę. Ale był zbyt dobry, żeby taki nierozgarnięty katol i jego harcerzyki mogli wywęszyć o nim coś konkretnego. A jeśli coś wyszperali - żeby potrafili opowiedzieć. Wiedzieć i powiedzieć - to dwie zasadniczo różne rzeczy. Tatusz był zawodowcem w każdym calu. Nawet na emeryturze i podłączony do kroplówki zbyt wiele nitek trzymał w ręku i zbyt umiejętnie nimi pociągał, żeby taki amator jabłek z księżego sadu mógł go namierzyć i przyszpilić jak motyla na planszy. Powiem wprost, dusza Oddziału Y to nie mógł być byle kto - generał przerwał na moment. Chciał się przekonać, czy Henryk zrozumiał, o czym mowa, a jeśli zrozumiał, dać mu chwilę na refleksję natury ogólnej. - Prawdę mówiąc, tatusz nie chwalił się również swoim wkładem w sprawy znane z mediów, no, przynajmniej częściowo. Kładę nacisk na słowo „częściowo”. Słyszał pan na przykład o FOZZ? Przepraszam za to pytanie, wszyscy coś niecoś o tym wiemy. Mówiąc krótko i nie wdając się w szczegóły, John Le Carré musiałby żyć jeszcze sto lat, żeby opisać dokonania pułkownika Józefa Harsynowicza.

Henryk nigdy nie był szantażowany, zwłaszcza tak przyjaźnie, łagodnie i elegancko. Milczał, czekał, aż generał wystrzeli ostatni nabój.

Słuchać i milczeć - tę instrukcję łamał często w trakcie trudnych rozmów. Tym razem milczał bez trudu. Tak czy inaczej, nie mógł nic z siebie wydusić.

- Chce pan, żebym się wystrzelał. Wyczerpał amunicję. Pan rozpozna moje pozycje i

ruszy do kontraktaku? Pokona mnie wtedy gołymi rękami? Nic z tego, miły panie.

Generał mówił swobodnie, nonszalancko. Bawił się nieudolnie ukrywaną słabością Henryka, obserwowaniem przewidywalnych reakcji amatora, który pierwszy raz widzi rosyjską ruletkę na żywo. Był zde gustowany koniecznością odniesienia nad nim zwycięstwa i nudził się. Patrzył na niego spod półprzymkniętych powiek, opuszczał je wolno co chwilę i przez sekundę zatrzymywał zamknięte, jakby atakowało go zmęczenie nawarstwione podczas setek takich rozmów. Na jego nozdrzach zaświeciły przez chwilę drobne kropelki potu. Jesienne osłabienie, cukrzyca?

- To make long story short - kontynuował oficer. - Był pan jedynakiem, zapewne rozpieszczanym nad miarę, na ile to było oczywiście możliwe w tamtych niełatwych czasach. Później przyszedł czas na prawdę czasu i prawdę ekranu. Pana żona i dzieci uwłaszczyły się na własnym życiu, dokonały pokojowej transformacji ustrojowej i przenieśli się do raju podatkowego poza zasięg pańskich służb. A pan został z VATem do zapłacenia - Panu Bogu i przeszłości. Jeśli coś panu naprawdę zostało na tym i na tamtym świecie, bo tamten świat, pod wieloma względami, nie różni się od tego, więc jeśli ma pan coś, co należy tylko do pana, to jest to pański ojciec. Ojciec jest pana historią i korzeniem wpuszczonym, że się tak wyrażę, w życie. I śmierć. Jest, jak to się teraz mówi, jedyną narracją, w której występuje pan jako pozytywny bohater, lub jakikolwiek bohater, jedyna nadzieja białych, szczęśliwe zakończenie nieszczęśliwych wypadków. Pułkownik jest pana przeszłością i przyszłością. Sporo panu zostawił, prawda?

Generał jeszcze raz, opuszkami palców prawej dłoni, delikatnie dotknął wąsów, jakby zwątpił w ich nieskazitelny wygląd lub przypomniał sobie coś, co wymagało chwili refleksji. Następnie przesunął na bok niski wazonik z kwiatami i położył na stole papierową teczkę spiętą gumką. Miała spłowieć zielony kolor i duży, wykaligrafowany ołówkiem napis: JH.

- Niech pan przejrzy i po namyśle zdecyduje, czy życzy pan sobie, żeby te dokumenty miały szersze grono czytelników. Są niezli eksperci, co je zinterpretują, dopowiedzą zakończenia wątków, rozwiną inicjały i rozszyfrują pseudonimy. Pion śledczy IPN też by mógł rozwinąć skrzydła w oparciu o te materiały, bo podejrzewam, że może ich przypadkiem nie posiadać. No, z tymi skrzydłami to przesadziłem, tam gniazdują raczej nietoty, chore na padaczkę brojlery. Ale cóż, nie na wszystko mam wystarczający wpływ - zaśmiał się zimno. - Chcę, żeby pan wiedział, iż mimo wszystko pragnę, byśmy pozostali przyjaciółmi. Zbyt głęboki szacunek żywię do pułkownika. Musi pan jednak, pardon, proszę, aby pan wziął pod uwagę, że nie tylko moje zdanie się liczy. I nie tylko ja mam te papiery. Cóż, wybraliśmy wspólnie wolność i pluralizm. Wytęsknioną przez nas wszystkich demokrację. Walczyliśmy o

nią, na różne sposoby, ale jest przecież osiągnięciem całego społeczeństwa. - Generał przerwał, wyglądał, jakby na chwilę oddał się kombatantkim wzruszeniom. - Rozmawiam z panem, bo nie sądzę, żebym mógł nadal powstrzymywać różnych, kąpanych w gorącej wodzie, radykałów. O tak, wszędzie tacy się wkręca. Chociaż, szczerze mówiąc, nie o czyjekolwiek zdanie czy samopoczucie tu chodzi, ale o poważne interesy. Nic nie można na to poradzić, krążymy wokół forsy jak Ziemia wokół Słońca. Pieniądz ma kosmiczną siłę przyciągania i niszczy opór. Każdy opór. Pieniądz i informacja. Dysponujemy jednym i drugim. Musi pan zdecydować, czy wykaże pan dobrą wolę i otwartość, czy chce się pan denerwować, zakłócać sen, narażać serce i żołądek. A może zechce pan znowu wywiać z Polski? Po co? Mamy w Polsce tyle do zbudowania, panie Henryku. Nie tylko autostrady. Państwo trzeba wzmocnić. Fundament i konstrukcja są solidne, trzeba je wypełnić poważną praktyką, siłą instytucji, filozofią kompromisu. Trzeba łączyć, jednoczyć, spajać. Przyszłe pokolenia będą nam za to stawiać pomniki.

Generał wstał, skłonił głowę, położył na stole swoją wizytówkę i ruszył do wyjścia sprężystym, młodzieńczym krokiem. W drzwiach odwrócił się.

- Możemy być w kontakcie także za pośrednictwem nieocenionego pana mecenasa.

Henryk popatrzył na wizytówkę. Rozpoznał nazwę globalnej firmy prawniczej, z siedzibą w Nowym Jorku. Postanowił dopić wino. Zostało dobre pół butelki, przecież nigdzie się nie śpieszy. Zdjął gumkę, otworzył teczkę i położył dłoń na szarobrazowej plamie dokumentu w języku rosyjskim. Gdy sięgnął po kieliszek z winem, kartka przyłgnęła do wilgotnej skóry. Potrząsnął ręką gwałtownie, ze wstrętem, jak pies strząsający wodę z sierści. Kartka zakółsała się i bezszelestnie spłynęła w dół. Wylądowała bezpiecznie pod stołem i musiał wpełznąć pod blat na czworakach, żeby ją wydostać. Gdy sięgał po nią, wściekły jak nadeprzyty grzechotnik, usłyszał głos kelnera pytającego, czy jeszcze sobie czegoś życzy.

W taksówce patrzył machinalnie przez okno, słuchając piąte przez dziesiąte wiadomości radiowych. Donoszono, że początek jesieni, tak jak koniec lata, jest wyjątkowo suchy, w wielu rejonach kraju na wsiach wysychają studnie. Wodę dowożą strażacy na koszt gmin. Dochodzi do gorszących sporów przy beczkowozach. Wysiadł na Szpitalnej. Wino, jak każdy alkohol, wprowadzało go w mętny, euforycznodepresyjny nastrój. Teczkę rzucił na stół, sam opadł na fotel. Nie zastanawiał się, co pleśniej w generalskiej teczce. Było mu to całkowicie obojętne. Chciał się zdrzemnąć, ale nie zdecydował się wstać i przejść do łóżka. Pozostał w fotelu z wirującym w całym ciele winem, z ciepłym bezwładem w głowie, z niewzruszonym planem, by nic nie robić, niczemu nie przeciwdziałać. Nie ruszać się z fotela. Wcale się nie poruszać. Był pewien, że dopóki pozostanie w fotelu, nikt nie jest w stanie go

skrzywdzić. Zostanie w nim, nie tracąc energii. W każdym razie nikt go nie osiągnie za pomocą jakiegokolwiek i czyjejkolwiek przeszłości. Prawdziwej czy sfabrykowanej. Zwłaszcza przeszłości ojca. Czuł zmęczoną pogardę do wszystkich i wszystkiego. Generała nie wyróżniał.

Wezmę pieniądze ojca, pomyślał. Co do grosika. Każdego jena, juana i czerwonego rubla. Spuchnięte do granic możliwości euro i zbrukanego nadmiarem dwutlenku węgla reala, dolara zbryzganego krwią nieletnich bojowników ruchów narodowyzwoleńczych i obrzydliwego funta, wypłacanego mordercom szlachetnych rycerzy AlKaidy. Za pomocą akcji na okaziciela wycisnę ostatnią kroplę potu ze skazańców tyrających w kopalniach południowych Chin i śniegach Magadanu. Odetnę cynicznie kupon od najobrzydliwszych przewalów KGB, Mosadu i CIA. Niezawiniona krzywda ludzka, niewolnicza praca głodujących dzieci, harówka zrozpaczonych matek da mi chamskie szczęście i nieograniczone możliwości szastania szmałem. Będę bydlakiem, amoralnym krwiopijcą i cynicznym wyzyskiwaczem. Zawsze chciałem zostać kimś takim. Pluję na moralność, dobro wspólne, etykę biznesu i solidarność międzyludzką. Skreślam przykazania „nie kradnij” i „nie zabijaj”. W dupie mam współczucie i poświęcenie dla innych. Tak, kurwa wasza mać, będę szczęśliwy. Będę gnił i czerpał z tego radość. Będę się delektował fascynującym smrodem wewnętrznego gnicia. Ale tym razem to ja będę się śmiał. To moje będzie przed grobem zwycięstwo. Stanę na Akropolu, z butelką najdroższego koniaku świata, albo wina, bo koniak mi szkodzi, i będę szczał na tych na dole. Na czyste sumienia wszystkich przegranych. Takich kutasów, jakim ja byłem dotąd. Teraz będę na górze. Stanę z palcem na ustach na szczycie globu i będę szczał na brudnych sprzątaczy placów na dole, gdzie jest czarno od mioteł, łopat i panuje głód. Bo teraz jestem cholernym szczęściarzem na górze.

\*

Dokumenty przejrzał kilka dni później. Wrócił na rauszu, wesolutki, usiadł przy biurku i bezmyślnie otworzył teczkę. Pierwszy dokument zawierający nazwisko ojca odłożył i zaczął przeglądać pozostałe. Papiery dotyczyły Henryka Harsynowicza, syna Józefa i Tamary z domu Nosenko, i pochodziły z lat siedemdziesiątych. Zawierały różnego kalibru informacje na temat zagranicznych dziennikarzy, charakterystyki ludzi pracujących w Interpressie, jedną analizę sytuacji społeczno-politycznej i drobne notatki przekazywane redaktorowi Krywakowi (był wtedy jego bezpośrednim przełożonym w Interpressie). Z lektury wynikało, że nazwiska Krywak używał Jan Florek, oficer Oddziału II Wojskowej Służby Wewnętrznej, w stopniu kapitana. Henryk przeglądał, czytał, zatrzymywał się, zastanawiał. Nie pamiętał zbyt dokładnie ani ludzi, ani epizodów, o których mówiły dokumenty. Wydawało mu się nawet, że



nie pamięta zbyt wyraźnie, czy sam wtedy istniał. Czy był dziennikarzem i czy nosił pseudonim Harsynowicz. Miał nadzieję, spodziewał się, że lada chwila wszystko się wyjaśni, że milion lat temu był kimś innym, w innym miejscu, i stopy dokumentów wykażą to niezbicie. W każdym razie nie podpisał zobowiązania do współpracy. Nie miał pseudonimu. To, czego dotyczyły papiery, wykonywał w ramach obowiązków służbowych. Nie zastanawiając się, odpowiadał raz ustnie, raz pisemnie na poważne i błahe pytania Krywaka.

Oprócz kopii wypocin Henryka, spisanych niestety własną ręką, jego dzieła wybrane z wczesnego okresu twórczości cytowane były obficie w raportach KrywakaFlorka dla przełożonych i uwzględniane w zbiorczych raportach przełożonych dla swoich przełożonych. Dokumenty pochodziły z archiwum wywiadu wojskowego. Nadal były tajne.

Henryk z nadzwyczajnym spokojem ocenił, że skoro z jakichś powodów współnikom tak bardzo zależy na kupnie jego pakietu akcji, to raczej będą cierpliwie czekać, niż pochopnie uderzą. W każdym razie nie zaatakują natychmiast. A więc mam czas, pomyślał, i nie powinienem łatwo ulegać wymuskanemu, jak mu tam, generałowi. Dlaczego zresztą mam się przejmować papierami w ogóle? Czy zrobiłem komuś krzywdę? Żyłem tak, jak dało się żyć. Jak wszyscy. Muszę kiedyś jeszcze raz to wszystko przeczytać. Zastanowić się. Zastanowić się i przemyśleć. A teraz spać, spać, spać.

\*

Mecenas de Vernon niecierpliwił się. Prawdopodobnie drugi raz w życiu uległ słabości, która naruszyła jego żelazną wolę panowania nad pionkami, figurami, producentami szachownic oraz dostawcami drewna. Dotychczas jedyny raz przeżywał podobny niemożliwie nieważki stan, gdy miał szesnaście lat i zakochał się w matce Joli, koleżanki z klasy. Trzydziestoparoletnia kobieta, znudzona do samego dna istnienia, huśtała z lubością jego uczuciami, marzeniami, snami, majakami i polucjami. Uwodziła go, jakby był trudnym do zdobycia dziedzicem rodowej fortuny lub młodym Gregorym Peckiem, a po chwili szczypała w policzek i głaskała po głowie jak prymusa pierwszoklasistę. Pewnego popołudnia, gdy przyniósł pożyczony zeszyt, a Jola gdzieś wybiegła, jej mama tak długo i niezgrabnie poprawiała kusy szlafroczek, aż z satysfakcją zauważyła, że zielony de Vernon dojrzał, poczerwieniał i nabrzmiał. Wtedy wstała, ale zamiast rozebrać się do końca, rzuciła z bezlitosnym uśmiechem:

- No leć już, Ksawuś. Przecież jutro klasówka z przyrody. Z rozmnażania pantofelków. Powtórz to sobie.

Natarczywość, z jaką mecenas nagabywał Harsynowicza, naruszała etykietę, styl, stosunki bilateralne, reguły negocjacji, klimat społeczny i estetykę współżycia. Niesmaczna

sytuacja rozstroiła mecenasowi nerwy. Dygotał jak roztrzęsione klimakterium lub rozstrojony akordeon. W sprawie transakcji z Henrykiem najwyraźniej nie był scenarzystą.

Harsynowicz nie stawiał już oporu. Zwlekał jedynie ze złożeniem podpisu. Zakładał, że najlepiej byłoby sprzedać szarym typkom tajemnicze akcje, nie drażnić tematu i nie węszyć spisku. Coś jednak powstrzymywało go od podjęcia ostatecznej decyzji. Niepokój o wynik gry na zwłokę był mniejszy niż niejasna, tłumiona nieskutecznie pokusa, by sprawy nie zamykać i podtrzymywać ogień pod płytą. W czasie jednej z telefonicznych rozmów z de Vernonem - nawiasem mówiąc, był przekonany, że mecenas nie jest sam - rzucił beztrzesko:

- Nie.

- To znaczy? - zapytał adwokat.

- Nie jestem gotowy do podjęcia decyzji. Proszę mnie zrozumieć i nie naciskać. Generalnie zgadzam się na waszą propozycję. Ale dajcie mi chwilę, muszę się z tym wszystkim oswoić.

## **Karolina, nadzieja**

Karolina, nadzieja koniec XX wieku

Henryk siedział w radio. Gdy odebrał telefon, usłyszał głos swojej córki, prawie dwudziestoletniej Karoliny. Nie rozmawiał z nią już od długiego czasu.

- Współczuję, tato. W związku z Konradem.

Pomyślał, że Karolina ostatni raz współczuła w wieku lat trzech pewnemu utopionemu pisklęciu huśtanemu beznamiętnie przez niemal niewidoczne fale potężnego jeziora.

Resztki jej spontanicznych reakcji wyparowały, gdy zaczęła miesiączkować. W ojcu wyczuwała nieznośną słabość, a że słabości nienawidziła, więc już jako dziecko instynktownie odsuwała się od niego, szukała światła i lustra w matce.

- Wszyscy powinni sobie nawzajem współczuć - odpowiedział sentencjonalnie.

Nawet gdyby rok temu odezwała się i wspomniała o Konradzie, też nie byłby pewien, jakie myśli krążą ukryte pod jej ciemnym skupionym spojrzeniem, odziedziczonym po Halinie. Poczuł żal, przemożną chęć ukrycia się przed wszystkim i sączenia ostrego wina w bezwietrzny, lekki wieczór we Włoszech, blisko orzeźwiającego oddechu alpejskiego lodowca. Miał upijać się sam? Ale, na Boga, kto mógłby mu towarzyszyć?

- Niejeden przeżył, bo okazywał innym współczucie. Ktoś inny zdechł pod płótem, bo go nie zaznał. Mów, Karolinko, co u ciebie?

- Przypadkiem jestem blisko radia. Może nie całkiem blisko, ale przypadkiem. Zamienimy parę słów?

Prowadzenie popołudniowej audycji miał już za sobą. Przygotowywał się do jutrzejszego dyżuru. Zapisywał jakieś smętne pomysły mające skłonić porzucone mężatki do zwierzeń, na tyle szczegółowych, by Broniek wcisnął między ich szlochów jak najwięcej reklam proszków do prania, podpasek i odświeżaczy powietrza. Notatki były skąpe, bo podczas audycji z udziałem słuchaczy i tak musiał improwizować. Z reguły im gruntowniej się przygotował, tym bardziej drętwo smędził. Tego dnia skupiał się na takim zbędnym wysiłku. Gubił co chwilę wątek, bo jakiś bezcielesny cień walił go w tył głowy obuchem owiniętym szmatą. Przegrany i skatowany marzył o urwaniu się wcześniej. Był wrzesień, dzień był ciepły, na pozór pobłażliwy. W istocie rozogniony i podstępny. Zawałowcy drzemali, usiłując zmniejszyć ciężar wyobraźni, ciśnieniowcy co pół godziny zakładali opaski do pomiaru ciśnienia i chowali się w ciemnych pokojach, gdzie nie ma zegarów i nie widać przyszłości, depresanci stawali tyłem do okien i usiłowali śpiewać, z każdym słowem głośniejsze i głośniejsze. Henryk od pierwszych minut spędzonych w radiowym biurze gapił się przez niebieskoszare powietrze na bezlitośnie kończące się lato. Obserwował przez nieotwieralne okno kawałek skweru i zmiętego asfaltu zamartej uliczki. Życie mijало zbyt szybko, a on mimo to je popędział, jakby chciał je jeszcze bardziej ścisnąć, zamknąć w jednym oddechu między przebudzeniem a bezprzytomnym zaśnięciem. Między bezmyślną myślą a niewidzącym zatrzymaniem oczu na zeszłorocznym kalendarzu. Ale życie wymykało się, uciekało i trwało obok nienaruszone, dziewicze, nieskazitelne. Czekало ciągle na niego z niezmierną cierpliwością, psią wiernością, jak nadpita samotnie wódka w szklance z grubego szkła. Czy było bezczelnym kłamstwem, tanią prowokacją, że to, co najważniejsze, ciągle jest przed nim? Inne życie? Niewyobrażalne? Fascynujące i porywające, o jakim nigdy nie marzył? Wystarczy sięgnąć ręką?

Dzień dłużył się, słońce płonęło nieruchomym światłem. Pojedynczy promień przeciskał się przez żaluzje i drażnił źrenice raz po raz. Znikał i znowu, zniecka, kłuł w oczy. Harsynowicz co parę minut patrzył na zegarek, sprawdzając nieufnie, czy nie przestał chodzić. Telefon od córki spadł mu z nieba, jak akt ponownego stworzenia świata. Henryk skwapliwie skonsumował cud i postanowił urwać się z pracy dwie godziny wcześniej. Niewidziana od icks czasu córka i urwanie dwóch godzin. Moralne dno. Była piąta, o szóstej piętnaście, trzydzieści zadzwoni, że już nie wraca do biura. Albo rzuci zdanko, że musi nagle pomóc córce w ważnej... nie, w to Broniek nie uwierzy. Nikt nie uwierzy, że ktoś go prosi o pomoc.

- Gdzie zaczekasz?

- Na rogu, w Coffee Heaven.

Nie zatrzymując się, rzucił przez otwarte drzwi w kierunku Bronka, właściciela radia.

- Córka zadzwoniła, muszę, sam rozumiesz.

Bronek nie odwrócił się w stronę Henryka, pokiwał tylko głową. Był wściekły. Żle spał. Holował zepsutą noc na haku, aż doznał wrzasku dzieci, które kłóciły się o pierwszeństwo wejścia do łazienki. Nie mógł odmówić Henrykowi i zdawał sobie sprawę, że obaj są niewolnikami swoich ograniczeń. Za honorarium, które wypłacał, znalezienie nawet kogoś znacznie gorszego byłoby trudne. Henryk miał w głosie coś niezrozumiale przyciągającego. Gdy się nie widziało zgarbionego, poszarzałego i drażniącego nijakiego mężczyzny, jego głos dawał iluzję, że niewidzialny spiker posiada to wszystko, co z mężczyzny tworzy zdobywcę świata i darmowych drinków. Henryk nie miał w posagu żadnego z obiecanych skarbów. Jakim cudem zresztą jakikolwiek mężczyzna mógł zgromadzić w sobie atrakcje, które obiecywał jego kojącoekscytujący głos? Złudzeniu ulegały zwłaszcza kobiety dojrzałe, anioły srebrnych godów, zamożne potentatki w branży niemal spleconych hipotek, zaległych alimentów i erotycznej geometrii. Dzięki dyżurom Henryka radio sprzedawało więcej reklam adresowanych do, ekskuzemła, gospodyń domowych. Dla nastolatek jego przynęta wyglądała na fakingpisofszt. Pieniądze z reklam środków czystości, kosmetyków, paraleków, sprzętu AGD, droższych ubrań i większych sklepów spożywczych stanowiły pokaźną część dochodów radia. Bronka skrzywiło z bezsilnego gniewu. Raczej nie z zazdrości. Kobiety, kobiety, kurna mańka. Pozostawała satysfakcja, że Henio czaruje baby za pół darmo i na odległość, a dochody i kochankę ma on, właściciel stacji.

Kawiarnia była pustawa. Karolina piła latte obok kilku czternasto, piętnastoletnich dziewcząt zajmujących dwa połączone stoliki. Siedziały, nie rozmawiając ze sobą, wpatrzona w ekrany komórek. Czasami któraś wybuchała śmiechem i trącała sąsiadkę, pokazując telefon. Wtedy głowy wszystkich skupiały się na moment, dotykając nawzajem. Dziewczęta obejmowały się ramionami, by skupić jak najbliżej, palce przestawały biegać po klawiaturach, oczy wpatrywały się w jeden ekran. Przez około pół minuty, do czterdziestu pięciu sekund, wydawały z siebie okrzyki. Ła! Och! Ten to! Alleee! Jezuu! Niech cię! Ooo! Raaany! Henryk zastanawiał się, skąd wiedzą, w jakiej kolejności mają pokrzykiwać i czy istnieje, może na jakimś młodzieżowym portalu, katalog okrzyków, które są trendy. Po chwili głowy rozpięzchały się na boki, ramiona rozplatały, klawisze wszystkich komórek znowu pracowały w ciszy.

Karolina była blada, miała sińce pod oczami. Z wysiłkiem nadawała swojemu wzrokowi zwykły wyraz całkowitej obojętności. Ironiczny dystans był w nim obecny, jak zawsze, w nadmiarze. No, powiedzmy, od ósmego roku życia. Dzisiaj jednak córka Henryka

w pełni nad sobą nie panowała. Ciało, bez jej wiedzy i zgody, bez zgody jej kosmetyków i trenera aerobiku, bez zgody ciuchów i biżuterii wysyłało nieskoordynowane i niepokojące sygnały. Jaki to może być problem? Przecież nie przychodzi po pieniądze. Skrzywił się z niesmakiem. Lubił być złośliwy w stosunku do siebie. Miejmy nadzieję, że to problem na miarę jej wieku i statusu studentki drugiego roku prawa. Trochę poważny, ale zadziwiający. Niezrozumiały, ale niezbyt śmieszny. Dlaczego przyszła do mnie? Przecież nigdy się nie zwierzała. Ani razu nie poprosiła serio o radę. Odkąd skończyła dziewięć lat, poważnie ze mną nie rozmawiała.

- Jestem w ciąży.

Rzuciła to zdanie zbyt gwałtownie i, jak na nią, ze zbyt dużym zaangażowaniem. Zdanie upadło między nich, a Karolina zamilkła i czekała. Zrobiła to tak, jakby położyła na kuchennym stole żywego karpia i powiedziała do Henryka „zabij go”. Kazała zabić, chociaż świetnie wiedziała, że on raczej zwymiotuje albo wymknie się z domu, żeby się napić czegoś mocniejszego, niż tknie rybę. Nie patrzyła na Henryka. Dała mu całkowitą swobodę. Zostawiła te słowa do jego wyłącznej dyspozycji na błyszczącym blacie stolika. Imitacja drewna, średni standard.

Rozmawia ze mną, jakbym był jej rówieśnikiem, z którym przespała się dwa miesiące temu i teraz informuje go o ciąży, ot tak, w ramach testu. Przecież oboje nie znają się właściwie, a już na pewno nic ich nie łączy. Ciąża jest wydarzeniem, którego nie rozumieją i są pewni, że dotyczy kogoś innego. Za chwilę wstanie, rzuci przez ramię „jesteś dupkiem” i wyjdzie, pisząc kciukiem esemesa do koleżanki.

Jednak Henryk w głębi ducha zaskowyczał z radości jak szczeniak, który odnalazł matkę i jej mleczny cycek. Jego narządy wewnętrzne wykonały dziki afrykański taniec. Karolina jest w ciąży! To może ją uratować. Uratować dla świata. Dla nas. Dla nas dwojga? Dwojga. Słuchał z lubością, jak uroczyście i donośnie brzmiały tryumfalne fanfary tego słowa. Rozciągnięta soczyście i miękko pierwsza sylaba i druga twarda, szybka, która mimo to przypominała gaworzenie niemowlaka. Dziadek, wnuczka. Czemu wnuczka? Chłopiec. Normalne życie. Wpadł w euforię. Może jednak potrzebuje mojej pomocy?

Karolina piła dużą kawę z mlekiem, którą posłodziła, a przecież uznawała tylko czarną bez cukru. Henryk sprawdził, czy jego zielona herbata odpowiednio naciągnęła, ale nie pił, sycił się nowiną.

- I co będziemy teraz robić?

Starał się zadać to pytanie obojętnym tonem, ale dyskretne „my” uderzyło w Karolinę i wtargnęło w nią brutalnie, bez nakazu. Nie znosiła tego zaimka, w żadnej sytuacji nie

uznawała liczby mnogiej, nie pozwalała tak o sobie mówić w żadnym języku, nawet rówieśniczym. Dlatego tak wytrącało ją z równowagi obecne rozdwojenie.

- Jacy my? Jacy my? - syknęła. - Tato! Opamiętaj się! Nie twierdzą, że nie ma problemu. Egzystencjalnego, medycznego, praktycznego. Ale, zrozum, on jest wyłącznie mój. To moja ze światem sprawa. A właściwie moja sprawa między moim brzuchem a wyłącznie moją mną. Nie ma żadnego „my”. My - to ja ze mną. Mój brzuch to moja twierdza.

- Ale...

Henryk z euforii wpadł w panikę. I jak każdy wielokrotny samobójca, brnął dalej. Czy to możliwe, że Karolina przychodzi po to, żeby mu powiedzieć „odczep się”, to cię nie obchodzi? Po co? To bez sensu.

- Ale co na, że tak to... ojciec dziecka? Bo... jakiś przecież... jest?

Karolina odzyskała siły. Nie była już blada, zagubiona, sińce pod oczami nie zniknęły, ale zęby zaśliniły drapieźnie.

- Nie wpytuj mnie. Byłam w pobliżu, zadzwoniłam. To dobrze czy źle? Czemu mnie wpytujesz jak prokurator, zamiast być miły dla córki?

- Karolinko...

Dziewczęta siedzące obok wykonały serię precyzyjnie zaprogramowanych okrzyków.

- Może to jakiś znak, jakaś szansa. Dla nas wszystkich, bo pomyśl...

- Jakich wszystkich? - odparowała Karolina. - Dla ludzkości? To śmieszne. Powiedz mi, ty planowałeś dzieci? Czy ty w ogóle cokolwiek planowałeś, czy zawsze wszystko samo wychodziło, jak wychodziło? A ja przeciwnie, ja planuję. Planuję wszystko. Tak robią normalni, nowoczesni ludzie. Wszystko przemyślałam. Wniosek jest taki, że pójdę na zabieg. Taki jest mój plan. Usunę!

Teraz nie opuściła wzroku. Patrzyła uważnie. Jak na testowane w laboratorium zwierzę. Jakie będą objawy. Kiedy szczur zacznie się słaniać, tracić siły, zdychać. Po sekundzie? Minucie? Kwadrans po wstrzyknięciu śmiertelnego specyfiku?

Za wielkimi oknami kawiarni ruszył wiatr. Pociemniało. Gazeta wzbiła się z chodnika i usiłowała poszybować ku innym terytoriom. Starła się uciec ze wszystkich sił, ale raz po raz łamała się w powietrzu i spadała martwo na granitowe płyty. Przechodnie przyśpieszali kroku, luźne ubrania oblepiały ciała, łopotwały w coraz to inną stronę. Henryk zamknął oczy. Poszukiwał ciemniejszej ciemności niż ta niejasno ciemniejąca za zamroczonym oknem.

Ta młoda ciężarna kobieta przyszła tylko po to, żeby popatrzeć, jak będę zdychał? Przecież to jej może zaszkodzić.

Kiedy Halina zamieszkała z Erykiem, Henryk w sprawach rodziny nie miał złudzeń.

Wrzucam na luz, powtarzał, jakby spotkał siebie pierwszy raz i miał w ręku lewarek o tysiącu biegów. To była rezygnacja z żarzącej się bezsenności na rzecz trzeźwej oceny namacalnej pustki, którą, jak każdy pustostan, pragnął oddać jakimś naiwnym młodziakom. Czy Karolina mogła domyślić się lub wymyślić, że ojciec czekał na wnuki? Wyczuć ten scenariusz niewidzialnymi kobiecymi czułkami lub skrzydłami, wrośniętymi w ziemski glob i w każdą żywą istotę. Przenikającymi nasienie, owoc żywota i śmierć. On sam nie uświadamiał sobie tej tęsknoty, nawet nie nazwał tego oczekiwania, a przecież wnuki, w cudowny sposób, miały mu zastąpić rodziców, od których całe życie uciekał, oraz żonę, którą porzucił tak dyskretnie, że sam tego nie zauważył, na długo zanim ona odeszła do innego mężczyzny. I dzieci, które najpierw mieściły się w jego dłoni, a raczej ich wszechświat mieścił się w jego szczupłej, długopalcej pięści, a które potem bezwzględnie go ignorowały, by następnie na zimno wykorzystywać, na koniec zaś się go wstydzić, jawnie i boleśnie.

Karolina, odkąd wiedziała, że jest brzemienną, intensywnie szukała sposobu na stłumienie wewnętrznych rozruchów, rewolucyjnego wrzenia, w które wpędził ją spisek nielojalnych plemników. Dziwna półdepresja, miękko natarczywe pragnienie, by zerwać z dotychczasowym stylem życia, zachcianki, by jeść potrawy i robić rzeczy, które dotąd nigdy nie przechodziły jej przez gardło i nie zagłębiały do głowy - to wszystko było dziecinnie nieznane, trudne do wytrzymania. Nie była to bezradność, ale pokusa bezradności; nie była to słabość, ale pragnienie wszechmocnej opieki. Nie było to nieznanie jej zupełnie uczucie bezbronności, ale fizyczny głód bezpieczeństwa. Była rozdrażniona i upokorzona wcieleniem obcego ducha w znajome ciało. Czowała, że ktoś wstawił jej do czaszki mózg jakiejś prowincjonalnej słodkiej idiotki-bibelotki, jej arterie zapychały stopy mdło pachnących fatalaszek, serduszek, lustreczek, falbanek i grzechotek, a krtań wypełniał szczebiot zdrobniałych słówek w rodzaju: „słodziutki pępuszek”, „oczko jak malinka” lub „kaftanik bobaska taki malusi”.

To, co z nią się działo, było trudne do nazwania i wymagało od niej wprowadzenia stanu wyjątkowego, bezwzględnej obrony racji stanu i wyzwolenia z podstępного terroru anonimowego płodu. Dotąd zawsze zachowywała naturalną równowagę, dystans uważnej obserwarki i zdolność do bawienia się niepokojąco ryzykownymi sytuacjami.

Wpadła na pomysł, żeby lęk i słabość oddać komuś innemu? Dokonać dyskretniej transfuzji kryzysu, przemycić przez granicę cudzej czaszki wszystko, co wiązało się z ciążą, bo słów „poród”, „dziecko” nie wymawiała nawet w myślach? Wetknąć komuś w serce bezpieczną pępowinę? Chciała dyskretniej transplantacji i narzucenia komuś obowiązku dźwigania jej brzucha do końca świata? Właściwie nie tyle jej brzucha, ile natręta, z którym

chciała zerwać stosunki.

Karolina mogła uznać, że na całym świecie nie istnieje nikt, poza nieudanym ojcem, kto wzięłyby na siebie jej strach, zaskoczenie, rozczarowanie i ucieczkę przed zasadzkami ukrytymi w jej niezbadanym organizmie. Miała tylko jego, wiecznie przegranego, może nawet lubiącego przegrywać, biednego dziennikarzynę. Nie mogła znaleźć nikogo innego, a ojca dziecka stanowczo wykluczała. Któż inny mógłby wziąć na siebie dźwiganie tego garbu, komu byłoby bardziej do twarzy z teatrem rozmnażania, niańczenia, ze śmierdzącymi niewolnictwem pieluchami zamiast dekoracji? Kto by chętniej wychowywał jej były brzuch na porządnego człowieka i oczywiście Polaka? Kto czułby się lepiej, tracąc wolność, której nigdy nie zaznał? Ona chciała bez wstydu wrócić do inteligentnej, ironicznej gry ze światem, który przecież rozgryzła i robiła z nim dotąd, co chciała. Do dyskretnego i pobłażliwego panowania nad krążącymi wokół, nieświadomymi i naiwnymi ludźmi. Mężczyznami, mój Boże, mężczyznami. Nie była zachwycona tym rozwiązaniem, ale zamierzała wrzucić niemodną torebkę ze swoim brzuchem do głowy ojca, do jego zapętlonej wyobraźni, podgrzewanej przez zamięłowanie do cierpienia, kapitulacji i czekania na imieniny kata z własną głową na tacy.

Jednak jej krew lub niewielka część krwi, jej macica i piersi nie nadały za jej tokiem myślenia. Natrętnie domagały się czegoś więcej. Zbuntowane kawałki Karoliny błagały o hymn, chorągwie i orszak. Pragnęły uroczystości, celebracji. Może nieubłagane życie chciało wyjednać u niej inną śmierć. Może stara, schorowana, samotna Karolina z odległej i zbędnej przyszłości namolnie zebrała, jeśli nie o życie, to chociaż o drobny gest, o jałmużnę, o łzę, jedną jedyną słodką łzę, ogromną jak ocean.

Matka? Matka nie widziała problemu. Jakiś odległy błysk przebiegł przez twarz Haliny, gdy słuchała skąpych informacji córki, ale zgasł, zanim się rozpałił. Eryk? Obcy, bardziej obcy niż inni. Widziała, jak na nią patrzy. Ślini się. Samczyk z ptaszkiem jak wróbelek elemelek.

Henryka ogarniał chaos i w imieniu nieznanych sprawców wbijał mu nóż w plecy. Nie bronił się.

Karolina przyszła, żeby uderzyć, zranić, zadać ból? Koniecznie większy niż sama odczuwa? Chciała, żeby bał się bardziej niż ona? W taki diabelski sposób chciała się wzmocnić? Czy jest aż tak zła, czy aż tak skrzywdzona, bezbronna, opuszczona? To, co robi, może być falowaniem nastrojów. Raz rzyga, raz napycha się kiszonymi ogórkami z chałwą, a raz płacze cicho pod zbyt gorącym prysznicem. Cięża ją odmieni. To często się zdarza młodym kobietom. Nawet jeśli nie są gotowe, dziecko je zakorzenia, wrywa z egoizmu albo



umieszczają dziecko wewnątrz tego egoizmu, jak źrenicę w oku, jak ogień w sercu suchego lasu. Henryk pocieszał się i straszyl, straszyl i pocieszał. Siedział przy stoliku zdrętwiały. Był kloszardem, któremu odmawiał jałmużny. Przełknął z trudem ślinę i zabełkotał:

- Radio... muszę za dziesięć minut... obowiązko... no... wo... - Pokazał palcem na zegarek. Wstał, przewracając krzesło. Zanim ruszył ku drzwiom, nagłym ruchem objął jej głowę, pochylił się i usiłował pocałować w skroń. Trafił wargami na szorstkie włosy, ufarbowane na rudy kolor, spadające sztywno na brwi. Po tym geście, który później uważał raczej za rodzaj błogosławieństwa niż pożegnania, usiłował zniknąć. Ruszył jednak w stronę ubikacji. Gdy jeszcze raz przemierzał całą długość kawiarni, mijając chichocące dziewczyny i kobietę przy kości w kremowym wdzianku sprzątającą stoliki, widać było, że mieli w ustach jakieś słowa.

Karolina patrzyła na niego uważnie. Nie chciała uronić najdrobniejszego szczegółu. Widziała, jak porusza wargami, ale z powodu muzyki warczącej z głośników nie mogła nic usłyszeć. Nawet domyślić się z ruchu warg. Może Henryk powtarzał w kółko tylko jedno słowo? Przekleństwo? Imię? Jej imię? Imię Jezusa? Inne męskie imię? Imię jej sześciotygodniowego syna? Wołał go tak cicho, żeby nie usłyszała? Żeby mógł z nim wyjść i razem uciec?

## Wygnaniec

Wygnaniec lata osiemdziesiąte XX wieku i później

Za drzwiami czekał na niego wiatr. Uderzył go krótko i mocno poprawił. Szedł z wysiłkiem, bodąc ulicę głową jak zapamiętały w walce muflon, który wali w czaszkę przeciwnika tak długo, aż tryśnie mózg. Wreszcie, nie mając zgoła takiego zamiaru, jak pijany furman, a raczej jego głodny koń, przywłókł się z powrotem do radia. Obudził się w biurze, dopiero gdy mijał swojego kumplaszefa Bronka, z którym wspólnie, ponad dwadzieścia lat temu, z dzikim okrzykiem „śmierć komunie”, wrzucali do ogniska peerelewskie paszporty. Palenie paszportów nastąpiło w finale wyczerpującego grilla, 31 sierpnia 1983 roku. Zebrało się ich wtedy ze dwudziestu, z żonami, dziećmiakami. Pili na wyścigi, mieszając trunki, i śpiewali na całe gardło:

Ekstrema już śpi, szczekają gdzieś psy

Skończyła się wolna sobota

Wyruszył sznur suk, rzną buty o bruk

Ktoś do drzwi gwałtownie łomota.

Zielona WRONa, dziób w wężyk szamerowany

Kto nie da drapaka  
Kto nie chce zakrakać  
Ten będzie internowany.  
Grudniowy wstał świt, nie wiedział nikt nic  
Milczały jak grób telefony  
A w radiu wódz sam ogłosił, że stan  
Wojenny jest wprowadzony.  
Od tego poranka codzienna łapanka  
Szalała w bezsilnej wściekłości  
W Łupkowie zaś z pierdla zrobiono internat  
Dla członków Solidarności.  
Świetlica, spacerek, wieczorem roberek  
Albina zaś duma rozpiera  
Niech siedzi ekstrema, pożytku z niej nie ma  
My Polskę zbudujem od zera.  
Z chaosu porządek wyłania się nowy  
Nowego nam trza Robespierre'a  
By odciął te łapy, co władzę brać chciały  
To hasło nowego premiera.  
Ta banda czerwona gównu dokona  
Choć duma ich piersi rozpiera  
Czerwona zaraza od nowa zagraża  
A niech ją jasna cholera.

Albo:

Niech się junta wystrzela, trafi szlag Jaruzela  
Orła wrona nie zdoła pokonać  
Wtedy dzielni związkowcy, ekstremiści, korowcy  
Na premiera wybiorą Kuronia

Chcieli się schronić w zmielonych, pijanych wspomnieniach, w przeszłości, która wydawała się dotyczyć innych ludzi i innych wydarzeń, więc przekrzykiwali się i ryczeli ze śmiechu, ale coraz mniej rozumieli z tego, o czym opowiadali, chociaż znali te historie na pamięć. Paszporty spalili nieliczni. Henryk zauważył, jak kombinują, wyciągają z kieszeni jakieś śmieci i wrzucają do ognia. Spłonęło pięć książeczek. On swoją spalił.

Od początku pobytu opanował go dziwny spokój, pod którym tlił się przydeptany

ogień. W nocy ogień rósł, parzył, budził go co dwie, trzy godziny. Patrzył wtedy długo przez okno, w ciemność rozrzedzoną przez lunę bogatego, obcego miasta. Dotykał ścian w łazience, chciał się upewnić, że nie znalazł się na nieznanym pustkowiu, że chronią go ściany i dach. Dotykał odbicia twarzy w lustrze, jakby musiał szukać siebie za obcą maską. Tylko raz wystraszył Halinę, gdy zamknięty w ubikacji krzyczał i nie mógł przestać.

Dość szybko jednak przywieziony z Polski strach wyparował, a nowy jeszcze nie nadszedł. Jeszcze nie było jasne, jaki będzie miał smak. Związki zawodowe i władze Kanady sypnęły zapomogami, zasiłkami, prezentami. Był polityczny sezon na polskie zajęcia, a wśród zwykłych ludzi kwitło spontaniczne poparcie, współczucie, energia, pomysły. Kanadyjczycy, działając na rzecz uchodźców z Polski, odnajdowali drugą młodość lub szukali nieznanego smaku pierwszej. Chcieli odzyskać dziewictwo wspólnoty i przeżyć orgazm niewinności. Kanadyjczycy tłumili instynkt zabijania i pogardę dla słabszych zwierząt, co pomagało przybyszom znosić pierwsze miesiące rozłąki ze starym życiem. Henryk inwestował wszystkie oszczędności w entuzjazm tym konsekwentniej, im wyraźniej dostrzegał pod cienką warstwą euforii obawę przed dzikim życiem wolnego świata, przed innym sensem milczenia i porozumiewawczych spojrzeń.

Od czasu pracy w Interpressie znał świetnie angielski, pomagał więc redagować pisma, wypełniać formularze, pisać oświadczenia i listy motywacyjne. Pomagał ludziom i niejasno czuł, że dzięki temu znalazł się blisko nieuchwytej, niejawnej esencji sensu. Gdyby ktoś go wtedy zapytał, czy jest szczęśliwy, nie odpowiedziałby od razu, bez wahania. Tak, musiałby się nad tym zastanowić. Musiałby pomyśleć. Poza tym cieszył się, że czas połykany gwałtownie, hurtem, nie zostawiał mu ani jednej minuty, którą musiałby zaplanować i dołożyć osobno do mozaiki przyszłego życia. Telefony urywały się, wszystkie zresztą podobnej treści.

- Pomóż, stary, ty masz już to przećwiczone.

Wracał zmęczony, walił się na łóżko jak worek ziemniaków na dno piwnicy i wysłuchiwał od Haliny długiej litanii pretensji.

Halina patrzyła na Kanadę zdziwionymi, zachłannymi oczami przybysza z planety nudnego, brutalnego prostactwa i zgrzebnej, biedamieszczkańskiej pretensjonalności. Podniecony zachwyt i krępujące zdziwienie trwały nie więcej niż miesiąc. Uspokojona wyjaśniła Henrykowi, jaki jest jej głęboko przemyślany i niewzruszony pogląd na sprawę ich przyszłości.

- Po pierwsze - zaczęła dość twardym tonem, jakby spodziewała się upartego oporu - nie mam zamiaru żyć z zasiłku, a już z pewnością w niedostatku. Chcę żyć tak, jak żyją

wszyscy normalni ludzie w Kanadzie. Jestem stateczną kobietą, matką, nie chcę być i nie będę koczowniczką. Tymczasowe życie, pielgrzymowanie z dobytkiem w walizkach i krową na rodowym sznurku odziedziczonym po pradziadach to atrakcje nie dla mnie. Nigdzie się już nie śpieszę. Chcę osiąść i zapuścić głęboko korzenie. Zestarzeć się w zaprzyjaźnionym miejscu. Tutaj, mój drogi, obowiązuje hasło „emigranci wszystkich krajów łączcie się”. Wynika z tego, że jesteście, Henryku, u siebie. Jak wszyscy pozostali. Nawet bardziej niż w Polsce, bardziej niż w Europie. Tu emigranci przyjeżdżają nie po to, żeby planować wyjazd! Po drugie, jak pamiętasz, mamy córkę. W złym socjalizmie wykształcenie jest za darmo, a tutaj słono kosztuje. Musimy być na to przygotowani. Naszym dzieciom musimy zapewnić dobre wykształcenie. Z tym wiąże się punkt trzeci. Mam dosyć tego twojego społeczeństwa! Tego charytatywnego bezhołowia. Musisz znaleźć porządną pracę. Albo otworzyć biuro doradcze i pobierać opłaty za to, co robisz. A po czwarte, nie mam się w co ubrać. W polskim getcie mogłabym chodzić w tym, co dostałam w ramach jałmużny po przyjeździe, ale ja chcę wyjść z domu opieki, z tego solidarnościowego grajdołka. Do ludzi. Jestem jeszcze młoda. Jestem czy nie?

- No jasne, że jesteś młoda - mruknął wywołany i żeby lepiej wypaść, dodał: - I śliczna.

- Chcę żyć normalnie - Halina nie zwróciła najmniejszej uwagi na wysiłek Henryka - jakbym była Kanadyjką od pokoleń. Jakbym nigdy nie stała w dziurawych butach na środku skrzyżowania Azji i Europy. Posmakować życia bez historii i polskiego przekleństwa, polskich przeraźliwych klęsk. Bawić się. Zaszaleć. To źle? To przecież nie grzech, prawda? Życie nie jest nieustającą żałobą. Angielski znam. Przyjechaliśmy tu, bo patrzymy w przyszłość, rozumiesz, co mówię? W przyszłość! A ty, jako głowa rodziny, jak widzisz przyszłość naszą i naszych dzieci? Słuchasz mnie w ogóle?

Wreszcie dotarła do niego liczba mnoga i cios miłości omal nie zwałił go z nóg. Halina mówiła nie o dziecku, ale o dzieciach. Podszedł i przytulił ją. Starał się to zrobić miękko, delikatnie, ale żarliwie, tak by poczuła jego niezniszczalną, niewyczerpaną troskę, siłę męskiego miecza i herbu, wiekuiste oddanie unicestwiającej przeciwności losu. W rezultacie bardziej do niej przyłgnął, niż ją przygarnął, bardziej w niej się rozplątał, niż ukrył ją w sobie. Ona stała przez moment sztywno, nawet zaczęła go odpychać, bo podejrzewała, że nagła czułość to prymitywny unik, nieudolna próba rozmyślenia jej ostrych argumentów, chłopska niechęć do odpowiedzi na niewygodne pytania i najprostszy sposób na salwowanie się ucieczką od odpowiedzialności. Dopiero po chwili zrozumiała, że mąż wychwycił bezbłędnie to, co ona ujawniła bezwiednie.

- Moja kochana, moja mateńka - szeptał i całował jej śliskie włosy, słoną szyję i cierpkie ramiona. Kochali się bez pośpiechu, wiernie skupieni na sobie, związani logicznie jak ogień i tlen. Potem milczeli i leżeli bez końca, pogrążeni z kretelem w leżeniu i milczeniu.

\*

Na starych śmieciach, w Polsce, alibi wobec Haliny dostarczał Henrykowi gnijący system, zżerany gangreną Peerel. Szybko się okazało, że nie mogła wymagać sukcesów, dla osiągnięcia których konieczne było zawieranie kompromisów. To, co on nazywał zdradą, jej samej wydawało się zbędnym dzieleniem włosa na czworo. Jednak do zdrady namawiać nie wypadało. Wspominała wprawdzie coś o szantażu moralnym, ale niepewnie. Inicjatywę straciła do reszty, gdy ofuknął ją własny ojciec.

- Chcesz, żeby się sprzedał komuchom za garnek zupy? Zastanów się, dziewczyno. Wspieraj go. Pamiętaj, kim jesteś. Nie kompromituj rodziny!

Nie miała o czym pamiętać. Nie wiedziała, kim jest. A tego, co siedziało w ojcu, nie lubiła, a nawet obawiała się coraz bardziej. Na co dzień był nudnym i upartym prostakiem, namiętnym pobożnisiem. Nie rozumiała jego sposobu życia. Próbowiła żartować, że nie o zupę chodzi, a o samochód, przynajmniej malucha, ale ojciec przeciął sprawę na tyle ostro, że Henryk mógł czuć się bezpiecznie. Milczała, ściśnięta z dwóch stron przez podnieconego ekstremistę i moralnego maksymalistę.

W Kanadzie, dopóki życie było przedłużeniem polskich spraw i polskiego stylu, Henryk mógł sobie wmawiać, że nadal jest bezpieczny. Po kilku miesiącach zobaczył w całej jaskrawości, że ukrywanie się za chaotyczną mobilizacją do walki o wolność, której jałowość była dla Haliny najzupełniej oczywista, staje się nieskuteczne. Polska mgła opadała, a on stał nagi na środku ulicy w godzinie szczytu i dyndał. Jednak siebie był w stanie oszukiwać w dalszym ciągu, choć wymagało to użycia niezbyt skomplikowanych sztuczek.

Wieczorem wszedł do sypialni. Jeszcze się nie kładł, szukał książki na nocnej szafce, okularów, spodni od piżamy. Krążył zamyślony, zapominając, czego szuka. Halina siedziała na łóżku i nakładała krem nawilżający na twarz, szyję i dekolt. Wydawała się całkowicie pochłonięta swoją skórą, wypełniona niepokojem o jej podatność na zmarszczki, zmieszany jednakże z ciepłodumnym zadowoleniem, że na razie są ledwie dostrzegalne, właściwie niewidoczne, a nawet ich zupełnie nie ma. Mówić zaczęła wolno, półgłosem. Henryk myślał przez moment, że mówi do siebie, powtarzając coś, co chciała zapamiętać lub z trudem usiłowała sobie przypomnieć.

- Czy z troski o rodzinę stoisz pod ambasadą i wrzeszczysz „precz z komuną”? Nie szkoda ci gardła? Komuna będzie trwała do końca świata, a może i odrobinę dłużej, bo ktoś

musi skończyć z uciskiem klasowym w niebie i zająć się dystrybucją papieru toaletowego. A ty dalej próbujesz prowadzić swoją dziecinną krucjatę. Mnie teraz, mówię to z ręką na sercu, nic a nic komuna nie obchodzi. Niech w ramach kultu jednostki całują w telewizji chudą dupę kolejnego zdrajcy albo dają na kartki połowę centymetrowej tabliczki czekoladopodobnej czekolady plus ćwiartkę rolki używanego, czekoladopodobnego papieru toaletowego na rodzinę, ja na to bimbam! Beton czy liberałowie, kielbasa czy puste półki, Stalin czy Hitler, Front Jedności czy PRON, profesor czy ormowiec, szkło w chlebie czy rozwolnienie w telewizji, to już nie mój problem! A wiesz, dlaczego nie rusza mnie los komuny? Bo w Kanadzie jej nie ma, a Rosja za morzem. Jeśli mi nie wierzysz, to się zapytaj kogoś zorientowanego. Tu jest kapitalizm i demokracja, a to oznacza, że nie musimy o nic walczyć. Czy Kanadyjczycy życzą sobie, żebyś o coś walczył? Czy twoja nowa kanadyjska ojczyzna wzywa cię, żebyś ją ratował? Albo kogoś innego? Tutaj każdy pilnuje swego nosa. Resztą zajmuje się rząd. Więc zabierz się za własne życie. O nic więcej nie musisz dbać poza własną rodziną. I sobą. Czy pamiętasz o sobie? Wiesz, że żyjesz? Gdzie jesteś i tak dalej? Myślisz o swojej przyszłości? Pamiętasz, po co tu przyjechaliśmy? Po normalność, tak!? Powiedz mi, ile zarobiłeś na życie w ostatnim miesiącu? No? Jaka to kwota, twardzielu, głowo rodziny, obrońco uciśnionych?

Dotąd Halina stosowała grę wstępną przed właściwymi torturami i mimo wybuchów zniecierpliwienia nadal traktowała go jak jeden z organów niezbędnych do życia. Mobilizowała go, łajała, potrząsała nim, jakby zapadł w śpiączkę, nie mógł otworzyć oczu i wrócić do świadomego życia. Przypominała o swoim istnieniu także dlatego, że czuła się pominięta, zaniedbana i porzucona, chociaż wiedziała, że innej kobiety nie ma.

Byli raptem parę lat po ślubie. Ze strachem i wstrętem odpychała perspektywę rozłączającego się małżeństwa, rolę samotnej matki z dwójką dzieci, pogardliwy szept współczucia koleżanek, golgotę wizyt w opiece społecznej. Z czasem ton programowych przemówień Haliny stopniowo się zmieniał. Utyskującą, przejętą i troskliwą żonę zastępowała kobieta mówiąca do swojej wściekłości, rozgoryczenia i do wyczerpującego się niebezpiecznie pobłażania. Obecność Henryka była zaledwie pretekstem, dekoracją, na tle której tekst brzmiał mocniej i był lepiej zrozumiały. Niszczyła w sobie grzeczną, ukochaną córkę starego robola z zapyziałego kraju. Ośmieszała wierną żonę nieudacznika. Henryk nie spierał się z Haliną. Chłódł i kurczył się, gdy mijał Halinę, robił przeźroczysty i bezdźwięczny. Między małżonkami puchł balon obciążony zużytą próżnią, ale do kłótni nie dochodziło. Do pewnego momentu chętnie przyznawał jej rację, kajał się, ochoczo składał samokrytykę na plenum sypialni, zaręczał, że wszystko się zmieni, że weźmie się w garść i z

jej wsparciem przekroczy plan w czynie społecznym. Spierał się z nią wyłącznie w myślach, na swój wewnętrzny, dumno-męczeński użytek.

- Nigdy kimś innym niż Polakami nie będziemy, a z tego jasno wynika, że kiedyś wrócimy do Polski. Musimy wrócić! Inaczej uschniemy na obczyźnie. Obczyzna żywi, ale nie ożywia, nie uzdrawia. Co to oznacza? Że nie możemy przestać przygotowywać naszego powrotu. Nie możemy rezygnować z niecierpliwego napięcia. Naszą religią powinna być tymczasowość i brak wiary w możliwość ostatecznego zbawienia w Kanadzie. Walka o zmianę Polski. Nie możemy zostać Kanadyjczykami, nasze dzieci również. Bo wcześniej już kimś zostaliśmy, a ja nie wierzę w reinkarnację. Wiem, a nawet jestem pewien, że komuna się kończy. Kąsa, charczy, bełkoce, puszcza pawia, ale zdycha. Wątroba jej gnije i cuchnie jak kloaka. Jak mi Bóg miły, zdycha, kurwiszcze. Chaotycznie kradnie i bezczelnie kłamie, ale bez wiary, że kłamstwo kogoś przekona albo będzie żyło dłużej niż smród siarki po konferencji prasowej Urbana. Albo udaje słabość, bo zakochała się w kapitalizmie. Chce go uwieść, zerznąć i wyzyskać. Zostać jego alfonsem. Kapitalistyczny socjalizm nacinający socjalistyczny kapitalizm na kasę. Taki numer wchodzi na listę przebojów. Nie Kapitał Marksa, ale lewa kasa i kłamstwo połączone nierozzerwalnym, choć świeckim węzłem małżeńskim. To treść nowej Biblii, której autorami nie są klasycy marksizmu, lecz praktycy z tajnych komórek analitycznych KGB i MSW, gdzie główkują faceci po stypendiach Fulbrighta i latach spędzonych pod przykrywką na Zachodzie. Polonijne spółki z o.o. zakładane przez oficerów wywiadu i legalny dolar zapowiadają przesilenie. Przez złodziejstwo dojdziemy do wolności. Przez bankructwo do niepodległości. Przez biedaszyby do Europy. Nie wiem, jak to się stanie, ale się stanie, bo stać się musi, wcześniej niż później. Mury będą płakać, a ulice tańczyć. Prochy tych, co nie dożyją, wzlecą na szczyty gór, a my w dolinach podpalimy Pałac Kultury, żeby oświetlić nowy, wspaniały ład.

Upajał się swoją wizją i stylem odmalowującym upadek komunizmu. Potrafił tak mówić do siebie godzinami, szemrać, czasem pokrzykiwać, ale nie znajdował siły, by powtórzyć to jeszcze raz, patrząc Halinie w oczy, a nawet wbijając wzrok w matkę ziemię. Przyjmował do wiadomości, że Halina wprawdzie chce wolność kupować na wyprzedazach, ale staniki woli nosić drogie i nade wszystko pragnie poruszać u fryzjera ważką kwestię błędów sprzątaczkii z Tajlandii czy tumaństwo meksykańskiej babysitter, dodając od niechcenia, jak te żółtki okrutnie spieprzyły, wręcz nieludzko schrzaniły dostęp do schowków w nowym modelu toyoty. Henryka do tej pory nie opuściło zdziwienie, że sama jego obecność nie wystarcza żonie do uniesienia ciała i ducha ponad pianę codzienności ku nieskończonemu orgazmowi istotnej egzystencji. W czasie rekolekcji odprawianych przez

Halinę potakiwał, ale coraz częściej marzył, żeby stracić słuch na czterdzieści minut, godzinę albo żeby mógł stać się kimś innym, na przykład samotnym żeglarzem lub Statuą Wolności, i przetrzymać bez uszczerbku trzeszczący czas jej namolnego upierdliwego zrzędzenia.

Firma, w której Halina znalazła pracę, nie miała nic wspólnego z Polską, lecz co ważniejsze, Halina mogła pracować w domu, przy telefonie i komputerze. Wtedy karta się odwróciła. Nie czuła się już bezradna, nie ginęła ze złości na swoją bezsilność, uszła z niej wściekłość. Powtarzała stare zarzuty z przyzwyczajenia, znudzonym, roztargnionym głosem. Przestała z nim sypiać, traktowała jak dalekiego krewnego, który zatrzymał się pod jej dachem z przyczyn losowych, ale lada dzień ma wyjechać i już nigdy nikt go nie zobaczy.

Awans związany z koniecznością pracy poza domem przyszedł szybko. Halina nabrała nowych sił i większej pewności siebie. Była atrakcyjną samiczką i większość samców była wrażliwa na sygnały rozsiewane przez bogate w swojej prostocie instrumentarium jej ducha i ciała. Wzmacniała je przez coraz droższe kosmetyki, szpilki, bluzeczki, bolerka, żakiety, klipsy i bransoletki, a przede wszystkim przez taktownie obnoszoną samotność, gotową do dyskretnego startu w niezmierzone przestworza. Przebierała krótko, ale wybrała dobrze. Facet był skrzyżowaniem nieśmiałej solidności z wysoką pozycją i okazałym majątkiem. Ofiarował Halinie i dzieciom natychmiastowy awans do wyższej klasy średniej, dom z pięcioma sypialniami, ogromnym basenem i skrytkę w poważnym banku pełną solidnych papierów wartościowych, jeśli to coś jeszcze znaczy w czasach nieubezpieczonych od ubezpieczenia i bezpiecznych gwarancji bez pokrycia. Eryk Ashton Jr miał za sobą dobrą uczelnię, a przed sobą nieskończenie długą karierę, wznoszącą się łagodnie aż za horyzont, którą w finale przetrzucił przecież na jej dzieci i dzieci jej dzieci.

Czując się pewniej, Halina, nawet bez szczególnego planu, dorzuciła do rozmów z Henrykiem parę nowych akcentów. Być może chciała podświadomie ułatwić rozstanie, osłabiając resztki emocjonalnych więzi i sprawić, żeby rozpad był uwolnieniem, bez elementów tragifarsy.

Henryk w owym czasie uczęszczał pilnie do kościoła. Przed i po mszy polscy emigranci prezentowali swoje ostatnie sukcesy - nowe kobiety lub używane kobiety w nowej szacie zewnętrznej, nowych mężczyzn lub starych, z wyższym dochodem rocznym, oraz rozmaite dowody na to, że nie są tymi, którymi byli jeszcze tydzień temu. Demonstrowali też z przyzwyczajenia, że są zorientowani w sprawach krajowych. Zrozumieli już, że polski obyczaj biadolenia i chwalenia się klęskami jest w Kanadzie karany grzywną śmiechu i infamią. Halina przestała chodzić do kościoła z przemęczenia, musiała złapać oddech,



odespać, zwolnić tempo. Później dodała komentarze innego rodzaju.

- Po co ja mam tam chodzić? Czy Kościół nie zakłóca kontaktu ze Stwórcą? - pytała. - W każdym razie jego pośrednictwo jest zbiurokratyzowane i skostniałe. Msza to jakaś powtarzana bezmyślnie mantra. Żadnego autentyzmu, spontaniczności, zachowania indywidualności, a wspólnota wiernych jest kompletną fikcją. Bóg tak, akceptuję, jeszcze się całkiem nie skomercjalizowałam, ale ta burżuazja w sutannach? Księża nie są mi do niczego potrzebni.

Temat wracał przez jakiś czas, w każde niedzielne przedpołudnie, jedyny czas, kiedy dłużej byli razem w domu. Był rodzajem polubownego rozvodu, rozłożonego umiejętnie na więcej niż jedną rozprawę. Halina wzbogaciła go o wątki celibatu (to fikcja, wszyscy księża mają jakąś babę na boku), łagodnie przechodząc do pedofilii i czarnego rynku finansowo-inwestycyjnego.

- Mój drogi, kler to korporacja twardo broniąca swoich interesów, jak adwokaci i architekci. Tylko bardziej wpływowa. Trzeba być ślepym, żeby tego nie dostrzec. Ciągłe są tacy, co włączają im w tyłek ze względu na konieczność zabiegania o względy prawicowego elektoratu lub odziedziczone po rodzicach absurdalne przekonanie, że klechy mają wpływ na nasze pośmiertne losy. Ale w cywilizowanym świecie koniunktura dla nich się skończyła. Zawód księdza spadł na dno w rankingu popularności, nie mówiąc o prestiżu. We Włoszech, Niemczech czy Francji nie ma naboru do seminariów nie tylko dlatego, że Bóg się znudził, że jego nieobecność stała się oczywista i obojętna. Nie ma powołań, bo być księdzem to obciach. Kościoły sprzedaje się jak zwykłe nieruchomości, by mogły czemuś służyć, inaczej stałyby puste. Nikt nie chce płacić rachunków za ogrzewanie i światło, żeby w nich mamrotali samotni, podstarzali dziwacy.

Henryk znał te argumenty, już ich nie słuchał. Raz tylko zatrzymał się, nawet z rodzajem podziwu dla jej zdolności, przy czym nie mógł się zdecydować - adaptacyjnych, stylistyczno-aktorskich czy psychologicznomoralnych.

- I ty, wykształcony młody człowiek, pochodzący z rodziny bez klerykalnych obciążeń, wykształcony dziennikarz mający obowiązek szerzyć prawdę w zacofanym społeczeństwie i prowadzić je do nowego życia XXI wieku, dałeś się złamać. Okazałeś się konformistą. Słabeuszem. Nawet tchórzem. Z falą Solidarności wpłynąłeś do Kościoła. Mogłeś zostać kimś, a wybrałeś rolę przechrzty. Zlałeś się z różańcowym tłumem. Zresztą nie wierzę, że uwierzyłeś!

Pamiętał jej reakcję wtedy, w 1981 roku, gdy w niespełna rok po ślubie postanowił się ochrzcić. Wcześniej łączyła ich solidarność milczenia, gwałtownej wolności i skrywanego

sieroctwa z wyboru. Czas wypełniały życie towarzyskie, alkohol, jedzenie i łóżko. Milczeli o wszystkich ważnych sprawach, o których mogliby rozmawiać. Czy to właśnie było szczęście? Jedyne, jakiego niechcący zaznał? Trafił na nie z głupoty? Korzystał wbrew sobie i sensowi? Czy było na odwrót?

Oboje nad wyraz konsekwentnie pomijali z Haliną istnienie rodziców, każde ze swoich odmiennych powodów, niejasnych dla drugiej strony.

Akcja ujawniania rodzicielskiego podziemia rozpoczęła się razem z planem zawarcia małżeństwa. Był koniec lat siedemdziesiątych. Proces ujawniania rozpoczęła Halina.

- Mój ojciec, rozumiesz, jest dość staroświecki - zaczęła wyraźnie skrzępowana - jest staroświeckim robotnikiem. Wierzy w solidarność ludzi pracy, Jezuu, nie mogę. No i poza tym jest... bardzo religijny. Żebyś się nie zdziwił. Do przesady religijny. Właściwie męska dewotka. Różaniec, nabożeństwa majowe, nieszpory. Nie wiem, czego tam szuka. Musisz to wiedzieć, generalnie moja rodzina to prości ludzie.

Henryk słuchał i nie słuchał. Na dźwięk słowa „ojciec” zareagował jak pies Pawłowa. O ojcu nie chciał rozmawiać, a tym bardziej nie miał ochoty gadać z nim samym o czymkolwiek, a już najmniej na temat swoich planów życiowych, ślubu, rodziny.

- Czemu dotąd nie poznałem twojego starego? - zapytał rozdrażniony, z pretensją w głosie.

Halina spojrzała na niego ze szczerym zdziwieniem.

- Nigdy o niego nie pytałeś. O nic mnie nie pytałeś i wyglądało na to, że oczekujesz w tej sprawie wzajemności.

## **Ochoczy opiekun**

Ochoczy opiekun

3-4 października

Ziemilski zadzwonił do Henryka, zapowiadając, że wpadnie wieczorem, koło ósmej, w zleconej sprawie przywrócenia obywatelstwa. Przyszywany kolega z Solidarności od pierwszego spotkania był tak uprzedzająco uprzejmy, zapobiegliwy, opiekuńczy, że po dwóch tygodniach łechtającego próżność, prymitywnego zadowolenia Henryk zaczął odczuwać skrzępowanie. Później do zakłopotania dołączył lekki niesmak i niepewny niepokój. Ziemilski zapraszał na imprezy prywatne i publiczne, otwarte dla ludzkości lub tylko dla równiejszych spośród równych. Nosił przed Henrykiem sztandar, a za nim nocnik, klęcznik i kalendarz. Chciał najwyraźniej zmonopolizować przepływ ludzi i idei. Chciał kontrolować granice i rewidować Polskę za każdym razem, kiedy przychodziła do Henryka incognito, w przebraniu

nikogo lub kogokolwiek. Zwykłego przechodnia lub konferansjera. Harsynowicz, jak każdy zwinięty w kłębek nerwów emigrant, śledził bezczelnie Polskę jak rosyjski szpieg, podglądał jak onanista sąsiadkę, szukał oryginalnych zapachów i zwietrzałych smaków Proustowskiej magdalenki i odkopywał niedokończone sny cierpiętników, ale wciąż nie był pewien, co powinien czuć i myśleć. Tak jak na emigracji nie był pewien, czy wie, któredyś biegną święte ścieżki domowników, któredyś zwierzęta chodzą do wodopoju i gdzie czają się na nie drapieżniki. Nie miał pewności, czy widzi to, co widzi, czy rozchwiane wrażenia zapisuje we właściwych rubrykach i czy na oceny jest za wcześnie, czy odwrotnie, to on już zawsze będzie czekał w nerwach na ocenę. Ludzi starał się lubić, ale między nim a Polską rozłożyła się ze swoimi tobołami strefa demarkacyjna jak cygański obóz. Może jedynie chciał być przygarnięty, przyciśnięty do piersi i zaakceptowany?

W końcu Ziemiński wymęczył u Henryka domyślną, bo nigdy niewyrażoną wprost, zgodę na odgrywanie roli przewodnika, sekretarza i plenipotentą w jednej osobie. Dlaczego tak mu na tym zależało? Brak odpowiedzi na to pytanie budził największe podejrzenia. Choć być może o zachowaniu Ziemińskiego nie decydował niejasny cel, ale mętny styl. Szczególna estetyka osobowości. Ziemiński najwyraźniej w taki lokajskototumfacki sposób układał swoje stosunki z bliźnimi. Aneksja przez lobbystę praktycznie całej aktywności Henryka odbyła się bez protestów, przy zupełnej, choć dziecinnie naburmuszonej bierności ofiary.

Ziemiński rzeczowo zreferował przebieg swoich konsultacji w sprawie starań Henryka o obywatelstwo. Przez przyklejone do twarzy znudzenie przebijał ożywczy blask władzy, który podczas spotkań musiał spływać na niego słodkim strumieniem. Wytrawny lobbysta rozmawiał w Pałacu, a konkretnie w Kancelarii na Wiejskiej, z odpowiednim dyrektorem, a także, jak zaznaczył z nonszalancją, z jednym z doradców prezydenta. Następnie złożył wizytę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Henryk był pewien, że wszystkie spotkania odbyły się w knajpach, zwłaszcza to z urzędnikiem MSW, zresztą najprawdopodobniej niskiej rangi. Ziemiński był zbyt doświadczonego pielgrzymem, żeby zostawiać po sobie ślady w książce wejść i wyjść tego akurat ministerstwa. Nie było pewności, czy nie przejrzy jej kiedyś dociekliwa komisja śledcza, prokuratura lub Centralne Biuro Antykorupcyjne. Konkluzja eskapady była optymistyczna.

- Możesz skorzystać z trybu przyspieszonego, zresztą zgodnie z prawem. Jednak żebyś mógł użyć tej ścieżki, kanadyjski paszport nie wystarczy. Trzeba zdobyć polskie dokumenty, wtedy pójdzie lekko, łatwo i przyjemnie - stwierdził. - PESEL, NIP, akt urodzenia, stary

dowód osobisty, cokolwiek. Verstehen?

Henryk słuchał nieuważnie, ożywiło go dopiero pytanie Ziemilskiego.

- PESEL? I co jeszcze? Ni cholery z tego nie mam. Nawet świadectwa szkolne szlag trafił. Nul, zero zer. Nie mam żadnych polskich dokumentów. Myślałem, że PESEL podaruje mi prezydent razem z obywatelstwem.

- Obcym tak, podarowuje - Ziemilski tłumaczył cierpliwie. - Ale ty jesteś swój. Chcesz odzyskać, a nie dostać. Żeby to udowodnić, musisz zdobyć jakieś papiery, patałachu, ruszyć tyłek. Zrobimy plan wycieczki po urzędach. Ale chodzić to już musisz sam, tak będzie skuteczniej i szybciej. W Urzędzie Stanu Cywilnego moje strategiczne doradztwo nie jest ci potrzebne.

Sporządzili listę instytucji, do których Henryk musi dotrzeć, ich aktualnych adresów i telefonów. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Urząd Stanu Cywilnego, szkoły: podstawowa i liceum, Uniwersytet Jagielloński, parafia, Archiwum Państwowe, ZUS. Harsynowicz miał nadzieję, że nawet jeśli nie zdobędzie kompletu dokumentów, to wystarczą niektóre z nich, żeby można było w miarę szybko uruchomić procedurę odzyskania obywatelstwa.

## Audi

Audi

6 października

Pieniądze, którymi dysponował obecnie, okazały się monotonna ekscytująca, pociągająca wyłączająca i obiecująco usypiająca. Raczej przez brzuch niż przez głowę przeszedł mu dreszcz emocji, gdy przelewał na konto dealera 750 tysięcy złotych. Auto, wyposażone w pachnący bukiet świetnych zabezpieczeń, ukradziono mu bez zbędnej zwłoki.

- A8, sześć i trzy litra? - upewnił się policjant i rozłożył ręce w bezradnym geście. Ten gest ćwiczył od pierwszego dnia służby, w której, jak powszechnie wiadomo, codzienne ryzyko utraty życia na przejściu dla pieszych to zwykła rzecz. - Zero szans - dodał z przekonaniem eksperta. - Taki wóz jest już na Ukrainie, w Rosji, Mołdawii, Kazachstanie i tak dalej. Audi A8 nie kradnie byle złodziej na części. Kradnie mafia na indywidualne zamówienie. - Policjant liczył wyraźnie, że jego heroiczny profesjonalizm wzbudzi zaufanie i szacunek do całej policji.

Henryk kupił identyczny model, nie czekając na wypłatę ubezpieczenia.

Pieniądze ojca obdarzyły go dwiema rzeczami: po pierwsze - audi, po drugie - generalnym wyzwoleniem od pewnej przypadłości, która prześladowała go przez całe dorosłe życie. Zaraz po ślubie pojawiło się paniczne napięcie, twardy węzeł w brzuchu, ćmiący ni to

bólem, ni to lękiem. Oczekiwanie Haliny, by żyli „na przyzwoitym poziomie”, zaciskało się coraz mocniej, jak plastikowe kajdanki na przegubach. Najpierw rosła w nim obawa, czy jego zdolności produkcyjno-adaptacyjne zostaną docenione przez socjalistyczne mechanizmy rozwoju społeczno-gospodarczego, później trawił go rak przygnębiającej pewności, że zawiódł ukochaną kobietę. Na końcu mamił się nadzieją, typową dla nieuleczalnie chorych, że jakoś przetrwa klęskę, to znaczy, że Halina zaakceptuje jego komercyjnorynkową nieudolność w zamian za, dajmy na to, miłość, wierność i że cię nie opuszczę aż do śmierci. Niespodziewaną przerwę w odsiadaniu dożywania podarował mu stan wojenny i więzienie, które skutecznie, choć czasowo, zlikwidowało problem. Więzienie pozostawiło, rzecz jasna, inne pryncypialne zagadnienia o charakterze ideowopolitycznym - na przykład tęsknotę i pożądanie. Bez tych zalet przestałoby być więzieniem i utraciłoby uprawnienia do eliminowania innych, poważnych wyzwań. Niemniej uzyskane dzięki niemu bezwarunkowe zwolnienie od odpowiedzialności za sprawy bytowe świata zewnętrznego było nadzwyczaj satysfakcjonujące.

- Jak sobie radzicie? - pytał Halinę w trakcie widzeń, ale to była tylko ciekawość i okazja do małego tryumfu z powodu zniknięcia wyrzutów sumienia. Do świętowania wolności.

- Radzimy sobie - odpowiadała szybko Halina, obawiając się, że jej mąż zamartwia się po nocach, czy ona ma co do garnka włożyć. - Nie martw się, kochany.

Zupełnie się nie martwił i cieszył się wolnością. We dnie wymyślał nowe słowa, których mogłaby używać córka. Nocą nakrywał głowę śmierdzącym sfilcowanym kocem i wyobrażał sobie rozchylną, oczekującą Halinę, którą zaspokajał w mistrzowski sposób. Było więc jak zawsze - każdy rodzaj wolności miał ukryty w zaletach sekretny schowek na upadek i niewolnictwo.

\*

Henryk przed wyjściem włożył ciemne okulary. Próbował dostrzec dzień, ale ten ukrył się pod pozbawionym smaku, gładkim blaskiem. Szedł ulicą porwany przez rzadką sieć powietrza. Mógł wprawdzie wjeżdżać na Chmielną, pod sam dom, ale mimo to zostawiał samochód na podziemnym parkingu. Zmuszał się w ten sposób do niewielkiego spaceru i rozprostowania kości. Bez zbędnych deliberacji wybrał się do Urzędu Stanu Cywilnego w ramach trwającej walki o odzyskanie administracyjnej tożsamości. Pół godziny po opuszczeniu garażu zatrzymał się na pustawej ulicy, przed przejściem dla pieszych. Palilo się czerwone światło, tylko wprawne ucho mogło wyłowić delikatny brum potężnego silnika, brzmiącego jak praca serca odległego boga motoryzacji. Henryk przeciągał się leniwie, gdy w

stojącym przed nim bmw zapaliły się światła wsteczne. Już miał nacisnąć klakson, wystraszony, że kierowca się pomylił lub go nie zauważył. Było za późno. Bmw uderzyło ciężko, głucho. Po wstrząsie Henryk zamarł. Jak często deklarują dziennikarze w imieniu całych narodów, a nawet kontynentów - był w szoku. Nie rozumiał, co się stało, i chciał jak najprędzej przywrócić do życia leniwą rzeczywistość. Kierowca, niski, zwalisty jak czołg bez gaśienic, i jego pasażer, podobnej postury, byli spokojni i uprzejmi. Wezwali policję i cedzili półgłosem wyjaśnienia. Henryk usiłował podsłuchiwać i protestować, ale policjant uciszył go i kazał czekać przy samochodzie.

- Spokojnie, wszystko po kolei. Przyjdzie czas i na pana wersję.

Musiał kilkakrotnie dmuchać w alkomat, który uparcie pokazywał 1,2 promila alkoholu. Skończyło się na zaproszeniu do radiowozu i podróży do szpitala.

- Kwestionuje pan wskazanie alkomatu, więc pobierzemy krew. To chyba jasne. - Policjant mówił znużonym głosem, jak przez sen. - Jestem na nogach od czternastu godzin, niech pan nie robi trudności. W końcu co za sprawa, nikt nie zginął, a pan nie uciekł.

- To jakiś absurd, nie piłem, stałem spokojnie na światłach, jak Boga kocham, więc...

- Mówiłem już, dlatego jedziemy pobrać krew. Nie ma czego się obawiać. To parę kropel. Za kwadrans będzie po wszystkim.

Krew, komisariat, zeznanie, jeden z pasażerów bmw odniósł podobno jakieś obrażenia. Tak stwierdził inny zmęczony policjant po odebraniu telefonu.

- Lekarz zdecyduje, czy poszkodowany jest poszkodowany czy nie jest poszkodowany, i wtedy pan będzie sprawcą lub nie będzie pan sprawcą odpowiedzialnym za szkody zdrowotne wyrządzone poszkodowanemu. No, a jeśli nie, jeśli nie, to wtedy tylko mandacik i do domu. Potem już tylko autocasco i po krzyku.

Sprawa wypadku zadziwiająco szybko trafiła do sądu. Henryk został oskarżony o spowodowanie wypadku w stanie nietrzeźwym.

Sędzina około czterdziestki, krótkonoga, krótkowzroczna, krótkowłosa, z nierówną grzywką spadającą na okulary, posiadała w swoim arsenale dość rozpaczliwy makijaż i wysoki przeszywający głos.

- Ile oskarżony wypił? - zapytała, nie odrywając oczu od skromnych akt. - Co oskarżony pił przed wsiądciem, zanim wsiadł oskarżony do auta w stanie nietrzeźwym z powodu, że tak powiem, prawda, niedozwolonej przed prowadzeniem pojazdu konsumpcji alkoholu?

Człowiek jest zawsze samotny, dojmująco samotny, pomyślał Henryk, ale nie mógł kontynuować, bo sędzina żądała odpowiedzi.

- Nie piłem. Nie piję, gdy prowadzę. Generalnie niewiele piję. A z pewnością nie nadużywam. W tym dniu również nie piłem. W przeddzień również.

- Proszę zaprotokołować. Oskarżony nie przyznaje się do popełnionych przez niego czynów - i kontynuowała, zwracając się do Henryka, ale i po trosze do ludzkości. - Oskarżony zawsze kłamać może. Oskarżony za kłamstwa pociągnięty być nie może według prawa. Ale po co kłamać w sytuacji, prawda, gdy prawdę sąd zna dokładniutenieczko? Radzę mu tak: prawdę mówić, szybciotko się zawiniemy ze sprawą i wpłynie to na wymiar kary. Tego nie protokołować - zwróciła się do protokolantki łudzaco podobnej do Moniki Bellucci z lat osiemdziesiątych XX wieku.

- Jak to kary? Czemu sąd mówi o karze, kiedy rozprawa się dopiero...

- Fakty są mu znane? Po co robić z siebie pajaca. Badanie krwi wykazało obecność alkoholu we krwi oskarżonego Henryka Harsynkowicza. Dowód - badanie alkomatem oraz pozytywny wynik analizy krwi na okoliczność obecności używek niedozwolonych podczas prowadzenia pojazdów mechanicznych uczestniczących w ruchu kołowym. 1,2 promila. W posiadaniu sądu jest również dokumentacja szpitalna poszkodowanego... Giertych... Adam, tu mamy, lat 37, i tak dalej, który przebywał na tym a tym oddziale, na leczeniu siedem dni. Proszę skreślić i wpisać osiem. Lekarz pomylił się w rachunkach. Od siedemnastego do dwudziestego czwartego, to wychodzi osiem, jak nie kręć. Matematyki na tej medycynie nie mieli?

Papiery szeleściły, dotykając bordowych paznokci sędziny, piękna protokolantka z nieposkromioną namiętnością wpatrywała się ciemnym wzrokiem w ekran laptopa.

Czerwone paznokcie mógłby mieć kat, nie sędzia, pomyślał Henryk. Czy wśród katów są kobiety? Gdyby nie zniesiono kary śmierci, pewnie teraz polityczki i przywódczyni zażądałyby parytetu.

- W aktach jest również raport policji - kontynuowała okularnica. - Że bez próby hamowania kierujący pojazdem marki Audi, numer rejestracyjny wu ten i ten, wjechał na stojący na czerwonym świetle przed przejściem dla pieszych samochód marki...

Przez hermetycznie zamknięte okna do ciasnej salki dobijało się słońce i zagłuszało głos sędziny. Wewnątrz rósł szary bezruch i bezbarwny zaduch. Bezpańskie myśli wschodziły jak ozimina na ugorze lakierowanego parkietu.

- To ci panowie we mnie wjechali, zatrzymałem się prawidłowo, bo światło, a on... - Henryk usłyszał swoje zamierające dukanie.

- Mówić na polecenie sądu! - krzyknęła sędzina. Ale uspokoiła się natychmiast, jakby ktoś kopnął ją w kostkę. Po chwili ledwie słyszalnym głosem sylabizowała: - Jeszcze raz

oskarżony złamie, a ukarzę grzywną. Pięćset, a jak nie pomoże, dołożę. Do pięciu tysięcy. Dostyc tego. Żadnej godności w tych Polakach. Trzeba umieć się przyznać do błędów. - Podniosła po raz pierwszy wzrok znad akt. Popatrzyła na oskarżonego. Światło odbiło się od grubych szkieł i pokryło bielmem jej oczy. Henryk dostrzegł jedynie wzrok protokolantki pełen roztargnionej pogardy.

- Zrób coś, działaj, chcę to szybko zakończyć. - Henryk zadzwonił do Ziemilskiego zaraz po opuszczeniu sali sądowej. Z de Vernonem planował porozmawiać osobiście. Sędzina zabrała mu prawo jazdy na pięć lat, wlepiła pół roku więzienia z zawieszeniem na dwa lata (biegły lekarz sądowy orzekł spory procent trwałego uszczerbku zdrowia pasażera bmw) i obciążyła kosztami postępowania.

- Nic nie rozumiem. To jawna granda. Po prostu nic z tego nie rozumiem, ale chcę ten cyrk sprawdzić w drugiej instancji. Chcę się odwołać. Nic nie rozumiem, nie widzę w tym sensu, ale się odwołam.

- Zastanów się lepiej, mój drogi - osadził go Ziemilski - komu zalazłeś za skórę. Kto ma interes, żeby ci przyładować. To mi nie wygląda na rutynową pomyłkę policyjno-sądową. To robota fachowców. - I z troską zakończył: - Nie chciałbym mieć takich przeciwko sobie. Tobie też tego nie życzę.

\*

Henryk stał na parkingu przy swoim samochodzie pokrytym świeżym kurzem i rozmawiał z dobrze zbudowanym mężczyzną, nieco wyższym od niego, prawdopodobnie równolatkiem. Nad ich głowami dudniły tramwaje. Wokół cicho pojękiwały opony aut parkujących na gładkim betonie.

- Sądy! Pies ich dmuchał. Wie pan, nie należę do tych, co twierdzą, że za komuny było lepiej, a w najlepszym razie, że nic się nie zmieniło, ale na sądy scyzoryk mi się w kieszeni otwiera.

Henryk nie chciał się rozstawać z autem. Najął taksówkarza. Dogadali się bez trudu. Edmund Zbrojkiewicz był spokojnym, pewnym kierowcą. Opinie wyrażał krótko i twardo, ale głównie milczał.

- Jak się słucha wszystkich stacji cały dzień, to się człowiek połapie, w jakiej sprawie kręcą, o czym milczą, a w co trąbią jak w kozią dupę. Ale co ma skapować gość, który cały dzień tyra i na koniec, drzemiąc, wysłucha jednego dziennika?

Henryk był zadowolony, że za niewielkie pieniądze będzie mógł jeździć z kierowcą, i spontanicznie obdarzył Edmunda Zbrojkiewicza bezgranicznym zaufaniem.



## Badania lekarskie i terapia

Badania lekarskie i terapia

9 października

D o Urzędu Stanu Cywilnego Henryk planował wybrać się zaraz po wizycie u lekarza. Nie zrozumiał, z kim Ziemiński go w końcu umówił. Z kardiologiem czy z innym specjalistą. Rekomendacja Ziemińskiego była długa i zawiła.

Lekarza odszukał w ogromnym budynku szpitalnym o niskich sufitach i skomplikowanym systemie korytarzy, wind i klatek schodowych. Na obrzeżach labiryntu ukryte były niewielkie klitki dla lekarzy i pacjentów. Było to jedno z arcydzieł architektury z okresu, gdy wierzyciele Edwarda Pierwszego stłumili jego inwestycyjny rozmach. Franz Kafka był podobno pacjentem tej ważnej placówki na froncie zdrowotnym i dzięki temu zostaliśmy obdarowani Procesem i paroma innymi dziełami o charakterze faktograficzno-wspomnieniowym. Przez kilka godzin Henryk wędrował od gabinetu do gabinetu, pilotowany przez niezgrabną stażystkę obsypaną trądzikiem, zaszmarowanym przez zaradną dziewczynę grubą warstwą pudru, który bez trudu przywraca naturalne piękno w dziewięćdziesięciu procentach i uzdrowia natychmiast skórę zdegradowaną przez częste używanie uzdrawiających pudrów. Wkrótce miał za sobą całą serię badań, analiz i konsultacji. Czuł błogie zadowolenie i gwałtowny napływ doskonałego zdrowia.

Lekarz patrzył na Henryka z nieprzyjemnie uprzejmym uśmiechem.

- Chcę pana uspokoić. Nic specjalnego się nie dzieje. Stwierdzono przepuklinę przełyku, co powoduje nieprzyjemne uczucie zgagi i częste odbijanie. Lekki nieżyt dróg oddechowych. Również lekkie, chociaż, niestety, wyglądające na przewlekłe, zapalenie prostaty. Jak na pana wiek, a zapewne i tryb życia, pana stan zdrowia oceniam na czwórkę. Mój sekretariat umówi pana na następne konsultacje, ale to nastąpi dopiero za cztery tygodnie. A teraz radzę więcej ruchu, także wieczorem, przed snem. Po południu nie zaszkodzi krótka drzemka, zwykła chwila odprężenia, oderwanie się od problemów, nawet na dziesięć, piętnaście minut.

Lekarz wręczył mu recepty, kartkę z zaleceniami i chciał się pożegnać.

Będę żył wiecznie, ocenił diagnozę Henryk.

- Panie doktorze, jest jeszcze jeden problem.

- Taaak? - Mężczyzna był zaskoczony. - Cóż to za problem? - Z udawaną dyskrecją rzucił okiem na zegarek.

- Wie pan, to nie jest proste, żeby... jak to ująć, żeby było najłatwiej zrozumieć. Bo

ja... panie doktorze, widzę różne rzeczy, których chyba nie powinienem widzieć. A... innym razem różne... wersje rzeczywistości nakładają się na siebie, mieszają mi się w oczach. Sam już nie wiem. Wygląda to tak, jakbym miał jednocześnie siedem, szesnaście i trzydzieści lat. To znaczy, mój wiek oczywiście się nie zmienia, szósty krzyżyk na karku. Albo świat ma wiele mutacji w tym samym momencie, albo ja się dzielę na fragmenty, na strefy czasowe, przeżywam jeszcze raz to, co już mam za sobą. Rozumie pan? Tym bym się zresztą tak bardzo nie przejmował i nie zwracał panu głowy. Ale uczestniczenie w minionych wydarzeniach, z którymi nie miałem nic wspólnego, to już nie jest normalne. O, już wiem, jak opisać to zjawisko. Kilka filmów wyświetlanych jednocześnie na tym samym ekranie. Niby widzę kadry z każdego z osobna, ale wszystko się trochę miesza.

- Tak, oczywiście, rozumiem. - Profesor popatrzył na Henryka z uwagą, ale raczej nie był gotowy zagłębić się w nowy problem. Mógł zresztą udawać, że słucha. Docierała do niego tylko powierzchnia słów. Potrafiłby je powtórzyć, ale skupiony był już na czymś innym.

Wystrój gabinetu pochodził sprzed trzydziestu lat, może był jeszcze starszy. Art déco z końca lat siedemdziesiątych - dębowa okleina, mulista, pokracznobiurokratyczna elegancja szczebla wojewódzkiego, chmary brzęczących jarzeniowych os. Południowa, oszklona ściana daje latem przedsmak piekła. Henryk podniósł głowę - w rogu pokoju do sufitu przyklejony był klimatyzator. Lekarz przed nazwiskiem miał tytuł profesora doktora habilitowanego nauk medycznych. Był uprzejmym, wyrozumiałym człowiekiem, ale najwyraźniej pacjent wyczerpał swój czas.

- Panie profesorze, dzwoniła... żona - szepnęła przez uchylone drzwi sekretarka.

- Tak, tak.

Profesor otworzył szufladę w biurku i chwilę w niej grzebał. Wreszcie wyłowił jakiś karteluszek, wstał, przeprosił półgłosem i wyszedł do sekretariatu. Wrócił wyraźnie ożywiony.

- To może być chwilowe osłabienie związane z wiekiem - lekarz z uwagą patrzył na otwarty kalendarz.

- Mężczyźni różnią się od kobiet, ale pod tym względem nie aż tak bardzo.

Uśmiechnął się uspokajająco.

- W pana wypadku długa, wyczerpująca podróż, zmiana trybu życia, klimatu, zapewne diety, to wszystko się skumulowało i mały kryzys gotowy. Tak bywa w podobnych sytuacjach. Wahanie ciśnienia, bicie serca. Plus gorsze ukrwienie mózgu z powodu oglądania telewizji na leżąco, ze zgiętą szyją. Dodajmy brak ruchu i mamy efekty. Słabe krążenie, krótki oddech, zawroty głowy. EEG nie było idealne, ale jeszcze, powiedzmy, w normie.

Następnym razem założymy panu holtera i stały pomiar ciśnienia. Jeszcze raz podkreślam, więcej ruchu. Absolutne minimum to gimnastyka przynajmniej przez piętnaście minut dziennie. Nie raz w tygodniu, codziennie. Musi pan sobie pomóc, nikt pana w tym nie wyręczy.

Profesor wyglądał czerstwo i zdrowo. Szpakowaty, wzrostu co najwyżej średniego, maksymalnie 170 centymetrów. Bardzo ciemne oczy. Nie można było zauważyć różnicy między źrenicami a tęczówkami. Henryk zastanawiał się, jakie stosunki łączą profesora z żoną. Od komunikatu sekretarki o telefonie lekarz był myślami gdzie indziej. Jeśli to dzwoniła ona. Bał się jej? Obiecał coś, nie dotrzymał słowa i spodziewał się, że w domu będzie istne piekło? A może piękna żona wyjeżdża w dłuższą delegację, na kontrakt, wykłady, seminarium i obiecała mu pożegnalny seks? Może w ten sposób chce stłumić podejrzenia profesora, że wyjeżdża z kochankiem? Profesor śpieszy się, chce być punktualnie w domu. Wibruje w nim podniecenie? Żona. Maria? Agnieszka? Mogła kategorycznie zaznaczyć: „Nie możesz się spóźnić, samolot przecież nie będzie czekał”. Jest szczupłą, nerwową brunetką, młodszą od męża o piętnaście lat? Ciepłą, korpulentną szatynką, lubiącą biżuterię i mocny makijaż? Profesor żyje w ciągłym napięciu i stara się kontrolować swoją wybrankę, bo toczy go od dnia ślubu chorobliwa zazdrość? Jego maniackie lęki są bezpodstawne, czy ma biedak powody? Być może nawet wiele powodów i zażywa coraz silniejsze środki uspokajające.

- Nie wiem - powiedział głośno.

- Czego pan nie wie? - Lekarz rzucił na niego zdziwione spojrzenie.

- Nie, nic, przepraszam. Zamyśliłem się. - Zastanawiał się, co jeszcze powinien powiedzieć lekarzowi. Postawił na szatynkę. Lubi śmiałe dekolty i czarną bieliznę. Energiczna, trochę dyryguje mężem, ale łagodnie, z opiekuńczą czułością, jaką stosują kobiety wobec mężów dobrze zarabiających, o wysokiej pozycji społecznej. Czy powiedział wszystko?

- Mam coś dla pana. - Profesor trzymał w wyciągniętej dłoni niewielką plastikową buteleczkę. - Proszę zażywać jedną pastylkę, na godzinę przed snem. Bardzo dobry lek, nowoczesny, bez skutków ubocznych. Będzie pan spał jak dziecko i samopoczucie też powinno być lepsze, nastrój bardziej optymistyczny. Do zobaczenia i proszę się nie martwić.

Henryk był lekko oszołomiony sześciogodzinnym pobytem w szpitalu. Zadowolenie ustępowało stopniowo na rzecz przygnębienia. Chodził do niego, żeby mu zrobił OB? Właściwie z powodu pojawiających się czasem omamów, a raczej podejrzeń, że to omamy, wybrał się do szpitala. Ciężko mu przyszło zwierzenie się na ten temat. Czemu nie powiedział

o nich od razu, na początku wizyty? Teraz będzie leczył zgałę i zatwardzenie.

## Urząd Stanu Cywilnego

Urząd Stanu Cywilnego

9 października

U rząd Stanu Cywilnego znajdował się na pierwszym piętrze beżowego budynku, który, sądząc z estetyki, jeszcze wczoraj służył jako więzienie. Pokój, do którego wszedł, wypełniało światło o zaskakującym słodkoróżowym zabarwieniu. Słońce zawzięcie atakowało okna, przysłonięte czerwonymi żaluzjami. Przy luźno ustawionych biurkach siedziało kilka zadbanych pań. Wszystkie stuknęły pilnie w klawiatury, patrzyły z namysłem w ekrany, przeglądały uważnie elektroniczne i papierowe dokumenty. Przy biurku znajdującym się naprzeciwko drzwi siedziała luksusowa blondynka, młodsza od pozostałych, z większym niż u koleżanek dekoltem. Na skraju bluzeczki wisiała wizytówka: st. spec. Iwona Górka.

- Chwilunię - posłała w stronę Henryka zniewalający uśmiech. - Muszę znaleźć ważne akta dla koleżanki.

Słowo „akta” wypowiedziała tak, jakby chodziło o jej akt, po czym weszła ostrożnie na niewielkie schodki i wyjęła z szafy gruby skoroszyt. Ostrożność podyktowana była wysokimi szpilkami przyklejonymi jakimś cudem do filigranowych pięt.

- No, co pan tak patrzy? - Przechyliła kokieteryjnie głowę, zerkając spod przymrużonych rzęs. - Wiem, prześwituje - dodała przeproszająco - ale pan kierownik nie lubi, jak się nosi majtki.

W tym momencie zza drzwi opatrzonej tabliczką „Kierownik” wypadł z impetem młody mężczyzna. Składał się z kompozycji sterczących włosów, obficie pokrytych żelem, białej koszuli, rozpiętej głęboko i odsłaniającej opaloną pierś, ciemnego garnituru z materiału typu tenis, czarnych półbutów lakierków o niebezpiecznie wydłużonych szpicach, na których nie było dzwoneczków, oraz zegarka w kolorze złotym, który zwisał luźno z przegubu na plecionym metalowym pasku.

- Hola! - wykrzyknął radosnym głosem i wznosił ramiona. Świetnie skrojona marynarka nie podjechała do góry, pozostała na swoim miejscu, przylegając idealnie do wysportowanych barków, pleców i piersi kierownika.

- Hola huuu! - odkrzyknęły jednym głosem referentki, specjalistki i główne specjalistki oraz jedna naczelniczka. Następnie odłożyły okulary, długopisy i myszki i wyrzuciły ramiona ku górze. Jednocześnie wykonały z gracją zsynchronizowany krótki sus, a nawet sarni skok. Zjednoczony chór żeńskich głosów westchnął zaczepnie: - Holaaa...

Kierownik tylko na to czekał. Zakręcił się jak fryga w oszłamiającym piruecie, wyciskając z płuc ponownie donośne: Hooool huuu!

Skłony, wygięcia, skoki i piruety panie powtarzały wdzięcznie, kopiując w równym rytmie wygibasy kierownika. Ekstacyjny taniec trwał kilkanaście sekund, może krócej, może dłużej. Muszą chyba sporo ćwiczyć po godzinach - pomyślał Henryk. Zdjął okulary i ścisnął oczy za pomocą kciuka i palca wskazującego. Kiedy znowu włożył okulary, wszystkie kobiety siedziały na swoich miejscach zatopione w pracy, mając na uwadze dobro wspólne i interes obywateli. Kierownik ostatnim tanecznym susem zbliżył się do Iwony Górki.

- Procedury unijne przyjazne są i proste - zanucił leciutko, niemal szeptem. - Pragnę - rozwinął myśl surowym altem - więcej precyzyjnych danych do mego sprawozdania.

Przypominał w tym momencie wszystkich trzech tenorów jednocześnie, ale szczególnie Placida Domingo w młodym wieku. Gdy śpiew wybrzmiał, odwrócił się i wbiegł do gabinetu.

- Czy to był pan kierownik? - zapytał Henryk. - Nawet nie zdążyłem się...

Po paru minutach został urzędowo zaproszony. Kierownik siedział za biurkiem wyprostowany i co kilkanaście sekund szarpał głową do tyłu, jakby odrzucał za długą grzywkę. Grzywki nie miał, ale regularny tik, albo przyzwyczajenie z czasów, kiedy grzywkę posiadał, dodawał mu młodzieżowego uroku, choć rozmówca mógł się czuć nieco zestresowany.

- Godność i podmiotowość, filozofia dialogu i etyka służby publicznej... - zaczął tubalnym głosem, ale zmitygował się i z przymilnym uśmiechem sprzedawcy samochodów zapytał: - W czym mogę pomóc szanownemu panu? Sługa uniżony. Przepraszam, że musiał pan czekać, ale rozumie pan, służba nie drużba, w słońce i w deszcz.

- Słota to mniej więcej to samo co deszcz. - Henrykowi zawsze słabo szło nawiązywanie kontaktów. Szczególnie niezręcznie zachowywał się w stosunku do osób, wobec których chciał być szczególnie miły.

- Tak, dziękuję, że pan... - dodał szybko. - Wyjechałem z Polski trzydzieści lat temu. - Chciał być szczery i wiarygodny, więc uzupełnił: - Mniej więcej trzydzieści. I tak się złożyło, że nie mam żadnych polskich dokumentów. - Uśmiechnął się bezradnie. - Staram się o przywrócenie obywatelstwa, no i...

Żaluzje w pokoju kierownika były również mocno czerwone. Sączyło się przez nie rzadkie różowe światło. Deserowe i usypiające. Na podłodze leżał miękki dywan, stopy wpadały weń jak w sprężystą trawę, którą wierny ogrodnik strzygł regularnie przez długie lata. Przymknął oczy, zmęczenie badaniami dawało o sobie znać. Był na czczo. Żołądek

przyssał się żrąco do płuc, pochłaniał je, dławiąc się z pośpiechu. W skroniach puls przyspieszał, hałasując jak pijany uliczny zmiatacz.

- Chciałem prosić... - Próbował otworzyć oczy, ale nie miał na to siły. Zaczął mówić z zamkniętymi oczami: -...prosić, aaa... żeby pan sprawdził, prawda, czy jest coś w archiwum... - czuł, że głos zwalnia, rozlewa się, wsiąka w dywan -...na mój temat. Akt... akt urodzenia czy coś takiego. W domu nic nie mogę znaleźć.

Kierownik zapadł się w fotel. Jego ciało idealnie pasowało do czarnego skórzanego mebla z uchylnym oparciem. Odrzucił niewidzialną grzywkę i przemówił:

- Jesteśmy do dyspozycji o każdej porze dnia i nocy. Oczywiście w godzinach urzędowania. W słońcu i w deszcz. - Popatrzył przeciągle na Henryka. - Sen i bezsenność spędza nam troskę z powiek. - Tym razem spojrzenie było krótkie, kontrolne, niemal wesołe. Konduktor w InterCity patrzy w oczy o wiele dłużej. - Obywatele awizują, a my to awizo pozytywistycznie, w duchu praw i obowiązków. A księża, cóż, nie są chętni do pracy. Pełna taca to nie praca, jak mówi ludowe przysłowie. Na wstępie zechce pan przyjąć do łaskawej wiadomości to, co najważniejsze: pośredniczymy w kontaktach ze wszystkimi wydziałami urzędu dzielnicy. Także z urzędem miasta oraz, tak, tak, przyzna pan, że to bardzo profesjonalne, z większością ministerstw i urzędów centralnych. Z Zarządem Cmentarzy Komunalnych na czele. Spopielenie - to nasza dewiza i cel cywilizacji radości. Realizujemy w ten sposób państwową zasadę jednego okienka dla wszystkich obywateli. Ciemnogród się opiera, ale Europa go spopieli.

Henryk wciągnął głębiej powietrze. Zaczął myśleć jednocześnie o kołdunach z czerwonym barszczem, pizzy, sałatce jarzynowej, schabie ze śliwkami i sandaczu na porach. Chciał przełknąć ślinę, ale zaschło mu w gardle. Przelyk zaskrzypiał, skarżył się cicho, bez nadziei.

- Nasza prowizja wynosi dziesięć procent od całości kosztów poniesionych przez petenta, ale jestem otwarty na partnerskie negocjacje, konsultacje społeczne, nawet referendum. Dbamy, by sumaryczne koszty były uzasadnione i racjonalne, albowiem współczesny model patriotyzmu nie daje nam spokojnie trawić i wydalać, gdy się obywatelowi zdejmuje spodnie przez głowę. Dlatego strofujemy tych najbardziej zachłannych. Niestety, ci abstrakcyjni surrealiści od koncesji i pozwoleń na budowę przekraczają wszelkie zlikwidowane granice. A propos, jakiś mały domek będzie pan stawiał? Domeczek? Letniskowy chociażby w Puszczy Kampinoskiej? Nie? Szkoda. Mamy tanich projektantów i niezawodnych wykonawców. Muszę również przyznać, że długo prowadziliśmy rozmowy ze skarbowką. Bez rezultatu. Los człowieka został zdeptany, a

prawa obywatela są poważnie zagrożone u swych filozoficznych podstaw. U nich panuje znieczulica społeczna. Imponderabilia humanizmu poszły się bujać. W przypadku ubiegania się o ulgę podatkową nasi przyjaciele ze skarbowki nie chcą negocjować. Z góry uprzedzam, niewidzialna ręka skarbu bierze 25 procent od wysokości udzielonej ulgi. I nie chcą się dzielić. Cała pula dla nich. O Urzędzie Kontroli Skarbowej nawet nie wspominam. A ulgi na poziomie ministra finansów? Na tym szczeblu, ojczyzno ma, zgodnie z postulatami profesora Balcerowicza, nastąpiła pełna deregulacja, fundusz walutowy w czystej postaci. Nieskażony socjalizmem. Biorą po uważaniu. Sam Balcerowicz nie był w stanie przewidzieć takiego spontanicznego rozwoju rynku, kiedy wyładał w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy KC PZPR nowatorską koncepcję zarządzania zakładami pracy przez rady robotnicze. To piękna i aktualna idea. Zawsze marzyłem, by zostać robotnikiem. I nadal rozważam tę ścieżkę kariery. A pańskim zdaniem to socjalizm skaził wolny rynek czy odwrotnie, wolny rynek skaził socjalizm? I najważniejsze, czemu Kościół bezprawnie podatków nie płaci?

Niewidzialna grzywka kierownika poszybowała gwałtownie za głowę.

- Gdyby mój akt urodzenia... - zaczął Henryk, ale nie mógł kontynuować wywodu.

- Ja lubię uczciwość, a nie lubię chciwości - przemawiał kierownik. - Będę zawsze bronił tezy, że zupę, proszę pana, wygodniej jeść łyżką niż chochlą. Już nie wspomnę o sitku. Ale, ale, drogi chlebowodawco, muszę umieścić tutaj przypis numer dwa. Nasze małe okienko na świat, otwarte dzięki likwidacji stoczni, niestety nie obejmuje wymiaru sprawiedliwości. Wiem, to niesprawiedliwe. To urąga niezawisłości. Sądy, prokuratura, policja izolują się i prowadzą swoje własne kantorki. Jakby nie byli częścią naszej młodej, prężnej demokracji, sukinkoty. Ten organizacyjny chaos prowadzi na manowce nowoczesne państwo, mitręży czas podatnika, powoduje nadmierne zużycie plastikowych toreb, a to w efekcie narusza równowagę ekologiczną i stymuluje deficyt budżetu państwa. A budżet leży nam na sercu. Leży w całej rozciągłości. Wdowy i sieroty z Milicji Obywatelskiej nie mogą już z powodu leżącego budżetu dłużej leżeć, bo im się odleżyny na mundurach porobiły. No, niech pan wreszcie mówi, z czym przyszedł. Choć jeszcze dodam, na marginesie, że episkopat wtrąca się dosłownie we wszystko. Nogę pcha między szprychy, jakbyśmy byli w średniowieczu. PKP nie można w spokoju modernizować. Pociągi się spóźniają. Stonka zżera szyny. Trzeba z tym skończyć.

Tik u kierownika zaczął pojawiać się częściej. Mniej więcej co pięć sekund.

- Ja już powiedziałem - wystękał Henryk - muszę wykazać, że jestem Polakiem.

Odbiło mu się kwasem żołądkowym. Na ogromnym biurku kierownika stała butelka wody i dwie małe szklaneczki. Chciał sięgnąć i nalać. Końcówkami wszystkich nerwów czuł

zbawczą siłę przelanej wody mineralnej. Z trudem przesunął szorstkim, zdrętwiałym językiem po spierzchniętych wargach.

- To znaczy, chciałem powiedzieć, oczywiście, polskim obywatelem, że tu się urodziłem, mieszkałem, rozumie pan, w Warszawie. Dokumenty, które miałem, zaginęły, mam tylko kanadyjski paszport, zostałem z niczym. - Usiłował przełknąć wióry suchej śliny, ale bez skutku. - Goły i wesoły - dodał ponuro.

Kierownik prawą ręką podparł ciężką głowę. Drugą dyskretnie chwycił koronkowy stanik leżący na biurku i wetknął do szuflady.

- Co o tym myśleć na warszawskim bruku? Sprawa jest ważna i drobna, błaha i trudna, prosta i pracochłonna. Pan mnie pyta: pomożecie? Odpowiedź ubogiej budżetówki brzmi: pomożemy! Kojarzy pan ten dialog? Och, wiem, wiem, ciągłość historii pana nie interesuje. Chrzani pan dziedzictwo i rycerstwo. Husarię i victorię wiedeńską pan olewa. Wybrał pan przyszłość. A tożsamość, kurwa, narodowa, to gdzie? OK, podaruje pan koleżance Iwonie Górcie zestaw kosmetyków Givenchy, zapali świeczkę przy grobie, pardon, przy willi naszego ukochanego Ciemnookiego i dostanie pan swoje papierki. W kategorii spraw ważnych i drobnych, błahych i trudnych, prostych i pracochłonnych opłata wnoszona jest zawsze z góry.

Henryk odczuł zbędną, lecz nieodpartą potrzebę zadania kierownikowi jeszcze kilku pytań. Głód jednak zadał mu zniecka krótki cios. Skulił się i szybko pożegnał.

Do Urzędu ponownie zaszedł z własnej inicjatywy po dwóch tygodniach. Niecierpliwił się. Ani kierownik, ani pani Górka nie dawali znaku życia. Telefonu nikt nie odbierał. Chociaż może Górka była panną. Dawała kosza po koszu. Wszyscy adoratorzy bardzo jej się podobali, czuła jednak, że jest jeszcze za wcześnie na zamążpójście, że proces kształtowania się jej osobowości nadal trwa.

Biuro zastał pustawe, panował w nim kwaśny chłód. Nad biurkiem Górki po niewidzialnej nitce spuszczał się sprawnie z sufitu spory pająk. Okna pozbawione żaluzji pokrywał kurz. Z trudem przeciekało przez nie światło i kładło się nierównymi plamami na zdeptanej bordowo-szarej wykładzinie. Henryk cofnął się w pierwszym odruchu. Odnosił wrażenie, że się pomylił albo że pierwsza wizyta była urojeniem. Biurka stały opuszczone, brutalnie oderwane od komputerów. Górka, ubrana w za duży, bezkształtny kostium, a właściwie poplamiony chałat, grzebała w szafie. Naderwane guziki dyndały na pojedynczych nitkach. Gdy się odwróciła, zauważył biegnącą przez jej policzek szarą ścieżkę, wytyczoną przed chwilą przez samotną, otyłą łzę. Zaniepokojony, już chciał zapytać, co się stało, pocieszyć, utulić, zabrać do domu, zaopiekować się, nakarmić, odziać, rozebrać, zwiedzić Wenecję, piramidy egipskie, zatańczyć w Rio, objechać świat, zbudować dom, posadzić



drzewo, mieć dzieci, wnuki, prawnuki, jacht, ale ona bez słowa, nie obdarzywszy go nawet lekceważącym spojrzeniem, otworzyła drzwi do gabinetu kierownika. Ostrzyżony na zero kierownik przerwał rozmowę telefoniczną, lekko zdetonowany obecnością Henryka.

- Muszę kończyć, wchodzi - powiedział ściszym głosem. Odłożył szybko słuchawkę i pozostał za biurkiem, pisząc tępo palcem po zakurzonym blacie. Nie przywitał się z Henrykiem, nawet nie wstał z obrotowego, rozchwianego krzesła. Wzdychał, siąkał nosem, tarł oczy. Wreszcie włożył okulary. Były za duże, spadały mu z nosa. Widział w nich prawdopodobnie niewiele, więc marszcząc czoło, patrzył z wysiłkiem ponad szklami. Wyglądał jak człowiek samotny, przygnieciony klęską, pozostawiony z nią sam na sam przez społeczeństwo obywatelskie.

W Henryku weszło współczucie dla steranego samorządowca.

- Czy mógłbym w czymś po... - zaczął miękko-dyskretnym tonem.

- Szanowny panie. - Kierownik odchrząknął i przelknął ślinę. Życie powoli wracało do jego zmiętoszonego ciała. - Nie mam dla pana dobrych wiadomości. - Uśmiechnął się gorzko, raczej do siebie lub złych wiadomości niż do Henryka.

I znowu jakiś czas chrząkał, otwierał i zamykał szufladę, pocierał dłonie, jakby zgrabiwały mu od zimna. Na serdecznym palcu połyskiwała obrączka służąca do odmawiania różańca. Wreszcie wykrztusił:

- Muszę to panu powiedzieć prosto z mostu. Przecież prawda nas wyzwoli!

- Jestem miłośnikiem prawdy - odparł Henryk. - Ale, przepraszam, czy coś się stało? Tutaj, w urzędzie? Jakieś zmartwienie... mógłbym jakoś...

Kierownik dyskretnie się przeżegnał i wznosił oczy ku sufitowi.

- Niech mowa wasza będzie tak, tak i nie, nie - odpowiedział. - Dieta, asceza, wstrzemięźliwość to nie tylko wspaniałe środki, by osiągnąć szczęście, ale również wspaniałe, zdrowośne cele same w sobie. Urząd Stanu Cywilnego pragnie panu oświadczyć ustami swego niegodnego przedstawiciela, że według naszej najlepszej wiedzy pana nie ma. Rzecz ujmując szczegółowo, nie ma pana, bo się pan wcale nie urodził. Tak twierdzimy i twierdzić będziemy nawet pod gradem bomb. Bici i torturowani przez demona polskiego patriotyzmu. Dowodem na to, że się pan nie urodził, jest... noo... nie ma na to dowodów, prawda, materialnych. W tym samym stopniu co i pana. Ale materia - tu podniósł wskazujący palec do góry - to nie wszystko. Duch, który eeee... chciałem powiedzieć, że nie ma również żadnych dowodów, że się pan jednakowoż urodził. Jednym słowem, według naszego urzędu nie żyje pan całkowicie, w całej rozciągłości, we wszystkich aspektach materialnych życia i wszechstronnych wymiarach wszechświata. Przepraszam, brzmi to może trochę obcesowo,

wręcz trywialnie. Cóż, tak to jest, jedni umarli, drudzy nie żyją, jednym słowem - proza życia. Proszę powiedzieć szczerze, jest pan kimś innym? Jaja pan sobie robi? Lekki się odstawiło? Bo jeśli pan, mimo wszystko, istnieje, znaczy się, żyje w swoim własnym i nieprzymuszonym życiu, w swoim własnym ciele, a nie cudzym, podprowadzonym biednemu emerytowi i nie na głupią chwilę, która ni cholery nie chce trwać, ale na stałe, jest pan sobą for ever and ever i ma pan zamiar wytrwać w tym bezsensownym postanowieniu, co w końcu niejednemu się przydarzyło, to ja, kurdelebele, nie wiem, jak pan to zorganizował. Jak zamierzył, przymierzył, a tym bardziej jak osiągnął. Aj ryli dont noł, oświadczam z całą mocą, w imieniu swoim i Rzeczypospolitej. Mam nadzieję, że pan uważnie słuchał i wmyślił się ze zrozumieniem w moje myśli, bo nie jestem w stanie drugi raz tego powtórzyć ze zrozumieniem bez popadnięcia w depresję maniacką. Tak, i nie mów pan nic, bo nie odpowiadam za siebie i za swoje długi.

Przerwał. Złapał oddech i dodał tonem mniej oficjalnym.

- Muszę panu coś jeszcze powiedzieć. Wyznać szczerze jak urzędnik podatkowi. Nie mam pojęcia, co się stanie z naszą planetą. Nie wiem, dokąd zmierza ludzkość. Przeczucia mam jak najgorsze.

## **Bankiet**

Bankiet

12 października

Dym ospale szedł w górę, ale zaraz wracał. Kręcił się bez celu, okręcał wokół własnej pustki, plątał, słabł i wymykał na stronę. Wreszcie błąd, zaatakowany przez niewydolność płuc, dogorywał po kątach. Karminowy ślad szminki obleśnie oblepiał biały ustnik papierosa porzucony na popielniczce. Henryk ze wstrętem zgasił cudzy niedopałek. Długo sprawdzał w słabym świetle, czy nie ubrudził palców szminką.

Imprezę, na której po raz pierwszy od przylotu do Warszawy pił ostrzej, bez pilnowania ilości i rodzaju trunków, zorganizował Ziemilski. Odnalazł ludzi ze związku, którzy pracowali z Henrykiem w Mazowszu, a i tych, z którymi siedział po 13 grudnia w Białoleńce. Po dwóch godzinach hałaśliwego picia postanowił wraz z Wojtkiem, byłym prawnikiem zarządu regionu, wyjść z imprezy i trochę się przewietrzyć.

- Wyskakuję na chwilę. Zaraz wrócę, słowo - odpowiedział na kontrolny wzrok Ziemilskiego.

Miasto wypełniał wytrawny wiatr. Przeszedł chłodny deszcz. Ciemna wilgoć lizana przez reflektory samochodów, połykana łapczywie przez światła wystaw, zalegała nierówny

chodnik i załamania murów. Przeszli nie więcej niż kilkaset metrów i postanowili przewietrzyć się w knajpie. Mimo sobotniego wieczoru wyglądała na spokojną. Może obawiali się rozmowy bez alkoholu, a milczenie wydawało się ubliżać ich pewności siebie, inteligencji i wyszukiwanym nerwowo, egzaltowanym wspomnieniom.

- Nie wiesz, co cię ominęło. Twoja obczyzna to jest nic przy ojczyźnie. Nie jechało się zbyt przyjemnie rzygobusem przez te szmatławe lata.

- Wiem, Wojtek, wiem. Myślisz, że było łatwo być tam, za oceanem, i nic nie robić? Szarpać się jak kogut z obciętą głową i naprawdę nic nie móc zrobić?

- A tu co byś zrobił? Tu było sakramencko łatwo stać jak Armia Krajowa z bronią u nogi. Co ja mówię, z bronią u nogi. Raczej z mózgiem w dupie i rozsądkiem w kiblu.

Pamiętał Wojtka. Zawsze pełen frustracji, rozdrażnienia, wypływającego z rozczarowania życiem, które ciągle wyglądało na dziecinnie nierozpoczęte. Sukcesy, które odnosił, wydawały się fałszywe lub pożyczone od kogoś na jeden dzień. Książki, które czytał, były coraz nudniejsze albo przypominały inne książki, które prawdopodobnie czytał wcześniej bez szczególnego zainteresowania, w najlepszym wypadku do połowy. Filmy, na które chadzał, okazywały się niezmiennie infantylne, nieznośnie komiksowe. Tylko kobiety wydawały mu się coraz bardziej pociągające, egzotyczne. Wszystkie, nawet te na pierwszy rzut oka okrutnie pozbawione urody. Cóż, kiedy wszystkie były niedostępne, dedykowane całemu światowemu chłopstwu z jednym abstynenckim wyjątkiem. Jakby pochodziły z jakiegoś ogólnoludzkiego haremu wszechzazdrosnego władcy.

Sam był taki jak Wojtek? Obrażony i wściekły na własną niepełną niemoc? Na ogół pojękiwali tak nieudacznicy, onaniści, utajeni homoseksualiści, porzuceni impotenci, autorzy jednego grafomańskiego wiersza, prezesi spółek upadłych bez powodu. Ci, co zawsze kupują, gdy giełda rośnie, i czekają na spadki. Tacy, co ożenili się, bo koleżanka okazała się zniewiadomokimwciąży, kolekcjonerzy straconych okazji na biznes życia i przygodę, o której wszyscy słuchają z zapartym tchem do czwartej nad ranem.

U Wojtka coś się nie zgadzało. Dobrze stał finansowo, miał świetną żonę. Może go zdradzała albo była oziębła? Dwie śliczne córki. Może idiotki albo cichodajki? Tak czy siak, tylko w części pasował do standardowego modelu sfrustrowanego Polaka.

Wojtek wydawał się ospały, ale się rozgrzewał.

- Kim my, Polaczki, jesteście, do kija pana? Jakimś przetrzebionym narodkiem, któremu psim śwędem udało się ocaleć i którego koniunktura międzynarodowa i kremlowska gerontokracja wyjęła z siedemnastej republiki i wepchnęła w niepodległość. Co ja mówię, w niepodległość. W osobną państwowość, to tak. Ale żeby zaraz niepodległość? W naszych

czasach? W XXI wieku? Tylko nieuk i debil, odporny na rzeczywistość, zacządzony bezmózgowiec nacjonalista, może mamrotać, bez zrozumienia, o niepodległości. Niepodległy jest wielki kapitał, globalne firmy, to im państwa służą jako lobbyści w zamian za płacone podatki i finansowanie polityków. Prawo chroni interesy wielkich koncernów, które bawią się w chowanego z koniunkturą i recesją, co szaraczków kosztuje biliony dolarów. Żeby biedacy grzecznie płacili, organizuje się światowy obieg piarowskich gier, zaprogramowanych newsów, sponsorowanych-niezależnych komentarzy i fachowych ściem. Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy i pełne worki innych organizacji odbierają wszystkim codziennie trochę kasy i suwerenności. Nawet możliwym tego świata, a cóż powiedzieć o splodzonych przez obce wojska wszechpolskich bękartach i naszej nieszczęśliwej, umęczonej i zerznętej przez sąsiadów ojczyźnie. Tak w nowoczesnym świecie być musi. Otwarte granice, swoboda wyboru, tolerancja i standard życia! To się liczy i o to mogą zabiegać!

Niepodległość - w dzisiejszym świecie? Nic takiego nie istnieje! Zwłaszcza w wypadku krajów naszej wielkości. A gdyby istniało, to pragnę zaznaczyć, że mam w dupie niepodległość. Z chrzania o niej mogą wynikać tylko kłopoty, obciach i bieda. Nie chcę mieć udziału w żadnym z tych sukcesów. Na wkurwianiu Ruskich dużo się nie da zarobić. Zresztą wkurwiamy wszystkich - Litwinów, bo nam jakieś szkoły są na Litwie potrzebne dla zsovietyzowanych Polaczków. Słowaków, bo chcemy im przewodzić, a oni mają dość wszelkiego przywództwa od czasów Czechosłowacji. Niemców, bo im świecimy w oczy drugą wojną, jakby się skończyła wczoraj, nie było listu biskupów i pojednania Kohla z Mazowieckim w Krzyżowej, ech, szkoda gadać...

Henryk szybko łyknął whisky. Trochę się zachnął, trochę wyraził dystans, trochę się zgodził i z ulgą, pośpiesznym krokiem wrócił w objęcia bankietującego towarzystwa. Wojtka wrzucił w grupę paru mężczyzn obwąchujących się z rezerwą jak psy różnego kalibru. Sam stanął na chwilę za jego plecami.

Niefrasobliwy brak politycznego filtra przy rozsyłaniu zaproszeń spowodował, że zmobilizowany Wojtek szepił się bez zbędnej zwłoki z innym harcownikiem, który wyłonił się zza wysokiej szklanki z pomarańczowym drinkiem. Wszystkich nudziła myśl, że naiwnie i z dwuznacznym efektem boksowali się z cieniem w osiemdziesiątym pierwszym. Przemilenie Solidarności w latach dziewięćdziesiątych na nawóz postępu osłabiło w nich naturalną tęsknotę za młodymi latami, za ideami, które wtedy tak łatwo rozpędzały ich krew, a teraz stały się, ni stąd, ni zowąd, wstydlive. Tęsknili raczej za płaskim brzuchem, bujnym włosiem i mniej skomplikowaną listą marzeń. W słabym świetle niełatwo było ich przypisać do szczęściarzy lub przegranych. Choć tych ostatnich Ziemiński mógł zapobiegliwie

pominąć, chroniąc nastrój i estetykę bankietu. Energiczny polemista Wojtko, wyglądający na właściciela jakiegoś sklepiku czy warsztatu, ubrany, mimo późnej pory, w jasnobrązową sportową marynarkę i kolorową koszulkę polo, walczył z zacięciem, nieustępliwie.

- Czy w ramach walki o wyższy standard życia oddaliśmy Niemcom firmę sprzedającą prąd w Warszawie? Przecież to perpetuum mobile do robienia pieniędzy. Wehrmacht siedzi w tyrolskich kapelusikach, żłapie piwo i ledwie nadąży liczyć zyski. Palce zdarli do krwi od liczenia banknotów. A jak nie ma prądu w połowie stolicy, powiadają: ąwiderzejn, spieprzać, my som prywatna firma i nie powiemy ani co szę stało, ani kiedy szę naprawi.

Wojtek nie miał zamiaru się poddać, ale uprzedził go potężny facet z sygnetem herbowym na palcu. Zamiast kontusza prezentował dzisiaj granatową dwurzędową marynarkę ze złotymi guzikami, a może był to mundur jakiejś renomowanej uczelni. Długachną szyję otulił pieczołowicie apaszką w turecki wzorek. Pracował w jakiejś rządowej fundacji czy w MSZ.

- To polscy skorumpowani bałaganiarze mają zarządzać prądem w stolicy? Dziękuję, zapas świeczek mi się skończył. Niemcy lubią porządek, mają wysokiej klasy management, są uczciwi do bólu. Co tu dużo gadać, jest OK, żeśmy im sprzedali. Słabe państwa ze wschodniej Europy muszą all day long udowadniać, że jesteśmy otwarci, budujemy partnership i przyjacielskie stosunki z liderem Europy. Dla nas zyskać ich sympatię to racja stanu, to - be or not to be. Właśnie takie aktywa jak przyjaźń, lojalność przynosić będą profit w przyszłości, a właściwie już dzisiaj procentują dobrymi polskoniemieckimi stosunkami. Z obrażonymi ofiarami Niemcy nie będą robić interesów. Wieczne pretensje stresują ich i powodują, że reńskie wino smakuje im gorzko, a monachijskie piwo staje w gardle jak twarda landrynka. Anderstend?

Polemista w brązowej marynarce dusił słowa w ustach, nadludzkim wysiłkiem powstrzymywał się, żeby nie przerwać szlachciurze.

- Po pierwsze, podczas tej szemranej sprzedaży warszawskiej elektryczności sami siebie nie korumpowaliśmy, musieli to zrobić krystaliczni Niemcy. Ich przepisy pozwalają na księgowanie łapówek w rubryce koszty.

- Księgowość mają perfekt, to prawda, że tak powiem - wtrącił się wpatrzony w ekran nokii grubasek z resztkami wicherka nad czołem. - Tak samo jak wycucie, co się wspólnie opłaci kanclerzowi i reszcie Niemiaszków. Idziemy coś wrzucić na ruszt? Zgłodniałem, że tak powiem.

- Po drugie - sklepikarz nie był zainteresowany wyżerką, bo rozkoszował się dobrze przyprawionym sporem - obawiam się, że u nas decyzje o sprzedaży kluczowych firm nie są

podejmowane w ramach polityki państwa, ale w wyniku sprawnego lobbingu oraz jawnej, bezczelnoniewykrywalnej korupcji. Jak to ktoś powiedział o pewnych przestępcach, czy nie jakiś prokurator, „za dużo ukradli, żeby poszli siedzieć”. Mogę się zgodzić, że polska proniemiecka polityka oparta na proniemieckim, długofalowym planie, w tym, niech wam będzie, prywatyzacji, która zakłada partnerską odpowiedź Niemców, byłaby polityką ciekawą. W każdym razie do dyskusji. Być dobrze traktowanym wasalem z gwarancjami podstawowych interesów to jest koncepcja warta rozważenia. Wiem, że nie jesteśmy mocarstwem. Mamy jednak do czynienia z podwójną rzeczywistością. Jedna z nich to twarde interesy i racja stanu, tę sferę jako państwo zostawiamy lobbystom oligarchów, obcych państw i gangsterów. Druga to świat piaru i mediów - wyłącznie ona interesuje naszych, pozał się Boże, polityków. O przychylny komentarz w „Die Welt” czy „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, „Washington Post” czy „The Economist” nasi mężowie stanu walczą jak Piłsudski z bolszewikami. I o nic więcej. Królestwo za artykułik. Na pohybel faktom. Dajemy dupy za dwa złote. Trochę tanio jak na prawie czterdziestomilionowy naród. O pardon, chciałem oczywiście powiedzieć rynek, nie naród.

- Na koń, panowie, szabelki w dłoń, ojczyzna w potrzebie - rzucił na odchodnym szpakowaty wielkolud, który bez żalu opuścił towarzystwo i skierował się do baru. Tam w kolejce mrucał dalej: - Ciągłe słyszę ułańską trąbkę grającą do ataku. Ten naród ciągle w malignie pędzi przed siebie i potrzasa szabelką. Sam już nie wie, czy do ataku, czy w obronie Częstochowy i Najświętszej Pani. Zawsze przegrywa, rozbija swoje ułańskie szarże o czołgi albo racjonalizm innych narodów. Ale mu się to jakoś nie nudzi. Buduje pomniki, układa kwietne krzyże i celebryje klęski, czci głupich samobójców i onanizuje się martyrologią...

Zgarbiony brodac, stojący przed nim i zamawiający gin z tonikiem, obrócił się do wielkoluda.

- Dziwne spotkanie. Widać, że Harsynowicza nie było w Polsce ćwierć wieku. Nasprasał Bóg wie kogo. Nie widziałem takich egzemplarzy od lat, bo telewizji Rydzyka przecież nie oglądam. Człowiek myśli, że krzyżowcy dogorywają w sejmie, Krośnie, na Podhalu czy w innych prowincjonalnych hospicjach, a babcie od Rydzyka to już chyba kończą wymierać. A tu masz babo placek! Żyją pod naszym bokiem i nawet niektórzy marynarki mają. Z teatru pożyczyci?

Dyskusja w kółku Wojtka jednak trwała, choć jeszcze jeden z mężczyzn opuścił towarzystwo, sarkając:

- Polityka polityką pogania, a mi się zbiera na wymioty. O babach i szybkich

samochodach bym pogadał.

Szczupły zakonserwowany blondynek obruszył się gwałtownie na sklepikarza.

- Co pan z narodem wyjeżdża? - prychnął. - Co to za kategoria? W jaki sposób naród ma wyrażać nieustająco swoje zdanie? To demagogia. Nie jest ważne, czy mieszkańców jest milion, czy sto milionów. Liczą się mechanizmy demokracji i treść kompromisu, czyli umowy społecznej. Wybory się odbyły i teraz nie ma co mleć ozorem. Cztery lata przerwy. Za robotę się trzeba wziąć. A ci, co dostali mandat, powinni mieć spokój i rządzić.

Indyk z MSZ dorzucił do puli swoje trzy grosze.

- Wspominasz pan w referacie o dawaniu dupy przez czterdzieści milionów obywateli. Sugestywny obraz, winszuję. Ale czy szanowny prelegent uwzględnił zobowiązanie do otwarcia rynków w ramach procedur unijnych? A potrzeby budżetu zaspokajane przez prywatyzację? Przy okazji, generalnie wolny rynek to pies czy zebra w kratkę? Klient na rozbiciu monopolu państwa tylko skorzysta, nie bój się pan.

Do rozmowy wtrącił się sztywny chudzielec o zapadniętej twarzy z elektronicznym papierosem w ręku.

- Korupcja, służby, przekręty, układ zamknięty - znam ten refren. Czuję się, za przeproszeniem, jak na wiecu partyjnym prawicowych socjalistów. Tymczasem jest spokojnie jak na wojnie. Jeśli nawet czasem któryś tropiciel przyniesie do prokuratury poemacik dygresyjny, to co się ostaje z tych oskarżeń w sądach? Jeśli w ogóle tam trafią? Ciągle tyle samo co po imieninach u ciocikłoci - wysrane z niedomytego palca pomówienia rwących się do władzy...

- Wiem, wiem - zachnął się Rejtan w beżowej marynarce - spoconych facetów w garniturach. Ciekawe, że tylko jedni się pocą i pchają po chamsku do władzy. Tym drugim, pachnącym i oświeconym, ulepionym przez postęp z dezodorantu, nie zależy na żadnej władzy. Oni się zgadzają łaskawie wyręczyć niedouczony naród, oczywiście z wielkimi oporami moralnymi. A jak już rządzą, to uważają, że nie podlegają krytyce i oczekują nieustającej wdzięczności i hymnów pochwalnych. Nawiasem mówiąc, dziennikarze równym chórem je śpiewają.

Beżowej marynarce niespodziewanie przyszedł w sukurs pękaty brunet o twarzy buraczkowo-cynobrowej, jakby spędził życie na syberyjskim mrozie.

- A kto miał skrytykować sprzedaż tej firmy od prądu w Warszawie? Prasa, która jest w większości w niemieckich rękach?

Oburzony MSZ zareagował szybko i profesjonalnie.

- Zlituj się pan, ziomkostwa kupiły prasę? Erika Steinbach na spółkę z Hupką i Czają?

Jakich niemieckich? Właściciel, nawet jak jest krwiożerczym obcokrajowcem, zainteresowany jest wyłącznie zyskiem. Musi się więc podlizywać polskiemu społeczeństwu, żeby chciało kupować jego produkt. To kapitalista, a nie bojownik. Nie przykładajmy do rynkowych sytuacji naszych podwórkowych miar, pełnych niedzisiejszych kompleksów. W końcu redaktorami są wyłącznie polscy dziennikarze, żyjący polskimi sprawami.

- Polscy dziennikarze, którzy niemal jak jeden mąż dziwnym trafem uważają, że wtykanie polskiej flagi w gówno jest cool? Taka niewidzialna, kształtująca umysły cenzura jest najgroźniejsza. Wszyscy wiedzą, co wypada powiedzieć, a czego nie wypada wydrukować. Bez zapisów, ministerstwa na Mysiej i represji. Za co należy się cukierek, a za co prezes odbierze papu, wypowie kredyt i umówi na małą czarną bez cukru z komornikiem.

Słowa padały ostre, ale napięcie spadało. Słuchanie cudzych argumentów szybko odbierało siły. Henryk odsunął się od dyskutantów i zbliżył do grupy kobiet stojących przy stole z przekąskami. Między nimi trwała licytacja: która z nich nie jada tego czy owego z podanych potraw, z racji diety odchudzającej lub leczniczej. Ze względu na cerę, wzdęcia, włosy, cellulitis, zmarszczki, paznokcie, orgazm, sen lub drogie sukienki, nabyte osiem kilo temu. Były wśród nich takie, co nie jadały nic, ewentualnie to nic musiało być wegetariańskie lub wegańskie. Były też szczupłe, które twierdziły, że są nadzwyczaj grube, i choć były nieustannie na czczo, nie zmieściły się ostatnio w kadrze telewizji śniadaniowej oraz w przymierzaną w tajemnicy suknię ślubną córki. Inne, przy kości, jadły wszystko i uważały, że są w sam raz. Twierdziły, że zaakceptowały w zeszłym tygodniu istnienie ciała i w tym chyba zrobią to samo. Inne były grube, nic nie jadły, piły małymi łykami wodę i twierdziły, że zrzuciły ostatnio tysiąc kilo, biorąc pod uwagę tycie i chudnięcie na przemian. Niektóre nic nie mówiły na temat jedzenia, nakładały kolejne porcje i jadły z takim apetytem, że trudno było ocenić, czy są grube, czy chude, a mężczyźni na ich widok robili się wściekle głodni i zaczęli planować wielkoobszarowe uprawy warzyw oraz hodowlę strusi.

Prawie wszystkie piły białe wino i kumulowały energię tuż, tuż pod skórą. Ze wszystkich sił: estetycznych, fizjologicznych, psychicznych, intelektualnych, kosmicznych i nieokreślonych, niepostrzeżenie, wyrafinowanie, delikatnie, dyskretnie i przemyślnie wabiły samców. Pragnęły spędzić dzisiejszą noc choćby z jednym spojrzeniem przylepionym do ich pośladków, z jedną, pełną pożądania myślą pieszczącą ich nienasycone piersi. Nie chciały być same, wolały przeżyć tę noc, mając w uszach ciche przełknięcie śliny przez obserwującego ich kształty szpakowatego chłopca, wygnanego niedawno z raj.

Jednak gdy Henryk przyjrzał się uważniej, zauważył w ich oczach tiul smutku. Zrozumiał, że mógł ulec złudzeniu i co do jedzenia, i co do kuszenia. Kobiety były po



nozdrza zatopione w przeźroczyście smutku. Nie kusiły nikogo, nie miały na to ani sił, ani ochoty. Były samotne. Tak samotne, jak tylko potrafią sprawić mężczyźni. Tak bardzo samotne, że wszystko jedno, grube czy chude, były wolne od pokus próżnej gry i dzięki temu stawały się coraz piękniejsze. Piękniały tak szybko, że Henryk musiał na chwilę zamknąć oczy, żeby nie zacząć krzyczeć ze współczucia i zachwytu. One dawno przestały być nudnymi żonami, nienasyconymi kochankami, przewrotnymi uwodzicielkami i chorobliwie zazdrośnymi matkami. Zmieniły się w alabastrowe figury Penelopy, Antygony, w święte Jadwigę, Agnieszkę i Sabinę. Odważnie pluły w twarz Clarecie, Nadzieździe Krupskiej, Ewie Braun, Jiang Qing i prawie wszystkim żonom ciemnokookich dyktatorów i marionetkowych namiestników. Mimo to smutek w ich życiu stale się zwiększał, bo nieustannie miały przed oczami nowe szeregi skrzywdzonych chłopców i połowę życia musiały poświęcać na szorowanie ich opuszczonych grobów. Mimo to wierzyły, że właśnie one bez wysiłku, tylko oddychając, śpiewając i tańcząc, mogą obdarzać nieśmiertelnym szczęściem wszystkich bez wyjątku chłopców, mężczyzn, eksplodujących szczeniaków i kruchych staruszków.

Wśród pań, jak nikła świeca, świeciła szczupła rudawka blondynka. Musiała dołączyć do towarzystwa, gdy Henryk wyskoczył na zewnątrz. Patrzyła na niego, niezbyt zręcznie się z tym kryjąc lub zręcznie udając niezręczność. Henryk rozpoczął obchód towarzystwa, przystając w milczeniu przy grupkach dyskutujących. Poczul się nieswojo, kiedy znowu zauważył spojrzenie rudawej. Nie patrzyła na niego przez roztargnienie, odruchowo omiatając wzrokiem obecnych. Znał precyzję takich spojrzeń. Kobiety, wielbicielki konkretności i szczegółu, od dłuższego czasu nie zatrzymywały na nim wzroku i prześlizgiwały się płynnie dalej. Poszukiwały ważniejszych celów. Henryk był nie tyle nisko oceniany, ile nie podlegał już wycenieniu, chociaż jego wiek nie ważył więcej niż łabędzie piórko. Liczył się wyłącznie bezmiar życia wychwytywany przez kobiety w spojrzeniach mężczyzn, wytwarzany przez nich bezwiednie, a więc stosunkowo szczerze.

Uwaga, jaką obdarzała go ta płonąca matowym światłem kobieta, przykryta przez roztargnienie jasnyniebieską sukienką, była najciemniejszą z zagadek tego wieczoru. Jego nazwisko widniało wprawdzie na zaproszeniach, a informacja o spadku mogła się rozejść verysta po verysta na te sprawy warszawskim towarzystwie, ale mimo tych łagodzących okoliczności zainteresowanie żywej kobiety niebezpiecznie chybotać liną, po której Henryk szedł między dachami Warszawy. Niebieska prosta sukienka, nagie ramiona i spłowiałe rude włosy przyciągały go, chociaż się bronił, ściągając z koszar zmotoryzowane odwody, a z rozbebeszonej przeszłości rozespany instynkt samozachowawczy. Z coraz większym trudem udawał, że słucha podchmielonych właścicieli cennych genów sukcesu, jeszcze cenniejszych

teściów i rozległych znajomości ulokowanych poza najbliższą rodziną. Gdy zaryzykował i popatrzył w jej kierunku, uśmiechnęła się, jakby czekała na jego spojrzenie. Spodziewała się, że sobie coś przypomni i podejdzie? Nie musiał przecież zbyt długo przetrząsać pamięci, by policzyć kobiety swojego życia. Nie było jej na liście.

Gdy wspomniał pierwszą z nich, ssący prąd przebiegł mu od głowy do palców stóp, ściśniętych trochę za mocno przez nowe buty. Moskwa końca lat sześćdziesiątych, Rusłana, Osetyjka. Przypomnieć ją sobie dokładniej to byłoby luksusowe wzruszenie albo początek pretensji i depresji. Jak i w wypadku następnej, Doroty, piegowatej, niebieskookiej kapryśnej jedynaczki.

Poznał ją w Krakowie, gdy obijał się na trzecim roku polonistyki. Miała twardo-cierpkie, niedojrzałe ciało, jak wczesne przedwiośnie ozdobione resztkami śniegu na sterczących zaczepnie piersiach. Jej ojciec był budowlancem, pracował w Libii. Gdy się pojawiał w domu, przez trzy dni świętowano, a potem stęskniony inżynier zabierał matkę Doroty na urlop. Henryk przeżył z Dorotą dwa takie bajeczne urlopy. Konspirowali przed sąsiadami. Z jego strony to była tylko fascynacja seksem? Szczeniacka duma zdobywcy najważniejszego ze szczytów w paśmie Końca Gomułki i mającego we mgle Początku Gierka?

W gruncie rzeczy pociągała go jej niezależność, spontaniczna odwaga, arystokratyczne lekceważenie zbędnych konwenansów, a zwłaszcza opinii otoczenia. Nie była przy tym ekstrawagancka, przeciwnie, raczej skromna myszka, także w dysponowaniu pieniędzmi, których miała sporo od ojca. Lubił patrzeć, jak wiatr wieje jej w oczy. Matowo-połyskliwe włosy poddawały się podmuchom, odsłaniając uszy i szyję. Dorota mrużyła powieki i w takich chwilach Henryk był pewien, że został w tyle i nie ma do niej dostępu. Do jej spontanicznego zachwyty, którego nie podzielał, i wolności, której nie rozumiał. Dorota odpowiadała z naturalną szczerością na każde pytanie, pozwalała właściwie na wszystko, a mimo to bez żadnego starania pozostawała niezależna. Nie mógł otworzyć głowy tej młodej kobiety, którą omijała fala drobnych świństw i sporych szwindli, zalewająca wszystko wokół.

Walczył. Chciał ją sobie podporządkować, chociaż domyślał się niejasno, że w ten sposób może pozbawić jej istnienie fundamentu, sensu i celu. Robił to dla chwili prymitywnego tryumfu? Czy może dlatego, że po pół roku zaczął się mimo woli mocniej z nią wiązać? Ściślej niż mógł zaakceptować samczy strach i egoizm? Panicznie bał się uzależnienia i przez zwasalizowanie Doroty chciał odzyskać dobre samopoczucie, pychę sobiepańskiej, szczeniackiej swobody. Nazywał to niezależnością i panowaniem nad własnym

życiem.

- Nie mogę bez ciebie żyć.

Kiedy wypowiedział te słowa, był przerażony. Ale Doroty przy nim już nie było. Kapitulację ogłosił dwa dni po jej zniknięciu.

- Wyjeżdżam. Nie gniewaj się. Tylko na miesiąc. - Jej czerwona wiatrówka zniknęła w drzwiach kawiarni Kolorowa, a Henryk poczuł w głowie kołysanie. Wszystko, wewnątrz i na zewnątrz, kołysało się niebezpiecznie, jakby wisiało przytroczone do jej wąskich, chłapiących bioder.

Wcześniej ją prowokował. Bawił się jej rozterkami. Poszukiwał wykluwających się dziewczęcych pragnień, marzeń, zachwyceń i kpił. Z piekącym wstydem przypominał sobie tę gówniarską grę. Był pewien, że o największych świństwach udało mu się zapomnieć. Teraz zastanawiał się, czy Dorota mogła w nim coś uchronić, uratować. Mały kawałek głęboko ukrytego, innego Henryka? A później mogłaby troskliwie wyhodować jego lepszą wersję? Obdarować go skrawkiem swojej nieposkromionej wolności? Może śniłby o lataniu do dzisiaj, gdyby jej nie wdeptał w ziemię. A sam się nie zamienił w zdezelowany wrak.

- Chcę zarobić trochę własnych pieniędzy, no i zobaczyć Zachód, normalne życie w normalnym kraju.

Ze Szwecji przysłała pocztówkę z wymuskany rynkiem, otoczonym kolorowymi jednopiętrowymi kamienicami. Później już tylko dzwoniła. Rozmawiali krótko, licząc podświadomie uciekające złotówki, a właściwie korony, bo płaciła ona.

Henryk czuł się upokorzony histerią, którą wywołała w nim nieobecność Doroty. W ramach terapii usiłował pójść do łóżka z koleżanką z grupy, ale tylko się ośmieszył. Nie był zdolny do niewierności, chociaż to już nie była niewierność, ale frustracja i strach. Przypominał sobie najdrobniejsze szczegóły spotkań. Rozkoszował się swoim onegdajszym rozleniwieniem, roztargnieniem i zamierał, jeszcze raz przeżywając sceny, gdy ona przytulała się i pomrukiwała, że kocha, bardzo kocha. Robił to nawet wtedy, gdy zrozumiał, że wyjechała, żeby się od niego uwolnić. Trzecia? Trzecią była jego była żona - Halina.

Znowu patrzył na rudoniebieską, musiała być jakiś czas temu olśniewająca. Dobrze, że nie usłyszała tej myśli. Kiedy i gdzie mógł się z nią zetknąć? W Polsce? Przecież nie w Kanadzie. Zrezygnował z przetrząsania pamięci, a ona nie dawała za wygraną. Nawet raz otarła się o niego i z zakłopotanym uśmiechem rzuciła przez ramię „przepraszam”. Wtedy, z bliska, zauważył w jej wzroku coś twardego, rzeczowego, innego niż pastelowe opakowanie. Chwilę później znowu spojrzała i wtedy dostrzegł coś jeszcze. Bez wielkiego zaskoczenia spostrzegł w jej spojrzeniu jedną z milionów odmian samotności.

- My się znamy? - zapytał.

Dwie godziny później, jak w marnym telewizyjnym filmie, byli już razem w hotelu, w którym nadal mieszkał. Do mieszkania ojca zachodził na godzinę, nie więcej. Rozglądał się, obchodził kuchnię, pokój matki, który jednocześnie był sypialnią rodziców, gabinet ojca. Żadnych gwałtownych przeżyć. Głosy matki, ojca, rówieśników ulotniły się z suchego powietrza o smaku tektury. Zużyte dni nie chciały ożyć. Do swojego pokoju wszedł tylko raz, zaraz po przyjeździe. W czasie następnych wizyt omijał go, jakby tam mieszkał ktoś obcy, a rodzice byli bezdzietni.

Barbara rozbierała się w taki sposób, jakby byli młodym małżeństwem. W jej naturalnych ruchach nie było kokieterii, kuszenia. Nie było również rutyny i znużenia, które mogłyby go zniechęcić lub spłoszyć. Był spokój kobiety, która jest w miejscu, w którym pragnie być, z kimś, kogo pragnie, i jest pewna swoich decyzji. Spokój był może zbyt ostentacyjny, ale niewykluczone, że miał osłonić obawę przed zdjęciem majtek w towarzystwie w gruncie rzeczy obcego mężczyzny, parę godzin po poznaniu. Pomyślał, że ryzyko mogło być dla niej całym smakiem i sensem przedsięwzięcia. Atrakcją wieczoru, przeznaczoną do zapomnienia następnego dnia, podczas pośpiesznej drogi do biura. Klasycznym sposobem na życie starzejącej się samotnej kobiety, atakowanej przez klimakterium i niespełnienie.

Barbara przypomniała mu z zadziwiającą, kobiecą skrupulatnością najdrobniejsze okoliczności ich spotkania w 1981 roku. Pamiętała sweter i sztruksy, które miał na sobie 11 grudnia, kolor oprawek okularów, a nawet treść dyskusji z szefem sekcji informacji. Pamiętała masę szczegółów, podczas gdy on zapamiętał jedynie ogólny chaos, przelewający się przez niezborną ciżbę przepelnionej siedziby mazowieckiej Solidarności. Pamiętała albo improwizowała. Sklejała fragmenty prawdziwych informacji z konfabulacją i wszczepiała w sklerotyczny mózg Henryka. On sam już na wstępie zrezygnował z podejrzliwości. Nie opierał się, pytania zadawał, podążając za cherlawym złudzeniem, że coś sobie zaczyna przypominać. Zgadzał się łaskawie występować w tych wspomnieniach, choć prawdę mówiąc, pamiętał tylko rozmazane, anonimowe portrety zbiorowe, euforię, napięcie frakcyjnych wojen prawdziwych Polaków z lewicą korowską i niszczący jazgot komunistycznej propagandy. Jakie to wszystko miało teraz znaczenie. Owijała go kojącym bandażem uśmiechu i wypełniała spokojem jak szczerą obietnicą lepszego życia. Henryk nie był z kobietą od lat, więc Barbara pozbawiła go pewności jak piętnastoletniego chłopca. Zwłaszcza teraz, gdy już zdjęła wszystko i stanęła przed nim, patrząc mocniej, pewnie.

- To ja. Mam szesnastoletnią córkę i idę na chwilę do łazienki.

Odwróciła się i zgarnawszy włosy do tyłu, szła bosą, bez pośpiechu, lekko przechylając głowę, jakby chciała jeszcze coś ważnego przemyśleć, zanim weźmie prysznic. Miał wrażenie, że zatrzyma się i odwrócona plecami zastanowi jeszcze chwilę. A kiedy się odwróci, będzie miała inną twarz. Wraz z zimnym, obcym spojrzeniem dotrą do niego słowa: - Słuchaj, śpieszę się, zadzwonię jutro. Albo: - Wiesz, to wszystko jest idiotyczne, zbiorę się i uciekam. Przepraszam cię.

Jego klęska uczyniła z bitwy pod Grunwaldem potyczkę bez znaczenia. Im bardziej jej pragnął, im bardziej był pewien, że przeżyje perską przygodę w tokańskim pałacu, tym bardziej nic z tego nie wychodziło. Barbara tylko raz lekko wzdrygnęła się z niecierpliwością albo tak się tylko mu wydawało.

- Czekałam ćwierć wieku, poczekam jeszcze trochę.

Całowała go i gładziła, jakby został skrzywdzony, a ona niezawodnie, jutro lub któregoś następnego dnia, bez trudu mu wynagrodzi niepowodzenia, których sporą ilość naskładał przez pięćdziesiąt lat.

Przez parę dni wydawało mu się, że nie rozstał się z nią, że nadal są razem, w tym samym pokoju, w tej samej dwuznacznej sytuacji pamięci i niepamięci, fascynacji i uległości, brawury stłamszonej przez pragnienie powrotu do samotności. Przeprowadził się do mieszkania na Chmielnej, oglądał mecze ligi angielskiej, głupawe filmy, gryzł orzeszki i kandyzowaną żurawinę, spał, chodził po Warszawie i niemal bez przerwy rozmawiał z kobietą, która nawet na chwilę nie opuszczała jego głowy i pozostałych części ciała tylko dlatego, że sama tak zdecydowała.

- Jestem szczeniakiem, łatwym do manipulowania szczeniakiem - powtarzał. - Inna sprawa, że żadna inna od dwudziestu lat nie chciała mną manipulować.

Więc rozmawiał z nią, kiedy miał ochotę i kiedy opędzał się od niej jak od szerszenia. Po paru dniach intensywnej dyskusji, po tylu odegranych wyznaniach, sprzeczkach, zawartych w łóżku rozejmach, po przypieczętowaniu milczącą miłością traktatów o braterskiej przyjaźni, wszechstronnej współpracy i obustronnie korzystnej wymianie społeczno-kulturalnej na szczeblu młodzieżowym, znali się z Barbarą tak dokładnie, jakby stan wojenny spędzili w jednej celi. Jednak telefonów od niej nie odbierał. Wiadomość z sekretarki odsłuchiwał, ale nie oddzwonił. Mówiła lekko schrypniętym głosem, speszona.

- Jesteś tam? Czy zobaczymy się jeszcze?

Henryk czuł się jednocześnie lżejszy i ociążały, gubił istnienie i czuł niepokonaną siłę przyciągania Wielkiego Wozu. Zaczynał wierzyć, że żył przez te lata wbity tajemniczo i mocno w inne życie, płowe życie Barbary, miłościwej opiekunki górników, patronki dobrej

śmierci i Henryka Harsynowicza. Było w tym błogim uniesieniu męskie zadowolenie, ale przecież w istocie płonął. Patrzył na swoje odbicie w lustrze i powtarzał:

- W sprawie „być albo nie być” - to okazało się, że jestem. Człowiek istnieje tylko w pragnieniu i planie świata stworzonym przez miłość. Nie miałem o tym pojęcia, ale istniałem i dzisiaj też niepodważalnie jestem.

Po chwili, wkładając koszulę i zdejmując ją z powrotem, by oderwać przyszpilony metalową zszywką kwitek z pralni, dodał:

- Zaraz, zaraz, ktoś jej zrobił szesnaście lat temu córeńkę. Chyba to nie byłeś ty, słodki Henryczku?

Wtedy przyszedł niepokój. Opanował Henryka bez oporu, pogardliwie. Zaczynał bać się tej kobiety. Z fanatyka stawał się niedowiarkiem. Szydził ze swojej naiwności. To możliwe, żeby go kochała? Mogła go zamrozić w pamięci na tak długo? Nie można kochać człowieka, który wyparował na trzydzieści lat. Choć może na tym polega odmienność kobiet, ich wyższość czy boskość, że z nadludzką siłą tworzą, ozywają i pielęgnują nieznanym mężczyznom wcielenia uczuć. Pragnął ją zobaczyć, ale nie sięgał po telefon. Bał się, że jej już nie spotka, i bał się niszczącej siły spotkania. Bał się swoich powtórných narodzin, bo nie wiedział, kim będzie. Bał się scenariusza piekielnych mąk i ostatecznej kary, gdyby dla rudoniebieskiego ducha zdradził wszystko, co posiada.

Zbyt długo inwestował w samotność. Nigdy żadna inwestycja tak obficie mu się nie zwróciła, nie odplaciła tak odporną, nieulekłą wiernością. Łgał, że była mu wierna zawsze. Aż tak wysublimowanego żywota nie prowadził, ale kłamiąc, poczuł się silniejszy, wspanialszy, nieosiągalny i dumny.

- Od dawna jestem tylko z nią. Won z babami.

## **Współpraca z policją**

Współpraca z policją

14-15 października

W lufie pistoletu, wycelowanego w Henryka, pęczniała kropla wody. Przypomniawszy sobie scenę gry w pokera z filmu Davida Mameta Dom gry, z tajemniczym Joem Mantegna w roli głównej. Przewiął w pamięci kilka innych scen - wszystkie opowiadały o wciąganiu ofiar w intrygi inscenizowane przez grupę oszustów dla znudzonej pani psycholog. Przez moment szukał niedojrzałego smaku gasnących w kinie świateł i interkontynentalnego podniecenia, które drżało wtedy w jego chudym ciele.

Teraz lufa niemal dotykała twarzy Henryka. Uwięziona w niej kropla nabrzmiała do

niestrzeżonych granic, ale mimo wsparcia Amnesty International nie mogła się uwolnić i spaść. O mało się nie roześmiał, jak Joe Mantegna, ale nie był zbyt dobrym aktorem i słabo wyczuł scenariusz. Wtedy dotarł do niego wrzask.

- Policja! Ręce na głowę! Wysiadać!

Krzyczało dwóch czy trzech mężczyzn? Zanim się zorientował, wyszarpali go z auta i rzucili na maskę. To samo zrobili z pobladłym Edmundem.

- Policja! Nogi szeroko! Nie odwracaj się! Nie ruszaj i stul pysk! - Lejtmotywe w wrzaskach mężczyzn w kominiarkach były słowa „policja” i „stul pysk”, powtarzane co chwilę jak hasło lub zakłęcie. Skuty, wciśnięty między dwóch zamaskowanych byczków, starał się w taki sposób ułożyć scenariusz następnych wydarzeń, żeby film nie stoczył się do poziomu policyjnego serialu o niskim budżecie. Nie przewidział jednak, że napięcie spadnie tak szybko i nastąpią czasowe wyłączenia prądu poprzedzające ociemniałą, nędzną nudę. Nudził się z zaangażowaniem i powstrzymując niekontrolowaną eksplozję, czekał, żeby zdarzyło się cokolwiek. Zwinięty w kłębek pajak spał, zwisając na prywatnej szubienicy z okiennej kraty. Był obok Henryka jedynym lokatorem wieloosobowej celi aresztu dzielnicowego.

Pajak zaczął się wspinać po nitce, robiąc co kilka kroków krótkie przerwy. Wtedy przyjechał de Vernon i przywiózł wolność. Zwalista jejmość będąca chwilowym dysponentem należących do Henryka sznurówek, paska od spodni, zegarka, telefonu i portfela, ubrana ze względu na rozmiar biustu w policyjną bluzę wielkości dwuosobowego namiotu, wydając mu depozyt, nie odezwała się ani słowem i nie podniosła wzroku. Gdy westchnęła, płótno namiotu napięło się i szwy zatrzeszczały niebezpiecznie. Długopisem zagubionym w jej dłoni wskazała miejsce, gdzie powinien podpisać protokół. Samochód zatrzymano na policyjnym parkingu w celu przeprowadzenia badań. Edmund, przywieziony do aresztu osobno, opuścił budynek policji kwadrans przed Henrykiem.

- Niech pan sprawdzi, czy czegoś nie brakuje, na wszelki wypadek. Nie możemy zadzwonić za tydzień, że z portfela zniknął milion dolarów.

De Vernon żartował, nie licząc, że rozbawi Henryka. W kancelarii pili kawę, minuty rozciągały się i zalegały dywan. Zadzwonił telefon, adwokat odebrał błyskawicznie. Słuchał dłuższą chwilę bez słowa, podziękował sucho i odłożył słuchawkę.

- No... coś niecoś wiem. Pewnie nie wszystko. Sprawaaa wyglądaaa taaa... k - przeciągał słowa, jakby nadal nie miał pojęcia, jak sprawy się mają, i musiał wymyślić na poczekaniu zastępczą bzdurę. - Taak. Z jednej strony... była to, wiem, że zabrzmi to trochę, hmm, dziwnie, irydująco, ale cóż mam powiedzieć... to była prawdopodobnie zwyczajna

pomyłka. Błąd. Wiem, trudno to zrozumieć, zwłaszcza w takim momencie. Policja przeprosi pana na piśmie i tak dalej...

Henryk nie mógł się zdecydować, co go bardziej zdenerwowało - bezczelne wyjaśnienie zajścia czy sugestia adwokata, że sprawa może mieć jakieś drugie dno. Scenariusz filmowy, mimo bierności autora, nie wiały, przeciwnie, rozwijały się i nasycił obiecującą treścią. Było jasne, że miał do czynienia raczej z psychologicznym dreszczowcem niż prostym kinem akcji czy tradycyjnym kryminałem. Johnny Depp lub Angelina Jolie mogli w każdej chwili wejść do pokoju i popchnąć wydarzenia do przodu w najmniej spodziewany sposób.

- Jaką legendę wyprodukowała policja? Co wymyślili, żeby usprawiedliwić ten bandycki numer? Jestem podobny do Bin Ladena czy jego żony? Bo miejscowego bandytę baliby się tak potraktować.

- Proszę zachować spokój, panie Henryku. Wiem, aczkolwiek całkowicie nieoficjalnie, że policja, a ściślej mówiąc, Wydział Przystępczości Zorganizowanej, obserwuje od pewnego czasu grupę ludzi, choć określenie „ludzie” brzmi, w tym wypadku, zbyt dumnie. W ramach akcji obserwowano, między innymi, samochód należący do Słonia, jednego z żołnierzy gangu Wariata. No i dzisiaj to auto połączyło się węzłem małżeńskim z drugim egzemplarzem tej samej marki. Jak się okazało, należącym do pana. Policjanci zakładali, że jest pan śledzony przez mafię. Albo że udajecie się gdzieś razem. Ewentualnie chłopcy Wariata są pana eskortą. Zresztą mniejsza z tym, jakie mogły być hipotezy, oni tak pracują, to rutyna.

- To kompletny idiotyzm...

- Nic pan nie wie, naprawdę? - pytanie de Vernona wyglądało na zadane przez pomyłkę, z roztargnienia lub zmęczenia. - Chciałem rzecz jasna zapytać - poprawił się szybko - czy nie zauważył pan, że ktoś obcy jeździ za panem, krok w krok?

- Ale co niby ma wynikać z tego, że ktoś jeździł za mną? Ja mógłbym jutro zacząć chodzić za panem. Mam czas. Pan do teatru - ja też, pan do knajpy - ja jem to co pan i nawet daję taki sam napiwek. Pan do kibla, ja już leję przy pisuarze. Czy to jest wystarczający powód do zarzucenia panu kaptura na głowę i wrzucenia do celi? Wcześniej o mało nie strzeliwszy w twarz?

- Pan nie jest z Wołomina, prawda? Bo ja jestem z Żoliborza. I czuję się dość bezpiecznie.

Z kancelarii Henryk udał się do swojej kolacyjnej knajpy. Nie chciał iść do domu i siedzieć w pojedynkę. Zresztą umówił się z Edmundem Zbrojkiewiczem. Musiał się z nim



spotkać, chociaż nie miał ochoty rozmawiać, a nawet myśleć o tym, co się stało. Wolałby policyjną zagadkę zepchnąć na późniejszy, spokojniejszy czas.

Edmund patrzył z napięciem na Henryka. Był atakiem policji zdezorientowany i przygnębiony.

- O co chodzi? O co w tym wszystkim chodzi?! Naprawdę chciałbym wiedzieć. Muszę wiedzieć, jestem za stary na zabawę w policjantów i złodziei. Poza tym życie mi się podoba, a ja podobam się mojej kobiecie. Nie jestem beztroskim wróbelkiem, ale emerytura ma swoje prawa.

Henryk milczał, skupiał się na przyjemności gryzienia, przełykania i popijania na wolności. Wątróbką i brokułami tłamsił mrowiący niepokój. Dołożył do zestawu znieczulającego butelkę sycylijskiego Nero di Lupo. Zastanawiał się, jak uspokoić Edmunda. Nie chciał stracić mrukliwego kierowcy. Lubił go.

- Bo wie pan - Edmund popatrzył Henrykowi w oczy - oni rozmawiali ze mną. Smędzili, mędzili, ale jedna rzecz była jasna. Mam ich informować o wszystkim, co pana dotyczy. Kapuje pan? Kablować! Jak mogli coś takiego powiedzieć? Jak to w ogóle jest możliwe? To chamstwo. Nie sprawdzili, obszczyjmury, kim jestem? Kiedyś panu opowiem, jak odszedłem z ludowego wojska. Choć było to już za wolnej Polski.

- Coś konkretnego chcą wiedzieć? Na czym im zależy?

- Mówiłem, ściemniali. Poza tym nie są tacy głupi, żeby dawać mi wskazówki. Zresztą nie było żadnego straszenia. Cała sprawa wynika z troski o pana bezpieczeństwo. Nie potrafili tej troski uzasadnić. Nie próbowali nawet. Mimo zbożnego celu proponowali działalność komercyjną. Byli uprzejmi. Chcą kupić wszystko, co będę wiedział, hurtowo.

Henryk podjął wyzwalającą decyzję, by powiedzieć prawdę. Taką, jaką znał. Zakładał, że przypadkowo ją zna.

- Mam pewną interpretację, panie Edmundzie. Niezbyt oryginalną. Tym razem nie chodzi o kobietę, ale o władzę i pieniądze. Być może pewna transakcja biznesowa nie układa się po myśli ludzi najwyraźniej dość wpływowych i możliwe, że zareagowali zbyt nerwowo. Oczywiście, jak na mój gust. Mówi się, że młodość jest niecierpliwa. Gówna prawda. To starość jest znerwicowaną idiotką, popędliwą choleryczką, niezdolną do czekania. To trawieni przez pośpiech starcy każą strzelać do tłumu, bo szkoda im czasu na negocjacje. Jutro dla nich nie istnieje. Im bardziej im nie staje, tym szybciej chcą mieć orgazm. A młodość? Młodość ma czas. Całą wieczność. Jej jutro jest rozciągliwe jak guma do żucia. - Napił się intensywnie owocowego, prawie czarnego wina. - Dobrze, panie Edmundzie, spróbuję zająć się sprawą tak, by kłopoty się skończyły. Postaram się, słowo.

Był nadzwyczaj zadowolony, że udało mu się złożyć optymistyczną deklarację. Do pewnego stopnia szczerą.

- Chyba, chyba... - dodał. - Chyba że obaj wiemy tyle samo. To znaczy nie mamy pojęcia, o co chodzi. I komu.

- To mi wystarczy. Dziękuję. - Edmund zrozumiał, że Henryk nic więcej mu nie powie, że nie powie mu prawdy, więc musi w ciemno, na żołnierskiego nosa wybrać, czy zostaje, czy odchodzi. - Życzę powodzenia w interesach. Muszę się ewakuować. Moja wydzwania, niepokoi się. - Uśmiechnął się, chyba wyłącznie do czekającej na niego kobiety. - Wie pan, one takie są. Jak kwoki, chcą mieć wszystko pod skrzydłami.

Henryk zdawał sobie sprawę, że tylko umocnił w Edmundzie stan niepewności, ale jak każdy neurastenik, liczył, że sprawy ułożą się same.

Gdy kelnerka przysłała posprzątać, poprosił, żeby usiadła na chwilę. Bez kobiecej roli, chociażby flirtu, jeśli nie miłosnego dramatu, powstający od rana scenariusz nadawałby się wyłącznie do kosza. Uśmiechnął się. Marta przysiadła na brzegu krzesła. Była zadowolona z zaproszenia, ale i zaskoczona, demonstrowała lojalnie postawę służbową.

- Była pani kiedyś na wyścigach konnych?

Pytanie zabrzmiało żałośnie. Mam talent, pomyślał, mógłbym zostać filmowcem. Dialog zaczyna się kretyńsko, ale wyścigi, oszustwa, mafia, policja, korupcja i majestatyczne, szlachetne, czyste piękno koni jako tło dla ludzkiego gnoju i drapieżnej pazerności - taki scenariusz zawsze będzie wart sporych pieniędzy. To wystarczający powód, żeby kobieta przyjęła zaproszenie.

Nazajutrz, w niedzielę, w drodze na wyścigi, Marta opowiedziała mu o sobie, niepytana, odwrócona twarzą do bocznej szyby. Głosem spiętym, ale zdeterminowanym i udrapowanym na swobodnie towarzyski. Zamknęła historię swojego życia w niecałe dwadzieścia minut.

Wioska Aleksandrówka, tony buraków pastewnych, żyta, cebuli, dojenie przed świtem, smród i przeraźliwy kwik świń, gdy ojciec podrzywał im gardła i spuszczał krew na kaszankę i czarny salceson. Technikum w Tarnobrzegu. Dwa razy dziennie młocka w pekaesie, potem internat. Brud, obmacywanie w ciemnym korytarzu przez kierownika i ssać, czarne marzenia, by wszystko zmienić. Bez wiary, że możliwa jest najmniejsza zmiana. Cień przygarbionej, postarzałej za młodu matki, jej milczenie i oczy powleczone odbiciem pól, bez własnego światła, nawet osobnego smutku. Nic. Nic stało za nią i przed nią, jak betonowy penis na skwerze obok technikum gastronomicznego, sterczący w nieustającym wzwodzie na cześć wyzwolicieli z Armii Czerwonej. Uciekła do Warszawy i natychmiast wpadła w łapy

bydlaka rodzaju męskiego. Żerował jak hiena na mieście, a gdy wracał, spał, żarł i rznął, nawet gdy miała okres, padała na nos, rzygała w trzecim miesiącu lub trzepała ją gorączka jak strzęp foliowej torby pędzony przez wiatr na pustym parkingu pod supermarketem. Wchodził w nią jak młot pneumatyczny albo tłukł. Aż wytlukł z niej własne dziecko. Miała dziewiętnaście lat, gdy poroniła. Mieszka sama. Żyje ostrożnie. W życiu najważniejsza jest ostrożność, delikatność. Nie tylko ze względu na własny spokój i bezpieczeństwo. Nigdy nikogo nie należy ranić, nawet urazić. W to wierzy. Ostrożność i delikatność. Ostatnie dwa słowa powiedziała po oderwaniu wzroku od mijanych nijakich fasad, żółtawych skwerów i zmęczonych suchym sezonem drzew. Prawie popatrzyła na Henryka i wzięła głębszy oddech. Zrozumiał, że nie jest pewna, czy zachowała tę zasadę, przyjmując jego zaproszenie.

Protestowała, ale w końcu zgodziła się, by opłacił jej zakład na trzecią gonitwę. Gdy przegrał wszystkie próby i ona też przegrała, poczuli się lepiej, swobodniej, uśmiechali się, a nawet śmiali, patrząc na siebie nieuważnie, bez zatrzymywania wzroku. Marta nie pociągała go, ale Henryk niecierpliwie chłonał emanujący z niej spokój, choć momentami obawiał się, że to raczej wypróbowana, bezbłędna rezygnacja. Wyobrażał sobie, że kładzie się obok niej, w ubraniu, na niepościelonym łóżku i momentalnie zasypia. Nie dotyka jej, nawet oddechem i przez nieuwagę. Jest bezpieczny.

- Dziękuję, że się zgodziłaś.

Położył dłoń na balustradzie, tuż obok jej dłoni.

- Wiesz, mógłbym...

Przebiegł przez nią niezauważalny, krótki szloch, a może dwa mocniejsze, arytmiczne uderzenia serca.

Ich dłonie były blisko. Mogły wymieniać się tajnymi wiadomościami, uratować świat, przetaczać krew, ostrzegać przed złymi ludźmi, pocieszać, korzystać z jednego ręcznika i z jednej karty kredytowej.

Marta zabrała dłoń z poręczy.

- Wiem - odpowiedziała.

- Ja... - zaczął jakąś myśl. - Kobiety...

- Rozumiem - odpowiedziała. - Odwieź mnie do domu.

## **Podstawówka**

Podstawówka

16 października

Stacjonarny telefon rodziców nie został wyłączony, ale cały czas milczał. Gdy zaczął

dzwonić, Henryk nie zwracał na niego uwagi, zakładając, że dobija się sprzedawca ubezpieczeń, funduszy inwestycyjnych, funduszy emerytalnych, kart debetowych, szybkiego Internetu, telewizji cyfrowej lub ankieterka z call center w sprawie zadowolenia z usług. Wreszcie odebrał odruchowo, wcześniej rano, półprzytomny. Usłyszał miły męski baryton, który wypytywał z troską, czy aby na pewno ułożył swoje sprawy w Polsce optymalnie i korzystnie. Słowo „korzystnie” przywlokło mu przed oczy twarz de Vernona zniekształconą przez cień snu i niedorozwinięty świt. Następne telefony skrzętnie odbierał i notował treść fachowych ostrzeżeń i troskliwych rad. Przestał, gdy stylistyka pogróżek zbliżyła się do standardu. Nie myśl, pierdolony popaprańcu, że możesz kpić z poważnych ludzi.

Decyzja o bojkocie była spóźniona, bo telefon zamilkł.

\*

W poniedziałkowe przedpołudnie Henryk kręcił się w pobliżu budynku jednej ze swoich byłych szkół podstawowych. Nie mógł sobie przypomnieć, w której klasie męczył się w niej ku chwale socjalistycznej ojczyzny i jej niewzruszonych sojuszy. Był tu legalnie przetrzymywany w drugiej, trzeciej czy czwartej klasie? Chodziło, mniej więcej, o połowę lat pięćdziesiątych. Właśnie wtedy, na początku drugiej połowy dwudziestego wieku, jego głowa pokryta kędzierzawymi, lekko falowanymi włosami przemykała wśród setek innych nieprzytomnych głów, zatopiona po uszy w dzikim wrzasku długiej przerwy. „Dużej pauzy”, jak mówiła z nomenklaturowym wdziękiem pani dyrektor.

Połowę życia spędzał w zimnych pudłach tego niskiego, bezkształtnego budynku, który po latach nie tylko nie był w stanie wzbudzić w nim najmniejszego wzruszenia, ale nawet przywołać smętnych, czarnobiałych wspomnień. Miał kłopot ze wspomnianiem podstawówki, a precyzyjnie rzecz ujmując, czterech podstawówek, przez które z samozaparciem przebrnął. Nie potrafił oddzielić ich w pamięci od siebie. Ilekroć usiłował to zrobić, w jego głowie powstawała chaotyczna mieszanina migawek z korytarzy, klas lekcyjnych, sal gimnastycznych, szatni, boisk i ubikacji, zaopatrzona w wykrzywione twarze uczniów, nauczycieli, woźnych, sprzątaczek, przesłonięta papierosowym dymem, monotonnym szumem dyktand, przekleństwami i komendami wydawanymi szeptem podczas gimnastyki ćwiczonej na szkolnych korytarzach.

Brak porządnie poukładanych wspomnień zaczął niespodziewanie drażnić Henryka dopiero teraz, gdy znalazł się znowu w Polsce. Na tym niewyraźnym tle jedno wspomnienie rosło w siłę i żyło coraz dostatniej. A jeśli nie żyło dostatniej, to puchło od dumnej nadziei, że jego wnuki ostatecznie będą opływać w sprawiedliwy, dziejowo uzasadniony, dostateczny dostatek. W tym ekskluzywnym wypadku pamiętał nawet imię i nazwisko: Małgosia

Dziamska. Należała do rówieśnicy poznanej w pierwszej klasie. Wspomnienie wyglądało jak marynarka zżarta przez mole. To, co pamiętał, sypało się w rękach, ale na tle ogólnej amnezji było nadzwyczaj mocne, pełne prześwieconych widoków, pastelowych kolorów i szarych ołówkowych szkiców.

Kanciaste, skrytochichocące i pełne pogardy dla chłopców dziewczęta, zawsze zbite jak kurczęta w ścisły krąg, miały w pierwszej klasie nie tylko przewagę fizyczną, ale i przygniatającą przewagę liczebną. W klasie tłoczyło się ich ponad czterdzieścioro. Forpoczty powojennego wyżu już zaczynały docierać do szkół, lecz władza ludowa usatysfakcjonowana zwycięską bitwą o handel dopiero myślała o batalii „Tysiąc szkół na tysiąclecie”. Kaganek oświaty i nowe, przytulne pawilony szkolne z wielkiej płyty drzemały leniwie w zakamarkach mózgów pracowników wydziału oświaty Komitetu Centralnego i unikały frontowych walk, dekując się z bronią u nogi. Nauczyciele musieli, niestety, w kiepskich warunkach lokalowych mierzyć się ze zgniłymi przeżytkami szowinistycznego drobnomieszczaństwa, z niedobitkami obszarniczej mentalności oraz maryjnymi procesjami pazernych kułaków łaknących ziemi przydzielonej chłopom przez PKWN.

Henryk i Małgosia Dziamska mieszkali prawie po sąsiedzku, jednak poznali się dopiero w szkole. Nici ich losów przebiegały blisko, ale nie splotły się ze sobą, nawet wtedy kiedy przyszła pora, żeby pójść do szkoły. Ulice, chodniki, trawniki, podwórka i bramy układały się w takie meandryczne wzory, że ich drogi powrotne również nie powinny się były przeciąć. Henryk nie zachował w pamięci najmniejszego śladu wskazującego na okoliczności, w jakich się poznali. Nie chodzi o znajomość polegającą na siedzeniu podczas lekcji w jednej klasie, bo taka znajomość nie różniła się niczym od braku znajomości. Nie pamiętał zwłaszcza, z czyjej inicjatywy, otwarcie na siebie popatrzyli i z premedytacją się dotknęli. Jakie słowo było na początku i od kogo pochodziło. Kto, ona czy on, wypowiedział otwarcie, w świetle dziennym, wobec czterech stron świata, poetów, kapłanów, żołnierzy, kucharzy i konduktorów, pierwsze, sakramentalne zdanie: „Idziesz już do domu?”. Lub jakieś inne, godne stwórcy zdanie, a może tylko jedno kruche, ale brzemienne słowo - „chodź”. Henrykowi trudno było wyobrazić sobie, że to on z własnej, nieprzymuszonej woli, będąc zdrow na ciele i umyśle, zdobył się na śmiałość i pierwszy wyciągnął rękę. Gdy próbował to sobie wyobrazić, uśmiechał się z politowaniem. Niczego jednak nie pamiętał, więc nie mógł wykluczyć, że to on, po męsku, wziął sprawy w swoje ręce. Przecież jest teoretycznie możliwe, że w wieku siedmiu lat był zupełnie innym człowiekiem.

Zachował w pamięci obraz, przeświecony, ale wystarczająco wyraźny, jak wracają ze szkoły i trzymają się za ręce. Rytuał miał miejsce od poniedziałku do soboty. Nie reagowali

na zgorżone miny, chichot i szepty koleżanek, które widząc ich razem, nie mogły uwierzyć własnym oczom. Nie zwracali uwagi na pełne bezbrzeżnej pogardy, wojenne okrzyki kolegów Henryka, chociaż te brzmiały jak wyroki śmierci, zatwierdzone przez coraz wyższe instancje:

- Heniek, co ty, z dziewczynami chodzisz?

I odbijające się między budynkami skandowanie:

- Zakochana para, zakochana para!

Na podwórku nieustannie przekazywano wszystkim informację, że Heniek podwala się do tej głupiej Małgośki. Z niezrozumiałych powodów to pomówienie, poważnie zagrażające pozycji społecznej i karierze Henryka, nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia. Głosy rówieśników, stłumione, wydobywały się z innej rzeczywistości, omijały go, a że z niezrozumiałych powodów nic a nic go nie obchodziły, nie mogły go również zranić ani wpłynąć na zmianę życiowej filozofii.

Henryk nie uważał się za zakochanego. Wiedział, że to słowo oznaczało coś, czego prawdopodobnie powinien się wystrzegać i wstydzić, więc na wszelki wypadek odrzucał je bez analizy. Tak uzbrojony, odizolowany od terroru kolegów, z zadziwiającą odwagą za nic miał okrzyki, szepty, docinki i tortury morderczego rechotu trudne w innych sytuacjach do wytrzymania.

Życie, niepostrzeżenie, posuwało się dalej, od dzwonka do dzwonka, od lekcji śpiewu do niedzielnego rosolu, od wufu do gry guzikami w Wyścig Pokoju, a Henryk za każdym razem po wyjściu ze szkoły brał Małgośkę za rękę i ruszał w drogę do domu. Brał ją za rękę, jakby mieli iść i nie zatrzymywać się do końca dnia lub do skończenia świata. Pokonywali swoje codzienne kilkaset metrów wolnym krokiem i klonowa aleja kołysała się w lekkim popołudniowym śnie, zamiast znużona biec tępo wzdłuż ulicy Karola „Waltera” Świerczewskiego. Zawsze wybierali tę samą drogę. Najpierw jego szkolną trasą, chodnikiem po prawej stronie ulicy. Później ostrożnie przechodzili na drugą stronę, nieco mocniej trzymając się za rękę. Wreszcie zbaczali z głównej trasy i Henryk odprowadzał Małgośkę do klatki schodowej. O czym rozmawiali? Bo przecież nie mogli milczeć wiecznie, aż do wakacji? Wiele by dał za wskrzeszenie choćby jednego, krótkiego dialogu. Pamiętał wyraźnie, że gdy Małgosia szła obok, wszystkie dobre i ciekawe rzeczy przybliżyły się, gdziekolwiek by się ukrywały. Z pewnością podchodziły bliżej niż do innych ludzi. Uczucie błogiej zażyłości ze wszechświatem było dziwne, bo jednocześnie w obecności Małgosi wszystko, bez wyjątku, oddalało się i cichło.

Do mamy, oczywiście, Małgosi nie porównywał. Zresztą obie były poza skalą

jakichkolwiek porównań. Obie niezależnie od siebie istniały na przeciwległych biegunach jego głowy i kuli ziemskiej. Nie dotykały się nawet rąbkami sukienek, końcami włosów ani żadnym z istniejących lub wyobrażalnych słów. Były jasnym odbiciem jedna drugiej, ale nie miały ze sobą nic wspólnego. Henryk, przechodząc codziennie ze świata mamy do świata Małgosi, przez zamknięte drzwi, zrozumiał, że te dwa światy nie potrzebują zgody, porozumienia, a on, żyjąc w obu naraz, powinien milczeć i być wierny obu. Powinien być wierny, ale również powinien przestawać istnieć dla mamy, gdy jest z Małgosią, i znikać jak duch z życia Małgosi, gdy wypuszcza jej rękę i odwraca się, by pobiec do domu. Gdy opuszcza państwo dziewczęcej dłoni i wkracza w obszar maminych zapachów, których nie czuć po jej stronie życia.

Stan skupienia i oddalenia, gdy przebywał obok Małgosi, został mu, jak cenna zdobycz, na resztę życia. Przy niej podświadomie nauczył się ukrytego otwierania się. Lata później, jeżeli czyjaś obecność budziła w nim zaufanie, to osiągał skupioną równowagę, unikając rozmowy, nawet prostego przekazywania informacji, nie mówiąc o emocjach sporu. Rozmowa prowokowała do uników, kusiła pychą przewagi, miała panowaniem nad rozmówcą. W rozmowie Henryk wpadał niezmiennie w zasadzkę ironii i rozkosze prowokacji. Gdy myśli pozostawały w nim głęboko zakopane, to nawet jeśli nie były zupełnie łagodne, spotkanie przynosiło ulgę. Tylko tyle, nic więcej. Zastanowił się: z kim udawało mu się milczeć? Z dziećmi, gdy były małe, i może jeszcze krótko... nieważne, zupełnie nieważne.

Pozostaje bez odpowiedzi natrętne pytanie - o czym z Małgosią rozmawiał, gdy już znali się dłużej? Może i ona lubiła wspólne milczące wymachiwanie złączonymi dłońmi i szuranie butami po płytach chodnika, klonowych liściach lub świeżym śniegu. Może wyczuwali, że o każde, nawet najprostsze zdanie mogą się potknąć i potłuc do krwi gołe kolana. Nie nudził się. Nie przeszło mu nawet przez myśl, że robi to samo co wczoraj i przedwczoraj. Że to samo wydarzy się jutro i za tydzień. Nigdy razem nie poszli do szkoły, zawsze z niej razem wracali. Wiedział, że tak będzie zawsze, a jeśli nachodziła go wątpliwość, nienawidził przyszłości. Małgosia nie próbowała nawet na chwilę wysunąć się z jego dłoni, dotykała go w chłodnociepły sposób i nie zwalniała uścisku. Dłonie miała maleńkie, nawet jak na dziewczynkę w tym wieku. Używanie ich do jakichkolwiek prac wydawało się Henrykowi bezsensowne i niebezpieczne. Skórę, prawie białą, podświetlało ciemniejsze, mżące światło, które drżąc, nigdy nie opuszczało wnętrza jej palców. Przeświecało zwłaszcza przez czyste, przezroczyste paznokcie. Jej twarz była blada, lekko zaróżowiona na policzkach, ozdobiona ogromnymi zielonkawymi oczami i dwoma jasnoblond kucykami ze srebrnym połyskiem. Włosy przewiązywała białymi kokardami,

ciasno, tuż przy skórze. Czasami kucyki splecione były w cienkie, twarde precelki. Zgodnie ze szkolnym regulaminem ubrana była w niebieski fartuch z białym kołnierzykiem, przypinanym małymi białymi guziczkami.

Henryk tylko raz wszedł na drugie piętro, do jej domu. Poznał mamę Małgosi, wysoką, mówiącą energicznym niskim głosem, ubraną w czarny skórzany płaszcz, włochatą spódnicę i gruby golf. Wydawało mu się zupełnie nieprawdopodobne, żeby mogła być mamą Małgosi. Zrobiła im herbatę, ale on speszony szybko wybiegł.

Po wakacjach wprowadzono nową rejonizację. W nowej szkole było równie tłoczno i przerażająco obco co w starej, a na przerwie do pisuaru dopchać się było równie ciężko. Sala gimnastyczna była wysoka, jasna, ale niedostępna, bo młodsze klasy miały gimnastykę na korytarzu. Małgosia została w starej szkole imienia Bolesława Bieruta, on rozpoczął drugą klasę w nowej, imienia Janka Krasickiego. Ani on, ani ona nie zrobili nic, by zmienić koncepcję kuratorium i komitetu odpowiedniego szczebla. Władza w niewidzialnym, dwurzędowym garniturze przejeżdżała szybko granatową warszawą ulicą Majakowskiego, skręcała w aleję PKWN i znikwała za zakrętem historii, w jednej z jej białych plam. Za szybą majaczyły sylwetki, białe chusteczki, czerwone twarze bez twarzy i brzęczały ciężkie rzędy odznaczeń. Twarze mieli tylko Bierut i Stalin, ale oni nie zajmowali się ich szkołą. Zresztą to już byli chyba Gomułka i Cyrankiewicz, a ci, którzy zdecydowali o ich losie, raczej nie wiseli nad tablicą po prawicy i lewicy piastowskiego orła. Byli zbyt stanowczy i małomówni, żeby można było się zastanawiać nad ich decyzjami, które przyjmowano jak spóźnienia pociągów i kolejki po mięso, chleb i cukier. Nigdy już nie poszli na spacer. Nie połączył ich również jakkolwiek inny cel, przypadkowy czy zamierzony. Ani stary Bierut, ani nowy Gomułka. Nokautujący cios, zadany przez przybyłą z Grecji komunistkę z wydziału oświaty, rozdzielił ich świat kartką papieru zadrukowaną niewyraźnie na powielaczu. Owszem, widywali się w przelocie, na przykład przy kiosku Ruchu, stojącym w strefie neutralnej między ich kamienicami, mówili „cześć”, ale nic poza tym, jakby nie było innej teraźniejszości i innego sensu niż nabycie „Życia Warszawy” lub „Expressu Wieczornego”, zapalek i papierosów Sport i nie było przeszłości innej niż sanacyjna, robotniczo-chłopska bieda, bohaterstwo żołnierzy Armii Ludowej, prorocze przemówienia Lenina i niewypały poniewierające się nad Wisłą, które nie wiedziały nic o dzieciństwie rodziców. Przyszłości nigdy nie było. Nikt jej nie widział, a co gorsza, nikt jej jeszcze nie wymyślił. Wspominał o niej, podobno, ksiądz proboszcz, ale Henryk nie chodził na religię. Radio, owszem, Front Jedności Narodu także, Plenum KC partii od czasu do czasu, oni zajmowali się przyszłością, ale u nich przyszłością był Lenin i komunizm, a Lenin był przecież przeszłością i mimo że był



wiecznie żywy, nie żył, zaś o to, co to jest leninowski komunizm, nikt, na wszelki wypadek, nie dopytywał, spodziewając się, że nikt tego nie wie, więc jeśli nawet by padła odpowiedź, nie byłoby z niej żadnego praktycznego pożytku, a nawet niepraktycznej przyjemności. Henryk nie pamiętał, czy podczas przypadkowych spotkań z Małgosią trawił go żal, czy wpijał się w niego jak pijawka w wątłą łydkę. Czy wegetowały w nim jeszcze, coraz bardziej nierealne wspólne spacerzy? Czy życie niezauważenie oddalało się od niego, jakby było filmem zdjętym z afisza i wyrzuconym na śmietnik.

Z każdym rokiem Małgosia była coraz mniej podobna do dziewczynki, którą trzymał za rękę i wspólnie z nią wystawiał głowę ponad powierzchnię mórz i oceanów. Im bardziej była sobą, tym bardziej sobą być przestawała i tym mocniej go drażniła. Energiczna, obca, dwunasto, piętnasto, siedemnasto, osiemnastoletnia dziewczyna, harcerka, w bluzie skrywającej bombiasty biust, krótko ostrzyżona, zbyt wesoła i ciągle się dokądś śpiesząca. Czy oskarżał ją podświadomie lub jawnie i histerycznie, że zabrała mu tamtą, z pierwszej A? Czy kiedykolwiek miał pretensje do siebie, że też zdradził i zmieniał się z minuty na minutę? Czy mógł wtedy poprosić rodziców, żeby jakoś to załatwili i zapisali go ponownie do Bieruta? Bo przecież o zatrzymanie obrotów kuli ziemskiej nie mógł prosić.

Najdziwniejsze jest to, że gdy wydorósł, nie pielęgnował w pamięci spacerów z Małgosią. Nie zachował ich na zawsze w blaszanym pudełku po herbacie Madras, wraz z innymi skarbami, obtłuczonym szkłem powiększającym, przedwojennymi dwudziestogroszówkami, wojskowym niezbędnikiem składającym się z mosiężnej łyżki, widelca i niebezpiecznie ostrego noża, dwiema kostkami do gry i łuską od pocisku karabinu maszynowego. Odurzało go długie ukłucie samotności? Samotność koła go i oswajała z przeszłością i samym sobą? Usprawiedliwiała jego lekceważącą niechęć do przyszłości?

Zastanawiał się, dlaczego, pół wieku od zakończenia tamtego roku szkolnego, zbliżając się do budynku podstawówki, opowiedział sobie tę historię. Wymyślał ją po kawałku? Był wierny prawdzie, sobie, Małgosi? Był szczery? Wracał czy łągał, manipulował i nadal uciekał, kryjąc się między krzewami tawuła van Houtte'a rosnących wzdłuż szkolnego ogrodzenia? Może ta opowieść, mimo że prawda wybierała się już na emeryturę, nabrała siły i przestała się liczyć z jego smętnym dryfowaniem i cherlawym oporem? Był stary, a frustracja i zgorzknienie może sprzyjać autoagresji, zemście lub nudnemu oszustwu. Chociaż miał nikłą nadzieję, że sprawy nie przybiorą takiego obrotu. Strach i asekuracja zawsze wygrywały.

Więc może to filigranowa Małgosia znalazła w sobie dość siły, by wyjść z kłębka światła toczącego się w niepamięci i wrócić tryumfalnie do świata? Postanowiła wziąć inicjatywę w swoje ręce, reanimować przeszłość i zdobyć przyszłość. Zlekceważyła jego

zamiłowanie do samotności, nie zwróciła uwagi na fobie, lęki i przyzwyczajenia oraz zdolność do porzucania wszystkiego, co mógłby, a nawet powinien, zatrzymać na zawsze. Niespodziewanie wróciła, podśpiewuje i czeka przed szkołą, by Henryk mógł podbiec w brązowych sandałkach, białych podkolanówkach, granatowych spodenkach, chałacie ze świeżym, wykrochmalonym kołnierzykiem i wyrecytować wszystko, co zapamiętał, a także te szczegóły, o których doszczętnie zapomniał. Żeby wyjął dobrowolnie opowieść i o tym, czego nigdy nie zdołał przeżyć. Przed czym udało mu się uciec. A może Małgosia dyskretnie wróciła tylko po to, by z dziecięco-kobiecą elegancją w to nerwowe popołudnie na początku XXI wieku, pod zdezelowanym budynkiem szkolnym, zmusić go do wyznania miłości?

\*

Przyczyn mąk piekielnych i problemów z ułożeniem wspomnień w jakiej takiej kolejności było więcej. Przeprowadzki rodzinne następowały seryjnie akurat między ósmym a piętnastym rokiem życia. Przenosiny, najpierw z Mokotowa pod Warszawę, potem spod Warszawy na Chmielną, spowodowały, że uczęszczał do czterech różnych szkół. Wędrówkę wzbogaciły również zmiany granic rejonów szkolnych. Zaledwie oswoił się z miejscem, klasą, nauczycielami, ledwie żołądek przestał wyć i krztusić się jak silnik warszawy przed szlifowaniem zaworów, a już musiał zbierać manatki i przeprowadzać się do nowej katowni. A tam frontowa mizéria zaczynała się od początku. Za każdym razem czuł się jak bezradne niemowlę kołysane zbyt gwałtownie w wózku przez sprytniejsze, starsze dzieci, wrzucające mu pod kocyk śmieci, resztki kanapek, ogryzki, połamane kredki i stare zeszyty. Przez całe miesiące był tym nowym, obcym, ofermą i lalusem. Na gimnastyce kapitanowie drużyn patrzyli na niego z politowaniem. Wybierany był do drużyny ostatni, właściwie dopychał go nauczyciel, a przecież nie uważał się za największego ciamajdę. Podczas przerw stał pod ścianą, przyciskając się do zielonej lamperii, i żuł rosnącą w ustach kanapkę z ogórkiem i żółtym serem. W zimie opierał pośladki o kaloryfer i nie odsuwał się, gdy zaczynało go parzyć przez spodnie i grube kalesony. W żadnej ze szkół nie miał imienia i w najlepszym wypadku wołano na niego „nowy”. A był przecież do znudzenia ten sam, znajomy od zawsze, z kupą pomysłów na plecach, dziesiątkami blizn, z workiem pełnym naiwnej nadziei i wsiegda gotow do przyjaźni.

Ani razu nie żałował, że rozstaje się ze starą szkołą. Żadnej z nich nie znosił, jednak nowej szkoły nienawidził zawsze żarliwiej niż poprzedniej.

Cierpiał szczególnie, gdy wchodził do obcej klasy po raz pierwszy, na ogół w towarzystwie starszej kobiety w zbyt krótkiej spódnicy, na przykład wicedyrektorki Joanny Klicy, i stał długo, zupełnie niepotrzebnie, stał o wiele za długo na środku klasy, mając za

sobą czarną zniszczoną tablicę. Oblepiona pudrem, wysmarowana szminką i upačkana tuszem wychowawczyni kładła mu wilgotną dłoń na głowie i milutkim głosem anonsowała:

- Przedstawiam wam, prawda, naszego sympatycznego po prostu, nowego kolegę, eee, Henia Haryśniewicza. Powitajcie go, że tak powiem, po prostu serdecznie, no brawo, taak, i, eee, zaopiekujcie się naszym sympatycznym chłopaczkiem po prostu.

Pochyliła się. Żeby szepnąć coś do ucha? Chyba nie będzie mnie całowała? Bał się, że gdy kobieta schyli się jeszcze trochę, ogromna pierś wypadnie jej z zielonego wydekoltowanego sweterka, plaśnie go i przewróci. Będzie miał zwichnięty obojczyk i życie. Będzie musiał uciec i zabić się. Wsadzić w powietrze razem z basztą i całym zamkiem. Dama przemawiała nadal do klasy, ale on już gotował się kłębem jak zapomniana woda na makaron i nie mógł ni w ząb zrozumieć, o czym mówi. Wreszcie zaśmiała się. Klasa też. Jej dłoń była ciężka jak miednica pełna ciasta, dźwigał ją z nadludzkim wysiłkiem, nogi się pod nim ugiwały, niemal mdłał. Wychowawczyni przypominała tancerkę kabaretową, która z dnia na dzień przytyła trzydzieści kilogramów i zestarzała się o dwadzieścia lat. Jedno i drugie całkowicie umknęło uwadze tej próżnej idiotki, choć nosiła w torebce lustreczko.

W kieszeni miał dropy o smaku cytrynowym. Przesuwając po rolce paznokieć wskazującego palca, przeliczał, ile pastylek jeszcze mu zostało. Tam i z powrotem. Liczył od jednego do sześciu, a potem na odwrót, od sześciu do jednego. Nie miał zamiaru nikogo częstować. Klasa taksowała go wzrokiem, oceniała fryzurę, chałat, tornister, spodenki, obite kolana. Niektórzy uczniowie, zwłaszcza dziewczyny, pochylali się do siebie, wymieniając szeptem uwagi. Kiedy się prostowali, mieli na twarzach szydercze uśmiechy. Paznokieć przebił papierowe opakowanie dropsów. Henryk na chwilę wyjął rękę z kieszeni. Poczł landrynkowy, żółty zapach. Spokojnie przesunął wzrok z twarzy na twarz, z twarzy na twarz. Dokumentował na wieczne czasy ten dzień, w którym ludzkość upadła na samo dno. Patrzył na zbitą masę identycznych twarzy, jakby to była klasa Wietnamczyków. Zapamiętywał najbardziej rozbawione. Ho Szi Min wam tego nie przebaczy. Przysięgał w duchu, że nie odezwie się do żadnego z tych debili do końca życia, a przynajmniej do końca szkoły. Oddychać pozwalała mu nadzieja, że połamią ręce lub iksowate nogi i powali ich jakąś nieuleczalna choroba.

Szkoła stała na swoim miejscu. Była nędzna, nie znalazł innego określenia. Wokół walały się plastikowe butelki po fancie, 7 up, sprajcie i pepsi. Puszki po piwie, torebki po chipsach i niedopałki zalegały zdeptany trawnik w ilościach i gatunkach odpowiadających zmiennej stopie życiowej okolicznych mieszkańców. Z frontu budynku zwisały bezwładnie, jak świeżo powieszzone pranie, transparenty reklamowe. „Eksodus, ubojnia drobiu, oferuje,

życie, tanio”, czytelne były tylko pojedyncze słowa. Przed budynkiem, w kępie krzewów, trzech mężczyzn i kobieta raczyło się z jednej butelki.

Pokryte resztkami czarnej farby drzwi wejściowe miały zablokowany zamek. Na uchwycie wyslizganym przez miliony drobnych uczniowskich dłoni, które otwierały tę bramę do obywatelskiej wiedzy o Polsce i świecie współczesnym, wisiał ciężki łańcuch z zatrzaśniętą kłódką. Wszedł na pierwsze piętro, wspinając się po schodach z lastriko, pokrytych lepkim kurzem. Na końcu korytarza znalazł przybitą krzywo do drzwi kartkę. Napis „Likwidator”, wykaligrafowany czerwonym pisakiem, chciał chwiejnie ukryć własną treść. Nie wypuszczając klamki z dłoni, wsunął powoli głowę do pomieszczenia, ostrożnie, jakby to była klasa szkolna. W niewielkim pokoju zawalonym po sufit rozpadającymi się pudłami starszy mężczyzna siedział przy biurku i skrupulatnie strugał ołówek. Miał temperówkę starego typu, w kształcie skrzypiec bez gryfu, z włożoną w środek żyłką Polsilver.

- Dzień dobry, szukam szkoły, która była tutaj dawniej, nawet bardzo dawno. Czy pan może się...

- Szkoły to tu już nie ma, proszę szanownego pana. Ktoś machnął ręką i poszłaaa w kibinimater! No i nie ma placówki oświatowej. Daremne żale.

- Próżny trud - odpowiedział odruchowo Henryk.

Cała jego edukacja dzieliła się na dwa etapy. Kiedy miał siedem lat, kochał bez zastrzeżeń obie kobiety - szkołę i panią wychowawczynię. W wieku dziewięciu lat nie mógł ich rzucić, ale w zamian serdecznie nienawidził. Później było już tylko gorzej, chociaż nie został buntownikiem i wagarowiczem. Zareagował zaciętym zamykaniem się, biernością, nieufnością, podejrzliwością, milczeniem, duchową emigracją donikąd z dusznych klas i pozostawianiem w dybach ławki pustego ciała.

- Heniu, patrz na mnie, bo jak nie patrzysz, to nie wiem, czy naprawdę mnie słyszysz - szczebiotała wychowawczyni jak napchany siemieniem, podniecony kanarek. Przenosił na nią wzrok, ale po chwili, niezależnie od jego woli, źrenice wracały w stronę okna, nawet jeśli przed szkołą nic się nie działo. Uczył się na odczepnego. Patrząc na nauczycielki, nie wierzył, że przekazywana przez nie wiedza może do czegoś służyć.

- Słucham, proszę pani - mruknął.

- Przepraszam pana, szukam dokumentów - wyjaśnił facetowi z temperówką w dłoni. - Moich szkolnych dokumentów. Nazywam się...

- Akurat, dokumenty - przerwał mu wywód mężczyzna. - Ci, co niszczą szkoły, nie zostawiają śladów. Grabarze narodu! Są anonimowi, anonimowo likwidują przeszłość, chcą

anonimowej wiedzy, anonimowej władzy i anonimowej przyszłości. Tak to jest, ani postęp, ani tradycja. Klikasz w bezimienne gówny, symbol naszych programów oświatowych, i poza kolejnością zostajesz nikim. Gdzie jest prawda, dążenie do zrozumienia ludzi i świata? Gdzie cudowne talenty dzieci? Zmielone na uliczny kurz. Sorry, nie mogę mówić, bo się wzruszam, rozpalam. A wtedy jak nie mógłbym pójść pod Ministerstwo Edukacji i...

Mężczyzna wrzeszczał do osłupiałego Henryka, jakby się dobrze znali i życie im przeleciało na wspólnym narzekaniu przy butelce ciepłego piwa. Z ust pryskała mu ślina. Żył na skroniach nabrzmiały. Przez oczy, wyblakłe jak cała twarz, przebiegła fala ożywczego ognia.

- Pańskie dokumenty... Muszę panu powiedzieć, że nieraz wchodzę tu, do tej kanciapy, bo to jest wszystko, szanowny panie, co zostało z mojej szkoły, z mojego, pozał się Boże, życia, i widzę, jak zza stert teczek wyglądają pyzate, wesole gęby moich gówniarzy. Tak, tak, widzę ich piegowate nosy, rozcięte wargi, podbite oczy, przypudrowane krosty dziewczyn, widzę, jak mrugają zza rozerwanych pudeł i śmieją się wśród stosów papierzysk. Oczywiście namiętnie dłubią w nosie, w zębach, czochrają się, plują ryżem przez rurki, strzelają papierowymi haczykami z procy zrobionej z palców i gumki recepturki. I obmacują dziewczyny. Wicherki na głowach porusza im wiatr historii i kuszący los. Chyba że posmarowali włosy żelem pierworodnej kłęski. Mimo wszystko patrzą na mnie uważnie. O czym myślą? Czuję ich rentgenowski wzrok. A ja nie wiem, co im powiedzieć, choć czuję, że powinienem. Jestem im winien poważne wyjaśnienie. Solidny wykład, co się stało z tym światem, na który czekali w ciasnych, pociętych scyzorykami szkolnych ławkach. Miał wybuchnąć feerią barw, bogactwem jasnych idei, kosmosem ich własnych projektów i zwycięstw. A tu cisza! Ale oni o nic nie pytają. Więc, myślę, może już wiedzą? Wszystko w międzyczasie zrozumieli? Więc zaczynam mówić byle co. Że nie ma ich szkoły, że demokracja, że już nie trzeba czytać lektur, bo nie ma już lektur, ani Sienkiewicza, ani Żeromskiego, i Mieszka I i że cycki Małgośki Karskiej też mi się podobały. Może powinienem im wytłumaczyć to, co działo się kilkadziesiąt lat temu, gdy byli w podstawówce wysłannikami jutra, posłami boskiego losu na ziemi, a ja byłem ich dyrem w marnym garniturze z MHD i ściągałem ich na ziemię? Walilem ich łbami o asfalt, nosami orałem ugór, ugniałem tyłkami beton. Na przykład powinienem wyjaśnić, dlaczego byłem takim wałem i tchórzem. Dlaczego zapomniałem o bólu świata, metafizyce i hormonach, gdy ściągałem ich jarających w kiblu? Gdy udawałem, że nie słyszę dramatycznych pytań, których nigdy nie zadali. Gdy odmawiałem poparcia ich tęsknoty za czymś, czego samemu nigdy nie udało mi się nazwać. Czy powinienem ich za to przeprosić? I czy to wystarczy? Czy istnieje

odpowiednie „przepraszam” za taką zbrodnię? Czy zbrodniarze w ogóle powinni kulturalnie przepraszać?

Ale zaraz przychodzi mi do głowy, że może już nie trzeba nic wyjaśniać i nie ma za co przepraszać. I chichocące dziewczynki, i przechodzący mutację chłopcy sami doszli już do tego etapu, że mordują innych i siebie nawzajem. Już dali się przekonać, że wiatru głową nie przebijesz, i przepoczwarzyli się w takich jak ja. Sekunda nieuwagi, oko zamknięte na chwilę, głowa wetknięta w piasek, jedna nieprzeczytana książka, jedno przekręcone zdanie, pół łatwego kłamstwa, zbyt długo mierzona sukienka, ręka zbyt długo w majtkach koleżanki i niepostrzeżenie oni, królowie i książęta, udzielne księżne i cesarzowe, uświęceni suwereni Bizancjum i Nowogrodu, dziedziczni władcy Aleksandrii, Jerozolimy, Rzymu, Aten i Wilna stali się toczka w toczkę jak ten wyśmiewany wapniak, safandula, tępy palant, krawężnik, klawisz, dupek krajcowy i kompletny jełop! Jak ja!

Henryk patrzył na sterty papierów upchane na regałach i wypełniające nierówne stosy pudeł. Z wysiłkiem dostrzegł ledwie widoczne dziecięce twarze. Wyglądały jak spłowiałe zdjęcia naklejone na tekturę. Ale gdy odwrócił się do byłego dyrektora-likwidatora, klasa natychmiast ożyła. Jeden z uczniów, zapewne Kazek Michalik z siódmej B, naśladował udatnie dźwięk przeciągłego bąka. Końcówkę zagłuszył rechot wielbicieli jego pulmonologiczno-gastryczno-wydalniczego talentu. W nagrodę Kazek beknął krótko, lecz donośnie. Wszystkim się zdawało, że już skończył swój występ, a on, po chwili poświęconej na pośpieszne łykanie i upychanie w żołądku powietrza, poprawił efektownie swój solowy koncert. Byeeeeee, odegrane jak na saksofonie tenorowym, przeszło w finale w głębokie, dochodzące z dna trzewi hyyyyyyyyy! Na barytonie. Dziewczyny gromiły bohatera wzrokiem, sykały, dystygnowanie recytowały zgorzone: ach! Niektóre, oficjalnie zawstydzone, ogarniał niepowstrzymany chichot hormonów i ruletka fascynacji barbarzyństwem Kazka. Wśród gwaru słyhać było wysoki, natchniony pisk Marcysi i Kasi złapanych znienacka przez kolegów z tylnej ławki za drżące, ostre piersi, które wykiełkowały im parę godzin temu, podczas snu, pod flanelowymi nocnymi koszulami.

Henryka przeszedł dreszcz.

- Żal. Przemineło.

Ale pedagog usłyszał.

- Jebana demokracja - dodał.

## **Włamanie**

Włamanie

16 października

Henryk ciągnął do domu jak wszyscy bezdomni, z podświadomą zachłanną wiarą, że czeka na niego coś innego niż znajoma bezdomność. Słońce pochyliło się. Wróble mościły się w kępkach śmieci upchniętych w szparach za rynnami, osy wracały do papierowych lekkich gniazd. Mimo połowy października ogródki huczały jak cygański obóz w lipcu. Było ciepło, ale kawiarnie wyłożyły koce i część gości okrywała nogi lub plecy. Tysiące fal radiowych, korporacyjnych lin, partyjnych pętli, rur z gazem, wodą i ściekami, arterie światłowodów, zawile paragrafy przepisów porządkowych, drogowych i budowlanych, śpiew i zdrada sakramentów, jad intryg i testamentów, ujawnione życie rzeczy i pycha absurdu lepiły i dzieliły ludzi. A oni miotali się sennie w splątanej sieci kieliszków, szklanek, sztuców, talerzy, niedojedzonych sałatek, steków, grillowanych łososi, szarlotek i lodów, jakby to były gwiazdy Atlantydy. Kosmiczna siła miasta wikłała ich i wiązała, pocieszała i potęgowała w nich niespokojne pragnienia, rozpaliała zdechłą wyobraźnię, podsycala zawistną chciwość, drażniła mistyczną miłość, zabijała pamięć i koła samoprzylepną przyszłość.

Klucz nie wchodził do zamka. Drzwi ustąpiły same. Nie były zamknięte nawet na klamkę.

- Jest tam kto? Haloo? - krzyknął niepewnie.

Zdjęty strachem usiadł w swoim pokoju, ale przypomniał sobie o reszcie mieszkania. W pokoju ojca kiczowata akwarela leżała na podłodze, a ze ściany zionęła dziura otwartego sejfu. Wystukał numer de Vernona.

- Włamanie? Nie wierzę, po co? Trzyma pan coś wartościowego?

- Nie, panie mecenasie, nic takiego tu nie ma. Jest za to otwarty sejf. Mam nowy telewizor i dość drogi laptop. Ale tego nie ruszyli. W dodatku ja nic nie wiedziałem o sejfie. Czy coś w nim było? Wie pan coś? Nie jest rozpruty, ktoś musiał go zwyczajnie otworzyć. Drzwi wejściowe też nie są zniszczone. Jeden z zamków zapchany, ale to chyba nie wynik włamania.

- Może pan otworzył ten sejf i zapomniał o tym?

- Ja? Dlaczego pan tak... Nie mogłem otworzyć czegoś, o czym nie wiedziałem, że istnieje.

- Ach, nie wiedział pan. Muszę się zastanowić. Wydaje mi się, że panu mówiłem, zaraz po przyjeździe. Przecież w pęku kluczy, które pan otrzymał, jest klucz do sejfu, prawda? Niech pan sprawdzi. Taki z żółtym uchwytem.

- OK, dziękuję, zadzwonię jeszcze trochę później - Henryk przerwał rozmowę. De Vernon nie był sklerotykiem, kłamał. Otwarcie i spokojnie. Klucz z żółtym uchwytem jest w

pęku, ale przecież sejf chroni jeszcze szyfr. Przejechał dłonią po pustym dnie i wyczuł leżący dyskretnie kartonik. Zaczepił paznokciem. Trzymał w ręku własne zdjęcie, zrobione mniej więcej dwa lata temu w Kanadzie.

## Telefon od Barbary

Telefon od Barbary

17 października

Telefon zadzwonił wcześniej. Zbyt wcześniej. Popatrzył na ekran komórki. Wyświetlił się numer niebieskorudej Penelopy. O siódmej rano?

- Henryk... wiesz...

Nie było dalszego ciągu. Słyszał trzaski, szmery i przerywany sygnał.

Rzucił ze złością telefonem. Bez chęci zniszczenia. Kontrolował na ogół wybuchy niekontrolowanych emocji. Aparat upadł na łóżko. Patrzył na ślepnący ekran. Klawiatura blokowała się po dziesięciu sekundach. Chwycił go i nacisnął szybko zieloną słuchawkę. Odebrała natychmiast.

- Dobrze - powiedział - dobrze, że zadzwoniłaś.

- To już któryś raz. Dzwonię do ciebie trzeci czy czwarty raz. Tak nie wypada robić. Zwłaszcza w przypadku damy.

- Możesz przyjechać? - zapytał. - To znaczy, chciałem zapytać, czy nie znalazłaby pani wolnej chwili na złożenie krótkiej bilateralnej wizyty w apartamencie na ulicy Chmielnej. Byłbym ze wszech miar ukontentowany.

Po czterdziestu minutach stanęła w drzwiach. Domyślała się, że to jeden z trudnych momentów, które wydają się ważne, choć w końcu o niczym nie rozstrzygają i rozplývają się szybko w niepamięci. Wyglądała bardzo dobrze. Lekki makijaż, odrobina tuszu na rzęsach. Obcisła liliowa sukienka, krótki sznur drobnych pereł i żakiet, kremowy w drobny, ledwie widoczny wzorek. Musiała iść szybko po schodach, bo była trochę zdyszana. Otworzył drzwi i cofnął się bez słowa, by ją przepuścić. Barbara na chwilę zastygła, jakby zastanawiała się, jak powinno przebiegać to spotkanie, jak je najlepiej rozpocząć. Uśmiechnęła się przelotnie, szukając miejsca, gdzie może odłożyć torebkę. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła do ramienia. Była dużo niższa. Włosy łaskotały go w brodę i usta. Wachlarz sztucznych i naturalnych zapachów rozpoczął tajną operację. Cienka linia jej ud, brzucha i piersi obrysowała dyskretnie jego ciało.

- Henryku, Henryku.

W głosie było oddanie? Z dodatkiem pretensji? Lęku, że to złudzenie? Determinacji?



Satysfakcji ze spodziewanego zwycięstwa? Zawarcia układu o nieagresji z tajnym, niebezpiecznym dla obu stron protokołem?

- Chodź, mam trochę nowych płyt - wziął ją za rękę i umieścił w fotelu. - Zaczniemy od najświeższego przeboju Piotra Szczepanika.

Nigdy więcej nie patrz na mnie takim wzrokiem

Nigdy więcej nie mów do mnie, że nie kochasz

Nigdy więcej nie zatruwaj słów goryczą

Nigdy więcej mnie już nie karz martwą ciszą

Słuchali do późna Szczepanika, Niemena Mów do mnie jeszcze, Jednego serca, zespołu Breakout, jedli sery, głównie typu camembert i brie, przejrzałe i śmierdzące jak diabli, pili barolo wyprodukowane przez rodzinę Pio Cesare. Barbara została na noc. Rano spała twardo, spokojnie, lekko świszcząc przez nos. Leżał obok i długo patrzył w jej zamknięte oczy. Potem wstał, napisał na kartce, by zadzwoniła. Obok położył zapasowe klucze do mieszkania.

## **Rozmowa z ojcem**

Rozmowa z ojcem koniec lat sześćdziesiątych XX wieku

Henryk był zaniepokojony, wchodząc do pokoju ojca. Czuł się nieznośnie, jak kilkuletni smarkacz. Zaczęło go kręcić w brzuchu, jakby nawiedzał go jeden ze znanych, solidnych kaców żołądkowych. Na widok syna Józef Harsynowicz podniósł się szybko zza biurka i przywitał bardziej wylewnie niż zazwyczaj. Henryka krępowała ostentacyjna czułość. Pamiętał wprawdzie, zdarzające się od czasu do czasu, niespodziewane wybuchy uczuć oschłego na ogół ojca, ale to go nie uspokoiło. W końcu go utrzymywał i mógł zgłosić jakąś listę postulatów. Myśli Henryka rozbiegły się, serce ruszyło szybciej, nie przejmując się, czy reszta organizmu za nim nadąży. Na stole stała butelka pliski, rumuńskiego koniaku, nie do dostania w zwykłych monopolowych. Ten widok zniszczył w nim resztki leniwego dystansu.

Józef Harsynowicz był po czterdziestce. Anemiczna siwizna, widoczna niewyraźnie między ciemnymi, sprężystymi włosami, dodawała intrygującego uroku jego wyrazistej, pozbawionej zmarszczek twarzy. Na mocnych, męskich szczękach jeżył się granatowy, twardy cień zarostu. Świadomość, że jest przystojny, dawała mu rozluźniające poczucie przewagi, szybko wyczuwane przez rozmówców, zwłaszcza kobiety z większym życiowym doświadczeniem. Oczy wchodziły w ostry konflikt z resztą twarzy, zawsze pozostawały obce. Nawet gdy rozluźniony, będąc na lekkim rauszu, niemiłosiernie żartował, oczy przebywały w odrębnym świecie. Dwudziestojednoletni Henryk, studiujący od dwóch lat w Krakowie, miał

nadzieję, że skutecznie rozluźnił kontakty z rodzicami, to znaczy nauczył się ukrywać niezdolność do niezależności od ojca podszytą niszczącymi kompleksami.

W obecności rodziców Henrykowi ciągle wystawał spod pachy podniszczony miś Michałek, twarz miał umorusaną powidłami i matka polecała mu poślinić chusteczkę do nosa, by następnie mocnymi, szybkimi pociągnięciami wypucować mu buzię, chroniąc w ten sposób oboje przed uszczypliwymi uwagami ojca.

Marzenia o przyszłości, w przypadku Henryka, sprowadzały się niezmiennie do zrywania z samym sobą, mimo że nadal nie odkrył, kim jest. Nie przeszkadzało mu to pokrętnie nienawidzić dziecka, którym był zbyt długo.

- Napijesz się? Jesteś już dorosły, możemy gołnąć sobie po maluchu.

Ojciec nalał koniaku i podniósł swój kieliszek. Henryk dostrzegł, że wygląda inaczej. Maska znudzonego urzędnika i apodyktycznego ojca była obłuzowana i przekrzywiona. Wystawał zza niej zamyślony mężczyzna, wkurzony stawianym mu przez matkę oporem, bezhołowiec, brakiem logiki. Gdy mówił o oporze, padało zazwyczaj historyczne słowo „sabotaż”, wymawiane z wściekłością.

Był zdenerwowany? Uśmiechał się niewyraźnie, jakby się jeszcze wahał, jak przeprowadzić rozmowę z synem. Tak odsłoniętego ojca widział po raz pierwszy.

Tamara postawiła na stoliku smakowicie wyglądające kanapki.

- Pogadajcie sobie, chłopcy, pogadajcie, ja wam nie będę przeszkadzała.

Przesunęła dłoń po włosach syna. Pieszczot matki, rzadkich już co prawda, od dawna nie akceptował, ale tym razem ten zdawkowy gest, zamiast go oburzyć, stłumił łopot serca i pozwolił opanować rozgardiasz w głowie. Ojciec wydawał się krążyć nad pokojem, nad Mazowszem, nad Warszawą zanurzoną wraz z nimi w zakutaną w łąchmany noc. Chwytał przymrozek. Za oknem, w wąskiej warstwie światła, pojawiały się i znikwały pojedyncze, liche płatki śniegu.

Kiedy po latach myślał o tej rozmowie, za każdym razem wygrzebywał nowe szczegóły. Nowe interpretacje unieważniały poprzednie. Ostatnia, obowiązująca od lat, mówiła, że zdenerwowanie ojca miało w nim uśpić czujność. Być taktyczną przynętą, na którą wytrawny gracz łowił zaufanie i przychylność dla swoich planów.

- Wiesz, Henryku - z namysłem zaczął ojciec, po zadaniu kilku nic nieznaczących pytań o Kraków i studia, bo o Moskwę nigdy nie pytał - muszę ci coś wyznać. To chyba ważne. Dla mnie, rzecz jasna. Ale mam nadzieję, że może będzie miało znaczenie również dla ciebie.

Zaciągnął się głęboko.

- Więc ja... ja nie wierzę w cały ten ustrój. - Ojciec nie patrzył na Henryka, obserwował zatopione w plisce kłosa światła.

- Ale z góry zaznaczam, chcę rozmawiać o nas, nie o polityce, ideologii i takich tam. Nie sądzę, by było warto. Nie chcę gadać o czymkolwiek poza naszą rodziną. Poza tobą, matką i mną. A właściwie tylko tobą. Ja się nie liczę, ja swoje przeżyłem i nic złego, chciałem powiedzieć nic gorszego, już mnie nie spotka. To po prostu niemożliwe. Trudno to sobie wyobrazić.

Ojciec dolewał dyskretnie. Czy w miarę wypitego alkoholu rozkręcał się, nabierał siły i dystansu, wracał do normalnej formy, czy to jedna ze starych wersji? Mięśnie twarzy Józefa rozluźniały się, głos wypełniał mocnymi kolorami, krągłe gesty stawały się pewniejsze, pełniej kontrolowane. Uwaga Henryka, mimo starań, słabła. Próbował skupić się na jakimś fragmencie, ale gubił wątek i ośnowę.

- Tato, musisz tyle palić? - przerwał nagle. Chciał zaznaczyć swoją czujność, podkreślić, że ma swoje plany, niezależne życie i nie pozwoli niczego arbitralnie zmieniać. Jednak jego zdolność do obrony wiodła.

Wbrew zapowiedzi ojciec zaczął od polityki.

- Nie mamy szczęścia, synu. Do początku XVII wieku było przy nas, a później, szkoda gadać. Inni rośli naszym kosztem. A my? Chudopachołki między magnatami i bagnietami? Żyjemy wciśnięci między dwa walce, które osobno, przeciw sobie lub w razie potrzeby razem, zgniatały nas lub zgmiotą do końca, gdy tylko podniesiemy głowę ponad asfalt. Albo gdy najdzie je chętką.

Dalej ojciec też nie powiedział nic ciekawego. Że naród przetrzymał gorsze opresje, kiedy okupanci bili za mówienie po polsku albo zabijali za to, że jest się Polakiem, że Ruski może dzikszy, ale w końcu Słowianin, no i burdel u niego niebotyczny, więc szanse przeżycia w szczelinach systemu większe niż u Niemca.

- U Niemca nie ma przebaczenia. U Ruskich za skrzynkę wódki carycę możesz przelecieć. A, jak trzeba, życie wykupisz. Jeszcze ją musisz z nimi wypić, bo despektu narobisz, urazisz zakonserwowany w samogonie wielkoruski honor. Dotrzymać im kroku to rzecz niełatwa. Naród musi przetrwać. A naród to kto? Naród to my. To ty i twoje dzieci.

- Przecież nie mam dzieci - wtrącił niechętnie.

- Henryś - nie mówił tak do syna od lat - ja wiem, że przetrwamy, ale trzeba się jeszcze trochę postarać. Przeżyliśmy potop szwedzki, przeżyjemy i sowiecki - uśmiechnął się kwaśno i obcy, sztuczny grymas wykręcił mu twarz. - Musimy jednak być mądrzy przed szkodą. Ale musimy umieć rozwiązywać problemy jednostkowe. Umieć chronić jednostkę.

Taką jak ty.

Henryk od przeszło trzydziestu lat zastanawiał się, jak do tego doszło. Dlaczego zaplątał się w marny monolog ojca. Dlaczego w końcu, milcząco, przystał na jego propozycje. Czy z powodu dziecinnoniecierplivej chęci pozbycia się głędzącego ojca i odzyskania swobody na resztę wieczoru zstąpił do piekiel? Argumenty geopolityczne raczej nie odegrały specjalnej roli. Nie interesowała go historia. Polityka jeszcze mniej. Zakładał, że mają niewiele wspólnego z codziennym życiem i prywatną wolnością. Polska była oczywistym tłem i hasłem reklamowym. Nie była oczywiście żadnym Chrystusem narodów. Rycerzem wojującym za naszą i waszą i tak dalej. Jej istnienie było oczywiste, choć stan zagmatwany, pełen trudnych do wyrażenia zapętleń i niemożności. Czasami widział majaczące granice, do których normalni ludzie, na wszelki wypadek, nawet się nie zbliżali. Była partia, socjalizm, „Trybuna Ludu”, punkty na studia za pochodzenie robotniczochłopskie, stałe przejściowe trudności w dostawach mięsa, tryumfalne artykuły w grudniowych gazetach, że statki z bananami i pomarańczami zbliżają się do ojczystych portów i na sto procent dopłyną przed świętami. Ludzie żyli narzekaniem. Narzekali, żenili się, wyjeżdżali do innego miasta albo na budowę eksportową, zostawali profesorami, badylarzami, milicjantami i robotnikami i narzekali. Czy coś w tej obezwładniającej sytuacji zależało od studenta drugiego roku polonistyki? Tak toczył się świątek od końca wojny, a wojna ginęła w mrokach podręczników szkolnych i nie należała do żywej rzeczywistości. Henryk nigdy nie pomyślał, że otarł się o nią, że był jej synem trzymanym na niewidzialnej uwięzi. Nie dostrzegał logicznego związku między swoim życiem i jakimkolwiek fragmentem niejasnych losów innych ludzi. Było, co było. Nieubłagane i nieodwołalne. Tramwaje, ulice, telewizja, radio i książki, przemówienia i kolejki, meble, słowa i samochody istniały i inne trudno było sobie wyobrazić. Rzeczywistość układała się czasem w groteskowe wzory, nawet śmieszyła, ale nie można jej było lekceważyć. Koniec końców miała w sobie niewyczuwalnie przewidywalną grozę. Samoczynny hamulec strachu. No i miała za sobą potężną siłę zmiennego istnienia. Henryk dysponował nieograniczonym brakiem złudzeń, że można ułożyć swoje sprawy na własnych warunkach. Żarłoczna rzeczywistość zaborczo wchłaniała czas, połykała łakomie godziny pozornie należące do Henryka jak niedostępną szynkę Krakus. I była przygotowana do pożarcia, do ostatniej, najmarniejszej sekundy, także tego czasu, który nadchodził. Była gotowa do strawienia każdej oczekującej w głowie Henryka myśli i każdego marzenia. Zżerała nawet samą siebie, zostawiając podróbki coraz niższej jakości. Żywiła się wszystkim bez grymaszenia, nawet odpadkami narzekania.

Ojciec, rozluźniony, rozparty w fotelu, kontynuował.

- Świat jest zły. Do cna. Musimy próbować uratować nas samych. To egoizm? Tak. I nie ma się czego wstydzić. Musimy zadbać o lepszy los dla naszych dzieci. Przez część - do całości. Nie ma szczęśliwych narodów składających się z nieszczęśliwych jednostek. Może to trochę... staroświeckie, ale tak myślałem, zanim się urodziłem. Jeśli nie mam wpływu na to, by świat był odrobinę lepszy, to przynajmniej postaram się o lepszy los dla mojego dziecka na tym kiepskim świecie. Za taką szansę gotów byłem wiele dać. - Ojciec po raz pierwszy tego wieczoru popatrzył mu w oczy.

Henryk drgnął.

- W co ty wierzysz, tato? Czy wierzysz w coś naprawdę, do końca, ze wszystkich sił?

Pytanie było odpowiedzią na spojrzenie ojca. Zadał je obojętnym głosem, jakby nie interesowała go odpowiedź. Jakby wcale nie chciał zadać tego pytania, tylko powtórzył je na czyjąś usilną prośbę.

- Musimy być przebiegli - ciągnął ojciec. Zakładał, że syn powinien wiedzieć, że takich pytań się nie zadaje. - Musimy swoje myśleć i pozostać sobą. Pozostać sobą - wydaje się, że to takie proste, nie wymaga ani wysiłku, ani specjalnej odwagi. Ale przecież nie chodzi o to, że mamy po prostu żyć i czekać. Lub jeszcze gorzej, żyć, nie czekając na nic. Nie, musimy sprostać wyzwaniom. I również musimy, niestety, oszukiwać tych, którzy robią nam na przekór. Mówię niestety, bo oszukiwać zawsze jest niehonorowo. Ale nie ma wyjścia. Ruskich, synu, musimy wykiwać. Cóż, musimy udawać, że nas pokonali, że pogodziliśmy się z wyrokami historii. Że będziemy robić z nimi niedźwiedzia na dworcach, akademiach i poligonach po wsze czasy. Cóż, powinniśmy wchodzić z nimi we współpracę, ale starać się ją kontrolować z naszej strony. Osobistej, rodzinnej. No, może też - popatrzył nad Henrykiem zmaconym wzrokiem - hm... narodowej.

Dlaczego Henryk uwierzył i połknął haczyk? Powodem było młodzieńcze przekonanie, że to tylko gadka szmatka staruszka, którego przemyślenia mają się nijak do życia takich jak on młodych ludzi?

Henryk nie przemógł się, nie dyskutował także z obawy, że się ośmieszy (ojciec potrafił kąśliwie kpić). Może powstrzymał go wstyd przed przyznaniem się do braku własnego, przemyślanego planu? Ogarniało go zniechęcenie na samą myśl, że musiałby wziąć pod uwagę, a więc zrozumieć racje innych ludzi, którzy niewiele go obchodzili, a tym bardziej nie obchodziło go przebrzmiałe życie umarłych pokoleń. Instynkt podpowiadał mu, żeby nie wikłać się w dyskusję z ojcem. Dlaczego on mówił o Polsce, o narodzie? Chciało mu się spać. Piłsudski patrzył na niego ze zdjęcia w podręczniku, ale Henryk nie rozumiał związku między Legionami, Pierwszą Brygadą, 11 listopada, wszechobecnym

kombinatorstwem, kierowniczą rolą partii i brakiem mięsa w sklepach. Ani Dmowski, ani Piłsudski nie wiedzieli, jak poprawić zaopatrzenie i zlikwidować szarzyznę.

- Do tej chwili nie opowiedziałem ci wszystkiego o sobie, o rodzinie. Wiesz, nie chciałem, by moja przeszłość była dla ciebie nawet najmniejszym obciążeniem. Masz już tyle lat, że powinieneś wiedzieć, kim jest twój ojciec, jaka historia stoi za tobą i tworzy cię, czy tego chcesz, czy nie. Bo tak to jakoś z ludźmi bywa, że to, co upchnięte na dno szuflady, wylezie w najmniej oczekiwanym momencie. Da o sobie znać. Uszczęśliwi, ocali, zaboli lub da w pysk. I może zabić. Wiesz tylko tyle, że moi rodzice nie żyją. Byłem smarkaczem, stryj Staś jeszcze większym, gdy straciliśmy dom. On został u ciotki Marii, ja poszedłem do lasu. Dzisiaj nie będzie szczegółów, zostawmy to na inną okazję. Dzisiaj tylko z grubsza. Po przejściu frontu udawało się naszemu oddziałowi unikać Sowietów. Nie poszliśmy na ujawnienie, współpracę. Dowódca był z przedwojennej Dwójki i nie wierzył im ani trochę. Sądził, że nie ma wyboru. Dekowaliśmy się po lasach jak wilki, a raczej szczury. Złapali mnie jeszcze przed końcem wojny. Zajęty byłem już tylko zwalczaniem wszy i bohaterską walką o zdobycie czegokolwiek do jedzenia. Nic nie wiedziałem, poza tym, co mi mój tępy kapitan nabrzeszył[3]. Kompletnie nie rozumiałem, w jakiej sytuacji znalazła się Polska. Wierzyłem w londyńskie brednie i za fantasmagorie tego dwójkarza o mało nie oddałem życia. Ale przeżyłem. Łagier, lasy, praca ponad siły przy wyrębie, komary, wszy, głód, sraczka, wrzody. Jednym słowem Rosja. Wyjątkowe miejsce, gdzie tak wolno dyszyt czelowiek[4]. Ale miałem szczęście, nie pojechałem do sowieckiego zoo oglądać białych niedźwiedzi. No i podwieźli mnie jeszcze w grudniu czterdziestego piątego wagonem towarowym na granicę. Jak się rozejrzałem, zrozumiałem. Pieprzyć Londyn, białego konia, trzecią wojnę i czwarty rozbiór. Przeżyć. Nie dać się stłamsić. Nie dać wyrwać sobie duszy, ale przede wszystkim przeżyć. Choć o duszy wtedy nie pomyślałem, duszę dodałem dzisiaj. Kombinowałem tak. Jeśli mam być kolaborantem, żeby przetrwać, to będę kolaborantem. Aż do chwili, kiedy będę silniejszy. Kiedy będę na tyle silny, że będę mógł uderzyć. Oddać albo zaatakować.

Ostatnie zdania powiedział trochę ciszej, rzucając krótkie spojrzenie na drzwi. Były zamknięte, dochodził zza nich stłumiony głos telewizora.

- Jesteś, chłopie, z takiej rodziny, że musisz żyć za podwójną gardą. Nie masz chyba pretensji, że nie wybrałem cierpiętniczej wersji stryja Stasia. Stryj był wierny czemuś, co już dawno nie istniało, i dostał za swoje. Ryzykujemy, bo tacy jesteśmy. Wyrok, bez procesu, mamy we krwi. Dlatego musimy wkładać maski. Nieustająco urządzać wenecki karnawał.

Rozmowa miała miejsce w niedzielę. W poniedziałek w Krakowie Henryk chciał zadzwonić do ojca, odwołać swoją zgodę na spotkanie z jego znajomym z Interpressu i

podjęcie z nim współpracy. Dzień miał niemiłosiernie nabity zajęciami, ściagał go bezlitosny kac utrzęsiony do bólu w dusznym pociągu. Jego głowa była jak bęben w rękach drugoligowego kibica. Henryk niewiele pamiętał poza jednym: zadzwoni kolega ojca i wszystko wyjaśni. Tak miał się rozpocząć chytry ojcowski plan przetrwania prywatnego, rodzinnego i narodowego.

## **Kariera, Interpress**

Kariera, Interpress koniec lat sześćdziesiątych XX wieku

Władysław Krywak, kolega ojca, zadzwonił następnego dnia rano, koło jedenastej. Spotkali się w Mozaice zaraz po zajęciach. Krywak, dobrze ubrany, włoska marynarka w jodełkę z mechatej wełny, wranglery, musiały kosztować niewyobrażalną kwotę równą paru pensjom, welurowe półbuty z Chełmka, odrzut z eksportu, bardzo trudne do dostania. Palił philip morrisky, co już kompletnie dobiło Henryka.

Gość jest ustawiony, pomyślał, ile może mieć lat? Czterdzieści? Krywak pracował w Interpressie i miał kumplowski styl bycia. Równy facet, luźniacha, przyjaciel każdego z osobna i prawie całej ludzkości. Przystrzyżone na jeża włosy i modne okulary zdobiły jego opaloną, pucułowatą twarz, trudną do odróżnienia w tłumie. Jego oczy kręciły się wokół głowy jak peryskop. Krywak nie miał zęza, a jednak Henrykowi wydawało się, że lewe i prawe oko lustruje otoczenie niezależnie od siebie. Gdy jedno wybiega w przód, drugie się cofa. Jedno obserwuje rozmówcę, drugie spogląda kontrolnie przez okno. Nigdy nie zamykają się oba naraz, zawsze jedno zostaje na warcie. Dziennikarz zadał mu kilka pytań kwestionariuszowych, patrząc na niego raz lewym, raz prawym okiem, strzygąc uszami w stronę kotary zasłaniającej drzwi na zaplecze. Raczej nie chodziło mu o informacje, te były mu najwyraźniej znane. Obserwował Henryka. Analizował i oceniał mowę ciała, oddech, sposób mówienia, mimikę.

Zdenerwowany Henryk przełykał ślinę, poprawiał włosy, szukał miejsca dla rąk. Wkładał je do kieszeni, opierał o uda, splatał na piersiach, skrobał się po głowie. Krywak zlitował się.

- Widzę, że się pan śpieszy - rzucił wyrozumiale, z lekkim rozczarowaniem.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki marmurkowego, zielonego pelikana i zapisał coś na karteczce.

- Bardziej konkretnie pogadamy w piątek, koło szesnastej. Jesteś już wolny o tej porze? To jest adres, będzie bardziej kameralnie.

- Jak się czujesz w tym kraju?

Henryk podniósł wzrok na Krywaka. Siedzieli w obszernym, pustawym pokoju. Z lewej meblościanka, między nimi niski jamnik, fotele niewygodne, twarde, z drewnianymi podłokietnikami.

Krywak, nie czekając na odpowiedź, ciągnął:

- Wiesz, jak dla mnie zbyt jednolity. Sami Polacy, no i, poza paroma inteligentami, sami katolicy. Nuda. Brak zaczynu myślenia, intelektualnego fermentu. No i tradycyjny aż do bólu, w każdym razie za mało nowoczesny. Wczorajszy. No tak. Oddech trudno czasem złapać. Procesja za procesją. Boże to, Boże tamto. Biją w dzwony i porykują.

Krywak odchylił głowę do tyłu i patrzył przez chwilę na sufit wyjątkowo dwojgiem oczu naraz. Choć może to było złudzenie? Sufit pokrywała skomplikowana mapa pęknięć. Przedwojenna willa była solidna, ale dawno nieremontowana. Skrzydło okna trzasnęło w ramę. Henryk otrząsnął się. Zbierało się na burzę. Chociaż może to zwykły przeciąg.

- Trzeba mieć siłę, żeby być innym, być sobą - rzucił Krywak przez ramię, zamykając okno. Szarpał się chwilę, nie mogąc domknąć spaczonego skrzydła. Zaklął. - Na przykład być reprezentantem postępu, forpocztą tego, co przyjdzie jutro. To jest sztuka. Potrzeba odwagi, by się odróżnić, sprzeciwić, znieść atak drobnomieszczan zakochanych w zgniłej, martwej przeszłości. Nieuczciwych, głupich, ale milcząco popieranych przez tabuny oportunistów i tchórzy.

Krywak znowu się zamyślił. Drażniący dym z zapalonego philip morrissa rozpełzł się, przeszukując pokój.

- Aaa, pardonsik, palisz? - wyciągnął do niego plastikową beżową paczkę papierosów z wytłoczonym fantazyjnym herbem.

Henryk nie palił, ale zapalił. Zaciągał się sumiennie, bojąc się narazić na śmieszność, w głowie mu zaszumiało. Obserwował dym i wydłużający się słupek popiołu.

- Twoja mama jest Rosjanką, tak? Miałaś kiedyś z tego powodu jakieś przykrości? Założę się, że miałaś. Swój do swego po swoje, to nasze credo. Poczuleś się nieswojo, obco? Pomyśl o tym. Przypomnij sobie.

Henryk spodziewał się rozmowy o pracy, wyjazdach, fuchach, pieniądzach. Gorączkowo zastanawiał się, co Krywak chciałby usłyszeć. Postanowił przeczekać jego pytania. Mimo to zaczął mówić. Bez żadnego planu. Skrępowanie i obcość stopniowo ustąpiły.

- W liceum, przed samą maturą, jakiś nauczyciel zachorował i siedzieliśmy w klasie. Była dyskusja, chaos jak cholera, jak to gówniarze, wszystko naraz, piłka nożna, piosenka Niebiesko-Czarnych, Wietnam, hippisi, list episkopatu do Niemców. Byłem z jakiegoś



powodu wściekły i kłóciłem się ze wszystkimi. Nie trzymałem się swoich poglądów, nie pamiętam dokładnie, chyba nie miałem żadnych.

Rzucił okiem na Krywaka, był zbyt szczery, ale pomyślał, że to się może spodobać.

- Właściwie było mi wszystko jedno - kontynuował. - Chciałem być inny, a więc musiałem zajmować stanowisko przeciw kolegom.

- Ze względu na dziewczyny?

- Może. Chyba tak. Oni mieli obiegowe poglądy narzekaczy, więc ja zagrałem pozytywnego reżimowca i dałem słuszny odpór.

- Broniełeś linii partii? - zapytał cicho Krywak.

- Trochę tak. Ale to się zemściło. Najładniejsza dziewczyna w klasie stała z boku, słuchała bez słowa, ale wreszcie się wtrąciła: Ty jesteś komunistą czy Żydem, że tak mówisz? Chyba nie chciała, żebym odpowiadał. Nie wiem, co miała na myśli. Była przewodniczącą ZMSu w klasie i chyba także była we władzach szkolnych. Wszyscy w ciszy rozeszli się do ławek. W kącie ktoś się roześmiał, ale szybko umilkł. Zostałem sam. Z moimi popisami i z tym pytaniem. Poszedłem na swoje miejsce, nie patrzyłem na nikogo, ale czułem na sobie parzące spojrzenia. Choć może nikt na mnie nie patrzył. Słyszałem to pytanie. Czułem je w ustach, było obrzydliwe jak zgniłe żarcie.

- No i? - Krywak udawał znudzenie.

- Nic.

- Jak to nic? To było chyba coś ważnego. Komentowano to jakoś w klasie? Chociaż to nieważne. Co czułeś wtedy? Zostałeś przecież napiętnowany. Jak to odebrałeś? Zrozumiałeś, co o tobie myślą. Czułeś, że jesteś inny, obcy, wróg. I nic?

- To się nie powtórzyło.

- Bo się maskowali, a ciebie omijali. Przyznaj się. Nie odczuwałeś różnicy w traktowaniu przed i po zadaniu pytania przez tę słowiańską ślicznotkę?

Krywak pożegnał się z nim serdecznie. Zbyt serdecznie. Poklepał go po ramieniu.

- Trzymajmy się, nie dajmy się - rzucił wyraźnie porozumiewawczo.

Henryk oczekiwał zleceń i pieniędzy. Chciał udowodnić ojcu, że jest sprawny, daje sobie radę. Na razie dostawał przyjazne ciepłko pogadanki uświadamiającooświatowej i pełne zrozumienia wsparcie moralne. Po co mi to, myślał zdenerwowany. Chciał zdobyć dla siebie kawałek świata, ujarzmić go. Może nie całkiem, odrobinę ujarzmić. No i żyć, odstawić się i zaszaleć. W drodze powrotnej zdobył parę butelek okocimia. Wstawił piwo do lodówki, ale nie miał siły czekać, aż się ochłodzi. Pił ciepłe, piana w szklance opadała szybko, gaz słabo się trzymał. Było gorzkie, zęby mu ścierpły, ślina zgęstniała. Pragnienie rosło. Poszedł

do łazienki, puścił wodę na kąpiel. Stał oparty o ścianę i patrzył, jak mocny strumień wody rozpryskuje się z trzaskiem o poźółkłą emalię.

\*

Następnym razem Krywak czekał uzbrojony nie tylko w papierosy. Na jamniku stała butelka brandy marki Napoleon.

- Kawy się napijesz? Bo robię dla siebie - zawołał z kuchni.

Wieczór zapowiadał się męczący. Stało się jednak odwrotnie. Krywak zaproponował Henrykowi pierwszą fuchę na umowę-zlecenie i osuszenie butelki. Życie w złotej liberii w unizonym ukłonie zapraszało na salony.

## **Liceum ogólnokształcące**

Liceum ogólnokształcące

18 października

Szum i gwar zebranych w sali ludzi.

(pier. sekr. POP) Toarzysze! Oledzy! I kolezanki! Zebrali myśmysiętutej, aby jak najbardziej powitać w naszym gronie kolega jak ko proszę o uwagę kol kole, jak kolega nazywa sie? Edward Gierek (pojedyncze brawa na sali). Nie o koledze chciałem towarzy nazywa się kolega Henryk Harszynowic. Kontynuujem yEdwardgierek na ostatnim historycznym plenum komitetucent ralneo (głos z sali) przepraam, jaki jest porządek obrad? (pier. sekr. POP) Toarzysko, jużesmy przegłosowali. Demokracja przede wszystkim. Demokracja centralistyczna centralizmu demokratycznym wcieleniem ducha socjalizmu. Tfu, nie duch, wskaźnik, w drodze wytężonej klasy robotniczej do awansu dzisiaj będziemy opinię na temat przyjęcia naszego kolegi jako kandydata w poczet naszej Polskie Zjednoczony Partii Robotnicze. Ja osobiście rekomendował bymwam torzysze i toarzyszki kandydaturę naszego młodego pokolenia. (głos z tyłu sali) Dyskusja! Należy się burzliwa konstruktywna dyskusja, odrzucamy wypaczenia, anarchię i sanacyjny analfabetyzm towarzys Edward Gierek (pier. sekr. POP) już am wspomnąłem, że kolega nazywa się Henryk (głos z tyłu) wiem, towarzyszu Skoczylas, kto to jest Edward Gierek i jak wygląda bez kapeluszu, w zeszłym tygodniu był u nas lektor z wydziału propagandy Komitetu Wojewódzkiego. Siwak, Siwek czy Siwec, Sławek chyba na imię, niewysoki i (pier. sekr. POP) dziękuję za dyskusję, będę poddawał głosowanie, kto jest (głos kobiecy, wskaźnik ukobiecenia towarzysza Skoczylasa jest nadzwyczaj wyższy niż w całej Partii). Czy to ten przystojny młody człowiek, który zasiadł po prawicy pana? Chciałam powiedzie towarzysza (głos z lewej strony), pani Reniu, usuną panią z Uczelni za te ę romanse ze studentami. I za ten ę krelykalizm i pragne

dodać, że kolega nie posiada my jako awangarda lewicy przetrzymaliśmy syjonizm, utrzymamy klerykalizm i będziemy (pier. sekr. POP) proszee, proszeeee kultura bardzo, ja zanimzamkne zebranie chciałbym udzielić, żeby powiedział nam towarzysz Henryk coś o sobie, bo my tu przecież jedną rodziną i wspólną naszą jest sprawą, byśmy rośli w siłę i dostatecznie żyli dostatniej niż ostatnio podczas gdy na pewno dzięki historycznym aspektom uchwałam XXII plenum. Dziękuję, nie widzę, nie słyszę. Wszyscy za. (głos z sali) Państ wa czy woda mineralna jest dla całości organizacji czy tylko dla prezydium? (pier. sekr. POP) proszę podpisać listę, bo będzie nieobenoś nieobecni nie mają dostępu do wczasów w Bułgarii. Torzysze zapisani na jugosłowiańskie pralki jako młode małżeństwa proszeni są o pozostanie po zebraniu z dowodem na żonę lub męża. Dziękuję. Wyklęty ludu ziemi następnym raze.

Skróty użyte w stenogramie:

1. pier. sekr. POP - pierwszy sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej Naszej Partii w danym zakładzie pracy.

2. Partia - Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, skupia awangardę kadry naukowej Almae Mater, w tym naszych najwybitniejszych profesorów.

Naturalistyczny sen, w formie stenogramu z zebrania Podstawowej Organizacji Partyjnej, podczas którego Henryka przyjmowano do partii, był zupełnie nierealistyczny. Do partii przyjęto go zaocznie, dodatkowo pominięto okres kandydacki. Na zebraniach Henryk nigdy się nie pojawił, a składki zapłacił tylko dwa czy trzy razy, na samym początku kariery organizacyjnej. Uważał generalnie całą rzecz za nieważną, właściwie niebyłą, ale również za jedną z koncesji na rzecz rzeczywistości, którą to rzeczywistość chciał, mimo obiektywnych trudności i skromnych sił, jakoś oswoić i użyć do swoich celów. Dystansował się wobec niej, nawet z niej coraz częściej żartował, ale nie mógł sobie pozwolić na udawanie, że jej nie ma.

Ze snu obudził się z bólem szyi i tępym kłębem niejasnych myśli, wrywających się bezczelnie z nieszczelnej czaszki. Dokuczały mu zawroty głowy spowodowane dyskopatią kręgow szyjnych, schorzenia popularnego wśród laryngologów, dentystów i takich jak on, lubiących czytać w łóżku. Wsypał kilogram soli do wanny i moczył kości. Sól przynosiła ulgę. Leżąc w wannie, zagłębił się w rozważaniach nad sprzecznością zawartą w fakcie szkodliwości soli wewnątrz organizmu i leczniczych zalet, gdy ją zastosować zewnątrz.

W sekretariacie liceum przywitała go miła, uśmiechnięta kobieta.

Całe życie spotykał w szkole wyłącznie niedorznięte, obłudne paniusie albo rozdrażnione babiszony, obrażone na cały świat i warczące z nienawiścią na wszystkich wokoło jak znerwicowane ratlerki.

- Wie pan, mamy suche, wysokie piwnice i dyrektor uznał, że urządzimy tam archiwum. Zamontowaliśmy tylko wentylację, dzięki czemu mamy wszystko pod ręką. Po otrzymaniu listu zaraz znalazłam pański rocznik. Proszę, niech pan wejdzie do gabinetu dyrektora. Prowadzi właśnie lekcję, więc może pan u niego spokojnie przejrzeć dokumenty. Tak będzie najwygodniej.

Usiadł przy podniszczonym stole. Sekretarka, która ładnie pachniała, położyła przed nim segregator i dwie teczki formatu A4. Jedna grubsza, wypchana papierami, druga skromna, chudziutka.

- Zostawiam pana. Ach, najmocniej przepraszam, może zrobić coś do picia. Kawę czy...

Popatrzył na nią, gdy wychodziła z gabinetu i cicho zamykała drzwi. Jej pośladki niepokojąco poruszały się w obcisłej spódnicy.

Jakiś cwaniaczek ma szczęście. Przebiegł szybko, ćwierćmyślą, co najwyżej półmyślą, najważniejsze momenty swojego udanego życia z opiekuńczonamiętą licealną sekretarką. Marzenie było niepełne, tak jak związana z nim przyjemność, bo nie znał jej imienia. Anonimowe szczęście nie istnieje. Oprócz twarzy, własnego czasu i krajobrazu w tle musi mieć imię, brzmieć w wyobraźni. Postanowił zapytać o imię, gdy będzie wychodził, i rzucić dyskretnie okiem, czy nosi obrączkę.

W gabinecie siorbał herbatę, obmacywał segregator, obracał w rękach teczkę, spoglądał w okno. Ze ściany patrzył na niego zrezygnowany, choć elegancki Henryk Sienkiewicz i szarosmutna Maria Skłodowska-Curie. Na asfaltowym boisku do koszykówki dwóch dryblasów wytrwale grało jeden na jednego. Walczyli zaciekle, bez chwili odpoczynku. Matura. Niech to szlag trafi. Kim mogłem zostać? Gdybym grał na saksofonie tenorowym jak Sonny Rollins... albo pisał jak... Rozwiązał tasiemki grubej teczki. Postanowił pójść do ubikacji. Ubikacja czysta, żadnego smrodu, stosów niedopałków. Musi obejrzyć te dokumenty dokładnie, w spokoju. Patrzył na zdjęcia. Wyglądały jak zbiorowy list gończy i symbol przekornej urody życia. Pracowicie odgrzebywał w pamięci młodostare twarze. Patrzyły na niego chciwie, z naiwną ciekawością, ale jednocześnie z zarozumiałą, bezmyślną pewnością, że na nich kończy się historia i wypełnia ostatecznie los człowieka.

Oczy uczennic i uczniów wypełniało oczekiwanie i niecierpliwe zdziwienie, że świat tak wolno otwiera przed nimi swe zagracone pokoje, sale konferencyjne, cichobieżne windy, baseny, przedziały pociągów, kabiny lotnicze i szoferki samochodów. Byli pewni, że ma im do zaoferowania lubieżne bogactwo, a nie bojaźń i drżenie. Mimo poważnego ryzyka osiemnastolatkom niezmiernie się śpieszyło. Pośpiech rósł jak pryszcz na czole i

powodował, że mimo pędu ku podniecającym wydarzeniom, wyglądali na ludzi zmęczonych, których życie zostało już przez kogoś zdobyte, przejrzone, poprawione, ocenione i pozbawione tajemnicy. Czasami przyszłość stała przed ich oczami jak atrakcyjne wczasy, które jednak mieli spędzić z nudnym opiekunem albo co gorsza z własnymi starymi.

Za oknem mecz się skończył. Chłopcy zniknęli. Został po nich na języku chciwy smak kurzu i zwielokrotnione echo stukotu piłki do koszykówki.

Wszyscy żyją? Nieudolny fotograf trochę im pokiereszował gęby. Ewa Krotowska. Zgrabna, zawsze lekko opalona. Jak osiągała eksportową opaleniznę w tamtych czasach, bez względu na porę roku? Czy solaria już wtedy działały? Grzesio Wiśniewski. Palił jak smok. W połowie lekcji zawsze wychodził puścić dymek. Nauczyciele wiedzieli o jego zwyczajach. Spieprzył na Zachód. Przez Jugosławię. Wykupił wycieczkę i przeszwarcował się do Włoch. Przesłał Sławkowi zdjęcie z Alaski. Stał tajemniczo uśmiechnięty przed niebieskim samochodem, długim jak tramwaj. Ten uśmiech dedykował wszystkim niedowiarkom i dziewczynom, które dla niego nie chciały zdjąć nawet stanika. Był nałogowym blagierem. Henryk nie wierzył, że pryśnie za granicę. Był przekonany, że skończy się na przechwałkach. Tymczasem Grzesio dotrzymał słowa. Marta Rakowska. Nie miał pojęcia, że była z żydowskiej rodziny. Zrozumiał dopiero później, gdy wyjechała. Jej ojciec był szychą w jakimś wydawnictwie czy gazecie. Zastanawiał się, co by zrobił, gdyby trafiło na niego. Co powiedziałyby rodzicom? Gdyby miało się odbyć rodzinne głosowanie, czy podniósłby rękę za wyjazdem, Wiedniem, Izraelem, Ameryką, czy za pozostaniem w Polsce? Głos oddałby za Tuwimem, Leśmianem, Brzechwą czy przeciwko ciemnookim generałom i łysym sekretarzom? Minęły dziesiątki lat, ale on nadal nie wiedział. Zresztą może lepiej być całym Żydem niż półRosjaninem. Bycie Ruskiem w Kanadzie, Australii czy RPA nie ma znaczenia. W Anglii Rosjanie to prawie stara arystokracja, w Niemczech to zaszczyt. Ale w Polsce? Patrzył, ślinił palec, przewracał szeleszczące kartki. Resztką herbaty wystygła, pokryła się tęczowym kożuchem.

Chuda teczka z ręcznym napisem „Harsynowicz Władysław” leżała na stole. Gdy sprawdzał, jakie stopnie na maturze miał klasowy kujon Jurek Baranowicz, dotarła do niego treść napisu. Imię tkwiące tuż pod nazwiskiem Harsynowicz, przyklejone głupio do ogonka „y” w nazwisku. Rzucił się na teczkę, otworzył, czując łaskotanie w czaszce i ssanie w dole brzucha. Miał przed sobą świadectwo maturalne, świadectwa z klasy ósmej, dziewiątej i dziesiątej, podanie o przyjęcie do szkoły, ankietę personalną i parę innych papierów. Wszędzie figurował, wpisany różnym charakterem pisma, Władysław Harsynowicz. Zgadzało się imię ojca. Imię matki, Anna, już nie, adres był obcy. Ze zdjęcia przyklejonego do

świadectwa ukończenia liceum patrzył na Henryka pucułowaty blondyn o okrągłych, jasnych oczach. Z jego twarzy biło zadowolenie, najwyraźniej także z tego, co miała przynieść przyszłość. Był pewien, że nie spotka go nic złego, że nic nie stanie się wbrew jego woli. Władysław Harsynowicz wyglądał, jakby powstrzymywał śmiech. Pewnie koledzy z klasy, za plecami fotografa, rozśmieszali go, robiąc kretyńskie miny. Wybuch nastąpił po przeskoczeniu migawki. W tym samym momencie reszta chłopców również ryknęła dzikim, zbyt długo powstrzymywanym śmiechem. Głośny rechot nie rozluźnił naładowanych energią młodych ciał, napiętych jak cięciwy południków. Ich dzienne i nocne zmazy, męki i rachityczne motyle wzloty nie zostały utrwalone na zdjęciu. Wychodząc od fotografa, chłopcy zaczęli się szturchać, klepać i znowu śmiać, głośno, zaraźliwie, bezwzględnie. Henryk zaśmiał się. Radośnie, razem z chłopakami. Śmiał się, nie przerywając ciszy panującej w gabinecie dyrektora.

To jest moja szkoła. To jestem ja. To znaczy, to powinienem być ja. Dlaczego ja to nie jestem ja? Dlaczego on to nie jestem ja? Podszycam się pod kogoś całe życie? Władek Harsynowicz. Ciekawe byłoby go poznać. Pamiętam, do ciężkiej cholery, pamiętam tę szkołę. Ciągle zbyt wiele pamiętam.

Popatrzył jeszcze raz na fotografię Władka. Uśmiechnął się, prawie niewidocznie, ledwie zginając kąciki ust. Właściwie uśmiech przebiegł tylko przez jego oczy. Rozległ się dzwonek i odruchowo, w pośpiechu, zaczął składać papiery, jakby chciał jak najszybciej wybiec na przerwę.

## Moskwa

Moskwa

1968

Przed samą przerwą semestralną, na początku 1968 roku, Henryk wyjechał do Moskwy. Nie było jasne, w jakim charakterze się tam udaje. Miał to być wyjazd szkoleniowy, integracyjny, wymiana uczelniana czy organizacyjna? Oprócz gwałtownego pośpiechu dziwna była również okoliczność, że wyjechał sam, pozbawiony wsparcia kolektynu i planu światopoglądowej ponadklasowo-internacjonalistycznej integracji.

Sprawy przebiegły następująco. W końcu stycznia zadzwoniła do niego sekretarka z dziekanatu, wzywając do stawienia się u dziekana natychmiast, w ciągu godziny. Henryk stawiał się z duszą na ramieniu. Po tygodniu wyładował w Moskwie. Na miejscu okazało się, że owszem, ponury działacz wydziałowego Komsomółu odebrał go z lotniska, pokazał mu uniwersytet i zaprowadził do dyrektora Instytutu Filologii Rosyjskiej, ale i on potem zniknął,

jakby trwała zwyczajowa międzysemestralna czystka. Henryk musiał sobie radzić sam. Dostał miejsce w akademiku, bloczek do stołówki, plan zajęć i miał przed sobą zagadkową perspektywę spędzenia semestru letniego na Uniwersytecie Moskiewskim. Jednocześnie wysokie struny dźwięczały w nim według partytury Obrazków z wystawy Musorgskiego. Inaczej niż zwykle. Był podniecony. W Rosji był pierwszy raz. Moskwa była zimna, wietrzna i ciemna. Uliczne lampy zapalały się od czasu do czasu. W PRL socjalizm obfitował w nieprzebrane bogactwo usterek, niedoróbek, bubli i awarii, a ich przyczyna tkwiła zazwyczaj w skrytobójczych działaniach sabotażystów i w pokutujących tu i ówdzie przeżytkach kapitalistycznego myślenia. Naród sowiecki był najwyraźniej w swoim dialektycznym jestestwie kapitalistyczny do szpiku kości i dysponował liczniejszą rzeszą ideowych sabotażystów, bo wachlarz rzeczy zepsutych, nienaprawialnych nawet w trakcie subotników, mających awarię wpisaną w zasadę niedziałania, był naprawdę imponujący. Henryk słyszał o wszechobecnym w Sowietach smrodku, ale nie bardzo wierzył jednolitym relacjom wracających ze Wschodu. Teraz przekonał się, że w Moskwie rzeczywiście kierowniczą rolę sprawował pierwszy sekretarz towarzyszc zapaszek, aczkolwiek jego przodujący bukiet i nokautująca siła nie upoważniały do zdrobnień. Zajeżdżało strukturalnie, ustrojowo, a niekiedy apokaliptycznie. Cuchnęły protony, neutrony i elektrony. Odór oplatał pomniki i reprezentacyjne prospekty, wżerał się w zdeklasowane powietrze między ludźmi, towarzyszył obradom towarzyszy i torturom, wchodził tłumnie w skład niezliczonych egzekutyw wszystkich szczebli i pozbawionych czci komitetów honorowych. Skisły oddech imperium śmierdział wewnątrz rzeczy, w tomiszczach nadpsutych dzieł zebranych, salach sądowych i psychuszkach, obracał się wariacko w oponach radiowozów i we wskazówkach zegarów odmierzających stoicko pięciolatkę za pięciolatką. Gdy biegł po drutach telefonicznych, czujni funkcjonariusze wylapywali specjalnym sprzętem nieśmierdzące słowa i natychmiast zarażali je zgnilizną ślimaczących się śledztw, przesłuchań i głuchych zsyłek. Wydawało się, że mistrzem smrodu jest strach, ale czasami jego fetor ustępował zapachowi świetlanej przyszłości. A od niej woniało tak, jak od strachu pozbawionego nawet najbardziej żalosalnej nadziei.

Przez tydzień Henryk przyzwyczajał się, sprawdzał połączenia komunikacyjne, obserwował, słuchał rozmów studentów, niemal ich podsłuchiwał. Dążył do osiągnięcia samowystarczalności. Wreszcie doszedł do zaskakującego wniosku. Będzie uczęszczał na wykłady, przesiadywał w bibliotece i chodził do teatru. Jednym słowem planował robić to, na co w Polsce nie wystarczało mu siły, dobrej woli i cierpliwości - będzie studiował. I pewnie w ten sposób by stracił cztery niepowtarzalne miesiące życia, przemknął niezauważenie przez

breżniewowską, pełną przeciągów, ciemną, zalatującą okrutnymi zapachami Moskwę. Do domu wywiózłby w mózgu komsomolsko-filologiczno-marksistowski osad, w wątrobie ciężar rosyjskiej morderczo-śpiewnej wódki, a w sercu wielobrzmiące odmiany rosyjskiego, którym raczyli go, studiujący w Moskwie język panów, przybysze z różnych stron imperium.

Pewnie nie zapadłaby mu zbyt w pamięć oślepiająca atmosfera tamtego czasu, ulotnego etapu komunizmu, który jeszcze nie został zbudowany, aczkolwiek właśnie wtedy, dosłownie o włos łysiejącego Mołotowa, prześcignął kapitalizm i, jak bańkę mydlaną, zdmuchnął fałszywy mit zbankrutowanego ustroju.

Stało się jednak inaczej. Na roku studiowała Rusłana, dziewczyna o południowych miękkich rysach. Gdy pojawiła się na wykładzie, nie tyle ją zauważył, ile poraził go prąd jej wysokiego napięcia. Była ciemna, ulepiona z fosforyzującej sadzy i gęstego miodu. Miód lubił, szczególnie gryczany, ale o smaku czerni i miłości jeszcze nic nie wiedział. Mimo to dostrzegł za zmiennymi kolorami jej skóry nieśpieszne światło tłące się jak pojedyncza latarnia na moskiewskiej ulicy, włączona przypadkowo, świecąca przez pomyłkę lub w wyniku spisku sabotażystów.

Henryk był wśród studentek dyskretnie popularny jako przybysz z Zachodu (w jego uszach brzmiało to dość egzotycznie), a także jako właściciel płyty Czerwonych Gitar. Przy piosence Ktoś, kogo nie znasz dziewczęta wiotczały w ramionach, a członek egzekutywy Komsomołu jeszcze nigdy nie dostał tak spontanicznych braw, gdy wyraził zgodę na użycie płyty podczas wieczorku integracyjnego zorganizowanego przez wydział agitpropu.

- No, muszem, tego, z naciskiem oświadczyć w imieniu, że nazwa zespołu instrumentalno-wokalnego, jakby to poedzieć, jest w posiadaniu również pewne pozytywne elementy i przyjaźń między bratnimi narodami wspólnoty socjalistycznej - mruknął głosem sugerującym doskonale rozeznanie w negatywnej zawartości nazwy i samej płyty.

Instynkt podpowiadał części studentek, że Henryk może być dobrym kandydatem na ojca ich dzieci. Nikt nie sprawdził, czy rzeczywiście dysponował lepszymi genami niż przyszły nauczyciel z Wołogdy albo korespondent „Komsomolskiej Prawdy” z Murmańska. Mimo czułych listów od potężnego świata fizjologii Rusłana nie przespała się z polskim, jak się wyraziła, młodym komunistą. Wybrała go, włożyła na skronie wieniec laurowy zwycięzcy, ale kategorycznie oświadczyła, że pragnie zachować dziewictwo.

- Gdybyś mnie przedziurawił, byłabym stracona, nie znalazłabym męża. A pewnie będę musiała wrócić do nas, do Osetii, i tam wyjść za mąż. Rozumiesz? Nie rozumiesz. Boś głupi.

Nie oponował, zaszokowany jej oświadczeniem złożonym, jeśli nie po pierwszym, to



drugim uściśnięciu dłoni. Strata była zresztą relatywnie niewielka. Po pierwsze, nie miał żadnego doświadczenia z kobietami. Cokolwiek by otrzymał od Rusłany, już byłoby zdobyciem któregoś z niebotycznych pików komunizmu w zimowym podejściu. Po drugie, oświadczenie osetyjskiej piękności oznaczało, że tylko ta jedna rzecz, dziurawienie, była kategorycznie zaprzeczona[5]. Poza tym, jak się niebawem okazało, nie tylko pozwalała się pieścić i była szczerze wzajemna, ale sprawowała światłe i energiczne kierownictwo ideologicznooperacyjne nad jego drewnianymi dłońmi i gipsowymi ustami. Wieczorami wydobywał więc górski kryształ jej księżęcej krwi z karakułowego kozuszcza i ucztował w podwójnej samotności, zjednoczony w mistyczną jedność z ciałem Azji.

Wraz z pojawieniem się Rusłany siłą rzeczy upadło postanowienie o naukowym wykorzystaniu pobytu w Moskwie. Był ukształtował świadomość z marksistowską precyzją. Przez trzy następne moskiewskie miesiące zasypiał na wykładach, bredząc, że jest osetyjskim księciem. Ona siadała tak, żeby jej nie widział i nie dekonspirował, pozerając wzrokiem. Prowadzili życie podziemne. Publicznie pozwalała mu zbliżać się na odległość trzech metrów, a i to tylko wtedy, gdy przebywali w większym towarzystwie. Dlaczego nie przeszła mu przez głowę myśl, że mógłby z nią wrócić do Polski i, by ująć problem w najbardziej skomplikowany sposób, spędzić z nią resztę życia? Ojciec w ten sposób zdobył Tamarę. Nie zauważał takich szczegółów jak muzułmańskie, sunnickie wyznanie czy obywatelstwo przypisane do Północnoosetyjskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Tak jak nie zastanawiał się, co się stanie za parę miesięcy, gdy będzie musiał opuścić Moskwę. Wszystkie kontynenty życia oblane oceanem wódki mieściły się w jednym przeskoku sekundnika. Myślenie o przyszłości, planowanie wciąż stały w długiej kolejce do jego wyobraźni. W jego słowniku hasła: decyzja, małżeństwo, rodzina, stabilizacja nie występowały nawet z ortograficznymi błędami. Słowo „kocham” szarpało go za nogawkę i tłumilo oddech, gdy zbliżał się orszak osetyjskich ognisk, ale bronił się przed nim w okopach Stalingradu, który chwilowo był Leningradem, i nadludzkim wysiłkiem udawało mu się wytrwać.

Żył odurzony wiecznym śniegiem jej śpiewu i górskimi szlakami pocałunków. Poza świadomością Henryka rozegrano finałowy mecz mistrzostw Europy w piłce nożnej, w którym Włochy zwyciężyły Jugosławię 2:0. Nie dowiedział się, że Aleksander Dubczek został pierwszym sekretarzem Komunistycznej Partii Czechosłowacji, a Mauritius uzyskał niepodległość i że odbyły się Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Grenoble. W Republice Federalnej Niemiec powstała Niemiecka Partia Komunistyczna. Trwała rewolucja kulturalna w Chinach. Zginął Jurij Gagarin. Odbyła się premiera filmu Dziecko Rosemary, zakończyła

się w Wietnamie ofensywa Tet, podczas której północni Wietnamczycy wymordowali wszystkich właścicieli białych ruczek mieszkających w cesarskim mieście Hue. Henryk nic o tym nie wiedział. Tak jak o wszystkich pozostałych wydarzeniach. Na przykład o najnowszym wcieleniu Adama Mickiewicza jako poety antysowieckiego. Nie wiedział częściowo dlatego, że „Komsomolskaja Prawda”, z powodu przejściowych braków papieru, była dość chudą gazetą i nie wszystkie informacje mieściły się na jej gościnnych łamach.

Henryk podniósł głowę znad ud Rusłany i klęcząc, patrzył na nią. Ona wyczuła spojrzenie i lekko uchyliła powieki, odrobinę, nie więcej niż na milimetr.

- To jest właściwa postawa mężczyzny wobec kobiety. Na kolanach - powiedziała niedosłyszalnie.

Henryk nie był pewny, czy powinien bronić pozycji społecznej mężczyzn i ich barbarzyńskiej dominacji, czy odwrotnie, a jeśli tak, to za pomocą jakich pieszczot.

- O tak - westchnęła. - Powinni klęczeć i całować.

Gdy doszła, wyciągnął się obok niej. Zawsze kiedy go dotykała, a nawet niedotykalnie leżeli obok siebie na leśnym wierzchołku Ziemi, cały, bez reszty, po paznokcie i włosy, znikał w jej ciekłym cieple. Z żelazną konsekwencją dwudziestolatka unicestwiał myśl, że istnieje jutro, granice, pieniądze i naukowa logika dziejów, która właśnie osiągnęła swoje zwieńczenie w miejscu i czasie, które ich przypadkowo połączyło.

- Rusłana - szepnął jej do ucha. - Rusłana.

- No co, słowiański uwodzicielu? Pogromco kaukaskich dziewcząt.

- Nic. Śpiewam pieśń o słodkiej Rusłanie. O księżniczce Rusłanie i jej wiernym polskim giermku.

Rusłana tego dnia nie miała czasu na przekomarzenie i słodkie szepty. Może zmroziło ją słowo „wierny”. Nad głowami kołował koniec maja i pobyt Henryka zbliżał się do końca. Niechętnie zdjął dłoń z jej szparki przykrytej czarnymi karakułami.

Rusłana została wezwana do szefa Komsomołu na Wydziale Filologicznym. Nie wiedziała w jakiej sprawie. Wypełniał ją bezbrzeżnie samotny niepokój.

## Warszawa

Warszawa lata siedemdziesiąte XX wieku

Po skończeniu studiów Henryk przeniósł się do Warszawy. Powrót spowodował, że oprócz ekscytacji oblaźło go robactwo żalu i niepokoju. Niepokój najpierw był pusty, bez adresu i zapachu, potem coraz wyraźniej zmieszany z ryzykiem częstszego widywania się z rodzicami. Dopadła go masochistyczna myśl o zamieszkaniu ponownie na Chmielnej. Wpadł

we wnyki przekonania, że pieniądze z łagodną skutecznością rozwiązują najtrudniejsze problemy. Wsiąkł na dobre w Interpress i dystans do rodziców rósł wraz z wysokością pensji. Redaktor naczelny Maciej Hoffman dał mu do zrozumienia, że przydział na mieszkanie jest całkowicie realny, aczkolwiek towarzysz rozumie, nieoczywisty i jak najbardziej uwarunkowany. Talon na samochód stał pośród sutych dekoracji, w tle rozmowy, zaś redaktor Krywak, wypuszczając dym nosem, stwierdził:

- Pozostanie w galicyjskiej dziurze to zgoda na dryfowanie z wiślanymi ściekami. Owszem, można się tam urządzić, ale trzeba by w tym celu chajtnąć się z córką dyrektora Huty Lenina, biskupa lub rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Gierek, tworząc czterdzieści dziewięć województw, obciął nożem do papieru jaja wojewódzkim sekretarzom i teraz liczy się tylko Warszawa. Reszta może nam skoczyć.

Henryk wezwany został do redaktora naczelnego na początku października 1978 roku. Naczelny przyjął go w obecności obcego, znacznie młodszego, eleganckiego mężczyzny. Nie przedstawił go, burknął coś o koledze z dawnej redakcji.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, żeby kolega został? Chciałbym z nim potem jeszcze trochę popracować. Sprawę mamy zresztą krótką i prostą jak konstrukcja cepa.

Henryk usiadł przy stole konferencyjnym. Nieznajomy został w niewygodnym fotelu, przy małym stoliku i sączył ze wstrętem kryniczankę.

- Jest pan z Krakowa, panie Henryku, tak? Z Krakowem mamy aaa... problem mamy - naczelny podrapał się w czoło i rzucił krótkie spojrzenie na swojego gościa, który czytał w skupieniu napisy na butelce.

Hoffman karierę zrobił w sześćdziesiątym ósmym. Mówiono, że się przechrcił. Wybaczone mu żydowskie pochodzenie w zamian za skuteczną pomoc w osaczeniu i wykańczaniu ludzi, którym wynajdował prawdziwe lub urojone żydowskie parantele. Inni mówili, że uratowały go niewidoczne pagony Wojskowej Służby Wewnętrznej, w której podwiązany był do mocnego człowieka - zastępcy szefa - Czesława K., odznaczonego w tymże roku przez Moskwę Orderem Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Po marcu nie tylko ocalał, ale dostał w nagrodę redakcję ogólnopolskiego pisma kulturalnego. Wieczorami, przy kieliszku, liberalizował i poluzowywał, w godzinach porannych nieubłagane geopolityczne realia zmuszały go do rozsądnych kompromisów. W ramach jednego z nich wskoczył na fotel szefa Interpressu. Po upadku patriotycznych rządów Gomułki nadal zaliczał się do swoich i nie ruszono go z odcinka obsługi funkcjonariuszy agresywnej, zagranicznej propagandy.

- Taa... - Redaktor ważył na języku sprawę Krakowa. - Kraków, leży nad Wisłą, to dawna stolica Polski... - Znowu rzucił okiem w stronę kolegi. Kolega czytał zawzięcie.

Henryk poczuł, że coś wisi w powietrzu. Naczelnny, typ wojskowego totumfackiego, znany był z debat wypełnionych niuansami w rodzaju: zrobicie to na wczoraj. Polecenia wydawał za pomocą słów prostych. Im mniej w nich było logiki, tym szybciej, jaśniej i bardziej jednoznacznie je wykladał. Tym razem kluczył z podwiniętym ogonem, przydeptywał go i zacierał własne ślady. Jego oczy odbijały niezdrowe jarzeniowe światło. Krople potu na łysinie jarzyły się czerwienią.

- Rodzina postępowych narodów będzie musiała uciekać na pustynię. Z powodu rozpanoszenia się Kościoła. Papieroska, zapali pan? Dunhille. Britisz tabako. Nie mam na myśli, ma się rozumieć, tych bab powieszonych w kościołach na różańcach. I tych niedorozwojów proboszczów. Tematem na tapecie jest episkopat. Panowie papieżu, rzymska mafia. To ona cofa historię wstecz. Zwija rozwój. To, co przezwyciężyliśmy, co już było wczoraj, ma znowu być jutro. Kapuje pan? Naród płaci za te patologiczne machinacje bardzo wysoką cenę, i to nie tylko w walutach wymienialnych i rublach transferowych. I z pewnością nie w ich zasranych srebrnikach. Niech się nimi wypchają, judasze! W świecie opinia o Polsce osiąga szczyty nizin. Wszędzie za granicą marksizm jest filozofią elit, otwiera salony, bo przecież pozwala na pełne zrozumienie człowieka i snucie wizji przyszłości. - Hoffman przerwał na chwilę, zamyślił się, odpłynął, ale wrócił z energią do wywodu. - A u nas? Z tym, w dupę lepszym, Wyszyńskim, co począć? Jak tym ciemnym, małorolnym kmiotkom wyjaśnić, że pochodzimy od małpy? Zaraz zaczną się dowcipy, żebym się zgłosił do zoo. Gdybyśmy im w latach błędów i wypaczeń szczęśliwie odebrali ziemię, to dzisiaj problemu by nie było. Raz zaczęte błędy i wypaczenia ludowa władza powinna z żelazną konsekwencją doprowadzić do końca. Wtedy uniknęłaby historycznych błędów. A teraz, jak im, krowojebcom, wyjaśnić, że marksistowskie prawa ekonomii, chciałem powiedzieć, fizyki i chemii, są sprzeczne z tym całym zmartwychwstaniem. Taki chłopiekroztropek, jaśnie pan na czterech hektarach, jedzie furmanką na sumę, więc klękajcie narody przed jego chrześcijańskim światopoglądem z chlewa rodem, przed tradycją wsi polskiej i uczuciami religijnymi do zasranego krzyża. I stoi taka tłuszcza z widłami przed kapliczką i nie pozwala dróg...

- Maciej, daj spokój - odezwał się szkliście syczącym szeptem kolega sączący kryniczankę. Mroźny dreszcz przebiegł przez jego zaciśnięte szczęki. Zapadła męcząca cisza. Jarzeniówki pojękiwały mdląco. W sekretariacie zaskrzeczał telefon i rozległ się niski głos pani Krysi. Brzmiał donośnie jak zapowiedź na opustoszałym dworcu.

- Niestety szef nagle został wezwany do Urzędu Rady Ministrów. Dzisiaj go raczej nie będzie. Oczywiście poinformuję, że towarzysz dzwonił.

Hoffman chciwie słuchał sekretarki. Chciał się dowiedzieć, do kogo został wezwany i gdzie się teraz znajduje. Był bowiem fachowcem i dzień miał pracowity i ciężki.

- Kurna. Fakt. Trochę się zagalopowałem. Sory Batory. Wyłożę po prostu prosto z mostu, ławę na kawę. Rzecz w tym, że czeka nas eskalacja ekstremizmu i próba sił. Musimy odnieść victorię, identyczną jak pod Wiedniem, i znaleźć złoty róg. Przed tymi chamami.

Hoffman nie był w najwyższej formie. By dobrnąć do sedna i wykrztusić informację, którą otrzymał od czynników wyżej postawionych, potrzebował prawie czterdzieści minut. Według nich jeden z polskich kardynałów może zostać papieżem. A nawet niestety nim zostanie.

## **Halina i szczęście**

Halina i szczęście lata siedemdziesiąte XX wieku

H enryk wrócił do domu, przeklinając MZK, tramwajarzy i siebie za brak samochodu. Pójdzie i poprosi o talon na malucha. Jak tylko Hoffman trochę się uspokoi. Pod blokiem, na zepsutej jeźdźalni, czekała jego dziewczyna, właściwie narzeczona.

Nie liczył na szaloną miłość. Chociaż jego zdaniem Halina mogłaby zapaść na tę wygodną dla mężczyzn chorobę. On ciągle strzegł się miłości. Od niej oczekiwał podziwu i oddania. Później zrozumiał, że niedosyt w najśłodszych nawet okresach ich związku łączył się z niezaspokojonym pragnieniem posiadania przewodnika. Oczekiwał tego od Haliny, ale ona nie rozumiała. Powinna zauważyć jego skryte pragnienie i zapewnić mu poddańcze doradztwo. Jego lęki, niepewność i nielogiczna agresja czekały na wskazówki wypowiedane przez kogoś niedbale, przy okazji, głosem pełnym posłusznego uwielbienia. Potrzebował dziesiątków napomnień, uwag, najlepiej w błahych sprawach, które miały same w sposób naturalny ułożyć marszrutę jego życia, podsunąć wybory najlepszych rozwiązań. Nie odważył się jednak pomyśleć tak o nikim, od czasu gdy uświadomił sobie, że tej roli nie pełni ojciec.

Halina nie grzeszyła groszem, co świetnie wpływało na jego samopoczucie. Był równie zachwycony jej biedą co brakiem obycia, skromnością i ambicją. Jego lepsza sytuacja materialna budowała właściwą relację. Gotówka była jego aureolą i sposobem na złagodzenie oporu świata. Ojciec Haliny, rencista, Kazimierz Siędrak pracował w Hucie Warszawa przez trzydzieści dwa lata, na trzy zmiany, na nockę, na rano i na popołudniówkę. Jego klasowa świadomość rosła więc w potrójnym tempie. W piekle już byłem, żartował, może ominie mnie w przyszłym życiu. Po dwudziestu trzech latach pracy przy spuście surówki Siędrak przestał nadążać za marzeniami awangardy klasy robotniczej. Zaczęło się od zapalenia żył, potem wysiadły krtań i płuca, wreszcie przyszedł zawał. Po długotrwałym leczeniu nie wrócił

już do produkcji. Siedział sztywno przez rok w biurze, w zapiętej pod szyję koszuli i swetrze zrobionym przez żonę na drutach. Codziennie palił go wstyd, gdy odbijał kartę. Był synem ślusarza ze Lwowa, robociarzem z krwi i kości, i głęboko gardził pracą czarnych zaręczawców i białych kołnierzyków. Z tego powodu, mimo że hutę kochał bez wzajemności całym swoim zharatanym organizmem i wykrojonym z pepeesowskiego honoru sercem, wybrał mniejsze zło, mniejsze pieniądze i poszedł na rentę. Ostatniego dnia, gdy już oddał obiegówkę, kumple nieśli go na rękach aż do bramy. Inni stali w rozrzuconym między halami szpalerze i bili brawo. Przez głowę przeszła mu wtedy słodko-bolesna myśl, żeby jedynaczka, Halinka, mogła to zobaczyć.

Kazimierz Siędrak, suchy, niewysoki blondyn o szpiczastym nosie i wysuniętej szczęce, był małomównym, upartym facetem. Wobec Henryka zachował nieufność. Z jakiej Henryk pochodzi rodziny, dowiedział się, jak powiedział żonie, przypadkiem, chociaż wiadomo było, że zapobiegliwie sprawdził. Ojciec - urzędnik państwowy, ożeniony z Rosjanką poznaną podczas studiów w Moskwie, w czasach stalinowskich. Kazimierz Siędrak zbyt twardy dialog prowadził z życiem, żeby nie rozumieć, co to oznacza. Jednocześnie ta sama prosta wiedza o ludziach podpowiadała mu, by nie wywierać nacisku na córkę. Wyczuwał w niej narastający bunt przeciwko rodzinie, przeciw staroświeckim zasadom i nie chciał dawać jej pretekstu do młodzieńczego wybuchu, a tym bardziej popychać do nieodwracalnych decyzji. Chciał z wyrozumiałą cierpliwością zaczekać, aż Halina w scenariuszu swojego życia zmieni drugoplanową rolę zbuntowanej studentki na tytułową rolę żony i matki. Był pewien, że wtedy zmieni przynajmniej częściowo poglądy.

- Wyjdzie za mąż, urodzi dziecko, popatrzy na wszystko z innej perspektywy i dogadamy się z nią bez problemów - uspokajał żonę.

Miał tylko jedno dziecko i ogarniało go przerażenie na samą myśl, że mógłby je stracić. Chciał zachować bliskość także w okresie burzy i naporu i wierzył, że tylko dyskrecja i łagodność pozwolą mu zachować szanse na oglądanie wnuków. Z pewnym wysiłkiem zorientował się, że ten młody dziennikarz kręcący się przy córce, obłaskawiony przez reżim pozer, zepsuty jest tylko z wierzchu, co do reszty, sprawę uznał za otwartą. Oceniał, że Henryk teoretycznie jest dorosły i samodzielny, ale w gruncie rzeczy nie ma pojęcia, kim jest i czego mógłby od siebie wymagać. Po paru miesiącach wzajemnego obwąchiwania wiedział, że Henryk jest obolałym półsierotą, uciekającym histerycznie od rodziny, chorobliwie z jakiegoś powodu nienawidzącym ojca. Owszem, dziennikarz zachowywał się jak skorumpowany bufon, za dużo mówił o pieniądzach i z pewnością za dużo pił, ale to tylko utwierdziło Siędraka w jego diagnozie. Matka Rosjanka? Nic o niej nie wiedział, ale zakładał

najgorsze. Jednak i z matką nie było najlepiej, skoro już po kilku wizytach ten ponad trzydziestoletni dzieciak zaczął lgnąć do ich rodziny jak skopany pies.

Jego przypuszczenia potwierdziły się, gdy kandydat na zięcia późną jesienią 1978 roku nie tylko rzucił lukratywną pracę w Interpressie, ale zachował ten fakt w tajemnicy. Milczenie brało się stąd, że sukces wyzwolenia był świeży, jego przyszłość niepewna, a mętna gra z zachodnimi dziennikarzami trwała długie lata i pozostawiła po sobie niezły chlew. Nie był zdolny do opowiedzenia o oszustwie, a w gruncie rzeczy o zdradzie ojca. Teraz zarabiał, tłumacząc tony tekstów z rosyjskiego i angielskiego, udzielając lekcji i biorąc do domu zlecenia prac redakcyjnych. Radził sobie.

W czasie karnawału Solidarności Henrykiem owładnęła powszechna wówczas pasja usprawniania moskiewskiej biurokracji, korygowania dyplomacji Watykanu, aktualizowania listy wrogów Polski oraz omawiania maksymalnego skrócenia drogi od planowanej finlandyzacji do wymarzonej niepodległości. Atmosfera zmuszała go do czasowej rezygnacji z rozszerzania, a raczej przywracania dawnej granicy Polski na wschodzie. Wprawdzie niektóre komitety strajkowe latem osiemdziesiątego roku miały na liście postulatów przywrócenie Polsce Wilna i Lwowa, ale później narastający i najwyraźniej sterowany chaos upewnił go, że należy zawęzić listę celów nie tylko ilościowo, ale i tematycznie. Wyznawał więc program twardej, rewolucyjnej ewolucji.

W kwestiach podstawowych Henryk odniósł w tym czasie spore sukcesy. Jeszcze przed powstaniem Solidarności ożenił się z Haliną Siędrakówną, splodził córkę. W następnym roku przyjął chrzest. Wtedy karnawał w Rio zaczął się już przekształcać w hiszpańską ucieczkę przed rozjuszonymi bykami. Aczkolwiek nie było aż tak wesoło jak podczas encierro w Pampelunie, organizowanej na cześć patrona Nawarry, świętego Fermina. Tam trzeba było wiać przez zaledwie 814 metrów. W Polsce ucieczka trwała od lat, bez szans na schronienie. Wprawdzie Ciemnooki Namiestnik, używający pseudonimów Wolski, Generał, Hodowca Wron, Człowiek Honoru i wielu innych, twierdził, że widzi czerwone światelko w tunelu, uciekający mieli jednak dziwne przekonanie, że biegną ślepą ulicą.

Henryk dokonał tych rodzinno-religijnych wyczynów raczej z pobudek egoistycznych niż altruistycznych. Gardził wtedy zwykłym bezpiecznym życiem, zdzierał gardło w dyskusjach o granicy ustępstw komunistów wobec Solidarności. Uwielbiał dyżurny fragment dyskusji dotyczący wejścia Sowieców, a raczej wkroczenia do akcji, bo 360 tysięcy żołnierzy z czerwoną gwiazdą na hełmie nie musiało dojeżdżać do pracy. Rozlokowani w pokojach gościnnych każdego domu, codziennie, bez względu na pogodę, zapewniali, że polska niepodległość ma gwarancję jak w ruskim banku. Mickiewiczowski Ordon, Rejtan, Łupaszeko

i podhalański Ogień mogliby w takich momentach uczyć się od Henryka determinacji, bezkompromisowości i finezyjnej brawury. Drukował nocami plakaty, kolportował nielegalne książki i gazety, poświęcał samoograniczającej się rewolucji serce, myśli i czyny, bez kalkulacji i badania ryzyka, którego poziomu nigdy zresztą nie można było przewidzieć w tej części świata. Henryk, jak wielu innych, lewitował, przebierał się za postaci ciekawsze od siebie, wrzucał codziennie do ruletki całą pulę, to znaczy wszystko, co miał i mógłby mieć kiedykolwiek. On i inni obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, pozostając w widocznym amoku, zapominali, że trwa oblężenie Obozu Pokoju przez imperialistyczne kredyty i gwarancje bankowe udzielane przez spiskujące rządy rewanżystów, co stawia pod znakiem zapytania skuteczność marksistowskich badań w humanistyce i psychiatrii. Zapominali nawet niektórzy oficerowie Służby Bezpieczeństwa, Milicji Obywatelskiej, Ludowego Wojska Polskiego, Straży Granicznej, Straży Pożarnej i Służby Celnej. Od czasu do czasu, porwani przez wir wydarzeń, rzucali za siebie spojrzenia, mrużąc oczy, jakby ich oświetlały reflektory. Wtedy dyskretnie się kłaniali, słysząc odległe brawa anonimowej publiczności. Może niezupełnie anonimowej, bo w rzadkim tłumie wyróżniali się ambasadorzy państw zachodnich, patrzący co chwilę na zegarki. Musieli wyjść przed końcem spektaklu, bo śpieszyli się na bankiet do ambasady sowieckiej, gdzie obżerano się kawiozem z okazji kolejnej rocznicy wymordowania w Katyniu zachodnioeuropejskich Żydów przez polski episkopat. Funkcjonariusze ludowych służb mundurowych zastanawiali się, w jakim grają spektaklu, bo wprawdzie scenariusz mieli zakodowany w genach, ale w poszczególnych scenach brak było logiki. Dialogi składały się z cytatów z gazet, odezw, NieBoskiej i Boskiej Komedii, Pana Tadeusza, Dziadów, 07 zgłoś się i filmu pod tytułem zagadkowym dla części publiczności: Przepraszam, czy tu biją?

Henryk był już wtedy głową rodziny. Lśniąca żona, pokryta pełgającym ogniem, wielokolorowa, chociaż białoczarna, wielosmakowa, chociaż gorzkawosłona, przesłaniała mu świat coraz bardziej, a on tracił przytomność, starając się nadażyć za nią ze swoją miłością. Nosila ich dziecko. Półświadomy stan bycia ojcem wynosił go z prędkością światła na orbitę wszystkich znanych mu planet. Gwałtownie, zaborczo kochał Halinę i potężną, choć niejasną myśl, że będzie ojcem. Jednak czasami wyraz oczu Henryka, niektóre sformułowania padające z jego ust i temperatura wypowiedzanych słów sprawiały wrażenie, że mimo zaangażowania w remont świata, burzę miłości i nadprzyrodzone rodzicielstwo, jakaś niezidentyfikowana siła pcha go w innym kierunku. On sam zaś pragnie zanieść całe swoje życie, przed jakąś tylko jemu znaną datą, w miejsce, o którym nic nie wie i którego nie może sobie wyobrazić.



\*

Halina, jak słodka niewierność, patrzyła na Henryka z niedowierzaniem. Myślała, że to atak wisielczego humoru.

- Naprawdę chcesz się ochrzcić? Po co? Chciałam zapytać dlaczego?

Było po północy. Wrócił wykończony z Regionu, ona wstała, w nocnej koszuli, na wpół przytomna, i usiadła w kuchni. Bił od niej silny zapach poplątanych zakrętów przerwane snu. Patrzyła, jak podgrzewa krupnik i je, zagryzając piętą zakopiańskiego chleba. Bezwiednie gładziła dłońmi wystający brzuch.

- Weź sobie pietruszkę, ja nie lubię.

- To nie jest dla mnie zupełnie jasne - odpowiedział z pełnymi ustami. Pokroił całą natkę i wsypał do talerza. - Chodzi mi o to, co myślę o Bogu, religii, Kościele, sakramentach, regułach i tak dalej. Nie mam nad tym pełnej kontroli. W sensie intelektualnym. No i każdym właściwie. Ale czuję, że muszę coś zrobić. Co? Też nie wiem. Tak się mawia: trzeba zrobić pierwszy krok, ruszyć naprzód, wytrącić się z...

Przerwał. Oczekiwał wsparcia od Haliny? Ona się skrzywiła. Patrzyła na niego nadal z niedowierzaniem, zaskoczona takim obrotem sprawy.

- Co ty kombinujesz? Chcesz się podlizać mojemu staruszkowi? Czy zrobić karierę polityczną, wystawiając głowę spod sutanny? Po co ci to? Tyle gadasz o wolności, a chcesz ją stracić? Zastanów się! Myślałam, że przed nami jest nowe, zupełnie nowe życie. Myślałam, że i ty tak myślisz. Przeszłość się zużyła, taka czy owaka, cała przeszłość, nie tylko realny socjalizm. Każda przeszłość musi odejść, ze swoimi zwyczajami, bagażami, sakwożaczami, pudłami na kapelusze i pastorałami. To normalne. Za ileś lat, raczej niedużo, nikt nie będzie rozumiał naszego dzisiejszego życia. Z wyjątkiem specjalistów, a i ci będą manipulować, żeby nie urazić pamięci taty czy dziadka. Liczymy się tylko my! Nasze „ja”, nasze „teraz i jutro”. Nasz sposób na życie.

- Nie zgadzam się i nie chcę tego, Halinko. Właśnie tego się boję, że wszystko ma iść w zapomnienie. Bez przeszłości, trwania pamięci wszystko zamienia się w tandetę albo jest bezczelnie przerabiane na szajs.

- O Jezu, nie łap mnie za słowa. Mówiąc, że liczy się przyszłość, mówiłam o naszej miłości, o dziecku. Zresztą, daj mi żyć, chłopie, nogi mi puchną, idę się położyć. Zupełnie mnie wybiłeś ze snu tym mieszaniem w bebechach.

Rano wróciła jednak do tematu. Była zdenerwowana. Musiała o tym myśleć.

- Pamiętasz nasz ślub czy już zapomniałeś? Przecież to było chwilę temu...

- No właśnie, kiedy to było?

- Proszę, nie pamiętasz, ile miesięcy temu brałeś ślub? Może dlatego, że byłeś jeszcze wtedy ateistą.

- Przecież obliczam, psiakość...

- Nie klękałeś podczas mszy. Co się z tobą stało?

- Wiesz, w podstawówce nie chodziłem na religię. Rodzice, dom, byłem czystym ateistą. To dziwne, ale na zewnątrz, w normalnym życiu, raczej mnie to nie wyróżniało. Owszem, kiedy mieszkaliśmy pod Warszawą i przechodziłem z kolegami obok kapliczki lub przydrożnego krzyża i nie przeżegnałem się - usłyszałem: przeszła świnia koło proga, nie widziała Pana Boga. Następnym razem zawahałem się. Raz się nawet przeżegnałem, tak żeby inni widzieli, ale było mi głupio i więcej tego nie zrobiłem. Zresztą reakcje kolegów zdarzyły się tylko parę razy, na wiosnę, w maju, gdy prawie wszyscy z naszego rocznika mieli zawrót głowy z powodu Pierwszej Komunii. Czy chodzę na mszę, do kościoła, nikogo później właściwie nie interesowało. To znaczy wiedzieli o tym, ale to była wiedza nieważna. Nikt o tym nie mówił. Niedawno zastanawiałem się nad tym i stwierdziłem, prawdę mówiąc, ze zdziwieniem, że przez tyle lat szkół i studiów Bóg nigdy nie pojawiał się w rozmowach z rówieśnikami.

Tym bardziej nie był obecny, źle czy dobrze, podczas lekcji. Na księży, czy ogólnie na Kościół, ciało pedagogiczne owszem splotowało od czasu do czasu, przy bierności słuchaczy. Nigdy nikt nie protestował, a dziewięćdziesiąt procent uczniów czy studentów to byli katolicy. Ale Boga belfrzy zostawiali w spokoju. Jedni, bo sami chodzili do kościoła, drudzy dla wygody, z lenistwa. Zapobiegliwe tchórzostwo to chyba była jedna z głównych cech wychowawców nowego społeczeństwa. I chyba tylko to im się udawało. Zaszczepiać bierność, lęk i dwulicowość. Mój szkolny los był zależny od wielu spraw, ale wśród nich nie było kwestii Boga. Jako ateista nie wyróżniałem się, bo wszyscy zachowywali się tak, jakby udawali, że nie są katolikami.

Dzisiaj widzę, że to było dla mnie bardzo wygodne. Ateista wśród katolików, którzy zostawiają legitymację chrześcijanina w kościele i występują wszędzie incognito. Bóg był niewidzialny. Patrzyłem na srebrne, czasami złote medaliki na szyjach, w szatni, gdy wraz z innymi chłopcami przebierałem się przed zajęciami z wufu. Matka Boska Częstochowska, czasem krzyżyk. Rzadziej jedno i drugie na jednym łańcuszku. „Z chrztu i z komunii” - wyjaśnił mi kiedyś niepytany kumpel. Musiał zauważyć moje krótkie spojrzenie dotyczące miejsca między obojczykami.

Dopiero niedawno sobie pomyślałem, jak bardzo Chrystus był samotny, opuszczony wśród tych wierzących chłopaków i dziewczyn. Właściwie wszyscy się go codziennie

zapierali, po cichutku, bez spektakularnych scen. Tak jak ich rodzice. Ale to musiało zostawiać ślad na ich sumieniach. Z czasem coraz bardziej widoczny, raz niezrozumiale wstydlivy, innym razem budujący barierę wobec jakiegokolwiek duchowości.

Ale myślę też sobie, że być może wtedy narodziła się we mnie solidarność. Solidarność samotnego ateisty z jeszcze bardziej samotnym Bogiem.

No nic, muszę lecieć do roboty. Pogotowie strajkowe w całym kraju, a ja urządzam poranek wspomnień.

## Chrzest

Chrzest

1981

Od wyrwania się z Interpressu żył przeciw ojcu. Odrzucił jego filozofię, fryzurę, barwę głosu, strategię, filozofię, gestykulację, wyraz twarzy, kolor oczu i śmiech. Śmiechu i zakłamania nienawidził najbardziej. Sam miał być teraz swoim prawodawcą, kłownem, sędzią, płaczką i rzetelnym wykonawcą planów pięcioletnich i czynów społecznych. Sam chciał uchylać zobowiązania do przekroczenia normy. Tak jak sam chciał obalać te uchwały lub je sabotować. Gdy poznał ojca Haliny, z ulgą stwierdził, że Kazimierz Siędrak jest całkowitym przeciwieństwem Józefa Harsynowicza, więc ostrożnie wyciągnął do niego rękę. Szukał wsparcia dla swojej narodowowyzwoleńczej walki przeciwko neokolonializmowi w imperialistycznej polityce ojca. Mniej więcej wtedy zaczął dostrzegać szczegóły wystające ze szpar pękającej, łatanej byle jak rzeczywistości. Inaczej patrzył na przejściowe trudności i codzienne bolączki dotyczące uczciwych ludzi pracy, którymi tak bardzo martwił się komunistyczny Komitet Centralny i które tak bardzo pragnął usunąć w tekście którejs z przyszłych uchwał. Jego plany wywołania rewolucji październikowej pełne były płaczliwych marzeń o zemście, publicznym upokarzeniu i dotkliwej karze dla starego dyktatora. Zamierzał pozbawić ojca prawa do repliki i ostatniego słowa. W czasie jednej z takich spekulacji zaczął przemyślać o chrzcie. Sądził, że nic bardziej nie upokorzy komunistycznego feudała, nie uczyni ich banalnego konfliktu bardziej fundamentalnym i mniej prywatnym. Wyniesie go na wyższy poziom metafizyczny i ideowy. Będzie czymś zupełnie innym niż infantylny, emocjonalno-gówniarski, choć skądinąd naturalny, spór z ojcem. Henryk nie chciał wyrosnąć z ojca i pokonać go siłą czasu i biologii, przeżyć go cierpliwie, logicznie przeczekać. Chciał zadać śmiertelny cios natychmiast, zabić w sobie wszystko, co mogło go teraz do ojca upodabniać, a w przyszłości trzymać na uwięzi wspomnień. Chciał zniszczyć wszystko, co mogłoby go kiedyś do ojca ponownie przyciągnąć.

Chociaż praca w sekcji informacji zarządu regionu Mazowsze Solidarności nie zostawiała zbyt wiele czasu, zaczął czytać dominikańskie pismo „W drodze”, Biblię, dyskutował z księdzem Janem, do którego zaprowadził go teść. Doszedł do wniosku, że w jego wypadku wejście do grona wiernych nie będzie mogło się odbyć na drodze iluminacji, błysku emocjonalnego uniesienia, olśnienia wizją albo chorobliwego kryzysu fizycznego połączonego ze wzlotem duchowym. Czytał wynurzenia na ten temat i nie mógł sobie wyobrazić przeżywania czegoś podobnego. Przyjęcie wiary w formie jednorazowego, psychofizycznego aktu w jego przypadku nie mogło być skuteczne.

W sprawie królestwa nie z tego świata był dziewicą. Czuł męczący, dotkliwy balast lepkiego brudu, który zdążył zgromadzić i zanurzyć w nim każdy drobiazg, najmniejszą myśl, najmniejszy fragment dnia, ale dotąd rosnąca chęć oczyszczenia nie miała natury religijnej. Kąpał się w rzece Solidarności, ale to z pewnością nie był Jordan. Słyszał pisk tłustych szczurów zzerających przyszłość od środka i nie znajdował właściwej odpowiedzi, jak ją obronić.

Po raz pierwszy poszedł na mszę, jeszcze zanim podjął ostateczną decyzję, w mętny, duszny wieczór. Trafił akurat na modnego księdza, który w czasie liturgii improwizował na tle chórkę podekscytowanych dziewcząt. Patrzył zimno na kapłana, jego natchniony wyraz twarzy i przymknięte oczy. Duchowy grafoman, pomyślał. Czuł niechętny dystans i chciał jak najszybciej wyjść. Być owieczką w tym stadzie nie było łatwo. Oczekiwał ścisłego, jasnego wykładu, informacji, porządku, logicznej interpretacji. Religii racjonalnej i jasnej. Zero improwizacji, maksimum trzymania się ortodoksji, dyscypliny językowej i teologicznej. Chciał, by mu objaśniano, a nie dawano do zrozumienia. Nie chciał osiągnąć wspólnoty uczuć i komunii dusz z namiętnie histerycznym księdzem. Nie chciał, by mrugano do niego porozumiewawczo zamglonym okiem. Nie jest egzaltowaną nastolatką, do cholery. Nie myślał o Bogu ani źle, ani dobrze, bo wcale o nim nie myślał przez tyle lat, przez całe życie, i dalej nie wiedział, co o nim myśleć. Nie czuł się ateistą, tak jak nie czuł się wierzącym. W miejscu, w którym mógłby być Bóg lub niewzruszona wiara, że Boga nie ma, wierciło się bezczelne nic i uwierało coraz dokuczliwiej. Chciał się pozbyć tego bezpańskiego nic. Tak, właśnie tak, zacznie od wyrzucania oswojonego nic, zaprzyjaźnionego z całą okolicą nic, nic taszczącego ze sobą kłamstwo, które wpychało się nawet do słów „dzień dobry” i „ładny dzisiaj dzień”. Tak robi. Zacznie od wyskrobania i wyszorowania drucianą szczotką wszystkich miejsc po wszechobecnym nic.

Po zakończeniu mszy wyszedł na ciemny dziedziniec. Ludzie wychodzili powoli, zatrzymywali się, rozmawiali, żegnali. Był sam. Można stanąć przed Bogiem w

towarzystwie? Trzymając się za ręce? Przepięsnał się powoli, ostrożnie, by nie dotknąć nikogo, i ruszył bez przekonania przed siebie. Naszły go wątpliwości, czy Kościół może go wesprzeć w przechodzeniu z ciemności w ciemność. Kościół był zagubiony, niepewny swego albo zbyt pewny i obawiał się, że każda następna msza dostarczy mu na to zbyt wielu dowodów.

Kiedy zaczął myśleć o chrzcie, uważał go za zaledwie za przynętę, na którą mógłby złowić coś, co być może miał w sobie. Albo co ukrywało się przed nim w rozedrganym świecie. Był przecież podobny do wyjącego niemowlęcia niesionego przez rodziców do kościoła. Nie wiedział i nie rozumiał więcej niż paromiesięczny szkrab. Teraz też w jakimś stopniu niósł go... No właśnie, kto go niósł?

Miał w sobie leniwe pragnienie jedności ze światem, rozpuszczenia się w nim, a jednocześnie obrony jego dziecinnych fragmentów. Nie chciał świata całkiem zmieniać, odczuwał jedynie mglistą potrzebę wpuszczenia korzeni w jego serce jak w głęboką, żyzną glebę. Nie umiał rozmawiać z Bogiem i drażniło go to, że nie umie go objąć rozumem, uczuciem, a zwłaszcza ramieniem. Więc jak mógł w niego wierzyć? Ufać bez powodu, na wyrost? Tak jak wszystkie niesione do chrztu dzieci, nie mógł zaciągnąć żadnego zobowiązania wobec Boga. Nie wiedział przecież, co z tego wyniknie, gdzie zaprowadzi siebie i Chrystusa. Jeśli czułby się głupio, wycofując się, to wyłącznie wobec paru ludzi, którzy mogą nie zrozumieć albo nie akceptować jego metody prób i błędów. Bóg, jeśli istnieje, musi zrozumieć jego tchórzostwo.

Jestem rozdwojony, myślał, jedno „ja” mówi we mnie: tak, jest coś złamanego w moim życiu. Chcę się wyprostować, ale brak mi sił, nie mam się o co oprzeć. Muszę tę słabość wypchnąć z czyjaś pomocą. Ksiądz Jan mówi, że z pomocą Boga. To jego szukasz i jego potrzebujesz. Tak twierdzi. Ale to ksiądz, może mówi tak z przyzwyczajenia? Z obowiązku? Dostanie dodatkowy urlop za nawróconą owieczkę?

Drugie kusi, żeby rozegrać to inaczej. Dać się zawładnąć bezsensowi i złu do końca? Niech diabeł zatańczy na moim ścierwie. I wtedy sprowadzić na pomoc Boga? A może już jestem diabelską padliną?

Jestem bez świadomości. To znaczy mam świadomość, ale nie panuję nad własnym życiem. Jestem niesiony do chrztu. Nie zastanawiam się nad tym, nawet nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje. Zostawiam to... no tak... zostawiam to... Bogu. Niech On weźmie ryzyko na siebie. Słyszę organy, słyszę głosy, ale nic mi to nie mówi. Ważny jest znak. Woda. Czysta jak nóż Abrahama. Ważny, chociaż go nie rozumiem. Chcę żyć. Nie chcę, żebyś mnie zabił. Woda spływa na mnie. Pożywna jak w brzuchu matki. Tak. Niech się stanie.

## Parafia

Parafia

19 października

Szczęście Boże - Henryk wszedł do obszernej kancelarii.

- Daj Boże - odpowiedział ksiądz i podniósł na chwilę głowę znad papierów. Był w wieku Henryka. Nieco nabrzmiała, zaczerwieniona twarz zdradzała wybuchowy charakter, a mocne spojrzenie wąsko osadzonych ciemnych oczu wołało pokonania każdej przeszkody, nawet wymyślonej.

- Biurokracja - powiedział duchowny, nie bardzo wiadomo, do Henryka czy do siebie.

- Dla mnie największy atut nieba to brak biurokracji. A gdyby ta zmora miała tam być ze swoimi procedurami, formularzami, załącznikami, tabelami, statystykami, sprawozdaniem, to niech pan powie, czym by się różniło od piekła?

- Tak, no tak - zgodził się automatycznie Henryk, ale nie podjął tematu. Usiadł na twardym, niewygodnym krześle. Rwały go kolana, łokcie i nadgarstki.

- Mam prośbę. - Popatrzył na księdza uprzejmie. Miał nadzieję, że jego twarz jest uosobieniem ujmującej układności. - A właściwie mam pytanie.

Nie spuszczał wzroku z rozmówcy, uśmiechając się nieustannie i mobilizując go do wysiłku.

- Tak, chciałem zapytać... w tej parafii byłem ochrzczony, w sierpniu 1981 roku. Łatwo zgadnąć, że byłem już wtedy dorosły. Z domu nie... Niestety, niedługo potem wyjechałem. Z Polski... opuściłem. Wtedy myślałem, że na chwilę, tymczasem nie było mnie, noo, ćwierć wieku. Poniewierałem się. Wyjechałem w stanie wojennym. Tak się ułożyły różne... życie, jak zawsze.

Ksiądz słuchał, patrząc na Henryka spod półprzymkniętych powiek. Co chwilę opadały ciężko i wtedy, wyęzając resztki przytomnych sił, dźwigał je w górę, podnosił ociupinkę, bez nadziei na dłuższy i wyraźniejszy sukces. Wreszcie udało mu się je rozepchnąć szerzej. Wytrzeszczył oczy i powiedział szybko, jakby się bał, że powieki znowu opadną i on razem z nimi pójdzie na dno.

- Przepraszam pana, jestem zmęczony, muszę zrobić sobie herbaty, napije się pan?

- Właściwie ja tylko na chwilę... tylko... nie chciałbym robić kłopotu, dziękuję.

Ksiądz gniótł torebkę na dnie kubka. Pośpiesznie, trochę łapczywie, zaczął pić gorącą herbatę. Ożywił się. Jakby wstrzyknął sobie narkotyk.

- Pomyśleć, wie pan, trzydzieści lat temu miałem tu kaplicę - mówił głośno, jakby

chciał wykorzystać dobroczynny przyływ sił. - Niewielką. Tymczasową. Msze pod gołym niebem się odprawiało, w słotę i w deszcz. A teraz, widzi pan - zatoczył ręką szeroki łuk - ile tego wszystkiego... Trudno w to uwierzyć. Prawie jak w Boga. Własnymi rękami zbudowałem. Pomoc, tak, tak, nie przeczę. Ale kościół stoi, jak by nie było, jeden z największych w Warszawie. Mam na myśli nowe kościoły, oczywiście. Plebania, sale katechetyczne, dom spotkań, klub akademicki, zaplecze techniczne z możliwościami poligraficznymi, pismo parafialne się drukuje na miejscu, taniutko, młodzież sobie też drukuje swoją gazetkę. Tak się złożyło, że nastąpiłem tutaj mniej więcej wtedy kiedy pan, tego... wyjechał. Minęło parę lat. Teraz mogę powiedzieć, że kiedy wszystko już zorganizowałem, mogę spokojnie umierać. Jestem spełniony, choć nie jestem zmęczony. Cukrzyca tylko daje w kość. Nic więcej nie mogę zrobić. I chyba już nie trzeba.

Henryk nie miał na podorędziu historii własnych, spektakularnych sukcesów. Zaproponował więc komplement.

- Młody ksiądz jeszcze przecież... stosunkowo...

- Nie w metryce problem - zachnął się kapłan. - Każdy zna trzydziestoletnich staruszków. Emerytów dwa dni po maturze. Rencistów rok po dyplomie. Siłę mam. Tylko że paliwa brak. Wyzwań brak. Celu. Powodu do mobilizacji i walki. Przyczyny, żeby, kiedy ranne wstają zorze, zwlec się i ruszyć...

- Przecież... - zawahał się, czy wchodzić na grząski grunt dyskusji, czy trzymać się swoich spraw. - Przecież ludzie odchodzą od Kościoła, od Boga, gubią się, toną... trzeba ratować, wesprzeć... To chyba ważne? Dla księdza.

- Ratować dusze, dusze ratować... - powtórzył ksiądz, uciekając gdzieś myślą na nieoświetlone pobocze. - Tak... to prawda. Ale siłą nikogo do nieba nie zaciągnę. Na plecach nie zaniosę. Warunki stworzyć, tak, to rozumiem. Wybieraj, chłopie, do pubu czy do kościoła, a jak sobie pościelesz... Siebie nawracałem walką, użeraniem się. Innych nie potrafię... - ksiądz podniósł się i popatrzył na grzbiety tomów stojących w oszklonym regale. - Dlaczego ja tego tutaj szukam... Przecież pan mówi osiemdziesiąty pierwszy. - Podniósł słuchawkę: - Siostrzo Zofio, książkę chrztów z 1981 roku może siostra przytargać? Będę wdzięczny do grobowej deski, czyli do jutra. Alleluja.

Proboszcz po krótkim poszukiwaniu, powtórnym obejrzeniu całego tomu, okładki, strony tytułowej, poprosił Henryka, żeby podszedł i spojrział na księgę chrztów razem z nim. Stali za biurkiem i patrzyli na poszarpaną resztkę wyrwanej kartki, która zawierała prawdopodobnie wpisy z sierpnia 1981 roku.

- Dziwne, pierwszy raz spotykam się z czymś takim. Kto udzielał panu chrztu? -

zapytał. - Prałat Kolankiewicz? No tak, ma pan pecha. Nie żyje. Od jesieni zeszłego roku. Zawał. Pierwszy i ostatni.

Henryk przywołał w pamięci tamten dzień. Wyglądał jak szkic wykonany bladym, zbyt twardym ołówkiem na spłowiałym papierze. Msza o szóstej rano, kilka osób w kaplicy, on, rodzice chrzestni. Teść, który ojcował przy chrzcie, też już nie żył, a matka chrzestna? Marysia Gołąb. Żartował, chociaż jako świeży katolik nie był pewien, czy nie bluźni, że Duch Święty przybył na uroczystość w jej zachwycającej postaci. W wąskiej popielatej sukni, zamiast piór gołębiczy, i białym jedwabnym szalu zarzuconym na ramiona, zamiast ogników skrzydeł. Wyglądała jak kwiat wychylony ryzykownie z szyjki greckiej amfory. Nie miał pojęcia, co się z nią dzieje, czy żyje. Zresztą jeśli nawet tak, to nie uzupełni uszkodzonej księgi parafialnej. Nawet jeśli stała się duchem z prawdziwymi skrzydłami lub wcieliła się w zwykłą kobietę.

## **Żywiec, śpiewają Jerzy Połomski i Joanna Rawik**

Żywiec, śpiewają Jerzy Połomski i Joanna Rawik

20 października

Nie jest mi łatwo ze względu na Józefa - de Vernon mówił skupiony, starannie dobierając słowa. - Chcę czy nie chcę, muszę brać pod uwagę, że jest pan jego synem, że jest pan jedynym synem mojego przyjaciela. Byliśmy bardzo związani w młodości, w końcu lat czterdziestych i całe pięćdziesiąte. Później zresztą też. A im człowiek starszy, tym więcej odnajduje w sobie sentymentu do przeszłości. Nawet do niezbyt atrakcyjnej przeszłości. Co ja bredzę o sentymencie. Sentyment! Przeszłość się rozrasta, zdobywa nas. Bierze w niewolę. Zostawia nam coraz mniej miejsca do rozporządzenia. Pewnego dnia okazuje się, że ciach, spada gilotyna, odcina wszystko i zostaje tylko ona. I nie chodzi wyłącznie o wspomnienia. O miłe krążenie myśli, gdy siedzi się w fotelu, przed rozpalonym kominkiem, i popija winko z korzeniami. Wraz z panoszącą się przeszłością wracają różne cholerne pytania, których udało się człowiekowi uniknąć przez pięćdziesiąt lat. Albo te, które udało się stłumić, zakrzyczeć. Albo jeszcze gorzej - skłamać w odpowiedzi. Pytania z przeszłości dręczą tym natrętniej, im łatwiej udawało się je wcześniej omijać. Ale przeszłość ma to gdzieś, łatwo się nie poddaje. Dopada cię i robi z twoim mózgiem, snem i normalnym życiem, co jej się żywnie podoba. Cóż, nasze pokolenie ma co wspominać, co oznacza, że również ma o czym zapominać. A pana Józef kochał. To nie tak, że był pan synem, on ojcem i kropka. Że niby mieliście swoje problemy, ale ojcowska miłość je przewyciężyła i takie tam dyrdymały z telenoweli dla kretyńców. Przyszedł moment, że nie przewyciężyła. Nie wiem, jak to panu wytłumaczyć, ale



mimo wszystko on cały ten czas był z panem, pozostał ojcem. Na tyle, na ile mógł. Nawet wbrew sobie. I gryził się z powodu klęski w waszych stosunkach. Nie mówię tego na jego prośbę, choć gdy umierał, mówił tylko o panu. Nie potrafię powtórzyć, bo pewnie sporo z tego, co słyszałem, to był rodzinny szyfr. Niewiele rozumiałem. Jakieś serdeczne szczegóły z różnych lat i późniejsze pretensje. I to, co zdarzyło się później, co was ostatecznie poróżniło.

- Mam podpisać papiery, bo ojciec mnie kochał? - zapytał zgryźliwie Henryk. Adwokat zeszywniał.

- Co pan? Skąd u pana tyle... - zastanawiał się chwilę - złości? Nie chcę powiedzieć za dużo.

Henryk przyszedł do kancelarii z zamiarem podpisania dokumentów sprzedaży, zamierzał się tylko trochę podroczyć z przeciwnikiem nawykłym do łatwych zwycięstw. Najświeższe wysiłki adwokata uznał za wyjątkowo żalosalną grę.

- Mecenasio, podpiszę - powiedział cicho.

Na twarz de Vernona przez zimną maskę negocjatora przebił się szeroki uśmiech.

- Dobrze, panie Henryku, dobrze pan robi.

- Czy dobrze, nie wiem. Podpiszę, ale nie na tych warunkach - dodał.

Z twarzy adwokata zniknęło uczucie ulgi, ale uśmiech pozostał. Stał się nawet bardziej serdeczny.

- Co pan chce zmieniać? Wszystko proste. Warunki ustalone. Mogę jeszcze raz, razem z panem, przeczytać umowę i odpowiedzieć na wszystkie pytania. Wyjaśnić najmniejsze wątpliwości.

- Do tekstu umów nie mam zastrzeżeń - ciągnął Henryk, delektując się tą maleńką, parozdaniową rozgrywką. - Ale właśnie, warunki. Dziwnym trafem bank leci w dół na giełdzie, a w tekście jest zapis, że cenę transakcji wyznacza kurs zamknięcia z dnia podpisania umowy. Chcecie kupić, dobrze, sprzedam. Według ceny sprzed dwóch miesięcy. Tak będzie uczciwiej, jeśli pan wie, co mam na myśli.

Adwokat wyniośle puścił złośliwość Henryka mimo uszu.

- Muszę się porozumieć z klientami, to siedemnaście procent. Nie mogę sam zdecydować - oświadczył.

Po wyjściu z kancelarii szedł wolno, zastanawiał się, jaki krok może jeszcze zrobić, by przeciągnąć sprawę sprzedaży. Spadające ciśnienie przygniotło go i zmięło bez wysiłku. Szedł z trudem, czuł opór w stawach. Przed chwilą siedział w wygodnym fotelu, ale tęsknił za odpoczynkiem. Męczyło go pragnienie. Wszedł do pierwszej napotkanej knajpy. Gdy pokonał oblużowaną kłamkę, zacinające się drzwi i wyplątał się ze złośliwej ciężkiej kotary, powitał

go sentymentalny zapaszek smażenia na nieoczyszczonym oleju rzepakowym. Stęchły, tytoniowy dym, wyziewy wódki i bezdomny, niedomyty kurz tworzyły z nim po partnersku zmysłowy kwartet. Zapachy i wystrój do złudzenia przypominały złoty wiek gastronomii uspołecznionej z czasów likwidacji analfabetyzmu i gwałtownego awansu mas pracujących. Henryk wzdrygnął się na wspomnienie pierwszej wypitej pięćdziesiątki, popitej kufłowym okocimem, i trudnego do wskrzeszenia po latach, pierwszego nielegalnego kaca, który wystrzelił wyżej niż dym z koksowni Huty Lenina. Wraz z tym wspomnieniem zobaczył wyraźnie karłowaty czas durnej młodości, który niczego nie obiecywał, raczej mętnie mamił, a on nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie pójdzie w diabły.

Jeśli knajpa była stylizowana na peerelowski skansen, to zlecenie wykonał wybitny fachowiec. Była czymś więcej niż idealną kopią, czuło się w niej uspołecznioną duszę oryginału. W jej aranżacji o palmę pierwszeństwa konkurowali przodownicy czarnorynkowej spekulacji deficytowymi artykułami spożywczymi z ochotniczymi hufcami pracy walczącymi o dalszy, dynamiczny rozwój przemysłu spożywczego.

Knajpa świeciła pustkami, ale w rogu sali szeptała do siebie para młodych - przyszczaty chłopak stylizujący się na Elvisa Presleya i siedząca plecami do sali szczupła dziewczyna w różowym sweterku. Młodzi, całkowicie pochłonięci sobą, nagle poderwali się z miejsc. Tęskniący za piwem Henryk przerzucił na nich nieuważną uwagę. Chłopak wyciągnął rękę, jakby próbował objąć dziewczynę, może chciał zatańczyć? Z kuchni dochodziła melodia przeboju Jerzego Połomskiego.

Był raz bal na sto par, Pan wodzirej wprost szalał po sali:

„Koszyk raz! Kółko dwa!”

A pod oknem samotnie bez pani

Siedział pan, smętny pan, Taki, co to nie pije, nie pali.

A tłum szalał, Hiszpański walc cud ten wyprawił

I wszyscy śpiewali go tak:

Cała sala śpiewa z nami, Tańcząc walca - walczyka parami, Na tym balu nad balami takim, Co się pamięta latami.

Gdzieś Hiszpania za górami, A tu zima, karnawał jest z nami.

Raz się żyje, zakręcmy walczyka ten raz, Hiszpański walczyk w sam raz.

Młoda kobieta odsunęła się zwinnie, a wyciągnięte ręce odtrąciła ze złością. Przez muzykę i szum własnych myśli Henryk usłyszał, jak wybucha.

- Przestań, zawsze musisz w najgorszym... - głos dziewczyny, delikatny jak pajęczy los, zgasł jak przepalona żarówka. W kuchni ktoś podkręcił radio.

Raz się żyje, zakręcimy walczyka ten raz, Hiszpański walczyk w sam raz.

Kelnerka zbliżała się do Henryka, dłubiąc wykałaczką w zębach. Była potężnie zbudowana. Posapując lekko, dźwigała samą siebie, znudzona i zdziwiona niezrozumiałym, niekończącym się wysiłkiem. Gdy podeszła do stolika, schowała wykałaczkę do kieszeni fartuszka, próbując jednocześnie dyskretnie wyssać resztkę jedzenia tkwiącą uparcie między zębami.

- Przepraszam - zaczął.

Chciał zapytać o pomysł nawiązania do stylu knajp peerelowskich, ale zrezygnował, podniósłszy wzrok na stojącą blisko kobietę. Kelnerka zaparkowała precyzyjnie, przy samym stoliku. Prawie się o niego opierała. Czuł mdłe ciepło bijące od jej obfitego ciała. Gdy na nią spojrzał, zobaczył jedynie fartuszek spoczywający na szczycie wypukłego brzucha. Wyżej wznosiły się, ruchome jak gorące piaski wydm, wzgórza biustu. Ponad nimi lśnił czubek nosa. Chociaż nos był grubo upudrowany, jego powierzchnię pokrywały błyszczące kropelki potu. Wyżej - zadarł głowę, choć obawiał się, że może to wyglądać niegrzecznie - ponad różowymi wypukłościami policzków sterczały rzęsy. Zlepione tuszem, znikwały i pojawiały się raz po raz. A jeszcze wyżej? Och, tam była już tylko trwała ondulacja koloru lilablond i wpięta w nią, jak książęcy diadem, plastikowa imitacja koronki.

- Chciałbym się napić piwa - wyznał. - Jakie macie piwo?

- Alkohol podajemy od trzynastej - powiedziała kelnerka i mocniej zacisnęła upierścienione palce na ołówku i bloczku na zamówienia. - Co pan życzy?

Spojrzał na zegarek. Była za cztery trzynasta. Postawił całą pulę na uprzejmość.

- A czy może mi pani powiedzieć, jakie macie piwo? Może zamówię coś innego, a piwo poda mi pani później. O trzynastej. Albo nawet po trzynastej. Macie żywiec?

- Alkohol podajemy po trzynastej - jak echo powtórzyła kelnerka.

W jej głosie, początkowo pełnym pobłażania, pojawiła się ostrożna zapowiedź zniecierpliwienia, jak biegnące po szynach z daleka dudnienie pociągu ekspresowego, który doznał opóźnienia i które to opóźnienie może się zwiększyć lub zmniejszyć, ale stopniowo się zwiększa.

- Wiem - zgodził się. - To znaczy zapomniałem, więc w tym momencie nie wiedziałem, ale dzięki pani znowu wiem, tak jak wiedziałem dawniej, gdy jeszcze nie zapomniałem. Czy tego przepisu przypadkiem nie anulowano?

- Zamawia pan czy nie? Nie mam czasu na pogaduszki. Tu się pracuje.

- Czy może mi pani w takim razie podać kartę obowiązującą w pani zakładzie pracy? Karta jest dostępna przed trzynastą?

- Nie ma kart, są w wymianie. Będą w poniedziałek. Jak się uda Gienkowi załatwić w drukarni. Występują przejściowe braki w papierze.

- Przepraszam - uradował się - ale chyba właśnie minęła trzynasta. Czy w tej sytuacji może mi pani powiedzieć, jakie macie piwo?

Kelnerka odruchowo spojrzała na przegub i niemal jednocześnie odwróciła się w stronę kuchni, rycząc:

- Hanula!

- Co? - w ułamku sekundy odpowiedziała z zaplecza Hanula, jakby w niesłychanym napięciu czekała od lat na ryk koleżanki.

- Która jest? - kontynuowała lekko zachrypniętym głosem kelnerka.

- Dochodzi trzynasta - zapiszczała Hanula i niespodziewanie zachichotała nerwowo.

- Widzi pan? - usłyszał tryumfalne echo dochodzące przez przełęcz biustu. - Czy w tej sytuacji zamawia pan czy nie?

- Jakie macie piwo? - Zaperzył się. Żył nabrzmiały mu na skroniach. Twarz przybrała kolor przedwczorajszego barszczu ukraińskiego, pobladłego od wielokrotnego gotowania. Kelnerka schowała bloczek do kieszeni fartuszka.

- Z Polakami nie idzie się dogadać! - oświadczyła rozczarowana i, zmieniając ton na zaczepny, zniecka warknęła: - Kufłowe czy butelkowe?

- Kufłowe.

- Żywiec mamy - padła błyskawiczna odpowiedź.

- A butelkowe?

- Żywiec, podać coś?

- Żywiec proszę.

- Bez konsumpcji nie podajemy. - Kelnerka schowała ołówek do kieszeni fartuszka i oparła się lewą ręką o blat stolika. Stolik zadygotał, zatrzeszczał, wazonik ze sztucznym goździkiem zatoczył się, wykonał pół piruetu, ale dekonstrukcja nie nastąpiła. Rzeczy i ludzie pozostali na swoich miejscach.

- Stefa - doszedł z kuchni pisk Hanuli.

- Co?

- Powiedz gościom, że zamykamy. Zebranie jest.

- Zebranie? Jakie zebranie? Nie przeszkadzaj, klienta obsługuję.

- Jak to jakie? Nasze. Zedemesu! Z biura spółdzielni ma ktoś przyjechać. Chyba pan Jurek.

Imię Jurek wypowiedziane zostało głosem błogim, pełnym marzeń, ni to

matrymonialnych, ni to kulinarnych, ni to erotycznych, ni to zakładowowycieczkowych (refundacja 90 procent kosztów z Funduszu Wczasów Pracowniczych pod warunkiem przynależności do Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Spożywczego zrzeszonego w Centralnej Radzie Związków Zawodowych).

- Stefa, chodźże tu, popatrz, czy mi się fryzur nie zepsuł!

- Niech pani da mi cokolwiek i piwo, strasznie pić mi się chce - zajęczał Henryk.

- Cokolwiek nie mogę. Musi być z karty. Klient decyduje.

- Przecież nie ma karty! - Henryk wznosił ręce do góry jak Piotr Skarga na obrazie Matejki.

- No to... no to... - Kelnerka wyjęła z kieszonki fartuszka ołówek, bloczek na zamówienia, ścisnęła je w pulchnych dłoniach i zamarła. Razem z nią zamarł cały sektor przemysłu spożywczego, departamenty, dyrekcje i zjednoczenia, produkcja garmazeryjna, przetwórnictwo warzyw i owoców, rozlewnie wina marki Wino, gorzelnie, browary, chlewnie, Państwowe Gospodarstwa Rolne, Kółka Rolnicze Samopomoc Chłopska, rolnictwo indywidualne i ogólnie całe rolnictwo, kooperanci w bratnich krajach, magazyny z darami UNRRA, wszystkie rodzaje usług gastronomicznych z podziałem na restauracje poszczególnych kategorii, restauracje z dancinżem, bary mleczne, stołówki szkolne i zakładowe oraz kuchnie polowe. Ale potężna siła rządu, który mimo pewnej kokieterii musiał wyżywić również naród, popchnęła ku dobrze zaplanowanej przyszłości strumienie piwa, stopy słoików bułgarskiej papryki, cysterny węgierskiego wina Egri bikaver i bułgarskiej sofii, lawinę chleba zakopiańskiego i kajzerek, przyzmy buraków, marchewki i ziemniaków, wywrotki jabłek, worki z brązowego papieru pełne mąki poznańskiej i cukru kryształ, kaszy jęczmiennej i gryczanej, płatków owsianych i kaszki kukurydzianej, kaszki manny, półtusze wieprzowe i ćwiartki wołowe z Argentyny, pudła herbaty Madras i Ulung, kawy Turek. Siła przyszłości przyrody i życia wezbrała w kelnerce i po raz drugi od koncertu Czerwonych Gitar, na którym była w hali Torwaru, napełniła ją dziwnym, palącym uczuciem tęsknoty i porwała ku innym wymiarom nierzeczywistości. A to skutkowało wątpliwościami. Stefa uderzyła ołówkiem w bloczek trzy razy. Tak, tak, tak.

- Muszę się skontulsować. - Odwróciła się wolno, zatoczyła i skierowała do kuchni. Zza kotary wydobyły się odgłosy sporu. Z tego, co do niego dotarło, wywnioskował, że Hanula chciała restaurację natychmiast zamknąć. Stefa przeciwnie, preferowała osobiście podać piwo i koreczek. Argumentowała dość energicznie, że klient nasz pan. Henryk był prawie pewien, że usłyszał krótką szamotaninę. Kiedy odgłosy ucichły, z kuchni wychynęła Stefa. Dyszała dyskretnie przez niezupełnie drożny nos, a jej pierś falowała nieco szybciej

pod bordową służbową sukienką z bistoru. Gościnnym, szerokim gestem postawiła na stoliku butelkę piwa, szklanekę i talerzyk z kawałkiem żółtego sera i zwiędłą połówą ćwiartki pomidora przyszpiloną drewnianą wykałaczką. Chwycił butelkę i przechylił. Gdy wlewał do gardła gorzko-szklisty, silnie gazowany płyn, z kuchni wypełził głos Joanny Rawik w duecie z Hanulą:

Nie z każdej mąki będzie chleb,  
Z każdego jabłka wino,  
Z każdego pola dziki step,  
Z każdego flirtu miłość,  
Nie każdy pocałunek chce  
Drugiego pocałunku,  
Bywają bez wieczoru dnie  
I drogi bez kierunku.

Interpretacja Hanuli w porównaniu z pojękiwaniem Joanny Rawik wydawała się bardziej szczerą i dramatyczną. Stefa, kołysząc się w biodrach w takt muzyki, opuściła Henrykowy stolik i usiadła pod ścianą, przy służbowym. Czekwała cierpliwie, aż przebywający w jej rewirze klient zakończy konsumpcję. By nie marnować czasu, pudrowała nos, a następnie otworzywszy szeroko usta, malowała wargi długo, starannie różową perłową szminką. Długo i niezbyt dokładnie. Kiedy zakręciła i schowała szminkę, przez chwilę pocierała górną wargę o dolną. Potem delikatnie, by nie zburzyć efektu prac kosmetycznych, przejechała koniuszkiem języka od jednego kącika ust do drugiego kącika ust. Od lewego kącika do prawego kącika. Tam i z powrotem. I jeszcze raz. W trakcie tej czynności rzuciła w stronę Henryka niewyobrazalnie krótkie spojrzenie. Najkrótsze spojrzenie w historii ludzkich spojrzeń, uwzględniając wszystkie epoki historyczne, wszystkie płcie, grupy wiekowe i podatkowe. W spojrzeniu kelnerki zawarta była, owiana mgiełką niepewności, obietnica wyrozumiałości, wybaczenia, delikatnej komunii odległych linii życia. Było w nim coś jeszcze, coś trudnego do uchwycenia, coś ziemsko ulotnego. Coś nadzwyczaj prostego, ale mimo to trudnego do odczytania. To była prośba o odrobinę łagodności, podobnej do wrześniowej podróży ku pustym, chłodnym plażom? O napiwek w dewizach? O cień, o najłżejsze echo wzvodu?

Henryk patrzył na kelnerkę. Dopijał resztki piwa marki Żywiec z butelki o pojemności 0,33 litra, Full Extra, odrzut z eksportu, kierunek zachodni (ZSRR). W ustach pękały szczypiące bąbelki dwutlenku węgla, a goryczka chmielu obejmowała władczo kubki smakowe języka i podniebienia. Połknięty gaz pęczył niebezpiecznie w żołądku, lecz on

patrzył. Wysiłkiem woli i zwiotczonych mięśni powstrzymywał wędrówkę gazu w górę przewodu pokarmowego i patrzył na Stefę poddańczym, psim wzrokiem.

## Archiwum Państwowe

Archiwum Państwowe

21 października

Likwidator oplakujący bezpotomną śmierć podstawówki wyjaśnił Henrykowi, że dokumenty szkolne z jego roczników, z bólem serca, przekazał do Archiwum Państwowego. Zwyczajnie nie był w stanie ich upchnąć w ciasnym pokoiku razem z pozostałymi resztkami ze stołu Wydziału Oświaty.

Henryk dłuższą chwilę stał przed budynkiem Archiwum Państwowego i obserwował, jak siedzący w eleganckiej budzie strażnik pochłania kanapkę. Jego szczęki pracowały bezwzględnie, wydajnie, z porażającą energią. Zanim połknął jedną porcję, dopychał drugą i trzecią. Napięte policzki ledwie wytrzymały napór chleba, pomidora, masła i kiełbasy. Możliwe, że również majonezu. Marszałkowski mundur ochroniarza błyszczał szamerunkiem, srebrnym sznurem, służbowymi odznakami, baretkami i kolorowymi naszywkami z symbolami firmy ochroniarskiej lub chronionej instytucji. Mężczyzna z racji zajętych ust wstrzymał go podniesioną ręką.

- Do Archiwum - mruknął Henryk, przeczuwając, że ta skąpa informacja nie jest zadowalająca i będzie musiał odbyć szczerą spowiedź pokolenia 68. Strażnik popatrzył na interesanta, znowu na kanapkę i łyknął ze szklanki. Zator puścił, w przetyku poluzowało. Ochroniarz już miał zająć bardziej szczegółowe stanowisko wobec zamiaru Henryka, gdy zauważył plasterk pomidora, który wysunął się z kanapki i mógł z niej wypaść. Pod plasterkiem stał telefon, termos i leżały bezradnie jakieś papiery. Plasterk czekał jak półtonowa bomba, która niemal wypnęła się z samolotu i zwisa nad głowami niewinnych kobiet i dzieci. Strażnik błyskawicznie podjął decyzję, szybko schylił głowę i sprawnie schwytał plasterk zębami przy wsparciu warg. Jednocześnie wolna dłoń wykonała drobny ruch, niewielkie skinienie. Henryk minął pośpiesznie bramę i z ulgą ruszył do budynku. Z wyłysiałej lipy patrzyły uważnie dwie beżowe turkawki i przytulone do siebie grzały się w resztkach słońca.

- Dowód proszę. - Kobieta za szybą portierni była w apogeum swoich twórczych możliwości. Właśnie skończyła jeść drugie śniadanie i mieszała w szklance herbatę. Konstelacja okruszków, niczym drogocenna kolia, spoczywała na czerwonym, obcisłym sweterku, wyposażonym w dekolt niewielki, ale wystarczający. Po chwili wahania dosypała

jeszcze jedną łyżeczkę cukru i zamieszała energicznie. Łyżeczka obracała się z wielką prędkością i kilka kropel pociekło po wypełnionej po brzegi szklance.

- Cholera jasna! - zaklęła portierka i oblizała łyżeczkę. - Nazwisko.

- Harsynowicz, jest w dowodzie.

- Umiem czytać. Nazwisko osoby, do której pan przyszedł. I numer pokoju. - Łyżeczka z gorącą herbatą ostrożnie powędrowała do ust.

- Skąd mam wiedzieć? Nie otrzymałem odpowiedzi na pismo, więc przyszedłem. Ktoś musi przyjmować interesantów. Poszukuję dokumentów na mój temat. Mogły tu trafić z różnych miejsc. Na przykład ze szkoły podstawowej. Mam informacje, że tak właśnie się stało. Przecież tym się Archiwum zajmuje, prawda? Chciałem zasięgnąć... - Zatrzymał się wpatrzony w łyżeczkę zawieszoną między ustami a brzegiem szklanki. Szukając kompromisu negocjacyjnego, dodał miękko: - Mogę złożyć podanie lub coś w tym rodzaju.

Szara mucha przysiadła na ladzie portierni i przez chwilę chciwie piła z kropli słodkiej herbaty. Błękitnooka kobieta nie zauważyła owada, ponieważ szacowała profesjonalnie potencjał interwencyjny petenta.

- Jeśli nie jest umówiony, to nie mogę wpuścić. Musi się iść do kogoś konkretnego. Przepisy.

Westchnął. Twarde zasady demokracji powodowały, że nie miał szans przegłosować recepcjonistki.

- Przepisy są takie, że instytucja publiczna ma obowiązek obsługiwać obywateli i odpowiadać na pisma. Zadaję sobie trud podczas... - zaczął bojowo, ale w trakcie wypowiedzi zwątpienie podmyło jego zapał.

- Ale do kogo pójdzie, jak wpuszczę? Szwendać się po urzędzie nie można. Tajemnica i ochrona danych osobowych, rozumie pan, generalnie ustawa jest, tak? Państwo prawa jest zdobyczą!

- Listem poleconym wysłałem, mam dowód. - Nie ustępował. Wyszperał w portfelu i pokazał zmięty kwitek, myśląc jednocześnie ze wstrętem, że zachowuje się jak godny politowania wicepremier, którego partia w ostatnim sondażu uzyskała 4 procent poparcia.

- A ja mam regulamin. - Wyciągnęła z szuflady gruby zeszyt.

W tym momencie wychodząca z Archiwum pracownica odbijała kartę. Mijając Henryka, uśmiechnęła się. Miał nieodparte wrażenie, że dyskretnie skinęła głową lub nawet mrugnęła okiem. Przed budynkiem wyjęła lusterko i sprawdzała, czy makijaż nie uległ jakiemuś tragicznemu wypadkowi. Henryk porzucił portierkę wraz z jej regulaminem i wybiegł.



- Przepraszam, słyszała pani debatę na forum portierni, nie wiem, jak postąpić...

- Rozumiem, rozumiem. - Kobieta schowała lusterko do wypchanej po brzegi torebki i bez powodzenia usiłowała ją zamknąć. Ułożyła torebkę na chodniku i skoczyła na nią, deptając całym ciężarem zgrabnego ciała. - Teraz się zamknie, dziwka! - syknęła i, spojrzawszy na Henryka z przyjaznym uśmiechem, dodała: - Rozumiem pana. - Zawiesiła torebkę na ramieniu. - Niech się pan nie denerwuje, najważniejsze to zachować równowagę ducha, harmonię z przyrodą, współpracę z gwiazdami. Proszę zrozumieć portierkę. Boi się wszystkiego i dmucha nawet na letnie i gorące, w słońce i w deszcz. W naszym Archiwum, że tak powiem, trwają dziwne zawirowania, a każdy chce zachować pracę w tych czasach! Wszystko przez mężczyzn! Muszą zawsze walczyć o przewodnictwo w stadzie. Są brutalni i bezwzględni nawet za kierownicą swego ukochanego samochodziku. A w pracy, w życiu publicznym? Permanentny horror i wolna amerykanka. A ile robią hałasu! Gadają, gadają i gadają, a treści tyle co kot napłakał. Ambicyjki i niepohamowana żądza władzy. Myślą, idioci, że w ten sposób prezentują swoje zalety. Daj Boże, żeby kiedyś światem rządziły kobiety - westchnęła realistycznie, ale nie bez szczypty nadziei. - Dam panu telefon do pani Krysi Nowak. Jej mąż jest wojskowym, a ona pracuje w Archiwum już trzydzieści lat. Rozumie pan? Widzę, że chyba nie. Wojskowym! Trzydzieści! No!?! Doradzi panu, co i jak, wyciągnie pomocną dłoń. - Wręczyła mu niewielką karteczkę.

Wdzięczny Henryk buchnął ją w mankiet.

Na portierni podał nazwisko i numer pokoju. Portierka wciąż w swej kolii z okruszków wystukała numer telefonu i rzuciła do słuchawki:

- Pani Krysiu, przyjmie pani gościa? - I do Henryka: - Paszport zostaje u mnie, jakby co.

Krystyna Nowak pracowała w dziale kadr na nieokreślonym stanowisku. Siedziała za lśniącem, pustym biurkiem.

- Jak pan sądzi - zapytała Henryka, zrzucając jednocześnie z biurka niewidoczny pyłek - czy szczęście jest człowiekowi potrzebne do szczęścia?

- Szczęście? - Nie widział dokładnie twarzy urzędniczki, siedziała tyłem do okna i światło rozpryskiwało się na jej plecach. Nie był pewien, czy pytanie, które usłyszał, to zabawa, ironiczna próba sił, czy skutek lekkiej depresji.

- Można mieć wiele rzeczy, które zastąpią szczęście - zaryzykował i odpowiedział wprost: - Na przykład spokój. Ciszę. Głęboka cisza wewnątrz człowieka, rozpostarta w kościach, wypełniająca mózg i żołądek, może być, moim zdaniem, rodzajem szczęścia.

- A anioły? - Ciemna twarz pracownicy Archiwum jeszcze bardziej pociemniała, a

blask okiennej aureoli pojaśniał. - Chciałabym wiedzieć, przychodzę tu trzydzieści lat, nie opuściłam ani jednego dnia roboczego, przepraszam, jak urodziłam córkę, nie było mnie dwa tygodnie, no i siadam rano i zastanawiam się, gdzie jest mój Anioł Stróż. Rozglądam się i nie widzę, nie słyszę. Zgubiłam go, uciekł, jest aż tak dyskretny czy po prostu był jednym ze złudzeń dzieciństwa... Wie pan, święta Bożego Narodzenia, skrzydła, światło bełtające krążek powietrza i ciepło płynące przez mózg jak dźwięk altówki. Córka gra. Jest w średniej muzycznej. Czulałam coś prawdziwego czy to była dziecięca wyobraźnia, a potem tęsknota za nią? Więc istniał i opuścił mnie czy nie istniał? Anioł Stróż? Powie mi pan?

- Przyszedłem w sprawie dokumentów, ponieważ...

Urzędniczka podniosła rękę, właściwie samą dłoń, i zatrzymała ją kilka centymetrów nad powierzchnią biurka. Henryk nastawił się pozytywnie jeszcze raz.

- W kwestii Anioła Stróża wydaje mi się, że...

Kobieta była zbyt wrażliwa na brak empatii i Henryk najwyraźniej uraził ją brutalnie swoją suchą niecierpliwością. Jej ciemnorude włosy upięte w ciasny kok połyskiwały tajemniczo, wydając delikatne dźwięki. Choć wydawało się, że urzędniczka siedzi nieruchomo, pęki bransoletek na jej przegubach brzęczały jak w powolnym tańcu.

- Czy deficyt budżetowy i dług publiczny są w rzeczywistości większe, niż utrzymuje resort finansów, co pan o tym myśli? I pytanie dodatkowe: czy deficyt Zakładu Ubezpieczeń Społecznych zniszczy państwo polskie za kilkanaście lat? Interesuję się tą kwestią od ładnych paru chwil i nie mogę ustalić ostatecznych faktów. Głównie chodzi mi o daty agonii poszczególnych roczników emerytów oraz reszty narodu oczywiście. Gdyby faktycznie deficyt ZUS przekroczył wysokość budżetu państwa. I gdyby Polacy nadal się nie rozmnażali.

Henryk wobec deficytu ZUS był bezradny. Rozłożył ręce. Kobieta wstała i, podchodząc do okna, rzuciła przez ramię:

- Trzeba tu wpuścić trochę świeżej krwi. Do zobaczenia, niech się pan odezwie.

Wstał zdezorientowany, ale w porę zauważył na brzegu biurka żółtą karteczkę z nazwiskiem, a pod nim numer telefonu. Chwycił chciwie karteczkę, wetknął do kieszeni i wybiegł zaatakowany podstępnie przez optymizm.

Długo szukał wyjścia z ogromnego budynku, kluczył po identycznych, wymarłych korytarzach. Numery na drzwiach to malały, to rosły, to ich wcale nie było. W idealnej ciszy słysząc było tylko jego kroki odbijające się obcym echem od ścian świeżo pomalowanych na zjadliwy cytrynowy kolor. Raz jeden zza drzwi wyłoniła się kobieta z elektrycznym czajnikiem w rękę, ale cofnęła się szybko na widok Henryka. Usłyszał, jak przekreśliła klucz w zamku. Błądził. Nie było kogo poprosić o wskazanie wyjścia, a gdy zdecydował się

zapukać, za jednymi, drugimi, trzecimi i czwartymi drzwiami nikt nie odpowiadał. Próbował iść według wywieszzonego na ścianie planu ewakuacji, ale po długiej wspinaczce dobrnął do zamkniętych na głucho metalowych drzwi z napisem: „Strych, wejście tylko dla uprawnionych”. Wreszcie, wychodząc z jakiejś boczniczy, wpadł w środek jarmarcznego rejwachu. Zza zamkniętych drzwi wydobywał się monotony hałas, jak we młynie lub w tartaku. Wózki pchane przez zaczerwienione z pośpiechu pracownice, wypełnione stosami papierów, pędziły ze zgrzytaniem po korytarzu i wjeżdżały z ryzykownym impetem do pomieszczeń. Po chwili wyłaniały się zawałone czarnymi, dwustulitrowymi workami na śmieci. Z tabliczek na niektórych drzwiach wynikało, że mieści się tutaj Dział Cyfryzacji Zasobów. W niewielkim holu wpadł na ekipę telewizyjną. Dziennikarz stał z mikrofonem w ręku obok zasuszonego urzędnika, oblepionego wąskimi paseczkami papieru.

- Jak pan skomentuje doniesienia, że Archiwum zakupiło trzydzieści wysokowydajnych niszczarek dokumentów? - pytał dziennikarz prokuratorским tonem.

- To bzdury - oburzył się łagodnie zastępca kierownika Działu Cyfryzacji Zasobów i strzepnął pasek papieru zwisający mu fantazyjnie nad czołem. - Rozpisaliśmy przetarg na pięć nowych skanerów i rozszerzenie pamięci. Za pół roku będzie rozstrzygnięty i jeśli nie będzie protestów, a zwłaszcza zaskarżenia decyzji komisji przetargowej do sądu, to za osiem miesięcy ruszymy z robotą z kopyta.

- Niszczarki, o które pytałem, Archiwum nabyło czy nie? - Dziennikarz z determinacją i odwagą walczył o prawo społeczeństwa do informacji.

- Niszczarki - odpowiedział urzędnik głosem odpornym na czynniki zewnętrzne - są na wyposażeniu każdego biura, proszę pana. W Archiwum pracuje sto trzynaście osób, zakup nowych niszczarek był czysto rutynowy. Stare się zużyły.

Gdy Henryk odbierał w recepcji paszport, wyprzedziła go ekipa telewizyjna. Dziennikarz rozmawiał tubalnym głosem przez komórkę.

- Tak, docisnąłem w sprawie niszczarek. Jak to niepotrzebnie? Nie zapłacili? Nie pierdol. Nie mogłeś wcześniej dać znać? Wozilem dupę przez pół Warszawy. Trudno, skasuję materiał. Co powiem w redakcji? Spoko, wyjaśnię, że ciemniak odmówił wywiadu, złamał prawo do informacji, opluł czwartą władzę, podważył demokrację. No to narka, jasne, o szesnastej w Szparce.

Numer telefonu, który Henryk otrzymał od Krystyny Nowak, należał do zalatującego davidoffem ekskluzywnego eleganta, ubranego w obcisły jak trykot garnitur, z przyrośniętym do dłoni ajfonem i błyszczącym kolczykiem w uchu. Sądząc z wyglądu, był damskim fryzjerem, ale zajmował się doradztwem inwestycyjnopodatkowym. Informowały o tym złote

secesyjne litery na czarnej, lakierowanej wizytówce.

- W ramach usługi proponujemy reserch, monitoring, analitykę standingu poszczególnych pozycji emeraldzing markets, OK? Polska, Czechy, Węgry. Osiem tysięcy netto plus VAT. Faktura płatna z góry, w ciągu siedmiu dni od wystawienia.

Henryk zamówił analizę rynku finansowego pod kątem inwestycji na giełdzie w spółki z branży softwarowej. W zamian miał uzyskać wszechstronną pomoc w Archiwum.

## **Jutrzenka swobody**

Jutrzenka swobody

22 października

Nazajutrz dzień był jasny, głęboki, jakby ktoś wymienił zużyte warszawskie powietrze na dziewiczo czyste, przywiezione świeżo znad oceanu, błyszczące nagimi ostrzami lodu i głodną bielą Arktyki. Słońce pławiło się w cyfrowych i analogowych falach wysyłanych z przekaźników naziemnych i satelitarnych, by następnie spłynąć bezgłośnie na miejski harmider. Henryk telepał się od kuchni do pokoju, plątał bezładnie od telewizora do komputera. Przyszedł jedynie czuły list od Ziemińskiego i przesłany przez nowego doradcę finansowego link. W króciutkim tekście autor informował, że dyrekcja Archiwum Państwowego dementuje plotki, jakoby dokonywała zniszczeń przechowywanej dokumentacji i kupowała dodatkowe niszczarki. Przeciwnie - aktualnie rozwijane są ambitne plany cyfryzacji i nowoczesnego udostępniania zbiorów za pośrednictwem strony internetowej. Do głowy Henryka znalazło drogę słowo „zniszczeń” i pomyślał o swoich cennych świadectwach szkolnych.

Wypelzł z domu i szedł wolno Nowym Światem. Wybrał się za wcześnie z wizytą do kuzynostwa i bez wysiłku zabijał czas. Z migocących okien spłynęła smuga Wariacji Goldbergowskich. Łagodnie chwyciła jego serce i zatrzymała w dotkliwym uścisku. Na łożenie bez celu poświęć resztę życia, pomyślał. Ot, jaki pan, taki plan.

Z roztargnieniem omiatał spojrzeniem witryny i przechodniów, aż bez przyczyny zatrzymał wzrok na młodej kobiecie. W każdym razie wszystko wskazywało na to, że osoba, na którą patrzył, dzisiaj rano po przebudzeniu, z wielu otwartych możliwości wybrała opcję płci żeńskiej.

Henryk nie potrafił określić wieku dziewczyny. Na jej prawe oko spadało pasmo ciemnych włosów długo zapewne układane przez fryzjera, aby wyglądać na niesforne. Profesjonalnie niezdiscyplinowany i spontanicznie zaprogramowany lok miał przekonać bystrzejszych widzów, że jego właścicielka, obok bogatej i oryginalnej osobowości, posiada

artystyczną, rozwichrzoną duszę, obejmującą świat siecią subtelnych uczuć, wyzwolonych z męskiej dominacji. Niesubordynowany kosmyk miał dawać do zrozumienia, że mijana osoba dysponuje nieposkromioną wyobraźnią i nieustannie pracuje nad odkryciem nowych światów, galaktyk, kremów, krojów żakietów oraz orientacji seksualnych i robi to, mimo że jest tak uroczo roztargniona. Z rytmu jej kroków można było wnioskować, że jest również innowacyjna, zdyscyplinowana i konsekwentna, a cokolwiek suchy smak tych cech jest wzbogacany odpowiednio dozowanym umiłowaniem wolności.

Kobieta, bez względu na wiek, wyglądała na młodszą. Szła, a właściwie unosiła się nieznacznie, uderzając rytmicznie obcasami szpilek w powierzchnię przyjaznej Ziemi, jakby tańczyła z wiceprezesem zarządu podczas wyjazdu integracyjnego. Wiedziała dobrze, że Ziemię trzeba kochać i chronić przed wrogami i globalnym ociepleniem. Otwartość, tolerancja i nowoczesność to były fundamenty jej istnienia. Otwartość, tolerancja i nowoczesność, czyli przyszłość w trzech osobach. To one popychały do przodu jej pozbawione cellulitu pośladki, wygimnastykowane w Marriotcie, pod okiem włoskiego trenera fitness. Ona zaś, żeby zamortyzować popchnięcia, podbiegała trzy, cztery drobne kroczyki ku postępowi, odchylając się jednocześnie do tyłu w gibkiej talii, widocznej pod dopasowanym żakiem. Jej biust, umieszczony w miękkim, koronkowym staniku, poruszał się w tym samym rytmie co Puls Miasta, a ściślej mówiąc, Puls Centrum Stolicy (PCS). Młodsza od siebie, nieskazitelnie, pozapłciowo kobieca, ofiarowywała Centrum bogactwo swojej powtarzalnej tożsamości. Była z Centrum zjednoczona każdą figurą stylistyczną swoich myśli, każdą drobiną tuszu na niekończących się rzęsach, doskonałą konstrukcją ścieżki kariery, a także zapisaną w genach tragiczną historią kobiet prześladowanych w sypialniach przez heteroseksualnych, okrutnych białych faszystów przez tysiące totalitarnych lat. Z całą pewnością od dłuższego czasu zasługiwała na awans i podwyżkę. Jednak w dusznej, patriarchalno-represywnej atmosferze wadliwy proces awansu zawodowego kobiet zamrażał kariery i makroekonomiczne czynniki wzrostu. W lewym ręku niosła rytualną kawę w kultowym, plastikowym kubku, z szokującą, kochaną przez wszystkich do szaleństwa w ramach pokrywkomanii pokrywką, opatrzoną dodatkowo legendarnym ustnikiem. Chociaż gdy przyjrzeć się bliżej, pełny kubek płynął przed nią, a ona trącała go lekko końcami pomalowanych na liliowo paznokci. Z kubka jednak nie piła. Czas. Brak czasu powodował, że pić nie mogła. Sprawy wymagające jej kompetencji czekały w Biurze. No, może w windzie uszczknie jeden łyk, maleńki łyżeczek. Pieśń Starbucksa brzmiała jak obietnica wprowadzenia procedur ISO do regulaminu korporacji.

Owszem, miała ze sobą laptop. Gdyby mogła postąpić z nim tak jak z kawą. Umieścić

klawiaturę przed sobą i przebiegać po niej palcami, podczas gdy laptop płynąłby bezkonfliktowo do Biura, unoszony siłą otwartości na inne kultury oraz uciskany islam. W takiej sytuacji mogłaby uderzać smukłymi palcami w magiczną klawiaturę ludzkich losów. Nie mogła. Laptop wymagał skupienia, ceremonii, szacunku, protokołu. Wymagał lśniącego ołtarza biurka lub, w pociągu InterCity, anielskiego śpiewu jej jędrnych ud.

Kawa, skóropodobna aktówka i ona sama podfrwały miękko, ale zdecydowanie w stronę Świętokrzyskiej. Może była naczelnikiem w Ministerstwie Finansów? Asystentką w Komisji Nadzoru Finansowego? Lub naprzeciwko, w Narodowym Banku Polskim, piastowała od niedawna stanowisko wicedyrektora departamentu marketingu i promocji? To tam, w jej pokoju, słychać było w dni robocze multikulturowy recytatyw unijnych procedur, sygnały mejli i esemesów przychodzących od very important person oraz szmer ocierających się o siebie, kremowych rajtek, gdy zmieniała pozycję nóg i rozważała niuanse strategii PR. Lewe udo ocierało się o prawe i prawe udo o lewe. Na zmianę, jak nieubłagany morski przyptyw i odpływ. Teraz, na Marszałkowskiej, unoszona przez niewidzialną rękę rynku, będącą jednocześnie ręką dziennikarza pracującego dla Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz pewnego emerytowanego generała, niosła swoją wiarę i entuzjazm dla ustawowego ograniczenia dostępu mężczyzn do wyższych stanowisk. Musiała być gotowa, zintegrowana, przeszkolona, synergiczna i apdejtowana, by walczyć z hydrą populizmu, etatyzmu, katolicyzmu i syndykalizmu.

Połączyłaby mnie bez popijania, pomyślał. Bez specjalnego ryzyka założył: zatrudniona na pełnym etacie w biurokratycznej maszynie państwowej, stanowisko średniego szczebla. Samotna, bezdzietna. Zarabia sześćsiem tysięcy brutto. Ciekawe, które z wydatków na kosmetyki, fryzjera, manikiur, fitness, ciuchy, buty, hondę civic (spłata kredytu plus eksploatacja), mieszkanie, żarcie, alkohol, wakacje, prywatne ubezpieczenie, lekarzy, może w dodatku pali, finansuje bezinteresownie państwo prawa lub niezobowiązujący kochanek? (Małżeństwo to skazana na bankructwo spółka seksualna żerująca na ekonomicznym niewolnictwie i moralnym wyzysku). Popatrzył na zegarek. Nadal miał za dużo czasu na dotarcie do mieszkania kuzynostwa. Zwolnił i włókł się zygzakiem w stronę placu Unii Lubelskiej.

## **Kuzynostwo Bożena i Dawid Harsynowiczowie**

Kuzynostwo Bożena i Dawid Harsynowiczowie

22 października

Pili z Bożeną francuskie wino, które Henryk przyniósł w prezencie. Sprzedawca

okazał się profesjonalistą, wino było nad wyraz dobre. Grona zbierano późno, po pierwszym przymrozku, lekko pomarszczone od słońca, niektóre owoce fermentowały już na krzewie. Przelane do karafki miało szorstką, postrzępioną powierzchnię, bez pośpiechu odkrywającą tajemnice rodu. Aromat wypełniony był smakiem konfitur z czarnej porzeczki, doprawiony dobrze wysmażonymi, a nawet lekko przypalonymi powidłami z węgierek. Plus owoce derenia, przejrzale, zbierane pod krzewem w końcu sierpnia, w słoneczne, nudne popołudnie. A na koniec dąb, dym z tłącego się wyschniętego dębu. Brokatowy długi smak, obdarzony gasnącym echem dnia pełnego spokojnych wydarzeń. Trwał i zmieniał się. Dawid Harsynowicz bojkotował wino i brutalnie wlewał w siebie wódkę. Kończył resztki z butelek, które przynosił z kuchni czy z sąsiedniego pokoju. Mówił mało, systematycznie oddalał się z każdym łykiem.

Nie chciał mnie widzieć? Sprzeczał się o to z Bożeną? Henryk lubił ich oboje. Oprócz matki i stryjenki byli jego jedyną rodziną. Dawid nie był podobny do stryja Stasia. A może to było złudzenie? Może szukał w nim stryja zbyt nachalnie, zwłaszcza teraz, kiedy Dawid miał tyle lat ile stryj Staś, gdy zmarł. Nawet bez uważnej obserwacji można było dostrzec, że powolne ruchy i refleksyjny sposób mówienia to tylko maska skrywająca rozpalone podniecenie i niecierpliwość. W tym też nie był podobny do ojca. Robił wrażenie gdzieś spóźnionego i nieobecnego. Poza wzniesionym na samym wstępie toastem „da zdrowstwujeł Wielikaja Oktiabr’skaja Riewolucyja”[6], prawie się nie odzywał. Dążył z widoczną determinacją do stanu upojenia. Milczące zacięcie, z jakim ten plan realizował, miało zapewne sprawiać wrażenie, że picie jest częścią heroicznego boju o cele niezrozumiałe dla trzeźwych. Spotkanie rozwijało się więc w dwóch różnych tempach, według dwóch niezależnych od siebie scenariuszy, co nie wróżyło niczego dobrego. Bożena zdawała się nie zauważać samobójczego tempa męża (pił więcej wódki niż oni wina). Jej spokój i maska roztargnionego lekceważenia brały się zapewne z małżeńskiego doświadczenia, a być może, po trosze, z niskiego ciśnienia tętniczego, jakim obdarowała ją natura.

- Wiesz, kobiety do pięćdziesiątki są młode, naiwne i niedoświadczone. Pięćdziesięcioletnie są wytrawnymi psychologami i znawczyniami życia ze zdolnościami analitycznymi i zasobami danych, które można porównać z archiwami kontrwywiadu brytyjskiego lub z wiedzą Pana Boga. Zwłaszcza gdy chodzi o choroby, kremy przeciw zmarszczkom i wady mężczyzn.

Bożena usiłowała żartować, odnosząc się raczej do swojego wystudiowanego spokoju niż do ponawianych przez Dawida ataków na wódkę. Chcąc uniknąć rozmowy na ten temat, posłała Henrykowi błagalne spojrzenie, by zachował spokój i przypadkiem nie angażował się

w straconą sprawę. Znała dobrze szczegóły rozpoczętego spektaklu. Wiedziała, że najpierw wszyscy obecni muszą przejść przez czyściec, wyreżyserowany przez pijanego Dawida. Potem ona będzie miała ostry dyżur z powodu jego nocnych zapaści i jutrzejszego kaca. Pojutrze Dawid rozpocznie dwudniowe milczenie protestacyjne. Najbardziej przygnębiający był zazwyczaj piąty odcinek serialu. Czułe przeprosiny i czcze obietnice. Dawid obiecujący, że nie weźmie już kropli do ust, że następna awantura jest absolutnie wykluczona, niemożliwa, nierealna, już od pewnego czasu wzbudzał w niej tylko niesmak. Im solenniej przepraszał, tym większą miała pewność, że przebieg następnej kontrkulturowej sesji będzie bardziej przygnębiający, a jej konsekwencje bardziej upokarzające. Cykle Dawida były częścią ich przewidywalnego życia, jak rzępolenie przestarzałej windy czy listy matki Bożeny, która namawiała ją namiętnie do rzucenia Dawida w diabły, by przynajmniej starość mogła przeżyć normalnie. Bożena na listy nie odpowiadała. Między innymi dlatego, że rozdrażniło ją słowo „starość”, którego matka, sama po siedemdziesiątce, używała z niezdrową przyjemnością.

Dawid, pólżąc w fotelu, z przymkniętymi oczami, wydobywał z siebie czasem: tak, uhm. Zacięta twarz wyglądała przeciętnie, tak jak i reszta zadbanego właściciela. Szpakowate, sztywne, ostrzyżone na jeża włosy dawały gwarancję, że nie wyłysieje do późnej starości. Pił, nie zwalniał tempa i zapadał się coraz głębiej. Szukał dna i je znalazł, wstrząsnęły nim torsje. Wybiegł, ściskając dłońmi usta. Odgłosy wymiotującego męża Bożena skwitowała cierpliwym uśmiechem siostry miłosierdzia, może nieco bardziej kobiecym, niżby wypadało zakonnicy. Wyraz jej oczu zmieniał się szybko i wraz z nim zmieniała się reszta jej ciała. Falista linia szyi, ramion i rąk spływające ciepło wzdłuż sukienki. Ruchliwe światło odbite od włosów spadało na korale, dłonie z niebieskimi ścieżkami żył i lśniące, krótkie paznokcie o naturalnym kolorze. Przez kilkanaście minut milczała, jej serce i płuca pracowały pod cienką bawełną, a wilgotny, zielonkawy zapach jej perfum krążył po pokoju i osiadał na meblach i perskim dywanie, drażniąc nozdrza Henryka.

Henryk pił wino. Nie myślał. Gdy się ocknął, powtarzał w duchu: Muszę już iść, muszę stąd uciekać.

I znowu drętwiał, zapominając o nich i o sobie.

Świadomość przywrócił mu jęk, a po chwili zduszony krzyk Dawida dochodzący z łazienki.

- Przeleć ją, Heniu, zrób jej słowiańskiego chłopca. Zerznij ją, śmiało, ona chętnie urodzi czystego rasowo Aryjczyka.

Nie patrzył na Bożenę. Co wydarzyło się między nimi? Gdzie zabrnęli? Czemu on tak



bredzi, poniżej i ją, i siebie? Przecież, poza wszystkim, pomyślał zimno, kobiety w tym wieku, nie, Bożena chyba nie mogła już zająć w ciąży. Gdy wszedł do łazienki, Dawid, półleżąc na podłodze, obejmował kurczowo muszlę klozetową pełną wymiocin. By zmniejszyć odór, Henryk spuścił wodę i pochylił się nad kuzynem.

- No jak? W porządku?

- Przeleciałeś ją? Przyznaj się! Dobra jest, co? - wybełkotał Dawid.

- Daj spokój, prze...

- Nie, nie dam spokoju!

Dawid odmówił stanowczo i wyraźnie, jakby nagle odnalazł ukryty zapas sił. Próbował wstać, ale była to próba przedwczesna. Skończyło się na tym, że wyrzwał głową w ścianę i przyszła nowa fala torsji. Kaszłał i charczał. Henryk chciał go zostawić w łazience i zmyć się jak najprędzej. Był niemiłosiernie trzeźwy, więc panował nad sobą. Nawet nie próbował zrozumieć Dawida czy z nim gadać. Słuchać go też nie chciał. Zastanawiał się, jak uniknąć choćby najbardziej zdawkowej wymiany zdań z Bożeną. Po wyjściu z tej cholernej łazienki będzie musiał się z nią pożegnać. Umył ręce. Gdy już wyszedł i cicho zamykał drzwi, jak cios w skroń uderzył go krzyk Dawida, przechodzący momentami w zawodzenie.

- Ta dziwka nie chciała mieć dziecka z Żydem. Żydowski pomiot nie miał prawa ujrzeć światła w tym domu. Ale ty jesteś czysty Polaczek, to wal śmiało, masz szansę, splódź jej Aryjczyka. Mój synek, gdzie jest mój synek? Jak ja mam żyć? Mój ukochany, gdzie jesteś? Dla kogo mam żyć w tym morzu krzyżowców, ciemnych katoli i radiomaryjców? Komu zostawić przeklęte dziedzictwo? Oni szczerze nienawidzą zabójców Chrystusa. Mnie, żydka, nienawidzą ci piewcy miłosierdzia. Dlaczego? Daliśmy temu narodowi wszystko, Pana Tadeusza i Kwiaty polskie, Koniec świata szwoleżerów, Sklepy cynamonowe i najpiękniejsze bajki dla dzieci, a oni? Oni to wszystko nieudolnie przełożyli na zdrowaśki i nienawiść. Ten chłopski, tępy naród szmalcowników mieszka w naszych rozporkach i szuka naszego nasienia w każdym nieszczęściu. W każdej klęsce. Żalodne ofiary żydowskich spisków. Cała ich historia jest żydowskim spiskiem. Bez naszego spisku nie ma Polski. Mało im widocznie dopierdolił ich katolicki Bóg, skoro mają się za największe ofiary. Większe od nas, prześladowanych od tysięcy lat. Chcecie cierpieć więcej od nas, to będziecie. Już wam to ten żydowski Bóg załatwi i wreszcie zdechniecie. Znienawidzicie go tak, że i jego będziecie chcieli zabić. Chociaż już pałacie żądzą mordy! Los Mesjasza, jak się go doczekamy, jest przesądzony. Zabijecie go! Polujecie na niego nie od dzisiaj. W Jedwabnem też pewnie myśleliście, że ukrywa się wśród miejscowych. Chcecie krwi! Naszej krwi i świętej krwi Mesjasza!

Bożena mówiła cicho do siebie, jakby nie pamiętała, że Henryk jest w pokoju, jakby powtarzała sobie dziwną, niezrozumiałą historię, którą musi zachować dla kogoś, kto się jeszcze nie urodził. Kto ją pojmie i wyjaśni ukryty w niej prosty sens.

- Mama Dawida opowiadała mu o babce Salomei. Skape informacje zdobyła od męża. Nie było to łatwe, bo Staś nie chciał, nie był w stanie opowiadać o swojej mamie. Zwłaszcza o jej śmierci. Raz zrobił wyjątek, w noc poślubną. To była dziwna noc. Chciała wzywać lekarza. Więcej do tych wydarzeń nie wrócił. Nagabywany przez żonę, by opowiedział historię rodzinną synowi, prosił, by go w tym wyręczyła. Więc moja teściowa, twoja stryjenka, wzorowa matka i pedagog, uznała, że ma obowiązek opowiedzieć Dawidowi, jakie były koleje losu rodziców Stasia. Irena powiedziała mi, że gdy skończyła, Dawid nie odezwał się ani słowem. Wstał, pocałował ją w obie dłonie i wyszedł.

Byliśmy wtedy rok po ślubie. Tak, tak, byliśmy bardzo szczęśliwi. Boże mój, gdyby ten czas mógł wrócić! Chociaż teraz zastanawiam się, czy Dawid rzeczywiście był szczęśliwy, czy czuł to co ja. Przecież czegoś musiało mu brakować. Mógł nie wiedzieć czego, ale mimo to pragnąć, tęsknić. Dawid z pasją zaczął poszukiwać informacji o odeskiej rodzinie Szeryngów, naszych, to znaczy twoich pradziadków. I, wyobraź sobie, znalazł sporo ciekawych rzeczy. Josif Szeryng był szanowanym kupcem. Szanowanym nie tylko ze względu na sukcesy handlowe. Był filantropem, mecenasem artystów odeskich, oczywiście na niewielką skalę, nie był wielkim bogaczem. Handlował drewnem, zbożem, bakaliami. Na wszystkim potrafił zarobić. Źle powiedziałam, nie zarabiał na wszystkim. Nie handlował bronią. Wtedy największe fortuny powstawały na kontraktach z armią, ale Szeryng nie chciał im dostarczać nawet kalesonów. Wojen wtedy nie brakowało. Nigdy ich nie brakuje. Podobno mawiał: Śmierć każdy ma swoją własną otrzymaną w wianie od Boga razem z życiem. Kupować jej nikt nie musi. A sprzedawać nie ma prawa. Handel śmiercią to nie jest ludzkie zajęcie, to interes diabła.

Josif Szeryng pochodził z głębi Rosji, spod Uralu. Jak trafił do Odessy - tego nie wiadomo. Jego żona Sara była ze spolszczonej rodziny frankistowskiej z Galicji. Dawidowi bardzo zależało na odnalezieniu jakiegokolwiek wzmianki, czy Szeryngowie byli religijni, czy chodzili do bóżnicy, ale nic nie znalazł. Owszem, wyszperał, że łożyli na żydowski cheder, ale okazało się, że wspierali także katolicką ochronkę. Dawid wiedział, że ich córka, babcia Salcia, była bardzo religijna, ale była katoliczką. Tak wychowywała Józia i jego ojca. Sara musiała być silną kobietą, skoro Salomea została Polką, chociaż Josif był rosyjskim Żydem. A mieszkali przecież w namiętnie antypolskiej Rosji.

Po jakimś czasie Dawid zauważył, że żydowscy przodkowie mają dla niego coraz

większe znaczenie. Grzebał po archiwach. Pasjonował się kulturą polskich Żydów, zwłaszcza tych z kresów południowowschodnich. Potem rozszerzył zainteresowanie na Izrael. Żyliśmy prawie tak samo, ale on zaczął się wyślizgiwać z naszego życia. Jakaś jego część odchodziła i to puste miejsce zaczęła wypełniać melancholia. Uśmiechał się, ale przeze mnie patrzył gdzieś dalej, przez ściany, granice i warstwy czasu. Tuliłam go, ale coraz mniej jego ciała było w moich ramionach, a coraz więcej przelewającej się przez ręce niepewnej nieobecności. To odpływanie, wchodzenie w inny wymiar mógł odziedziczyć po ojcu. Rozmawiałam o tym z twoją stryjenką. Wreszcie, mniej więcej dziesięć lat temu, wyznał mi, co przeżywa: „Bożenko, obawiam się, że mam jakieś zaburzenia. Jestem na granicy mnie i kogoś innego. A może to jest jeszcze prostsze, niż myślę. Nie jestem już tym, kim byłem dotąd. Może chodzi o zwykłą zmianę, ewolucję poglądów. Albo jeszcze prościej, o odkrycie prawdy. Ale jeszcze nie mam pewności, czy już jestem kimś innym. A chyba chcę. No... na pewno tego pragnę. W dodatku nie wiem, nie wiem, kim właściwie byłem, będąc Polakiem. Co to dokładnie dla mnie znaczyło. Kiedyś, wczoraj... może wiedziałem. Czy to oznacza, że już jestem Żydem? Też nie jestem pewien. Chyba chcę nim być. Może lubię cierpieć, bać się i czekać na najgorsze? Być krzywdzonym? Wyrzutem sumienia ludzkości? Może do szczęścia najbardziej potrzebuję nieszczęścia? Polskość mi to zapewniała, ale żydowskość daje w dwójnasób”.

Kochałam go i wierzyłam, że jeśli znajduje sens w tragicznej tożsamości, zgładzonym istnieniu, to chwile zwykłej radości, codzienne małe uniesienia i jasne momenty spokoju znajdzie ze mną, dzięki mnie. W moich ramionach. I walczyłam, Boże mój, walczyłam do upadłego. Ale przegrywałam. Dlaczego? Nie wiem. Było coraz gorzej. Wiesz, on był... jest... już sama nie wiem, chyba nadal jest patriotą, państwowcem, republikaninem. Przynajmniej chwilami. Uważał na przykład, że państwo polskie poddało się. Oddało się w ręce lobbystom, agentom wpływu, złodziejaszkom. Po prostu abdykowało. Klasa polityczna skreśliła ten naród, bo jej nie odpowiadał i jak w wierszu Brechta chciałaby wybrać sobie nowy. Nie był fanatykiem, był realistą. Mówił: „Nie wchodzę w to, czy nowa klasa średnia jest tworzona przez byłą nomenklaturę, ubeków, czy uczciwych tytanów pracy. Trzeba iść do przodu. Ludzie się adaptują, a agentów obcych państw powinien łąpać kontrwywiad, a nie publicyści. Mają pomnażać siłę polskiej gospodarki, to wszystko. Bo własność ma być polska, preferencje ma mieć polski kapitał”. Tak został w kręgu znajomych, w swoim instytucie, nazwany nacjonalistą, endekiem, etatystą, socjalistą, bolszewikiem chorym z nienawiści. I, wyobraź sobie, on dalej ma takie poglądy. Chociaż teraz właściwie już nie mówi o sprawach publicznych. Ale dawniej, jeśli mówił, to zaczynał i kończył na sile państwa, interesie

narodowym.

Sprawę ostatecznie skomplikował brak dziecka. Chciał mieć syna. Oboje bardzo tego pragnęliśmy. Nie udało się. Nie bardzo wiadomo dlaczego. Adoptować nie chciał. Gdy straciłam okres i klamka zapadła, zaczął pić. U nas w domu właściwie się nie piło. Od wielkiego dzwonu butelka czerwonego wina. Alkohol sytuację rozstrzygnął i zakonserwował. Mam więc w domu dwóch ludzi - trzeźwego, cichego, prawicowego oszołoma, państwowca, delektującego się swoimi żydowskimi korzeniami i nowo odkrytą tożsamością, i drugiego, pijanego, sfrustrowanego, jałowego ojca i roztrzęsionego Żyda, rozczynuującego się w nicowanej na nowo historii Polski, nienasyconego polakożercę, tropiącego antysemitów wśród wyróżnionych przez Yad Vashem. Jest tak zrozpaczony, że gdyby nawet cały naród polski, jeśli coś takiego jeszcze istnieje, dał się zbiorowo ukrzyżować, to on uznałby to za wygodnictwo i ucieczkę od odpowiedzialności. Zgniłe tchórzostwo i faryzeizm. Kac mija, mija agresja. Życie na huśtawce. Nie wiem, jak długo wytrzymam. Powoli zaczyna mi brakować sił. I nie wiem też, jak długo on wytrzyma. Powinnam cię ostrzec. Nie powinieś tu przychodzić. On w tym amoku nawet nie pamiętał, że macie identyczne pochodzenie, tę samą krew w żyłach.

Bożena zamilkła. Patrzyła na swoje dłonie, bezradnie leżące na kolanach. Henryk starał się oddychać jak najciszej. Po kilku minutach podniosła głowę.

- Nie żyjemy ze sobą od lat. Raz usiłowałam go zgwałcić, ale nie udało się. Już idź. Dziękuję ci, ale już idź...

Henryk wstał z fotela. Nie wiedział, jak przejść obok niej, jak się pożegnać.

- Wiesz, że wolałbym zostać - skłamał - ale może rzeczywiście będzie lepiej, jak pójdę.

Cmoknął ją w policzek i pogładził niezręcznie po ramieniu.

Zbiegł na dół, zapomniawszy o windzie. Dopiero gdy wypadł z klatki schodowej i szedł wzdłuż gęsto zaparkowanych samochodów, stwierdził, że mógł wrzasnąć jeszcze głośniejsze od Dawida:

- Jestem takim samym Żydem jak ty, parchu! A ty takim samym polaczkiem jak ja!

Ale czy on mówił do mnie? - pomyślał. Bożena słuchała tego któryś raz, więc chyba również nie do niej.

Mogło nie mieć żadnego znaczenia, do kogo Dawid mówił, ale dla Henryka znaczenie miał fakt, że usłyszał. Dotąd był w połowie Rosjaninem, w połowie Polakiem. Nie odmierzał sobie krwi, jednak ta mieszanka niepokojąco tliła się i czekała na porywisty wiatr. Teraz polsko-rosyjski żar miał parzyć także żydowskim losem.

## Wołyń

Wołyń lata czterdzieste XX wieku

K toś być może zapamiętał ostatnią niedzielę sierpnia owego roku. Mogła być łudząco podobna do poprzednich niedziel, ale i zwykłych, powszednich dni. Lekka i rześka lub pusta, parna i niema, jakby paraliżował ją strach przed nadchodzącą burzą. Mogła być też wietrzna i słoneczna jak w maju, ozdobionym mirtem, bukszpanem i konwaliami z powodu Pierwszej Komunii drugoklasistów. Albo odwrotnie - nasycona mgłą i wilgocią jak powietrze w piwniczce, w której całą wiosnę i lato pod warstwą słomy przechowuje się bloki lodu wyrąbane zimą w stawie. A może była jeszcze inna, łudząco podobna do nieistniejących dni, które przyjdą kiedyś, może za rok, dwa lub dziesięć lat, albo nie pojawią się nigdy.

Noc zebrała pośpiesznie swoje bambetle i odeszła wypchana stłamszonymi snami, a miejscowi, ci, którzy zdołali wstać, marzyli od świtu, by choć trochę odpocząć. Liczyli na najlichszą obietnicę chłodnego spokoju, przechowanego gdzieś na uboczu, pod zdziczałymi wiśniami. Zapewne nikt by się zbytnio nie sprzeciwiał, gdyby nadszedł wiatr i wreszcie rozpuścił kwaśne znużenie zalegające ciężko nad suchymi polami. To samo dotyczyło pyłu, który od początku lata drżał nieruchomo nad rozjeżdżoną, sypką drogą.

Domy stały po dachy zanurzone w gorączce. Wydawało się, że tylko najwyższe drzewa, na przykład masztowe sosny, sięgały z wysiłkiem do zimnego, niebieskiego powietrza, które można pić jak świeże, gęste mleko lub lodowatą, orzeźwiającą sytę. Psy, kury, gęsi i bydło od rana szukały rzadkiego cienia, drzemały przygniecione brzemieniem powietrzem, poplamionym lepkiem, słodkim sokiem. Widząc zachowanie zwierząt, nikt się już nie mógł oszukiwać i czekać na złudną ulgę popołudniowej, niespokojnej drzemki.

Dzień włócił się już od pewnego czasu, wczepiony w potężne zwalę kłębiących się, wulkanicznych cumulonimbusów. Chmury mogły zejść nisko (nimbostratus) w poszukiwaniu wsparcia dla swoich egoistycznych celów i ocierały się o wyschniętą na wiór ziemię. Altocumulusy mogły sunąć pewnie, szybko, nie zostawiając śladów i nie pozwalając nikomu na zachowanie w pamięci ich płaskich twarzy i białych źrenic. A może niebo było czyste, nienaruszone przez ostrze obłoków? A światło? Było białe z resztkami niebieskich i czerwonych cieni? Rozsypywało się między opoką nieba, chmurami, falą słońca i pochylonymi wierzchołkami traw: kostrzewy łąkowej, mietlicy, tymotki, wiechliny, życicy i psiego perzu?

Sierpniowy dzień w wiosce pod Mikuliczami rozpoczął się niepostrzeżenie. Przyszedł z nienacka, sunąc znad wzgórza królowej Bony w Krzemieńcu, znad Dubna, Beresteczka i

Horochowa, albo od strony Lwowa, Złoczowa, Sokala i Brodów. Mimo wczesnej pory mógł już iść od dawna, mijając Łuck, Kowel, a nawet Włodzimierz. Strony świata w tym dniu nie były ważne.

Drewniane domy i gospodarskie obejścia pławiły się w dobrotliwym świetle wspólnie z drewnianą cerkwią i czterema murowanymi budynkami: kościołem greckokatolickim, szkołą, dawną karczmą, teraz nazywaną zajazdem, i domem aptekarstwa Krzysztofowiczów. Odnoga nieutwardzonej drogi, idącej między domostwami, skręcała na północ i wspinała się lekko w górę, w kierunku lasu. Tam, na zboczu wzniesienia, liczącego nie więcej niż 200 metrów nad poziomem morza, w otoczeniu ażurowych brzoź i żylastych topoli stał drewniany, obszerny dom Harsynowiczów. Nieopodal, w zasięgu wzroku, rozłożyły się, rozrzucone nieregularnie, pozostałe trzy domy wojskowych osadników, budowane w stylu polskim, na kamiennej podmurówce, szalowane deskami z żywicznych modrzewi. Sikorówka porucznika Eugeniusza Wędziagolskiego, Woda kapitana Niemirskiego i Dębina rotmistrza Stanisława Grocha. Najbliżej lasu stał dom Harsynowiczów nazywany Górką. Wchodziło się doń z północnej strony opartej o granatowy, mocny cień lasu. Od południa zdobiła go wysoka oszklona weranda sięgająca poddasza. Przed werandą, z której wyjść można było po trzech kamiennych schodkach, oko domowników i przybywających gości cieszył czarnoziemny ogród pełen różnego kwiecia. Przy płocie stały wyprostowane białe i czerwone malwy, czerniały dojrzałe tarcze słoneczników i kipiała wokół wciąż otwartej furty pnąca róża, obsypana gęsto, jak posażna panna, różowym lekkim kwiatem.

W środku, na grządkach rozrzuconych swobodnie, w pozornym nieporządku, stały smukłe złocienie, lśniły cynie i trzymały się ziemi bratki posadzone zaraz obok licznych odmian dalii i różnobarwnych georginii. Ozdobą tej części ogrodu były zioła: ogromny lubczyk, oliwkowa szalwia, odurzająco pachnące mięta, rozmaryn i tymianek, a także hodowane dla nasion kminek, czarnuszka i kozieradka.

Od zachodu rozłożył się ogród warzywny. Było w nim prawie wszystko, co rosło w tutejszym klimacie - dorodne, ciemnozielone liściaste selery, lżejsza i jaśniejsza pietruszka, marchew, pomarańczowe pęcherze dyń, ciężkie kawony, drobne melony i cukinie, prawie tak czarne jak staw w najgłębszym miejscu. Ciężkie grona pomidorów oparły się o wysoką grzędę, a ogórki wciąż kwitły cytrynowo mimo kończącego się lata. Przy płocie rzędem posadzono dawno już zebrany włochaty agrest, czarne i czerwone porzeczki i kępę malin. Ratafia z tych owoców w ogromnych zielonych słojach czerniała już w słońcu i nęciła ostrym, przeświecłym zapachem fermentacji.

Od wschodnich, kontynentalnych wiatrów osłaniała dom grupa drzew owocowych i

dwa spore orzechy włoskie, zasadzone w rocznym odstępie, z okazji urodzin synów.

Gdyby w wiosce i w wojskowym przysiółku ludzie mieli psi węch, już o piątej rano poczuliby swąd idący od głodnych ogni w sąsiednich Łokaczach i rozrzuconych nieopodal przysiółkach. Swąd płonących pierzyn, ikon, siana z tegorocznych pokosów, słomy, uprzęży i strzech ugniecionych pracowicie przez padające przez lata deszcze i śniegi. Smrodu płonących włosów, paznokci i trudnych do spalenia ludzkich ciał też nie było czuć. Ze zwierząt płonęły tylko psy. One ginęły przeważnie pierwsze. Krowy czy konie raczej uprowadzano niż zabijano.

W osadzie powietrze stało w tym samym miejscu, w którym spędziło noc. Było koło piątej. Salomea Harsynowiczowa była na nogach już od kwadransa, może dwóch. Noc miała ciężką i nie zwróciła uwagi, o której godzinie zrezygnowała z prób drzemki. Z sypialni wyszła, nie spojrzawszy na budzik. W kuchni nie było zegara. Salomea panowała nad domem bezbłędnie. Wszystkie prace domowe, życie towarzyskie czy wyjazdy przebiegały zawsze bez niepotrzebnych nerwów i opóźnień. Powieszony kiedyś na kuchennej ścianie zegar z kukułką kazała mężowi usunąć, bo ją rozpraszał i powodował niepotrzebny pośpiech. Wisiał teraz w stołowym pokoju, obok niewielkiego portretu Kościuszki w krakowskiej sukmanie. Wczoraj wieczorem zaprzyjaźniona z rodziną Oksana przyniosła pół gomółki białego sera. W domu było trochę mąki, więc ugniatała na bukowej stolnicy ciasto na pierogi. Owszem, pierogi z serem na śniadanie to był zbytek, ale Salomea, dzisiaj wyjątkowo niespokojna, postanowiła, trochę dla ukojenia nerwów, zrobić synom niespodziankę. Poranne, czułe myśli o śpiących chłopcach i fizyczne zajęcie było najlepszym lekarstwem na niepokój ssący w dole brzucha. Nic nie jadła, wypila tylko kubek kawy zbożowej z odrobiną gryczanego miodu wypłukaną z pustego słoika, z którego resztkę wyskrobał wczoraj Staś. Kawa zbożowa z cykorią zawsze ją uspokajała. Lubiała ją parzyć sama, ale czasem, gdy była w gorszej kondycji, mąż przynosił jej świeżą do łóżka. Na drewnianej tacy stała wtedy miseczka miodu lipowego, duża filiżanka z grubego fajansu i biały emaliowany dzbanek z ultramarynową obwódką na pokrywce. Dzbanek służył przez całe lata w rodzinnym domu Salomei i jego widok nawet bez pachnącej kawy poprawiał jej nastrój.

Salomea mogła się już była przyzwyczać do obecności drażącego niepokoju. Minął szmat czasu od wybuchu wojny i od momentu gdy mąż opuścił dom, powtarzając skrupulatnie scenę z ryciny Grottgera Pożegnanie powstańca. Nie czuła się porzucona, czuła się najzwyczajniej pozbawiona życia, które wybrała i które pasowało jak ulał do jej zwiewnego, panińskiego planu. Najpierw rozpacz powodował brak jakichkolwiek wieści i trudna do zrozumienia wiadomość o przegranej wojnie, którą z zimnym wysiłkiem ukrywała

przed synami. Nie otrzymała nawet najbliższej wskazówki, czy kapitan Mieczysław Harsynowicz zginął, czy ocalał z wrześniekiej klęski, czy też leży w jakimś lazarecie bez przytomności ze stwardniałą skorupą bandaży na niewidocznej twarzy. Gdy tylko zamykała oczy, wszystkie warianty śmierci, otwartych ran, głodu, niewoli i poniżenia przygniatały ją brutalnie do ziemi. Miała jednak nadzieję, że mąż krąży gdzieś w chaosie niemiecko-sowieckiej inwazji, że telepie się gdzieś na chłopskim wozie, przekrada przez mokradła, śpi chciwie zakopany w odurzające zapachem siano. Nie potrafiła jednak wyobrazić sobie żadnych szczegółów: guzika od munduru, zabłoconych butów, przepoconej koszuli, do których mogłaby przyłgnąć, wczepić się w nie, a dzięki nim w całą wojenną poniewierkę męża. Śpiewała często, niemal radośnie, bo nie chciała go zasmuć.

Rozkwitały pąki białych róż, Wróć, Jasieńku, z tej wojenki, wróć!

Wróć, pocałuj jak za dawnych lat - Dam ci za to róży najpiękniejszy kwiat.

Potem strach się zmieniał. Miał aż nadto możliwości. Mieczysław przysyłał listy z sowieckiej niewoli, a ona, bezgłośnie płacząc, pisała do niego pogodne opowieści, pełne domowych historii, śmieszności i cytatów z dialogów Józia i Stasia. Salomea, nie przerywając domowych prac, modliła się nieustannie, wzdychała do świętych, do Judy Tadeusza, do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i, mimo strachu, była dziwnie pewna, że mąż przeżyje dzięki jej modlitwom. Wreszcie zaczęła otrzymywać listy, wprawdzie nadal opatrzone pieczętką sowieckiej cenzury, ale pisane przez wolnego człowieka z tworzącej się polskiej armii.

Powiedziała do siebie półgłosem:

- Świeży biały ser nie powinien długo leżeć. I chłopcy tak lubią pierogi.

Mimo to lęk podchodził coraz wyżej, chwycił za krtań miękkim uściskiem, jakby zawiązała zbyt mocno gruby wełniany szalik.

Salomea mogła bez przeszkód skończyć lepienie pierogów, ponieważ jej miejscowość miał zaatakować organizujący się dopiero na terenie kilku okolicznych wsi samoobronnyj kuszczowyj widdi[7] Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Atakiem dowodził niedoświadczony, młody prowidnyk[8], który sam chciał wziąć udział w opanowaniu Mikulicz, jak twierdził, ze względu na przysiółek wojskowy. Powód do ostrożności był pozorny. Przysiółek był niewielki, a mężczyzn nie było w nim od końca sierpnia trzydziestego dziewiątego roku. Ambitny prowidnyk zabronił jednak zaczynać bez jego udziału i postanowił, dla większego szyku, zajechać świeżo zdobytą na Polakach bryczką. W bryczce pękła ośka i zanim ukraiński dowódca dotarł na miejsce zbiórki naprędce zorganizowaną podwodą, nad osadą gościnnie i szeroko rozpościerał się sierpniowy dzień.



Trawy, które ledwie odbiły po trzecim pokosie, gęste i wyprostowane nocą, zaczęły pochylać się w promieniach niskiego słońca. Jak to w sierpniu, ptaki milczały i sady stały cicho. Jabłonie całą noc ssały wodę, krzemionkę, sole wapnia, żelaza, potasu i teraz nasycone, w półśnie karmiły dojrzewające jabłka. Wśród nich była grochówka z lekkim, paskowanym rumieńcem, seledynowa antonówka, twarda jak kamień i trochę kanciasta, kosztela gładka i zielona, złota reneta o żółto lśniącej powierzchni pokrytej pomarańczowym rumieńcem i malinowa oberlandzka, przez której czerwono-bordową skórkę prześwitywała żółtawa zieleń. Przy domach stały pojedyncze grusze, najczęściej bergamotka złocista, i kępy śliwy lubaszki z granatowymi, prawie czarnymi drobnymi owocami pokrytymi niebieskim nalotem. Na dachu jednej ze stodół dwa ostatnie, cudem ocalałe gołębie wygrzewały się i podlatywały z klaskaniem skrzydeł. Salomea usłyszała skowyt psów, ruch i krzyki niżej, w gęstszej zabudowie i zrozumiała, dlaczego bała się podczas bezsennej nocy i miotała od świtu po domu jak chora ćma. Wybiegając z kuchni, odruchowo zdjęła fartuch i rzuciła go na krzesło. Rozespani chłopcy szybko wciągnęli buty. Wtykając im w ręce swetry i kawałek chleba, pomyślała o gotowych do gotowania pierogach. Włożyła starszemu na szyję woreczek z carskimi pięćiorublówkami i powiedziała:

- Wzdłuż wąwozu i w lewo, w las, na Włodzimierz, do ciotki Marii. Józef, przysięgaj na Chrystusa, że będziesz chronił Stasia. Zawsze. Do śmierci. Ja pójdę zaraz za wami.

Pierwszy raz do Józia powiedziała Józef. Żałowała przez chwilę, że nie zwróciła się do pierworodnego pieśczołliwie, tak jak zawsze. Józio był już wyrośniętym młokosem, z sypiącym się cieniem wąsów, twierdził, że jest dorosły, i trochę boczył się na matkę za zdrabnianie imienia. Salomea wiedziała, że widzi synów po raz ostatni. Nie mogła uronić ani chwili i musiała uroczyście powierzyć starszemu Stasia.

Taki jest mój testament. Mój Boże, tyle zostawiam dzieciom, pomyślała. Ufała starszemu synowi, ale chciała, żeby wszystko zrozumiał tak, jak rozumiała matka.

Czterdziestotrzyletnia Salomea, żona surowego i zamkniętego w sobie oficera Korpusu Ochrony Pogranicza, matka Józia i Stasia, wykształcona na pensji dla ziemiańskich córek w Odessie, prowadziła dom z pogodnym spokojem i bardzo lubiła mieć w nim idealny porządek. Biżuterię trzymała w dwóch drewnianych szkatułkach stojących na wykładanej orzechem toaletce. Pierwsza z lekkim japońskim rysunkiem trzciny i żurawia na wieczku. Druga, pamiątka z wycieczki do Zakopanego, ozdobiona podhalańskim dziewięcisięciem, wyciętym bezbłędnie w lipowym drewnie. Perły i korale pośpiesznie wrzuciła za dekolt, pod bluzkę. Drugą, mniejszą szkatułkę z pierścionkami i bransoletami zabrała w całości. Gdy wybiegła, chłopcy byli już pięćdziesiąt metrów za domem, nawet trochę dalej.

Od wsi zbliżało się szybko kilku ludzi. Biegli w milczeniu, pod górę, pochyleni. Było im ciężko. Na czele biegł mężczyzna z widłami, za nim drugi, uzbrojony w dubeltówkę. Rzuciła się za synami, krzycząc:

- Józiu, weź go za rękę, szybciej!

- Mamo! Ma... - krzyknął Staś, łapiąc oddech.

Wtedy Salomea zwolniła. Biegła coraz wolniej, oglądając się i starając ocenić odległość synów od lasu i napastników od niej. Po chwili skręciła w stronę wąwozu i zbliżywszy się do jego krawędzi, zawołała do biegnących mężczyzn:

- Mam złoto! Całe moje złoto!

Uniosła szkatułkę w górę, tak by ją mogli zobaczyć, i nie patrząc w dół, skoczyła do wąwozu.

Wąwóz przecinał las i wychodził na podlesne łąki. Na jego dnie tlił się strumień, który z roku na rok, deszcz po deszczu, odwilż po odwilży, drążył gliniaste podłoże, omijał kamienie i pracowicie pogłębiał koryto. Tegoroczne wiosenne roztopy silnie na tym odcinku podmyły skarpe. Była prawie pionowa, wysoka na co najmniej cztery metry. Nogi zderżyły się z twardą, ilastą ziemią. Upadła z głuchym jękiem i czekała. Wreszcie zza krawędzi wychyły się dwie postaci. Ci ludzie byli stąd. Zatrzymali się. Dyszeli ciężko, patrzyli na nią bez słowa. Przyzwyczajali się do nowej roli pani Salomei Harsynowiczowej, żony kapitana Mieczysława Harsynowicza. Nie biegli dalej. Odurzająca fala ciepła uderzyła ją w piersi i kilka łez ulgi popłynęło po policzkach. Nie mogła wstać. Spojrzała na dziwnie odwróconą stopę wystającą spod plisowanej spódnicy i nie wiedziała, czy należy do prawej, czy lewej nogi. Ból czuwał, ale był bezimienny. Był poza jej życiem. Jakby ktoś ofiarował się cierpieć dla niej, za nią. Z powodu niepowstrzymanej, ogromnej miłości? Ktoś, kogo znała, czy ktoś obcy? Nieznany, inny, niż mogła sobie wyobrazić? Już nie muszę uciekać, pomyślała. Mężczyźni patrzyli z góry, mówili coś gorączkowo jeden przez drugiego.

Wszyscy w wiosce doskonale się orientowali, że mąż Salomei, kapitan Mieczysław Harsynowicz, miał pewną słabość, zresztą innych nie zauważono u tego obdarzonego żelaznym charakterem mężczyzny. Słabość do jego ukochanej, uwielbianej i, co było ambicją kapitana, rozpieszczanej żony. Złotawej, wiotkiej, świetliście dziewczęcej, mimo uchodzących w pośpiechu lat. Zdobytej, jak sądził, z niemałym wysiłkiem w 1923 roku, pięknej córki Josifa Szerynga z Odessy i Sary z Berkowiczów. Kiedyś, w noc świętojańską, wyznała mu, że to ona go wybrała i powiodła do ołtarza. Wspaniałomyślnie pozwoliła cieszyć się młodemu, ambitnemu żołnierzowi walką i zwycięstwem. Był zachwycony tą wiadomością.

Małżeńska słabość kapitana wyrażała się przede wszystkim w regularnym obdarowywaniu ubóstwianej żony prezentami, a szczególnie biżuterią, wyszukiwaną i kupowaną przy każdej okazji.

- Wiesz, złotko, przypadkiem trafił mi się taki drobiazg... - powiedział niedbale Mieczysław, wchodząc do domu. Kładł w przedpokoju pudełeczko i przemykał szybko do pokoju stołowego, siadał w fotelu i czekał. Salomea dobrze wiedziała, co sprawi mężowi przyjemność. Wkładała naszyjnik, bransoletkę, kolczyki czy inne precjoza, patrzyła przez chwilę w lustro, odwracała się i pytała zalotnym głosem:

- I jak wyglądam, Mietku, beznadziejnie, prawda? Trzeba będzie to oddać.

Śmiała się i patrzyła spod przymrużonych powiek, opierając dłonie nieco powyżej bioder i przechylając lekko głowę, zawsze w prawą stronę.

- No, chodźże do mnie, jubilerze. Przecież wypada, żeby panna z dobrego domu ładnie podziękowała za prezent.

By mieć pewność, że napastnicy nie ruszą za chłopcami, Salomea rozerwała bluzkę. Biżuteria rozsypała się obok niej na sinym, twardym ile.

- Mam wszystko, mam złoto - powtórzyła jeszcze raz nieswoim, ochryplym głosem. Obok Olesia Honczara i Wasyla Bazilko pojawił się trzeci napastnik, którego już nie mogła sobie przypomnieć. Tak jak i dwóch spóźnionych kobiet z motykami w rękach. Jedna starsza, szeroka, niemal kwadratowa. Druga to mogła być Oksana. Warkocz i długa, wygięta jak u gęsi szyja. Salomea siedziała w cieniu, na dnie wąwozu, ale zza skarpy wychynęło ukośne słońce. Świeciło napastnikom w plecy, przyczerniając im sylwetki i zamazując twarze. Opuściła głowę, jakby zaczęło brakować jej sił, ale podniosła ją gwałtownie z powrotem. Wpatrywała się w krawędź skarpy. Chciała zapamiętać dokładnie każdy najmniejszy szczegół, zapisać w mózgu klatka po klatce scenę ścinania młodej osiki, spuszczenia jej koroną w dół po obcięciu cienkich gałęzi i pospieszne schodzenie na dno wąwozu. Przypomniały się jej pierogi, których, wybiegając w pośpiechu, nie przykryła lnianą ściereczką. Ciasto wyschnie i będzie trudno je dobrze ugotować.

Chłopcy mieli już przewagę kilku minut. Las znali doskonale. Staś był szczupły, ale biegał szybko i był zadziwiająco wytrzymały. Salomea zamknęła oczy. Być może widziała opalone karki swoich synów, krople lśniącego potu wypływające spomiędzy spłowiałych, jasnych włosów i ramiona poruszające się rytmicznie pod lnianymi nocnymi koszulami, których z pośpiechu nie zdążyli zdjąć. Oni z pewnością wciąż biegli. Byli już za jodłowym młodnikiem i teraz wpadli między dwudziestoletnią buczynę posadzoną zaraz po odzyskaniu niepodległości. Tam teren lekko opadał. Z górki bieć było łatwiej.

Salomea z jękiem osunęła się na bok. Nad lasem rozległ się tęskny, żalostliwy krzyk niewidocznego myszołowa. Potem drugi, wyraźniejszy, przedłużony wrzaskiem wystraszonej sójki. Niebo, dotąd nisko pochylone, podniosło się powoli i szybowoło wysoko, nieutracone, rozpostarte w swojej codziennej piękności.

## Stryjenka

Stryjenka

23 października

Stryj Staś. Tak nazywany był przez wszystkich. Nigdy inaczej, w każdych okolicznościach zawsze tym dziecinnym zdrobnieniem. Jeszcze po drugiej wojnie młodszy syn Mieczysława i Salomei Harsynowiczów wciąż promieniował niewidocznym światłem, chociaż już był zniszczony jak znoszony płaszcz, wielokrotnie przerabiany na kolejkę dorastających dzieciaków.

Zaraz po narodzinach, kiedy miał kilka dni i niewiele później, ludzie mieli wrażenie, że w jego obecności tracą ciężar, nie ważą nic, a ziemia przestaje ich przyciągać. Potężne przyciąganie ziemskie kumulowało się w dziecku. Nie jest pewne, czy podobne doznania mieli wszyscy. Ludzie na ogół krępowali się opowiadać o swoich przeżyciach, przez wzgląd na słabe zdrowie Stasia i niepokojących się o niego rodziców.

Lepsi doktorzy z Włodzimierza przygotowywali matkę na najgorsze. Później okazało się, że medycy uprawiali hazard, nie umiając postawić diagnozy. Matka wyczuła ich cynizm i coraz rzadziej pytała o radę. Recepty składała w sekretarzyku, przyciskając ich rosnący stosik muszlą przywiezioną znad Morza Czarnego. Z czasem ograniczyła się do kontaktów z lekarzem wojskowym, działającym w okolicy, starym kawalerem Alfredem Truszczyńskim i miejscowym aptekarzem Włodzimierzem Krzysztofowiczem.

Aptekarz, Ormianin ze Lwowa, osiedlił się w tej okolicy w 1932 roku, zaraz po ślubie z Leokadią Żołnówną, jedynaczką z nieodległych Łokacz. Spokojny, pogodny, a nawet flegmatyczny mężczyzna o zamyślonym spojrzeniu ukrytym pod czarnymi krzaczastymi brwiami i gęstymi, silnie kręconymi włosami był obiektem westchnień wielu dziewcząt, nie wspominając o niektórych statecznych mężatkach. Niewzruszona dyskrekcja, z jaką udawał, że tego nie dostrzega, potęgowała jedynie rozterki wielbicielek. Jako miłośnik ludowej medycyny był zapalonym znawcą i zbieraczem ziół. W aptece, chłodnej nawet w największe upały, sprzedawał leki gotowe oraz mikstury wyrabiane na podstawie recept doktora Truszczyńskiego. Nalewał je klientom do brązowych buteleczek zamkniętych korkiem, przysłoniętym stożkiem z marszczonego woskowanego papieru i ściśniętym recepturką.

Mieszał proszki, dokładnie odważał i umieszczał w opłatkach. Połowa jego apteki wypełniona była papierowymi torebkami z mieszankami ziołowymi, opisanymi kopiowym ołówkiem przez żonę, Leokadię Krzysztofowiczową. Aptekarzowa, nieprzytomnie zakochana w aptekarzu, podzielała pasję męża. Pomoc w aptece sprawiała jej nie tylko wielką przyjemność, dawała pewność, że jest potrzebna i zyskuje ludzki szacunek, ale przy okazji pozwalała kontrolować niektóre pacjentki, które, jak na jej gust, zbyt często przychodziły do apteki.

Klientów aptekarzystwu nie brakowało. Miejscowi kupowali zioła chętnie i stosowali z całkowitym zaufaniem. Niebagatelne znaczenie miał fakt, że były tańsze od fabrycznych lekarstw i nie musieli ze swymi dolegliwościami wyprawiać się spory kawał do doktora. Aptekarz chętnie wysłuchiwał skarg, oglądał gardła, języki, obstukiwał nerki i płuca, naciskał pełnymi energią palcami brzuchy, pachy i szyję. Za pomocą maleńkiej latareczki zaglądał chorym głęboko w oczy. Prawie wszyscy pacjenci zgodnie twierdzili, że czują, jak podczas tego badania aptekarz odczytuje ich myśli. Zwłaszcza te, które przychodziły do ich głów trochę później. Starsze kobiety twierdziły, że aptekarz ani chybi zagląda wtedy w głąb duszy, i broniąc się przed zarzutem korzystania z porad czarownika lub co gorsza amanta dziwaka, argumentowały, że gdyby nie miał tego rodzaju zdolności, nie mógłby skutecznie leczyć. Było jeszcze coś, co prawdopodobnie czuli wszyscy pacjenci, gdy aptekarz elektrycznie ich dotykał. Był to rodzaj błogości, uwolnienia od trosk, od patrzenia w smutne oczy widzialnego świata. Jednej z kobiet wyrwało się raz: „Kiedy pan dochtor mnie bada, ta ja już gdzie indziej przebywam i obłoki pasę jak jakie kozy, a one są grzeczne, w szkodę nie leżą i życie jest mi miłe”.

Apteka, mieszkanie na piętrze, gdzie w niewielkim gabinecie aptekarz przyjmował chorych, jego ubrania, on sam i jego żona przesyleni byli intensywnym zapachem ziół, aromatem wołyńskiego suchego słońca i zielononiebieskich pól pozbawionych horyzontu, karmiących troskliwie zwierzęta i ludzi. Goście żartowali, że partia wista w towarzystwie aptekarzystwa to istna ziołowa kuracja.

Pierworodny Józio Harsynowicz był całkowitym przeciwieństwem chorowitego Stasia. Starszy brat był silny i miał sprężyste ciało sportowca. Gromadził w nim nadmiar energii, która nie zawsze znajdowała właściwe ujście. Być może dlatego swoje emocje Józio objawiał w sposób gwałtowny, łatwo wybuchając, podnosząc głos i zapominając o dobrych manierach. Gwałtowną uczuciowość, szczerą i otwartą charakter uzupełniała skłonność do upierania się za wszelką cenę przy swoim zdaniu i obrażaniu z byle powodu. Przyjęcie cudzego stanowiska, nawet w sytuacjach zupełnie oczywistych, uważał za niepotrzebną

słabość, jeśli nie tchórzostwo. Nieuleczalna duma i nieprzystępny upór, z jakim bronił swojej nawet najbardziej dziecinnej i niemądrej opinii, brak umiejętności zawierania kompromisów i zapalczywość zdradzały skazę charakteru, szybko odkrywana i wykorzystywana przez polemistów. Niepewność powiązana z radykalizmem, raz zauważone, czyniły z tego porywczego chłopca bezbronną i łatwą ofiarę.

Staś był słaby, ale mimo wyroku lekarzy żył i rósł, zyskując coraz szersze grono cichych admiratorów. Zachowywał się czasem tak, jakby żałował, że opuścił brzuch mamy, i robił wrażenie zdziwionego istnieniem innych ludzi poza matką. Ci, co znali Stasia bliżej, wyczuwali, że na ziemi jest nieśpiesznym podróżnikiem, niezbyt zadomowionym i tęskniącym za odległą, łagodniejszą ojczyzną. Salomea bała się jego niepełnej nieobecności i podwójnego życia. Tak jak zupełnego oddania i jednoczesnego oddalenia, których nie rozumiała i nie potrafiła ze sobą pogodzić. W miarę jak Staś rósł, matkę coraz bardziej krępowało jego niemal niemowlęce przywiązanie. Syn wzniecał w niej wewnętrzne napięcie i rozpraszającą myśli rozterkę nawet w kościele, w czasie mszy. Z powodu Stasia czuła się matką bardziej, niżby chciała, jakby nadal nosiła go w swoim łonie i karmiła przez serdeczną pępowinę. Gdy się zbliżał, czuła, że jej piersi nabrzmiwiają mlekiem, a nawet że jest matką nie tylko Stasia, ale matką wszystkich dzieci zagubionych w przepastnym świecie. Salomea nie mogła mieć więcej potomstwa i niejasne uczucie wywołane tym stanem zamieniało się chwilami w stan dotkliwej samotności lub wszechobejmującą miłość, nad którą nie umiała zapanować. Czuła się momentami zniewolona tym macierzyńskim wyniesieniem ponad świat i zwykłą domową krzątaniem. Bezradność wobec tych uczuć i bezsensowne wyrzuty sumienia powodowały, że pogrążała się w kilkudniowych okresach melancholii. Nie pomagała nowa biżuteria, a nawet kawa w emaliowanym dzbanku, przynoszona przez troskliwego męża do zaciemnionego pokoju. Gdy poczuła się lepiej, czyniła sobie wyrzuty, że postępuje z dziećmi niekonsekwentnie. Obawiała się, że źle przygotowuje chłopców do starcia z czającym się, zdradliwym światem. Obiecywała sobie solennie, że będzie bardziej wymagająca i surowa. Pilnować się zaczęła szczególnie, gdy Staś osiągnął wiek szkolny. Zdarzało się, że była dla Stasia szorstka. Wtedy wieczorem szła do jego pokoju i patrząc, jak śpi, czule, szeptem, by go nie obudzić, przepraszała za oschłość i niedostatek serca.

Ojciec chłopców, Mieczysław Harsynowicz, żołnierz w każdym calu, został w 1916 roku, bez ukończenia kursów w Korpusie Kadetów, podoficerem carskiej armii. Nie doszukując się sensu, walczył przez kilka lat, tonąc w głodzie, absurdzie i błocie karpackiego frontu. Rosyjskie przewroty, rzezie i przerażający chaos po załamaniu się starego porządku nauczyły go nie tylko sztuki żołnierskiej, ale także zachowania chłodnego umysłu w

niebezpiecznych sytuacjach. Tej umiejętności zawdzięczał życie. Wojnę z bolszewikami zakończył w stopniu porucznika. Gdy w 1922 przeszedł do Korpusu Ochrony Pogranicza, miał dwadzieścia pięć lat. Poznał Rosję i Rosjan zbyt dobrze, by żywić jakiegokolwiek złudzenia co do trwałości pokoju na Wschodzie. Od momentu ślubu i narodzin synów jego szczęście zogromniało, ale podszywał je nieznaną lęk. W myślach o przyszłości czułość zderzała się zawsze z obawami i z bezsilną wściekłością, że na to, co się wydarzy, nie ma żadnego wpływu. Praca w Korpusie i codzienne kontakty z kontrwywiadem dostarczały mu aż za wielu złych informacji.

Pytania Salomei zbywał.

- Moja kochana, wszyscy mają dość wojny. Na razie. Ale to „na razie” potrwa co najmniej pół wieku.

Salomea nie interesowała się polityką i nie był do końca pewny, czy żona się domyśla, że ordynarnie kłamie.

Dzieci podzielone były między rodziców, na tym najbardziej jawnym poziomie, wplecionym w kosmos codziennych zajęć, czułości, rozrywki i sprzeczki. Bliższe porozumienie ojca z Józiem, a Salomei ze Stasiem nie pociągało za sobą żadnych głębszych pęknięć.

Szczęśliwy rozdział rodzinnej historii zakończył się w sierpniu 1939 roku. Ojciec stał przed domem, na ogrodowej ścieżce. Był w mundurze, z nabitym pistoletem u pasa i spakowanym sakwojazem czekającym obok. Józio był obecny przy nabijaniu broni, żona i Staś asystowali przy pakowaniu najpotrzebniejszych rzeczy. Ojciec najpierw wszystkich uściskał, a potem, opierając na ich głowach cztery palce prawej dłoni, uczynił kciukiem na czołach znak krzyża. Na koniec swoimi zbyt silnymi ramionami jeszcze raz mocno przytulił całą trójkę do sztywnego munduru, pachnącego rozgrzanym żelazkiem i nietutejszym, słonym wiatrem.

Dotyk kciuka ojca pozostał na czole Józia, a nawet wzmocnił swoją mrowiącą obecność, gdy Mieczysław Harsynowicz zniknął synowi z oczu. Józio nie mógł zasnąć, czując gorący krzyżyk na czole. Rano szybko podbiegł do lustra, bo wydawało mu się, że palec ojca w nocy wypalił mu ślad. Bał się, że blizna zostanie na zawsze. Będzie wyglądał jak święty, przestępca albo wariat i nie będzie mógł normalnie żyć. Wpatrywał się w swoje odbicie zmęczonymi oczami, zamglonymi od zbyt krótkiego, niespokojnego snu, ale nie widział nic prócz pryszczki, które kwitły na brodzie. Poprzedniego wieczoru nie umył porządnie twarzy, jedynie chlapnął wodą i rzucił się na łóżko. Z ulgą, przypominającą rozczarowanie, poczłapał do łazienki. Jednak w ciągu dnia Józio nadal czuł, że krzyżyk tkwi

na starym miejscu i tym silniej daje o sobie znać, im więcej osób pojawia się obok. Sprawdzenie wyglądu twarzy uspokajało go tylko na chwilę. Zaczął nawet podejrzewać, że lustra kłamią albo że znamię widzą wszyscy poza nim samym.

Po dwóch dniach rozterek, zrywania się w nocy i biegania do lustra poszedł do księdza Kościałkiewicza. Szkolny katecheta był wiecznie zasapanym, otyłym astmatykiem, ocierającym pot z czoła nawet w styczniowe mrozy. Wydawał się przy tym uosobieniem doczesności, tymczasowości, grzesznych słabości i dolegliwości ziemskich. Wydawało się, że żaden poważny duch nie może mieszkać w jego zbyt dużym, niezręcznym ciele, a nawet że katecheta z żadnym duchem nie miał nigdy do czynienia. Wszystko jedno, świętym czy potępionym. Patrzył na Józia małymi przekrwionymi oczami, schowanymi w otworach tłustej twarzy, i słuchał jego opowieści, sapiąc z wysiłkiem. Historia zmieściła się w paru zdaniach. Gdy już padły, ksiądz milczał. Może modlił się lub, co bardziej prawdopodobne, drzemał.

- Ojciec cię bardzo kocha. - Ksiądz ocknął się i mówił niewyraźnie, jakby język nie mieścił mu się w ustach, a on próbował go upchnąć w policzkach. - To jest jasne i nic tu do rozumienia. I teraz przyszedł trudny moment, gdy zmuszony był opuścić ciebie i całą rodzinę. Mamę i brata. I wtedy jego miłość urosła, stała się, mówiąc krótko, ogromna. Może to samo stało się z twoją? Bo kochasz ojca, prawda? Tęsknisz za nim? Tak jest zawsze w sytuacji rozłąki i wielkiego niebezpieczeństwa. Czyniąc znak krzyża na twoim czole, chciał złączyć, no... połączyć miłość do ciebie z miłością do Boga. A raczej z miłością Boga do nas, do ludzi. Oczywiście myślał przede wszystkim o swojej rodzinie, o waszej czwórce. Używamy takiego określenia: zawierzył cię Bożej miłości. To też chyba jest jasne, co? Józiek? Ta śpisz ty tam, łobuziaku, czy słuchasz? No i dlatego czujesz obie miłości tak mocno, bo są zamknięte w najważniejszym symbolu miłości, jaki zna człowiek. W krzyżu. Tak. Tak to należy rozumieć, panie Harsynowicz. To dobrze, że czujesz tak mocno ten znak i tę miłość. Tak myślę. To na pewno nic złego. To dar, nie kłopot.

Józio wypowiedział się z paru drobnych grzeszków i ksiądz położył wielkie, pulchne dłonie na jego głowie.

- Ego te absolvo a peccatis tuis in nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti.

- Amen.

Do tego momentu każde spotkanie, nawet przypadkowe, z katechetą, który był zarazem spowiednikiem szkolnym, mocno Józia krępowało i drażniło. Ile razy widział Kościałkiewicza, tyle razy przelatywało mu przez głowę, że księżulo wie wszystko, wie zbyt dużo. Teraz to uczucie minęło. Być może dlatego, że chłopiec z wdzięczności, w rewanżu odpuścił katechecie jego księżę grzechy, także ten najgorszy, najbardziej ponury:



wysłuchiwanie w konfesjonale grzechów całej szkoły, dyrektora, nauczycieli, a zwłaszcza dziewczyn. Mijał księdza i szeptał w duchu, tak żeby nikt nie mógł usłyszeć: Idź w pokoju i nie grzesz więcej.

\*

Stryjenka po śmierci męża, gdy tylko stało się to możliwe, wyjechała na Śląsk, do Bytomia. Nie miała sił żyć bez niego w tym samym miejscu. Henryk do Katowic zamierzał pojechać ekspresem, a dalej, jak dotrzeć do Bytomia, nie miał planu. Chciał przy okazji rzucić okiem z bliska na ten kawałek Polski. Ziemilski zaoferował mu pomoc.

- Chopie, jo stamoj jezdem.

- Jak stamtąd, skoro spod Częstochowy?

- Daj pozor, kobociorzu, co mi tu drzistasz. Kozali, jeronie, to galoty wdziołem i poseł, ze Ślonska joże był, ćwoku. Ślunska chopy we Warszawie jo reprezyntowoł. I dzisiaj trocha tam jeżdża. Krew mom czarniawą, podobną do niemieckiej, musi jo rychtyk silesianfolk. Wcześniej trzy lata studiowałem, hanysie, na Uniwersytecie Śląskim, później dopiero się do Warszawki przeniosłem. No, jechać z tobą? Śląsk to dżungla, a Bytom to już całkowity burdel.

Henryk wstał wcześniej, mimo że na dworzec miał spacerkiem parę minut. Wsiadł do ekspresu przed południem. Ze stryjenką umówiony był koło szesnastej. W wagonie było zimno jak w psiarni, pasażerowie przykryci płaszczami i kurtkami pokornie czekali na odjazd. Pociąg wyruszył z dwudziestominutowym opóźnieniem. Henryk najpierw czytał Panny z Wilka, potem pociągowa drzemka gasiła i zapalała nieregularnie latarnie snu i jawy, raz przyspieszała, raz zamierała, zrywała się chaotycznie i gasła. Rozjeżdżone szyny telepały głową w lewo i na odwrót. Rzucały na zimne okno, w prawo i w dół, w prawo i na odwrót, łomotały w głowie, tam i z powrotem, w dół i w górę.

Spocił się jak kot. Grzali teraz jak w łaźni. Za jego plecami dwóch niewidocznych pasażerów, zaprawionych w ślizganiu się czaszkami po szynach, przesypywało słowa.

Przewodził starty, niski głos, skołowany przez kierat dojazdów, lata krótkich i nagłych podróży, długich i niespodziewanych delegacji, zahartowany przez przeciągi na dworcach i balangi w hotelach robotniczych, śniadania złożone ze zwietrzałego piwa i niedopitej wódki, które miały zgałą i przepoconym podkoszulkiem po zimnym wnętrzu człowieka pracy, żyjącego godnie w nieszczelnych wagonach, w przegrzanym Warsie, bez ogrzewania i z zamarzniętym kibelem.

- Jak nie kręć?! - powiedział. - Komuniści bynajmniej przez pięćdziesiąt lat udupiali idee Lenina. Robili, kurna, wsio byle ile, nie tak jak się należy. Tak było, nikt mi nie będzie

wcisnął. Dopiero inną razą, w 1989, zrobili akuratnie tak, jak Lenin 11 listopada osiemnastego roku - podarowali Polakom niepodległość. Ale, pechowa sprawa, sami nie mieli radochy z tej całej niepodległości. Nie była im do niczego potrzebna. Czuli, że sami się wpuścili w kanał. Chociaż każdy głupi wie, że w ogóle nie mieli smaka na niepodległość, bo w dupie ją mieli od dawna. Od czasów przedwojennych, kiedy jeszcze wszyscy komuniści byli Żydami i siedzieli w więzieniach. No i w 1989, przy Okrągłym Stole, oni tę swoją własną, komunistyczną niepodległość stracili tiptop, w momencie gdy tę drugą podarowali Polakom.

- Ni chuja nie rozumiem - wtrącił młody głos. - Jak to siedzieli w pierdlu, kiedy zem słyszał, że to oni zamykali dość gęsto?

- W sanacyjnych tiurmach siedzieli, garkotłuku. Piłsudski ich tam trzymał, tak jak Lenina w Poroninie. Słuchaj i główkuj, jak leci logika dziejów. No i komuniści, jak się kapnęli, że zostali z ręką w nocniku, chcieli coś dostać na wymianę. Tak to jest. Na handlu świat stoi.

- W ryj im się obowiązkowo należało i fertig - zaproponował młodszy głos.

- Łatwo powiedzieć. Życie, rozumisz, to nie plejstejszon - powiedział starszy. - Ale słuchaj tera, ci komuniści, co już nie byli ani Żydami, ani komunistami, przynajmniej nie wszyscy, myśleli, myśleli i wymyślili, że chcą w zamian to, co już i tak mieli i mocno trzymali na tym łapę. Zakłady pracy, fabryki i tak dalej. Znaczą się majątek narodowy chcieli dostać. Już raz go sobie drutnęli dekretem Stalina i Bieruta zaraz po wojnie, więc i tak był ich od zawsze. Zgodzić się na to żądanie to była żadna sprawa, ganc pomada. Tylko oni tera chcieli, żeby ich podrobno wpisać do ksiąg wieczystych jako właścicieli, żeby było jasne, że se nic nie biorą sami, nie kradną w ramach rewolucji październikowej, kiedy Gomułka do władzy doszedł z Wyszyńskim, tylko im naród daje po dobroci. Że Polacy nie zrobią tak jak wcześniej robili komuniści z Polakami, najpierw rozdawali im nie swoją ziemię, a później ogłaszali kolchoz i ziemia już była ich. Więc chcieli tak załatwić, żeby jak Polacy już dadzą, to na zawsze, i nie będą za chwilę odbierać ani nawet później, jak już zmienią zdanie albo jak się wkurwią z powodu złej pogody.

- Ni chuja bym nie dał. Najwyżej w ryja - stwierdził młodszy.

- Znalazł się, homofob. Jasne, że byli tacy, co nie chcieli dać. Awanturowali się jak baby w dzień wypłaty, że naród gołą dupą będzie świecił na mrozie. I hasło „zima wasza - wiosna nasza” przerobili na „nasze ulice - wasze kamienice”. Ale się w try miga okazało, że to nie oni wymyślili, tylko już dawno antysemita i sprawa się rypla. Skompromitowali Polskę na arenie międzyranodowej. Niezadowolnieni zawsze mają pomysły do kitu. No i przywódca

narodu ten dil z komunistami przyklepali, żeby wykorzystać historyczną okazję, i jak już komuniści skończyli z mordowaniem, dokończyć razem z nimi pokojową rewolucję. Przemawiali długo i przekonywali, że komuniści muszą mieć lebensraum, bo inaczej wskrzeszą Związek Radziecki, odczyszczą rakiety z gówna, z głowic atomowych zdejmą prezerwatywy, co się suszą po przepierce, i ostatecznie zniszczą młodą polską demokrację, co jeszcze nie była demokratyczna.

- Ni chuja nie rozumiem - wtrącił młodszy.

- No to słuchaj uchem, a nie brzuchem. Ciemnooki Namiestnik, co to go nazywali Generał, Pierwszy Sekretarz, Wolski albo Wrona Skona, on był gwarantem pokoju i demokracji tak samo jak 13 grudnia i on zdjął but, walnął w mównicę, zdemaskował kilka zbrodni Stalina i powiedział: nasz prezydent, nasz wicepremier! I drugi wicepremier też. I prezes narodowego banku, gospodarka, wojsko, bezpieczeństwa, ministerstwo finansów, sprawiedliwość i tak dalej. Później jakiś spryrciula przekręcił to hasło, ale i tak wyszło, że Ślepowron miał rację i mamy demokrację.

- Chuj z tej demokracji - powiedział młody. - Ja ją mam i nie mam. Mam dwa dwieście brutto, a Beata mówi, że jaj nie mam, skoro tyle mam. I jak dalej tyle będę miał, to jej też nie będę miał, przynajmniej nie co wieczór. Teściu mówi, że za komuny było lepiej. Ja mam, kurna, dopiero dwadzieścia dwa lata i licencjat, to skąd mam, kurna, wiedzieć, jak było, jak jest i jak będzie. Ty masz swoje lata, ale też ci się zdrowo pojechało.

Zwyciężyło królewskie leniwość i z Katowic do Bytomia Henryk pojechał taksówką. Dopiero na miejscu szurał zelówkami po chodnikach, na zmianę z czerwonej betonowej kostki i spękanych, wypłukanych płyt. Mijał zdechłe kopalniane szyby, spękane rudery zięjące wybitymi oknami, wysiedlone z powodu szkód górniczych. Brudne dzieciaki zaczepiały go, prosząc o pięćdziesiąt groszy na bułkę. Henryk wbrew planom nie przyglądał się miastu, nie śledził zwycięstw i klęsk XX wieku i transformacji ustrojowej. Widział niewiele, nie zapisywał nic pod chmurnym czołem. Śląsk wdzierał się do zamkniętej głowy, ale on myślami był gdzie indziej.

- Dzień dobry, to ja, Henryk, Henryk Harsynowicz.

- To ty, naprawdę ty? Henio, tak?

- Ja, stryjenko, no ja. Marnotrawny... nooo... chciałem powiedzieć, jak się stryjenka czuje?

Mieszkanie było zagracone meblami od Sasa do lasa. W każdą szparę wciśnięte były spłowiałe, zakurzone książki. Nad orzechowym kredensem wisiał w złotej obtłuczonej ramie niewielki portret Kościuszki i, zaraz obok, Jana Pawła II.

- Czyli jednak wróciłeś?

- Tak właściwie to...

- Ale kim jesteś teraz?

Drobna niczym czternastoletnia dziewczynka kobieta, patrzyła na Henryka z troskliwym zaciekawieniem. Na nadłamanej łodydze szyi unosiła się siwa trwała ondulacja, przypięta do powietrza cienką siatką. Pod fryzurą pałały krucze oczy. Wyglądała, jakby pod podomką w niebieskozielony wzorek kryła się tylko lekka konstrukcja zbudowana z kilku ptasich kości.

- No, jesteś, jesteś. To ty, tak? Mam nadzieję, że jakoś ułożyłeś sobie, tak jak... wiem, czytałam twój list z Kanady. Ale to było... ile lat temu? Nie pamiętam. Co się z tobą działo? Przepadłeś bez wieści, Henryku.

- Stryjenko, ja, ja...

- A Staś był bardzo za tobą. Martwił się. Rozmyślał. Wiesz o tym zresztą, chyba wiesz.

Zamyśliła się na chwilę, jakby się zastanawiała, czy nie odlecieć do gniazda ukrytego wysoko, w koronach postrzępionych topoli, rozchybotanych za oknem.

- Zawsze modlił się za ciebie. Nawet mu raz powiedziałam, że mówi o tobie tak często, jakby zapomniał o własnym synu. Ale po co ja ci to mówię...

- Przepraszam, tak, bardzo... niech mi stryjenka opowie...

- Nie widziałam cię na pogrzebie ojca, Henryku. Och, wszystko poplątane. Po naszymu poplątane. I tak zostało. Nie wiadomo, jaki koniec naszych spraw tutaj, na tym łąz padole. Przydałoby się jeszcze jedno życie, żeby się z tym uporać. Jakie takie porządki zrobić. Tylko kto by wytrzymał jeszcze jedno... może kiedyś Pan Bóg wszystko wyprostuje. Ja na pogrzebie byłam, jakżeby nie mogła nie być?

Stryjenka mówiła i dreptała wokół Henryka, odfruwiała do kuchni, wracała z niczym i biegła znowu jak pliszka za nieświadomym niebezpieczeństwa motylem.

- Wszystko ci opowiedzieć? Koniec końców zawsze szydło wyjdzie z worka. Herbaty. Herbaty ci zrobię! Ale ty przecież głodny jesteś. Ja przecież obiad dla ciebie, kotlety. Gdzie ja dałam te kotlety? Twój ojciec kategorycznie zabraniał. Ty, Heniu, żyłeś jak w jakiejś rodzinie Cyganów, włóczęgów. Nie wiedziałeś, co się wydarzyło, zanim się urodziłeś. Może chociaż herbatnika zjesz? Nie wyglądasz najlepiej. Chudy jakiś, zbiedniałeś w tej Kanadzie. Czym cię tam karmili, dzikusy? Józef zakazał wspominać przy tobie o dziadkach, stryju. To znaczy, nie w ogóle. Niektóre tematy były wykluczone. Musieliśmy go słuchać, był twoim ojcem, miał prawo, no i był... to już dzisiaj nieważne, świeć, Panie, nad jego duszą. Chociaż może

wszystko jakoś waży, każdy szczegół z przeszłości ma wpływ na to, kim jesteśmy. Taki zapomniany, zakurzony, wyniesiony na strych też okazuje się ważny. I taki spalony raz i drugi, i taki zakopany za domem. Czasem jakieś głupstwo, o którego istnieniu człowiek nie wiedział, zmienia los. Wywraca wszystko podszewką do góry. Głupstwo, tak, kotlety, mizeria, wszystko przygotowałam. Lubisz mizerię? Staś lubił z octem i dużo pieprzu. Mówiłam: ocet ci szkodzi na nerki, a on...

- To prawda, stryjenko, teraz możesz spokojnie mówić. Naprawdę nie jestem głodny. Ojciec już nie przeszkadza. Możesz wszystko opowiedzieć. Usiądź ze mną. Herbata wystarczy. Żadne rozkazy, żadne zakazy już nie obowiązują. Możemy być, kim chcemy. Nie wiem, czy możemy wybierać przeszłość, ale przyszłość tak. Nie, źle powiedziałem. Wolny człowiek może wszystko. Jeśli się nie boi. Ja, damę słowo, nie mam żadnych zobowiązań. Wiesz chyba, że od wielu lat nie miałem z nim... nic wspólnego. Z moim ojcem.

Pomyślał o pieniądzach, które Halina latami otrzymywała od ojca, i w Polsce, i w Kanadzie. O pieniądzach, z których korzystał przez całe życie. O pieniądzach, z których będzie korzystał do śmierci. I jego dzieci...

- Nie mów tak, chłopcze. Ojciec to ojciec. Trzeba Boga prosić. My ze Stasiem mieliśmy wobec niego ogromny dług. - To zdanie powiedziała głośniej, z naciskiem, jakby chciała, żeby Henryk te słowa zauważył i zapamiętał. - Dług niemożliwy do spłacenia. Chwała Bogu, że on niczego nie potrzebował i nie trzeba było spłacać. Tak się przynajmniej wydawało. Według prostego rachunku zostaliśmy z długiem. Zresztą obaj nie żyją. Czy dzisiaj jest ważne, który z nich jest dłużnikiem, a który wierzycielem? I czy łatwo to rozstrzygnąć po latach? Trzeba pomyśleć, zastanowić się. Żeby nie byli oceniani tylko tam, przed Bogiem. Bracia... Co ty mówiłeś, Heniu? Herbatę słodzisz? Może miodek? Już wiem, konfiturę ci przyniosę. Wiśniową. Nie wiem, czy nie przypaliłam, strasznie czarna wyszła, ale ja taką lubię.

Wybiegła do kuchni i wróciła z herbatnikami.

- Ojciec chciał cię chronić. Aż do przesady. Nie wiem, czy wybrał dobry sposób. Wybierał, był ojcem. Myślałam często, że ukrywanie prawdy zawsze przynosi złe skutki. Mści się, prowadzi do jeszcze większego zagmatwania, sprowadza nieszczęście, niebezpieczeństwo. Dziurawi życie i w te dziury można... Byłam jednak posłuszna.

- Stryjenko, niech się stryjenka zlituje, czego nie wiem? O czym ojciec zabraniał mówić?

- Nic takiego. Zwykle rzeczy w tamtych czasach. Trudnych czasach, jak mówią wspaniałomyślni czytelnicy historii. W ogóle tak wtedy było, że dzieci jeszcze nie zdążyły

się nauczyć jednej wersji, a już obowiązywała następna. Czyciele tymczasowej wieczności zawsze pracują w pocie czoła i bardzo kochają dzieci. Odezwał się we mnie historyk, belfer. A ojciec? Czegoś się bał? Nie wiem. Nie chciał na przykład, żebyś się dowiedział, jak zginęła twoja babka.

Henryk przestał pytać. Zrozumiał, że dzisiaj dowie się wszystkiego, powoli, bez prób i podstępów. Stara kobieta zamykała ostatni rozdział. Chciała umrzeć w spokoju.

- Nie chciał... Chyba jeszcze większą tajemnicą niż śmierć twojej babci z rąk sąsiadów, Ukraińców, było to... On nie chciał zachować rodzinnej pamięci o tym, że jego mama, babcia Salcia, pochodziła z żydowskiej rodziny. Z bardzo porządnej, odeskiej rodziny Szeryngów. Mówię: pochodziła, bo kim właściwie była, wiedziała tylko ona. Znała rosyjski, francuski, ale jidysz nie. W kościele była prawie codziennie, chociaż na chwilę. Tradycji żydowskiej w domu nie podtrzymywała poza paroma potrawami. Henryk ma zacząć od zera. Żadnej przeszłości. Tak nam mówił Józef o tobie. Herbata ci wystygnie, chłopcze, czemu nie pijesz? Zaraz podgrzeję kotlety. Wieprzowowołowe, dużo majeranku, cebulkę drobno posiekałam, będą ci smakowały. Jediną przeszłością Heńka ma być przyszłość. Koniec, kropka. Trzaskał dłonią w stół, jakby był na jakimś zebraniu i tępi słuchacze nie nadążali za jego wywodami.

Ten sam zakaz dotyczył wszystkiego, co przeszedł mój niezłomny wariat. Staś tłumaczył, że pamięci nie da się amputować, wrzucić do zbiorowego grobu i posadzić las. To tak, jakby wyprać mundur SS z krwi, przyczepić orzełek i iść na groby pomordowanych Polaków, i kwiaty składać, salutować, zaciągnąć wartę honorową razem z chłopcami z NKWD. Ten jeden problem mam z Bogiem. Wybaczyłam, z bólem, ale wybaczyłam każdemu z osobna złoczyńcy. Bez względu na to, kim był. Ukraińcem, Polakiem, Rosjaninem, Niemcem czy tym młodym Żydem, który we Wronkach, przy każdym wyjściu z celi, bił Stasia pękiem ciężkich kluczy w tył głowy. Do końca życia miał sztywny kark. Ale narodom nie. Narodom, a zwłaszcza państwowom nie można, nie należy wybaczać. Wielkiej Świętej Rusi i Tysiącletniej Rzeszy Niemieckiej nie. Nigdy! Tu obowiązuje inny porządek. Logika i instynkt samozachowawczy nie pozwalają. Są tacy, co mówią: pamiętać, ale wybaczyć. Kłamią. Chcą amnestii i amnezji, a w zamian wyciągają rękę po napiwek. Nie będę wspominał o spalonej Warszawie, ale pogładźcie mnie po głowie. Postawię pomnik gwałcicielom z Armii Czerwonej, ale dajcie butelkę stolicznej i bumagę, żem nie rusofob. A kłamstwo niepamięci przyciąga zło jak magnes opiłki. Przeszłość wróci prędzej czy później, silniejsza. Zwróci się przeciwko tym, co chcieli zapomnieć za wszelką cenę, i niestety również przeciwko wszystkim pozostałym. Wróci, by się upomnieć o swoje. Albo wróci

zakłamanie zło w jeszcze potworniejszej wersji. Jakiś dwunastoletni blondas, przyszedł Mołotow, siedzi nad sennym zakolem rzeczki i jakiś nieletni Ribbentrop oddalony o tysiące kilometrów wygrzewa się w słońcu na brzęczącej łące, pod lasem. Obaj strugają scyzorykami wierzbowe kijki, wystawiają do słońca chude zebra albo podglądają dziewczyny. A zły czas czeka. I karmiony kłamstwem, faszerywany obłudą może się kiedyś na nich doczekać.

Staś nie upierał się. Nie mógł, nie miał siły. Ojciec utajnił przed tobą jego życie, życie swojego brata. Uważał, że musi tak zrobić, bo był ważną częścią władzy ludowej, a mój biedak był wrogiem ludu. Zaplutym karłem reakcji, pomagierem gestapo, szpiegiem japońskim na amerykańskim żołdzie. Aż dziw, że tak lekko to mówię. To, co komuniści robili z ludźmi, i to, co mówili o swoich ofiarach, nie powinno nigdy przyjść do głowy nawet diabłu.

Codziennie dziękowałam Bogu za to, co zrobił dla Stasia. Modliłam się za twojego ojca i bałam się go coraz bardziej. Dużo mógł, bardzo dużo. Staś kiedyś mi powiedział, że twój ojciec przysiągł mamie, to znaczy babci Salci, gdy ją widział po raz ostatni, w sierpniu 1943 roku, że będzie strzegł brata. Staś żył dzięki tej przysiędze. I dzięki mądrości matki. Józef, jaki był, taki był, ale słowa danego matce złamać nie miał odwagi. A może nie chodziło o przysięgę, tylko o to, że ona poświęciła swoje życie dla nich obu, Józia i Stasia. Zatrzymała pościg i zginęła. Synowie uciekli. Józef spłacał ten dług. Dwa razy uratował brata. Najpierw odnalazł go w Sowietach, w kopalni, i ściągnął do Polski. To był koniec 1946 roku. Staś dogorywał w Nerczyńsku. Ale w Polsce, kiedy tylko stanął na nogi, poszedł do beznadziejnej konspiracji. Latem czterdziestego siódmego roku pobraliśmy się i kiedy już czułam, że noszę Dawida, UB wzięło go w jakimś kotle. Dostałby karę śmierci, tak jak jego dwóch kolegów, ale poszłam do Józefa. Wysłuchał. Powiedział: nie przychodź więcej, jak będzie trzeba, sam dam znać. Załatwił zamianę na dożywocie. Drugi raz obdarował go życiem. Tamtych zabili. Mieli po siedemnaście lat. Ciało nie wydali. Grobów nie ma. Staś wyszedł po kwietniowej amnestii w 1956, zamienili mu dożywocie na piętnaście lat i skrócili karę za dobre sprawowanie. Na Gwiazdkę zjawił się w domu. „To ja - powiedział - żywy dowód na istnienie Boga. Modliłaś się, żebym przeżył, i proszę. Oto jestem, moja panno”. „Po pierwsze, panną nie jestem, choć mogłeś o tym zapomnieć. A po drugie, nie bluźnij, Stasiu - pamiętam te słowa po dziś dzień - ja nie potrzebuję takich dowodów. A ciebie ocalił twój brat, komunista”. „Bóg używa różnych pośredników - odpowiedział, patrząc w siebie, chociaż udawał, że patrzy na mnie”. „Szatana też?” „Nie bluźnij, Irenko” - odpowiedział.

Mówił bez ironii, bez chęci przekomarzania się. Zrozumiałam, że jest już po tamtej stronie, że owszem, przyszedł mnie pocieszyć, pogłaskać po głowie dziecko, które chowało

się tyle lat bez ojca, ale tak naprawdę jest gdzie indziej. Siedzi wśród swoich zmasakrowanych rówieśników gnijących po lasach i rowach, zakopanych na podwórkach, w piwnicach, wrzuconych do studni i przysypanych kamieniami. Wszędzie czuje trupi fetor. I słów używa tylko po to, żeby zagłuszyć ciszę, która w nim rośnie z każdą następną śmiercią, z każdą zdradą.

Już z Rosji wrócił przetrzebiony, prawie niewidzialny. Przez szeleszczącą skórę widać było wszystko, co z niego zostało. Pokrywający się popiołem ognek w stasiowym cieniutkim, pergaminowym opakowaniu. Siedział najpierw na Mokotowie, potem we Wronkach. Prawie dziesięć lat. Nie czekaj na szczegóły. „Ocalałem - powiadał - nie chcę zapomnieć, ale nie chcę tym żyć, a nawet gdybym chciał, nie mam siły. Mówić też nie”. Dlatego wtedy prawie wszystko, co wiedziałam, wydobylam od rodzin i niektórych ocalałych. Później Staś wszystko spisał. W więzieniu najokrutniejsi byli Francuzi i Hiszpanie. Komuniści pochodzący z Polski, po wojnie wydaleny z Francji, często prawie nie znali polskiego. Członkowie stalinowskich batalionów w hiszpańskiej wojnie domowej.

Henryk zagłębił się w zapadniętym fotelu i słuchał. Stryjenka mówiła, ale nie przestawała biegać, nie dotykając podłogi. Podfruwiała w poszukiwaniu zapomnianej rzeczy, jej ciemne oczy połyskiwały i znowu ruszała szukać czegoś w kuchni albo wygrzebać coś z dna kredensu. Jak wielu starych ludzi nie pamiętała, gdzie odłożyła herbatniki, ale pamięć o wydarzeniach sprzed pół wieku panoszyła się w jej drobnym ciele.

On sam w międzyczasie zgłodniał, ale stryjenka nie mogła znaleźć kotletów ani gołąbków po lwowsku. Może te kotlety zrobiła pięćdziesiąt lat temu i zawiozła Stasiowi do więzienia. Zjedli je, popijając bimbrem, strażnicy z Wronek. Albo usmażyła je na smalcu trochę później, mimo że ukochany Staś nie mógł strawić takich potraw, bo resztki żołądka, które zachował, z trudem dawały radę gotowanym jarzynom, kaszkom, kleikom i innym specjalom tego rodzaju. A może Staś miał wielką ochotę na mielone z majerankiem, bułką rozmoczoną w mleku, pieprzem i drobno pokrojoną cebulą i szczęśliwa stryjenka od rana mielila mięso, podśpiewując z radości. Ale on już od dawna nie żył, więc ona, żeby niczego nie zmarnować, przechowała kotlety w ciepłym piekarniku dla Henryka.

Henryk czuł ssącą skargę żołądka i był szczęśliwy, że jest głodny w tym właśnie dniu, w Bytomiu, blisko trzepotu skrzydeł stryjenki, która przyleciała przed chwilą znad łąk Wołynia, tłustych jak tort makowy, z czarnych jam nerczyńskich kopalni ołowiu, z zatechłych piwnic mokotowskiego więzienia i z przesiąkniętego zapachem lekarstw łóżka umierającego na raty Stasia.

Przed pożegnaniem stryjenka wręczyła mu pudełko po czekoladkach firmy 22 Lipca



d. E. Wedel.

- Przekazuję ci nasz cały majątek. Sama nie zdążyłam o wszystkim ci opowiedzieć. Zresztą może nie potrafiłabym. Nie wiem. Na pewno nie.

Wstał, a ona przysiadła na jego ramieniu i znowu była czarnoszarobiałym ptaszkiem o smukłej sylwetce, przykucniętym na ruchliwych nitkach nówek.

- Już nie przyjedziesz, prawda? - zapytała.

Chciał zaprzeczyć, ale ona przypomniała sobie, że już w sierpniu powinna była odlecieć z tego chłodnego kraju, więc szybko dodała:

- Dobrze, synku. Niech cię Bóg prowadzi. Pozdrowię od ciebie Stasia.

Łażenie po Bytomiu było potrzebne, nawet konieczne, ale niemożliwe. Ciemność opętała miasto. Bezradnie brodził w magmie czarnej mgły, ale w końcu poddał się i zadzwonił po taksówkę. W pociągu otworzył pudełko i przeglądał kartki zapisane różnymi odcieniami niebieskiego atramentu.

Na wierzchu leżała luźna strona rękopisu pod tytułem „Lista tortur stosowanych w śledztwie wobec Stanisława Harsynowicza w okresie listopad 1947 - styczeń 1948 w Areszcie Śledczym na ulicy Rakowieckiej w Warszawie”. Pod nią czekały następne. Pierwsza pod tytułem „Lista osób, które znęcały się i mordowały więźniów w Areszcie Śledczym na Rakowieckiej. 1947-1948”. Druga zawierała cytat z oficjalnego dokumentu: Więźniowie kategoria A: najbardziej niebezpieczni dla ładu społecznego, zatwardziali wrogowie Polski Ludowej, którzy dokonali zbrodni ze względu na swoje pochodzenie klasowe, orientując się lub będąc związani na śmierć i życie z klasami wyzyskującymi i którzy niewątpliwie po wyjściu na wolność będą nadal mniej lub bardziej aktywnymi przeciwnikami naszego ustroju.

Ponadto w pudełku znajdowało się pięć plików kartek:

„Wywózka i pobyt w Kazachstanie Marii Złoczowskiej z domu Szeryng i Stanisława Harsynowicza lipiec 1944 - kwiecień 1945. Śmierć Marii Złoczowskiej”;

„Akmolinskij łagier’ żon izmiennikow Rodiny” (Akmoliński obóz żon zdrajców Ojczyzny), relacja Łucji Chmielewskiej;

„Ucieczka Stanisława Harsynowicza z zesłania w Monasterce (Kazachstan)”;

„Pobyt Stanisława Harsynowicza w Nerczyńsku czerwiec 1945 - czerwiec 1946”;

„Relacja Joanny Jankowskiej z więzienia w Inowrocławiu i Fordonie z lat 1948-1955”.

Zaczął czytać: Przywieźli nas w styczniu, strażniczki za pomocą szlauchów zrobiły nam prysznic w nieogrzewanej łaźni. Potem wydały nam ubrania. To były obozowe drelichy po zabitych przez Niemców Żydówkach. Na plecach miały Gwiazdy Syjonu i żółte opaski na

rękawie.

## Miłość i samotność

Miłość i samotność

25 października

Przez trzy dni nad iglicą Pałacu Kultury i dyndającą na niej resztą miasta trzymały się otyłe chmury, nabrzmiałe i nieruchawe jak przeżuwające przez sen krowy. Buty, krawężniki, płaszcze, kalosze, tramwaje, parasole, plecaki, torby z zakupami, wszystko było nasiąknięte wodą, na granicy wymiotów i przerwania wałów. Między rzeczami rosło obrzydzenie.

Wiatr szarpał chmury i bezmyślnie mieszał je ze sobą. Potęgował płynną nierównowagę między światłem i wodą. Fale deszczu uderzały w szyby z chorym hałasem, jakby głuchawi smarkacze wdarli się do składu instrumentów i zapamiętali walili w werble. Henryk stał przy oknie. Ulewa prowokowała nieufność między tym, co możliwe, a tym, co się wydarzy. Woda z łoskotem przelewała się przez głowę i wypłukiwała mózg do gołej kości. Za rozpuszczonymi przez deszcz szybami rozmyte zygzakowate cienie poruszały się w zwolnionym tempie. Łączyły się, pękały na kawałki, zamieniały miejscami. Ciało jak bibuła ssalo wodę wciskając się do mieszkania niezliczonymi szczelinami. Dotknął kaloryfera, był zimny i oślizgły. Zbliżył do oczu szczupłe palce o paznokciach w blade plamki. Zamiast dłoni widział całe swoje życie. Scena po scenie, jak na filmie przewijanym w zawrotnym tempie. Jednocześnie mógł obserwować zatrzymane kadry i wychwytywać sens pojedynczych zdarzeń. Przycisnął dłonie do twarzy, żeby się skupić, wypłynąć na powierzchnię, osuszyć mózg. Zobaczył Barbarę. Obraz był tak mocny i realistyczny, że pochylony do przodu o mało nie stracił równowagi.

Na Dolnym Mokotowie kobieta czesała włosy. Siedziała w suchej sypialni, przed dużym lustrem należącym do toaletki w stylu art déco. Wystarczyło trzydzieści metrów truchtu z taksówki do domu, by przemokła do suchej nitki. Rano nie znalazła parasolki. Zdenerwowana poszukiwaniem, własnym roztrzepaniem, sklerozą wybiegła w deszcz, który akurat zelżał i zacierał pracowicie ślady ulewy.

Po wysuszeniu starannie szczotkowała włosy. Regularne ruchy ręki były coraz wolniejsze. Patrzyła na twarz odbitą w lustrze z coraz większą uwagą, jakby widziała ją po raz pierwszy lub ostatni. Ręka traciła energię, poruszała się coraz wolniej, aż zastygła. Oczy również znieruchomiały i zanurzyły się w głębokiej wodzie lustra o gładkiej tafli, jakby deszcz ustał.

Oparł się o parapet. Dlaczego myślał o niej? Ułamek sekundy wcześniej zastanawiał

się nad tym, co jeszcze go może spotkać. I ona w swoim stylu, jak niespodziewane przejaśnienie, wepchnęła się w te myśli. Cisza i spokój, tego naprawdę potrzebuję, pomyślał. Zrzucił z fotela jakieś papiery, pierwszy tom Buddenbrooków, otwarty na ulubionym rozdziale opisującym dialog flegmatycznego konsula z podnieconymi przywódcami demonstracji w czasie Wiosny Ludów. Barbara mogłaby być przy nim. Bez względu na to, co będzie później, co przyniesie pogoda, rewolucja moralna i dyskretny upadek epoki. Powinna być przy nim.

Tracę siebie. Mówiła do lustra. Jestem nudną starą ciotką. Niszczę siebie własnoręcznie, na ochotnika, w ramach wolontariatu. Nikomu i nic. Dla nikogo mam zawsze przygotowane nic. Dla siebie na święta i na imieniny, na urodziny i na wakacje, mam zawsze przygotowaną świetną, fantastyczną samotność. W nudny sposób zdychasz, Basieńko. Nudny, żalony upadek. Córka, o tak... jej potrzebny jest najbardziej mój brak czasu i brak zainteresowania. Więc jej to zapewniam w nadmiarze, prawie jak kochająca matka.

Zacisnęła dłoń na uchwycie szczotki. Rzuciła nią w lustro. Bez złości. Ot tak, żeby dać jakiś sygnał do płaczu. Suchego, cichego wołania. Nigdy, z nikim, w pełni i do końca.

Tak chciałam żyć? To niemożliwe oddać siebie, chociaż kawałek siebie, bez żalu, droczenia się, targowania jak cholerna przekupa? Żeby żyć i odnaleźć szczęście, trzeba naprawdę zdradzić siebie? Żeby być, trzeba o sobie zapomnieć? W takim razie ja o sobie nie zapomniałam. Zapomniałam o całej reszcie. Szkoda. Ta wierność mnie wykańcza. Jedynie użyłam jednego z nich, żeby mnie zapłodnił. Tak, wtedy byłam szczęśliwa, gdy nosiłam Marcysię. Mina tego trutnia, gdy po wszystkim wyrzucałam go za drzwi. Mój Boże, z czego ja potrafię się cieszyć!

Myślał o wszystkich kobietach, jakie znał. O bohaterkach swoich ukochanych powieści, pożądanych, wielbionych, zdobywanych, przeklinanych, samolubnych i pełnych poświęcenia. Szybko, jak wytrawny detektyw albo kierownik działu kadr, podsumował mężczyzn kręcących się wokół nich. Beztrąsko szczęśliwych i żałośnie załamanych, tragicznie wzniosłych i żebraczo cynicznych, godnych pogardy oszustów i współczujących kochanków. Nie jest żadnym z nich. Nie jest zdobywcą, ofiarą, nawet nędzną szmatą, zbędną rzeczą poniżaną przez kapryśną, władczą babę.

Cóż mi dało to rzekome panowanie... nad czym, idiotko, panujesz? Przecież nie nad czasem i cholernym szczęściem, które jest do niego podobne i podlizuje mu się jak dziwka. Moje tryumfy, warte czwartej serii telenoweli. Zwycięstwa łudząco podobne do klęsk. Potrzebuję niedzieli zwykłego życia, czyjejś ręki, która zatrzyma powódź czasu, porannego dzień dobry, które otworzy dzień na nieskończoność. Prawda wszystko obnaży? Mogę się

oszukiwać, czemu nie? Chcę być zakłamaną kurą domową, samicą dbającą o prymitywnego samca, chama pijącego piwo przed telewizorem. Niech nie docenia roli kobiet w kulturze. Niech tam sobie gardzi feministkami. Chcę z nim rozmawiać wieczorami w kuchni, o niczym, o znajomych i pogodzie, o jutrzejszym obiedzie i idiotycznym filmie, który mu się podobał. Chcę być ucieleśnieniem mieszczańskiej szmiry. Iść pod rękę na niedzielną sumę i kupić grobowiec dla dwojga.

Z fotela przeniósł się na sofę, ale nie mógł się na niej ułożyć. Nigdy nie wiedział, czy jest facetem, który myśli i działa za szybko, czy przeciwnie, jest zbyt rozlazły i zawsze spóźnia się z reakcją. Czeką bez końca na lepszą konstelację szczegółów i okoliczności? Niszczy to, czego jeszcze nie zbudował, czy zbyt długo planuje i wszystko się rozsypuje, zanim naprawdę powstanie?

Barbara wyciągnęła się na łóżku. Przeciągnęła dłońmi po twarzy, piersiach, brzuchu i opiętych legginsami udach. Napięła mięśnie w całym ciele. Oddychała głęboko, jakby wypłynęła z burej wody na powierzchnię. Potem kilka razy, razem z oddechem, jęknęła. Wreszcie wydała z siebie przeciągły krzyk.

Przyciągnął kolana do siebie. Deszcz nie przestawał nachalnie łomotać w okna. Leżał w pozycji embrionalnej. Powtarzał niewyraźnie. Starał się mówić razem z chórem deszczu.

Na Dolnym Mokotowie, w mieszkaniu na pierwszym piętrze, zupełnie cichym, jakby było opuszczone, na szerokim małżeńskim łóżku leżała zwinięta jak kot kobieta i wolno, rytmicznie powtarzała: tak, tak, tak.

Przewracał się z boku na bok, nasłuchiwał, czy ktoś nie mówi do niego albo nie zbliża się do drzwi. Gwałtownie siadał, znowu kładł się, zamierał, nasłuchiwał.

Barbara wstała, przeszła przez ciemne mieszkanie, dotykając wilgotnych kształtów mebli, posuwając dłońmi po ścianach. Podeszła do drzwi wejściowych na bosaka, bezszelestnie. Oparła o nie ręce, pochyliła głowę. Wreszcie przyłgnęła całym ciałem do śliskiego lakieru.

Henryk znieruchomiał. Słyszał, jak ktoś cicho podchodzi do drzwi wejściowych, przystaje i opiera o nie czoło, a potem przywiera ciałem do zimnej, wilgotnej powierzchni.

## **Archiwum, druga próba**

Archiwum, druga próba

26 października

Henryk wrócił do Archiwum sfrustrowany tym, że dał się wciągnąć w łapówkarskie warcaby. Jednak wyposażony w operacyjne wsparcie żywił opłaconą nadzieję, że dokumenty

znajdą się szybko i będzie mógł być niebawem pasowany na obywatela.

Rzeczywiście, tym razem wszedł z honorami. Był już blisko odnalezienia pokoju Krystyny Nowak, gdy mężczyzna w niebieskim chałacie, kładąc palec na ustach, wciągnął go do ciasnej komórki. Pełno w niej było mioteł, wiader, płynów do mycia szyb i proszków do szorowania podłóg. Przekrwione oczy i drżące ręce porywacza budziły pewne wątpliwości.

- Wiedziałem, że pan jest w budynku - szepnął chałaciarz. - Mamy swojego człowieka w ochronie. Proszę, niech pan siądzie na chwilę. Błagam, musi pan mnie wysłuchać.

Usiedli na odwróconych plastikowych wiadrach. Siedzenia kiwały się z powodu zamontowanych uchwyty do wyciskania mopa.

- Dam panu memoriał na piśmie - mężczyzna gibnął się na wiadrze i wpadł na Henryka. Wionęła od niego niewyraźna woń alkoholu. - Przepraszam - westchnął. - Chcę, żeby pan zrozumiał powagę sytuacji. Zagrożone są fundamenty pamięci, esencja tożsamości, zrąb faktów. Niszczą, sukinsyny. Cała dotacja z Unii poszła na finansowanie niszczenia archiwów. Mają dodatkowo kontrakt z papiernią w Kwidzynie i pchają tam makulaturę, to znaczy dokumenty. Mówię panu, krociowe zyski. One oczywiście nie trafiają do kasy Archiwum. Każdy bierze swoją działkę. Od wciągniętego w proceder szeregowego pracownika po wiceministra. Głowa jak zawsze psuje się od ogona.

Henryk, w pierwszej chwili zdezorientowany i wystraszony, pomyślał, że ma do czynienia z wariatem, z litości zatrudnionym jako sprzątac. Miał mocny zamiar wyrwać się i oddalić, ale facet nerwowo strzygący oczami trzymał go kurczowo za rękaw. Siedział między Henrykiem a drzwiami i tarasował wyjście. W szamotaninę Henryk nie chciał się wdawać. Siedzieli blisko siebie, stykając się niemal głowami jak spiskowcy. W komórcie śmierdziało chlorem i stęchlizną niedosuszonych szmat.

- Kto, na miłość boską, niszczy, po co? Nic nie rozumiem. I dlaczego wciągnął mnie pan do tej kanciapy? Przepraszam, nie mam czasu, mam umówione spotkanie - Henryk mówił stanowczym, podniesionym głosem.

- Ciiiiii... - syknął sprzątac. - Z czego pan się urwał, jak to kto? Dyrektor naczelny Trochmiński, zastępca finansowy Tylman, szef ochrony Jureczek, no i ta Nowak, która tu pracuje od trzydziestu lat. Kapuje pan? Trzydziestu! To ta, u której pan był. I do której pan idzie. Skorumpowana pinda. Ale nie ma pośpiechu. Została wezwana do zastępcy dyrektora do spraw cyfryzacji zbiorów. To nasz szef. Trochę ją przetrzyma, możemy porozmawiać.

- Skąd pan wie? I co z tego, że byłem? Co to pana obchodzi?

- Nic, nic. Po prostu chciałem, żeby pan wiedział, że tu trwa pierwsza wojna światowa. W sensie sztuki wojskowej. Wojna pozycyjna, nekający ostrzał, obmierzłe życie w

brudnych okopach. - Popatrzył krytycznie na swoje paznokcie. - Z jednej strony dzisiejszy układ rządzący, dyrektor ze swoją mafią, a z drugiej strony zdziesiątkowane legiony straceńców, archiwalni powstańcy, którym jeszcze zależy, którzy chcą coś uratować. Proszę, tu jest memoriał. Wierzę w pana, jak Boga kocham. Wszyscy na pana liczymy. Do zobaczenia.

Chałaciarz wyrzwał ostrożnie na korytarz.

- Czysto - szepnął do Henryka - może pan wyjść.

- Widziano pana z tym chałaciarzem Kobusem. - Krystyna Nowak użyła tonu surowego, ale otwartego na negocjacje i zdroworozsądkowy kompromis korzystny dla wszystkich grup społecznych. - Facet wyleciał z roboty w Archiwum, bo się objął niemiłosiernie. I mącił. Prawdę mówiąc, popijał również. Jakies kłopoty w domu czy choroba, nie wiem dokładnie. Zwyczajny męt i maniakałny intrygant. Wyrzucisz takiego przez komin, to wejdzie oknem. Dostał się na teren Archiwum, bo jakimś cudem, pewnie za łapówkę, został zatrudniony przez firmę sprzątającą. Ale coś mi się wydaje, że ta firma go szybciotko zwolni, za pijaństwo albo bumelki. Może już jutro.

Uśmiechnęła się z satysfakcją osoby dobrze poinformowanej.

- A pan niech się trzyma z dala od takich oszołomów. Poważni ludzie, a wiem, że za takiego mogę pana uważać, nie zadają się z nawiedzającami, tropicielami nieistniejących afer. Zresztą protektorzy pana Kobusa pożyją już niedługo. Wylecą tak jak on. Pracuję tu już parę lat i wiem, jak kończą się takie zabawy z zapalkami i dziewczynkami.

Henryk z trudem wytrzymał porwanie przez ruch oporu. Teraz zdumiało go wystąpienie kobiety. Wynajął ją w innym celu.

- Pani pozwoli, umówiliśmy się, że pomoże mi pani skompletować dokumenty, tak? Szybka kwerenda, poświadczone kopie i bukiet kwiatów na zakończenie. Nie wiem, co tu się dzieje, i nie chcę wiedzieć. Nie znam chałaciarza i nie chcę znać dyrektora Trochmińskiego. Chcę jak najszybciej złożyć dokumenty u wojewody i odzyskać obywatelstwo. Reszta mnie nie interesuje!

- Po co się zaraz denerwować... Po pierwsze zna pan wersję opozycji, chciałam powiedzieć tego idioty, zastępcy, który walczy o stołek dyrektora naczelnego. Nie daj Boże, to byłby koniec Archiwum. Facet po rzeszowskiej Akademii Pedagogicznej, wychowanie plastyczne skończył czy coś takiego, wstydu nie ma. Dyrektor Trochmiński jest cenionym w świecie fachowcem, ma doktorat. Po drugie pan przecież jest z tych ludzi, którym sprawy publiczne nie są obojętne. Wartości, zasady, ideały wyznajemy zapewne wspólne. Pan za nie cierpiał. Podziwiam pana za to i szanuję. A, proszę pana, przywódca tych awanturników,

wicedyrektor Karol Budzyński, dawno by nie pracował, gdyby nie - tu klepnęła się po ramionach - zielone ludki, które go chroniły. Wie pan, co w Polsce oznaczają - ściszyła głos - służby wojskowe. Jest wyjątkowo niekompetentny. I na oczach wszystkich głuszy tę swoją sekretarkę-tirówkę. A ma ciężko chorą żonę w szpitalu. Stary cap. Zero moralności.

Uzyskawszy solenne zapewnienie o niezwłocznym rozpoczęciu kwerendy, zde gustowany Henryk ewakuował się z pokoju Krystyny Nowak i zaczął mozolnie szukać wyjścia. Chwilę błądził, aż natknął się na poważną przeszkodę w postaci korpulentnej damy, która napierając czołgiem czułego ciała, zepchnęła go z obranego kursu i broczącego wściekłością wcisnęła do gabinetu wicedyrektora Archiwum. Zanim tego dokonała, zauważył, że z pokoju Budzyńskiego z plikiem papierów w ręku wymyka się obłany davidoffem ekspert finansowy.

- Panie dyrektorze, ma pan gościa! - zaśpiewała sekretarka melodyjnie i trochę zbyt namiętnie, zważywszy na obecność obcego człowieka.

- Zapraszam, zapraszam. Jestem zaszczycony, że pan zechciał poświęcić mi parę minut. Wiele o panu słyszałem. Ma pan piękną opozycyjną kartę. Gdyby pan tylko zechciał pomóc Archiwum. Kawka? Ja tylko woda, serduszek pika pikupik i zawalik. Cha, cha. Choć muszę panu wyznać, że leczy mnie teraz specjalista dietą opartą na szczypiorku. To mało znany sposób, ale bardzo skuteczny. Wszystkim go polecam. Proszę się rozgościć. Znajdujemy się w trudnym momencie dla kraju...

- Przepraszam, ja zupełnie nie rozumiem... - zaczął Henryk.

- Proszę pana, to wszystko jest bardzo proste. Dyrektor Trochmiński to zagrożenie dla przyszłości Archiwum. By nie powiedzieć więcej. Powołany został na p.o. dyrektora przez swojego zięcia, wiceministra dwa lata temu, a konkursu, jak się pan domyśla, jak nie było, tak nie ma. Niektórzy mówią, że to czerwony, bo doktorat zrobił w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy KC PZPR z dawania dupy Ruskim. Ale to raczej nikt niż komuch, on trzyma z każdą władzą i działa w oparciu o kumoterstwo i mafię rodzinną. A o rodzinę się dba i rodzina dba o ciebie. Rozumiemy się? Właśnie składam w Centralnym Biurze Antykorupcyjnym doniesienie o podejrzeniu, nazbierało się tego parę kilo. Co tu dużo mówić, finansowy - szwagier dyrektora, personalna - kuzynka, zakupy i przetargi - chrześnica. To wszystko folklor, sprawa główna to blokada rozwoju Archiwum i niszczenie zbiorów. Jeszcze nie wiem, według jakiego klucza, ale robią to na wielką skalę. Zaoszczędzoną powierzchnię wynajmują agencji towarzyskiej. Nie do wiary, jaka beczelność.

- Sam słyszałem przypadkiem, że przetarg jest na skanery i pamięć...

- Proszę pana, przetarg to cyrk, żeby wyprodukować newsa, że niby coś pozytywnego

się dzieje. Mają większość w komisji przetargowej, kontrolują wszystko. Narobią celowo błędów proceduralnych, a potem umówiona firma zaskarży werdykt do sądu i zakup będzie blokowany przez lata. Wie pan, sąd nierychliwy i na sugestie wrażliwy.

- Panie dyrektorze, pan pułkownik Dolecki dzwoni... - rozpoczęła miłosną arię sekretarka.

- Widzi pani, że teraz nie mogę - z naciskiem odpowiedział dyrektor.

- Ale termin tego przetargu na dowody osobiste... - bąknęła właścicielka czułego ciała.

- Aaaa... już, już... przepraszam pana, to arcypilne... pan wybaczy...

Henryk wykorzystał sytuację, staranował sekretarkę i ruszył do wyjścia. Zanim dobrnął do celu, znowu porwał go podstępnie dyżurujący w zachyłku ściany chałaciarz.

- Jedno słówko, jak Boga mego. Niech pan się nie dziwi, że się trochę, tego no, dziwnie zachowuję. W końcu organizuję ruch oporu, takie są warunki. Sytuacja się zaostrza. Dyrektor Budzyński nie może rozmawiać z większością działów, pracownicy mają zakaz spotykania się z nim, a centralka nie łączy go z pokojami podwładnych. W takiej sytuacji wkraczam ja z wiadrem i mopem i przemykam przez kordony, jak ksiądz Robak. Właśnie...

Ale kurier z Archiwum nie skończył. Zza zakrętu wyskoczyło dwóch ochroniarzy. Gdy zobaczyli Kobusa, puścili się biegiem. Chałaciarz nie uciekał. Nie protestował. Nie stawiał nawet biernego oporu. Chwycili go pod pachy, wrzeszcząc na przemian:

- Przepustka, bez przepustki!

- Pan absolutnie nie posiada!

- Przebywa nielegalnie i narusza!

I poszli szparkim krokiem, trzymając zwiędłego jeńca mocno za ramiona.

Obok portierni na Henryka czekał rozlany na podłodze strażnik. Głos miał jednak skupiony i twardy.

- Pan dyrektor Trochmiński zaprasza pana do siebie. Ja zaprowadzę.

Henryk poszedł za strażnikiem. Mruczał wprawdzie, że nie pójdzie i żeby go wszyscy pocałowali w dupę, ale włókł się za płynącym po korytarzach, wyciekającym z munduru cielskiem, lekko utykającym na lewy dopływ. Dlaczego ja tam leżę, powtarzał, dlaczego robię z siebie pajaca, nikt normalny tego nie pojmie.

- Mowa moja będzie krótka. - Dyrektor Trochmiński, niewysoki, trochę kwadratowy rówieśnik Henryka robił wrażenie boksera wygrywającego wszystkie walki walkowerem. - Nie chcę pana agitować. Chcę jedynie poinformować. Krótko i rzetelnie. Prawy prosty i szlus. Archiwum weszło w fazę kryzysu. Nasze stosunki zewnętrzne, a zwłaszcza międzynarodowe zostały mocno nadwyżężone, a przecież na ostatnim kongresie w Sao Paulo zostałem wybrany



do komisji rewizyjnej. Przyczyna jest prosta. Grupa osób, niestety także na kierowniczych stanowiskach, zaplanowała przejęcie kontroli nad Archiwum. Ci ludzie nie posiadają potrzebnych kompetencji. Swoje lenistwo i sabotaż programu rozwojowego, który wdrażam, przedstawiają jako patriotyczną walkę o uratowanie Archiwum. To żalosne! Udało im się wmówić te brednie jednemu z posłów, chociaż podejrzewam, że raczej nabyli jego życzliwość za gotówkę. Poseł co i rusz składa idiotyczne interpelacje w sejmie, pisane oczywiście przez Budzyńskiego i Kobusa. Jak ktoś może dać wiarę jakimś popłuczynom po WSI w sprawie tak prostej jak Archiwum? Te zielone ludki zajmują się lobbingsiem i innymi fuchami, a Archiwum służy im wyłącznie jako przykrywka i darmowe biuro.

- A niszczenie dokumentów? - zapytał Henryk, chociaż nie chciał o nic pytać. - Widziałem na jednym z korytarzy całe wózki z workami...

- Świetnie, że pan o to zapytał. Przechowywaliśmy dokumenty dla paru dużych państwowych instytucji. Głównie personalne. Ustawowy okres ochronny dla tych dokumentów upłynął. Zleceniodawcy zapłacą nam już tylko za zniszczenie tej makulatury, bo dokumentacji osobowej nie może pan wywieźć ot tak na śmietnik. Szukamy nowych klientów tego typu, by podreperować budżet. Ot i cały spisek. A przy okazji. Potrzebujemy fachowego wsparcia. Może znalazłby pan chwilę dla nas, dla dobrej sprawy. Zostałby pan doradcą dyrektora, to znaczy mnie. To uczciwa propozycja. Powiedzmy, pół etatu, albo cały, to zależy od pana. Możemy również zatrudnić osobę wskazaną, kogoś z rodziny, żeby pana nie krępować. Spotykalibyśmy się raz w tygodniu i po przyjacielsku omawiali aktualne sprawy. Co pan na to?

Henryk do wyjścia prawie biegł, ale nie był pewien, czy obrał właściwy kierunek w archiwalnym labiryncie. Nagle zobaczył Krystynę Nowak wychodzącą tyłem z pomieszczenia, mówiła coś do niewidocznej osoby pozostającej wewnątrz. Cofnął się za róg i obserwował. Nowak pomachała dłonią, obróciła się i ruszyła przed siebie. Na szczęście w odwrotnym kierunku niż stał Henryk. Idąc, wygładzała spódnice, obciągała bluzkę i poprawiała wzburzone włosy. Gdy zniknęła za rogiem, zza tych samych drzwi wychynął Kobus wystrojony w mundur ochroniarza. Zapinał pasek od spodni. Na twarzy archiwalnego księdza Robaka malowało się rozmarzone zadowolenie. Wzdychał i szedł w niebezpiecznym kierunku. Henryk rzucił się do ucieczki.

## Wiec

Wiec

27 października

Henryk dotarł do domu zmordowany. Opadł kompletnie z sił.

Poszwendął się chwilę po mieszkaniu i zwałił jak kłoda do łóżka. Zastanawiał się, skąd wziął się ten ciężar, który niósł z rezygnacją przez cały połamany dzień. Kto przysłał tysiące ton zatrutego powietrza, które zadymiło mu płuca i przygniotło serce zardzewiałym ciężarem?

Dlaczego nie został pisarzem? Prawnikiem? Lekarzem? Dlaczego nie żyje spokojnie w cichym rozłożystym domu nad oceanem, z tarasem wychodzącym na plażę? O tej porze roku byłoby raczej wietrznie, a więc miałby na sobie ciepłą kurtkę z Goreteksu i czapkę z delikatnej wełny. W dłoni wypłukany przez słońcą wodę kawałek drewna, przyniesiony przez labradora, a nad głową wierny wiatr. Oczy psa pełne szczęścia i zrozumienia. Nikogo więcej? Jakaś mglista sylwetka idąca z przodu, po twardym piasku, bliżej kresu łagodnych fal tańczących posuwicie poloneza?

Świat ukrywał się przed nim? Chował jak dziecko za rogiem, za anonimowymi twarzami, obcymi widokami ulic i niepokojącymi krajobrazami snów? Dawniej świat umiarkowanie go bolał, straszył od czasu do czasu swoją przygnębiającą grozą i marketingowym fałszem, ale uchylał drzwi. Kiwał głową, kusił i wciągał. Obejmował silnym ramieniem, zaborczo, pokonując wątpliwości, a nawet stęchły sprzeciw.

Barbara próbowała wyciągnąć go na koncert.

- Przypomnisz sobie młodość - kusila przez telefon. - Siwowłose szarpidruły zagrają przeboje sprzed lat.

Źle trafiła. Nie chciał sobie niczego przypominać. Ale nie rezygnowała.

- Nie traktuj tego poważnie. Rozerwać się czasem to przecież nie grzech?

- Wiesz, pamięć to największy prześladowca. Unikam go jak mogę. Zwłaszcza że ma ambicje kontrolowania przyszłości.

Zamilkł, a jeśli coś jeszcze wymamrotał, to Barbara nie zrozumiała ani słowa, a on był zbyt agresywnie poważny, by miała odwagę zapytać. Skapitulowała ze swobodą.

- Będziesz miał ochotę wyskoczyć, daj znać. Ja się chyba wybiorę.

Ziemilski również zachęcał, choć bez natarczywego nalegania, by wybrał się na finał kampanii wyborczej jednej z partii.

- Są cholernie nowocześni. Przyszłość należy do nich. Zresztą nie musimy tam sterczeć od samego początku, pokażemy się, rzucimy okiem, jak kursy stoją. Kto obok szefa, kto za plecami, a kogo, he, he, świeć, Panie, nad jego duszą, już nie ma. Upadłość, układ z wierzycielami albo podmiejskie wysypisko śmieci. Wiesz, taki z wysypiska, dobrze wyselekcjonowany, to świetna inwestycja. Trzeba ocenić, czy ma szansę się podnieść. Jeśli

tak - wyciągamy rękę. On zdycha na dnie, wszyscy go unikają, a ty go wyciągasz z plastikowego worka i okadzasz Nivea for men. Będzie pamiętał, odwdzięczy się. Nie każdy oczywiście. Niejeden pogryzie ci rękę. Zamiast pamiętać, że zawdzięcza ci życie - będzie łął, że podłożyłeś mu nogę, gdy wychodził o kulach ze szpitala. Ryzyko jak w kasynie. Po imprezie pójdziemy pogadać do dobrej knajpki. Sala zarezerwowana, kolacja opłacona.

Musiał kiedyś cienko prząść, Mariuszek. Żarcie i chłanie na krzywy ryj wyczuje jak francuska świnia trufle. Henryka intrygowało trzecie zaproszenie, choć było przypadkowe i w dodatku nie zrozumiał, na co został zaproszony. Wczoraj, wracając do siebie na Chmielną, wpadł na dwóch mężczyzn w wieku około trzydziestu lat. Rozdawali ulotki. Henryk, który jak zakażenia aids wystrzegał się materiałów reklamowych, tym razem wziął ulotkę. Zdezorientował go, a raczej skusił, nietypowy wygląd rozdających. Jeden ubrany był w za duży beret, włożony mocno na bakier, i jasnozielony prochowiec ściągnięty ciasno wysłużonym skórzanym paskiem. Drugi, przypatrujący się Henrykowi uważnie, ubrany był w battledress koloru khaki i skórzaną pilotkę. Obaj mieli wypchane na kolanach, za krótkie spodnie, eksponujące do cna znoszone półbuty o przedpotopowym fasonie.

- Niech pan przyjdzie, Gomułka będzie przemawiał - zachęcał niższy, w berecie. - W takim momencie nie można stać z boku.

Zachowanie i wygląd młodych mężczyzn sugerowały przedstawienie teatralne, kabaret albo reklamę modnych ostatnio rekonstrukcji historycznych. Ale ich twarze? Piękne, rozpalone natchnieniem lub pasją. Czy bijący z nich blask i wzruszenie mogły być skutkiem mistrzowskiego aktorstwa? Henryk rozgarnął w głowie stos śmieci, by przypomnieć sobie, czy zaplanował coś na jutro. Tylko po co bereciarz wyskoczył z tym staniem z boku?

Następnego dnia snuł się po domu. Mieszkał na Chmielnej, bo miał dość hotelu, burdelowo-pogrzebowego stylu, wymuszonej uprzejmości i luksuso-podobnego blichtru. Stał przed regałem, czytał tytuły z zakurzonych grzbietów biblioteki ojca. Sporo książek na temat drugiej wojny, zwłaszcza na Kresach. Otwierał szuflady biurka, mimo że ich zawartość sprawdził już kilkakrotnie. Popatrzył zza firanki na podwórko. Dzieci wychodziły do szkoły. Najpierw bardziej obowiązkowe dziewczynki. Po nich wybiegli chłopcy, nawoływali się, rozmawiali szeptem, pochylając ku sobie głowy. Napomniani przez jedną z mam wychyloną z okna, ruszyli biegiem, trzęsąc wypchanymi plecakami. Młoda kobieta ciągnęła do przedszkola dziewczynkę. Słodkie maleństwo zapierało się i zawodziło przeraźliwie, matka ciągnęła je po betonowej kostce, próbując jednocześnie skorumpować obietnicami nieograniczonych popołudniowych zakupów i wiecznego szczęścia bez ingerencji przedszkolanki. Na co czekał? Bronek wydzwaniał z Kanady. Słuchalność spadała na łeb na

szuję. Obiecywał kontrakt, podwyżkę, bonus w postaci udziałów w spółce radiowej. Henryk nie dał jasnej odpowiedzi, ale nie wykluczył, że wróci jeszcze w tym roku, może przed świętami. Święta? Z kim je spędzi? Pomyślał o swoich gównianych planach. Tak, tak, notariusz. Ma przyjechać z Zielonej Góry.

Sprawdził w komputerze program telewizyjny; dobry mecz był dopiero jutro, Manchester United kontra Arsenal. Wszedł do gmaila. Nic. Znowu materiały o Archiwum. Dyrektor Trochmiński poinformował PAP, że zawiadomił prokuraturę o nieprawidłowościach w procesie digitalizacji zbiorów i marnotrawieniu dotacji budżetowej. Prokuratura zleciła kontrolę Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Po przybyciu pracowników ABW do siedziby Archiwum okazało się, że trwa tam już od dwóch dni kontrola Centralnego Biura Antykorupcyjnego, przeprowadzana po doniesieniu wicedyrektora Budzyńskiego. Zaklął szpetnie i powtórzył przekleństwo parę razy.

O szesnastej ruszył w kierunku Politechniki. Przeszedł przejściem podziemnym pod Marszałkowską i stanął twarzą w twarz ze stołecznym Stolcem Stalina. Podniósł wzrok na arcydzieło moskiewskiego renesansu. Przed nim leżały bezwładnie pustawe parkingi, dalej o podnóże budynku opierały się potężne, szerokie schody przeznaczone dla gigantów nowej ludzkości. Nikt po nich nie biegł, nie uciekał, nikt nie strzelał, żadne ciało nie zwisało ze stopni i nawet jedna fotogeniczna kropla krwi nie ściekała po blokach z piaskowca. Elita z Czarnej Sotni wspólnie z KGB zajęta była sprzedażą gazu i ściąganiem haraczy od skorumpowanych lub wystraszonych rządów. Odwach przy ratuszu w Krakowie rozebrali, cerkiew pod wezwaniem św. Aleksandra też. Byleby nie zaczęło padać. Przyglądał się z napięciem, jak dach ciężkiego nieba, nasączony brudnym atramentem, wali się z odległym łoskotem na nieświadome miasto.

Im bliżej podchodził do Politechniki, tym bardziej wzrastał ruch i hałas. Towarzyszył im spóźniony wiatr i wymiatał ludzi z bram, knajp, domów, sklepów, zakładów fryzjerskich, banków, autobusów i tramwajów. Ci niczego nie zauważyli, dalej rozmawiali zawzięcie, śmiali się, wymachiwali rękami. Byli zbyt zajęci i nie zorientowali się, że zebrani są w jednym miejscu, a nawet że od pewnego czasu żyją w jednym mieście, w jednym kawałku Europy, i że inni z zewnątrz patrzą na nich, jakby byli wspólnotą, wielką siłą, zjednoczoną wspólnym planem.

Słysząc już było odgłosy skandującego tłumu. Odbijały się od pierzei ulic i miały w gęstniejącej szarówce. Pojedyncze zdania wzmacniane przez głośniki górowały nad nimi, ale dźwięk, szamoczący się między budynkami, pozbawiony był treści. Nagle w przecznicy pojawił się Ziemilski. Nie był sam, obok szła Barbara. Rozmawiali. On gestykulował, ona

śmiała się co chwilę swobodnie, głośno. Henryk stał i patrzył. Zauważyli go.

- Wy się znacie? - zapytał zmieszany. Żałował, że wyszedł z domu. Poczł zniechęcenie, chciał położyć się do łóżka, przykryć głowę kołdrą i zapomnieć o dzisiejszym dniu. Zapomnieć o wszystkim i zasnąć.

- No tak, sam nas przedstawiłeś, a teraz nie pamiętasz - odpowiedziała Barbara błyskawicznie, jakby spodziewała się pytania.

- Na bankiecie u twojego adwokata. W knajpie na placu Trzech Krzyży, tej urządzonej w ogromnej piwnicy - dodał Mariusz.

Nie pamiętał.

- Ty nie na koncercie? - zapytał Barbarę.

- Jak to, przecież idę właśnie. Mam wejściówkę na siedzące miejsca. Dla VIPów - uśmiechnęła się trochę przepraszająco, trochę prowokacyjnie, jakby mówiła: taka jestem, rozrywkowa warszawianka, kocham bywać, być w kursie, już się nie zmienię.

Henryk rozglądał się wokół spłoszonym wzrokiem. Gdzie są ci goście spod Empiku i ich Gomułka, pomyślał, patrząc ponad głową Barbary na wyloty dwóch przecznic.

Ziemilski wziął oboje pod pachy i lekko pociągnął naprzód.

- Chodźmy razem, zobaczymy, jak wygląda sytuacja. Ktoś musi, jak widzę, objąć kierownictwo tej wycieczki.

Hałas rósł. Tłum gęstniał. Jeszcze zanim minęli róg budynku, uderzył go w brzuch, odbity od chodnika, falujący łomot muzyki. Basowe uderzenia tętniły pod ziemią, potrząsały chodnikiem.

- Dają czadu - rzucił Ziemilski. - Kto to miał grać? Nie mogę sobie przypomnieć. - I czując szarpnięcie ludzkiej fali, krzyknął: - Trzymajcie się mnie, bo się pogubimy.

W tym momencie tłum zawirował i jedna z jego odnóg porwała ich, wessała i rozdzieliła. Henryk obracał się, jakby tańczył z setkami niesionych wirem ludzi. Wreszcie wykorzystał chwilową szczelinę i oderwał się od zlepionych ciał. Uwolniony wycofywał się z placu i zatrzymał u wylotu ulicy. Muzycy akurat skończyli utwór i konferansjer na spółkę z potężnym echem zapowiadał następny punkt programu, na który, jak się wyraził, wszyscy czekali.

- I na te ważne słowa czekaliśmy nie od dzisiaj! - krzyknął, wspinając się z entuzjazmem szczebel wyżej.

Radosny głos przywódcy wypełnił głośniki.

- Obytelki, obytele! Polska narodową wadą! A dobrobyt z wielką swadą przyjaciele darmo kładą! My z odwagą i głęboko w dupie mamy przyszłość każdą! I bezdietne nasze

dzieci niech bez śladu stąd wyjadą! Partia nasza nie ma dzieci, to i wnuki z głowy mamy! Żeby wesprzeć ten kierunek, Konstytucję pozmieniamy! Teraz wszyscy pod Cedynię, przodem penis oraz damy!

Przywódca przerwał aplauz zgromadzonych. Skandowano wściekle:

- Wieszać! Wieszać!

Gdy wiatr zakręcił z piskiem, wrzask splątał się z echem i brzmiał bardziej pesymistycznie:

- Wiesław! Wiesław!

- Ruskie czołgi idą na Warszawę - ryknął Henrykowi w twarz jakiś zwalisty mężczyzna, wciśnięty w za małą kufajkę, ze styliskiem od kilofa w dłoni. - Ale Solidarność się nie da złamać. Ani podzielić! - I sprawnie dał nura w tłum, krzyząc:

- Lech Wałęsa - kupa mięsa!

- Bony, dolary skupuję, bony, dolary sprzedaję! - odpowiedział mu ktoś z tłumu.

- Jaruzelski - wrzasnęła baba w futrze z nutrii - ocali nas! Tylko on, ludzieeee, niech żyje naczelnik Jaruzelski. To on, mój sokolik ciemnooki, wskrzesił naród 11 listopada, w sześćdziesiątym ósmym zorganizował patriotyczne odrodzenie i Dziady wyreżyserował. To wnuk Mickiewicza. Nasz ojciec! Ilu zagubionych żołnierzyków nawrócił na prawdziwą wiarę. To on walczył o niepodległość w grudniowe noce siedemdziesiątego i osiemdziesiątego pierwszego! On, nasz bohater, prawdziwy Polak. Tchórz z naszego tchórzostwa, kość z naszej kości! Papież wszystkich Polaków! Nie słuchajcie tych Żydów, wszystko to stalinowscy szpiedzy z Wolnej Europy. Patriotyzmu brakuje, porządku i patriotyzmu. Mięsa jest za dużo, chleba za dużo, wódki za dużo, telewizorów w sam raz. Niech żyje naczelnik i generał!

Henryk, zdezorientowany, ogłuszony rykiem z głośników i wrzaskiem tłumu, dotknął ramienia kobiety stojącej przed nim. Ubrana była w podniszczony płaszcz nieokreślonego koloru z futrzanym, wyliniałym kołnierzem, na głowie miała zawiązaną pod brodą chustkę w kwiatowy wzorek.

- Co to za impreza, pani się orientuje?

- Słucham? O co chodzi? - Oczy kobiety błyszczały, była pochłonięta wiecem.

Wracała z trudem do rzeczywistości, niezadowolona, że Henryk jej przeszkodził.

- Nie wiem, kto w końcu przemawia - krzyknął głośnie.

Po jej twarzy przebiegł grymas oburzenia.

- Co pan mówi? Koniec bezprawia?

Henryk huknął:

- Co to za impreza?

- Jaka impreza, jaka impreza? - powtórzyła z przekąsem. - Czemu tak wrzeszczy, przecież nie jestem głucha. Stoi i nie wie? Szuka kolejki dla młodych małżeństw, zapisać się chce na zapisy na wirówkę z NRD? Wypadł z pociągu historii? Czy wysiadł na przystanku prywatyzacja? Prymas będzie kazanie głosił. Wypuścili go, bezbożnicy. Antychrysty. Zaraz będzie błogosławił. To męczennik. Żyjemy tylko dzięki takim jak on - obróciła się i upadła na kolana.

Obok Henryka wyrosli jak spod ziemi mężczyźni, którzy rozdawali wczoraj ulotki pod Empikiem. Zatrzymali się, rozejrzeli w koło, jakby chcieli sprawdzić, czy ktoś za nimi nie szedł. Panował jednak zbyt wielki tłok, by można było stwierdzić, że nie ciągną za sobą ogona.

- WSI za nami chodzi, Gomułka zdradził - rzucił ten w pilotce. - Ten moskiewski wypierdek nic nie zrozumiał w więzieniu. Komuchem był, komuchem jest i komuchem zdechnie.

- Komuch komuchowi katem - dodał sentencjonalnie ten drugi w zawieszonym na uchu berecie. - Srał go pies. Ale czas nadszedł. Polacy, żadnych złudzeń. Trzeba czynu. Śpiewaniem „sto lat” niepodległości nie wywalczymy. Ani za pomocą chińskiego powielacza, ani dzięki obradom rad robotniczych. Słodka komuna, upita kwachem, też nam jej nie podaruje. Gruby Rychu z panem Jankiem też nie.

- Akurat. Te sukinkoty Rosji służą - dodał jego kompan. - Agenciarnia nie od dzisiaj. Ruscy dwieście lat budują u nas siatkę. Z ojca na syna tradycja zdrady przechodzi. I co się dzisiaj okazuje? Z tego powodu, że likwidujemy armię, miałyby ruska siatka zniknąć, rozpląnąć się we mgle jak majątek narodowy? A może odwołali agentów do Moskwy, bo wszyscy wstąpili do zakonów kontemplacyjnych? Albo centrala w Moskwie tak się urąbała, że w pijanym widzie zwolniła wszystkich dyscyplinarnie za spożycie w godzinach pracy po małym piwie na dwóch? A może Rosja skapitulowała, bo dowiedziała się, że parunastu podtatusiałych polskich oficerów rozlicza delegacje z wyjazdów do Kwatery Głównej NATO i z chlania tam piwa morelowego? Albo prawosławne agenciki wyjechały, bo się potwornie spociły w wyniku nieustannego ocieplania stosunków z Moskwą, przez miłującego nieprzyjaciół nasze prezydentopremiera i jego patriotyczne ministery? Wszystkie ministra bez względu na płeć ministery lub brak płci, bo posiadanie płci nie jest obowiązkiem wolnych minister w Unii Europejskiej, co piastują godnie swoje komórki macierzyste in vitro w ramach Rady Minister.

- Ich skośna doktryna imperialna mówi - przerwał mu pierwszy - że ziemi, na której

ruski żołnierz przelewał krew, Rosja nigdy nie odda. Za ruską ją uważa. Nawet jeśli zawsze to była cudza krew i cudza ziemia. Więc podpałą świat z powodu kawałka skały sterczącej z morza, na której raz jeden wysrał się jakiś Wania, a że papieru chwilowo nie dowieźli, zaśpiewał:

Czużoj ziemi my nie chotim

No i swojej wierszka nie oddadim

A my, otwarci Polacy, odwrotnie, wyciągnęliśmy wnioski z historii i szukamy, co by jeszcze komuś podarować. Na pierwszy ogień - Śląsk. Niemcom pragniemy go po kawałeczku zwrócić. Za Wielkie Wypędzenie zadośćuczynienia dokonać. W drugiej kolejności pójdzie Pomorze. Mazury tak ciężko doświadczone przez polski nacjonalizm też przydałoby się jakoś po prusku uhonorować, więc mazurzymy o tym z BND. A w imię dobrosąsiedzkich stosunków z Ukrainą, pod ekumenicznym hasłem „rezać Lachów”, chętnie odstąpilibyśmy przynajmniej Chełmszczyznę, a może i Lubelszczyznę.

- Przestań narzekać! - syknął wyższy. - Czynu trzeba, nie jójczenia. Że w ogóle istniejemy, to cud. Że po polsku mówimy, cud drugi, że cały naród to nie są te niedobitki z Kazachstanu albo że ostatnie pokolenia nie dogorywają gdzieś nad chińską granicą albo w Jakucji, Bogu trzeba dziękować i Matce Boskiej Ostrobramskiej. - Odwrócił się do Henryka: - Dość gadania. Zbieramy broń. W najbliższy weekend szkolenie w Kampinosie. Jeśli dotrzymy i nie trzeba będzie uderzyć wcześniej. Będzie pan? Niech pan nie pęka, historia znowu otwiera drzwi.

Henryk już chciał odpowiedzieć, gdy przemknął mu przez głowę jeździec na białym koniu i jednocześnie przypomniał sobie, jak ochrzanił go ojciec za mówienie „biały koń”. Zapamiętaj sobie dobrze, wałkoniu, białych koni nie ma, są siwe, nie ma czarnych, tylko kare, rude z czarną grzywą i ogonem to gniade, a całkiem rude to kasztany. I kazał mu powtarzać, aż zapamiętał. Deresze, srokacze, bułane, jabłkowite i pozostałe warianty omówimy następnym razem.

Młodzi nie czekali na odpowiedź. Ruszyli biegiem, nerwowo rozglądając się na boki, pochyleni, jakby biegli pod ostrzałem.

Kilkanaście minut później znowu ich zobaczył. Tym razem wydawali mu się dużo młodszy, mogli mieć nie więcej niż siedemnaście lat. Matura mająca jak halka zgrabnej ciotki była jeszcze hen przed nimi, tak jak pijaństwo na studniówce, uczelnie dla analfabetów i dyplom za wygórowane chesne. Cała górna i chmurna młodość, bezkresne czyste morze życia i robota na czarno na budowie w Anglii. Co robili tym razem - grali role powstańców, partyzantów, robotników z Żerania?



- Boże, znowu dzieci idą na śmierć - szepnęła kobieta w pikowanym, grubym płaszczu i seledynowym moherowym berecie. Chłopcy wynosili z bramy jakieś toboły opakowane w zielony brezent i układali je w odrapanym samochodzie dostawczym. Radiostacja? Chińska kontrabanda czy broń? Może używane ubrania z Holandii? Wahał się, czy do nich podejść. Może mógłby pomóc? Nie, nawet kijem nie dotknie cudzych łachów. Ruszył zdecydowany, by wracać na Chmielną najkrótszą drogą. Jednak niespodziewanie spotkał ich jeszcze raz. Szli z pochylonymi głowami, bez sił, brudni, okopceni, jakby przegrali długą walkę z pożarem i silniejszym wrogiem.

- Przepraszam - zatrzymał ich zaniepokojony Henryk. - Co się stało? Pożar wybuchł, gdzie? - rozglądał się nerwowo, ale nigdzie nie zauważył dymu ani nie słyszał wycia syren.

Spojrzał na nich ze współczuciem. Mieli po dwadzieścia parę lat, ale ich oczy, wyczerpane oglądaniem widzialnego świata, zasnuwał smutek ostatecznej starości.

Oddycha miasto ciemne długimi wiekami, Spowiada miasto ciemne dawnych grobów żalność;

Rozrabane żelazem, utulone snami, Nie nasycone płaczem, nie spełnione chwałą.

Stań się krzywdą i zemstą, miłością i ludem.

O, chwyć za miecz historii i uderz! I uderz!

Recytował niższy, bardziej okopcony. Nie podniósł ciężkiej głowy, wisiała nisko jak u zajeżdżonego konia. Henryk miał na końcu języka nazwisko poety, chciał się upewnić, że dobrze rozpoznał, ale nie zdążył zapytać.

- A ten kawałek Krzyś czytał niedawno, dla paru kolegów z oddziału.

Nas nauczono. Trzeba zapomnieć, Żeby nie umrzeć rojąc to wszystko.

Wstajemy nocą. Ciemno jest, ślisko.

Szukamy serca - bierzemy w rękę, nasłuchujemy: wygaśnie męka, ale zostanie kamień  
- tak - głąz.

- Czuję ten głąz. Rośnie w moich piersiach.

- Może dlatego rośnie, że nasz Krzyś już nic więcej nie napisze. Że już nie ma dobra, na którego tle będzie wyraźnie widać nasze zło - dodał wyższy. - Pochowaliśmy go dzisiaj.

Dniem czy nocą idziemy wytrwali, w bitwach ogień hartuje nam pierś, myśmy dawno już drogę wybrali, jeśli nawet powiedzie przez - śmierć.

Więc naprzód, niech broń rozdziera, niech kula szyje jak nić, trzeba nam teraz umierać, by Polska umiała znów żyć.

Bo czy las nam zahuczy jak morze, czy w bruk miasta uderzy nasz krok, w naszych sercach trzepece się orzeł, każdy pancerz przepali nasz wzrok.

Piasku, to tobie szeptali leżąc, Wracając w ciebie krwi nicią wąską, Dzieci, kobiety, chłopci, żołnierze:

„Polsko, odezwij się, Polsko”.

- I co Polska na to? - Chłopak z wysiłkiem podniósł głowę i popatrzył na Henryka. Zanim jednak ich oczy się spotkały, Henryk opuścił wzrok. Chłopak mówił dalej:

- Polska milczy. Przerażliwie milczy. Może milczy dlatego, że brakuje Krzysia. I tysięcy innych, co spłonęli bez śladu jak ich rękopisy i scenariusze nieużywanego życia. Chce nam w ten sposób uzmysłowić, jak te straty nas pustoszą, wyniszczają. Chce, żebyśmy zrozumieli, że musimy sobie dawać radę sami. Krzysia nie ma. Przestał ratować Polskę i polszczyznę. Dotąd z poświęceniem rzucał się na ratunek każdego słowa, pomagał przetrwać nawet najbardziej słabemu, rannemu, choremu na gruźlicę. Wyciągał je z ognia, spod ostrzału, odbijał z rąk gestapo, z łap komunistycznych agentów, wszystkie, choć szczególnie te najbardziej bezbronne, które traciły sens. Wciąż zbierał siły, by móc powstrzymać błazeński taniec na hamujących postęp trupach polskich rzeczowników, przeszkodzić koniecznym klasowo torturom czasowników i rasowo uzasadnionym zabójstwom przymiotników.

Zbliżył głowę do twarzy Henryka i szeptem zapytał:

- Nasłuchuje pan czasem, tuż, tuż nad ranem, kiedy brakuje jednej sekundy do uderzenia słońca, do przebudzenia się krwi w miejskich kanałach, kiedy życie podnosi ciężką kurtynę i zagląda śmierci w oczy? I wszystko zaczyna się od nowa jak na początku świata? Ja słucham. Codziennie. I tak nie mogę zasnąć. Czekam. Może Polska chce nam coś powiedzieć? Może boi się, że wszyscy już ogłuchli i nikt jej nie usłyszy? Że Polacy tak stępieli, że słyszą już tylko histeryczny wrzask własnej obojętności? A może mówi niesłyszalnie coś bardzo ważnego, może nawet śpiewa cichutko piosenkę, którą wszyscy powinniśmy znać i zaśpiewać razem z nią, pełną piersią, jak jeden mąż? Ale słowotok zawodowych pajaców zagłusza jej szept i rozśmiesza do łez znudzoną publikę. Myślę, że ten rechot - pogardliwy, drwiący i syty - jest zapowiedzią apokalipsy. A nasza matka, być może ostatkiem sił, prosi nas o pomoc! Nie jestem pewien, bo prawdziwy słuch we mnie umarł. Dlatego tak cierpię. Krzys bez trudu wszystko by usłyszał, każdziutkie słowo, nawet cień pierwszej litery. Gadaliby sobie z Polską godzinami, planowali przyszłość. Niech pan powie: jest przed nami jakaś przyszłość? Poza małością? I hańbą?

Chłopak bardziej zebrał, niż pytał. Henryk nie miał siły, żeby mu odpowiedzieć, więc ten mówił dalej:

- Gdyby Krzysztof żył, byłbym kimś innym. I pan pewnie też! Wszyscy byliby

odmienieni. Ale czy on mógł przeżyć?! Śnił przecież o takiej ogromnej Polsce. Z taką dumą o niej marzył. To niemożliwe. Tych parszywych czasów nie mógł dożyć. Wiedział, że takie będą? Zobaczył je w blasku płonącej Warszawy i serce mu pękło?

Wyższy szarpnął mówiącego za rękaw, podstawiając mu przed oczy komórkę.

- Widzisz, kto dzwoni? - krzyknął. - Musimy zasuwać!

Pochylili się i ciężko, z tupotem buciorów nasiąkniętych wodą, pobiegli. Nie obejrzelili się ani razu i zniknęli za rogiem.

Henryk ruszył już w kierunku domu, gdy z bocznej ulicy gwałtownie wyjechał, obły jak sterowiec, niebieski jelicz i zatrzymał się z gwałtownym szarpnięciem. Silnik chwilę bulgotał, charkotał, zgrzytał i zgasł. Za autokarem chował się samochód osobowy schlapany zaschniętym błotem po dach. Z jelicza wysypała się z hałasem grupa mężczyzn, jak pszczoły, które w pierwszy cieplejszy dzień wypadają z ula, by obsiąść przydrożną iwę, białocytrynową, pierwszowiosenną piękność. Trzymali w rękach długie bojowe pałki, owinięte na cześć Adama Mickiewicza w „Trybunę Ludu”. Nie wiedzieli, co może wydarzyć się za chwilę. Niejasny strach przysypywali hałaśliwym śmiechem i zamasztywym spluwaniem na chodnik. Zbici w gęste stado rozsiewali wokół wątlą woń alkoholu, awansu cywilizacyjnego i przekleństw. W ich życiu wewnętrznym dominowały marzenia o natychmiastowej wypłacie diety, podwózce do domu i butelczynie piwka przed migającym telewizorem Neptun. Było im wszystko jedno, kogo mają rozpędzać, bić, łapać czy straszyć, chcieli jedynie mieć to już za sobą i móc wygłosić sentencję dnia: - Psiakrew, daj, kobieto, coś na ząb, tragicznie zmordowany jestem.

Z brudnej osobówki wygramoliło się jeszcze dwóch osobników w ciemnych, źle skrojonych garniturach. Było dość chłodno, ale oni, w samych marynarkach, swobodnym, rozkołysanym krokiem, z rękami w kieszeniach, podeszli do pasażerów jelicza. Szli jak Clint Eastwood i Gregory Peck grający razem w hollywoodzkim przeboju. Sądząc z kołysania, bali się jeszcze bardziej niż pasażerowie jelicza. Zapalili. Papierosy chowali w dłoniach uczniowskim sposobem, jakby się obawiali, że ktoś przyłapie ich na paleniu. Gdy podeszli bliżej, hałaśliwy strach ormowców dodał im pewności siebie.

- Straszna hurma ludzi. Mioły być grupki bananowy gówniarzerii, prowodyrów, a tutaj... mrowie. Ćma. Kogo niby mamy łać, obywatelu kapitanie? Chyba że nie wszystkich, bo i jak to? Strach - odezwał się posiadacz jednej z pałek. Rękaw ortalionowego płaszcza opinała ciasno białoczerwona opaska opatrzona czarnym napisem ORMO. Pytanie skierował do niższego z cywilów, postawnego mężczyzny w wieku około czterdziestu pięciu lat. Jego włosy, wysoko zaczesane do góry, tworzyły gładki ciemny hełm ze wzburzoną falą nad

czołem. Spod hełmu wystawał szpiczasty nos i cienkie wąsiki amanta filmowego lub kelnera harującego po nocach w lokalu z danciem. Ta twarz natrętnie kogoś Henrykowi przypominała. Hans Kloss. Był podobny do Hansa Klossa. Kolega kapitana w niczym nie przypominał Brunnera ani żadnego z czterech pancernych. Wysoki mężczyzna stał pochylony, jakby niósł na plecach ogromny tobół z mięsem, przydźwigany ze wsi na pokątny handel. Henryk usłyszał uszami duszy, jak tamten mamrocze: cielęcina, świeżutka cielęcina.

- Jak to kogo? - Zdziwiony kapitan zmarszczył brwi. Spojrzenie to regularnie ćwiczył przed lustrem. - To przecież żaden tłum, to studenteria. Wy, torzyszu, spaliście na ostatnio kursokonferencji i szkoleniu aktywu w Jaworowej Górze, tym ośrodku? A była znaczy wykład docenta Kąkole o takich synalkach i tatusiach, co to ojczyznę w Tel Awiwie mają, pochowali się w aparacie centralnym, encyklopedii i telewizji, obżerają się szynką i pomarańczami ze sklepów za żółtymi firankami niedostępnych dla troski matek i ludu z poświęceniem. No?

Odgłosy wydawane przez tłum wypełzały raz z jednej, raz z drugiej strony, miały uczuciami ormowców i organizacyjną niepewność wżerała się w ich wyobraźnię już i tak skurczoną jak sprane gacie.

- Nic a nic nie wiem, żem nie był na żadny...

- To mówię, kurna, że wichrzyciele są, rozwyrzona młodzież, elementy, tłum społeczeństwa w domu kulturalnie, z godną konsumpcją. A określonym środowiskom Polska się Ludowa zdobycze nie podoba. To niech spierdalają do Izraela i tam bynajmniej intrygują i imperializm podgryzają. Tutaj tylko dupy pasą, słuchają podszeptów Wolnej Europy i mimo osiągnięć wykorzystują stanowiska i przejściowe trudności, żeby siać przeciwko nienawiści na naszym socjalistycznym ugorze. Polacy nie mogą awansować w kolejkach we własnym kraju, bo się toto rozsiadło na fotelach i przesiaduje miesiącami w kawiarniach razem z niebieskimi ptakami, bikiniarzami i bachorami badylarzy w czerwonych skarpetkach. Spekulanka rasa. No i mięsa w sklepach brakuje i telewizorów, dzieciom od ust odejmować. Bym się nie certolił i tą bananową szumowinę do gazu, szkoda, że Hitler nie skończył...

Ubrany po cywilnemu kapitan przerwał. Coś go tknęło i oblała go fala gorąca. Wyciągnął papierosy i szybko zapalił. Wiola, żona, z którą szedł przez życie w kolektywie podstawowej komórki, prosiła, żeby w milicyjnym Konsumie kupił szynkę, pomarańcze i jeszcze parę spożywczych artykułów. Lubiła takie wyrażenia: artykuły spożywcze, dochód narodowy per capita, asortyment, abdykacja, konklawe, fosforan potasu, komitet centralny. Doksztalcała się na kursach zasadniczo podnoszących kwalifikacje. Artykuły spożywcze były

potrzebne w asortymencie rozbudowanym, ponieważ jej brat miał przyjechać w odwiedzinach zgodnie z rozkładem jazdy PKP. „Wiesz, Gienek, w sklepach na mieście nic dostać nie można. Po jakieś ochłapy mam stać od czwartej rano, razem z hołotą? - zapytała małżonka retorycznie. - A gdyby były banany, kup koniecznie. Dwa kilo co najmniej”. - I po chwili namysłu dodała: „Niezawodnie”.

- Wiola, Wiola - mruknął kapitan. Poczul w udach wspinające się podniecenie, bo na moment stanął mu przed oczami jej obraz idącej z łazienki w rozchylonym szlafroku, spinającej gumką jasne włosy, otulające obojczyki złotymi lokami. Była diabelsko zbudowana i czterdzieści osiem godzin na dobę miał ochotę ją aresztować. Mimo że ze względu na babskie humory czuł respekt przed żoną, o szynce i reszcie zakupów zapomniał na śmierć. Natłok spraw służbowych, spiętrzających się w wyniku spisków syjonistycznych rewizjonistów i rewanżystów niemieckich żerujących na braku wyrobienia politycznego części literatów i profesorów, przygniótł jego umysł, wyćwiczony w grach operacyjnych.

- Co mi tutaj, kurwa wasza mać, pierdolicie, że nie wiecie, kogo lać! Syjonistów nie odróżniacie od zdrowych członków, od trzonu awangardy? Chamy ze wsi jesteście czy jak? Głaby kapuściane, buraki nieplewione?

- Niby jo? Akurat, ze wsi! - zachnął się ormowiec. Ze swojej wioski po krótkiej walce na przystanku wydostawał się pekaesem przed świtem, o trzeciej z minutami. O czwartej, łamiąc przepisy BHP, przeskakiwał tory, mknąc do podmiejskiej kolejki. Kolejka telepała się mściwie z prędkością 20 na godzinę, ale mimo to w robocie był czterdzieści minut za wcześnie. Innego połączenia nie było. Etau w zajezdni na Grochowie pilnował jak oka w głowie. Dla bezpieczeństwa zapisał się do partii i ORMO. Tam, gdzie mieszkał, roboty nie było. Niby w sezonie, na czarno, u badylarza, ale płacił psie pieniądze, burżujski pasibrzuch. Ojca rozkułaczyli. To, co po nim zostało, podzielili między dwóch braci i siostrę. Z tego, co mu przypadło, nijak nie szło wyżywić rodziny.

## **Kraków i królowie**

Kraków i królowie

28 października

Fatalny wiec i katastrofalny powiecowy kac nie powstrzymał wyprawy Henryka do Krakowa. Pojechał pociągiem. Edmund miał dojechać nazajutrz. Zatrzymały go jakieś sprawy rodzinne, a Henryk nie chciał opóźnić spotkania na uniwersytecie. Nadal nie zdobył najlichszego świstka świadczącego wobec Boga, historii i Urzędu Wojewódzkiego, że był obywatelem PRL. Pociąg mijał Ursus, gdy zadzwonił ksiądz Robak z Archiwum. Skąd, u

licha, miał numer?

- Mogę mówić? To pilne. Naczelnny dyrektor zatrudnił agencję ochrony. Przygotowuje zamach. Zwolni całą opozycję, cofnie przepustki, obcy ochroniarze nikogo nie wpuszczą. To zamach stanu. Budzyński ma zablokowany komputer. Ma pan dojdzie do jakiejś dobrze ustawionej agencji, która sobie poradzi z Kontrolnetem? Mają w radzie nadzorczej dwóch pułkowników i jednego majora z dawnego Urzędu Ochrony Państwa, no i dwóch zawodników z policji, w tym jeden generał.

Henryk bez słowa przerwał połączenie. Zadzwoił do analityka pływającego prawdopodobnie w basenie wypełnionym wodą kolońską Davidoff.

- Jest pan hochsztaplerem - oświadczył. - Nie przeleję pieniędzy. Nie, nie obchodzą mnie obiektywne trudności. Sąd to sąd, jak być musi, to niech będzie. Albo otrzymam w ciągu tygodnia moje papiery, albo nie zapłacę ani grosza, do widzenia.

W Krakowie wszystko było zaskakująco znajomo staronowe. Przy wyjściu z podziemia cuchnęło moczem. Kakofoniczna kompozycja dziewiętnastowiecznego pustawego budynku dworcowego, zgrabnego pałacyku Stadnickich, rozpadających się peronów i tandetnej architektury nowej galerii handlowej niszczyła luksus przestrzeni placu Kolejowego.

Henryk ciągnął Plantami małą walizeczkę. Miał przed sobą pierzeję ulicy Szpitalnej, fragment murów obronnych i majaczącą bryłę Barbakanu. Po lewej jaśniał galicyjsko-elegancki piaskowy gmach Teatru Słowackiego. Pamiętajcie, królowie patrzą na was. Czujecie ich oddech na plecach? Tak zakończył pierwsze zajęcia na polonistyce młody doktor w drucianych okularkach. Wyglądał jak John Lennon. Henryk pamiętał zdziwione spojrzenia rówieśników, uśmiechy dziewcząt. Te dwa zdania wystarczyły, żeby adiunkt zaczął uchodzić za rąbniętego dziwaka. Nie pamiętał, biedaczyna, że oryginalność polega przede wszystkim na naśladownictwie i sporych nakładach finansowych. W oryginalność trzeba inwestować, najlepiej w dolarach. Henryk wtedy ironizował, ale memento adiunkta zostało w nim do dziś.

Czy ma siłę spojrzeć królom w oczy? A niekoronowanym? I czyje spojrzenie mógłby wytrzymać?

Szpitalna miała nową granitową nawierzchnię. Rynek wyłożony był również szarą, smętną kostką. Zerwane za Peerelu renesansowe kocie łby sprzedano naiwnym Szwedom czy wyrzucono do Wisły. Rynek wyłożono wtedy dużymi, gładkimi płytami z granitu, na których całe pokolenia łamały kości. Skręcił z linii AB w Sławkowską, do Grand Hotelu miał parę kroków.

Hotelowe wygodne łóżko, cisza, lekka i wczesna kolacja, jakieś pigułki ziołowe na sen połknięte w nadmiarze - nic to wszystko nie dało. Kokosił się w pościeli. Próbował czytać, włączał i wyłączał telewizor, zszedł do kawiarni, wrócił, włożył do wanny i wyłożył z wanny. Drzemał. Wreszcie wyszedł na niemą Sławkowską i skręcił w stronę Plant. Stały odrętwiałe, owinięte bladym wiotkim płótnem. Wyglądały, jakby pośpiesznie naszkicował je Wyspiański, ledwie dotykając końcami pędzli przybrudzonych krążków akwarel i smarując nimi poszarzały, zmięty papier. Spętany nieuleczalną chorobą, myślami o idiotycznych błędach, niemożliwej ucieczce, samobójstwie. Korony kasztanowców, ciężkie od gawronów i kawek, wisiały we mgle ściekającej po czarnych konarach. Ptaki budziły się, czyściły pióra, pokrzykiwały stłumionymi głosami. Zajeżdżało ostro ptasim guanem. Za mokrą czernią drzew dźwięczały dzwony Świętej Anny:

Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze, Tobie śpiewa żywioł wszelki:

Bądź pochwalon, Boże wielki!

A człowiek, który bez miary

Obsypany Twymi dary, Coś go stworzył i ocalił, A czemuż by Cię nie chwalił?

Henryk szedł w stronę Wawelu, ale u podnóża zawrócił. Było zbyt wcześnie. Wszystko na głucho zamknięte. Idąc z powrotem, skręcił w Kanoniczą. Biło z niej dostojeństwo niewielkiego miasta, które zaledwie czterysta lat temu było stolicą potężnego mocarstwa. Zużyte powietrze kładło się na chodnikach, jakby ktoś wycisnął z niego energię i tlen. Przywłókł się do hotelu i przeleżał na rozkopanym łóżku do dziewiątej trzydzieści. O dziesiątej wszedł do pokoju zastępcy dyrektora Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Roman Wróbel, krępy góral pochodzący z Piwnicznej czy Krynicy, był jego dawnym kolegą z roku. Pragnął ponad zbawienie duszy uciec ze swojego górskiego miasteczka. To pragnienie zagmatwało jego świat i uczyniło bezbronnym wobec bezlitosnych kolegów, którzy takie same lub podobne pragnienia potrafili skrzętnie zamaskować. W organizacji socjalistycznych studentów było wielu prowincjuszy bardziej od niego przebiegłych i wyrachowanych. Gdy się zorientował, że kariera po linii młodzieżowej spaliła na panewce - tuż przed obroną dyplomu wstąpił do PZPR. Ta strategiczna inwestycja pozwoliła mu zostać na uczelni. Doktorat obronił szybko. Jednak w połowie lat osiemdziesiątych z uczelni go wylali. Nikt nie rozumiał, dlaczego nie napisał w terminie habilitacji. Próbował się odwoływać, argumentując, że doktorat uzyskał trzy lata przed terminem. W końcu zaczął się w uczelnianym archiwum i po ćwierćwieczu wytrwale wegetował w nim nadal. Kto go awansował, dawni czy nowi? Cisi czy gęgacze? A może został przepchnięty na to ćwierćkierownicze stanowisko bezwładną siłą biurokracji i rzemieślniczej zapobiegliwości.

- Serio? Jesteś pierwszy raz w Polsce od stanu wojennego? I jak wrażenia z naszej buraczanej wojny? No, wojny Europy z wójtem, plebanem i moherem? - zapytał Wróbel.

- Nieszczęśliwe mam wrażenia. Sprawy rodzinne, spadkowe, prawnicy, notariusz. Nie za bardzo śledzę, co się dzieje, a przerwa, sam rozumiesz, zerwała ciągłość. Czuję się w Polsce prawie jak japoński turysta. Z tą różnicą, że jak wchodzę do kościoła, to zdejmuję czapkę.

- Nie żartuj. Nie ściemniaj, że nie jarzysz, jak mówią młodszy pracownicy naukowcy. Przecież nie da się uciec od tego jazgotu, odmawiania różańca na chodnikach i skwerach, robienia z krzyża kija do bejsbola, a z Chrystusa anteny nadawczej ksenofobicznej stacji radiowej. To jest niepełnosprawny naród zawodowych katolików i niedorobionych patriotów. Chodzą po domach i sprawdzają, kto z kim śpi, do matury chcą dopuszczać tylko dziewice, a Żydów, choć wszystkich wygnali, widzą wszędzie.

- Roman, chętnie kiedyś pogadam, jak się już zadamowię. Ale z tym właśnie mam kłopot. Chcę złożyć wniosek o przywrócenie obywatelstwa i muszę mieć jakieś papiery z czasów, kiedy byłem Polakiem.

- Być Polakiem rzadka przyjemność. Co ci wadzi zostać Kanadyjczykiem? Masz ichnie obywatelstwo, tak? Polaczki ci będą nadskakiwać. W dupę włożyć. Ich duma łązi w kostiumie lokaja. Chyba że, za przeproszeniem, jesteś biedny.

- Prawnik mi wyjaśniał - wymyślał się Henryk. - Powtórzyć nie potrafię. Trudne sprawy związane ze spadkiem po ojcu, mieszkaniem w Warszawie. Będzie dużo prościej wszystko załatwić, gdy będę miał polski dowód. No i podatki... Tak że gdybyś mógł poszperać...

Argument spadku kolega zrozumiał, prosił o dwa dni. Henryk postanowił poczekać, a przy okazji skoczyć w góry. Wróbel zaprosił go do knajpy na wieczorne spotkanie paru osób z roku.

- Przygotowujemy mały zjazd, trzydziestopięciolecie dyplomu. Jasne, że się ucieszą. Jeszcze jeden żywy trup. Wątpisz w to?

Gdy wszedł do renesansowej piwnicy i kelner zaprowadził go do bocznej niewielkiej salki, zorientował się, że wszyscy mają już dobrze w czubie. Próbował dotrzymać im kroku z dość miernym skutkiem.

## **Grzybobranie**

Grzybobranie

29 października



Nazajutrz, zanim zjawił się w Krakowie Edmund i ruszyli na południe, odebrał telefon. Kobięcy głos, którego nie mógł zidentyfikować, poinformował go, że TVN 24 podaje fragmenty konferencji prasowej prokuratury w sprawie Archiwum, a także komentarze przedstawicieli rządu. Nie włączył telewizora. Światelko w tunelu zgasło.

Jechali z Edmundem przez Waksmund, Ostrowsko, zatrzymali się w Łopusznej, gdzie obejrzeni dwór Włodzimierza Tetmajera o załamany dachu z ciemnego gontu. Na tle pobielonych wapnem ścian rudział drewniany ganek. Henryk lubił połączenie koloru przypalonego słońcem drewna z szorstką, wapienną bielą i ugrowo-cielistym piaskowcem podmurówki. Zatrzymali się w Harklowej. Wysiadł na końcu wsi i ruszył piechotą pod górę. Edmund wolał drzemkę w samochodzie.

Nad wsią, jak dzwony z wyrwanymi sercami, kołysały się ciemniejące Gorce. Ostatnie zabudowania wyglądały na zwykłe, chłopskie gospodarstwo. W obejściu stała otwarta stodoła i wydawało mu się, że to trznadle wlatywały do niej i po chwili wylatywały w popłochu. Polujący kopcuszek rutynowo dygał na sztachecie płotu. Asfalt się urwał. Droga wysypana szczerze rzeczonym żwirem trzymała się brzegu strumienia, biegnącego nieuważnie z góry. Woda ślizgała się po kamienistym dnie i z łagodnym blekotem rozlewała szerzej na spłaszczonym, otwartym terenie. Przykucnął na dwóch rdzawych kamieniach i zaczerpnął wody. Oplukał twarz, potem się napił. Woda była zimna, ostra. Zęby przeniknął krótki ból.

- Bydło to nic, byleby ludzie wyżej nie szczali - westchnął z rezygnacją.

Anemiczne słońce usiłowało przedziurawić mgłę, nieruchawą jak sztywne, schnące na sznurach prześcieradła. Łąka upstrzona była krowimi plackami, jałowcami i ciemnozielonym janowcem z otwartymi torebkami po wystrzelonych nasionach. Między nimi przechadzały się wrony. Zatrzymywały się co chwilę i nad czymś zastanawiały, przekrzywiając głowy. Trzeba było przejść jeszcze kilkaset metrów, by dotrzeć do lasu. Towarzyszyły mu tylko sikorki, częściej bogatki, z rzadka ubogie, czarnogłówki czy modraszki. Uwijały się pracowicie. Walczyły o przetrwanie bez wytchnienia, z radością, bez najmniejszej skargi.

Jak zwykle w górach wydawało mu się, że wszystko jest bliżej niż w rzeczywistości. Ciepłiwe góry czekały nieopodal, o rzut kamieniem. Otwarte, zanurzone po szczyty w gorzkim powietrzu.

Pierwsze świerki stały w nieładzie, rozrzucone wśród jałowców i tarniny. Henryk urwał garść pomarszczonych czarnoniebieskich owoców i żuł, wkładając do ust po dwa, trzy naraz. Twarda skórka ukrywała kamienne pestki i odrobinę kleistego, kwaśnego miąższu. Nie posilał się sam, przy drodze gil z wypiętym ceglasczerwonym brzuchem siedział na oście i wyjadał nasiona.

Z góry, z lasu wracał starszy mężczyzna w starej narciarskiej czapce, czarnej sukiennej kurtce i spodniach od dresu. Henryk popatrzył pożądliwie na jego kobiałkę pełną borowików. Między brązowymi kapeluszami połyskiwały pomarańczowe rydze.

- Dzień dobry, gdzie pan znalazł takie piękne grzyby? - zagadnął.

- Szczęś Boże. A nalożek hań na grapie - odrzekł góral i przystanął. Patrzył z wyrozumiałym politowaniem na miastowego udającego się do lasu w eleganckich półbutach i spodniach uprasowanych w kantkę. Odpowiedź znaczyła: tam w lesie. Można ją było rozwinąć: nie myśl, ceprze, że ci zdradzę, gdzie są moje miejsca prawdziwkowe. A nawet gdybym ci powiedział, i tak ich nie znajdziesz. Zbieraj opieńki i ciesz się.

- Wypogodzi się czy będzie padać? - Henryk miał ochotę zatrzymać się na chwilę i postać w rzadkim, chłodnym słońcu z nieogolonym nieznanym.

- Będzie, co Bóg da - wyraził swoją opinię góral. - A pan skond?

Henryk lubił góry, zwłaszcza Podhale, lubił chaty ze świerkowych płazów, gwarę, a przede wszystkim prymitywną muzykę, rozcinającą serce jak przepaść. We wczesnym dzieciństwie przyjeżdżał tutaj z rodzicami. Gdy przeniósł się do Krakowa, wpadał na narty, na grzyby albo po prostu powłóczyć się po górach i posiedzieć nad Białką. Ciągnęło go tutaj towarzystwo z roku, moda na góralszczyznę, niewielka odległość i niskie ceny, a czasami tłumiona tęsknota za marną kopia tamtych dni, gdy strzelał z procy do kur, układał piętrowo patyki i palił w deszczu całymi dniami maleńkie ognisko tylko po to, żeby nie zgasło, obserwował ulubione strzyżyki i mniejsze od nich mysikróliki, wyciągał spod mieniących się miką różowych i białych kamieni jasnozielone ślize i sine miętusy. Ręce grabiały i bolały od zimnej wody. Nawet w lipcu nie nagrzewała się, wartko płynąc po granitowych otoczkach od Pięciu Stawów do Bukowiny Tatrzańskiej.

Byli chłopcy byli, ale się mineli.

I my się miniemy po małućkiej kwili.

Ile razy dobrze wypił, tyle razy podejmował żalosne próby wykonania tej przyśpiewki. Niestety, dławił się, krztusił i zamiast gardłowego śpiewu wydawał z siebie bezradny skrzek.

- Za wiele przeżyłem, nie da się tego tak prosto wyrazić - kwitował niepowodzenie, ale nikt nie śmiał się z tego żartu. W oczach dziewczyn wypadał jednak nieźle, zwłaszcza na tle kolegów naśladowujących jak jeden mąż Micka Jaggera i ryczących do upadłego „aj kant get noł satysfakszon”.

Pytanie górala mógł zbyć byle czym. Ten zdrowo podniszczony mężczyzna nic przecież nie chciał o nim wiedzieć. Jednak pytanie niespodziewanie zabolalo.

- No, trzeba iść, grzyby mi uciekną - rzucił zamiast odpowiedzi i ruszył w górę

szybkim krokiem.

Wyżej strumień zapadał się w wąski, głęboki wąwóz. Obok, koleinami leśnej drogi, również ciurkała woda. Drzewa ustawione gęściej tworzyły szpaler, łączyły się konarami, wsysały słabe promienie słońca. Zszedł z drogi i ruszył wzdłuż zbocza. Zrobiło się chłodniej, zaciągnął zamek kurtki. Drzewa w tym miejscu były starsze, potężniejsze. Rozsiewały pod sobą gęsty, soczysty cień. Musiały rosnać czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Ich wysokie korony zalepiały niebo i tylko przez nieliczne prześwity przeciskały się ostre linie światła i wbijały w ściółkę.

Na wszelki wypadek zabrał ze sobą foliową torbę, chociaż gardził grzybiarzami paradującymi po lesie z reklamówkami zamiast koszy. Kosz, nóż i papier toaletowy to podstawowe przybory przyzwoitego grzybiarza, powtarzał do znudzenia ojciec za każdym razem, kiedy wychodzili do lasu. Henryk lubił wstawać o świcie, a jeszcze bardziej tuż przed świtem, gdy dopiero zaczynało szarzeć. Mama trącała go lekko w ramię, a kiedy otwierał oczy, wypowiadała stałe hasło:

- Wstawaj szybko, ojciec gotowy. Czeka na ciebie.

Zbierał się. Czuł pod bosymi stopami watę milionów śpiących ludzi. Wkładał gumki, na koszulę wciągał kurtkę od deszczu i ruszali. By nie marnować czasu, kanapki jedli w lesie. Czasem przytracali do plecaka patelnię, pakowali kawałek słoniny i smażyli surojadki i rydze na ognisku.

Ojciec puszczał go przodem.

- Nadawaj tempo, synu. I nie popędzaj za bardzo, żebyś nie ustał.

Strącana z wysokiej trawy rosa nieprzyjemnie ściekała do gumiaków. Szedł w krótkich spodniach, z sercem ściśniętym przez podniecenie. Długie spodnie na lato nie istniały i kanciaste kolana omiatał chłód. Wyszli równo ze świtem, mieli szansę być pierwsi. Gumki skrzypiały na kamieniach, kogut sąsiadów zapiął ochryple. Gdzieś na końcu wsi odezwał się pies i po chwili inne odpowiedziały mu rannym, niechętnym szczekaniem. Mokra cisza szumiała w uszach. Szybki oddech chłodził ślinę. Przetykał ją raz po raz, nie splotał, żeby nie denerwować ojca. Był pewien, że znajdą mnóstwo prawdziwków. Duże mama ususzy, małe zamarynuje. I wtedy ścisnęło go w dołku. Górale już wracali z lasu. Musieli wyjść w nocy, sporo przed wschodem słońca. Wymacywali borowiki po ciemku. Wygrzebywali, nawet te najmniejsze, z mchu i ściółki.

Henryk wspiął się na pierwszy garb. Półbuty przemokły, skarpetki piły wilgoć. Ze spadającego w dół karczowiska mógł patrzeć na wygięcie przełęczy, między zalesionymi szczytami. Za świeżo obmytą przez mgłę, błyszczącą linią lasu stały niebieskie duchy Tatr w

białych odwróconych koronach. Patrzył i oddychał. Płuca i wzrok były spokojne, zatopione w przestrzeni, ale zarazem ostre, pełne zachwytu, niemal radości. Nie zabolaty go wspomnienia o ojcu. Przepłynęły przez niego czysto, zespolone z oddechem i głębokimi uderzeniami serca. Żył dzięki śmierci? Mógł żyć dlatego, że on umarł? Czas odwrócił się i ból zniknął za poszarpaną linią światła.

Schodząc do wsi, szczęśliwie trafił na pas lasu, który ominęli grzybiarze. Najpierw przy samotnie rosnącym modrzewiu trafił na rodzinę żółtych królewskich maślaków. Młode były ciemniejsze, brązowawe, z odcieniem dojrzałej pomarańczy. Większe przechodziły w ugię i złoto. Starsze, często robaczywe, nabierały barwy blado-cytrynowej. Potem było tylko lepiej. Wyciągnął trzy dorodne prawdziwki. Ich ciemne, twarde kapelusze pokrywał delikatny białawy nalot. Pachniały wilgotnym, orzechowo-skórzanym powietrzem. Oderwał kawałek i roztarł w ustach. Poczłł słodki, szlachetnie miękki smak. Ojciec tak sprawdzał, czy grzyb jest jadalny. Pod grupą osik wytropił stadko rydzów i, jak w dzieciństwie, przeciętą rurką nóżki postawił na wierzchu dłoni kilka pomarańczowych pieczętek. Z butów wyciekała woda. Pot chłodził ciało. Przeziębienie i zmierzch przestały się czaić, podeszły bliżej.

Zjeżdżali powoli w dół wsi. Puścił gorący nawiew na stopy. Miejscowi wychodzili z domów i szli poboczem. Niżej stał kościół.

O Stworzycielu Duchu, przyjdź nawiedź dusz wiernych Tobie krąg, niebieską łaskę zesłać racz sercom, co dziełem są Twych rąk.

W kościele Najświętszej Marii Panny msza się właśnie zaczęła. Henryk przecisnął się przez stojących w sieni młodych mężczyzn i dziewczyny, wydekoltowane mimo chłodu. W pobliżu ołtarza było luźniej, znalazł nawet wolne miejsce w ławach po prawej stronie, dawniej uważanej za męską.

Jak szczęśliwa Polska cała, W niej Maryi kwitnie chwała, Od Bałtyku po gór szczyty, Kraj nasz płaszczem Jej okryty.

Matko Boska, Królowo Polska, O Pani nasza Częstochowska.

- Chcecie być nowocześni za wszelką cenę? Chcecie podlizywać się diabłu? Jestem przekonany, że wiecie dobrze, gdzie i jak on działa. I kiedy działa. Co go interesuje. Może czasami nie wierzycie w możliwości Pana Boga. Może czasami w Niego w ogóle nie wierzycie! Albo uciekacie przed Nim jak przed Urzędem Skarbowym. Ale z diabłem żyjecie na co dzień. W niego wierzycie. O tak, bez wątpliwości! Podziwiacie go za skuteczność. Za nowoczesność i umiejętność dostosowania się do nowych sytuacji. Za spryt i skuteczność. To spryt i skuteczność za wszelką cenę rządzą naszymi czasami. Prawda, że podziwiacie ludzi, którzy skutecznie kłamią, oszukują, kradną, często na oczach milionów, w świetle jupiterów -

polityków, biznesmenów, sportowców? Zazdrościcie im. Dlaczego wielbiony jest piłkarz, który wygrywa dzięki oszustwu? W telewizji do znudzenia powtarzają, jak strzelił zwycięską bramkę ręką albo udawał, że jest faulowany na polu karnym. Oszust bożyszczem. Oszust wzorem do naśladowania dla waszych dzieci. Przypominam wam - jego oszustwo też jest zwycięstwem szatana, jak każda zgoda na łamanie zasad. Oszukiwanie na boisku nie mieści się w przykazaniach Pańskich? Mieści się. Wybieranie polityka z aferami na koncie to również wspieranie zła. Dzięki wam szatan jest taki skuteczny. Poddajecie mu się, myśląc: taki jest świat, muszę się dostosować, nie robić z siebie wczorajszego głupka. Albo gorzej. Marzysz jeden z drugim, żeby też być takim sprytnym i umieć innych oszukiwać. A uczciwości, szlachetności to się wstydzicie. Być posądzonym albo oskarżonym o trzymanie się prawdy, toż to istna kompromitacja! Ciężki wstyd! Za dużo macie, moi drodzy, do czynienia ze złem i szatanem! Zbyt często się z nim widujecie i dogadujecie! Za bardzo chcecie być prymusami w jego szkole życia.

Siwy ksiądz mówił pełnym głosem, z energią, ale można było wychwycić ledwie słyszalny ton nieobecności, nutę rezygnacji. Zmęczenie musi kiedyś przyjść, myślał Henryk, zmęczenie nawracaniem ludzi, spowiadaniem z tych samych grzechów tych samych ludzi, przez pół wieku, w tym samym miejscu. Ksiądz mówił dalej:

- Słyszeliście pewnie wiele razy o kobiecie, która procesowała się z państwem o odszkodowanie, bo ciąża i poród popsuy jej wzrok, a wcześniej lekarze odmówili jej aborcji. Matka z córką u boku walczy o odszkodowanie za to, że nie pozwolono jej zabić dziecka, które trzyma za rękę. Ta kobieta obwieszcza całemu światu, że chciała je zabić, bo poród mógł narazić na szwank jej zdrowie. Płaćcie mi odszkodowanie, bo zostałam zmuszona do uratowania życia mojej córeczki, do urodzenia dziecka. Co kierowało postępowaniem kobiety? Domyślcie się? Absurdalne prawo do własnego brzucha czy szatan? Ze łzami w oczach skarżyła się całemu światu, że nie pozwolono jej zabić. Mówiła: córeczko, jestem taka nieszczęśliwa, bo cię nie wyskrobałam. Nie wyrzuciłam do śmieci twojej twarzyczki, rączek i brzuszka. Córka słuchała tego, co mówiła matka. Myślała również o tym, czego matka nie powiedziała. Dziewczynka odbierała wielką lekcję miłości, wielką lekcję człowieczeństwa. Co działo się w jej sercu? Na jaką próbę zostało wystawione całe jej życie, jej miłość, jej przyszła kobiecość i macierzyństwo? Jak to wpłynie na jej przyszłe relacje ze starą i chorą matką? Co działo się w sercu i głowie tego dziecka? Co pomyślało o obcych ludziach, którzy uratowali mu życie? O tych oskarżonych przez matkę lekarzach, którzy byli winni pogorszenia wzroku matki.

A czy dziennikarze pomyśleli o tym dziecku, rozpisując się o krzywdzie i

roszczeniach zagubionej kobiety? Czy gazety, radio i telewizja przywołały przy tej okazji lekarkę i matkę Giannę Beretta Molla? Świętą dzięki Janowi Pawłowi II. Czy wspomniały choć raz, że możliwa jest inna postawa ciężarnej matki? Czy mówiły, że można oddać życie dla nienarodzonego dziecka, że „stan błogosławiony” oznacza coś więcej niż kłopoty i zagrożenie?

I wy, czy pamiętacie przy takich okazjach, że istnieje strona potępionych i błogosławionych, dobro i zło, że Bóg to nie święty obrazek nad łóżkiem i zjazd rodzinny z okazji Pierwszej Komunii dziecka, ale dokonywanie codziennego wyboru. Zabić czy ocalić? Wesprzeć czy przejść obojętnie? Wyboru często ryzykownego, narażającego na śmieszność albo straty materialne. Tak, za wybór dobra, za opowiedzenie się po stronie Chrystusa, tu na ziemi, często trzeba płacić. I nadal trzeba będzie płacić! Wygląda na to, że coraz wyższą cenę.

Nikt, póki co, nie żąda od was ofiary życia. Na świecie co trzy minuty ginie chrześcijanin. My na szczęście nie żyjemy w Afryce czy Azji. W Polsce to nie nasze życie jest zagrożone, lecz nienarodzonych dzieci. Ale czy dla katolika jest jakaś różnica? Stoimy przed takimi samymi wyborami jak chrześcijanie w Chinach, Pakistanie, Indiach czy Egipcie, którzy idą modlić się do płonących kościołów.

- Pierwszy raz mi się zdarza, że podchodzę do kogoś obcego. I chyba chcę porozmawiać. - Henryk stał przed proboszczem i przy słowach „chcę porozmawiać” zeszytywniały mu szczęki i pożałował ciężko, że się odważył.

- Duchowny nigdy nie jest obcy. Jest przyjacielem z definicji. Przyjacielem i sługą.

Ksiądz szybko wyrecytował tekst i uśmiechnął się. Zachęcająco czy na odczepnego? Nie był zmęczony. To było raczej spojrzenie człowieka, który ma nawyk zapamiętywania wszystkiego i teraz, na starość, wie już o ludziach zbyt wiele, by zachować coś więcej niż urzędowy optymizm i oficjalną wiarę w dobro, drzemiące w parafialnych owieczkach. Każdego ranka z wielkim wysiłkiem musi zdobywać się choćby na odrobinę wyrozumiałej cierpliwości wobec ich sumiennego pograżania się w luksusie zła. Wyrozumiałość dla nudy codziennego zła kosztowała go coraz więcej sił.

Szli obok siebie w stronę plebanii, obserwowani przez wychodzących wciąż z kościoła ludzi. Henryk odniósł wrażenie, że ksiądz nie rozmawia, ale przemawia, kontynuuje kazanie. Usiedli w kancelarii.

- Przepraszam, że tak zza biurka, urzędowo, pan przecież nie przyszedł niczego załatwiać, ale nigdzie indziej...

Henryk na ogół nie słuchał kazań. Były, jak na jego gust, pozbawione żarliwości, naiwne, schematyczne jak plan torów kolejowych, i nie odnosiły się do dyskretnie brutalnego

doświadczenia słuchaczy. Nie było w nich słyhać śmiertelnej walki, by pomóc słuchaczom w zbliżeniu się, choćby o milimetr, do możliwego dobra. I nazwania go po imieniu. Albo odciągnięcia ich choćby o mały krok od zdrady dobra, z którą się już nieźle zżyli. Zazwyczaj kazania nie służyły nawet do uniesienia ducha ciut, ciut ponad codzienną pozłacaną bryję i kalejdoskop azjatyckiej tandety, podlanej sosem egoizmu i seksu. Gromowładnego staruszka w wiejskim kościółku wysłuchał. To nie było sylabizowanie notatek z kazania kolegi, pełne przejęzyczeń i błędów stylistycznych. Chociaż może powtarzał ten tekst trzy razy w roku, od dwudziestu lat. Parafianie drzemali, słuchając o diable, ich domowniku. Marzyli o powrocie do domu, żeby móc go nakarmić i rozweselić. Tekst był zresztą zbyt ogólny. Grzesznika, który nie przeszedł ostatecznie na stronę zła, łatwo jest celnie trafić. Gorzej z tymi, którzy jeszcze przychodzą do kościoła, ale dudni im w głowie od pustki i obludy. A księża już nie chcą mówić o szatanie i piekle. Wołają stosować marchewkę nieba i narkozę bezosobowej miłości, podobnej raczej do życzliwości i uprzejmości na rocznicowym zjeździe maturzystów. Msza ma być przyjemna, bezstresowa i przynajmniej trochę wesoła. Niedługo na kościołach zawisną bannery: „Wejdz, tu nikt nie wypomni ci grzechów”. Albo: „Nie musisz wchodzić, chwal Boga po swojemu”. Ewentualnie słowo „Bóg” może być napisane małą literą, żeby nikogo nie urazić. Albo całkiem pominięte w obawie przed protestami nagich aktywistek i zastąpione słowem „Dobro” lub „Tolerancja”, tym razem pisany dużą literą.

- Powiadają niewierzący, że tylko jednostki słabe, prymitywne, źle wykształcone szukają oparcia w religii. - Henryk usiadł wygodniej. Mówił cicho, krążąc wzrokiem po pokoju. - Tacy ludzie potrzebują wiary, by zastąpić wiedzę i odwagę. W gruncie rzeczy chodzi im o odrzucenie nauki, która przynosi coraz bardziej szczegółowe informacje o człowieku i wszechświecie. Ludzie, którzy zwracają się ku Bogu, bojkotują odpowiedzialność za siebie. I za świat. A rozumną, otwartą wspólnotę mogą tworzyć tylko jednostki odpowiedzialne i świadome. Wierzący uciekają od siebie, od prawdy o sobie. Szukają tłumy, ekstazy, zapomnienia i bezmyślnej celebracji. Bóg, religia to brak wątpliwości, porzucenie poszukiwania prawdy, ucieczka od wolnego wyboru. Niewolnik jest bierny, a religia go w tym stanie utwierdza, pozwala czuć się bezpiecznie. A tymczasem sama jest piekielnie niebezpieczna, bo powoduje rezygnację z walki o lepszy świat. Z walki, by być lepszym, i dawania innym szansy bycia lepszymi.

Książd przez chwilę zastanawiał się, czy Henryk streszcza cudze argumenty, czy mówi to, co myśli, ale machnął na to ręką. Spór jest sporem.

- Tak na marginesie, cenię postawę pewności i nie jestem bezkrytycznym wielbicielem popularnej postawy wątpienia. Pewność jest obecnie wyśmiewana, pogardzana.

Zwłaszcza byli komuniści zmienili się w chodzące znaki zapytania. Zwalczają pewność równie ortodoksyjnie jak kiedyś wątpliwości. Kiedyś wydawali wyroki za zadanie najbardziej niewinnego pytania, dzisiaj terroryzują za pomocą obowiązkowych wątpliwości ludzi, którzy są pewni swojej wiary, swoich zasad czy tożsamości. Przed ludźmi pewnymi swoich przekonań ostrzegają społeczeństwo, krzyczą histerycznie, że to niebezpieczni fanatycy. A przecież budząca ich strach kobieta z różańcem w dłoni nie ma do dyspozycji kazamatów UB, doraźnych sądów i wątpliwego pułkownika Różańskiego. Przypadek, zbieg okoliczności, człowiek bogiem absurdu i chwili - oto sens naszego życia, tak twierdzą. Piszą o tym wiersze, robią filmy i biada tym, co się z nimi nie zgadzają. Kto nie łąał tak jak oni według moskiewskiej instrukcji, zasługiwał na tortury lub ołówkę cenzora. Teraz nie wolno w nic wierzyć, bo się zaraz od nich dostaje nominację na fanatyka, nacjonalistę, faszystę, homofoba, wroga postępu, kobiet i ludzkości.

Ale wracając do tematu. Wie pan, wielu wierzących pyta: cóż to jest za odwaga i wyzwanie mianować siebie Bogiem? Właścicielem paru zabobonów i nienawiści do wszystkiego, czego się nie rozumie i nie potrafi zrationalizować. Opisać za pomocą praw fizyki, chemii czy innych ścisłych nauk. Albo prymitywnej publicystyki. Zrozumieć, a więc i zaakceptować.

Czy trzeba mieć odwagę, żeby twierdzić, że wszystko jest dozwolone, pod warunkiem że nikogo się nie krzywdzi? Ale właściciel tego liberalnego poglądu chce decydować za innych, co jest krzywdą i złem, chce oceniać, czy ludzie, których nie zna i nie rozumie, czują się pokrzywdzeni. Jest liberałem tylko na własny użytek, w swoim świecie, na swoich warunkach.

Można powiedzieć, że w takim wydaniu interpretacja wolności przeradza się w praktykę liberalnej dyktatury. Jakaż to wolność, jeśli sprowadza się do odbierania wolności wszystkim pozostałym, także umarłym i tym, co jeszcze się nie narodzili? Odbierania prawa do stwierdzenia, co dla nich jest dobre, a co złe. Co czyni z nich lepszych ludzi, a co ich niszczy, infekuje złem. Co ich poniża, spycha na margines. Zabija.

A Bóg, o którym wiem wszystko, którego bez trudu sobie wyobrażam, którego mógłbym opisać za pomocą ścisłych kategorii, obserwować i ogarniać zmysłami, czy byłby jeszcze Bogiem? Zarozumiały, wywyższający i ubóstwiający siebie człowiek chce sprowadzić Boga do własnych wyobrażeń, do ludzkich proporcji. Czy całkowite ucłowieczenie Boga nie jest Jego uśmiercaniem, odrzucaniem wiary? Bóg stał się człowiekiem, ale tylko raz i na zamknięty moment, a i wtedy pozostał Bogiem tajemniczym, niemożliwym do pełnego zrozumienia. Niech pan pomyśli, skoro Bóg miałby być dostępny



powszechnemu rozumieniu, to w takiej sytuacji wiara w Niego byłaby bez sensu, byłaby zbędna.

Ksiądz zamilkł. Henryk spojrział na jego pomarszczone małe dłonie pokryte siecią wypukłych żył. Nie podniósł wzroku wyżej. Zresztą spodziewał się, że oczy księdza są zamknięte. Odpoczywa albo przygotowuje następne akapity kazania.

- Czy Bóg pomaga? - zapytał najciszej jak mógł.

- Nie w ludzkiej logice, nie w ludzkim czasie. - Ta odpowiedź zabrzmiała jak: daj mi spokój, rób, co chcesz ze swoim życiem.

- W drobnych sprawach wszystko mi się udawało - mówił Henryk - w młodości, w dzieciństwie też, no może z wyjątkiem szkoły. Miałem taki zwyczaj, żeby westchnąć i prosić o pomoc. Byłem wychowywany w rodzinie bez Boga. Do kogo wzdychałem o pomoc? Nie wiedziałem. Czy można się modlić do Boga, w którego się nie wierzy, którego nie bierze się w ogóle pod uwagę? Wzdychałem bez słów, więc nie musiałem się nad tym zastanawiać. Ale jeśli byłem wtedy niewierzącym-wierzącym w BogaNieBoga, to... kto pomagał mi w małych sprawach, które wbijały mnie w zadufanie i w konsekwencji pogrążałem się w bagno bezmyślnego optymizmu?

Przy słowie „bagno” zauważył, że mówi do siebie.

Wstał cicho.

- Przepraszam, strasznie się zasiedziałem...

Ksiądz nic nie odpowiedział. Drzemał? Zamyślił się czy uznał rozmowę za ostatecznie zakończoną? A może sił wystarczyło mu tylko dla parafian?

Zostawił uchylone drzwi i szybko ruszył w stronę samochodu.

Dyskutował z księdzem dalej, budząc się w nocy, i prawdopodobnie także wtedy, gdy spał. Rano nie był pewien, czy rzeczywiście podszedł do księdza. Czy nie stanął przypadkiem sam po obu stronach sporu.

## **Tamara**

Tamara

30 października

Podsumowanie przygotowań Henryka do złożenia wniosku o przywrócenie obywatelstwa nie mogło wypaść zachwycająco. W dalszym ciągu nie dysponował niezbędnymi dokumentami. W podstawówce niewczesny obrońca zamordowanej młodości odesłał go do Archiwum Państwowego. Tam nadzieja rozpuściła się szybko w kotle walk frakcyjnych. Kolejne miejsce poszukiwań - liceum, było psychodeliczną zagadką, o której

wzdragał się nawet myśleć. W parafii, która przyjęła go w poczet chrześcijan, brak strony w księgach był jak subtelny cios w skroń. Uniwersytet - cierpliwy góral mozolnie grzebał, aż dogrzebał się do segregatorów, które zamokły w czasie zapomnianej powodzi, a że nikt ich na czas nie osuszył, pleśń bez przeszkód strawiła zapisy. Inne próby również skończyły się fiaskiem. Mieszkanie na Chmielnej przekopał z nadzieją, że znajdzie stary dowód osobisty ojca. W dawniej obowiązujących książeczkach urzędowo wpisywano dzieci.

\*

Spotkania z matką nie zamierzał odkładać, zadzwonił do niej zaraz po przyjeździe do Polski, jeszcze z hotelowego pokoju. Przez dłuższą chwilę trzymał słuchawkę w dłoni jak bukiet kwiatów i układał pierwsze zdanie. Rozmawiał z nią rzadko. Ocean szumiał w drutach, woda wlewała się do uszu, głowa go bolała potem trzy dni.

Powinien obu kobietom, obecnej matce i dawnej mamusi, pozwolić zaprzyjaźnić się z jego aktualnym życiem. Zachować obie nienaruszone dla wzbogacenia przyszłości. Dawno o niej nie myślał. O przyszłości.

Po wyjeździe do Kanady, mniej więcej do końca lat osiemdziesiątych, wyrzucał sobie zaniechanie kontaktów z rodziną. Wyrzuty sumienia mobilizowały go do pisania listów, ale gdy się do tego zabierał, robił błędy stylistyczne, skreślał, poprawiał, zamieniał słowa, denerwował się. Po nabazgraniu trzech linijek wpadał w próżnię. W myślach układał tasiemcowe, wielokrotnie złożone zdania, ciągnące się w nieskończoność. Nigdy nie udało mu się ich zapisać.

Kłęska w pisaniu listów prowadziła do frustracji, a jak dobrze poszło, do depresji. Nie pisał także dlatego, że było mu wstyd. Był w końcu godnym pogardy, tchórzliwym uciekinierem z pola walki i byłoby czymś nietaktownym zawracanie głowy tym, którzy zostali w ludowej ojczyźnie i użerają się zażarcie z reżimem. Rodzinne kontakty zamarły. Momentem przełomowym była nieobecność Henryka na pogrzebie stryja Stasia.

Stryj Staś, niezbyt szczęśliwie, trafił ze swoją śmiercią na kiepski okres w emigracyjnej karierze bratanka. Henryk przeniósł się właśnie do tańszego, ciasnego pokoiku na poddaszu, z łazienką piętro niżej, w dość nieprzyjemnej dzielnicy miasta. Zawiadomienie otrzymał dwa dni przed pogrzebem, bilet lotniczy musiałby kupować praktycznie z dnia na dzień, w cenie niebotycznej, nieosiągalnej dla biedaków. W Toronto, w polskim środowisku, miał wyrobioną opinię nieśmierdzącego groszem z powodu etatystycznosyndykalistycznych upodobań oraz chronicznej nieumiejętności dostosowania się do wymogów gospodarki rynkowej rozwiniętego kapitalizmu. Żadna z jego rąk nie była niewidzialna, a polonistyczne wykształcenie nie współgrało z aktualnymi trendami na rynku pracy, płacy i spraw

socjalnych. Chciało mu się rzygać na samą myśl o rozmowach ze znajomymi na temat pożyczki. Przykre okoliczności porzucenia stryja wywołały niepokój, a niepokój wywoływał krótkotrwałą mobilizację. Nie wiedział, jak mobilizację zainwestować, więc natychmiast ogłosił upadłość.

Wyparłeś się rodziny, a tak naprawdę chodzi ci o całą resztę. Chcesz sobie wyprać przeszłość. Zdezynfekować życie - kołatało mu się po głowie.

Kiedyś lubił mawiać: każdy Polak ma życiorys obejmujący ponad tysiąc lat. To fascynujące mieć takie długie życie. Mamy sobie skracać życie do kilkudziesięciu lat? Amputować sobie skrzydlate, sielskorycerskie i dumne dzieciństwo Pierwszej Rzeczypospolitej, bolesne dorastanie podczas zaborów i powstań, ułańską szarżę dwudziestolecia niepodległości i zapaść drugiej wojny światowej? A czemu pomijać dzisiejszy chodnikowoubecki kapitalizm, odświeżony spór swojszczyzny z cudzoziemszczyzną i lekcje lokajskiego egoizmu? Nie wolno rezygnować z włączenia do naszego życia przyszłej dumnej Polski. Czemu nie anektować przyszłych stuleci, kiedy nasz kraj będzie pięknie żeglował wśród światowych burz? Czemu dusić się w chwili indywidualnego życia? Czemu rezygnować z setek lat szczęścia przekraczającego nasz krótki czas? Szczęścia moszczącego się w naszych ponadczasowych sercach, wyrastającego ponad zgubę bycia kimkolwiek, we wszystko jedno jakim kraju?

Matka odebrała telefon po pierwszym dzwonku. Nie miała głosu matki. Nie rozpoznałbym jej, przeleciało mu przez głowę. Ale nie przeleciało do końca. Zatrzymało się i utkwilo jak drzazga pod paznokciem.

- Ałło, Tamara Nosenko.

Wróciła do panińskiego nazwiska. Ale skąd to „ałło”? Zabrzmiało jak tatarski okrzyk bojowy.

- Rozpakuję się, zorientuję w sytuacji i wtedy wpadnę, dobrze?

Henryk starał się mówić lekko, zwykłym tonem, jak nastoletni syn, który miał wrócić o dwudziestej drugiej i dzwoni, że się spóźni piętnaście minut. Chciał zakończyć słowem „mamo”, ale wydał z siebie tylko nieme „a”. Matka zgodziła się chętnie, nie naciskała, nie dopytywała się, kiedy przyjdzie. O nic nie zapytała. To była zgorzkniała obojętność starzejącej się w samotności kobiety? Rezygnacja porzuconej żony i cierpliwość odrzuconej matki wobec marnotrawnego jedynaka?

Z ojcem rozeszła się w połowie lat dziewięćdziesiątych. Dlaczego ludzie rozstają się po czterdziestu latach? Wypala się żar pożądania, ciekawość poznawania, słodycz dręczenia, narkotyk panowania? Kończą się siły, by przez kolejne lata zabijać marzenia? Tracić

złudzenia? Wypalanie, wzajemne wyniszczanie nie wiąże? Nędzne porażki i słodkie sukcesy, zaskakujące zwycięstwa i wygrane bitwy, prymitywny strach i kojąca ulga, porozumienie bez słów i wymuszane radości nie pragną sprawdzonego towarzystwa? Może kobietę i mężczyznę dzieli właśnie to, że są świadkami swojego upadku, rozpadu? A może to, że są swoimi dobrymi i złymi stróżami, powinno ich zespałać jak wody rzek, które już nie potrafią płynąć osobno? Może najboleśniej rozdzielało ich to, co wcześniej najmocniej łączyło? Cynizm, chłód i groza czasów ich młodości zbudowała fundament pod późniejsze ruiny?

Jakie świństwa wybrał Józef Harsynowicz, że zapragnęła być kimś innym niż jego żoną, matką jego syna? Nawet kimś innym niż była żona? Co takiego stało się z Tamarą Harsynowicz, że ojciec postanowił się rozwieść z kobietą, za którą szalał, o którą był zwierzęco zazdrosny? Jeśli to on postanowił. Jeśli to oni postanowili. Jeśli zniszczenie nie dokonało się poza nimi, a oni tylko kiwali głowami i uzgadniali terminy wizyt u adwokata.

A on? Konfabulował, wspominając, że czułość między nim a matką była jak rytuał. Oczywiście, ale wykluczający ostateczne zaufanie? Nigdy nie wyklulo mu się w głowie, żeby szukać z rodzicami kumplowskiego porozumienia. Ani nie było to możliwe, ani potrzebne. Matka nie jest koleżanką. Stu kumpli nie zastąpi ojca. Ale chłód... czy nie wymyślił go przypadkiem później, w samoobronie?

Gdy zaczął się starzeć i poczuł pewnego grudniowego wieczoru pierwsze serdeczne pozdrowienie śmierci, wydawało mu się, że chłód zniknął i matka nagle stała mu się bliższa. Stanęła przed nim i uśmiechnęła się. Ale on użył jej tylko do ucieczki przed lękiem. A przecież zdarza się, że gdy nadchodzi starość, nawet nie najlepsze stosunki dzieci z rodzicami ulegają gwałtownym przewartościowaniom. Nie zawsze dlatego, że rozkwitają uczucia. Uciążliwa często opieka nad ojcem czy matką nie jest przecież wyłącznie prostą zamianą ról, ale także kuracją odmładzającą. Wskazywaniem śmierci kolejności. Strach świetnie udaje troskę, poprawia samopoczucie. Bezczelność życia natychmiast rośnie. A może chodzić o tak niewiele, o czułość. O wierne odwzajemnianie czułości dotykiem, poprawianiem poduszki, otarciem potu, obmyciem ciała.

Matka mieszkała w Zatoce Czerwonych Świń. Zanim Henryk przekroczył próg mieszkania na pierwszym piętrze apartamentowca, poczuł się jak w szpitalnej kaplicy. Uderzył go zapach lekarstw i palących się świec. Tamara miała na sobie dziwną sukniopodomkę w ludowe wzory. Włosy splotła w chude warkocze zwinięte w płaski kok z tyłu głowy. W salonie ściany szczelnie pokrywały ikony przybrane sztucznymi kwiatami. Przed nimi paliły się kopcające świece i lampki. Na sofie leżał ogromny, tłusty, biały kot, niemal wielkości rysia, ozdobiony czarną muszką. Rzucił na Henryka jednym okiem i

poruszył się, jakby kiwał głową na powitanie. Wyniośle dał do zrozumienia, że do pewnego stopnia akceptuje wizytę syna swojej przyjaciółki.

- Sadis'[9] - zaprosiła go szerokim gestem. - Herbaty ty napijesz się? - Podreptała do elektrycznego mosiężnego samowaru stojącego na rzeźbionym stoliku. Postawiła przed nim szklankę z mocną herbatą, cukiernicę pełną kostek cukru oraz miseczkę gęstych, prawie czarnych wiśniowych konfitur.

Tamara nie lubiła zajęć domowych. Nie rozumiała ortodoksyjnego nabożeństwa ani dla starych przepisów, ani dla liturgii kucharzenia, ani dla rytuału oprawy i spożywania posiłków. Pracę w kuchni uważała za katorgę, chociaż zносиła ją bez ostentacyjnego narzekania. Ta przypadłość budząca głębokie, chociaż skrętnie ukrywane rozczarowanie ojca nie dotyczyła przyrządzania wiśniowych konfitur. Umazana na czerwono, w wielkim podnieceniu płukała owoce, drylowała i smażyła je zapamiętałe, nucąc i podśpiewując po rosyjsku. To nie był dzień poświęcony przetworom na zimę, ale Dzień Zwycięstwa w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Ojciec, jeśli akurat był w domu, pokrzykiwał co chwilę: „Tamara, przecież zaraz spalisz te wiśnie. Nie czujesz zapachu?”.

Nie odpowiadała. Smażyła dalej, aż robiły się gęste, czarne, z karminowym, głębokim odcieniem. Nigdy nie przypaliła żadnej porcji, chociaż gdy zajmowała się wiśniami, oddalała się w głąb siebie, odgradzała od rzeczywistości. Trzeba ją było zostawić w spokoju, zresztą i tak nie reagowała na żadne prośby czy zaczepki. A rosyjskie piosenki? Wydawało się, że nuci je nie sama, ale w duecie z kimś, kogo inni nie mogą dostrzec.

Ojciec wyraźnie nie lubił czasu smażenia konfitur. Może był zazdrosny o coś, do czego żona wymykała się bez niego. Przetwory przygotowywała tylko raz w roku, ale on boleśnie odczuwał ten chagallowski lot żony. Każde złe samopoczucie Tamary, załamanie nastroju, milczące dni ojciec nazywał „smażeniem konfitur”.

Tamara i Henryk rozmawiali ze sobą jak dalecy znajomi. Wymieniali nieforemne zdania powoli, myśląc jednocześnie, że ich znajomość musi być żalospną pomyłką. Matka sprawiała wrażenie zawiedzionej, jakby spodziewała się rozmowy z kimś innym niż stary, nieznajomy mężczyzna, który kiedyś podobno był jej synem. Czy ucieszyłaby się, gdyby po powrocie z Kanady okazał się niewinnym dzieckiem, swoim młodym ojcem albo rosyjskim lotnikiem zabierającym ją w podróż poślubną myśliwcem, niewidzialnym dla amerykańskich radarów?

Tamara zbierała siły. Henryk widział, ile urody zostało tej kiedyś pięknej kobiecie, za którą ojciec wodził wzrokiem bezwolnego ćpuna. Ta konstatacja podziałała na niego przygnębiająco. Sentymentalny powrót do dzieciństwa nie nastąpił, raczej napełniło go

arogankie, szczeniackie politowanie. Gdy już rozgościła się w nim siła i ordynarna przewaga, próbował wzbudzić w sobie współczucie. Chorowała? Miała spuchnięte nogi. Problemy z krążeniem? Twarz i szyja gubią kobiecą urodę najszybciej. U Tamary pokryte były solidną warstwą kremu, który nienaturalnie błyszczał i pachniał lekami, szpitalem, chemią.

Matka zapytała go bez szczególnego zainteresowania o jego sprawy w Kanadzie. Nawet zaryzykowała pytanie, czy aby nie ma kłopotów. Henryk wprowadził wątek zdrowia, ale Tamara go nie podjęła. Była na tyle silna, że nie chciała mówić o chorobach. Gardziła słabością. Stare kobiety debatujące o zdrowiu i lekarzach budziły w niej wstręt. Wreszcie, nie bez widocznych oporów, zapytała o Halinę i dzieci. Odpowiedział okrągłymi zdaniami o studiach i pracy Karoliny, jej, delikatnie mówiąc, kapryśnym stosunku do mężczyzn, który, jego skromnym zdaniem, może źle się dla niej skończyć. O stypendium i przedwcześnie zakończonej karierze sportowej Konrada. O wściekłości i frustracji dorosłego chłopaka, niedającej się wyleczyć kontuzji barku, o jego pracy w klubie koszykarskim, gdzie pełni słabo płatną funkcję pomocnika i mści się za swoją klęskę na matce. O ciąży Karoliny nie wspominał. Pomyślał, że może w jej oczach wypaść jak świetnie zorientowany, opiekuńczy tatulek.

- Jeśli chciała mama zapytać o rzecz najważniejszą, to z żalem zawiadamiam, że babcią nie zostałaś, wnuków nie masz. - Popatrzył na nią, ale nie dostrzegł reakcji. Jej obojętność sprowokowała go. - A skoro o dzieciach i małżeństwach mowa. Przepraszam, jeśli to bolesny temat, oczywiście może mama nie odpowiadać. Ale w końcu, jak by nie było, jestem synem, tak... więc chciałbym wiedzieć, jak to się stało, to znaczy, przepraszam, dlaczego rozeszliście się z ojcem? Minęło tyle lat, ojciec nie żyje, no nie ma go, a ja wciąż nie...

Zamilkł, widząc, jak zmienia się na twarzy. Już gdy zadał pytanie, wiedział, że popełnił błąd. Reakcja matki na spóźnione wścibstwo wzmocniła w nim natrętną myśl, by wyjść bez słowa, uciec i w klatce schodowej wydać z siebie piekielny okrzyk.

Chcąc zatrzeć złe wrażenie, rzucił od niechcienia drugie pytanie.

- Dziwnie mama mówi. Nie rozumiem, co się stało z mamy polskim.

Tamara rzeczywiście mówiła, często wtrącając rosyjskie słowa. Gdy Henryk wyjeżdżał do Kanady, jej polszczyzna była nienaganna. Echo rosyjskiej intonacji, wymowa niektórych zgłosek mogły podpowiedzieć bardzo uważnemu słuchaczowi, że polski nie był jej pierwszym językiem. Ale skąd wzięła się dzisiaj ta łamana ruszczyznopolszczyzna? Tamara prawie nie wyjeżdżała z Warszawy poza sanatoryjnymi, krótkimi turnusami. Wykorzystywała

je zazwyczaj na południu Polski, najczęściej w ŁądkuZdroju. Ojciec nie lubił tych wyjazdów, ale ich dobry wpływ na matkę był widoczny gołym okiem. Jakieś znaczenie mógł mieć fakt, że Łądek był w połowie miastem rosyjskim. Ulice i sklepy pełne były pijanych rosyjskich oficerów i ich żon w obfitych futrach z wysokimi trwałymi na głowach i kocim makijażem na powiekach. Wieczorami z szeroko otwartych okien wypadały na uliczny bruk tęskne refreny rosyjskich piosenek.

Rosyjska rodzina ani razu nie odwiedziła matki, a ona sama raz jeden na krótko wybrała się do Moskwy. Po powrocie padło jedynie krótkie: „wsio w poriadku”[10]. Tymi dwoma słowami matka ostatecznie zamknęła przeszłość. Zostawiła za sobą Rosję, jakby liczyła tylko na Warszawę, męża i żyła wyłącznie tym, co przyniesie ten sowieckozachodni kraj. Skąd więc wziął się ten wymieszany z polskim rosyjski?

W czasach Peerelu była niewzruszoną komunistką, a teraz jej dom wyglądał jak cerkiew. Brakowało tylko carskich wrót. Między Aleksandrem Newskim a Matką Boską Kazańską, pod mandylionem Zbawiciela, w centralnym miejscu ściany wisiało kolorowe zdjęcie Putina przebranego w twarzowy kożuszek oficera lotnictwa. Władimir Władimirowicz miał gołą głowę, a nad nią odrobinę czystego i bezpiecznego nieba. Uśmiechał się. Henryk poczuł krótki, zimny dreszcz, jakby przez jego plecy przesunął się czarny cień przelatującego MIGa-35.

W Henryku na przestrzeni lat oba języki jakoś się ułożyły, uzupełniły swoje melodie, odwzajemniły twardość i miękkość, zaśpiew i szelest, wolność i uległość, szaleństwo i rabstwo, bogactwo i lęk. Zapewne z tego powodu był czuły na brzmienie języków. Lubił słuchać zawiadackiego, kłótliwego, uwodzicielskiego włoskiego i portugalskiego podobnego do miłosnego tanga przekomarzających się kochanków.

Angielski, owszem, był wcieleniem arystokratycznej elegancji, ale zarażonej wirusem chłodnej wyniosłości, miał w sobie niechęć do wścibstwa, lecz jego zdaniem był również pełny zimnego dystansu i leniwego kolonialnego cynizmu.

Przepadał za słuchaniem dialogów w czeskich filmach. Wydawało mu się, że żadna narodowa tożsamość, kultura, charakter i obyczaj nie zlały się tak doskonale z językiem, jak to się stało w wypadku Czechów. Ich język cechowała życzliwość, którą ktoś mógłby wziąć za rezygnację, ale to była w gruncie rzeczy cierpka cierpliwość. Czeski brzmiał sceptycznie, ostrożnie, wybierał raczej śmiech, nawet dyskretny uśmiech, czyli wyrozumiałość, i przedkładał ją zazwyczaj nad dramatyczną miłość, wszechogarniającą i wierną ponad wszystko. Szukał uważnego dystansu w czułym odnoszeniu się do drobiazgów, szczegółów i małych świąt, a omijał hymny, łyzy i łopocące sztandary. Henryk sądził, że czeski zachowa

swoją przewagę, lekkość łez i autoironię wzruszeń tak długo, jak długo Bohumil Hrabal w towarzystwie tęczowosinych gołębi będzie szybował w jasnym powietrzu w poszukiwaniu nieoczekiwanej puenty. Jednym słowem do momentu, gdy z nieznośnym patosem spadnie na śmiertelnie poważną ziemię.

Jako kilkunastoletni chłopak był praktycznie dwujęzyczny, ale mimo że ten stan był czymś więcej niż świetna znajomość rosyjskiego, nigdy w tym języku nie myślał. Nawet kiedy hulał po Moskwie i w nienazwany sposób było mu błogo, kiedy zanurzał się wraz z głową w rosyjskiej mowie. Przychodził mu wtedy na myśl bezkres rozkołysanych wiatrem, nigdy niekoszonych traw. Albo niebieski zapach ryb i rudy swąd dymu z małych, przydomowych wędzarni, uspokojone morze, które rozplywa się na siwym piasku i klepie cicho burty łodzi i kutrów.

Matka opowiedziała mu kiedyś, jakie były początki jego rosyjskiego. Przyjechał wtedy z Krakowa na święta wielkanocne. Siedzieli w domu sami. Ojciec nie wrócił z jakiegoś niespodziewanego służbowego wyjazdu. Dzień płynął wolno, wyjęty z szeregu podobnych i oddany im niespodziewanie na niepodzielną własność. Po jego głowie, pierwszy raz w życiu, szwendały się myśli o przyszłej rodzinie, dzieciach, starości. Same pytania, bez odpowiedzi, ale nienatarczywe, spokojne. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat. Tamara wyraźnie ucieszyła się, że są razem, patrzyła z radością, jak Henryk je, podsuwała mu potrawy, opowiadała, jak świąteczne dania przygotowuje się w Rosji.

- Może twoja przyszła żona też będzie takie przygotowywać? Mogę ją nauczyć. Masz, Heńko, jakąś dziewczynę? Sympatię? Nic nie wiem o twoim życiu w królewskim Krakowie. Nie wiem, co za mężczyzna wyrósł z mojego chłopca.

Henryk zbywał ją żartami i choć na poważnie dziewczyny nie miał, zainteresowanie matki niespodziewanie sprawiło mu przyjemność. Był nieswój, rozkojarzony. Po raz pierwszy czuł niesprecyzowaną, smutnoradosną jedność ze światem, który wydawał mu się jaśniejszy, pełen wypłacalnych obietnic.

- Wiesz, poznaliśmy się z ojcem w Moskwie, oboje mówiliśmy po rosyjsku. Polski nie był mi potrzebny, twój tato świetnie mówił poruski. Tam się pobraliśmy. Dopiero po przyjeździe do Polski zaczęłam się uczyć po polsku. Chciałam pracować, a bez znajomości tutejszego języka było jednak trudno. I tato mi pomógł. W swoim stylu. Przestał do mnie mówić po rosyjsku. Nie było dyskusji. Powiedział krótko: „Wychowujemy syna. W Polsce, owszem, rosyjski jest potrzebny, ale Heniek nauczy się go w drugiej kolejności. Teraz musi słyszeć tylko jeden język”. I, wyobraź sobie, nie powiedział do mnie ani słowa po rosyjsku przez kilka następnych lat. Zresztą później już go w domu wcale nie używał. To wystarczyło,



żebym szybko nauczyła się polskiego. Lekcje były tylko dodatkiem. Ale życie jest silniejsze niż najlepsze teorie i plany. On wychodził do biura, a ja zostawałam z tobą sama. Przez jakiś czas nie pracowałam. I co miałam robić? Mówiłam do ciebie po rosyjsku. Nigdy do tego się nie przyznałam. A on sprawdzał, pytał. Patrzył w oczy, trzymał za rękę i pytał: „Mówisz do Henia po rusku? Tamara, mów prawdę, nie oszukuj!”. Nie przyznałam się nigdy. Ale on przecież wiedział, jak jest naprawdę. Byłeś małym dzieckiem i nie potrafiłeś konspirować. Taka podwójna rzeczywistość. Jedna z wielu.

Henryk patrzył na osiemdziesięcioletnią kobietę, która kiedyś nosiła go w sobie, urodziła, wykarmiła i wypielęgnowała. Obawiał się ryzyka związanego z każdym nowym tematem. Chciał milczeć. Nic lepszego nie mógł jej zaproponować. Miał nadzieję, że tak właśnie przebiegnie wizyta. Fizyczna obecność. To, co dobre, żyje, trwa, odnawia się bez słów. Co szare, otoczone obawą, unika ciszy i wpada w słowotok.

Tamara oddychała płytko, a może to luźna suknia powodowała, że zdawała się nieruchoma. Ciszę zakłócały słabe odgłosy z ulicy i skwierczenie świec płonących przed ikonami i portretem prezydenta Rosji. Kiedy jego dzieci były małe, Henryk lubił siadać blisko i w milczeniu obserwować, jak pracowicie się bawią. Czasem nawet nie patrzył na dzieci. Kładł się obok na dywanie i zamykał oczy. Wyłączał się. Regenerował siły, czując ich obecność. Dotykała go energia emanująca z ich niestrudzonych, kruchych ciał. Karolina i Konrad bawili się, nie zwracając na niego uwagi. Czasami na moment zasypiał, zanim okrzyk lub śmiech któregoś z nich nie wyrwał go z drzemki. W Kanadzie mierzilo go to ciągle wyznawanie miłości między dziećmi i rodzicami. Nieustające „kocham cię”, „i ja cię kocham”. Brzmiało jak: wrzucić monetę, wrzucić monetę. Nienawidził tego obrzydliwego obyczaju.

Matka zaczęła oddychać szybciej i nie otwierając oczu, zaczęła mówić. Z każdym kolejnym wypowiedzianym słowem jej głos stawał się silniejszy, choć wygląd Tamary nie zmieniał się ani na jotę. Była ciągle tą samą staruszką, na wpół drzemiącą w fotelu.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego odeszłam od ojca? A ja spraszysz cię, czy ty w ogóle znasz, kto takoj twój otiec?[11] A, prawda, jeszcze spraszysz, poczemu ja porusski goworiu[12]. Chcesz znać? No to ja ci powiem! Ja ci koniecznie opowiem, wsio po poriadku[13].

Szybka deklaracja zawarta w słowie „koniecznie” była jednak podszyta wątpliwością, czy rzeczywiście powiedziec wszystko. Nie zostawiać już niczego dla siebie. A może był to raczej niepokój, że wszystkiego powiedziec nie potrafi, że jest zbyt słaba? Tak jak słaba była dotąd, przez tyle lat. A może Tamara wcale nie chciała się zastanawiać, wybierać tego, co

chce powiedzieć, a co odłożyć na później? Może musiała mówić, nie przebierając w słowach, bo nie miała w sobie dość siły, żeby nadal dźwigać milczenie?

Wygłaszanie w samotności zżerających siły monologów wzmocniło w niej pragnienie posiadania słuchacza. Bała się coraz bardziej, że moment spowiedzi i rozrachunku nigdy nie nadejdzie.

Kot otworzył oczy i przyglądał się Henrykowi uważnie, nawet podejrzliwie, ale po chwili znowu zmorzył go sen.

- Słuchaj, Heniusza. To ja ci powiem, że moja dusza popolski już oddychać nie mogła, dusiła się. Wot takaja istinnaja prawda![14] Zawsze się dusiłam w waszym surowym języku. On prosty biedniak i w nim żyć pełnią przestworu, pełnią nieba nad głową nikak[15] nie mogłam. Russkij język większy od innych języków, eto wielikij prostor, kosmiczeskij wietier, język ziemi[16] i nieba i bożej woli. On jak... on jak Rossija, wielikij[17]. Eto swiet celyj[18], ogromny, niezmierny. Widzialny i niewidzialny. On panuje od Wysp Kurylskich do Warszawy, od Biełego Moria[19] i murmańskiego portu po stepy Mongolii, Kazachstanu i port sewastopolski. Ech, jak on zwuczit[20], język Piotra, Iwana i Wielikoj Jekatieriny, Puszkina, Karamzina i Tiuczewa, Lenina, Stalina. Naszej wielikoj swiatoj[21] cerkwi. To język sensu losu i prawdy o sud'bie czelowieka[22]. I język spasienija[23] świata. Przywrócenia mu pragnienia świętości i ożywienia ducha ostatecznego zbawienia. Ponimajesz ty? Nikogda nie pojmosz! Ty i twój giernanskij papa[24] w Rzymie. Ty i twój mózg otumaniony europejską zgnilizną, mesjanizmem, Solidarnością i buntem. Ty i twoja wiecznie ukrzyżowana, bluźniercza ojczyzna.

Może pojmosz maluczko, może twoja głowa przysposobi się lepiej, jak ci powiem, kim twój ojciec, a i ty sam kto taki. Posłuszaj, malczik[25]. Choć kim ty - sam Iisus Christos nie znajet[26]. Bo eto poniat' sowsiem[27] trudno. Ale kto twój ojciec - eto jasno: wor i zdrajca... proklatyj izmiennik[28] za jedno Polskę dla Rosji zdradzał i Rosję dla Polski. Tak on sam ostalsia, biez rodziny[29]. Matkę potieriał[30]. I podwójnie zhańbił. Ja wsio[33] wiem, co on tobie nabrieszył[31]. A prawda taka, że w czterdziestym czwartym SMIERSZ[32], towarzyszc Kalinkin, Iwan Osipowicz, złapał część jego bandy z Krajowej Armii. Diwersanty i giernanskije szpiony eto byli wsio[33] jak jeden. Polska swołocz. Jego towarzyszczi dostali kulkę albo zgnili w tajdze czy gdzie tam popali[34]. On odin[35] przeżył. A przeżył, bo chytry rozum miał. Na służbę Rosji przeszedł. Jego ojciec w carskiej armii służył, a on do Krasnoj przystał. SMIERSZ go szkolił i dobrze wyszkolił, pagony oficerskie dał i do Polski posłał. Polska sierotą wtedy była i takich jak on synówopiekunów potrzeba było w Polsce mnogo[36]. Służył Józef Mieczysławowicz, niech go piekło pochłonie, sowieckiej Krasnoj

Armii do samego końca. Aż zdechł. Tak ty ponimajesz, że on taki sam Polak jak Feliks Edmundowicz Dzierżyński, Rokossowski, Jaruzelski albo Gomułka. Wszystko nasze raby[37]. Ale dla was - pany, najjaśniejsze Wieliczesstwo[38].

I twój ojciec, oficer Sowietskogo Sojuza, na starość katolik rimski[39] się zrobił? Jego kolegi biskupy? W poświęconej ziemi pogrzebiony? A z niego katolik był taki jak z szyckiego imama. Pluł na wszystkie świętości. Śmiał się z chamów, z pątników, co stopy zdzierają i pielgrzymują po pomoc na Jasną Górę, do Matki Boskiej Częstochowskiej. Forse klechy tłuką. Zabobonny interes kręcą. Tak mówił. On dumał, że łuczszyj[40] jest od ciemnej masy. Dumał, że mądry, umnyj kak[41] liszka i pluł z pogardą na tłum ciemniaków. Niech klepią zdrowaśki, byle nie podskakiwali, słuchali się, pracowali.

Biskupów wychował sobie, to ich za kolegów miał. A że lubił poszaleć, poszumieć i głowę wysoko zadzierać, puszyć się dumnie, to gdy starikom[42] został, jego białopolacka krew zaczęła z jego diabelskiej duszy na świat wychodzić. I rzucał z fantazją walizki dolarów na klasztory, na Kościół. Ot i na naszej Ukrainie odnawiał klasztory. I dołożył się na kościół w Kamieńcu Podolskim. Nie ze swoich dawał, nie z krwawej pracy te pieniądze przyszły. Mafię zorganizował i łupił, kradł. Sądu i prokuratora się nie bał, to o przychylność nieba zabiegał. Planował, antychryst, zaprzaniec, łaskę Pana Boga kupić. No i oszustwa dymem dobroczynności osłonić. Ja wszystko wiem, ja nie zabyła, budu pamiętać wszystko, aż dzień Sądu Ostatecznego pridiot[43]. I swiatomu Pietru zeznam i prisiagnu[44].

A wam i waszym polskim klechom wara i wara rimskiemu papie[45] od naszej prawosławnej Ukrainy! I matuszki Rossii![46] My tierpim wasz djawolskij kriestowjy pochod[47], wasze wyprawy krzyżowe na Wschód. Wy kolonizować chotitie[48]. Państwo macie kulawe, armii już prawie nie macie, za lokajów u Niemców służycie, to mocarstwo kościelne, imperium katolickie wam się telepie po głupich głowach. Oj, Polaki. Szowinizm u was rośnie jak chwast. Ale jak się cierpliwość ludu ruskiego wyczerpie, to zapłoną wasze zdobne ornaty i złote ołtarze. Wasi agenci w sutannach na sznur pójdą, jak szli już nieraz. Wasze szpiony gor'ko[49] zapłaczą! Na kolanach błagać będziecie o łaskę. Wy Rzymu i Brukseli trzymajcie się, a Bugu nie przekraczajcie, polacziszki!

Przyznaj się, powiedz prawdę, myślałeś, żeś nieczysty Polak, bo na świat moskiewska matka cię wydała? To wiedz, że czystych Polaków nie ma. Dwieście lat siali tu wszyscy na waszych babskich zagonach. Ty, k sożaleniju[50], żaden Polak. Ojciec twój sam nie wiedział, kim był. Jewriejską[51] matkę miał, ale jewriejem[52] być nie chciał. Niedobitki żydków z Komunistycznej Partii Polski choroszo znali[53], kim są, i wylądowały w Izraelu. Choć paru tu zostało i chcą wam mózgi obrzezać. Koszerną zupę z waszej historii sdielat'[54]. A twój

otiec? On dla Żydów Polak antysemita. Dla jednych Polaków on jest jak uralski bimber, stuprocentowy russkij z Głównego Razwiedywatielnogo Uprawlenija[55], dla drugich antypolska żydokomuna. Dla Ruskich prosto[56] zdrajca. Taka jego narodowość. A ciebie splodził, Boże, przebacz mi niewinnej, z giermanskij[57], faszystowską dziwką!

Ostatnie zdanie kosztowało ją sporo sił. Ale mogła to być ulga i wypływające z niej ogromne osłabienie. Jak po przecięciu wrzodu. Musiała chwilę odetchnąć.

- Och, a ja... a ja... ja cię uznałam. Dlaczego ja chciałam dla ciebie żyć? Chociaż czy ja kiedy żyłam? Czy moja ruska dusza choć raz zaśpiewała? Zatańczyła czastuszki ze szczęścia? Dzisiaj koniec. Dzisiaj nie się nie liczy, tylko krew, prawda i rosyjskie zbawienie świata. Chryste, spasi[58] mnie grzeszną.

Ona, przeklęta Katarzyna Brunek czy innej rodziny, czy smaży w piekle hitlerowską duszę, czy żyje, ja nie znaju[59]. I znać nie chcę. Porodziła cię taka, nieszczęśniku, co służyła za materac naszym żołdatom[60]. Tak i wiesz, kto ty taki. Bękartem niemieckim jesteś! I czego ty iszczesz zdies'[61]? Tak ty wracaj do Kanady! Albo lepiej w Amieriku, tam twoja rodzina. Tam łączą się bękartki wszystkich krajów. Tu nie zostawaj, ty do Polski nic nie masz. A zresztą Polska eto żadna tam kurica czy ptica[62]. Nie ma Polski. Ja dlatego do Moskwy nie wracam. Ja u siebie żywu[63]. Wy, ta niby Polska, będziecie istnieć tylko tyle, ile my nie ufamy Niemcom. A poza tym, musi gdzieś być pole bitwy, bomby gdzieś muszą spaść i czołgi rozpędzić się na jakimś polu żyta. Wam, polaczki, ufamy jeszcze mniej niż giermancom, bo nawet jak jesteście na naszej służbie, jak trzymamy was za pysk, za portfel i za duszę, zawsze gotowiście wierzgnąć. Miatieźniki![64] Wy bunt z mlekiem matki wyssali. Wy nie mleko ssali, a sam bezczelny bunt i raka zdrady.

No, tę butę i bunt my wam w gardle zatrzymamy. Udławicie się nim. Mamy w tym praktykę i doświadczenie. Wasze arystokracje zawsze straszno bali się, że na imieniny cara zaproszone nie będą albo im Awierkij Aristow stolicznej nie należy z okazji godowszcziny Oktiabr'skoj Riewolucyi[65]. Tak i teraz oglądają się, co Miszka na Kremlu powie, czy pochwali, że dobrze się zachowują i nacjonalizmu wystrzegają. Wot i tiepier'[66] wnuki gestapowców leją was po mordach w wasze święto narodowe i krzyczą na całą Europę, że walczą z faszyzmem. Za wolność naszą i waszą walczą na Nowym Świecie i placu Trzech Krzyży. A wasze profesory, generały i inżynierzy dusz mówią, że tak jest choroszo. Faszyzm to straszna rzecz, tak my się będziemy bawić w tępienie w Polsce faszyzmu. Zostaniecie Cyganami Europy, małym, brudnym narodkiem, który każdy kopnie, na który każdy plunie, jeśli tylko zachoczet[67].

A ja? Jaka ja durnowata koza byłam! Pokochałam Polaka, smarkula, siksa. Nic jeszcze

nie znała i jeszcze mniejsze ponimała[68]. Źle nas szkolili i dalej źle dzieci szkolą. Za mało dumy, za mało miłości do Rosji, to i wroga człowiek do serca przygarnie jak przyjaciela. A wojna trwa. Wsieгда eta samaja, strasznaja wojna, na smiert' i żyzn'[69]. Wojna wsiego mira proti Rossii[70].

I ja nie znaju, po co ja go polubiła[71], tego kogucika z obciętą głową, co się rzuca po klepisku i krwią zatrutą bryzga. On wydał wszystkich w czterdziestym czwartym. Kolegów, dowódców, meliny, zapasy, amunicję i broń. Nie miał dziewiętnastu lat. Chciał żyć, kogucik. I żył. I ciebie spłodził na moją zatrąę. A powinnam wiedzieć: kto raz zdradził - zdrajcą pozostanie nawsieгда[72] i do serca trupa wpuszcząć nie wolno.

Przerwała i małymi łyckami piła herbatę, zagryzła kostką cukru i znowu piła, ostrożnie, z wdzięcznością za ciepło i słodycz.

- Ale ty znaj[73], ty nie umarł dla mnie. - Tamarze na chwilę uciekł oddech i starała się go złapać zwiędłymi wargami. Henryk poprawił się w fotelu, prawa noga zaczęła mu drętwieć od kostki do pośladka. Nie patrzył na matkę. Schował się w sobie, zakopał pod stertą śniegu i miał nadzieję, że wytrzyma, że nie zamarznie. Albo rozmrożą go po wszystkim.

- Ty bolsze dla mienia żyw[74] niż ja sama. Ja tiebia nienawizu kak bękartu Katarzyny i lublu[75] jak mojego Heniuszkę, mojego synaczka. I ty dołżen poniat'[76], ja w tym podwójnym ogniu męczyła się tyle lat. I on wżarł się w moje kości. Jak gangrena w żywe mięso. Twój ojciec oszukał mnie, łągał, czto ty sierota, biesprizornyj, matka i ojciec pogibli, nieizwiestny[77]. Ja powierila[78]. Posle wojny takich dietiej[79] było jak maku w makutrze. Ja dumala[80]: ta niewinna kruszyna tak samo jego, jak i moja. No, a jak będę kochać bardziej niż świat potrafi, to prawdziwą matką zostanę, jakbym w bólu porodziła. Zamienię go w rodzonego królewicza. Założyciela Rzymu. Nie wiedziałam, że on ciebie przywiózł z niemieckich ziem, z Gdańska. Że to miot jego i faszystowskiej dziwki. I że ból coraz większy będzie. Od razu sprawdzać trzeba było, towarzyszy poprosić. Ale ty byłeś taki ładny, wesoły i tak machałeś do mnie rączkami i ja głupia o całym świecie zabyła i nie prowierila, otkuda[81] ty przywieziony. Ale potem czy ja, sowiecki człowiek, nie miałam sposobności dowiedzieć się prawdy? Dowiedziałam się od KGB co do kropki, co do jednego włoska na twojej głowinie. My, russkije, znajem[82] o was wszystko. Chcesz wiedzieć, z kim dziadek babcię zdradzał w Warszawie przed wojną, a stryj z kim na ryby pojechał w sześćdziesiątym pierwszym roku - ruskiej ambasady zapytaj. Od dwustu lat wsia wasza żyzn' podrobno[83] w naszych archiwach stoi. Wasze autostrady i gazociągi wytyczają w naszym biurze analiz, a budowę wstrzymują w biurze operacyjnym. Tam cała wasza przeszłość salutuje i przyszłość powstaje. Więc w konce koncow ja wsio uznała i w gołowie zakrużyłos' i żyzn'[84] skurczyła

jak papier w ogniu. Udawałam latami, że niczego nie znaju. Ja stała aktrisoj[85]. W tieatrie[86] żyła.

Potomu ja lublu tiebia kak otczajanije lubit[87] przeszłość przeciwko przyszłości. A moja żyzn' jest kak sowsiem zapomniana piosenka z dietstwa[88]. Słyszysz mielodiju, piesienku i gołos matieri[89] zza okna. Stoję na podwórzu, obok studni. Choczu podojti, cztoby na niejo posmotriet' i żyt' dalsze, no nikak nie mogu, nogi stoją jak sożżonnyj tank[90]. Choczu zaśpiewać wmiestie s niej, s matuszkoj, no słow jakoś przypomniać nie mogu i nic a nic nie ponimaju, o czom ona pojot[91]. Jakby w obcym języku śpiewała.

I wiem, że życia żadnego gdzie indziej nie ma, a tego, co tu, w chacie, otwartego przede mną, dotknąć nie mogę. Żyję, ale nie mogę dobrać się do tego, co jest tylko moje. No, nawet siebie nie mogę znaleźć w tym bałaganie, więc jak i komu mam opowiedzieć o mojej boli[92], o mojej śmierci.

## **Gdańsk, Helena Jundziłło**

Gdańsk, Helena Jundziłło

1-2 listopada

Po powrocie do domu Henryk nie mógł sobie przypomnieć, czy pożegnał się z matką, czy czekał, aż zaśnie, i dopiero wtedy wyszedł bez słowa. Nie dotknął nawet jej dłoni leżącej na oparciu fotela jak stula zwisająca z konfesjonału.

Przeszłość można zmieniać nieustannie, pomyślał. Swoją i innych ludzi. Można ją nawet wymienić jakiemuś bezbronnemu biedakowi albo choremu narodowi, oczywiście w przypadku gdyby miał chwilowo ocaleć lub odegrać ważną dla reżysera rolę, na przykład drugoplanową rolę zupełnie innego narodu. Wszystko jest kwestią możliwości, ambicji, planu i kosztów.

Opadł na fotel. Nie zapalił światła. Po chwili gładka jak ściana ciemność zaczęła blaknąć, szarzeć, nabierać szorstkiej faktury jak wapienna płaskorzeźba. Za oknem, za ścianami hałas gasł, po chwili puchł i znowu chudł i zdychał. Bełkot telewizora przedostawał się przez niski, basowy rytm muzyki. Spuszczana woda przelatywała bez końca, od bieguna północnego do bieguna południowego. Przez głowę, usta i brzuch. Na ulicy mężczyźni spierali się, który z nich jest bardziej pijany. Spór dotyczył jednocześnie tego, który z nich wypił więcej wódki, a mimo to jest bardziej trzeźwy. Henryk nagle zauważył, że nie oddycha. Czy można zapomnieć o oddychaniu? Wciągnął gwałtownie powietrze. Pociągi powietrza. Syberię powietrza. Pacyfik powietrza. Głęboko, do dna. Miało inny, nowy smak? Zwietrzałego pieprzu i szarego mydła? Nie może zapominać o oddychaniu. A we śnie? We

śnie... zapomnę, przestanę... nie... nie... Rozebrał się na siedząco. Wyciągnął spod siebie spodnie. Zrzucił wszystko na podłogę. Wyciągnął się nagi na łóżku. Pościel była chłodna, śliska, z beżowego litewskiego lnu. Dotykała obojętnie skóry. Dotykała delikatnie skóry. Była delikatna jak obca skóra.

Spał jedenaście godzin. Po przebudzeniu strzępy skargi Tamary nadal snuły się po chaszczach w jego głowie, jak ranny dym z polanego wodą ogniska. Zdania przewracały się, przedrzeźniały, tłoczyły, popychając ordynarnie. Słowa mieszały sens, fałszowały nawet akcent i intonację.

Matka. Jakie to ma znaczenie, że nie rośłem w jej brzuchu, że nie urodziła mnie i nie wykarmiła własną piersią? Zamiast jednorazowego aktu stawała się matką powoli, dzień po dniu. Zamiast krwi i wody - cud miłości. Nie mogli mnie z ojcem spłodzić, więc musieli próbować mnie stworzyć. Ona tak myślała? Wierzyła, że się uda? I może gdy poznała prawdę, gdy ten, który miał wspólnie z nią ulepić syna, okazał się ojcem naprawdę z inną kobietą, wtedy wszystko upadło? Plan ich wspólnego życia, zaufania, miłości rosnącej jak mury odbudowywanej Warszawy? Czy wtedy Tamara skapitulowała, czy walczyła dalej, bardziej rozpaczliwie? I co jest prawdą z tego, co powiedziała wczoraj? Czy wczoraj krzyczała wyłącznie do zmarłego ojca, a mnie dostało się przy okazji?

Muszę to przecież zrozumieć - czy byłem twoim synem, chociaż przez chwilę? Przecież byłem nim, do cholery, i to całkiem długie lata. Kto nas rozdzielił - ojciec, wypadek czy Rosja z Polską na spółkę?

Henryk drżał, bał się, że związał się z Tamarą na nowo, jakimś przeklętym węzłem.

Następnego dnia nad Warszawą rozpostarł się wyż. Powietrze było suche, słoneczne, światło wysokie, strzeliste. Przypominało sypkie, zmielone na pył lipcowe dni. Chodził po mieście, nie patrzył na ludzi. Kupił dwie książki Sándora Máraia. Pierwszy raz od wielu lat czytał coś spoza swojego żelaznego zestawu. Pierwsza miłość Sandora Marai, zamiast uwięzić go w jeszcze głębszej melancholii, uspokajała, wydłużała oddech, wypłukiwała ciężar z żył.

Próbował spowolnić walec czasu. Chciał przyzwyczaić się do nowego siebie, bo nie mógł na razie tego kogoś rozgryźć. Będzie go musiał długo poznawać, sprawdzać, oswajać się z nim. Gorączkowo zbierał siły, żeby dojść do tego, kim jest po wizycie w Zatoce Czerwonych Świń.

W tym samym czasie zaczął wyobrażać sobie kobietę, która podobno urodziła go w Gdańsku. Jego wprawiona w turbulencje wyobraźnia nie czekała na jakikolwiek dowód, że Tamara powiedziała prawdę. W nim Katerina Brune już istniała. Najpierw zobaczył twarz.

Fragmenty twarzy. Wyraźnie widział włosy, popielatozłoty kolor brwi i rzęs, prawie niewidoczny puch nad górną wargą. Wpatrywał się w zmieniające kolor, rozświetlone, brązowozielone tęczówki, źrenice i białka oczu poprzecinane jak marmur delikatnymi cynobrowymi włosami tętnic. Widział gładkie czoło z niewielkim pieprzykiem w pobliżu zagięcia skroni. Silnie zarysowane wargi o odcieniu bladego karminu i zęby, drobne, gęsto ściśnięte w ustach. Widział każdy ze szczegółów bardzo wyraźnie, jak pod szkłem powiększającym. Chłonał je, wywoływał jedne po drugich. Ale mimo że podszedł do tej kobiety tak blisko, a może właśnie dlatego, że był zbyt blisko, nie mógł zobaczyć jej w całości - ani twarzy, ani postaci. Nie widział jej żywych dłoni, nie słyszał stłumionego głosu. Trzymał w ręku prawie komplet fragmentów i próbował je skleić, ale ona opierała się i trwała w nicości. Chcąc wiedzieć o niej więcej, zaczął wyobrazać sobie rzeczy, których mogła używać. Najpierw torebkę z kokardą ze skóry, kapelusik z cienkiego niebieskiego filcu, przepasany liliową wstążką, białą chusteczkę do nosa z inicjałami, pachnącą... zapachu też nie mógł sobie wyobrazić.

Przyszła mu do głowy myśl, że może już nie żyje. Ale przecież czuł, że krąży wokół słońca między księżycem a jego głową, razem z Ziemią, z jakimś miastem, domem, łóżkiem, szafką, czajnikiem, talerzem, łyżką, filiżanką, okularami, książką. I czeka.

Chciał ją odnaleźć. Poprosił Ziemilskiego o pomoc, ale ten kompletnie zawiódł. Tłumaczył się dość mętnie, narzekał na tępych urzędników i brak odpowiedzialności ludzi, którzy mają mu wiele do zawdzięczenia. Po fiasku działań Ziemilskiego Henryk dotarł do dawnego znajomego z Solidarności. Stefan Wolbromski, cichy stary kawaler, poruszał się między ludźmi, przeprasząc nieustannie za swoją niewielką przydatność. Stefan uwinął się szybko i po tygodniu Henryk dostał kopertę zawierającą informacje o poszukiwanej. Katarzyna Brunek mieszkała w Gdańsku, na ulicy Jana Kochanowskiego. Henryk rozprostował złożoną na czworo kartkę na biurku i patrzył na wyraźne, ręczne pismo.

Dni już były krótkie. Zmierzch biegł przez miasto nerwowym truchtem. Kartka fosforyzowała w ciemniejącym pokoju. Ulica Kochanowskiego była ciemna. Henryk narzucił kurtkę i wyszedł. Doszedł szybko do Nowego Świata, przebrnął przez plac Trzech Krzyży i lewą stroną Alei Ujazdowskich szedł dalej wzdłuż ciemnego parku. Szybkim marszem posuwał się wzdłuż Belwederskiej i Sobieskiego. Zatrzymał się dopiero przed szarym, szerokim cieniem korpusu Świątyni Opatrzności. Zdjął okulary i przetarł twarz z zimnego potu. Wrócił autobusem. Nazwy przystanków zapowiadał znajomy głos. Czy nie ten spiker pracował w dzienniku telewizyjnym w stanie wojennym?

Nie był pewny. Głos brzmiał profesjonalnie, wyraźnie, męsko.



\*

Rano zaskoczyła go cisza. Jakby ogłuchł albo miasto przestało istnieć. Mieli tego dnia, skoro świt, jechać z Edmundem do Gdańska, ale był wściekle głodny, a w domu nie miał nic do jedzenia. Wyszedł zły, że traci czas. Wlókł się przez puste ulice powleczone rzadkim dymem i podstępny milczeniem. Dopiero gdy spostrzegł rodzinę pakującą do bagażnika kremowe chryzantemy i wieniec z nieśmiertelników, przypomniał sobie, że jest pierwszy listopada.

Gdy jadł śniadanie, nie opuszczały go myśli o rodzinie. Wyobrażał sobie dziadków na podstawie opowieści stryjenki. Dziadek Mieczysław leżał gdzieś we Włoszech. A babcia Salcia? Tulił ją wołyński ugór i wąż śliską pierś dotykał jej kości. Myśli były niewyraźne, nie widział ich nigdy żywych, tamtych stron również. Twarz ojca wylaziła spod wszystkich obrazów jak rdza spod rozcieńczonej farby. Stryj Staś był zrośnięty z bratem jak bezkrwawy cień.

Cmentarny tłum gęstniał gniewnie przed wejściem, jakby się wybierał zdobywać Bastylię. Za bramą cmentarza rozpraszał się swobodnie w alejkach. Ludzie odzyskiwali wolność wyznania wraz z odrobiną sumienia i rezygnując z wolności słowa, milczeli, szeleszcząc miarowo butami po opadłych liściach. Zapach rozgrzanej stearyny, kopających knotów, jodłowych gałęzi i kwaśny smak chryzantem działał uspokajająco. Lampki ustawił przed grobem. Zapalki syczały, tliły się, rozpryskiwały, brakowało tylko ognia. Wreszcie knoty zapłonęły, skwiercząc. Henryk wyprostował się i patrząc na czarny marmur płyty, wypowiedział jedyną modlitwę, na jaką go było stać.

- Wiele bym dał, żeby się okazało, że ich zdradziłeś. Nawet na moment przed śmiercią.

Przed odejściem ukląkł na chwilę. Mokry, ziemisty chłód wbił się w kolana.

\*

Do Gdańska wyjechali z Edmundem późnym popołudniem, już o zmroku. Jechali w towarzystwie ognia i rozlanego po Polsce uroczystego strachu przed oswojoną śmiercią. Cmentarze tłumnie zalegały niskie łuny, wspierane przez ciemne zastępy ogników. Po przejechaniu dwustu kilometrów zatrzymali się na pustym leśnym parkingu. Edmund zapalił, Henryk spacerował w galaretowatej ciemności.

Z oddalenia, zza drzew, dobiegły go głosy, jakby sporo osób siedziało przy wspólnym posiłku. Słyszał śmiech, brzęk kieliszków, szcęk sztućców. I głos kobiecy, wysoki, osobny mimo gwaru.

- No, chodź, Heniu. Chodźże tutaj, nie siedź tam sam jak palec. Heniu!

Nigdy wcześniej tego głosu nie słyszał.

- Mamo - powiedział szeptem. - Mamo.

Gwar ucichł.

- Ty żyjesz?

Podróż była długa. Jakieś muszki zalepiały tłustą mazią przednią szybę. Trzeba było co i rusz się zatrzymywać i zeszkrobywać odporne świństwo. Edmund starał się omijać żywe i zabite jeże. Milczeli całą drogę.

\*

Pod adresem zdobytym przez Stefana trwała kamienica czynszowa zbudowana w latach trzydziestych. Na pierwszym piętrze, według listy lokatorów pod trójką, mieszkała Elżbieta Trybuś. Nie wpuściła Henryka do środka. Rozmawiała przez uchylone drzwi, niechętnie, podejrzliwie, z pretensją w głosie. Mieszkanie otrzymała już dawno, jeszcze z kwaterunku. Nie wiedziała, kto przed nią mieszkał i nigdy jej to nie obchodziło. Henryk usiadł nieopodal na ławce pociętej skrupulatnie scyzorykami. „Kocham Jolkę”, odczytał, „Jurek to buc”. Czarny podpalany psiak podszedł blisko i trącił go wilgotnym nosem. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Ścisnęło go w gardle.

Spodziewał się, że pierwsza próba będzie spalona. Posiedział chwilę, udzielił sobie pochwały za proroczy pesymizm i ruszył do szpitala, w którym Katarzyna Brunek pracowała całe życie.

W szpitalu, jak na ironię, źle się poczuł. Zasłabł na korytarzu. Przechodząca pielęgniarka podtrzymała go, a właściwie pomogła mu usiąść na podłodze. Uniosła mu nogi do góry. Siły szybko wróciły i mógł wejść do dyżurki lekarskiej. Młody, marchewkoworudy lekarz, przypuszczalnie stażysta, zmierzył mu ciśnienie i puls. Były za niskie. Patrzył na Henryka zielonymi oczami, twarz o różowawej cerze pokrywały mu szczelnie jasne piegi. Ciężkie dzieciństwo, w podstawówce częste bijatyki, ale może wygrał cierpliwością i odpornością na subtelne zaczepki typu: rudy wlaź do budy, buda trzeszczy, a on wrzeszczy. Może uratowała go przed prześladowaniem matematyka, dawał ściągać i pomagał odrabiać zadania.

- Choruje pan na coś, bierze jakieś leki? - zapytał bez zainteresowania.

- Choruję? Raczej nie, a leki, tak, biorę - wyciągnął z kieszeni marynarki fiolkę z pastylkami otrzymaną od profesora. Lekarz przeprosił Henryka na chwilę.

Wrócił z otyłym starszym kolegą o okrągłej, ciepłej twarzy, w grubych szklach na nosie. Wypytywał, gdzie się leczy, jaka diagnoza była podstawą przepisania leku, jakie są objawy schorzenia. Po chwilowym osłabieniu Henryk doszedł do siebie i niepokój chłodził

mu głowę. Diagnozy nie znał, leku nie kupował na receptę. Otrzymał effox od lekarza. Nazwiska profesora nie podał.

- Taką dawkę? - zdziwił się lekarz. Poradził ponowną konsultację. Zasugerował delikatnie, by do tego czasu lek raczej odstawić, ostatecznie, jeśli bardzo chce, zażywać połówkę.

Adres, który nie bez trudności zdobył w szpitalu, zaprowadził go do kamienicy wyposażonej w wysłużone drewniane schody, które nie tylko trzeszczały, ale i pojękiwały jak żywe. Deski z iglastego drewna, o czym świadczyły nierówno wytarte słoje, były solidnie wyszorowane. Trzeszczenie starego drewna i posprzątana, choć dawno niemalowana klatka schodowa wprawiły go w dobry nastrój. Zapukał w podwójne drzwi, polakierowane wieloma warstwami olejnej farby. Otworzyła postawna, trzymająca się prosto kobieta. Siwe włosy ułożone miała w precyzyjne, krótkie fale. Musiała mieć koło osiemdziesiątki, ale jej twarz i sylwetka pełne były energii i, jeśli tak można powiedzieć, młodości. Dom wypełniał zapach gotującego się rosółu. Wołowe mięso, kapusta włoska, seler, marchewka, pietruszka, por i przypalona na ogniu cebula. Nie można pominąć kilku ziaren ziela angielskiego, czarnego pieprzu i listków laurowych. Do talerza makaron i zielona pietruszka.

W domu, ze względu na ojca, rosół jedzono z ziemniakami. Mięso wyjęte z rosółu podawane było na drugie danie z sosem chrzanowym. Podczas ubijania ziemniaków mama dodawała kawałek masła, u teściów dokładano łyżkę kwaśnej śmietany. Ślina napłynęła mu do ust. Kiedy ostatni raz jadł rosół? Pewnie u pani Stasi w Krakowie na Mikołajskiej. W latach siedemdziesiątych XX wieku. Ładnie to brzmi: Henryk Harsynowicz ostatni raz jadł rosół w latach siedemdziesiątych XX wieku nad rzeką Wisłą w Europie Środkowej. Nawiasem mówiąc, to była namiastka, prawdziwy rosół jadł tylko w domu, pachnący, podany natychmiast po ugotowaniu. Podgrzewany tracił właściwy aromat i zapach, ciemniał, robił się ciężki i zbyt słony.

- Przepraszam za te zapachy, gotuję obiad, wnuczka ma przyjść.

- Za co pani przeprasza? To domowy zapach. Cofnął mnie w czasie, ciężko mi obliczyć, o ile lat.

Będzie dobrze, pomyślał. Po takim początku musi być dobrze.

Usiadł w niewielkim pokoju przy okrągłym stoliku nakrytym nicianą serwetą. Gospodyni postawiła przed nim szklankę herbaty w metalowej koszulce z uchwytem. Usiadła po drugiej stronie stołu, splatając dłonie pod pierściami. Dzielił ich szklany wazonik ze sztucznymi liliowymi astrami. Najpierw odsunęła go na bok, ale po chwili uśmiechnęła się, wstała i przeniosła astry na serwantkę.

- Nie będzie nam przeszkadzał.

Chce mi się dokładnie przyjrzeć, pomyślał Henryk, to kolejny dobry znak. Siedział przed przyjaciółką Katarzyny Brunek. Miał nadzieję, że dla Heleny Jundziłło będzie to dobra okazja, by wspominać przyjaciółkę. Gdy się przedstawił, zrozumiała od razu, kto ją odwiedził. Jej opowiadanie było ostrożne. Krótkie, solidne zdania i uważne skupienie, z jakim mówiła, przekonały go, że Helena Jundziłło i Katarzyna Brunek musiały być sobie bliskie.

- Katarzynę poznałam w szpitalu... pracowała na chirurgii, potem na wewnętrznym, a przed wyjazdem na oddziale dziecięcym. W końcu lat czterdziestych zaczęłam tam pracować i jednocześnie robiłam kurs pielęgniarski. Zaczęłam od najprostszych prac pomocniczych i doszłam do funkcji siostry oddziałowej i szefowej pielęgniarek w całym szpitalu. Teraz są takie pielęgniarki, które się obruszają, gdy się zwrócić do nich „siostro”. Są po studiach i mają muchy w nosie. Ja bardzo lubiałam, gdy tak do mnie mówiono.

Z Katarzyną polubiłyśmy się od razu. Zresztą nie miałyśmy wyboru, dostałam zakwaterowanie w hotelu robotniczym we wspólnym pokoju, jeszcze z dwiema koleżankami. Katarzyna też niedawno trafiła do hotelu, wcześniej miała jakieś mieszkanie, ale ją wyrzucono. Życie w hotelu nie było łatwe. Większość lokatorów to byli młodzi mężczyźni. A my, cóż, wstyd mówić o tym teraz, byłyśmy ładne, a w dodatku panny. Jak to się wtedy mówiło, panny na wydaniu. Czego się nie słyszało, idąc korytarzem... Do dzisiaj się rumienię, Boże, zmiłuj się. Wzięcie prysznicza wymagało nie lada odwagi. Organizowałyśmy się z innymi koleżankami, choć niektóre, były takie, lubiły być podglądane, ale nie o tym... No i właśnie na tym korytarzu pod adresem Katarzyny padały straszne obelgi. Nawet dzisiaj nie jestem zdolna do powtórzenia tych słów, ale nie wyobraża pan sobie tego chamstwa. I ona sama kiedyś, pod nieobecność pozostałych dwóch koleżanek, które wyjechały na święta Bożego Narodzenia gdzieś w Kieleckie, opowiedziała mi, dlaczego tak krzyczą.

Katarzyna była miejscowa, była gdańszczanką. Rodzina była niemiecka, w domu mówiło się po niemiecku. Polskiego uczyła się od początku. Po czterdziestym piątym zostało w Gdańsku parę tysięcy Niemców. Gdzieś niedawno wyczytałam, że z czterystu tysięcy zostało ich około piętnastu tysięcy. A i tych w większości dawno nie ma, wyjechali do faterlandu za Gierka. Katarzyna, jak wojna się skończyła, nie chciała zostawać w Gdańsku, ale została siłą zatrzymana przez Rosjan. Szesnastoletnia uczennica została jeńcem wojennym. Była aresztowana, chociaż nikt jej nie aresztował, pracowała w szpitalu dla lżej rannych rosyjskich oficerów. Jako salowa musiała normalnie pracować, ale nie mogła opuszczać szpitala pod karą śmierci. Była niewolnicą zamkniętą z kilkoma innymi młodymi Niemkami. Na noc je zamykali, zresztą szpital był pilnie strzeżony. Tylko ona z tej czwórki

przeżyła.

Później pojawił się oficer z lubelskiej Polski. Przychodził na spotkania z jakimiś rannymi i komendantem szpitala. Zauważył Katarzynę. Powiedziałam, że byłyśmy ładne, nieskromnie mówiąc, ja to może i byłam ładna. Ona była piękna. Zabójczo piękna. Mężczyzna może oszaleć na punkcie każdej kobiety, niekoniecznie pięknej. Ona wytrącała z równowagi każdego. Jak ją poznałam, wyli za nią po nocach. W innych czasach byłaby królową z armią niewolników u stóp. Wtedy, w czterdziestym piątym, żyła w piekle i czekała na śmierć. Ten polski oficer, gdy ją zobaczył, zapytał o nazwisko, odwrócił się i odszedł szybkim krokiem. Okazało się, że poszedł natychmiast do komendanta. Pacjenci szybko się zorientowali, że ktoś, jakiś Polaczyszka, nastaje na ich dobro. Wybuchła piekielna awantura. Ona nasza, trofiejnaja[93], wrzeszczeli ruscy oficerowie. Kobiety dla bohaterów wojennych muszą mieć, dowodził komendant, to ich święte prawo, inaczej się wściekną. Wreszcie po wypiciu kilku kolb spirytusu 96 procent zawarto kompromis: trzy Niemki pozostają, Katarzyna będzie przeniesiona do polskiego szpitala. Opowiadam tak, jak ona opowiedziała, jak zapamiętałam. Świadkiem nie byłam. - Popatrzyła na Henryka. Uznał, że ze współczuciem. - Jakich argumentów użył wobec Ruskich ten młodzieńki porucznik, nie wiem. - Helena Jundziłło wróciła do rzeczowego opowiadania po chwilowym zawieszeniu głosu. - Katarzyna w każdym razie wróciła do życia. Cóż, to nie była prawdziwa wolność ani szczęście, jakiego pragnie kobieta. No, człowiek w ogóle. Ale kto wtedy był wolny? A dzisiaj? Czuje pan wolność, nie jakąś tam ogólną, ale pana własną, od serca, radosną wolność?

Henryk słuchał. Po cichu porzucił siebie. Był poza swoim ciałem, poza swoim życiem. Porzucił każdą godzinę i myśl, każde ścięgno, każdą kość, tętnicę i komórkę nerwową. Wszystko, czym był w którejkolwiek z milionów chwil, które przeżył i które w tej chwili straciły ważność.

- Nie rozkwitła, ale odżyła. Porucznik dzięki swoim wpływom załatwił jej nowe dokumenty. Znalazł również mieszkanie, pokój z kuchnią. To, co nie zostało zburzone, stało jeszcze częściowo puste. Polacy ze wschodnich terenów Polski, z Wileńszczyzny, Oszmiany, Grodzieńszczyzny, dopiero byli przywożeni. Tak zwani repatrianci, objuczeni tobołami i dobytkiem, który często nadawał się wyłącznie na śmietnik. Kogo Sowietnicy nie zamordowali lub nie wywieźli na Wschód, te niedobitki Polaków, które przetrwały po latach planowego wyniszczania przez sąsiadów, teraz wyrzucano z chałup stojących wśród wyciętych w pień sadów. Wypędzenie z ojcowizny nazywano repatriacją. Teraz świat zna tylko gehennę wypędzonych Niemców. W taki sposób przyjechałam i ja z bratem. Z rodzinnej ziemi z

dziada pradziada do niemieckiego miasta. Ludzi wyrwali z korzeniami i rzucili byle gdzie. Jechaliśmy z Lidy dwa tygodnie. Ludzi z centralnej Polski namawiali, była wielka propaganda, Ziemie Odzyskane przedstawiali jako eldorado. W willi będziecie mieszkać, powiadał taki werbownik, na porcelanie jadać.

Jak mogłabym ją panu opisać? Nie chciała żyć byle jak i za wszelką cenę. Brałyśmy razem dyżury, chodziłyśmy razem do kościoła, na zakupy, wycieczki. Wiem, kim była, to znaczy wydaje mi się, że wiem, jakim była człowiekiem. Chciała być potrzebna, niezastąpiona w najtrudniejszych chwilach, najbardziej wstydlivych. Była zawsze gotowa wysłuchiwać żebrania tych, którym już wszyscy odmówili. Zwłaszcza wtedy gdy już nie mogli albo nie chcieli błagać o pomoc. Ale przede wszystkim pragnęła wystrzegać się zła. Grzechu, tak się mówiło za moich czasów. Podszeptu szatana. Wolałaby umrzeć, niż skrzywdzić kogoś. Była kobietą w każdym calu i mogłaby jeszcze, nawet po tych okropnych przejściach, uszczęśliwić jakiegoś niedojdę, ukoronować sobą życie jednego z tych zapatrzonych w siebie egoistów. Ale stroniła od mężczyzn. Nawet później, kiedy zaczynała się starzeć, jeszcze niejednego próbował ją zdobyć. I odbijał się jak balon od wiatru. Dawała kosza delikatnie, troskliwie. Nigdy człowiek nie wie, co dzieje się w sercu innej osoby, nawet bliskiej. Wydaje mi się, że Katarzyna była samotna w jakimś ostatecznym sensie, na zawsze.

Helena Jundziłło ujęła twarz w dłonie. Zgarbiła się i zwiotczała. Nagle wstała i wybiegła do kuchni.

- Zepsułam rosół, wygotował się.

Zebrała się w sobie i zaczęła opowiadać:

- Na co dzień żyliśmy jak papużki nierozłączki. Ale tylko do czasu mojego małżeństwa. Mówię o tym ze smutkiem, bo właściwie nasze drogi rozeszły się z powodu mojego świętej pamięci męża. Nie mogę powiedzieć, że byłam z nim nieszczęśliwa, mam córkę, wnuczkę. Miał jednak jedną wadę, no może więcej, ale ta miała w tym wypadku znaczenie. Był chorobliwie zazdrosny. Nie chodziło wyłącznie o mężczyzn, zresztą nigdy nie miał powodu i wiedział o tym. Chyba wiedział.

Rzuciła krótkie spojrzenie na Henryka, jakby oczekiwała, że w imieniu zmarłego męża potwierdzi jej przekonanie, a ułamek sekundy później uśmiechnęła się do siebie, a może do wszystkich rozpalonych kandydatów na kochanków, których odrzuciła z mniejszym czy większym wysiłkiem. Przystojnych, pewnych siebie lekarzy, sięgających po nią jak po swoją własność, pacjentów, mężów chorych lub ciężarnych kobiet, którymi się opiekowała.

- Był zazdrosny o wszystko, co mnie dotyczyło, w czym nie brał udziału, co nie łączyło się z nim bezpośrednio. Nie cierpiał mojej pracy, moich zainteresowań, miejsc, w

które lubiłam chodzić, rzeczy, których nie używał, a ja ich potrzebowałam, czasu, który spędzałam bez niego. Jak się pan domyśla, kiedy wyszłam za mąż, los mojej przyjaźni z Katarzyną był przesądzony. Nie mieszkaliśmy już razem, a Karol... Karol nie robił scen zazdrości. Nie był brutalny, a nawet niedelikatny, ale tak sterował naszym życiem rodzinnym, stawiał mnie przed takimi wyborami, że spotykałyśmy się z Katarzyną coraz rzadziej. Byłyśmy obok siebie tylko w pracy, ale i w szpitalu w końcu nas rozdzielono. Dostałam awans i zaczęłam pracować na innym oddziale.

Chyba jedyną jej wadą był upór, trzymanie się przez całe życie decyzji podjętej po strasznych przeżyciach młodości. Skreślenie mężczyzn. Nie myślę, żeby mogła uwierzyć w miłość, ale przejść praktycznie całe życie bez nadziei na odrobinę czułości, oddania, delikatności? Chociaż może walczyła z ucieczką w samotność i przegrywała. W końcu chodziła do spowiedzi, zobowiązywała się przed Bogiem, że winy odpuszcza i otwiera się na miłość. Muszę panu powiedzieć, że decyzji o staropanieństwie, tak się to wtedy ładnie nazywało, nie podjęła podczas uwięzienia przez rosyjskich oficerów. Nie podjęła jej również wtedy, gdy jej oficer wyjechał, no, porzucił ją. Mężczyźni przestali dla niej istnieć, dopiero gdy straciła dziecko. Kiedy odebrano jej dziecko.

Helena Jundziłło opowiadała o księdzu. O przyjaźni Katarzyny z proboszczem Tadeuszem Kwinto, o spotkaniach w kościele. Potem przyszła wnuczka z matką i Henryk zaczął się zbierać. Prosił o pozwolenie na jeszcze jedno odwiedzin.

- Mój Boże, przepraszam - krzyknęła, odprowadzając Henryka do drzwi. - Byłabym zapomniała na śmierć. Mam zdjęcie. Jedno jedyne, bo Katarzyna bardzo pilnie unikała fotografowania. Na krótko przed naszym ostatnim spotkaniem, a może to było właśnie podczas ostatniego, córka pstryknęła nam zdjęcie. Wyszło kiepsko, ale innego nie mam.

Niewielkie szare zdjęcie, sześć na cztery centymetry, miało ozdobnie obcięte brzegi. Musiało być zrobione pod światło, późnym popołudniem. Przed kamienicą stoją dwie kobiety. Blisko siebie, prawie przytulone. Obok Heleny Jundziłło, szczupłej, z gładko zaczesanymi do tyłu włosami, stoi nieco tęższa kobieta ubrana w ciemną sukienkę, rękaw trzy czwarte, materiał gładki, bez żadnego wzoru. Jej ramiona okrywa narzucona nierówno, dziergana na drutach jaśniejsza chusta. Dłonie schowała pod chustą. Od okularów odbiło się słońce. Pojedynczy, zawieruszony promień musiał dotrzeć do szkieł. Aparat zarejestrował właśnie ten moment. Refleks światła uwięziony w szklach utajnił jej oczy i część twarzy.

\*

Henryk w hotelu, w północy: Jeśli Bóg istnieje, swoje istnienie wypełnia sam. Nie przeciska się przez sieci ludzkich uczynków. Nie przesącza się do żadnego słowa. Bóg nie

ujawnia się w żadnym przedmiocie. Żyje tylko w sobie. Nie istnieje bez SiebieBoga i istnieje tylko ze swojej własnej woli. Nie może żyć z woli człowieka. Tak jak i umrzeć. To człowiek mówi, żeby istnieć. I wypełnia sobą czas przedmiotów, żeby w nich nieustannie umierać.

## Klasztor

Klasztor

3 listopada

Klasztor stał na niewielkim pagórku. Jeszcze parę tygodni temu musiał kryć się w potężnych jesionach i jaworach. Na początku listopada gałęzie były już prawie nagie. Pojedyncze liście bezdźwięcznie trzepotały, jakby próbowały wzlecieć wyżej i wybrać wolność, opierając się o niewidoczny, zdradliwy wiatr. Czerwone mury ogrodzenia, takie same ściany kaplicy i budynku klasztoru zbudowano z dobrze wypalanej, gładkiej cegły. Kontrastowały z konarami wzniesionymi wyniośle ku słabemu słońcu: szarooliwkowymi, ozdobionymi czarnymi pąkami jesionów i jaworów brązowych o zielonych pąkach. Ziemia zasłana była grubą warstwą liści, z wierzchu suchych i sypkich, pod spodem wilgotnych i pozlepianych w grube plastry.

Z Gdańska do klasztoru mieli około dziewięćdziesięciu kilometrów. Jechali godzinę. Przez Żukowo i Kościerzynę. Za Radunią, między jeziorami Wielkie Młosino i Leśno Górne, były Orliki.

- Chyba dobrze trafiliśmy. Trudno przewidzieć, ile mi zejdzie...

Edmund Zbrojkiewicz uśmiechnął się ze zrozumieniem. Był w pracy i umiał czekać. Henryk wysiadł z samochodu i podszedł do bramy. Szorując zelówkami, rozkopywał szeleszczące liście. W ich intensywnym, cytrynowożółtym kolorze rozplływały się rzadkie krople cynobru i jasnej zieleni. Jaskrawe kolory jaworów posypane były poskręcanyimi zszarzałymi liśćmi jesionów.

Henryk do którejś z podstawówek chodził drogą wysadzaną podwójnymi rzędami klonów. Posadzone były ciasno na nierównych prostokątach trawników. W wyniku bałaganu lub oszczędności liście sprzątane były dopiero, gdy wszystkie opadły. Chodziło się po grubym kożuchu, pachniało gorzko orzechami, leśną ściółką, trochę grzybami. Stopy zapadały się miękko, tłumiliły odgłos trzewików podbitych blaszkami, dużą na pięcie i małą z przodu, na szpicu. Czasem liście całkiem zapominano sprzątnąć i wtedy z kolegami sypali kopce i próbowali podpalać. Tliły się anemicznie, dymiąc i gasnąc co chwilę. Trzeba było wciskać pod nie papieryska, pudełka, stare gazety. Zakazanego palenia ogniska nigdy nie udało się ukryć przed matką. Ubranie i włosy przesiąknięte kwaśnym zapachem białego,



śmietanowego dymu, niechętnie unoszącego się w górę, zdradzały go z odległości kilku metrów. Zamiast wymówek mówiła sucho:

- Dawaj to ubranie i wykąp się. Śmierdzisz.

Karą miało być ominięcie go wzrokiem, ale Henryk już do tego przywykł i przeczekiwał dzielnie krótką kwarantannę.

Dobrym sposobem wykorzystania liści było również zakopanie się w nich i czekanie w ciszy, aż nadejdą dziewczyny. Wtedy wyskakiwało się z wraskiem i z podniecającą satysfakcją patrzyło, jak dziewczęta rozpierzchają się z piskiem prawdziwego czy udawanego przerażenia.

Siostra Anuncjata zaprowadziła Henryka do pokoju zajmowanego przez Tadeusza Kwinto. Kwinto emerytem był już w latach dziewięćdziesiątych, ale mieszkał nadal na plebanii w swojej parafii i pomagał nowemu proboszczowi. Spowiadał i odprawiał msze aż do momentu, kiedy złamał nogę. Ten, wydawałoby się, niegroźny wypadek niemal przypłacił życiem. Niezniszczalny ksiądz, po zabiegu skręcenia śrubą kości i dziesięciodniowym pobycie w szpitalu, nie potrafił na powrót zawładnąć sobą. Spętała go wszechmocna słabość i trafił do klasztoru pod opiekę sióstr.

Kiedy Henryk wszedł do pomieszczenia, ksiądz, ubrany w wytartą sutannę, siedział w fotelu blisko niewielkiego okna. Nieruchomy jak figura woskowa, zwrócił twarz w stronę światła, powieki miał przymknięte. Na nogach leżał koc koloru bałtyckiego piasku. O bujne siwe włosy, starannie zaczesane do góry, zadbała pewnie któraś z sumiennych sióstr. Nie zauważył wchodzących? Przyjechałem za późno, na próżno, pomyślał Henryk. Czekał zniechęcony, uśmiechając się uprzejmie na wszelki wypadek. Prawa dłoń staruszka oparta o poręcz miękkiego fotela poruszała się, jakby należała do kogoś innego. W rogu pokoju, oparty o ścianę, stał składany wózek inwalidzki.

- Szczęść Boże - powiedział głośno i pomyślał, że to może być parkinson.

Siostra zatrzymała się w drzwiach.

- Przyniosę herbatę, napije się pan? Może naszej, ziołowej? Uspokaja. Nie jest bardzo niesmaczna. - Uśmiechnęła się, tak jakby się znali od dzieciństwa i znała wszystkie jego słabości.

- Na uspokojenie w każdej ilości - odpowiedział.

Gdy drzwi się zamknęły, rozległ się niespodziewanie silny głos księdza.

- Nie musi pan mówić tak głośno, słuch mam dobry. Różne rzeczy mi wysiadły, ale nie słuch. Mógłbym konkurować z tutejszymi sowami.

Henryk spojrzał uważnie na nieruchomą twarz duchownego. Mimo energicznie

wypowiedzianych zdań wyglądała jak sparaliżowana. Poczul się nieswojo, nie potrafił ocenić, czy jego wyblakłe oczy widzą cokolwiek.

- Przepraszam, że nachodzę, przeszkadzam w wypoczynku, ale...

- Niech pan da spokój - przerwał mu ksiądz. - Poza dyżurną siostrą odwiedzają mnie tylko duchy, a i to coraz rzadziej. Zostaje radio. Telewizji nigdy nie oglądałem. Najpierw deprawowała według moskiewskiego wzorca, później według wzorca szatańskiego nihilizmu, dla niepoznaki nazywanego liberalizmem. Chociaż ostatnio moskiewska przeszłość ożywa. Młodzi ludzie wydają dzieła Lenina. Przebacz im, Boże, bo nie wiedzą, co czynią. Chociaż zważywszy na położenie Polski, może wiedzą aż nadto dobrze. Niemcy też mogą być zadowoleni. Już raz posłużyli się Leninem w ramach swojej polityki wschodniej. Ale znowu jestem niegodziwie nietolerancyjny. No, a książek nie czytam. Nie tylko Lenina. Oczy odmówiły wsparcia na starość. Czasami poczyta mi któraś z sióstr, ale one są takie zajęte, wstyd prosić. Raczej korzystam z płyt. Przypomniałem sobie parę lektur z młodości, ot i tyle moich rozrywek. Mój dzień składa się z mszy, posiłków, rozmyślań i rozmów z umarłymi. Ale ostatnio i ci się zbuntowali. Mówią: „Tadziu, nie możemy tak ciągle do Ciebie przychodzić, nie wypada. Czas na rewizytę. Zapraszamy, odwiedź nas, kolego, winko przynieś”. Wiem, że winko niepotrzebne, czekają na mnie z karafką ratafii domowej roboty. Piękny kolor i piękny smak. Summa summarum, gość w dom - Bóg w dom.

W głosie księdza Kwinto słyhać było brak zdecydowania, czy zabrać się porządnie do umierania, czy żyć dalej - słuhać, wspominać, trawić, analizować, mówić, obserwować, zapamiętywać. Planować następne uderzenie serca i opracowywać szczegółowo przyszłe skurcze płuc i taktykę walki z odpornym na ciosy światem. Tlił się w nim jednak czekający na rozdmuchanie żar podniecenia, towarzyszący ludziom gotowym wysłuchiwać innych. Henryk obawiał się, że rozczaruje księdza, nie miał ochoty mówić. Przyglądał się pomarszczonej, bezwładnej twarzy. Co powie mu człowiek, u którego kiedyś spowiadała się Katarzyna Brunek? Wytarł wilgotne dłonie w spodnie.

- Helena Jundziłło prosiła o przekazanie księdzu serdecznych pozdrowień - powiedział znowu zbyt głośno i obserwował starca. - To od niej dowiedziałem się, że ksiądz pomagał pani Brunek, Katarzynie Brunek. I że znał ją ksiądz bardzo dobrze.

Pierwszy raz poczul na sobie ciężar spojrzenia wodnistych oczu. Pozbył się wątpliwości, czy te oczy widzą.

- Nie powinien pan mówić o niej: pani. Od momentu pańskiego telefonu wiem, kim pan jest. Więc jeśli to prawda, jest pan jedynym synem Józefa Harsynowicza, czy tak? - Ksiądz zawiesił głos i Henryk szybko skinął głową. - To oznacza, że Katarzyna Brunek, czyli

naprawdę Katerina Brune, jest pańską matką. To jedno nie ulega wątpliwości.

Henryk zauważył, że ksiądz użył czasu terażniejszego.

- Co w takim razie... powinienem panu... No, musi pan wiedzieć, bo to jest najważniejsze, że życie zawdzięcza jej pan podwójnie. Wróc, źle policzyłem. Potrójnie. Po pierwsze, bo najzwyczajniej w świecie je dała, urodziła. Po drugie, i to już trochę bardziej skomplikowane, mimo że nie wolno jej było urodzić, pan żyje. Katarzyna, gdy okazało się, że zaszła w ciążę, dostała prostą instrukcję, a raczej rozkaz, żeby ją przerwać, usunąć. Zabić dziecko.

Kapłan napił się herbaty, chwilę odpoczywał.

- Nie wykonała rozkazu i urodziła. Poświęciła siebie. Mówię poświęciła, bo swoją decyzją wiele ryzykowała. To były czasy, w których śmierć nie robiła na nikim wrażenia. Śmierć była jak kurz na brudnej ulicy. Oddychali nią wszyscy, spali z nią pokotem na siennikach, tłoczyli się razem z nią w kolejkach po sól, cukier czy chleb. Byli nią oblepieni, jak czyrakami i liszajami. To niemożliwe, żeby dzisiaj ktoś mógł to zrozumieć. Ale pan powinien. Zrozumieć i zapamiętać, zapamiętać dla swoich dzieci i dzieci ich dzieci. Na zawsze.

Kiedy utraciła dziecko, a wiedziała, że traci je na zawsze, także nie przestała być pańską matką. Pański ojciec wziął je do siebie. Już wtedy mały umiał mówić i mówił do niej „mamo”. Nie widzę powodu, żeby to teraz zmieniać.

Ziółka na uspokojenie, które przyniosła zakonnica, wydały się Henrykowi dziwnie słodkie.

- On nie żyje - powiedział cicho, jakby mówił do siebie.

- Ach tak?

Ksiądz zawiesił głos. Wydawał się zastanawiać nad sposobem wyrażenia współczucia.

- Niech mu ziemia lekką będzie.

Głos mu się załamał, jakby się potknął o wystający kamień, ale natychmiast odzyskał równowagę. Odpoczywał. Do pokoju jeszcze raz zajrzała siostra i spytała, czy czegoś nie potrzebują.

- Od czego zacząć? - Wrócił do opowiadania. - Najtrudniej będzie od początku. To, co opowiem panu częściowo, wiem od niej i tylko powtórzę. Powiedziała mi, że pochodziła z rodziny teoretycznie niemieckopolskiej, gdańskiej. Faktycznie rodzina była całkowicie niemiecka. Żyli szczęśliwie, aż przyszedł rok czterdziesty czwarty. Dziwnie to brzmi po polsku, prawda? Życ spokojnie i szczęśliwie w trzydziestym dziewiątym, czterdziestym drugim lub trzecim, toż to jest na bakier z logiką i strasznymi faktami. Ale w Gdańsku wojna

zaczęła się w końcu lata czterdziestego czwartego. Gołym okiem widać już było koniec Wielkiej Rzeszy i każdy mógł usłyszeć ostatnie wrzaski Hitlera. Co to może oznaczać, jeszcze nikt nie wiedział, chociaż w Gdańsku wszyscy żyli tylko strachem przed Rosjanami i szukaniem jakiegokolwiek sposobu ucieczki. Polacy też się bali, ale oni nie mieli gdzie uciekać. No, może trochę mniej bali się ci Polacy, którzy nie mieli wcześniej z Rosjanami do czynienia. Najbardziej bały się kobiety. Zresztą, kto zmierzy ludzki strach i jak porówna jeden do drugiego. Twoja matka, Katarzyna, chciała z siostrą uciekać jak najdalej na zachód. Stało się inaczej, rodzice postanowili zostać. Dlaczego? Chcieli czekać na odwrócenie losu. Trwać na rodzinnej ziemi, w rodzinnym mieście. Tak jak część Polaków pozostała w Grodnie, Lwowie czy Wilnie. Czekali zahipnotyzowani, sparaliżowani przez strach.

Któregoś wieczoru, gdy Katarzyna wróciła od sąsiadów, rodzice i siostra zniknęli. Nigdy się nie dowiedziała, co się z nimi stało. Czy zostali zabici gdzieś w Gdańsku, czy wywiezieni do Rosji, czy jakimś cudem trafili do Niemiec. Ojciec nie był wojskowym. Nie miał powodu ani prawdopodobnie możliwości, by uciec do Ameryki Południowej czy Afryki, żeby tam zmienić tożsamość i rozpocząć nowe życie. Zresztą gdyby się uratował, zapewne szukałby córki, prawda? Tak przynajmniej być powinno. Katarzyna została sama. Miała szesnaście lat i trafiła w ręce tych azjatyckich humanistów, heroldów pokoju. Czasami zastanawiam się, czy jest coś, z czego komunizm wyzwolił człowieka. I dochodzę do wniosku, że wyłącznie z zasad moralnych. Nie, o tym fragmencie jej życia nie będę mówił. Wiem zresztą tyle co pani Helena. Ona panu musiała o tym opowiedzieć.

Poznałem Katarzynę, może to był rok 1947, nie, chyba 1948. Już nie wiem. Pana ojciec wyjechał wtedy do Moskwy. Ona przychodziła codziennie do kościoła, z coraz większym brzuchem i z coraz większą ciemnością w oczach. Chodziła pochylona, jakby była garbata. Nosila za duży płaszcz, żeby ukryć sterczącą ciążę. Zostawała po mszy dłużej, modliła się i popłakiwała. Kiedyś po mszy jak zwykle zdjąłem ornat, na sutannę włożyłem komżę i podszedłem do niej. Czułem się niepewnie. Co ja mówię, bałem się i czułem niesamowite skrępowanie. Myślałem już wcześniej, żeby ją zagadnąć, widziałem, że jest załamana, że jest źle, ale odkładałem decyzję z dnia na dzień. Nie wiedziałem, czy potrafię jej pomóc. Czy zostaną właściwie zrozumiani. A to, że potrzebuje pomocy, ślepy by dostrzegł. Bałem się o siebie, rozumie pan, byłem bardzo młody, niewiele starszy od niej, a ona była taka piękna. Olśniewająco piękna. Ale czy miałem wybór? Rozpacz jest złym doradcą. Kobieta w ciąży łkała w kościele, a ja miałem udawać, że nic nie widzę, i schować się w zakrystii? Mądry to ja wtedy nie byłem. O wojnie i śmierci wiedziałem sporo, ale o życiu prawie nic.

Podszedłem do niej. Nie wiedziałem, że to Niemka. Przychodziła codziennie do kościoła, ale nie przystępowała do sakramentów. To także mnie niepokoiło. Może to zabrzmiało płasko i banalnie, ale wtedy, od pierwszej rozmowy, wyczułem, że możemy się porozumieć, że to jest, mimo wszystkich przeszkód, możliwe. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Staram się opowiedzieć panu to, co pamiętam, każdy szczegół, bo to nie tylko moje życie, ale i pańskie. To część życia, którą miał pan bezpowrotnie utracić. Którą pan stracił i teraz jest szansa, by ją odzyskać, prawda? Wierzy pan w to? Jeśli to możliwe, jeśli to możliwe.

Niech się pan nie obawia, nie chcę spowiadać się przed panem. W sensie sakramentalnym nie miałoby to sensu, w ludzkiej logice nie potrzebuję takiej spowiedzi. Chcę dla pana uratować parę zdeptanych faktów. Przepraszam, nie wszystko już pamiętam. Czuję się winny, bo właściwie żyjemy po to, żeby pamiętać. To ważne, zwłaszcza w tych czasach, kiedy amnezję otacza się kultem. A brak pamięci jest przecież jednym z wcieleń kłamstwa i przyczyn złej śmierci.

Przychodzi pan za późno, o wiele za późno. Czekałem na pana pięćdziesiąt lat. Nie odważyłem się szukać. Ona nie pozwoliła. „Modłę się przede wszystkim o szczęście mojego synka. I żeby odnalazł siebie, swoje właściwe miejsce”. Powiedziała tak do mnie kiedyś. Czy rozumiała przez to także pański powrót? Do niej?

- Nie próbowała mnie zobaczyć, dowiedzieć się...

- Nie potrafię odpowiedzieć, naprawdę nie potrafię. Przykro mi. Coraz mniej jest pytań, na które potrafię porządnie odpowiedzieć. Mam coraz więcej wątpliwości, dostrzegam coraz więcej niejasnych szczegółów, niejednoznacznych okoliczności. A jednocześnie świat się oddala, kontury zacierają. Starość to utracona pewność.

Ale wracam do niej. Katarzyna mieszkała sama. Józef Harsynowicz wyjechał do Moskwy. Żegnając się, kategorycznie zabronił jej urodzić.

- Dlaczego jej nie zabrał ze sobą? Nie ożenił się? Jeśli była młoda, piękna i papiery miała w porządku? Nie kochał jej? Nie rozumiem, nosiła jego dziecko. Przepraszam, ale może nie był pewny, czy było jego?

- Nie wiem, nie wiem, nie wiem. Może chciał tego. Może kochał. Może tak bardzo kochał, że musieli mu ją zabrać, żeby go złamać. Żeby należał tylko do nich. Poddali go próbie. I on wybrał. Człowiek jest wolny, zawsze może dokonać wyboru. Zło istnieje po to, żeby człowiek mógł odróżnić dobro. Rozumieć różnicę. I codziennie dokonywać wyboru. Dokonawszy wyboru na wieki, codziennie wybierać muszę. Ktoś tak powiedział, czy podobnie. Ten młody oficer zdał ostatni egzamin. Każąc zabić własne dziecko - zabił siebie. Tak myślę. Katarzyna miotła się jak dzikie zwierzę w klatce. Nie mogła, jak to teraz mówią

właściciele przyszłości, dokonać aborcji. Magicy od ukrywania sensu ludzkich postępów. Zamordowanie dziecka nie mieściło się w jej wyobrażeniu o tym, co człowiek może zrobić, a czego, bez względu na okoliczności, zrobić nie może. Chociaż przez parę miesięcy, w czterdziestym czwartym roku, napatrzyła się na śmierć. Bała się reakcji kochanka, który jako jej właściciel mógł z nią zrobić, co chciał. Miał ogromną władzę, a ona nie istniała. Nie figurowała na żadnej liście, ani zwycięzców, ani uratowanych. Pan porucznik wziął ją sobie jak zdobycz wojenną. Jak dziki wojownik klawesyn ze zdobytego pałacu. Instrument wprawdzie do niego należy, ale pochodzi z innego świata, którego nigdy nie zrozumie. Połączenie władania i duchowej niemocy, podległości, niższości. Chyba przesadziłem, komunizm dał barbarzyńcom nihilistyczne poczucie wyższości, historycznego chamstwa, absurdalnej siły. Inni łupieżcy mówili: zrobię z tobą, z twoim domem i krajem, co chcę, bo wygrałem wojnę. Komunista, owszem, uznawał wojnę za okoliczność sprzyjającą, ale drugorzędną. Komunista mówił: zrobię z tobą, z twoimi dziećmi, z twoją ziemią i krajem, z twoją przeszłością i przyszłością to, co zrobić muszę. Co wynika z naukowo dowiedzionej zasady rozwoju społeczeństw. Jestem tylko narzędziem obiektywnej nauki. Zwieńczeniem logiki historii jest bezklasowe społeczeństwo komunistyczne z sercem bijącym w wydziale zagranicznym moskiewskiej partii.

Porucznik był symbolem nowego etapu rozwoju ludzkości - z ramienia PKWN był odpowiedzialny w Gdańsku za współpracę z Rosjanami w sprawach bezpieczeństwa. Na marginesie, wie pan, że Armia Czerwona do 1947 roku skierowała do dowodzenia Ludowym Wojskiem szesnaście i pół tysiąca swoich oficerów? A do dzisiaj komunistyczna propaganda mówi, że to była wojna domowa.

Losy Katarzyny, pańskie losy, a może losy nas wszystkich potoczyłyby się inaczej, gdyby nie rozkaz wzywający porucznika na dodatkowe kursy do Moskwy. Poznałem Katarzynę krótko po jego wyjeździe. Wiedziała, że urodzi, i bała się. Ale on z Moskwy wrócił do Warszawy. Awansował. Skreślił Gdańsk.

Ksiądz znowu odpoczywał, pił herbatę.

- Dwa lata później zabrał jej dziecko. Dziecko, które wcześniej kazał zabić. To był ten rodzaj krzywdy, która nie niszczy wszystkiego, zostawia fragment istnienia. Nieistotny fragment. Ona była już tylko taką pozostałością po sobie, gdy kazał jej zapomnieć o dziecku.

- Dowiedziałem się dopiero teraz, osiem dni temu. - Henryk spojrzął krótko na księdza.

- Tak? - westchnął Kwinto. - Od czasu gdy zabrakło synka, jedyną treścią jej życia była pomoc innym i rozmyślanie o tobie. Wyobrażała sobie każdy dzień twojego życia,

godzina po godzinie. A ty, cierpliwie, bez pośpiechu, rozwijałeś się, chorowałeś, rosłeś i mądrzałeś w jej głowie. Miał pan dwa życia, prawdziwe i utajone... połączone pępowiną z jej wyobraźnią. Oczywiście modliła się, żeby Bóg pana ocalił. Chyba jej się udało, skoro tu pan dotarł, prawda? W ten sposób trzeci raz dała panu życie.

Rozległo się ciche pukanie i weszła siostra Anuncjata.

- Przepraszam, proszę się nie gniewać, ale już wystarczy. Naprawdę na dzisiaj wystarczy.

Podeszła do księdza i poprawiła mu koc. Odwróciła się do Henryka.

- Jutro, niech pan przyjdzie jutro. Nie można go tak męczyć.

Wrócili do hotelu, siedli z Edmundem do kolacji. Nie mógł jeść, wypił tylko filiżankę czerwonego barszczu. Był inny, niż gotowała Halina.

W pokoju wyciągnął z walizeczki książkę Zygmunta Kubiaka Uśmiech Kore. Leżała na biurku ojca, jakby ją czytał, zanim wylądował w szpitalu, a może stale trzymał pod ręką. Na stronach widać było sporo podkreśleń. Wziął do ręki wsuniętą między strony kartkę listowego papieru z przepisany ręcznie fragmentem. Język polski jest przepiękny już w poszczególnych słowach, takich jak „tęsknota” albo „zmierzch”. Do dziś słowa polskie przywołują jedno drugie niezatartymi przez czas echemi etymologicznymi: słowo „modry” do dziś się iskrzy rosą, jakby wilgotnością swej barwy, bo swoim dźwiękiem przywołuje słowo „mokry”. Świat się rozjarza nad nami słońcem albo wschodzi luną gwiazd, gdy słyszymy w nim słowo „świecić”. Słowo „błogi” jest naprawdę błogie w brzmieniu, a słowo „cisza” - ciche.

Zanim zmorzył go płytki sen, myślał bezładnie, że minął kolejny dzień jego dawnego życia, w którym poznawał inne, to, które go ominęło, i nie wiedział, które z nich jest prawdziwe i należy do niego. Myślał o szczegółach, wariantach szczegółów, których nigdy nie dopasuje do siebie. Zaczął wierzyć, że same ułożą się w nim wzdłuż linii papilarnych lub według wzoru tęczęwki.

Następnego dnia siostra wprawdzie wpuściła Henryka do księdza, ale zaznaczyła, że robi to wbrew sobie i rozsądkowi. Prosiła, żeby tym razem rozmawiać naprawdę krótko.

- Powinien leżeć. Ma gorączkę. Bardzo prosił, żeby pana wpuścić. Zgodziłam się, ale widzę, że te wspomnienia go... nie wiem. Nie opowiedział już wszystkiego? Siedzieliście wczoraj trzy godziny. Jest bardzo słaby.

- Był lekarz - szepnął Kwinto. - Ale co on może zmienić. Starość. A pan... pan mi przypomniał, że wszystko już było.

Gdy Henryk usłyszał to zdanie, zobaczył wyraźnie, że ksiądz jest młodym

zamyślonym chłopakiem, zagubionym wśród ruin spalonego Gdańska. Stary Kwinto był zaledwie jego słabym refleksem.

Spotkanie było inne niż wczoraj. Ksiądz mówił niewiele. Z trudem.

- Tamten peerelowski czas był rozrzedzony, do dziś rozłazi się w rękach. Żyłeś i żyłeś, a jak wyciśniesz, mało zostaje twardej treści. Niby jechało się do przodu, ale koła ciągle buksowały, więc pchało się pojazd, tytłało w błocie, podkopywało, żeby choć ruszyć, podskoczyć metr do przodu, dotrzeć do zakrętu, a za nim, za nim wszystko mogło być inaczej, miało być inaczej. A tu, cóż, piach, mordęga i walka o centymetry. I nawet ten wspólny wysiłek nie został jako dobre wspomnienie, bo przecież nie był wspólny. Jeden pchał, drugi w mundurze pilnował, trzeci po cywilnemu przeszkadzał i wyprowadzał ludzi.

- A pani... moja... chodzi mi o Katarzynę, co się z nią działo?

- Cóż, czas leczy rany albo jątrzy, zamienia w stałe źródło cierpień. Przychodziła do mojego kościoła aż do czasów Solidarności. Sprzątała kościół, a jak już wszystko lśniło, siadaliśmy w ławkach, w bocznej nawie, i rozmawialiśmy. O sprawach parafii, ludziach, ich kłopotach, uroczystościach. Ale coraz mniej. Coraz mniej padało słów. Wreszcie, poza „szczęść Boże”, nic więcej nie mówiliśmy, więc modliłem się, nie z brewiarza, ale w myślach. Tak było przez osiem lat. Godzina ciszy, jeden, dwa razy w tygodniu. Siedzieliśmy obok siebie, nie twarzą w twarz, więc nawet na siebie nie patrzyliśmy. Ale przychodziła i ja wiedziałem, że muszę... muszę usiąść obok.

Wreszcie przestała przychodzić. Zniknęła. Helena powiedziała mi, że Katarzyna wyjechała do Niemiec. Nie przysłała listu, nie wiadomo, gdzie jest.

Słońce powoli przesunęło się poza okno, przestało razić i w celi zrobiło się jaśniej od przedwieczornego, pośpiesznego światła.

- Raniuszki już zbiły się w stadka, widział pan? - zapytał ksiądz innym głosem. - I jemiółuszki już przyleciały z północy. Lubią naszą łagodną zimę.

## **Katerina Brune**

Katerina Brune lata czterdzieste XX wieku

Katerina Brune po wojnie używała polskiego imienia i nazwiska: Katarzyna Brunek. Tak podporucznik Informacji Wojskowej Józef Harsynowicz kazał wystraszonej urzędnicze wpisać do spisu mieszkańców i polskich dokumentów. Katerina pochodziła z rodziny od pokoleń zamieszkującej okolicy Gdańska, zarówno po mieczu, jak i po kądzieli. Ojciec, Rudolf Brune, urodzony w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku, był z wykształcenia inżynierem mechanikiem silników spalinowych i przez całą wojnę służył ojczyźnie na



Politechnice Gdańskiej.

Kostyczny, skupiony inżynier nie cierpiał roztargnienia i niefrasobliwości, ale sam, pogrążony w obliczeniach i wyobrażanych testach, odpływał razem z długimi liniami cyfr od bajdurzenia swoich córek i żony. W otoczeniu ścisłych reguł fizyki, wskaźników technicznych i matematycznych wzorów jego umysł odżywał, odrywał się od życiowej fantasmagorii, nabierał elastyczności i iskrzył pomysłami. W towarzystwie, gdy był zmuszony opuścić nieskończony, ale logiczny świat techniki, milkł i puszczał mimo uszu to, o czym mówiono. Ludziom nie ufał. Nie zdawali sobie nawet sprawy, jak byli niedokładni, zawładnięci romantycznymi złudzeniami, dziecinnymi uczuciami, a przede wszystkim w jak nieznośny sposób byli nieprzewidywalni. Rudolf Brune zwykł powtarzać, że gdyby matematykę zastosowano szerzej w codziennym życiu, a w szkołach nie zaśmiecano głów dzieci plastyką, literaturą, historią czy muzyką, ludzkość znajdowałaby się z pewnością w daleko lepszej sytuacji. Tragedie, wojny, dramaty naiwnych matek i całych narodów oddanych chorym marzeniom mogłyby zniknąć, gdyby przestano faszerować ludzkie umysły metafizyczno-poetyczno-religijnym nadzieniem, które wcześniej czy później musi przekształcić się w mieszankę wybuchową. W istnienie aniołów, cudów, Boga i nieba Rudolf Brune nie wierzył. Owszem, lubił woń kadzidła, bowiem wprowadzała go w nastrój swobodnej spekulacji owocującej śmiałymi pomysłami dotyczącymi oszczędności benzyny. Chodził do kościoła tylko dlatego, że rodzina i sąsiedzi nie byli w stanie zrozumieć jego racjonalnych argumentów. Ignoranci broniący się przed faktami drażnili go bardziej niż hałaśliwe dzieci. Precyzyjnie obliczył, że straty wynikające z bojkotu niedzielnej mszy przekroczyłyby znacznie korzyści z zaoszczędzonych dwóch przedpołudniowych godzin. Decyzję w tej drażliwej sprawie podjął znacznie wcześniej, wtedy gdy planował prosić Marię o rękę. Rozwagał wariant rezygnacji ze ślubu kościelnego. Nowoczesność, precyzyjne planowanie przyszłości, logiczny związek przyczyny i skutku kontra stare obyczaje, duch nad wodami, pensjonarskie uczucia i mętna metafizyka. Od planów tych odstąpił z powodu realnego ryzyka, że jego oświadczenia nie zostałyby przyjęte, a Maria Mak, jego wybranka, trafiłaby w ramiona jakiegoś pobożnego głupka.

Na co dzień inżynier Brune był cichym, schludnym mężczyzną. Nie uchodził za dziwaka, ale część znajomych i rodziny żartowała z jego nowoczesnych opinii i nadała mu łagodny i trochę za długi przydomek „Poczekaj, niech obliczę”. Żona i córki zachowywały zawsze całkowitą powagę i nigdy nawet się nie uśmiechnęły, gdy ostrożnie żartowano z ojca. Zwłaszcza wtedy gdy był nieobecny.

Do partii narodowosocjalistycznej wstąpił w 1938 roku. Polityki nie rozumiał,

ideologiami się nie interesował, a sugestią, że ma poglądy socjalistyczne, uznałby za obelgę. Zapisał się do partii dla świętego spokoju. Koledzy, przełożeni, profesorowie Politechniki wstępowali gremialnie, z entuzjazmem. Rudolf opaskę ze swastyką nosił niechętnie i tylko wtedy, kiedy to było konieczne. Najchętniej na bluzę mundurową naciągał sweter albo wkładał marynarkę. Lubił być cywilem, ale z powodu zmilitaryzowanej przynależności nie odczuwał konfliktu sumienia czy utraty niezależności. Oczekiwał od władzy zapewnienia logicznego porządku prowadzącego do jasno wytyczonych celów. Bałagan prowadzący do chaosu to była rzecz najgorsza z możliwych. Uważał również, że dobra władza powinna zapewnić wszystkim zajęcie i zmusić do pracy pasożytów, cwaniaków i pozornie nieszkodliwych leni. Z przygnębieniem patrzył na bezrobotnych, których nieomylnie rozpoznawał wśród przechodniów. Bał się instynktownie rozpaczki zagnieżdżonej w ich oczach, a może jeszcze bardziej widocznej w nich zgody na wszystko, w zamian za odwrócenie losu lub chociaż marną obietnicę poprawy. Popierał kanclerza Hitlera właśnie dlatego, że rozwijał przemysł i obiecał likwidację bezrobocia. Pewne znaczenie miał fakt, że Rudolf pragnął przyłączenia rodzinnego Gdańska do Niemiec, a tego samego chciał Hitler. Gdy analizował po kolei każdy z celów narodowosocjalistycznej polityki rządu, zwłaszcza cele polityki zagranicznej, uznawał je za racjonalne i zdroworozsądkowe. Polityków, którzy w innych krajach sprzeciwiali się niemieckim planom, uważał za niebezpiecznych awanturników, bezmyślnych szowinistów zagrażających europejskiemu dobrobytowi i pokojowi.

Żonę i córki traktował surowo, z dodatkiem dawkowanej ostrożnie pobłażliwości, imitującej czułość, na ogół zresztą bez powodzenia.

Jego żona, Maria Mak, matka Kateriny, pochodziła z małej kaszubskiej wioski, kurczowo trzymającej się piaszczystych, piołunowych pól, otoczonych wrzosowymi łąkami, które mimo żarliwych modlitw w lipcu wysychały na pieprz. Do czasu zamążpójścia nie miała powodu, by się zastanawiać, kim jest. Później sprawy się skomplikowały. Rudolf nie znał polskiego, a ona świetnie znała niemiecki. Gdy na świat przyszły dzieci, najpierw Anna, a dwa lata później Katerina, krępowała się przy mężu mówić do córek po polsku. Trochę się bała jego reakcji, a z drugiej strony uważała, że ojciec powinien móc bez przeszkód uczestniczyć w jej zabawach i gaworzeniu z dziećmi. Nawet jeśli z reguły był tych zabaw niemym świadkiem. Wątpliwości, czy mówić do małej wyłącznie po niemiecku, nachodziły ją tylko przy pierwszym dziecku. Zdarzało się wtedy, że śpiewała przy kołysce polskie piosenki, które pamiętała z dzieciństwa. Sprawiało jej to przyjemność nie tylko dlatego, że lubiła śpiewać. Do śpiewania ciągnęło ją także to, że oprócz swojego głosu słyszała głos

matki, którą straciła, gdy miała piętnaście lat. Marii wydawało się, że matczyne piosenki unosiły ją ponad czas, ponad dorosłość, ponad pajęczynę kobiecych smutków i kłopotów. Piosenki musiały mieć taką siłę, skoro radziły sobie ze śmiercią mamy. Dzięki nim czuła się jednocześnie matką śpiewającą córce i małą dziewczynką zasłuchaną w śpiew matki. Wszystko wokół niej, cały świat, zawierało się w zwrotkach, w rymie i melodii. Ukrywała te chwile przed mężem, chociaż uważała ukrywanie czegokolwiek w małżeństwie za grzech. Z drugiej strony skrywanie tej tajemnicy nie budziło w niej wyrzutów sumienia, bo nawet gdyby chciała, nie potrafiłaby nikomu o niej opowiedzieć. Gdy urodziła drugą córkę, cztery lata po ślubie, język polski, zupełnie nieużywany na co dzień, wycofał się gdzieś do ciemnych zakamarków przeszłości i Maria, zanurzona w pogoń nocy i dni, zaczęła myśleć po niemiecku. Córki nie wiedziały nawet o polskim pochodzeniu matki, a ona nigdy nie znalazła dobrej okazji, by na ten temat z nimi porozmawiać. Jej rodzinna przeszłość odeszła ostatecznie w zapomnienie, kiedy stosunki Niemców z Polakami zaczęły się zaostrzać i Maria nie wyobrażała sobie, by mogła wracać do spraw, które obciążąłyby przyszłość jej córek. Zresztą jej rodzice już nie żyli, a Maria była jedynaczką, więc życie rodzinne, skądinąd niezbyt bujne, skupiało się na dwóch braciach męża i jego rodzicach mieszkających w majątku pod Gdańskiem. Wojna dokończyła dzieła i polska niła pamięć została przygnieciona ciężarem nowego porządku.

Wojna zresztą, przez pewien czas, była dla rodziny Brune dziwnym, na poły egzotycznym fantomem. Gdańszczanie, którzy nie mieli na frontach mężów, ojców i braci, znali wojnę wyłącznie z gazet, radia i kronik filmowych. Jeszcze 2 sierpnia 1944 roku w normalnie funkcjonującym Gdańsku wystawiono w teatrze Fausta Goethego.

Tak było aż do końca lata 1944 roku, kiedy pojawili się w mieście pierwsi uchodźcy i przynieśli ze sobą nieznaną zapach wojny. Jedyni mężczyźni w rodzinie Brune, którzy służyli w Wehrmachcie na Bałkanach, bracia Rudolfa, nie tylko żyli, ale nie odnieśli nawet lekkich ran. Spotkania z nimi, gdy przyjeżdżali na urlopy, także przyczyniły się do oswojania wojny, traktowania jej jak odległej przygody, a w najgorszym wypadku przykrego, ale zrozumiałego obowiązku mężczyzn wobec ojczyzny, Führera i kobiet. Maria i jej córki, owszem, słyszały, że i Niemcy ponoszą straty, ale była to wiedza abstrakcyjna, podobna do tej z podręcznika na temat wojny północnej, i nie wiązała się z nią przykra konieczność zmiany codziennego trybu życia i niebezpieczeństwo zmiany wyobrażeń o przyszłości. Trzy kobiety Brune czuły się więc bezpiecznie, mając w domu ojca i męża. Wszystko było tak jak wczoraj, jak zawsze.

W zadbanym gospodarstwie rodziców Rudolfa, unowocześnianym troskliwie, z wielkim nakładem sił, wiosną 1941 roku pojawił się pomocnik. Władze przysłały go w

miejsce dwóch walczących w Wehrmachcie synów. Wprawdzie rachunek się nie zgadzał, a czterdziestodwuletni francuski jeniec, Gijon, nie znał niemieckiego, ale teściowie Marii cieszyli się, że nie dostali Polaka czy Rosjanina. Instrukcja władz mówiła inaczej, ale dla wygody gospodarze jadali razem z francuskim parobkiem. Sypiał poza domem, w przybudówce przylegającej do stajni. Małżeństwo Brune traktowało go po ludzku, nie pracował ciężiej niż synowie. Na gospodarstwie znał się świetnie, u siebie we Francji był rolnikiem. Rodzina dziękowała Bogu za Gijona. Cieszyła się nie tylko z efektów jego pracy, ale i z samej obecności. Starzy małżonkowie, poza przekazywaniem niezbędnych informacji, prawie ze sobą nie rozmawiali, więc trzeci milczący domownik wzbogacał ich monotonne dni w najlepszy z możliwych sposobów. Cieszyli się, że Gijon, będąc więźniem, nie może porzucić ich gospodarstwa. Katerina podczas wyjazdów do dziadków obserwowała go czasem ukradkiem. Miała ochotę poprosić, żeby nauczył ją kilku słów po francusku, ale brakowało jej odwagi. Przez myśl jej przeszło, że mogłaby mu rozkazać albo mógłby to zrobić dziadek. Nieokreślony lęk jednak zwyciężył. Gijon był ponury, milczący, pracował zawzięcie od świtu do nocy, z przerwami na posiłki, podczas których łamaną niemczyzną uzgadniał kolejność następnych prac. Czasami nie zgadzał się z decyzjami dziadka i wtedy twardo mówił: trzeba najpierw przewrócić siano, a potem robić coś innego czy naprawiać płot. Dziadek przyjmował jego uwagi w milczeniu, co nigdy się nie zdarzyło w wypadku uwag zgłaszanych przez synów. Gijon kończył jeść i wychodził, zgarbiony, z pociemniałą, jakby pokrytą siniakami twarzą, brał widły, grabie czy kosę i szedł w pole. Wracał punktualnie na kolację, choć w pochmurne dni trudno było ocenić, która jest godzina. Konie nie były nigdy tak zadbane. Wyraźnie go lubiły, a i on przywiązał się do nich. Zwłaszcza do starszego, karego wałacha.

W końcu lata 1944 roku, wczesnym popołudniem, siostry Brune wracały z plaży, opalone i rozgrzane słońcem. Raz po raz parskały śmiechem, opowiadając sobie o spotkanych nad morzem lotnikach, przebywających w Gdańsku na urlopie. Wprawdzie z młodzieńcami pożegnały się przed chwilą, ale teraz przekrzykiwały się, opowiadając sobie jedna przez drugą o szczegółach spotkania. Nie stało się nic ponad wymianę paru uprzejmości i ostrożnych żartów, ale one, tłumiąc w sobie radość, przywoływały obraz ogorzałych twarzy i bladych, wysportowanych ciał lotników, opiętych granatowymi, wełnianymi kostiumami. W niedzielne popołudnie czas zwolnił, a nawet zdawał się zupełnie zastygać na pustych, obsypanych pozłacanym powietrzem ulicach Gdańska. Młode, rozkwitające kobiety, rozleniwione przejrzałym słońcem, zmęczone pływaniem w gładkim, drzemiącym morzu, szły szybko do domu. Czują rozlewające się w ich ciałach niepokojące podniecenie i rosnący apetyt. Ich miękkich warg dotykały słone spękane usta Horsta, a rozchylone nozdrza wciągały

słoneczny zapach rudych włosów Güntera. Idąc chodnikiem, zdawały się ocierać o białe, jakby posypane mąką ramiona lotników. Rozchylały usta i dotykały różowymi językami zębów, mając w rozedrganej pamięci ostre, mocne zęby nadskakujących im na plaży mężczyzn. Siostry śmiały się trochę za głośno jak na dobrze wychowane panny, ale chciały w ten sposób ukryć obejmującą ich ciała, obezwładniającą falę o nieznannej sile. Co chwilę posyłały sobie badawcze spojrzenia, czy nie przesadziły, czy to, co robią, jest na miejscu. Czy są wystarczająco dorosłe i wystarczająco przyzwoite. Jednak widziały w swoich oczach tęsknotę przysłoniętą cienką warstwą wstydu i śmiały się. Śmiały się głośno, by nie musieć o niej mówić, by się jej domyślać u siostry i zgadzać się całą sobą na to upalne popołudnie, na życie, uniesienie i pragnienie podobne do przedsmaku rozkoszy. Mimo skrępowania chciały jak najdłużej czuć rozpalone zniewolenie i zbliżanie się potężnego, uwalniającego krzyku. Wiedziały, że kiedyś ten krzyk wyrwie się z ich ust, a słodki ból rozleje się po piersiach i brzuchu i minie dopiero z przyjściem śmierci. Teraz krzyk wypełniał każdą cząstkę ich smukłych ciał, ale gdy dopełzał do gardła, cofał się i znikał.

Siostry zbliżały się do parku, na murze widniały wielkie litery sloganu: „Vati im Osten, Mutti auf'm Posten”.

Na parkowych ławkach, trawnikach i alejkach rozłożyli się ludzie i stosy tobołów, waliz, koszy i kufrów. Zachowywali się tak, jakby to miejsce było ich domem od dawna. Jakby zawsze jedli, spali, usypiali dzieci i rozmawiali w gdańskim parku, na dawno niekoszonym trawniku. Niektórzy mężczyźni leżeli na wznak i patrzyli w niebo, bez ruchu, w milczeniu. Tylko ręka, z tłącym się papierosem, wędrowała do ust i wracała na gościnną trawę. Kobiety karmiły najmłodsze dzieci. Starsze nie dokazywały, musiały być zmęczone. Twarze kobiet były szare, niektóre prawie czarne. Później siostry dowiedziały się, że kobiety, bez względu na wiek, smarowały twarze popiołem, by wydać się starsze i odpychające. Liczyły, że dzięki temu nie zostaną zgwałcone. Siostry opłynął powolny, rozpędzający się wiatr strachu. Patrzyły rozszerzonymi źrenicami na uciekinierów z terenów, które zajmowali Rosjanie. Pierwszy raz panny Brune zobaczyły z bliska łagodne sceny wojenne. Nie było przemocy, krwi i śmierci. Widziały ucieczkę i ocalenie. Czuły się tak, jakby obejrzały ścinki z kronik filmowych, które cenzura skrętnie usunęła z optymistycznej wersji wydarzeń rozgrywających się na zapleczu frontu wschodniego.

Uchodźcy z Prus Wschodnich mieli odtąd przybywać codziennie, coraz bardziej przerażeni, brudni, z coraz bardziej żalonym dobytkiem. Opowiadali historie, w które chyba sami nie wierzyli, bo opowiadając, płakali, jakby bali się, że mogą przeżyć coś podobnego. Przez miasto, porty, lotnisko i dworce przepływały tysiące ludzi, dziesiątki tysięcy, setki

tysięcy, miliony przerażonych uciekinierów.

Gdańszczanie prawie do ostatnich chwil wierzyli, że wojna ominie ich miasto. Nie potrzebowali jej, a ono swoją urodą i zamożnością zasługiwało na spokój i przyszłość podobną do świetnej przeszłości.

Po obiedzie szybko minęły przedwieczorne godziny i zgasł dzień, w którym, mimo poważnych argumentów, do Gdańska dotarła wojna.

Siostry leżały w swoim pokoju, na sztywnych od krochmalu prześcieradłach, nieprzykryte, z otwartymi oczami. Myślały o lotnikach i o ludziach śpiących w parku. Jedni i drudzy wkroczyli do ich życia i nie chcieli odejść razem ze światłem zduszonym przez zmierzch. Miasto objęła sierpniowa ciemność, gęsta, aromatyczna, wypełniająca stygnące ogrody monotonnym nawoływaniem świerszczy.

\*

Od dnia, w którym również dla Gdańska zaczęła się wojna, do dnia, kiedy miasto opanowali żołnierze II Frontu Białoruskiego, minęło około pięciu miesięcy. Ci, dla których gehenna wojenna trwała kilka lat, wiele zapewne by dali, żeby móc przeżyć jej dziesięciokrotnie krótszą wersję. Mieszkańcom Gdańska z pewnością nie przyszło do głowy, że ktoś mógłby im zazdrościć. W październiku 1944 ogłoszono powszechną mobilizację dla mężczyzn od szesnastego do sześćdziesiątego roku życia. Władze zarządziły kopanie rowów przeciwczołgowych. W lutym czterdziestego piątego zaczęły się naloty w pogodną mroźną noc. Uciekinierzy zamazali, stojąc w tłoku na odkrytych pokładach statków wypływających z Gdańska. Trupy dezerterskie, których nikt nie odcinał, wisiały na drzewach wzdłuż alei Hindenburga. Strach przywieziony ze wschodu, z Prus, rozdmuchiwany był z historycznym wysiłkiem przez propagandę wojskową lansującą hasło, że lepiej być martwym niż niewolnikiem.

Matka i córki za wszelką cenę chciały uciekać. Wtedy zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Rudolf Brune twardo odmówił wyjazdu. Powtarzał z uporem: tu jest dom naszych ojców, Niemcy muszą trwać na swojej ziemi, nawet jeśli wojna będzie przegrana.

Cała rodzina bez trudności mogła wyjechać razem z ewakuowanymi pracownikami Politechniki. Ojciec szarzał, coraz później wracał do domu. Żona i córki czatowały na niego, napadały w drzwiach i błagały.

- Jak mamy trwać, jak utrzymać ojcowiznę? Ta klęska jest inna i inny będzie po niej porządek.

Rudolf Brune rozumiał znaczenie tych słów. O wojennych realiach wiedział z pewnością więcej od kobiet. Przerażone tłumy, czekające w Gdańsku na możliwość ucieczki,

stały za płaczącymi córkami i przerażoną żoną jak niemy chór w greckiej tragedii. Milczał. W domu zapanowała cisza, przestano nawet jadać razem, bo nie sposób było przełknąć choćby kęs przy wspólnym stole. Kobiety dotąd były przekonane, że za jego chłodem i oschłym oddaleniem kryły się niewzruszona lojalność i gotowość do męskiego poświęcenia. Rudolf Brune nie był czuły ani serdeczny, ale dawał Marii poczucie trwałości i porządku. Jego twarda obecność nadawała jej życiu w nieprzewidywalnym świecie zrozumiały i przewidywalny sens. Mgliste wyobrażenie i ostrożne panięskie myśli o mężczyźnie, miłości i rodzinie powodowały, że małżeństwo z Rudolfem nie przyniosło jej rozczarowań. To, co obserwowała w rodzinnym domu, odnalazła bez zaskoczenia, a nawet z ulgą, w swoim własnym życiu. Wszystko układało się tak, jak mogło się ułożyć. Od pełnego napięcia i oszołomienia 24 czerwca 1925 roku. Ani wtedy, w pierwszą noc po ślubie, ani żadnej z następnych dni i nocy, przez długie dwadzieścia lat, nie usłyszała od Rudolfa żadnego wyznania. Nie usłyszała, że ją kocha. Nigdy nie widziała go nagiego. Po ciemku, pod kołdrą, zadzierał jej koszulę nocną, kładł się na niej i pracował w milczeniu. Robił to w pośpiechu, ukradkiem, jakby się wstydził swojej bezbronności, gdy rządziło nim pożądanie. Pragnął jak najszybciej odzyskać panowanie nad sytuacją. Jego straceńczy pośpiech powodował, że nigdy nie przeżyła orgazmu. Jego władanie nie było dla niej przykre, ale gdy uniesienie zaczęło docierać do jej ciała, on kończył, zsuwał się i natychmiast zasypiał. Może udawał, że śpi, by mieć prawo zapomnieć o klęsce.

W domowym spokoju i pewności matki podświadomie uczestniczyły córki. Ten nastrój wystarczył, żeby szacunek i podziw dla ojca był uzupełniany, w miarę upływu lat, o przywiązanie i malejący lęk. Nowa, miazdząca obcość Rudolfa, która pojawiła się wraz ze zbliżającymi się Rosjanami, była dla żony i córek zerwaniem paktu o współpracy i pomocy. Siostry nie miały jednak odwagi zdecydować się na wyjazd bez rodziców. Nie mogły zostawić matki, a matka, krojąc jarzyny na obiad, oświadczyła, że męża nie zostawi.

Katerina przypadkiem usłyszała fragment kłótni rodziców i wtedy dotarło do niej, że ojciec boi się nie mniej niż one. Boi się, ale powtarza z jakąś beznadziejną wściekłością, że są rzeczy ważniejsze niż jednostka, że lojalność wobec historii, narodu, ojczyzny... Nie zrozumiała wszystkiego, ale ojciec miał dostać od kogoś polecenie, nawet rozkaz, by zostać w Gdańsku. Jeśli dobrze rozumiała, ktoś z Wehrwolfu kazał mu zostać.

- Sam wydawałbym takie rozkazy, gdybym musiał - krzyczał histerycznie. Nigdy dotąd nie podniósł głosu. Być może chciał, żeby go usłyszeli Hitler, Himmler, Stalin, Roosevelt i Churchill. Żeby zrozumieli jego sytuację i wytłumaczyli wszystkim ludziom, że wszystko przemyślał i tak musi postąpić. Miał nadzieję, że nie jest śmieszny. Tego by nie

przeżył. Krzyk ojca pozbawił Katerinę resztek złudzeń, że jego opór pęknie i będą mogły uciec. Krzyk ojca był gorszy niż nędzza uchodźców, komunikaty o egzekucjach dezerterskich i trzeszczące okienne szkło pokrywające chodniki. Nie wiedziała teraz, kim jest ten osobnik, do którego dotąd mówiła: „ojcze”.

Wtedy również wyszło na jaw, że ojciec prawdopodobnie liczy na to, iż mając żonę pochodzącą z polskiej rodziny, będzie mógł zapisać się na przyszlą polską volkslistę i dzięki temu mieć większe szanse na przeżycie. Matka była Polką? Coraz więcej rzeczy odklejało się od dziewczęcej rzeczywistości.

Po tragicznej kłótni rodziców wyszła z domu. Siedziała parę godzin u sąsiadki, inwalidki przykutej do wózka. Z jej córką, Mariną, chodziła do liceum. Siedziały we trzy w półmroku. Nie miały sił, by się pocieszać, ale Katerina uspokoiła się, siedząc bez słowa w kuchni, pokrytej szronem wpadającego przez okno księżycy. Kobiety opuszkami palców dotykały się nawzajem. Nie szukały łez ani ulgi. W milczeniu, w niedoskonałej ciemności, wyraziły wspólnie zgodę na przyjęcie wszystkiego, co przyjdzie. Słyszały odgłosy wybuchających pocisków, pojedynczych wystrzałów i gwałtowną strzelaninę. Były pewne, że przeżyły już koniec świata, i czekały cierpliwie na nowy dzień.

Gdy Katerina wróciła do siebie, dom był pusty. Wszystkie rzeczy, pozornie żywe, pozostawały na swoich miejscach. W kuchni na desce leżała pokrojona do połowy główka cebuli. Jej zapach czuć było od drzwi. Jedynie przewrócona solniczka i sól rozsypana na kraciastej ceracie kuchennego stołu nie były zgodne z pedantycznym porządkiem, jaki zawsze utrzymywała matka. Gdy podchodziła do stołu, pod podeszwami jej półbutów trzeszczały twarde ziarenka.

Nazajutrz po zniknięciu siostry i rodziców Katerina wstała wcześniej rano i bez zastanowienia pobiegła do gmachu Politechniki. Po ewakuacji pracowników, wywiezieniu dokumentacji i aparatury w budynkach uczelni rozłożył się ogromny szpital.

- Przydam się? Do czegokolwiek? - zapytała kobietę w brudnym fartuchu szarpiącą się z bezwładnym, rannym żołnierzem.

- Za nogi, weź go za nogi - wycharczała tamta. Nie odwróciła się, oddychała ciężko. Była spocona i brudna. Kiedy wlekły rannego w kierunku drzwi, popatrzyła na Katerinę przekrwionymi oczami. Ścisnęło ją w brzuchu. Coś innego niż strach.

- Helga - rzuciła kobieta, stękając z wysiłku. Strużka śliny ciekła jej z ust.

Katerina przez kilka godzin pomagała innym kobietom pracującym zapamiętane przy ewakuacji rannych. Nie było czasu na rozmowy. Opróżniali szpital. Nie było żadnego planu, co zrobić z rannymi żołnierzami. Chcieli ich rozproszyć, ukryć? Większość Sowietów



stanowili ciemni skośnoocy żołnierze. Przeważnie niewyrośnięci chłopcy, ale trafiali się i starzy, z twarzami pooranymi przez zmarszczki i nielicznymi zębami. Nie byli Rosjanami. Żołnierze szli przez sale Politechniki, strzelając bezładnie wokoło. Gdy napotykali salę wypełnioną rannymi, rozlewali benzynę na zniszczony dębowy parkiet, chlapali na łózka, ludzi i podpalali. Kobiety nadal w milczeniu wносиły chorych, wlekły ich po korytarzach i schodach, spuszczały przez okna po prześcieradłach. Krzyczeli tylko ci ranni, którzy nie zdawali sobie sprawy, co się wokół dzieje. Kobiety pracowały coraz szybciej. Rozrastający się ogień dodawał im sił. Ale tych, których udało im się wywlec na zewnątrz, zabijano systematycznie na dziedzińcu, na trawnikach pod oknami budynku, na ulicy przed Politechniką. Przez pierwsze godziny żołnierze zajmowali się wyłącznie zabijaniem rannych. Kobiety i żołnierze mijali się, jakby ich światy poruszały się na innych orbitach. Ale to był wspólny świat i po południu zdobywcy zaczęli wyłapywać kobiety. Gdy dwóch osmalonych dymem, rozpalonych od spirytusu i ognia przygniotło Katerinę i zamierzało ją zgwałcić, chudy wymoczek o słowiańskich rysach wrzasnął, machnął naganem i kazał iść won. Wybawiciel wziął ją za rękę i wyprowadził przed szpital. Tam kazał jej wsiąść na wóz zaprzężony we włochate, wychudłe koniki. Siedziały na nim już cztery kobiety ubrane w pokrwawione, brudne kitle. Twarze i dłonie miały pokryte grubym brudem.

- Nu, dawajcie, malcziszki![94] - krzyknął mały żołnierz o śniadej płaskiej twarzy, niższy o pół głowy od Kateriny. Koniki ruszyły stępą. Po dwugodzinnej przeprawie przez płonący Gdańsk transport dotarł do rosyjskiego szpitala wojskowego, ulokowanego w koszarach we Wrzeszczu. Po drodze raz czy dwa utknęli. Dłuższą przerwę w podróży spowodowała grupa zmordowanych do cna żołnierzy, którzy za pomocą benzyny i miotaczy ognia palili systematycznie kamienicę za kamienicą. Budynków nie mogli załadować na platformy i wywieźć do ojczyzny, a zostawić - ot, żal bierze okrutny i dusza płakać chce.

Pierwsza z piątki kobiet, Teresa, umarła pierwszego dnia. Zgwałciło ją zbyt wielu łżej rannych oficerów. Katerina ocalała. Zażądał jej dla siebie młodzieńki oficer NKWD. Był ranny w głowę. Spod poczerniałych od wyschłej krwi bandaży patrzyły martwe oczy. Chłopak gorączkował, był osłabiony, ale mimo argumentów lekarza żądał kobiety. Zacięty, z pistoletem w ręce, siedział na szpitalnym łóżku. Katerina zemdląła. Ocuciła ją rosyjska sanitariuszka, uderzając w twarz i zdzierając z niej bieliznę. Rosjanin luźną pistoletu rozsunął jej nogi. Położył się obok i zbierał siły. Po chwili wczuł się na jej zdrewniałe ciało. Oddychał ciężko, z otwartych ust ściekała mu ślina i rzeźbiła znamię na jej ramieniu. Leżał bezwładnie, jak worek cementu, całym ciężarem żyłastego ciała. Zionęło od niego nieprzetrawionym spirytusem zmieszany z odorem zgnilizny i stęchłym potem. Katerinie

brakowało powietrza, ale starała się nie oddychać. Grube krople potu spływały jej po skroniach i wsiąkały w rozrzucone na materacu włosy. Wreszcie oficer zwłókł się, usiadł i wycharczał:

- Ty, blad', nie говори nikomu ni słowa, rozumiesz?[95] - Wolno odwrócił zabandażowaną twarz do Kateriny, przyłożył lufę do swoich warg na znak milczenia, a potem szybkim ruchem umieścił wylot lufy w jej ustach. Lufa zadzwoniła o zęby.

- Rozumiesz, da?[96]

Katerinę odkonwojowano do pomieszczenia, gdzie Niemki miały spać. Kucnęła, mając za plecami ścianę, i oparła czoło o kolana. Pozostałe kobiety leżały na brzuchach, z twarzami wciśniętymi w materace. Do pomieszczenia wpadła rosyjska pielęgniarka i rozdzieliła pracę. Mycie rannych, zmiana pościeli, szorowanie podłóg, sprzątanie rzygowin, odchodów i krwi.

Śmierć Teresy na krótki dystans uratowała Katerinę i pozostałe kobiety. Dostarczanie codziennie nowych kobiet było zbyt skomplikowane i komendant szpitala, kapitan Wiazimcew, zarządził bardziej oszczędne używanie niemieckich więźniarek. Frontowcy gwałcili wszystko, co się rusza, ale o młode kobiety nawet dla oficerskiego oddziału szpitala było coraz trudniej.

- Bab można używać więcej niż jeden raz, eto nie sigarieta, rozumajecie?[97]

## **Barbara i Henryk**

Barbara i Henryk

4 listopada

On wyjechał. Nie powiedział ci?

Mężczyzna przyglądał się Barbarze. Był ciekaw, jak zareaguje.

Popatrzyła na niego bez śladu emocji.

- Wiem, że jest w Gdańsku.

- W Gdańsku? Może i jest, ale to tylko przystanek. Nasz wspólny przyjaciel kończy przygodę ze starym krajem. Ktoś w Kanadzie czeka i łóżko grzeje...

Miał nadzieję, że ten subtelny sztych wbije się głęboko. Barbara nie odpowiedziała.

- Walcz o swoje, kobieto, jedź za nim. Najłatwiej jest ustąpić, wyjść po angielsku. Ale żeby kiedyś wygrać, trzeba podjąć rękawicę.

Siedziała ze spuszczoną głową. Wstał z fotela. Wziął ją delikatnie za brodę i podniósł twarz. Nie otworzyła oczu.

- Nie mogę tak dłużej - wymamrotała niewyraźnie, bo on nadal podtrzymywał jej

brodę. - Nie tylko z powodu Henryka. W ogóle mam już dość. Muszę wziąć długi urlop, nie wiem...

- Czego masz dość? - Ziemilski podniósł głos. Była taka śmieszna. - Lekkiej pracy, dobrych pieniędzy, pozycji, wygodnego życia? Masz ochotę wylądować w wynajętej norze, w jakimś blokowisku? Masz drobny kryzys, rozumiem, ale to minie. Jak wszystko.

Zapałił, odczytał wiadomości w ajfonie i rzucił szorstko, z politowaniem:

- Chcesz go zobaczyć, to się zbieraj.

W jej oczach przez moment zauważył wściekłość, ale to było złudzenie. Była bezradna i mimo obaw pragnęła zobaczyć Henryka. Musiała go zobaczyć. Choćby po to, żeby mu wszystko wyjaśnić.

- Dobrze. - Nie był pewien, czy słyszy w jej głosie tłumioną nadzieję, czy rezygnację. - Pojadę.

Z Rębiechowa jechali w milczeniu. Już w mieście, zanim się zatrzymali, powiedział niechętnie:

- Jest w Hiltonie. Pokój 303, pod swoim nazwiskiem. Dzwon do mnie co godzinę albo esemesuj. I nie panikuj, jesteś dorosła, pamiętasz? Prawdziwe życie jest tylko dla dorosłych. Głupie zabawy są dla harcerzy. Do zobaczenia, kotku.

Przesiadła się do stareńkiej taksówki, chociaż miała dwa kroki. Henryka nie było w pokoju. Usiadła w holu skulona, jakby siedziała na mrozie. Jeden z portierów zapytał ją, czy dobrze się czuje.

- Naprawdę? Wszystko w porządku? - upewniał się troskliwie.

Koło siedemnastej pojawił się Henryk. Zauważyła go pierwsza.

Podniosła się ze zbyt niskiej, niewygodnej sofy i ruszyła w jego kierunku, ale w połowie krótkiego dystansu odwaga ją opuściła. Zatrzymała się. Zaniepokoiło ją, że Henryk zupełnie nie zdziwił się na jej widok. Przeciwnie, zachowywał się tak, jakby się rozstali przed kwadransem i umówili, że zaczeka na niego w recepcji. Bez słowa pocałował ją w policzek i poszli wolno po schodach na górę.

Leżeli w ubraniach na zasłanym łóżku. Ludzkie odgłosy dochodziły stłumione, z głębokiej przeszłości albo znikąd. Leżeli tak długo, przeraźliwie długo. Gdy była pewna, że zasnęła, powiedział wolno:

- Widziałem się z księdzem. Z księdzem, który znał moją mamę. Tę, która mnie urodziła i...

Przerwał, jakby się udławił następnym słowem.

Barbara już wiedziała, że dzisiaj nic nie powie Henrykowi. Nie pogodziła się ze

swoim wstydem i upadkiem, ale teraz nie potrafiła niczego naprawić. Czekala, az Henryk zaśnie, zbierała siły i już, lada moment, miała mu wszystko opowiedzieć. Wszystko, o czym powinna, musi mu powiedzieć. O kłamstwie. O oszustwie. O tym, że była mu wierna tylko jako kobieta, ale... ale on zaczął mówić i szansa na uwolnienie ulotniła się bez śladu.

- Katarzyna, ma na imię Katarzyna - powiedział Henryk. Ale Barbara była pewna, że nie mówi do niej.

Poczuła łzy. Nie wiedziała, że płacze. Nie chciała płakać, ale łzy znalazły jej skórę, policzki i zagłębienia uszu. Poczuła do siebie wstręt. Obróciła się twarzą do pościeli.

Henryk wstał.

- Urodziłem się tutaj. W Gdańsku - powiedział, idąc do drzwi. - Ale jeszcze nie...

Drzwi zamknęły się samoczynnie, z suchym trzaskiem.

## Drogówka

Drogówka

5 listopada

A jak się nie zatrzyma?

Osilek przed trzydziestką spojrział na starszego, szczupłego policjanta. Zapytał raczej z nudów niż z zawodowej ciekawości. Od dwóch godzin siedzieli w radiowozie, wyciągnięci na cofniętych, odchylonych do tyłu siedzeniach.

- Zatrzyma się, zatrzyma. Gość żyje z prawa jazdy, nie będzie pogrywał z drogówką.

Starszy sierżant Jan Kula zaciągnął się głębiej i wypuścił parę niebieskawych kółek dymu, kierując je poza samochód, na wolność. Dym unosił się spokojnie w wilgotnym powietrzu otulającym niewielki parking. Obok rozłożył się zaśmiecony lasek.

- Bo jak on ma trzysta dwadzieścia koni, tobyśmy go raczej naszymi sto trzema nie dognali, co? - Osilek potarł dłonią wczorajszy zarost, ziewnął i dodał: - Kopcisz jak smok, stara cię w domu nie goni?

Starszy wysunął nogi z radiowozu. Czemu ten gnojek się spoufala? Informacji udzielił niechętnie, przedkładając kwestie fizjologiczne nad wątek rodzinny.

- Jeszcze czas, odleję się.

- Wołałbym stanąć z radarem i trochę skubnąć szoferaków.

Młodszy przeciągnął się. Szukał nie tylko pretekstu do rozmowy, ale i pocieszenia, marzył bowiem o sukcesach dzisiaj nieosiągalnych.

Pół godziny później, po machnięciu lizakiem, stalowe audi zjechało do zatoczki. Edmund Zbrojkiewicz wysiadał wolno, lustrując parking.

- W czym problem, nie jechałem przecież za szybko?

- Kłania się Wojewódzka Komenda Policji w Gdańsku. Dokumenty wozu i prawo jazdy.

Zaraz za radiowozem, na niskiej gałęzi usiadł oliwkowy rudzik i ciemnym okiem obserwował wydarzenia. Nawet przesunął się trochę na gałęzi, by być bliżej akcji. Mężczyźni stali na asfalcie powybrzuszonym przez nieustępliwe korzenie drzew. Papiery przeglądał policjant wyższy rangą, po chwili podniósł głowę i spojrzał na Zbrojkiewicza.

- Musimy rzucić okiem na auto. Zgłoszono zaginięcie, a właściwie porwanie. Mamy rozkaz. Rozumiemy się?

Edmund bez słowa otworzył tylne drzwi i bagażnik. Mimo iż szukano człowieka, samochód zrewidowano dokładnie.

Zainteresowanie wzbudziły trzy przedmioty: płaszcz, kapelusz i koperta w schowku, zaadresowana na nazwisko mecenasa Ksawerego de Vernona.

- To pański płaszcz? - zapytał policjant. - Widzę na przednim siedzeniu kurtkę.

- Nie noszę płaszczy. Ten? To klienta, właściciela samochodu. Kapelusz też jego. To jego auto.

- Klienta? Tego wpisanego w dowodzie?

- Pana Harsynowicza. Pracuję u niego, od czasu do czasu, jako kierowca.

- No właśnie, Henryk.

- Taak, coś się stało?

- Ja tam nic nie wiem. Musimy pojechać na posterunek. Takie mamy polecenie. Niech pan się odwróci i oprze ręce na masce. Przepraszam, ale muszę zrewidować, taka procedura, rozumie pan.

Osilek nie wytrzymał.

- Co się z nim tak cackasz? - jęknął. - Za wszarż i do auta, a jak podskoczy - w mordę!

- Spokojnie - syknął sierżant. - Zamknij się.

Dzięki popędliwemu posterunkowemu Edmund pojął, że nie został zatrzymany w ramach zwykłej kontroli drogowej. Uderzenie strachu spowodowało, że popełnił błąd.

- Panowie, po co te nerwy? Ja nie jestem Popiełuszką, a wy nie jesteście z безпеiki, prawda?

Osilek wydał z siebie nieartykułowany okrzyk i rzucił się w kierunku Edmunda, planując zadanie nokautującego ciosu sierpowego. Edmund odbił w bok pięść, złapał policjanta w pól i ścisnął mocno. Osilek wierzgnął, usiłując się wyrwać.

- Dosyć! - wrzasnął starszy sierżant, wyciągając P-64 z kabury.

- Przestańcie! Kazek, ty idioto, won do wozu, za kierownicę! A ty ręce na kark! Chcesz mieć wyrok za napad na funkcjonariuszy, za naruszenie nietykalności, znieważenie munduru, pojechało cię?!

- Nic nie chcę, chyba widać. Nic nie chcę.

Kluczyki od pozostawionego na parkingu audi i kopertę adresowaną do mecenasa policjanci oddali dwóm facetom ubranym w nienaganne garnitury na stacji benzynowej przy A1. Później cięli do Warszawy 140 na godzinę, bez przystanków. Czasem włączali syrenę, by szybciej przebić się przez zator. Po trzech godzinach byli w komisariacie. Tam czekał na nich cywil, szpakowaty przystojniak, przepisowo nieogolony, z waltherem P99 pod pachą i mocno podkrążonymi oczami. Nie udawał, że ma ważniejsze sprawy na głowie. Zabrał Edmunda do małego pokoiku uzbrojonego w wieszak, dwa krzesła i rozlatujące się biurko. Komputera nie było, co oznaczało, że formalnego przesłuchania nie będzie.

- Niech pan siada. Proszę powiedzieć mi wszystko, co pan wie, o Henryku Harsynowiczu. Od Adama i Ewy, każdy szczegół, każdą nieważną drobnostkę. Mamy do czynienia z porwaniem. Prawdopodobnie. Nie sposób tego, co pan wie, dzisiaj ocenić, nie możemy przewidzieć, co okaże się ważne, a co nie.

Edmund wiedział na pewno trzy rzeczy. Policjantom nie chodziło o niego. Po drugie, nie miał zbyt wiele do powiedzenia, bo właściwie nic nie wiedział o Henryku Harsynowiczu. I po trzecie, że paździenikowa deklaracja Henryka dotycząca rozwiązania problemu nie została wprowadzona w życie.

- Jak na razie, to ja jestem porwany - odpowiedział oburzonym tonem. - Harsynowicza widziałem wczoraj. Kazał mi wracać do Warszawy, oddać list w kancelarii i zostawić auto na parkingu. Koniec. Kropka. Jestem kierowcą pana Harsynowicza, a nie jego spowiednikiem. A skoro pan Harsynowicz funkcjonował wczoraj normalnie, w nocy, zakładam, że spał, to czemu już się tym zajmujecie i to, jak na was, dość energicznie? Skąd w ogóle wiecie, że coś jest nie tak? Policja dostała cynk od porywaczy? Nie podoba mi się to wszystko.

- Nie muszę pana o niczym informować. Ale... jeśli to panu pomoże, zgłosił się do nas mecenas de Vernon. Ten zapewne, do którego wiózł pan list. Przyjaciel rodziny, pełnomocnik pana Harsynowicza, wykonawca testamentu jego ojca. Tyle mogę powiedzieć. Nie jestem rzecznikiem policji, tylko śledczym. Proszę, niech pan mówi. To ważne.

## **Ksiądz Tadeusz Kwinto**

Ksiądz Tadeusz Kwinto druga połowa lat czterdziestych XX wieku

Ksiądz Kwinto podszedł do klęczącej kobiety. Modliła się jeszcze. Stał kilka kroków

za nią, przy filarze, tak by odwracając się, musiała go zauważyć. Nabożeństwo wieczorne skończyło się już chwilę temu. Witraże gasły. Ministrant zdusił palcami trzy świece na ołtarzu. Z bocznych naw wypełzał wolno półmrok, gęstniał w ciszy i jej niekończącym się echu.

Kobieta ubrana w bezkształtny płaszcz wstała z kolan i ruszyła do wyjścia.

- Przepraszam - szepnął - bardzo przepraszam.

Podniosła głowę, odrobinę, jakby na więcej nie miała siły. Nie popatrzyła na niego, ale zatrzymała się i stała bez ruchu.

- Przepraszam - powtórzył po raz trzeci i zamilkł. Sytuacja stawała się niezręczna, więc przedstawił się trochę zbyt głośno, jakby przeszkadzał mu jakiś pijany hałas lub stali w tłumie, na przepelnionym dworcu.

- Ksiądz Tadeusz Kwinto, przepraszam, jestem proboszczem, przyjechałem niedawno i... właściwie... czy moglibyśmy chwilę porozmawiać? Nie chciałbym... Usiąść i porozmawiać?

Chustka zawiązana mocno pod brodą zakrywała włosy, uszy i część policzków. Kobieta podniosła głowę. Wzrok miała jasny, bez wyrazu. Patrzyła mu prosto w oczy.

- Tak?

To ciągle było pytanie, ale Kwinto wziął ją delikatnie za łokieć i popchnął w kierunku zakrystii. Ministranci już wyszli.

Katarzyna nie potrzebowała pieniędzy, nie potrzebowała lekarstw ani pomocy lekarza, nie potrzebowała pocieszenia, wsparcia, towarzystwa, nie potrzebowała pytań, bo nie chciała mówić, a tym bardziej zwierzać się komukolwiek na jakikolwiek temat.

Kwinto zakładał, że tak właśnie będzie z płaczącą na mszach kobietą. Świat przestał dla niej istnieć, więc cóż mogła mu powiedzieć. Został jej w spadku tylko czas. Od przebudzenia do zaśnięcia oglądała jego wywleczone na wierzch wnętrzności. Choć może świat żył, bezczelnie istniał, tylko ją zdradził, nie zważając na zaufanie, jakim go obdarzała. To dla niego nie poddała się, chociaż Gdańsk się poddał, przeżyła, nie wiedząc dla kogo, i walczyła, mimo że wojna się skończyła, a przeraźliwa klęska miażdżyła Europę, jej żołnierzy, dzieci, psy, sędziów, katów, szczury, dziennikarzy i polityków. Atakowała wciąż nowe ofiary, nie odróżniając przegranych od zwycięzców i żywych od martwych.

Katarzyna nie mogła chcieć śmierci. Nie tylko dlatego, że umarło prawie wszystko, co do niej należało i co jej dotyczyło. Umarli nie muszą się przejmować umieraniem, a w każdym razie nie muszą bać się śmierci i nie muszą jej planować. Katarzyna nie mogła wybrać takiego rozwiązania z prostego powodu. Nosila w sobie dziecko. Chociaż ono też

było skazane na śmierć. Wydaje się, że w całej sprawie ostatecznego wyboru dokonał ten, kto wskazując na jej brzuch, powiedział:

- To niemożliwe! Wykluczone! Słyszysz? Nie możesz urodzić!

Katarzyna musiała żyć, nie miała wyjścia.

Jeśli czegoś potrzebowała, to więcej pracy, więcej zmęczenia i jak najkrótszych nocy.

Nie prosiła o nic, ale była wdzięczna księdzu, że pozwolił jej, po powrocie ze szpitala, sprzątać kościół, prać, szyć, cerować i haftować stuły i ornaty.

Po porodzie nic się nie zmieniło. Połóg trwał trzy dni. Do swego pokoju z kuchnią przyjęła sublokatorkę, która w zamian za mieszkanie pomagała Katarzynie przy dziecku. Po dwóch tygodniach Kwinto ochrzcił małego, nadając mu imiona Henryk Tadeusz.

Czas wolny od pracy w szpitalu Katarzyna spędzała na plebanii i w kościele, mając synka zawsze przy sobie. Zaczęła się uśmiechać, ale tylko do niego. Z czasem zaczęła mu śpiewać. Henryk był jej właściwym życiem, do którego nikt nie miał dostępu. Jej wybudzanie ze śpiączki Kwinto zinterpretował jako Boską interwencję, dokonaną za pośrednictwem małego Henryka. Koniec czterdziestego siódmego i rok następny to był również dla niego szczęśliwy czas, mimo że najbardziej aktywne parafianki skupiające się wokół Ludmiły Mielnik, repatriantki z Oszmiany, zaczęły okazywać księdzu zgorszone niezadowolenie z powodu opieki nad Katarzyną czy też pracy Katarzyny w kościele. Atmosfera psuła się na tyle, że Kwinto zaprosił panie na rozmowę. Siadły na brzegach krzeseł, nie zdjęły chustek z głów.

- Nasza łódka się chwieje i woda się do niej nalewa, bo nie wiosłujemy równo. Zaprosiłem panie, żeby porozmawiać. Powiedzieć szczerze, co leży na sercu.

Uśmiechały się niepewnie, patrzyły po sobie, wypychały wzrokiem Ludmiłę.

- Nic takiego się nie dzieje, życie doskwiera. Wielebny wie, że trudno związać koniec z końcem i komuna się panoszy.

Przy słowie „komuna” ksiądz położył palec na ustach.

Helena Studzianowa wydusiła z siebie zastępcze zdanie o kłopotach i wtedy pozostałe z ulgą ją wsparły. Były na niego złe, obrażone i zazdrosne o Katarzynę, ale teraz, oko w oko, pretensje stępiły swoje ostrze. Kochały swojego księdza, więc jedna przez drugą zaczęły narzekać na braki w zaopatrzeniu, gliniasty chleb, nędzne pensje mężów, wężących ubowców, którzy trzymają już trzeci dzień chłopaka Jadwigi Broniszowej, a ona od zmysłów odchodzi, bo już jednego syna straciła za okupacji litewskiej.

Ksiądz pocieszał, obiecał pójść do Broniszowej.

Sprawa jednak miała swój dalszy ciąg. Przed wakacjami czterdziestego dziewiątego



Andrzej Wronka, administrator apostolski diecezji gdańskiej, wezwał Kwintę do siebie. Uściskał go serdecznie i zaczął pośpiesznie mówić, jeszcze zanim usiadł.

- Obaj wiemy, jaka jest sytuacja. Codziennie proszę Boga o zwykłą dyktaturę, o skorumpowanego satrapę, który by nami bezwzględnie rządził, bez najmniejszych konsultacji. Cóż to byłby za raj w porównaniu z tym humanitarnym, a zarazem humanistycznym humanitaryzmem. Tak, ale nie o tym... raczej chciałem... obaj wiemy, że nie możemy dawać pretekstów. Pretekstów do uderzenia albo do czarnej kampanii. Pomówienia, plotki szkodzą Kościołowi bardziej niż represje. Ludzie są słabi, wielu czeka na byle pretekst, żeby porzucić Boga. Pozbyć się kłopotu i mieć święty spokój. Tak, wiem, w ten sposób prawdziwego spokoju ani pokoju ducha nie znajdują, ale oni o tym nie wiedzą. Jakiś ksiądz gra w karty, źle się prowadzi, każda plotka takim przestraszonym katolikom wystarczy, żeby ogłosić apostazję. Obaj wiemy, że to piękna kobieta. Zresztą to jeszcze nic. Obaj wiemy, że to Niemka. Dzisiaj ludzie idą siedzieć za współpracę z faszyzmem, bo przed wojną byli zwykłymi urzędnikami w starostwie. Wiem, Tadeuszu, jaka jest prawda z panią Brunek, mam do ciebie zaufanie, ale w tym wypadku nie o prawdę chodzi, tylko o bezpieczeństwo gdańskiego Kościoła, a przy okazji o twoją przyszłość. Dostałem kilogram donosów, że to twoje dziecko, chociaż łatwo obliczyć, że kiedy ona, kiedy to się stało, byłeś jeszcze w Grodnie. Rozwiąż ten problem, nie robiąc nikomu krzywdy. Bądź ostrożny, proszę cię po przyjacielsku.

Kwinto ucałował pierścień i nic nie zmienił. Nie potrafił nawet pomyśleć, co mógłby zrobić, co powiedzieć Katarzynie. Nie odważył się z nią porozmawiać. Bał się teraz bardziej. W rozmowach z ludźmi uważał na każde słowo, żart i gest. Kazania oderwał od rzeczywistości i przykłady czerpał z neutralnej literatury. Liczył, że ta ostrożność pozwoli mu żyć tak jak dotąd.

Żył tak jeszcze do końca wakacji.

Na początku września, rano, jeszcze przed mszą o szóstej, siedział w kuchni i parzył usta gorącą kawą zbożową, gdy przybiegła Katarzyna. Musiała biec szybko, bo nie mogła złapać tchu. Mimo to jej twarz była blada, zupełnie biała, a oczy wpadły w głąb czaszki i nie mogły się stamtąd wydostać.

- Zabrali go - wycharczała nieswoim głosem. - Zabrał mi go.

Rybitwy podniosły wrzask. Były głodne. Lubiły rano zbierać się na dachu plebanii przed wspólnym wylotem do portu, na żer.

- Co się stało? - W chwili gdy zapytał, zrozumiał, że Katarzyna mówi o synu.

- Na miłość boską, mów, kto? Kto ci zabrał dziecko? Trzeba na milicję...

- On. - Zaczęła się trząść i bezgłośnie płakać. - On. Ten oficer. Jego... ojciec.

Objął ją i mocno przycisnął do siebie. Po chwili zwolnił jedną rękę i zaczął gładzić Katarzynę po włosach. Nie wiedział, co jej powiedzieć. Wiedział, że powinien coś powiedzieć. Stał na granicy, choć nie wiedział, jaka to granica. Przytulił jej głowę do swojej. Poczł pod wargami cienką warstwę sypkich włosów, osłaniających skroń, i gwałtowny, przerażony puls.

Katarzyna jęknęła głośno i oderwała się od niego. Wybiegła, skamląc jak kopnięty pies. Kwinto zamarł. Osunął się na podłogę. Siedział i gryzł dłoń, aż słony smak krwi pozwolił mu przechylić się i położyć na czystych sosnowych deskach, wyszorowanych wczoraj przez Katarzynę ryżową szczotką.

## **Grzegorz Piotrowicz, śledztwo**

Grzegorz Piotrowicz, śledztwo

5 listopada

Trzydzieste trzecie piętro biurowca Warsaw Trade Tower, róg Towarowej i Chłodnej, w Warszawie, siedziba holdingu Pro Patria Consulting sp. z o.o. Wnętrze ascetyczne, stalowe szarości, matowa czerń, biel cynkowa, akcenty szafiru. Meble ultranowoczesne, szkło, naturalny kamień, afrykańskie drewno. Kilka abstrakcyjnych obrazów olejnych, niefiguratywna rzeźba z ogromnego bursztynu. Obsługa dyskretna, bezszelestna, w sterylnej przestrzeni brak nawet stukotu szpilek, w powietrzu unosi się powściągliwy czysty zapach.

Piąty listopada. Około drugiej po południu.

Obecni: prezes Pro Patrii Grzegorz Piotrowicz, lat 67, major Wojskowych Służb Informacyjnych w stanie spoczynku. Urodzony w czasie wojny we Włodzimierzu. Syn repatriowanych po czterdziestym piątym: szewca Teodora Piotrowicza i gospodyni domowej Walentyny z Hrećków. Zięć oficera sowieckiego Tomasza Bołójca, w latach czterdziestych jednego z szefów Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Bardzo szczupły, suchy, sylwetka wyprostowana, twarz skrzywiona w stałym grymasie, jakby jej właściciel cierpiał na niestrawność lub co godzinę dostawał wiadomość, że żona puściła go kantem. Głowa gładko ogolona, szkła z lekkiego, klejonego tworzywa, bez oprawek, jedynie delikatne zauszniki złotego koloru. Ubrany jak zawsze w granatowy garnitur, białą koszulę o niebieskawym odcieniu i czerwony krawat w popielaty wzorek. Szczęśliwie żonaty z absolwentką psychologii, niepracującą zawodowo od dwudziestu lat. Trzydziestoczteroletnia córka pracuje we Francji, zajmuje stanowisko średniego szczebla w sekcji finansowej francuskiego koncernu telekomunikacyjnego. Syn, młodszy o dwa lata, fotografik, związany z dużą agencją

fotograficzną, autor cenionych albumów. Piotrowicz uważany jest za człowieka śmiertelnie logicznego, dostrzegającego najdrobniejsze szczegóły i okoliczności, wyrozumiałego dla ludzi popełniających błędy, pod warunkiem że nie są jego współpracownikami, a błędy nie dotyczą jego spraw. Do roku 1990 podwładny Józefa Harsynowicza.

January Gorczał, lat 47, ekonomista po uniwersytetach w Heidelbergu i Londynie, syn Krzysztofa Gorczała, od końca lat sześćdziesiątych pracownika Narodowego Banku Polskiego, w latach dziewięćdziesiątych zastępcy Generalnego Inspektora Nadzoru Bankowego, matka Małgorzata z domu Gerbert, dziennikarka „Życia Warszawy” i tygodnika „Polityka”, organu KC PZPR. Nieco bezbarwny, zawsze w tle bardziej dynamicznych rówieśników, ale inteligentny, ambitny, pełni obecnie funkcję wiceprezesa zarządu Banku Dominium. Żona Angielka, prawniczka, partnerka w kancelarii Cameron McKenna, dwoje dzieci, oboje w szkole prowadzonej przez Opus Dei. Gorczał ze znanostwem dba o formy i protokół. W tych kwestiach bywa dość zasadniczy i pedantyczny. Odczuwa jednak niepowstrzymaną sympatię do ludzi, którzy nie wiedzą, jak jeść małże, jakie zaproponować do nich wino, jakie sztuczki podać i jak je ułożyć.

Daniel Talster, doradca inwestycyjny, 43 lata, absolwent Szkoły Głównej Handlowej, syn Jakuba, prezesa jednej z central handlu zagranicznego w czasach PRL, i Bronisławy Wolskiej, profesora prawa, wnuk Bolesława Talstera, w latach czterdziestych agenta sowieckiego wywiadu wojskowego INO w Stanach Zjednoczonych, później dziennikarza i dyplomaty PRL. Samotny, bezdzietny, emanujący drażniącym spokojem i pewnością siebie, w stylu ocierającym się momentami o prowincjonalne aktorstwo. Nosi ostentacyjnie drogie ubrania w stylu elegancko-luźnym i nadużywa kosmetyków. Namiętny kolekcjoner kobiet, gustuje zwłaszcza w studentkach pierwszych lat, pochodzących z głębokiej prowincji. Jeździ porsche cayenne z kratką, dzięki czemu odliczył przy zakupie podatek VAT. Ostatnio dowiedział się, że ten model kupuje się raczej żonie i rasowemu mężczyźnie nie wypada prowadzić go na stałe.

Podkomisarz Tomasz Górski, emerytowany policjant z Centralnego Biura Śledczego, syn Stanisława Mola, rolnika z powiatu tuchowskiego, i Genowefy Górskiej, nauczycielki, obecnie konsultant w dziedzinie bezpieczeństwa obrotu gospodarczego, lat 57, rozwiedziony, troje dzieci. Wysoki, wysportowany, czuły na punkcie swojej tężyzny i męskości. Okulary do czytania wkłada z widocznym skrępowaniem i tylko w sytuacji wyższej konieczności. Utrzymuje silną pozycję w policji, mimo że odszedł na emeryturę już parę lat temu. Wpływy zawdzięcza talentowi do unikania konfliktów oraz korporacyjnej lojalności, którą zawsze przedkładał nad inne zobowiązania. Znany z występowania w mundurze milicyjnym na

prywatnych uroczystościach organizowanych w środowisku policjantów. W jego pokoju służbowym do ostatniego dnia urzędowania wisiały proporce i inne insygnia z okresu PRL. Lubił powtarzać: na służbę wstępowałem do milicji i jestem lojalny. Namiętny oglądacz filmów, posiadacz ogromnej kolekcji kaset wideo oraz DVD, uwzględniającej także wydania pirackie.

W gabinecie Piotrowicza obecny był także adwokat Ksawery de Vernon, pochodzący ze znanej prawniczej rodziny, oraz jego przyjaciel, G.Cz., generał w stanie spoczynku, związany z cywilnym kontrwywiadem od końca lat siedemdziesiątych.

Jak najbliżej mecenasa starał się przesunąć swoje krzesło lobbysta Mariusz Ziemilski.

Prezes stał za biurkiem, ze słuchawką przy uchu.

- Tak, proszę łączyć. Dzień dobry, profesorze. Jak szanowne zdrowie tak cenne dla kraju?

- Ja? Dziękuję. Zgłoszę się, tak. Jeśli mój mocz jest niezbędny, oczywiście przyniosę. Ile litrów?

-

- Tak, dzwonię właśnie w tej sprawie. Skrótowno, rzecz jasna, tylko najważniejsze...

-

- Dla Harsynowicza, oczywiście, miał zażywać, tak, wszystko zrozumiałem. Ukłony dla pana, profesorze, wraz z wyrazami stałego uwielbienia dla pięknej małżonki.

Grzegorz Piotrowicz rozmawiał odwrócony plecami do zebranych. Patrzył nieuważnie przez panoramiczne okno na siny pejzaż, przyklejony nierówno do jałowego nieba. Miasto wyglądało jak ogromne ranne zwierzę leżące nieruchomo z tysiącami ofiar w pysku. Dopiero zmrok miał uruchomić świetlny krwiobieg w jego cielsku.

Major był rozdrażniony. Ostatnio coraz częściej męczyło go natrętne wspomnienie z dzieciństwa, a szczególnie powojennego przyjazdu do Warszawy. Przy okazji przyplątywały się sceny z rodzinnego miasta oraz masa pozbawionych znaczenia drobiazgów. Wspomnienia pojawiały się, mimo że ich nie lubił. Dzisiaj znowu zaskoczyły go chaotyczną serią obrazów, a on z niezrozumiałych powodów nie dawał sobie z nimi rady. Pocieszał się, że to chwilowa jesienna słabość i przejściowy brak koncentracji. Wilgoć, pomyślał, krótki dzień, mało słońca. W styczniu będzie lepiej, przyjdzie mróz i... nie... nic z tego, nie odejdę na emeryturę. Po moim trupie!

- To przykre, co powiem, tak... Profesor, no, Edek Toruński, twierdzi, że naszemu przyjacielowi zagraża dość poważne niebezpieczeństwo. Owszem, po badaniach i konsultacjach zalecił mu zażywanie pewnych nowoczesnych leków, mających za zadanie

trzymać jego organizm w ryzach. Niestety stracił z pacjentem kontakt. Nie można więc wykluczyć, że jego podopieczny niefrasobliwie przerwał leczenie. Jeśli tak, dla jego zdrowia może to być... - zastanowił się nad właściwym sformułowaniem - nader niekorzystne. - I dodał już pewniej: - Nawet niebezpieczne. Cóż... miejmy nadzieję...

Zawiesił głos, dając współczuciu rozwinąć żagle, przynajmniej kliwer albo latacz.

- Przejdźmy do opisu sytuacji. Bardzo proszę, trzymajmy się, jak zwykle, twardych informacji. Domysły i interpretacje zachowajmy na później. Szanujmy swój czas i inteligencję. Panie Danielu, proszę, niech pan zacznie.

- Dziękuję, panie prezesie - doradca uśmiechnął się. Wiedział, że pracują nad ważną sprawą. Miesiąc temu wydawała się śmiesznie prosta, teraz jednak zaczęła niepostrzeżenie zmieniać się w denerwującą zagadkę, budząc coraz większe emocje i wymykając się spod kontroli. Nie był pewien, czy wywołanie go na początku spotkania to dowód zaufania, czy przeciwnie, wynik założenia, że jest słabym ogniwem kordonu i nic szczególnego nie ma do powiedzenia. Nie przejmował się tym, nie przyszedł na dzisiejsze spotkanie z pustymi rękami.

- Z posiadanych przeze mnie informacji wynika, że Henryk Harsynowicz jest jedynym założycielem fundacji zarejestrowanej w Luksemburgu pod nazwą Larix. Wszystko wskazuje na to, że fundacja przejęła kontrolę nad jedną lub, tego jeszcze dzisiaj nie wiemy na pewno, dwiema spółkami. Sprawdzam te informacje.

- Wszystko, to znaczy co konkretnie? - zapytał niezbyt uprzejmym tonem de Vernon.

- Na przykład wysokość kapitału firm, który porównujemy z majątkiem fundacji i ze spadkiem po pułkowniku. - Analityk spojrział na adwokata pytająco, ale ten milczał. - Spółka, o której istnieniu wiemy na pewno, nazywa się Helios sp. z o.o. i zarejestrowana jest na Kajmanach. W związku z tym, że Larix wniósł również do Heliosa papiery wartościowe, w tym posiadane akcje spółek, zakładamy, że akcje Dominium znajdują się lub mogą się znajdować w tym pakiecie. Uczestnikiem tej konstelacji jest również szwajcarska firma inwestycyjna, właściwie firemka, bo to dwóch spryciarzy działających według zasady: włożyć milion, wyjąć dwa i zatrzeć ślady. Ci chłopcy posiadają jakoby pełnomocnictwa od Heliosa na sprzedaż części aktywów i weszli w kontakt z zainteresowanymi klientami. Między innymi z Concordią. Ze swej strony staramy się usiąść ze Szwajcarami do stołu albo położyć się do łóżka. Robimy wszystko, co w naszej mocy.

- Widzę, że skłonności literackie pana nie opuściły. Rozumiem, że nie jesteśmy w stanie rozpocząć negocjacji w sprawie zakupu.

Daniel Talster nie oczekiwał pochwał, ale miał czyste sumienie, wiedział prawie wszystko o operacjach Harsynowicza. Piotrowicz mógłby to zauważyć.

Prezes skrzywił się.

- Jestem tym stanem rzeczy zaniepokojony, naprawdę zaniepokojony. Pan prezes Gorczał?

Gorczał odruchowo poprawił krawat i wygładził jakiś papier leżący przed nim na stole.

- Chcę zaznaczyć, że według moich analiz, gdyby doszło do negocjacji, powiedzmy, w ciągu dwóch tygodni, a nic się nadzwyczajnego w tym czasie nie wydarzyło, mogą panowie poruszać się swobodnie do wysokości ceny za akcje, powiedzmy, wyższej o piętnaście procent niż wczorajsze notowanie. Gdyby to nie wystarczyło, by zawrzeć umowę, to, moim zdaniem, czysto ekonomiczne walory zakupu zostałyby zredukowane do absolutnego minimum.

Gorczał był wyraźnie zadowolony ze swojej precyzyjnej i skondensowanej wypowiedzi.

- Dziękuję, to ważna informacja - wrócił do głosu prezes. - Czy pan, generale, chce coś dodać, czy się mylę?

Generał dotknął wąsów i rzucił krótkie spojrzenie każdemu ze zgromadzonych z osobna. Nie omieszkął zaznaczyć na wstępie swej specjalnej pozycji towarzyskiej.

- Owszem, Grzegorzu. Otóż dowiedziałem się z pewnego źródła, że Concordia to zarejestrowana na Cyprze spółka kontrolowana przez Palewicza i Skansky'ego. Ci dwaj, jak wiemy nie od dzisiaj, to w praktyce nasi dawni radzieccy sojusznicy, a obecnie wszechstronni, by tak rzec, fitosanitarni przyjaciele. Mimo tej zależności, przy mniejszych transakcjach, Palewicz i Skansky posiadają niewielkie pole manewru. Nie ukrywam, że ich operacja przejęcia akcji w naszym banku może zostać właśnie tak zakwalifikowana. Albo w ten sposób będzie się tłumaczył Palewicz z kumplem, jeśli szybko i po cichu pchną nasz pakiet Chińczykom. Nie meldując wcześniej, rzecz jasna, chłopakom z Petersburga, co zamierzają zrobić.

Ziemilski usiłował coś powiedzieć, ale prezes powstrzymał go podniesieniem dłoni.

- Najpierw komisarz Górski - powiedział zimnym głosem. - Wciąż mam nadzieję, że dogadamy się z naszym marnotrawnym synem. Dowiedzieliśmy się o nim w końcu czegoś konkretnego?

Podkomisarz otworzył wąską aktówkę, wyjął plik kartek i obrzucił wzrokiem zebranych. Po innych spodziewano się złych informacji, od niego oczekiwano rozwiązania problemu. Zazwyczaj czuł się w takich sytuacjach jak ryba w wodzie.

- Panowie, podam tylko fakty, żadnych przypuszczeń, hipotez, suche fakty i akty.

Chrząknął, by zaznaczyć, że błysnął dowcipem i erudycją filmową. Bez efektu wszakże, nastrój był ciężki.

- Więc jadę po kolei. Najpierw Barbara Wesołowska, przyjaciółka naszego bohatera. Zawieźliśmy ją wczoraj do hotelu, w którym H.H. zatrzymał się w Gdańsku. Sama jakoś nie mogła się wybrać. Spotkali się w holu, niezbyt wylewnie przywitali i poszli bez słowa do jego pokoju. Według relacji Barbary kolację zjedli w numerze, wypili butelkę trapiche, to dość tanie wino jak na możliwości Harsynowicza, przepraszam, to nieistotna informacja. Poszli do łóżka. H.H. planował zostać w Polsce jeszcze dwa, trzy dni. Co ma się stać potem, nie była pewna. Wspominał o Niemczech i o Kanadzie. Ona miała poczekać, aż coś załatwi. Na co miała czekać, też nie potrafiła wyjaśnić. Rzeczy H.H. zostały w pokoju. No i... teraz rzecz trochę nie tego... Harsynowicz gdzieś się nam chwilowo zawieruszył. W pokoju zostało wszystko, kosmetyki, ubrania, laptop. W komputerze znaleźliśmy rezerwację lotu do Frankfurtu. Także bilet powrotny, za dwa dni. Sprawdziliśmy, samolot wyleciał z kompletem pasażerów. Ale, prawdę mówiąc, nie mamy dowodu, że na pokładzie... tak, no właśnie. W tym samym czasie Barbara przestała do nas dzwonić. Wcześniej byliśmy w kontakcie. Dzwoniła co godzinę. Lokalizacja jej komórki wyświetlała nam się na ekranie komputera, wszystko grało.

- Kiedy przestała się wyświetlać? - zapytał generał G.Cz.

- W ogóle nie przestała. Telefon znaleźliśmy wcisnięty za siedzenie taksówki, dźwięk miał wyłączony, jeździł sobie cichutko po Gdańsku. A my za nim. Szukamy tej suki Wesołowskiej i znajdziemy. Zrobimy jej powtórkę z wyzwolenia Gdańska przez Armię Czerwoną.

- Miały być suche fakty, a pan ogłasza zamiar popełnienia przestępstwa, komisarzu. I to wielokrotnego. Czy to możliwe, żeby wyjechali razem, że się tak wyrażę, w nieznaną?

Wszyscy wiedzieli, że Piotrowicza drażnią bufoni, zwłaszcza nieudolni bufoni. Nieudolni bufoni usiłujący nieudolnie ukryć swoją nieudolność tanią bufonadą. Wiedzieli również, że major od lat miał słabość do tego prostolinijnego, wiernego policjanta, ale teraz wyglądał na wściekłego, zdecydowanego, by szybko kimś komisarza zastąpić. Kłopot polegał na tym, że nie lubił współpracować z ludźmi dużo młodszymi. Piotrowicz otrząsnął się. Zaplątała mu się w głowie melodia z M jak miłość. Żona namiętnie oglądała ten serial i nie pozwalała z niego żartować, nawet niewinnie. Jednak się starzeję, to fakt, pomyślał. Wpadał w coraz większe niezadowolenie.

Policjant grzebał w notatkach.

- Przepraszam, już mówię, co jeszcze wiemy.

Ktoś, kto go nie znał, mógłby odnieść wrażenie, że jest zdenerwowany. Zebrani cierpliwie otwierali wodę mineralną Perrier i moczyli usta w ostygłej kawie.

- Mam. - Ucieszył się Górski. - Przepraszam. Mam obsługę hotelową i parę innych osób, które miały z nim kontakt.

Recepcjonistka: „Wezwałam taksówkę dla klienta o nazwisku Henryk Harsynowicz, mam to w komputerze, na dziewiątą piętnaście. Zszedł trochę wcześniej, uregulował rachunek. Nie, nie był zdenerwowany, nie zachowywał się dziwnie, zresztą nie wiem, nie znam tego pana, spał u nas trzy noce, to wszystko. Żartował w sposób typowy dla mężczyzn w jego wieku, wie pan, zamożnych facetów po sześćdziesiątce, którzy już wiedzą, że nie zdążyli, i tu można przytoczyć długą listę, czego nie zdążyli i nie zdążą”.

Taksówkarz, kurs Hilton - lotnisko w Rębiechowie: „Klient ubrany był w brązowy miękki kapelusz, długi zielony płaszcz, a cały bagaż to była skórzana teczka, niezbyt wypchana. Lekka. Chciałem ją włożyć do bagażnika, ale nie pozwolił, wołał mieć przy sobie. Ten klient mówił, zaraz jak wsiadł, że leci do Berlina podłożyć ogień pod Reichstag. Zaśmiał się, jak to powiedział. O co tu chodziło? Nie wiem. Nie wyglądał na terrorystę. Twarzy nie pamiętam, kapelusza w aucie nie zdjął. Przeciwnie, jeszcze bardziej nasunął na czoło. No, drzemał”.

Helena Jundziłło: „Pan Henryk Harsynowicz odwiedził mnie w domu, jeden raz. Pytał, czy może jeszcze przyjść, zgodziłam się. To było wczoraj. Wizyta trwała cztery godziny. Drugi raz się nie pojawił. Mówi pan, że pan Henryk zaginął? To musi być nieporozumienie. Jest dokładnie odwrotnie. On był wcześniej, przez wiele lat zaginiony, nawet sam siebie zgubił. I nieoczekiwanie, po pół wieku, wszystko powoli się odnajduje, wyjaśnia. I właśnie, z Bożą pomocą, pan Harsynowicz sporo odnalazł. Między innymi siebie już prawie odnalazł, tak mi się wydaje. I matkę. Choć matkę fizycznie jeszcze musi znaleźć. To naprawdę wielka rzecz. Liczę, że mu się powiedzie. Zasłużył na to. I mam nadzieję, że serce mu wytrzyma”.

Tadeusz Kwinto: „Cieszę się z wizyty panów. Będę miał co wspominać przez miesiąc. Pan Henryk? To prosta sprawa. On podróżuje w czasie, odbywa sentymentalną podróż w krainę dzieciństwa. Dzieciństwa nie tyle odległego, zapomnianego, ile... tego, które dla niego nie istniało. Nie istniało w świadomości, bo obiektywnie istniało jak najbardziej. Los dał mu bilet na takie Nielimitowane podróże. Szczęśliwy los. Jak w totolotku. Dotąd trafiał trójkę i wygrywał parę złotych na następny kupon. Tym razem trafił szóstkę i próbuje zrealizować czek. Innymi słowy, to takie dzisiaj modne szukanie korzeni. Staralem się mu pomóc, chociaż pamiętam piąte przez dziesiąte. Wy, młodzi panowie, pamiętajcie, że życie to produkowanie



przyszłych wspomnień. Co wyprodukujesz, to będziesz wspominał. Wspominanie zazwyczaj trwa dłużej niż ten wcześniejszy czas, czas nibywłaściwego życia. Więc uważajcie, panowie, jaki repertuar wspomnień sobie szykujecie”.

- Chrzańił i chrzańił, a zakonnica chciała chłopców otruć jakimiś ziółkami. H.H. był w klasztorze 3 listopada, po południu, trzy godziny. Następnego dnia był krócej, przed obiadem, między dwunastą a pierwszą po południu. Szkoda gadać, starość to smutna pora. - W ostatniej chwili policjant ściszył głos i rozejrzał się z zakłopotaniem. Nikt na niego nie patrzył, więc mówił dalej: - Ta Jundziłło opowiadała mu o Gdańsku i młodych latach. Moim zdaniem nic o H.H. nie wie. To samo księżulo.

Mam jeszcze pana Stefana z Solidarności. Ten dziadyga dał chłopakom czadu. Wylegitymował policjantów i próbował ich przesłuchać. Taki szary safandula. Pytał bez przerwy i notował każde słowo. Gdy stracili cierpliwość i zmienili ton na bardziej uprzejmy, to on pokazał im maleńką kamerkę. Bezpośrednia transmisja do mojego kumpla, powiada, mam nadzieję, że wypadliście dobrze, bo w YouTube to puścimy.

I na zakończenie meldunek naszych starszych braci w wierze, z warszawskiej komendy. Mają Edmunda Zbrojkiewicza, kierowcę wożącego H.H. Przy zatrzymaniu było nerwowo. To były komandos. Jechał niestety sam. W bagażniku znaleźli zielony płaszcz marki Burberry i brązowy kapelusz. Twierdził, że to jego szefa. Miał ze sobą również to - komisarz podał prezesowi kopertę zaadresowaną do de Vernona.

- Co to jest? Co mi pan daje, do cholery? Tu nic nie ma!

Prezes wyjął z koperty czystą kartkę papieru i przypatrywał się jej z nieukrywaną wściekłością. Zebrani zrozumieli, że sprawa kontroli nad pakietem D akcji Banku Dominium S.A. wkracza w fazę ryzyka nadzwyczajnego i trzeba na to konto utworzyć rezerwę z własnych planów życiowych.

- Pozwoli pan? To w końcu list do mnie. - De Vernon wstał sprężyście z fotela i wziął z rąk Piotrowicza kopertę wraz z jej ubogą zawartością.

- Kierowca, ten Zbrojkiewicz, panie prezesie, nic nie mówi, stawia się. Czekają na dyspozycje.

Podkomisarz wyraźnie się męczył i swoim brakiem opanowania zaczynał krępować zebranych mężczyzn. Nie chodziło o współczucie, raczej o niechęć do oglądania z bliska czyjejś agonii.

Piotrowicz zasłonił twarz dłońmi i chwilę rozcierał skronie. W tym samym momencie w gładką taflę biurowca cheiwie uderzył całun ciemności. Jednak to jeszcze nie był ostateczny atak. Listopadowy dzień był wprawdzie krótki, trwał zaledwie dziewięć godzin i

dwadzieścia trzy minuty, ale światłość wciąż broniła się ostatkiem sił. Przed ciemnością szedł wiatr i próbował zdeptać resztki spraw dziennych i wyciągnąć na wierzch ich nocną wersję. Przywłókł się znad buroszafirowej rozkołysanej wody Zatoki Gdańskiej, zimnych plaż i opuszczonych portowych nabrzeży. Był słony, gwałtowny i głodny. Gdy dopadł Warszawy, miotał się i szarpał we wszystkie strony, jakby miasto w czymś zawiniło i nie sposób było mu wybaczyć.

Czujniki płynnie zwiększały ilość luksów w budynku, więc żaden z gości Grzegorza Piotrowicza nie zauważył pochodu ciemnych godzin, walki wiatru ani innych znaków gorejących lub gasnących na niebie i ziemi. Nie zaniepokoiło ich również to, że od dawna nie widzieli żadnych znaków. Dzisiaj również słyszeli tylko zwykłą rozmowę, potem płacz i zgrzytanie sunącej przez kosmos szybkiej windy, piekielne dudnienie podziemnego parkingu i skwierczenie jarzeniowych lamp na niskim suficie. Rozeszli się do swoich samochodów. Generał szedł obok mecenasa.

- Znasz mnie dobrze, Ksawery, wiem, co to służba, dyscyplina, lojalność. Mam jednak wrażenie, że biorę udział w dyskretnie zaaranżowanym przedstawieniu. Może niezłym, ale jednak nie o to chodzi w naszym kółku dramatycznym. Nie zauważyłeś tego? Trudno uwierzyć, żeby prezes nie wiedział, gdzie zaległ Harsynowicz. Po co ta gra? Nie ufa nam? Z sytuacji wynika, że niektórym z nas na pewno. A może chodzi o coś zupełnie innego? O zupełnie nową sytuację? Zastanawiam się, czy zachowanie Grzegorza to oznaka starości, czy może jeszcze coś gorszego. Ktoś inny dyskretnie przejął kontrolę nad interesem, podejmuje decyzje, a Grzegorz tylko pełni honory domu? Na starość często używa się człowieka tylko do dekoracji. Ku obopólnej radości. Mówię szczerze, co myślę.

- No tak. - De Vernon nie zajął wyraźnego stanowiska. - Domyślam się, co chcesz powiedzieć. Aczkolwiek muszę zaznaczyć, że jestem starszy od Grzegorza o dwa lata.

De Vernon słuchał generała nieuważnie. Już od mniej więcej połowy spotkania myślał w roztargnieniu, czy nie popełnił błędu, wysyłając do Niemiec list, który znalazł zaraz po śmierci Józefa Harsynowicza w jego sejfie. Zrobił to w idiotycznym odruchu, którego przyczyny nie mógł dzisiaj zrozumieć. Owszem, nie omieszkał sprawdzić, co zawiera koperta zaadresowana do Kateriny Brune, zamieszkałej w Eisenach na terenie Freistaat Thüringen. Był w niej plik zdjęć Henryka z różnych lat, a między nimi i to zrobione na zamówienie Józefa w Kanadzie, ponad dwa lata temu. Męczyło go to, że nie wspominał o wysłanym liście Grzegorzowi Piotrowiczowi.

- Z całym szacunkiem, Ksawery - odpowiedział generał. - On jest szefem. Wobec szefa wymagania są inne. Na tym polega problem. Ale mam nadzieję, że my, jak za dawnych

lat, gramy dalej w jednej drużynie. Świat nie może się skończyć ot tak ni stąd, ni zowąd, kiedy mu przyjdzie ochota. Bez naszej wiedzy i zgody. A nawet gdyby mu przyszła ochota, to na taką ewentualność powinniśmy być przygotowani i zachować wiarę. I solidarność.

Volvo jak szałwiarz spod wody wyskoczyło z podziemnego parkingu na ciemną ulicę. Mecenas poczuł uderzenie wiatru pomiatającego miastem. Mimo że siedział w samochodzie ważącym niemal dwie tony, odruchowo chwycił kierownicę mocniej, obiema dłońmi.

W kancelarii przejrzał pocztę, następnie rozmawiał z jednym ze swoich najbliższych współpracowników. Po spotkaniu wyjął z szuflady komórkę i wybrał numer.

- Ksawery, witam.

-

- Dziękuję, Grzegorzu, pełnomocnictwo na walne Dominium otrzymałem, wszystko w porządku. Myślę, że powinniśmy się zobaczyć. Tak. Na chwilę. Generał, tak, tak. O nim chciałem pomówić. Chyba chłop się starzeje, w każdym bądź razie zwieracze już nie te.

-

- Cóż, każdy bohater ma swoją cenę i każda cena znajdzie swoją ofiarę. Dzisiaj o dwudziestej? Nie chciałbym zwlekać. Czas to zdolna bestia i zawsze aspiruje do jednej z głównych ról. Aaa, przy okazji, słyszałem, że Barbara się odnalazła?

-

Gdy się rozłączył, mrucał do siebie w zamyśleniu:

- Już nie ma o czym mówić... już nie ma o czym mówić... Hmm... tak... Barbara... Nadzwyczajnej urody córka bogatego poganina Dioskora, ścięta za wiarę podczas prześladowań chrześcijan za panowania cesarza Maksymianusa Galeriusza. Od pewnego czasu czczona tylko lokalnie, gdyż nie ma pewności, czy istniała.

## **Józef Harsynowicz**

Józef Harsynowicz lata czterdzieste XX wieku

Józef Harsynowicz po raz pierwszy przyszedł do wojskowego szpitala dla krasnoarmiejców w Gdańsku pod koniec czerwca 1945 roku. Salową Katerinę Brune zauważył, gdy już opuszczał szpital, spętany wściekłością i upokorzony spotkaniem z majorem NKWD, Lisinem. Pijany Matwiej Aleksandrowicz Lisin miał obie ręce okutane grubymi opatrunkami, więc w mordę dać nie mógł, ale rycząc jak ranny niedźwiedź, nawymyślał Harsynowiczowi od szczeniaków i tępych Polaczków, a następnie zabronił przychodzenia do niego do szpitala pod jakimkolwiek pozorem. Dzień, krzywo otwarty, kulawo się rozwijał. Dłużył się i gnoił jak zakażona rana. Zamiast szybko i bezboleśnie się

zabliźnić, nieustannie rozpoczynał swoje parszywe dzieje od nowa. Układ Słoneczny zaciął się jak czarna porysowana płyta i Harsynowicz, wraz z kręcącą się bez sensu kulą ziemską, nie mógł się doczekać na czysty wieczór, wolność ostatniej setki i sąd ostateczny spokojnego snu.

Sześć dni zajęło podporucznikowi: znalezienie mieszkania dla Kateriny Brune, wyrobienie Niemce polskich dokumentów na nazwisko Brunek, imię Katarzyna, przeniesienie do cywilnego szpitala pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny i przekwalifikowanie z salowej na pielęgniarkę. Siódmego dnia wstąpił w bramy raję. Wstąpił ostrożnie. Owocu nie zerwał i nawet nie skosztował. Zorientowawszy się, co Katarzyna przeszła w ruskiej bolnicy[98], postanowił chwilę zaczekać, licząc na obfitą nagrodę od jasnej strony życia. Miał nadzieję, że zazna anielskiej słodyczy, więc odsunął pokusę szybkiego wypicia brudnej szklanki zimnej krwi. Był młody, ale myślał o sobie jak czterdziestoletni stary kawaler, znudzony podróżami i wyczerpany życiem, który zauważył w sąsiedztwie nieoszlifowany diament i natychmiast postanowił się ustatkować. W konkury ruszył niezwłocznie, ale bez pośpiechu, wierząc, że inni kandydaci nie są w stanie przebić rangi jego nazwiska i kalibru majątku.

Harsynowicz nie całkiem się pomylił. Katarzyna Brunek była jego pozaziemskim wytchnieniem, miękko milczącym, mimo że błyskawicznie opanowała język polski. Nie zamieszkał u niej. Był pewien, że wspólne mieszkanie uruchomiłoby wytrawny węch gorliwych donosicieli, wyzwoliło pragnienie gwałtownego awansu i chlebowych odznaczeń u fanatyków z bezpieczeństwa wewnętrznego i kontrrazwiedki[99], u wrogów zaś zmianę strategii z neutralnej na ofensywną, a jego samego zmusiłoby do upokarzającego tłumaczenia się i natychmiastowego zerwania z cenną branką. Tak czy inaczej Katarzyna była bardziej kasynem z ruletką niż spokojną przystanią. Niewątpliwie należała do elementów z kategorii niepewnych, nawet wrogich i obcych klasowo, a narodowościowo była najgorszą z możliwości. Przy odrobinie dobrej woli mogła być uznana za faszystowską piątą kolumnę i w rezultacie pociągnąć za sobą wszystkich, którzy się z nią kontaktowali lub o nią otarli, przed lufę dobrze naoliwionego, siedmiostrzałowego nagana, kaliber 7,62. Mimo to spędzał u niej wszystkie wolne wieczory i starał się nie myśleć, jakie niebezpieczeństwa mogą wyniknąć z tego beznadziejnie ckliwego dekownictwa.

\*

Pięćdziesięciokonny silnik niebieskiej победы wznosił się na kosmiczną orbitę osiągow, zaprojektowaną precyzyjnie przez inżynierów i konstruktorów sowieckich, pracujących pod kierownictwem Andrieja A. Lipharta. Inżynier Liphart, wypuszczając z

taśmy w Gorkim 11 czerwca 1946 roku pierwsze egzemplarze seryjnego modelu победы, jeszcze nie wiedział, że jest kosmopolitą i należy do bandy potworów i morderców, którzy depczą święty sztandar nauki i kryją się pod płaszczykiem szanowanego i szlachetnego zawodu lekarza i badacza. Dzięki temu, w końcu lata 1949 roku, służbowe auto kapitana Harsynowicza, jęcząc na trzecim biegu, lawirowało siedemdziesiątką między dziurami i wyrwami drogi łączącej Warszawę i Gdańsk. Niezatrzymywane, minęło ostrożnie kolumnę ciężarówek Armii Czerwonej, posterunki Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Milicji Obywatelskiej, by wypłynąć na wilgotny przestwór mazowieckiej równiny.

Józef drzemał. Dryfujące strzępy ostatnich dni atakowały czaszkę, usiłowały ją przebić i skatować jego mózg. Mgła, wymieszana z dymem palonych łątów ziemniaczanych, snuła się nisko między krowami i zgiętymi w pałąk, krzątającymi się ludźmi. Gdzeniegdzie łąza ognia ściekała na ciemną ziemię i bladymi błyskami czerwieniła rzędy krzewów biegnących wzdłuż miedz i nierównych ściegów strumieni. Młode drzewka stały porzucone wzdłuż drogi.

- Nie urwij kół, tłumoku - mruknął kapitan do kierowcy.

- Tak, toczno, towarzyszc kapitan. Jedu ostorożno[100].

Ci kretyni, pomyślał Józef Harsynowicz, utłukliby z przyjemnością najlepszych świadków. Rzecz szła o pułkownika Adama Szymańskiego z przedwojennej Dwójki, katowanego przez Humera bez sensu i rezultatu. Idiota by się zorientował, że ten sanacyjny fanatyk woli umrzeć w mękach, niż mówić. Zdradzić. Jakby miał jeszcze kogo lub co zdradzać. Harsynowicz kazał go sobie przyprowadzić. Pułkownik był już muzułmanem. Twarz nie przypominała twarzy, dłonie zwisały zmasakrowane jak u stracha na wróble, strażnicy, trzymając pod pachy, ciągnęli go na przesłuchania, bo więzień nie mógł już stanąć na odbitych stopach.

Kapitan kazał wyjść strażnikom i protokolantowi. Ostrożnie pomógł więźniowi napić się herbaty, którą uprzednio obficie posłodził. Pułkownik pił cicho, jęcząc. Całą świadomością był poza więzieniem. Wszystko, co go tworzyło, opuściło już Rakowiecką i, sądząc z życiorysu, przebywało w podtarnowskiej wiosce, w parterowym drewnianym domu ze skrzypiącymi podłogami i spiżarnią wypełnioną wędzonką, serami i przetworami, szczególnie powidłami i ciemnymi konfiturami z wiśni. Za domem i pasem starych jabłoni siedział nad stawem drobny chłopiec i łowił karasie. Ten kretyń Humer tego nie zauważył? A jego szefowie, Fejgin i reszta ferajny? W celi siedział skatowany organizm, a duch hulał po Lisiej Górze, gdzie znał każdy kąt i wypróchniałą wierzbę.

Ale uwięzione ciało pożądało życia, rozpaczliwie pragnęło przetrwać. Biologiczna siła

jeszcze się nie wyczerpała. Jego doskonale zaprojektowane części jeszcze działały i chciały nadal ze sobą współpracować, pompować, przetwarzać i zasilac. Pułkownik trwał zawzięcie w oporze i trzymał się kurczowo myśli o śmierci, ale trzustka, śledziona i krew ciągle miały nadzieję na odmianę losu. Kapitulacja nie mieściła się we wzorze ich istnienia, w precyzyjnym systemie ich współdziałania. Kapitan wiedział, że musi wykorzystać tę wolę przetrwania. Musi dać osłabionemu mózgowi więźnia jakikolwiek pretekst. Wystarczy niewielkie wsparcie dla sił przeciwnych śmiercionośnemu uporowi oficera. Wtedy zbuntowane ciało nie pozwoli mu bezsensownie odejść. Użyje go dla swoich celów. Bez zastanowienia poświęci honor pana pułkownika, żeby uratować siebie, żeby ocalić nerki, czaszkę, oczy i kod genetyczny. Zabije, żeby przeżyć.

Harsynowicz zbliżył usta do zakrwawionego ucha Szymańskiego i powiedział szeptem:

- Jesteśmy sami. Odesłałem ich. Niech się pan nie boi. Naprawdę, proszę się nie bać. Chcę pomóc, uratować. Czasu jest mało, bardzo mało. Plan jest taki. Poproszę, żeby mi przekazano pańską sprawę. Razem ustalimy, co powie pan do protokołu, tak żeby nikt nie ucierpiał, a co pozostanie w tajemnicy. Sypnie pan martwych lub emigrantów. Postaram się poprowadzić sprawę tak, żeby była odsiadka, nie czapa. Więcej nie mogę zrobić. Musi pan żyć. To ważne dla Polski. Rodziną też się zaopiekuję. Jeśli pan się zgadza, proszę skinąć głową.

Samochód wpadł w głębszą dziurę i Harsynowicz uderzył skronią w boczną szybę.

- Niech cię szlag! Zatrzymaj!

Zapalił i przechadzał się wzdłuż pustej drogi, pokonany przez pokiereszowane myśli. Sierżant Tkaczenko został w szoferce, wolał nie wchodzić pod rękę szefowi.

Pułkownik Adam Szymański przegrał. Zbyt wiele było w nim życia, by mógł zwyciężyć. Opowiedział wszystko w ramach spisku, za pomocą którego Harsynowicz sprowadził go z powrotem z rodzinnej wsi do więzienia. Dobili go strzałem w tył głowy trzy dni później, po piętnastu minutach procesu.

- Ile jeszcze do Gdańska? - zapytał kapitan Tkaczenkę.

- Biez ostanowki... nu, czetyrie, piat' czasow[101].

Rzucił niedopałek na szosę i zdusił go czubkiem czarnych oficerek.

Do Gdańska wjechali nad ranem. Katarzynę uprzedzono o przyjeździe. Miano jej dyskretnie pilnować na wszelki wypadek, żeby nie strzeliło jej coś do głowy i nie ukryła się z dzieckiem u koleżanki. Nie chciał tracić czasu na babskie fochy i fanaberie.

Wszedł na górę z sierżantem. Było wcześniej, piąta z minutami. Zgodnie z planem

Tkaczenko wziął śpiącego chłopca na ręce i zszedł ostrożnie do samochodu.

- Nic nie rób, rozumiesz? Nic nie rób i nic nie mów! Nikomu! W szpitalu, w kościele. Nigdzie. Nic nie możesz zrobić, naprawdę nic. Jestem ojcem, będzie miał lepsze życie, dobre szkoły, opiekę, wakacje. To dla niego o wiele lepiej. Powinnaś to zrozumieć i docenić. A jeżeli się odważysz, spróbujesz zrobić cokolwiek, to wszystkim wokoło wyrządzisz krzywdę. Sobie, księdzu i innym, bez względu na to, kim są. Ten twój ksiądz przeżyje w więzieniu miesiąc, no, góra sześć tygodni. Katarzyna stała przed nim wyprostowana. Bez prośby i błagania o litość, bez strachu i skamlenia. Jakby była nieobecna albo nie dziwiła się niczemu, co już się stało i co może się jeszcze stać, teraz lub kiedykolwiek.

Harsynowicz zamilkł. Pomyślał, że to już wszystko. Koniec. W głowie idiotycznie pojawiła się Tamara, piękna, odległa. Zawsze była daleko. Gdy się kochali i teraz, gdy spała pięćset kilometrów stąd, w oprawie białej pościeli, z rozrzuconymi na poduszce platynowymi włosami. Pragnął jej, ale nie potrafił złamać jej szyfru. I nie dała mu syna. Gdyby wiedział, gdyby jeszcze w Moskwie mógł się dowiedzieć... Pchnął Katarzynę na łóżko. Rozpiął pasek, opuścił spodnie. Stał między jej zwisającymi łydkami. Pochylił się i szarpnął majtki. Nie chciały zejść. Grube, sprane, ozdobione resztkami różowej zniszczonej koronki. Nieudolnie, wściekle zdzierał je i wreszcie odrzucił na podłogę. Wyprostował się, dysząc.

Patrzyła na niego. Była obecna, skupiona i patrzyła otwarcie, twardo. Harsynowicz stał nad nią. Zbierał siły. Nagle wciągnął spodnie i odwrócił się. Na moment zamarł, jakby jeszcze raz zmienił zdanie, ale ruszył z hałasem do drzwi. W przedpokoju zapiął guziki w rozporku. Ręce mu drżały. Gdy znalazł się na zewnątrz, jeszcze raz się obrócił i pochylony oparł o zimną powierzchnię zniszczonych drzwi.

## **Dwie kobiety**

Dwie kobiety

6 listopada

Edmund gimnastykował się w zwolnionym tempie, krócej i z wyraźnie mniejszym entuzjazmem niż zwykle. Kobieta dzieląca z nim chleb, łóżko i samotność odebrała ten sygnał bezbłędnie, w mgnieniu oka. Leżała na boku w szerokim, starym łóżku z ciemnego dębu. Już nie spała, ale jeszcze do końca nie przerwała snu. Gimnastyka była porannym rytuałem, który umieszczał Edmunda precyzyjnie w systemie słonecznym w sposób, który pomagał mu w ciągu dnia uniknąć poważniejszych kolizji. Dzięki temu wieczorem nie miał na ogół pokiereszowanej twarzy i zdeptanej duszy. Ich życie składało się ze spraw niezbyt ważnych oraz spraw zupełnie nieważnych, więc czasami miała nadzieję, że jest mu z nią dobrze.

Kobieta, nie otwierając oczu, zapytała:

- Coś nie tak?

- Nie - odpowiedział krótko Edmund, wciągając biały podkoszulek, i ona już wiedziała, że sprawy stoją źle.

- Edmund. - Usiadła na łóżku. Spała zawsze nago i sądziła, że widok jej piersi poprawi mu samopoczucie albo go zmobilizuje. Ale on nie popatrzył na nią. Zauważył, że usiadła. Lubił patrzeć na jej białoróżowe ciało, naturalnie falujące jasne włosy, dotykające nieśmiało okrągłych ramion, i na trójkąt ciemnego zarostu między pełnymi udami. Ale tym razem nie spojrzał na nią swoim rozbrajającym wzrokiem chłopca, który pierwszy raz widzi nagą kobietę i nie ma pojęcia, co zrobić z oczami, rękami i resztą życia. To była ostatnia ważna informacja, jakiej jeszcze potrzebowała, by mieć całkowitą pewność.

- Co się stało? Powiedz mi, kochany.

Byli razem od dziesięciu lat. Młodszy syn Edmunda wyniósł się z domu na swoje śmieci. Jego żony nie było w Polsce jeszcze dłużej. Wyjechała do Stanów w okolice Detroit, do siostry, która załatwiła jej pracę. Dla Edmunda nie było jasne, czy rzeczywiście chciała pracować, by pomóc finansowo synom w życiowym starcie, czy znalazła łagodny sposób, by go dyskretnie rzucić, nie narażając się na huśtawkę emocji i ryzyko powrotu. Myślał, że Anna mogła nie wytrzymać jego konfliktu z jednostką, a właściwie z całym wojskiem, histerycznej dymisji, szarpaniny po sądach, braku pieniędzy na adwokatów i całej Edmundowej, buntowniczo-wariackiej reszty. Wtedy pojawiło się również napięcie między nim a synami. Widział jej zmęczenie, bezradność i fizyczne łaknienie spokoju. Byli dobrym małżeństwem? Razem całe dwadzieścia lat. Starał się bardzo. Zawsze przy niej. Jedynym wyjątkiem była służba.

- Chodź do mnie - powiedziała kobieta.

Spostrzegła wahanie, więc od razu dodała prosząco:

- Na chwilę. No chodź.

Był jeszcze nieogolony, w pasiastych spodniach od pidżamy. Położył się na plecach i podłożył pod głowę splecione dłonie.

Ona przekręciła się na bok, wtuliła twarz w jego pachę i położyła dłoń na brzuchu.

- Nie - powiedział. - Nie teraz.

- Powiedz mi. Martwisz się czymś. Przecież wiesz, że to widać, Edmund!

Zamknął oczy.

Czekała.

- Chyba straciłem najlepszą fuchę, wiesz, jeżdżenie audi z tym gościem z Kanady.



Czekała. Już bardziej niecierpliwie. Nie chodziło o fuchę. Mieli z czego żyć. Edmund miał emeryturę i parę złotych z taksówki, ona sprzedawała kosmetyki.

- Zrobię ci jajka zielononózek na miękko. I grzanki, dobrze?

- Noo... - mruknął.

Wstała i dopiero gdy wkładała szlafrok, lęk uderzył ją w brzuch. Wyszła do kuchni. Przyszedł ubrany porządniej niż zazwyczaj, gdy planował jeździć taksówką. Podała mu śniadanie i usiadła obok z pachnącą kawą w dużym kremowym kubku. Zjadł, ale nie powiedział nic więcej.

Nogi miała zupełnie miękkie, ale wyszła za nim do przedpokoju. Popatrzył na nią uważnie, pierwszy raz tego dnia.

- Muszę coś załatwić - powiedział.

Widział, jak wygląda jej twarz i jej przytłumione, oddalające się oczy, więc dodał:

- Ten gość, którego wozilem. Straciłem z nim kontakt. Nie odbiera telefonu i... w ogóle. Rozumiesz?

I żeby ją uspokoić, uzupełnił:

- Spotkam się na chwilę z jego znajomą, jego kobietą, może się czegoś dowiem i... może trochę popracuję, pojeżdżę, niedługo. No, na razie.

Wsiadł do swojego dziesięcioletniego srebrnego mercedesa E220 i ruszył powolutku. Miasto po porannym szczycie trochę odetchnęło. Uchylił szybę, włączył radio i słuchał wiadomości.

Barbara podniosła słuchawkę domofonu.

- Dzień dobry. To ja, Edmund, kierowca...

- Tak? - powiedziała niezdecydowana.

-...No... pana Henryka. Chciałbym...

Była bez makijażu. Z jej mieszkania tragarze wynosili meble. W kuchni ocalały jeszcze białe, twarde krzesła z lnianymi poduszkami przywiązanymi do siedzeń. Usiadł. Barbara patrzyła przez okno. Jeden z tragarzy, czarny jak Cygan, z chustką zawiązaną ciasno na głowie, krzyknął z korytarza:

- Proszę pani, my już jedziemy. Obrócimy jeszcze raz. Gdzieś za cztery, pięć godzin będziemy z powrotem.

Edmund nalał sobie wody i pił wolno z emaliowanego półlitrowego kubka ozdobionego czerwonym sercem. Woda była gorzka, jakby stała otwarta na stole całymi miesiącami.

Barbara czuła całym ciałem cierpliwe oczekiwanie Edmunda. Nie odrywała wzroku

od pustawego placyku wewnątrz kwartału luksusowego osiedla. Obok piaskownicy, otoczonej gładko wystrzyżonym trawnikiem, młode matki leniwie rozmawiały ze sobą. Kątem oka obserwowały kilkuletnie córki, które szczebiocząc, układały troskliwie lalki w wózkach. Gołębie odpoczywały. Z parapetów, które ginęły w objęciach cienia, przelatywały na te maźnięte niewyraźnie plamami wczesnego słońca. Krępy listonosz, dźwigając na ramieniu coraz chudsza torbę, krążył zapamiętale między klatkami schodowymi jak uderzona mocno bilardowa kula. Wysoko na balkonie powiewał czerwony sztandar powieszony na żyłce dziewczęcej sukienki.

## Przypisy

- [1] (ros.) Buntownik
- [2] (ros.)...Wielmożnością.
- [3] (ros.)...nakłamał.
- [4] (ros.)...swobodnie oddycha człowiek.
- [5] (ros.)...kategorycznie zakazana.
- [6] (ros.)...niech żyje Wielka Rewolucja Październikowa!
- [7] (ukr.)...podstawowy oddział samoobrony
- [8] (ukr.)...przewodniczący zarządu
- [9] (ros.) Usiądź
- [10] (ros.)...wszystko w porządku.
- [11] (ros.)...cię pytam (...) wiesz, kim jest twój ojciec?
- [12] (ros.)...jeszcze mnie pytasz, dlaczego mówię po rosyjsku.
- [13] (ros.)...oczywiście opowiem ci wszystko po kolei.
- [14] (ros.) Ot i cała prawda!
- [15] (ros.)...nijak
- [16] (ros.) Język rosyjski to wielka przestrzeń, kosmiczny wiatr, język ziemi
- [17] (ros.)...jak Rosja, wielki.
- [18] (ros.) To świat cały...
- [19] (ros.)...Morza Białego
- [20] (ros.)...jak on dźwięczy
- [21] (ros.)...Katarzyny Wielkiej (...) świętej
- [22] (ros.)...losie człowieka.
- [23] (ros.)...zbawienia
- [24] (ros.) Rozumiesz? Nigdy nie zrozumiesz! (...) twój niemiecki papież

- [25] (ros.) Posłuchaj, chłopcze.
- [26] (ros.)...Jezus Chrystus nie wie.
- [27] (ros.)...to zrozumieć całkiem
- [28] (ros.)...to jasne: złodziej (...) przeklęty zdrajca
- [29] (ros.)...został, bez ojczyzny.
- [30] (ros.)...stracił
- [31] (ros.)...jednak (...) nakłamał
- [32] (ros.) SMIERSZ - jednostki radzieckiego kontrwywiadu wojskowego w latach 1943-1946 (od potocznego skrótów śmierć szpionów - śmierć szpiegów).
- [33] (ros.) To wszystko byli dywersanci, niemieccy szpiegi
- [34] (ros.)...towarzysze (...) trafili.
- [35] (ros.)...jeden
- [36] (ros.)...dużo.
- [37] (ros.)...niewolnicy.
- [38] (ros.)...Majestat.
- [39] (ros.)...rzymski
- [40] (ros.)...myślał (...) lepszy
- [41] (ros.)...mądry jak
- [42] (ros.)...staruszką
- [43] (ros.)...nie zapomniałam, będę (...) przyjdzie
- [44] (ros.)...świętemu Piotrowi (...) przysięgnę.
- [45] (ros.)...papieżowi
- [46] (ros.)...matki Rosji!
- [47] (ros.) Znosimy waszą diabelską krucjatę
- [48] (ros.)...chcecie.
- [49] (ros.)...szpiegi gorzko
- [50] (ros.)...niestety
- [51] (ros.) Żydowską
- [52] (ros.)...Żydem
- [53] (ros.)...dobrze wiedziały
- [54] (ros.)...zrobić.
- [55] (ros.)...Głównego Zarządu Wywiadu
- [56] (ros.)...po prostu
- [57] (ros.)...niemiecką

- [58] (ros.)...zbaw
- [59] (ros.)...nie wiem
- [60] (ros.)...żołnierzom.
- [61] (ros.)...szukasz tutaj?
- [62] (ros.)...kura (...) ptak.
- [63] (ros.)...żyję.
- [64] (ros.) Buntownicy!
- [65] (ros.)...rocznicy rewolucji październikowej.
- [66] (ros.) Oto teraz
- [67] (ros.)...jeśli tylko zechce.
- [68] (ros.)...nie wiedziałam i jeszcze mniej rozumiałam.
- [69] (ros.) Zawsze ta sama straszna wojna, na śmierć i życie.
- [70] (ros.)...całego świata przeciw Rosji.
- [71] (ros.)...nie wiem (...) pokochałam
- [72] (ros.)...na zawsze
- [73] (ros.)...wiedz o tym
- [74] (ros.)...jesteś bardziej dla mnie żywy
- [75] (ros.) Nienawidzę cię jak (...) Kocham
- [76] (ros.) Powinieneś zrozumieć
- [77] (ros.)...że (...) bezdomny (...) zginęli, nieznani.
- [78] (ros.) Uwierzyłam.
- [79] (ros.) Po (...) dzieci
- [80] (ros.) Myślałam
- [81] (ros.)...zapomniałam (...) nie sprawdziłam, skąd
- [82] (ros.)...Rosjanie, wiemy
- [83] (ros.)...całe wasze życie ze szczegółami
- [84] (ros.)...koniec końców wszystkiego się dowiedziałam i w głowie mi się zakręciło  
i życie
- [85] (ros.) Zostałam aktorką.
- [86] (ros.) W teatrze
- [87] (ros.) Dlatego Kocham cię jak rozpacz kocha
- [88] (ros.) Moje życie jest jak zupełnie (...) dzieciństwa.
- [89] (ros.) Słyszę melodię, piosenkę i głos matki
- [90] (ros.) Chcę podejść, żeby na nią popatrzeć i dalej żyć, ale nijak nie mogę (...)

spalony czołg.

[91] (ros.) Chcę (...) razem z nią, matką, ale słów (...) mogę (...) nie rozumiem, o czym ona śpiewa.

[92] (ros.)...moim bólu

[93] (ros.)...zdobyczna

[94] (ros.) Dalejże, chłopcy!

[95] (ros.) Ty k... nie mów nikomu ani słowa, rozumiesz?

[96] (ros.) Rozumiesz, tak?

[97] (ros.)...to nie papieros, rozumiecie?

[98] (ros.)...rosyjskim szpitalu

[99] (ros.)...kontrwywiadu

[100] (ros.)...tak jest, towarzyszu kapitanie. Jadę ostrożnie.

[101] (ros.) Bez przystanku... cztery, pięć godzin.